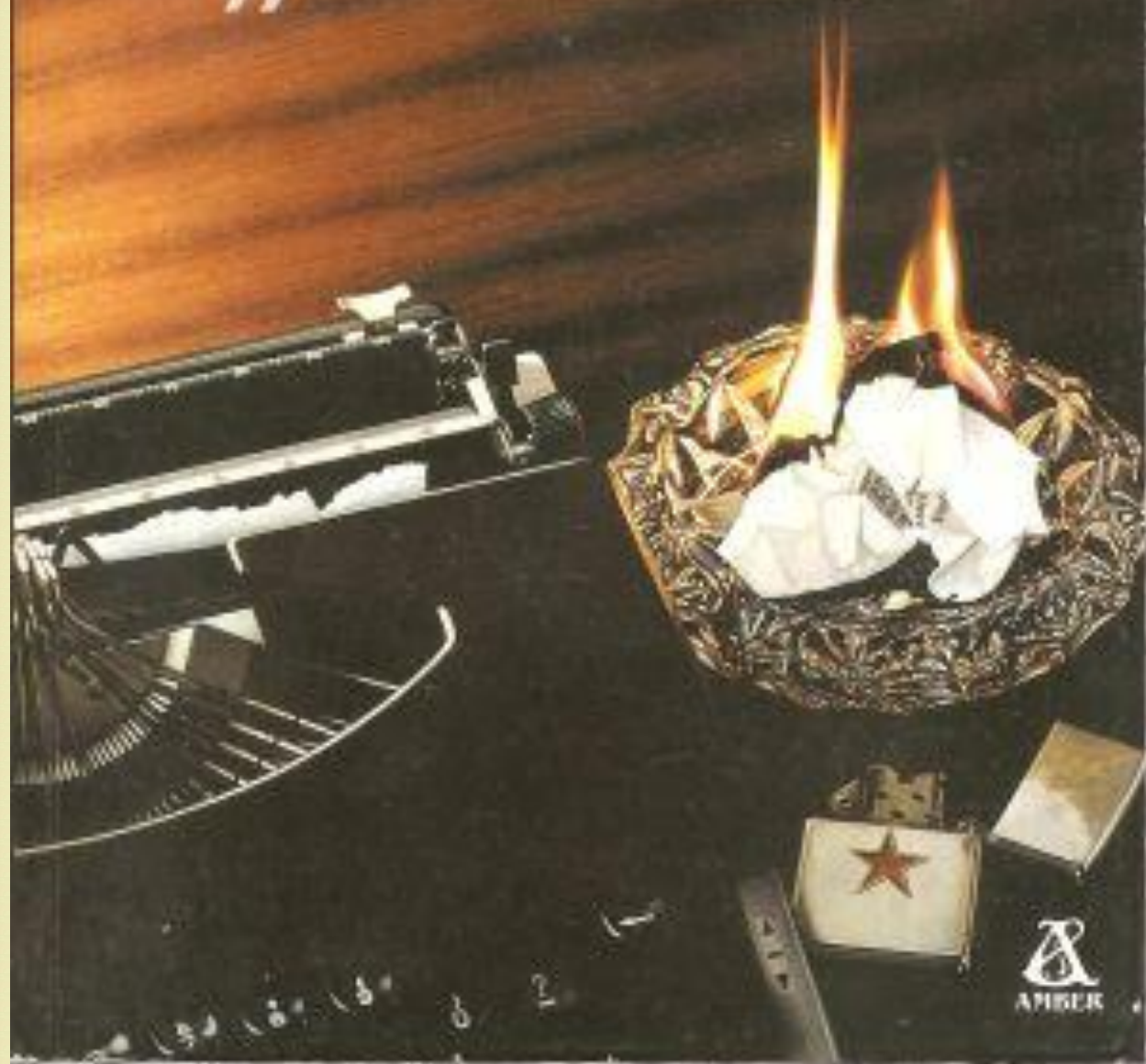


**SEAN FLANNERY**

**KRYPTONIM**

**„ZEBRA“**



**SEAN  
FLANNERY**

**KRYPTONIM  
„ZEBRA”**

Przekład PAWEŁ CZAJCZYŃSKI

Tytuł oryginału  
THE ZEBRA NETWORK

Ilustracja na okładce  
PAUL ROBINSON

Redakcja merytoryczna  
KRYSTYNA PETRYK

Redakcja techniczna  
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta  
KATARZYNA PASCHALSKA

Copyright © 1989 by David Hagberg All rights reserved  
For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7169-093-2

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1996.

Wydanie I

Druk: Zakłady Graficzna ATEXT SA  
Gdańsk, ul. Trzy Lipy 3  
tel. (0-68) 32-57-69, (0-58) 32-64-41

*Powieść tą poświęcam Laurie.*

## **Przedmowa**

### **WASZYNGTON**

Gruba ryba rosyjskiej siatki szpiegowskiej, oskarżony James Franklin O'Haire, lat 42, w poniedziałek przyznał się do szpiegostwa i uchylania się od obowiązku płacenia podatku dochodowego.

Wraz ze swym młodszym bratem, kapitanem lotnictwa Stanów Zjednoczonych, Liamem Caseyem O'Haire'em, lat 37, który w ubiegłym tygodniu przyznał się do winy obciążony tymi samymi zarzutami, najprawdopodobniej zostaną skazani na karę dożywotniego więzienia. Bracia będą mogli uzyskać zwolnienie warunkowe po upływie dwudziestu pięciu lat.

O'Haire'owie zostali postawieni w stan oskarżenia w lipcu po dwuletnim dochodzeniu prowadzonym przez Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, Federalne Biuro Śledcze oraz Urząd Podatkowy. Prowadzący śledztwo zarzucają, że James O'Haire stał na czele organizacji szpiegowskiej, w której skład, oprócz jego brata, wchodziło jeszcze siedem osób. Zadanie ich polegało na przekazywaniu technicznych i wojskowych tajemnic do Związku Radzieckiego.

Proces pozostałej siódemki, która również przyznała się do winy, odbędzie się w Sądzie Okręgowym w przyszłym miesiącu.

Prowadzący śledztwo twierdzą, że nigdy nie będą dokładnie znane pełne rozmiary szkód, jakie wyrządziła interesom Stanów Zjednoczonych organizacja szpiegowska O'Haire'ów. Określają je jednak jako „rozległe” i podają, że dotyczą przecieku informacji na temat tak zwanych Wojen Gwiazdnych i Inicjatywy Strategii Obronnej.

Ostatni podobny przypadek szpiegostwa dotyczył rodziny Walkerów i miał miejsce w roku 1986.

## **CZEŚĆ PIERWSZA**

## Rozdział 1

Październik wcześniej zawitał do Moskwy. Pod koniec miesiąca, kilka minut po dwudziestej drugiej, powietrze zrobiło się rześkie i mroźne jak w styczniu. Śnieg leżał wszędzie, tworząc duże, brudne sterty. Moskwa była wschodnim miastem: ponurym, zamyślonym i tajemniczym. Cebulaste kopuły cerkwi Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym sprawiały wrażenie naturalnej przeciwwagi dla Spaskiej wieży Kremla. Zaterkotał rozklekotany trolejbus. Dwóch żołnierzy, spitych na umór wódką, zatrzymało się pod uliczną latarnią, aby wymienić między sobą butelkę. Urzędowy żółty limuzyna niknął prawym pasem, konsekwentnie ignorując czerwone światła.

Wysoki, dobrze zbudowany Amerykanin pojawił się w drzwiach przysadzistej kamienicy przy ulicy Jelizarowej, na której rogu znajdowała się ambasada Czadu. Mężczyzna postawił kołnierz płaszcza, rozejrzał się w obie strony ogarniając wzrokiem opustoszałą ulicę, i ruszył w kierunku swego samochodu, który zaparkował dwie przecznice dalej. Sprawiał wrażenie podenerwowanego i niezadowolonego z siebie. Od czasu do czasu spoglądał przez ramię, jakby przeczuwał, że ktoś lub coś może podążać jego śladem.

Przy końcu przecznicy odwrócił się ponownie i popatrzył w okno dwupiętrowej kamienicy, które nadal jaśniało przymglonym żółtym światłem. Nigdy już tam nie wróci. Nie było ku temu powodu. *Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.* W umyśle tętniły mu słowa Woronina. Tajemnicze słowa. Wypowiedziane w pełnym rozczulania się nad sobą alkoholowym otumanieniu. Po nieogolonej brodzie kaleki poleciała ślina, jego kaprawe oczy przymglone były zaćmą, gdy zaciśniętymi pięściami walił w bezużyteczne nogi.

A zatem to koniec, pomyślał Amerykanin, odwracając się raz jeszcze i przemierzając ostatnie metry dzielące go od samochodu. „Kiedy zaczyna się czcza gadanina, chłopcze, najwyższy czas, żeby się z tego wyplątać, żeby przypadkiem nie złapali cię wczepionego pazurami w majtki jakiejś dziewczynki.” Przez sześć miesięcy rozpracowywał Wiktora Woronina, który osiemnaście miesięcy temu przestał być czynnym oficerem w KGB. Głupi, bezsensowny wypadek samochodowy uczynił z niego kalekę do końca życia. KGB przeniosło go oczywiście w stan spoczynku, a on zaczął ostro pić jeszcze tego samego wieczora, kiedy nastąpiło jego „cudowne nawrócenie”. Nigdy więcej wojny, mamrotał. Świat, w którym wszyscy są równi. Socjalizm doskonały. Woronin był jednak kopalnią złota. Macierzystą żyłą. Informacje, jakie im dostarczył, były zaskakujące. Warte ryzyka. Lecz dziś wieczorem zegar się zatrzymał. Woronin w końcu osunął się w świat fantazji, w którym zaczął konsekwentnie mieszać prawdę ze swymi dzikimi wyobrażeniami. Nie można go było dłużej uważać za wiarygodnego.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę.* Co to, u diabła, miało oznaczać? *Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Zdecydował, że końcowy raport może zaczekać do rana. Wyruszy do Langley wraz z codziennymi streszczeniami przed szesnastą czasu moskiewskiego. Operacja „Spójrz w tył” zakończyła się i cieszyło go to. Od początku nie była w jego stylu. „Wysłuchiwanie starych, zgorzkniałych ludzi zapalczywie wyrzekających się swych własnych krajów, wyrzucających z siebie nienawiść i chęć zemsty jest jak przekopywanie czyichś gnijących śmieci w poszukiwaniu godziwego posiłku” - stwierdził kiedyś.

Mając trzydzieści dziewięć lat David McAllister. dla żony i przyjaciół Mac, nie lubił ukrywać się w gabinecie, czaić w ciemnych zaułkach, otwierać cudzych listów ani podsłuchiwać prywatnych rozmów telefonicznych. Sądził, że to dość nieoczekiwana reakcja jak na szpiega, lecz prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie poznał szpiega, który byłby do końca przewidywalny. Jego wrodzona ostrożność wypływała ze szkockiego rodowodu, choć jedynym hołdem, jaki złożył swej odległej przeszłości, było rozmiłowanie w piskliwych dźwiękach wydawanych przez szkockie kobzy oraz duma z ojca, Stewarta Alvina McAllistera, który podczas pierwszej wojny światowej przybył do Londynu z Edynburgu, aby uformować świeżo opierzony brytyjski tajny wywiad. Jego ojciec imigrował do Stanów w początkach lat dwudziestych. wstąpił do Armii Stanów Zjednoczonych, awansował do stopnia generała brygady i w czasie drugiej wojny światowej był jednym z członków i inicjatorów OSS, czyli Urzędu Służb Strategicznych, a następnie CIA. Wojskowość, szpiegostwo, profesjonalizm - wszystkie te cechy płynęły w krwi McAllistera. Nie niańczenie starych, zgorzkniałych ludzi, chcących upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu.

Mały fiat McAllistera stał zaparkowany dwoma kołami na krawężniku pośrodku wąskiej, opustoszałej przecznicy. Dotarłszy do samochodu, wyjął kluczyki i w tym samym momencie na końcu uliczki pojawiły się przednie światła innego wozu. Zatrzymał się i spojrzawszy przez ramię dostrzegł jeszcze jedną parę świateł z tyłu. Obydwa samochody stanęły.

Jedyne drogi odwrotu zostały zablokowane. McAllister postąpił krok do tyłu, starając się za wszelką cenę nie stracić zimnej krwi, i wsadziwszy rękę do kieszeni płaszcza, wymacał palcami kolbę automatycznej, dziewięciomilimetrowej beretty. Jego szef twierdził, że noszenie przy sobie broni w Moskwie to czyste szaleństwo. Chyba że okaże się niezbędna - kontrował McAllister

Na krańcu uliczki rozległ się donośny głos z megafonu, mówiący po angielsku.  
- Spokojnie. Podnieś ręce do góry.

McAllister zawahał się. Z wejścia do kamienicy wychynęło dwóch mężczyzn i stanęło na chodniku naprzeciw jego fiata. Mieli na sobie cywilne ubrania, lecz trzymali w rękach kałasznikowy. Jednocześnie załadowali broń.

- Nie bądź głupi, McAllister. Rób to, co ci się mówi - polecił głos z megafonu.

Dwóch innych mężczyzn pojawiło się po przeciwnej stronie uliczki. W żadnym z mieszkań nic paliło .się światło. Latarnie również pogaszono. Powinien był zwrócić na to uwagę. Powyżej, na dachach domów po obu stronach ulicy, dostrzegł niewyraźne cienie przynajmniej dwunastu postaci. Zadali sobie sporo trudu, żeby go dostać. Z powodu Woronina? W to wątpił. Zaaresztowaliby go u niego.

Powoli wyjął dłoń z kieszeni i podniósł obie ręce nad głowę.

Niski, niezwykle chudy mężczyzna, ubrany w futrzaną czapkę i przepastny płaszcz z owczej skóry, zaczął iść w jego kierunku. Miał śniadą cerę, gruzińskie rysy twarzy i porusza! się szybko niczym ptak. Zatrzymał się kilka metrów przed nim.

- David Stewart McAllister - odezwał się po angielsku z silnym rosyjskim akcentem. Uśmiechnął się. - Wreszcie. Jest pan aresztowany,

- Pod jakim zarzutem? - spytał spokojnie McAllister.

Za parę godzin ogłoszą jego zaginięcie. Gloria powiadomi ambasadę.

- Szpiegostwo przeciwko Związkowi Radzieckiemu - odparł mały człowieczek.

Ranek wstał zimny i ciemnoszary. Generał Aleksander Illicz Borodin wysiadł z windy na czwartym piętrze siedziby KGB na Łubiance i ruszył korytarzem do swego gabinetu niczym towarowy pociąg z jednym pasażerem. Był wysokim mężczyzną, według norm radzieckich, o grubej szyi, szerokim podbródku z prawie łąsą głową i głębokim, przenikliwym spojrzeniem. Krążyły pogłoski, że gdyby nie nadmierna

gorliwość, z jaką podchodził do niektórych swoich projektów, dawno już mógł awansować na przewodniczącego Komitetu. Na razie jednak mówiło się, że na Kremlu przeważają mądrzejsze głowy, które postanowiły zatrzymać go na stanowisku szefa kontrwywiadu Pierwszego Dyrektoriatu odpowiedzialnego za torpedowanie operacji obcych tajnych służb. W drodze ze swej dachy położonej za miastem nad rzeką Istrą, generał przejrzał poranne raporty, które przekazał mu jego kierowca. Teraz ogarniała go złość, że nie został przewidziany do udziału w operacji mającej miejsce wczorajszego wieczoru.

- Dzień dobry, towarzyszu generale - odezwała się sekretarka, kiedy Borodin przechodził przez zewnętrzne biuro, kierując się do prywatnego pokoju z widokiem na plac Dzierżyńskiego.

- Połącz mnie z generałem Suslewem! - ryknął Borodin zrzucając płaszcz i zapalając papierosa.

To niesłychane, że prowadzono operację zagraniczną nie wiedząc, co dzieje się na własnym podwórku! Długie lata pracy mogły z łatwością ulecieć niczym dym z papierosa. A kiedy wszystko znajdzie się poza kontrolą i w kompletnym rozproszeniu, żaden rozum na świecie nie będzie w stanie tego zrekonstruować. Co więcej, istnieje obawa, że rozprzestrzeni się to niczym kwaśny deszcz i spowoduje ogólną destrukcję. Jedyne o co zabiegał, to koordynacja. Nie było to aż tak wiele. Nawet CIA posiadało swoją komisję nadzorczą, aby upewniać się, że ich ludzie nie deptają sobie po piętach. To naprawdę, do cholery, miało sens. Polemizował na ten temat siniejac na twarzy, najpierw z Andropowem, a potem z tym jego idiotycznym następcą.

Usiadł wciągając dym głęboko w płuca, a następnie zaniknął oczy.

- Teraz ostrożnie, Aleksandrze - mruknął do siebie. - Nadszedł czas, by poruszać się ostrożnie.

Zadźwięczał sygnał interkomu.

- Generał Suslew - powiedziała sekretarka.

Suslew był szefem wydziału Pierwszego Dyrektoriatu odpowiedzialnego za obserwację Amerykanów w Rosji.

Borodin podniósł słuchawkę.

- Nikołaj, co dokładnie wczoraj zrobiliście?

- Swoją robotę, Aleksandrze Dliczu - odparł Suslew. - Aresztowanie szpiegów.

- Kto to jest?

- Uspokój się i sam sprawdź, jeśli tak bardzo się niecierpliwisz.

Generał Borodin zjechał windą na parter i podążył szerokim kamiennym korytarzem w kierunku centrum przesłuchań, gdzie natychmiast wpuszczono go do gabinetu głównego oficera śledczego Mirosznikowa. Generał Suslew już tam był. Przez lustrzaną szybę obserwowali Amerykanina znajdującego się w pokoju przesłuchań. Najwyraźniej przebywał tam od momentu aresztowania, czyli od dwudziestej drugiej. Był bez płaszcza, miał poluzowany krawat i siedział na krześle o prostym oparciu, paląc papierosa przed dwoma wstępnymi przesłuchującymi.

- Kto to jest? - spytał generał Borodin.

- David McAllister - odparł Suslew spoglądając w górę. Generał, który zmienił nazwisko z gruzińskiego Suslewili, był niskim, żywiołowym człowiekiem. Borodin nie cierpiał go pasjami. Suslew miał jednak duże szanse zostania pewnego dnia szefem KGB. - Jest asystentem specjalnym ambasadora.

- CIA?

- Jesteś wyjątkowo bystry dziś rano, Aleksandrze. W rzeczywistości to zastępca szefa.

Borodin zignorował wyraźny sarkazm w wypowiedzi Suslewa. Podeszedł do okna, by przyrzeć się lepiej. McAllister sprawiał wrażenie zmęczonego. Bladość twarzy podkreślało jeszcze bardziej białe, ostre światło odbijające się od nienagannie białych płytek, jakimi wyłożono ściany. Wyglądał na zdenerwowanego, a może nawet zmartwionego, lecz nie wydawało się, że to jeden z tych, którzy się łatwo poddają. Borodin dostrzegł coś fascynującego w oczach Amerykanina. Nawet z tak dużej odległości widział w nich moc, jakąś czystą siłę. Podobne spojrzenie oglądał każdego ranka patrząc w lustro. Spojrzenie, które podziwiał. Tego trudno będzie złamać.

- Interesujecie się tą sprawą, towarzyszu generale? - spytał główny oficer śledczy. Był to potężny, opasły mężczyzna, niemalże dorównujący wzrostem Borodinowi. Jego małe, wąskie i osadzone blisko siebie oczy kojarzyły się podwładnym z oczkami świni. Nikt go nie lubił. Mówiono, że nawet jego własna żona oczekiwała dnia, kiedy męża potrąci autobus. Był jednak świetny w swoim fachu, który polegał na wyłuskiwaniu informacji z opornych facetów.

- Czy istnieje możliwość zmiękczenia go? - zapytał Borodin maskując prawdziwy powód swego zainteresowania.

- Nie bardzo w to wierzę - odparł smutno Mirosznikow. - Może za jakiś czas...

- Jesteś w nieodpowiednim miejscu, Aleksandrze - powiedział Suslew. - Twoim zadaniem jest rozpracowywanie CIA w Waszyngtonie, nie w Moskwie.

- On nie pozostanie w kraju na zawsze, Nikołaju - stwierdził Borodin pokazując na McAllistera. - Chyba że zamierzacie go zabić. - Ponownie spojrzął na Amerykanina. Oczy zwięzły mu się, jakby myślał o czymś innym. - Gdzie go zgarnęliście?

- Niedaleko placu Lialina - odpowiedział Suslew.

- Co tam robił o tak późnej porze? Spotykał się z kimś? Przekazywał tajne informacje?

- Jeszcze nie wiemy, lecz był uzbrojony - powiedział Suslew.

- Może uda nam się to ustalić dziś rano, towarzyszu generale - odezwał się Mirosznikow.

Borodin popatrzył na niego, a potem na McAllistera. Skinął głową. Gdy po drugiej stronie stołu siedział Mirosznikow, nie było rzeczy niemożliwych. Generał wzdrygnął się. McAllistera nie czekały najprzyjemniejsze dni w towarzystwie tego śledczego.

Pułkownik Piotr Walentij Mirosznikow wyłączył magnetofon i położył słuchawki na biurku. Odchylił się do tyłu i przeciągnął, dając chwilową ulgę niższym partiom kręgosłupa. Dzień nie był dla niego całkowicie satysfakcjonujący. Amerykanin odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji, a generał Suslew dzwonił co godzina, chcąc dowiedzieć się o postępach. Przesłuchanie toczyło się jednak normalnym trybem. Tak jak się spodziewał. Tym sprawom towarzyszyła pewna określona symetria. Najpierw pojawiał się szok związany z aresztowaniem, który prowadził do narodzin swoistej nieśmiałości i bojaźni w zachowaniu więźnia. Wytrawny śledczy wiedział, że należy jak najszybciej dać zatrzymanemu do zrozumienia, że nie decyduje już o niczym w swoim życiu, że ktoś inny kieruje jego przeznaczeniem. Począwszy od tego momentu przesłuchiwany miał stać się przyjacielem przesłuchującego. Mieli zostać sprzymierzeńcami, a w końcu powiernikami.

Mirosznikow spojrzął na magnetofon, po czym omiół wzrokiem pusty pokój przesłuchań: stoły z nierdzewnej stali, solidne krzesła, instrumenty, podłoga z białych kafelków i ściany połyskujące jak w sali operacyjnej, skąpane w silnym świetle lampy zwieszającej się u sufitu. Otoczenie wyraźnie go ekscytowało. McAllister dopełniał tej symetrii, lecz Mirosznikow wiedział, że zapowiadało się długie, przeciągane i bolesne przesłuchanie. W chwili gdy jego wzrok spoczął na Amerykaninie, instynktownie wyczuł moc drzemiącą w tym człowieku, wykraczającą daleko poza siłę mężczyzn,



którzy już wcześniej przeszli przez ten pokój. I za to Mirosznikow był wdzięczny. Łamanie woli człowieka i jego ducha sprawiało mu prawdziwą radość. Gdy przychodziło zbyt łatwo, zbyt szybko, nie przynosiło prawie żadnej satysfakcji. „Świat jest moją wolą i moją ideą.” Była to kiepska interpretacja filozofii Schopenhauera, lecz taką właśnie Mirosznikow przyswoił sobie jako młody wygnaniec dorastający w Irkucku na Syberii. Był wyrzutkiem. Obcy w obcej krainie. Przesiedlony. W szkole musiał przepychać się łokciami. Jego ojciec nigdy nie nauczył się walczyć lub nawet sobie radzić i jego duch, a zaraz po nim życie zgasło niczym wypalony kaganek, podobnie jak życie matki Mirosznikowa. Piotr nauczył się jednak, że klucz do dominacji nad każdym człowiekiem to po pierwsze, zrozumienie jego woli, a następnie zamiana jej w swoją własną.

Załośni, mali Żydzi, których przysłano do niego, tak bardzo chcący wyemigrować na Zachód, albo biedny wieśniak zmieniony w żołnierza, którego jedyną winą była chwila nierozwagi, nie mieli żadnego znaczenia. W rzeczywistości nudzili go. Transport na Łubiankę wystarczał często, aby pozbawić ich śmiałości, odwagi, charakteru. Kilku innych, służbistów, radzieckich oficerów politycznych, którzy zbyt rozkochali się w zachodnim stylu życia, stanowiło dla niego w pewnym sensie większe wyzwanie, chociaż inteligencja nie zawsze wystarczała, by wytrzymać przesłuchanie.

W tym przypadku Mirosznikow widział najpoważniejsze z dotychczasowych zadań. McAllister był równie inteligentny jak silny. Śledczy wyczuwał w nim niesłychanie rozwinięty instynkt przetrwania. Prawdziwe wyzwanie.

Wstał, wszedł do małej łazienki znajdującej się tuż za jego gabinetem, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Spojrzał na odbicie swej twarzy w lustrze nad umywalką i spodobało mu się to, co ujrzał, ponieważ potrafił wejrzeć poza cielesną powłokę. Oczy są zwierciadłem duszy. Wpatrując się w swoje nie dostrzegł jednak duszy, lecz jedynie głęboką, tłącą się nienawiść do Wielkich Rosjan. Nienawiść za to, co zrobił mu Związek Radziecki, za to, co musiał znosić będąc chłopcem, za to, czym się stał. Wziął butelkę koniaku i niezbyt czystą szklankę z apteczki zawieszanej na ścianie, nalał sobie pokaźną ilość i wypił do dna. Płyn rozgrzewał trzewia, rozprostowując węzły w brzuchu. Popryśkał twarz wodą, pokręcił powoli głową rozciągając mięśnie u nasady szyi, zrzucając część budującego się napięcia. Wciągnął głęboko powietrze, przytrzymał je licząc do pięciu, a następnie wypuścił powoli, starając się dokładnie opróżnić najgłębsze zakamarki płuc. Następnie odwrócił się i ruszył do gabinetu.

Zabrali się za McAllistera zeszłej nocy, gdy tylko został przywieziony, i nie przerywali przesłuchania aż do piętnastej. Czterej przesłuchujący zmieniając się dwójkami zaczęli proces zmiękczenia, tak zwane metody początkowe. Dano więźniowi kilka godzin odpoczynku, a teraz nadszedł czas, by na serio przystąpić do pracy.

Mirosznikow wziął dokumenty McAllistera ze swego gabinetu i wszedł do pokoju przesłuchań. Magnetofony i kamery uruchamiały się automatycznie. Nie pozwalał nikomu przyglądać się swojej pracy. Taki miał zwyczaj i jego podwładni respektowali te zasady.

Uśmiechnął się. Czekał na tę chwilę od dawna. Wyzwanie, do którego przygotowywał się powoli i subtelnie. Nacisnął guzik interkomu.

- Wprowadźcie go - powiedział głosem delikatnym niczym tchnienie wiatru wałęsającego się po cmentarzu.

McAllister miał na sobie spodnie z cienkiego płótna i papierowe łapcie. Czerwone oczy zdradzały zmęczenie i brak snu, lecz wydawał się niezmiennie czujny. Siedział wyprostowany na topornym, niewyściełanym metalowym krześle.

- Nazwisko - rzucił Mirosznikow studiując otwarte dokumenty leżące przed nim na stole.

- David McAllister.

- Pana zawód, Davidzie McAllister?

- Pracuję w Departamencie Stanu Stanów Zjednoczonych. Obecnie zajmuję stanowisko drugiego sekretarza ambasadora Lelanda Smitha.

- Nie jest pan szpiegiem?

- Nie.

Mirosznikow podniósł wzrok. Na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

- *Gawaritie pa ruski?* - zapytał w swoim ojczystym języku.

McAllister nie odpowiedział.

- Spytałem, czy mówi pan po rosyjsku - powtórzył Mirosznikow, tym razem po angielsku.

- Nie.

- Sądzę, że pan kłamie. Sądzę, że na początku będzie pan bardzo często kłamał. Mamy jednak czas. Czas całego świata.

- Chciałbym rozmawiać z przedstawicielem mojej ambasady - odezwał się McAllister.

Jego przejrzysty głos niósł w sobie odrobinę akcentu ze wschodniego wybrzeża.

Mirosznikow wyprostował się i spojrział na dokumenty McAllistera.

- Dziwna praca, nie sądzi pan, panie drugi sekretarzu? Dziwna dla człowieka, który ukończył West Point z najlepszym wynikiem na roku. Dodałbym, że to spore osiągnięcie.

- Zdarza się.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego wystąpił pan z wojska już po dwóch latach. Odnoszę wrażenie, że po ukończeniu West Point należy odsłużyć sześć lat. Pana ojciec, generał, musiał być niesłychanie zawiedziony pańskim postępkami.

McAllister nie odpowiadał.

- Głęboko się zastanawiam, czy naprawdę był - dodał Mirosznikow.

McAllister zatracił wszelkie poczucie czasu, choć spodziewał się, że może być już po północy. Czuł się zmęczony, głodny, zziębnięty i zeszywniały po wielu godzinach siedzenia na metalowym krześle.

- Ciekaw jestem, czy zna pan rosyjskie prawo dotyczące obcokrajowców podejrzanych o szpiegostwo - odezwał się Mirosznikow.

- W ogólnym zarysie - odparł McAllister.

Myślał o swojej żonie. Do tego czasu była już bezpieczna w ambasadzie. Jeśli zajdzie potrzeba, rozpali ogień pod samym ambasadorem Smithem.

- Na nieszczęście dla jednostki nie obowiązuje nas akt Habeas Corpus. Mogę pana tu trzymać tak długo, jak zechcę. Tak długo, dopóki nie dowiem się tego, czego moi zwierzchnicy z taką niecierpliwością pragną się dowiedzieć.

- Nie jestem szpiegiem.

Przeszedł to szkolenie na Farmie. Nazywało się Progresywna Odporność Podczas Przesłuchania. Na początku nie zdradzaj niczego, uczono ich. Dopiero później przyznasz się do pewnych rzeczy, całkiem nieważnych. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że w końcu można złamać wolę człowieka. Tortury lub narkotyki. Prędzej czy później mogło to nastąpić, a wraz z tym możliwość psychicznych lub fizycznych uszkodzeń. Lecz w tym przypadku, pomyślał, takie uszkodzenia nie miałyby znaczenia. Widział to w oczach przesłuchującego. On nie był człowiekiem.

- Ależ jest pan, panie McAllister. Wiedzieliśmy o tym od momentu, gdy dwadzieścia trzy miesiące i jedenaście dni temu postawił pan stopę na radzieckiej

ziemi. Obserwowaliśmy pana. Czekaliśmy na odpowiednią chwilę, żeby pana aresztować. Aż wreszcie nadeszła. Obecnie znajdujemy się w czymś, co można nazwać fazą przedsądową. Czy pan mnie słucha?

- Słucham - odparł McAllister.

Do tego czasu w Langley wiedzą już o jego zaginięciu. W pierwszym etapie poszukiwań po cichu zostaną odwiedzone miejsca w Moskwie, w których często bywał. Może miał jakiś romans i przebywał w domu swojej kochanki. Może uwikłał się w rozmowę z jednym ze swoich informatorów i nie mógł się od niego oderwać. Może bawił w towarzystwie przyjaciół. Następnie rozpocznie się etap drugi. Zaczną się poszukiwania w szpitalach i w moskiewskiej milicji. Może McAllister został ranny w wypadku samochodowym. Może aresztowano go za jazdę po pijanemu albo przejechanie na czerwonym świetle. W Moskwie nie potrzeba było zbyt wiele, żeby wylądować w więzieniu, szczególnie w przypadku obcokrajowca. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie te procedury zabierały mnóstwo czasu.

- To świetnie - mówił Mirosznikow - bo niech mi pan wierzy, że pańskie życie zależy od pełnego zrozumienia.

- Żądam rozmowy z przedstawicielem ambasady mojego kraju.

- Porozmawiajmy przez chwilę o pańskim dziadku...

- Nie.

- Stewart Alvin McAllister. Szkot. W swoim czasie niezwykle ważna figura w Wielkiej Brytanii. Przy okazji, czy zdawał pan sobie sprawę, że pański dziadek przyjechał tutaj, do Moskwy, w 1920? Wysłano go, aby zbadał Czeka, prekursora KGB. Poszukiwał pomysłów do swego tajnego wywiadu. Z tego co wiem, był całkiem skuteczny.

- Nie znałem go.

- Tym większa szkoda - stwierdził Mirosznikow. - To nasza narodowa osobliwość, lecz czy zdaje pan sobie sprawę, że pod pewnym względem jesteśmy podobni do narodów germańskich? Mamy tendencje do przechowywania wszelkich danych. Zapisujemy wszystko w trzech egzemplarzach, a następnie archiwizujemy dokumenty. Pewnego dnia powinien pan zobaczyć tę wielką stertę papierów, jaką zgromadziliśmy od 1917 roku. Wzbudza respekt i grozę.

- Nie wątpię.

- Dla przykładu, dane pańskiego ojca również figurują w naszych dokumentach. W 1923 emigrował do Stanów Zjednoczonych, zaciągnął się do wojska i został generałem. Kolejne zdumiewające osiągnięcie. W rzeczywistości to właśnie pański ojciec wraz z Alanem Dullesem, Billem Donovanem i kilkoma innymi stworzyli nasz tajny wywiad. Więc wyobrażam sobie, że był z pana całkiem dumny, kiedy wystąpił pan z wojska, aby pracować dla Agencji.

- Pracuję dla Departamentu Stanu.

- Fatalnie, że pański ojciec już nie żyje i nie może być tego świadkiem. Był dobrym człowiekiem. Odważnym. Bezpośrednim. Żołnierzem. Wiedział, kim są jego wrogowie i stawiał im czoło z podniesioną głową. Nie musiał przemykać ukradkiem ciemnymi alejkami rozmawiając z dysydentami.

McAllister starał się trzymać w ryzach. A może rzeczywiście wpadł z powodu Woronina? Gdyby do niego dotarli, starzec zmiękłby, a oni uzyskaliby wszystkie dowody potrzebne do oskarżenia. W umyśle McAllistera pojawiły się pierwsze wątpliwości, czy cała sprawa zakończy się pomyślnie. Wyprostował się lekko.

- Czy mogę dostać coś do zjedzenia?

- Nie.

- A przynajmniej coś do picia?

- Chyba nie. Mamy tu ważniejsze sprawy. Na przykład, dlaczego nie zrobił pan kariery wojskowej? Wychowywał się pan w domu oficera, uczęszczał pan do wojskowej szkoły - Thomas Academy w Connecticut - i ukończył pan West Point rocznik '71.

- Byłem zmęczony wojskiem.

- Nie przejrzałem jeszcze dokumentów o całym przebiegu pańskiej służby. Jestem jednak pewien, że wyróżnił się pan w Wietnamie. A może coś zdarzyło się w roku 1973? Czy czuł pan wstyd, że przegraliście tę waszą małą wojnę? Czy o to chodzi? Wyrzucono panu?

- Zatrudnił mnie Departament Stanu.

Mirosznikow uśmiechnął się ponownie.

- Sadził pan, że może zrobić dla kraju więcej słowami niż kulami, czy tak było?

- Coś w tym rodzaju.

- Jest pan demokratą czy republikaninem, panie McAllister? Rejestrowanym członkiem partii?

- Dlaczego pan pyta?

Nie jest pan. Ciekawe, że chętnie pan walczy lub przemawia w imię waszej wolności, lecz nie ma pan ochoty zapisać się do partii. W tym kraju traktujemy nasz rząd o wiele poważniej.

- Nie macie wyboru.

- Pan teraz też nie ma - odparł miękko Mirosznikow.

- Tylko dlatego, że przebywam obecnie w tym miejscu.

- Obecnie tak, panie McAllister, lecz, ten czas może się wydłużyć do końca pańskiego życia. To jednak zależy od pana. Od tego, jak duża będzie pana chęć do współpracy. Może w końcu zacznie pan mówić. Wszyscy to robią.

- A jeśli nie zacznę?

- Zacznie pan,

- Jeśli coś mi się stanie, długo będzie pan musiał się tłumaczyć.

- Nic sędzę.

- Narkotyki, czy tak?

- Może - odparł Mirosznikow. Z zadowoleniem dostrzegam jednak, że zaczyna w panu kiełkować zdrowa ciekawość przyszłości. Dla mnie oznacza to, że nie będzie pan taki twardy, chociaż z tego co wiem, obóz szkoleniowy CIA pod Williamsbuigiem, Farma, czyż nie tak właśnie nazywa się to miejsce, słynie z najlepszych instruktorów w tym fachu. Zawsze bardzo chciałem zobaczyć, jak to wygląda.

McAllister zdobył się na uśmiech.

- Z moimi koneksjami w Departamencie Stanu jestem pewien, że coś dałoby się załatwić. Może jakaś wycieczka po głównej kwaterze w Langley, pułkowniku... nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Mirosznikow spojrział ponownie w dokumenty.

- Podejrzewam, że w 1974 przeszedł pan szkolenie na Farmie, potem była papierkowa robota w Langley, a następnie otrzymał pan swoje pierwsze zlecenie na zagranicznej placówce. Grecja '75.

- Jako specjalny asystent w sekcji spraw politycznych.

- Przykrywka.

- Nie jestem szpiegiem. Ile razy będę musiał to powtarzać?

- Nie?

- Nie.

Mirosznikow uśmiechnął się łagodnie, pobłaźliwie jak ojciec do dziecka, które okazało się niegrzeczne.

- A zatem został tu popełniony straszliwy błąd, panie McAllister. Trzeba będzie wysłać list z przeprosinami. Nigdy przedtem coś takiego nie miało miejsca. Rozumie pan?

- Nie, nie rozumiem.

- Jeszcze kilka pytań. Wytrzyma pan jeszcze trochę?

- Został popełniony błąd. A więc wypuście mnie. Teraz. Dajcie mi możliwość rozmawiania z przedstawicielem mojej ambasady.

Brwi Mirosznikowa uniosły się znacznie.

- Mój drogi przyjacielu, chyba mnie pan jednak nie zrozumiał.

- Co takiego?

- Został popełniony błąd, lecz nie przez nas. Przez pana. Przez pański rząd. Przez waszego ambasadora.

McAllister spojrział na umieszczone po sufitem kamery z soczewkami utkwionymi nieubłaganie w środek pokoju. Przeniósł wzrok na Mirosznikowa.

- O czym pan mówi?

- Broń. Automatyczna beretta, którą miał pan w kieszeni. Wasz ambasador musi niezwłocznie wystosować do nas list z wyjaśnieniami i przeprosinami. Drugi sekretarz czy nawet asystent ambasadora nie biega po Moskwie uzbrojony w śmiertelną broń. Tylko szpiegzy noszą ją przy sobie, nie sądzi pan? A w Moskwie wykonujemy egzekucje na szpiegach.

## Rozdział 2

Metoda przesłuchiwania była równie prosta jak skuteczna. Rosjanie doskonalili się w tej sztuce od wielu lat, a oficer śledczy Mirosznikow należał do wirtuozów.

Po pierwsze, McAllisterowi odmówiono możliwości snu czy nawet jakiegokolwiek godziwego wypoczynku. Sesje przesłuchań, częstokroć trwające do dziesięciu godzin bez przerwy, rozpoczynano o każdej porze dnia i nocy. Po przesłuchaniu przyprowadzano więźnia do niewielkiej celi oświetlonej silnym światłem, którego nigdy nie wyłączano. Tam mógł położyć się na pryczy, którą stanowiła jedynie niewyszcielana metalowa półka wystająca ze ściany. Czasami łóżko było mokre, innym razem zbyt gorące, aby w ogóle go dotknąć, i wówczas musiał kucnąć pod ścianą, ponieważ na podłogę nieustannie lała się woda.

Wypoczynek nie trwał zazwyczaj dłużej niż dziesięć czy piętnaście minut. Brutalnie chwytano go za nogi, wywlekano na korytarz, gdzie kazano mu się rozbierać i drżąc z zimna musiał stać na baczność, dopóki nie nadszedł odpowiedni czas, by powrócić do sali przesłuchań.

- Przyjdzie chwila, kiedy stanę się bezużyteczny - powiedział McAllister przesuwając dłonią po zaroście porastającym mu twarz. - To subtelna różnica, pułkowniku, między wymęczeniem mnie na tyle, abym zaczął współpracować, a wymęczeniem mnie tak potwornie, że padnę. Może serce przestanie mi bić.

- Chyba zaczyna pan rozumieć, że czas działa na moją korzyść - odparł Mirosznikow popijając herbatę, z której wznosiła się biała mgiełka pary. - Oczywiście dla pana godziny i minuty mają niewielkie znaczenie. - Uśmiechnął się. - Tak, zgadzam się z panem. Serce może przestać bić. Powinienem to przemyśleć.

- Wtedy byłbym martwy i nie przedstawiałbym już dla was żadnej wartości.

- Wręcz przeciwnie. Moglibyśmy nie pozwolić panu umrzeć. Jeszcze nie teraz. Lecz nawet martwy byłby pan w pewien sposób użyteczny. My, Rosjanie, niezwykle

oszczędnie gospodarujemy naszymi zasobami. A pan, mój drogi panie McAllister, niewątpliwie jest takim zasobem.

- Chcę rozmawiać z przedstawicielem mojej ambasady.

- Takie komentarze przynoszą na tym etapie odwrotny skutek - rzekł Mirosznikow. Otworzył złożone dokumenty leżące przed nim na metalowym stole. - Wróćmy do Grecji w sierpniu 1975 roku. Jak widać, pańską przykrywką było wówczas stanowisko asystenta specjalnego w sekcji politycznej ambasady. Był pan zielony, jak to mówią, lecz mimo to uczyniono pana odpowiedzialnym za zarządzanie niezwykle sprawną siatką agentów, działającą na granicy z Bułgarią.

- Byłem oficerem politycznym, niczym więcej. W owym czasie, jak sobie pan przypomina, mieliśmy problemy z rządem greckim. Ja pełniłem rolę mechanika wyszukującego i usuwającego przyczyny awarii.

- Siatka nosiła nazwę Scorpius, co wydawało nam się wówczas dość wymyślne. W rzeczywistości wasze małe gniazdko szpiegowskie było naprawdę skuteczne, dopóki ta kobieta, Raiza Stainowa, nie odkochała się w swoim oficerze nadzorującym, w tym przypadku w człowieku, którym, jak się dowiedzieliśmy, był niejaki Alfred Lapedes, i z którym utrzymywał pan regularny kontakt przez ponad trzydzieści trzy miesiące.

- Nigdy nie słyszałem tych nazwisk - zaprzeczył McAllister.

- Teraz nie ma to znaczenia. Lapedes nie żyje. Zginął w nieszczęśliwym wypadku samochodowym w Sofii. Potrzebujemy jednak informacji na temat dwóch pozostałych - Thomasa Murdocka i Georgija Morozowa. Wchodzili oni w skład waszej Sieci Scorpius. Czy może mi pan chociaż powiedzieć, jakie tam zajmowali stanowiska?

Rozmiary wiedzy Mirosznikowa były zatrważające. Wiedzieli, że siatka została rozbita, lecz nigdy nie podejrzewali Raizy. Była jedną z ich złotych żył. Jej mąż, szef trzeciej sekcji bułgarskiego wywiadu wojskowego, służył bezpośrednio pod generałem Iwanem Władigerowem. Przez Raizę dowiadywali się o ruchach wojsk, o nowym sowiecko-bułgarskim pakcie, na mocy którego sowieckie pociski nuklearne SS-18 zostały rozmieszczone bardzo blisko granicy greckiej, oraz o podupadającym zdrowiu bułgarskiego ministra obrony Petko Dimitrowa. Ile z tych informacji było prawdziwych, a ile fałszywych - należałoby się teraz nad tym poważnie zastanowić. Mirosznikow dostarczył mu zdumiewającej tajnej informacji, lecz w położeniu, w jakim się obecnie znajdował, nie mógł jej w żaden sposób wykorzystać.

- Te nazwiska również nic mi nie mówią - odezwał się McAllister.

- Kłamie pan, lecz mamy czas, a ja nie mam cienia wątpliwości, że w końcu poruszę temat, na który będzie pan miał ochotę ze mną porozmawiać.

- Możemy porozmawiać o mojej pracy z rządem greckim.

Mirosznikow podniósł wzrok znad akt.

- Nie interesuje mnie w tym względzie nic oprócz prawdy, panie McAllister. Nie chcę zadawać aż tylu pytań. Mam tu wszystkie fakty, lub przynajmniej większość z nich. Przyznam panu jedno. Z całkowitą szczerością uważamy, że pańska praca była absolutnie znakomita. Pierwsza klasa. I to jest główny powód, dla którego znalazł się pan tutaj. My nie aresztujemy drugorzędnych szpiegów.

- Nie jestem szpiegiem.

- Ależ jest pan, panie McAllister. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Lecz wróćmy do pańskich dokumentów. Od czerwca 1978 do czerwca 1980 roku przebywał pan w Berlinie Zachodnim. Od lipca 1980 do czerwca 1982 w Czechosłowacji. Od lipca 1982 do grudnia 1984 w Polsce. Przez dziewięć miesięcy do sierpnia 1985 w Afganistanie, po czym we wrześniu tego samego roku pojawił się pan w Moskwie, i Mirosznikow ponownie podniósł wzrok - Włączając rok spędzony na Farmie i przy różnych zagranicznych biurkach w Langley daje to wybitną, czternastoletnią karierę.

- W Departamencie Stanu.

- W Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Mirosznikow ponownie spojrzął w dokumenty i odczytał numer. - Pański numer identyfikacyjny, prawda?

Rzeczywiście był to jego numer.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem tego numeru.

- Nie ma sensu rozwlekać teraz tej kwestii. Wróćmy do Aten i Sieci Scorpius, a w szczególności do Thomasa Murdocka, wyjątkowo nieuchwytnego człowieka. Ostatnim razem, kiedy o nim słyszeliśmy, wylatywał z Panamy. Powiązania z narkotykami. Co do tego nie jesteśmy stuprocentowo pewni. Czy może mi pan o nim opowiedzieć? Wyjątkowo nieuchwytny człowiek, prawda?

Murdock należał do najlepszych, choć McAllistera nie wiązały z nim specjalnie miłe wspomnienia. Był potężnym mężczyzną. Dwumetrowiec ważący jakieś sto dziesięć kilogramów. Palił kubańskie cygara, pił czarny rum i nie powinien znajdować się w szeregach Scorpiusa. W tamtych czasach lekki samolot czy helikopter mógł bez przeszkód przelecieć przez granicę nisko nad ziemią, by nie wychwyciły go bułgarskie radary. W siatce Murdock pracował jako łącznik i bezpośredni dostawca oraz jako „klapa bezpieczeństwa”, na wypadek gdyby zaistniała potrzeba szybkiej pomocy i wydostania delikwenta z tarapatów. Ten człowiek nie wiedział, co to strach.

- Dziękuję - odezwał się Mirosznikow, po czym zapisał coś w dokumentach. - Niech pan kontynuuje.

McAllister popatrzył na Rosjanina. Czyżby wypowiedział te myśli na głos? Przetarł oczy. Burczało mu w brzuchu, poskręcane wnętrzości nie . dawały spokoju, a w klatce piersiowej odczuwał niepokojący ucisk. Zagłębił się w odmęty świadomości, psychicznie badając swój umysł i ciało. Może to wpływ leków, pomyślał, choć nie odczuwał żadnego mrowienia, które, jak go uczono, powinno towarzyszyć działaniu narkotyków w organizmie. Doszedł do wniosku, że Mirosznikow bawił się nim. Sprawdzał go.

- Co mam kontynuować? - spytał.

- Naturalnie to, co mówił pan o Murdocku. W końcu do czegoś zaczęliśmy zmierzać. Znał pan go i przyznał się pan do tego. Nie lubił go pan jednak. Nie było w tym przypadku mowy o jakiegokolwiek przyjaźni, takiej jak z Lapideselem. Czy może mi pan jednak powiedzieć, co on teraz robi? Tylko nazwę miejsca. Albo nawet proste potwierdzenie mojej informacji, że przebywa obecnie w Panamie. Cokolwiek, panie McAllister.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ależ oczywiście, że pan wie, mój drogi przyjacielu. - Mirosznikow szczerze rozpromienił się na twarzy. - Robimy postępy i bardzo się z tego cieszę. - Zamknął dokumenty. - Pan też powinien się cieszyć. Wreszcie pokonał pierwszą barierę, którą zawsze najtrudniej przełamać. - Wstał. - Naprawdę wspaniale - dodał na zakończenie.

McAllister popatrzył na niego, czując nagle, jak bardzo ciąży mu głowa i palą oczy. Cóż on takiego, w imię Boże, powiedział? Czy naprawdę wypowiedział na głos swe myśli?

- A teraz przekażę panu pewną informację. Pewien bodziec. Dziś jest środa, panie McAllister, a wie pan, co to oznacza?

- Nie.

- Jest pan z nami tydzień i jeden dzień. - Mirosznikow pokręcił ze zdumieniem głową. - Myślę, że to rekord. Zwykle dochodzimy do pierwszego etapu znacznie szybciej. Często po kilku godzinach, lecz nigdy, jak sięgam pamięcią, nie zabrało nam to tak dużo czasu.

Po drugie, odmówiono McAllisterowi odpowiedniego jedzenia. Jego posiłki składały się z letniej wody, bardzo cienkiego kleiku owsianego, rzadziej kartoflanki i od czasu do czasu kromki ciemnego, czerstwego chleba. Wystarczało to, aby utrzymać go przy życiu. Oczywiście dodawano mu do jedzenia różnych chemikaliów, które co jakiś czas wywoływały u niego silne skurcze żołądka i mdłości, tak że wymiotował natychmiast to, co zjadł. Czasami kończyło się na rozwolnieniu. W małej celi nie było ubikacji ani nawet wiadra. Woda płynęła nieustannie po betonowej posadzce, znajdując ujście w niewielkiej dziurze w rogu. Był zmuszony załatwiać potrzeby fizjologiczne opierając się o zimną ścianę, czasami pozostając w takiej pozycji przez godzinę, podczas gdy cienki, rozwodniony stolec spływał mu po nogach. Przechodził wówczas na przeciwną stronę celi, gdzie starał się możliwie jak najlepiej obmyć.

Raz, po jednej z sesji, kiedy wywleczono go z celi, kazano rozebrać się i stać na baczność w korytarzu, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na podłogę. Pozwolono mu tam leżeć, dając kilka minut odpoczynku, po czym jeden ze strażników podszedł z dużym tureckim ręcznikiem, który zamoczył w wiadrze lodowatej wody. Przez kolejne dwadzieścia minut bił McAllistera po plecach i po nogach, zadając silny ból nawet jego stopom i jednocześnie wykluczając niebezpieczeństwo poważnych uszkodzeń ciała.

Sesje przesłuchań najwyraźniej przybrały na częstotliwości i intensywności, jakby Mirosznikow wyczuwał, że czas mu się powoli kończy. Podczas tych spotkań często dziękował McAllisterowi za różne fragmenty informacji, aż ten zaczął mieć poważne wątpliwości co do swego stanu psychicznego. Czy to możliwe, żeby bezwiednie wypowiadał swoje myśli na głos? Czy może była to kolejna technika Mirosznikowa? Co więcej, McAllister zaczął darzyć Rosjanina szacunkiem, który czasami przerażająco oscylował na granicy przyjaźni czy nawet wdzięczności. Sesje przesłuchaniowe i okazjonalne bicie stały się dla niego jedynymi bodźcami, więc oczekiwał z niecierpliwością spotkań z Mirosznikowem.

- Przebyliśmy wspólnie długą drogę, Mac, ty i ja - powiedział Mirosznikow. - Chociaż zabrało to nadmiernie dużo czasu.

- Jak długo tu jestem? - zapytał McAllister, zaskoczony tym, jak słaby i odległy wydawał mu się własny głos.

- Dwadzieścia siedem dni - odparł z dumą Mirosznikow. - I ukończyliśmy właśnie pierwszy etap współpracy. 1

Z kieszeni marynarki wyjął papierosa, zapalił i podał mu przez metalowy stół.

Bez zastanowienia McAllister wziął go i podniósł do ust, wciągając dym głęboko w płuca. Coś zawirowało mu w żołądku i zwymiotował na przód cienkiego więziennego ubrania, czując tak silny zawrót głowy, że o mało nie spadł z krzesła

Mirosznikow znów się uśmiechał.

- Doskonale. Nadszedł czas, abyśmy rozpoczęli drugi etap, przed którym twój organizm powinien całkowicie się oczyścić. W ten sposób będzie nam łatwiej, a już na pewno będzie łatwiej tobie. W pewnych ekstremalnych przypadkach nasi przesłuchiwanicy zachłystywali się na śmierć własnymi rzygowinami. Nie chcielibyśmy jednak, żeby przytrafiło się to tobie. Nie teraz, nie w chwili, kiedy zaszliśmy już tak daleko.

- O czym pan mówi? - spytał po bardzo długiej chwili McAllister.

Zdawało mu się niemożliwością skupienie wzroku na czym innym niż twarz Mirosznikowa. Kiedy próbował patrzeć gdziekolwiek indziej poprzez długość pokoju, który nagle wydał mu się wyjątkowo obszerny, powracały mdłości i gorzki smak żółci w gardle i ustach.

- Zakończyliśmy pierwszy etap. Współpracował pan, lecz na tym etapie nie będzie pan w stanie mi już nic więcej powiedzieć. Wyklucza to pańska świetna forma.



Nadszedł zatem czas, aby, jak już wcześniej mówiłem, wniknąć jeszcze głębiej, dużo głębiej; a do tego wskazana jest inna metoda.

- Nie będę w stanie więcej wytrzymać - usłyszał swe słowa McAllister.

- Ależ sądzę, że może pan i wytrzyma. Jest pan bardzo silnym człowiekiem, panie McAllister, i za to pana wielce podziwiam.

- Pierdol się.

Mirosznikow przez chwilę nie mógł wyjść ze zdumienia, otwierając szeroko oczy. Potem jednak przez twarz przebiegł mu szeroki uśmiech, odrzucił głowę w tył i roześmiał się tak mocno, że aż łzy zaczęły mu spływać strumieniami po policzkach.

- Och, jeju - wysapał. - Ja nie mogę, a to dobre, panie McAllister. Naprawdę strasznie mi się to podoba i strasznie mi się pan podoba.

- Pozwólcie mi rozmawiać z moją ambasadą.

- Już czas - powiedział Mirosznikow wstając. Podeszedł do stołu i złapał McAllistera za rękę, pomagając mu wstać. - Nie jest to daleko pod względem odległości, Mac, lecz wyobraźnia nada temu wymiar lat świetlnych. Wierz mi, będziemy się świetnie bawić, ty i ja. Po prostu świetnie.

Izba tortur stanowiła małe pomieszczenie przypominające z wyglądu szpitalną salę operacyjną. Pod dużym urządzeniem skupiającym światło, zainstalowanym pośrodku idealnie czystego pokoju, stał metalowy stół, zaopatrzony w specjalne strzemiona na stopy i skórzane paski na ręce i nogi. W głowach stołu umieszczono przeróżne elektroniczne instrumenty. Na wózku z nierdzewnej stali leżało kilka tacek, z których każda przykryta była śnieżnobiałym ręcznikiem. Ze wszystkich ścian spozierały ekrany kamer, tak żeby ani jeden aspekt przesłuchania więźnia nie uniknął uwiecznienia na kasecie.

Dwie pielęgniarki o surowych twarzach, ubrane w wykrochmalone białe uniformy, zdjęły z McAllistera cienkie więzienne ubranie i łapcie i pomogły mu wejść na stół, do którego został przywiązany z nogami zgiętymi w kolanach, rozszerzonymi, jakby był kobietą tuż przed porodem. Na Farmie uczyli go, że w takim momencie jakikolwiek czynny opór nie ma sensu. Teraz będzie mu potrzebna cała siła. Kurs szkoleniowy nosił nazwę Radzenie sobie z Bólem. W skład personelu wchodziłi onkolodzy, którzy instruowali ich, w jaki sposób „płynąć z nurtem”. Pozwól, żeby ból przelał się przez twoje ciało. Nie opieraj się mu. Nie zwalczaj go. Wrzeszcz ile sił, bo kiedy pomyślisz, że alternatywą bólu jest śmierć - wtedy nauczysz się go wytrzymywać.

Pielęgniarki umieściły mu na czole elektrody encefalograficzne, przyssawki EKG na klatce piersiowej, miernik pulsu na lewym nadgarstku i rękaw do mierzenia ciśnienia krwi na bicepsach. Przyczepiły również metalowe zapinki do brodawek i miękkie, prawie czuciowe bańki ssące na jądrach. Kiedy skończyły, wyszły z pokoju, a drzwi zamknęły się cicho za nimi.

Mirosznikow usiadł na wysokim stołku z tyłu, po prawej stronie McAllistera. Pochyliwszy się do przodu przekręcił pokrętło w jednym z elektronicznych przyrządów i McAllister natychmiast usłyszał w głośniku odgłos bicia własnego serca oraz swój oddech. Wysiłkiem woli postarał się odprężyć i przyjąć cokolwiek miało nadejść.

Instruktorzy uczyli go, że złamanie woli to jedynie kwestia czasu. Nasuwało się więc pytanie: Czy jakikolwiek opór miał sens? Przeciwnik musiał wiedzieć, że w przypadku pojmania jego szpiedzy będą traktowani dokładnie tak samo. Potraktujecie naszych z szacunkiem, my uczynimy podobnie. Potraktujecie naszych źle, my odpowiemy w tym samym stylu. Im więcej ucierpisz, tym więcej ucierpią twoi przeciwnicy.

Gdzie zatem znajdował się odpowiednik tego pokoju w ojczyźnie? Patrz na Waszyngton. *Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

- Co? - zapytał Mirosznikow podnoszą głowę.

McAllister uśmiechnął się.

- Pierdol się - powiedział dobrotliwie.

- Thomas Murdock. Zacznijmy od niego. To wszystko, czego chcę się dowiedzieć dziś wieczorem.

McAllister zamknął oczy. Słabe ślady uśmiechu pojawiły się w kącikach jego ust. Istniało duże prawdopodobieństwo, pomyślał, że nie wyjdzie z tego żywy. To ironia, że chcieli, aby powiedział im o Murdocku, o kimś, o kim nic nie wiedział. Za to Woronin był złotą żyłą. To znaczy, był nią aż do tego feralnego wieczoru. Kiedy to było? Dni, tygodnie... czy może tylko godziny temu...

Niewypowiedziany ból sięgnął od krocza i przebiegł niczym błyskawica przez ciało, odbijając się rykoszetem od pach. Z bardzo daleka doleciał go czyjś krzyk, zwierzęcy krzyk, nie ludzki. Kiedy ból ustał, usłyszał dochodzące z głośnika bicie własnego serca, szybkie, lecz silne.

Drugi ból, tym razem na wskroś klatki piersiowej, był mniej dotkliwy niż pierwszy, jednak bardziej przerażający, ponieważ w trakcie usłyszał wyraźnie, że serce przestało mu bić. Kiedy ponownie zaczęło pompować krew, prawie krzyknął z ulgą.

- Czy zna pan Thomasa Murdocka, panie McAllister?

Głos Mirosznikowa dolatywał tuż znad ucha.

Nie znał. W dawnych czasach Scorpiusa pracował oczywiście z Tomem, lecz później już nie. Od dziesięciu lat nie.

Jego jądra ponownie przeniknął ból, tym razem jeszcze silniej. Czuł, jakby grzebano mu gorącymi pogrzebaczami pod pachami, penetrowano ciało aż po samą czaszkę. Kiedyś jako chłopiec uderzył się młotkiem w palec i nie mógł zrozumieć, dlaczego najdłużej i najdotkliwiej odczuwał ból w łokciu.

Ból jeszcze raz szarpnął jądrami, po czym prawie natychmiast przeszył klatkę piersiową, powstrzymując pracę serca. Po chwili ruszyło ponownie, lecz przerażająco słabiej niż poprzednio.

Tom był kobieciarzem, pijakiem, hazardzistą. McAllister stwierdził, że nie zdziwiłoby go specjalnie, gdyby okazało się, że ten człowiek działał w Panamie przewożąc nielegalnie narkotyki - jako dostawca. Kokaina, przetrzuty do Stanów mierzone prawdopodobnie w miliardach dolarów. Toma mogło to pociągać, tak. Ale czy istniało jakieś powiązanie z Agencją? Potrzebowaliśmy twardej waluty poza wścibskimi oczami Kongresu. Lecz jak dalece...?

Ból pojawił się znowu, tym razem niewiarygodnie przenikliwy, i serce ponownie przestało bić. Słuchał. Z jakiejś obłąkanej przyczyny przypomniało mu się gilotynowanie podczas rewolucji francuskiej. Człowiek, któremu właśnie odcięto głowę, miał kilka sekund, aby spojrzeć z kosza na swe okaleczone ciało, zanim ciemna zasłona śmierci okryła go mrocznym całunem. McAllister pomyślał, że to samo dzieje się z nim. Światła w pokoju zaczęły blednąć coraz szybciej...

- Panie McAllister, panie McAllister! - wołał ktoś z niesłychanie daleka. - Mac!

Otworzywszy oczy zobaczył, że został odłączony od elektronicznych przyrządów i odwiązany od stołu. Siedział. Nie odczuwał bólu, a jeśli odczuwał, to tylko niewielki, odległy uczenie, jakby wznosił się kilka cali nad stołem. Mirosznikow stał przy nim trzymając go za ramię. Twarz wykrzywił mu uśmiech.

- Wspaniale, naprawdę wspaniale, wiesz - mówił.

Wszystko dookoła zaczęło się ogniskować i w pewien dziwny, nieokreślony sposób poczuł się nawet lepiej po tym doświadczeniu. Jak gdyby został oczyszczony.

Przypuszczał, że podobnych emocji musi doświadczać maratończyk po skończonym biegu. Potwornie zmęczony i wyczerpany, lecz z uczuciem wewnętrznej siły pochodzącej z osiągnięcia godnego Herkulesa. O tym nie mówili mu na Farmie.

Czuł rosnącą, dziwną więź z Mirosznikowem. Jakby byli do tego momentu bliźniakami syjamskimi. Łączące tkanki zostały odcięte wraz z usunięciem elektronicznych sond i elektrod z jego klatki piersiowej i jąder, lecz nadal czuł się jednością ze swym oprawcą.

- Powinieneś odczuwać ten ból. - McAllister usłyszał własne słowa i to stwierdzenie zdumiało go równie mocno jak Mirosznikowa.

- Poczyniliśmy postępy, mój drogi przyjacielu. Tak wspaniałe postępy, iż jakakolwiek wrogość między nami wydaje się niemożliwa - powiedział Mirosznikow. - Daj rękę, pomogę ci zejść.

McAllister przyjął oferowaną pomoc. Gdy schodził ze stołu, do pokoju weszły dwie pielęgniarki. Przez sekundę, może dwie stał chwiejąc się lekko na nogach, po czym odchylił się od Mirosznikowa, jakby miał zaraz upaść.

Rosjanin zrobił krok do przodu, rozszerzając nogi i wyciągając prawą rękę, kiedy nagle McAllister odwrócił się tyłem i ze wszystkich sił wykonał rozpaczliwy zamach prawym kolanem prosto w krocze Mirosznikowa. Twarz śledczego wykrzywił grymas bólu i niedowierzania, po czym mężczyzna cofnął się do tyłu, otworzywszy usta w ryku bólu.

Pielęgniarki popędziły w kierunku McAllistera, który zdołał jedynie zatoczyć się raz w lewo, raz w prawo, sięgając ręką ku gardłu Mirosznikowa. Po chwili były już przy nim i ciągnęły go brutalnie na wysoki stół tortur.

- Sukinsyn - syknęła jedna z nich.

- Pieprz swoją matkę - odparł McAllister po rosyjsku.

### Rozdział 3

Cela była czysta, ciepła i całkiem znośnie umeblowana. Przez ostatnie trzy noce wyłączali światło, więc mógł nawet pozwolić sobie na kojący sen. W regularnych odstępach czasu przynoszono mu solidne, choć proste posiłki. Adwokat sowiecki podniósł głowę znad papierów.

- Zgromadzono przeciwko panu pokaźny materiał dowodowy, panie McAllister. Nie sądzę, żeby przedłużający się proces sądowy był w tym przypadku sensowny. W rzeczywistości, jako że wyrok w tego rodzaju sprawach zapada całkowicie wedle uznania sędziów, im bardziej im to pan ułatwi, tym bardziej oni ułatwią to panu.

- Co z moją obroną?

Jewgienij Tarasenko, adwokat wyznaczony przez sąd, pokręcił głową i uśmiechnął się.

- W tych okolicznościach, szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby przysługiwała panu możliwość obrony.

- Dlaczego nie pozwolono mi rozmawiać z przedstawicielem mojej ambasady?

- Kontaktowaliśmy się z nimi - wyjaśnił Tarasenko. - Osobiście rozmawiałem z panem Laceyem, pańskim przedstawicielem dyplomatycznym, który wyraża szczerą troskę o pana. Życzy również jak najszybszego rozwiązania sprawy.

- Czy będę mógł z nim rozmawiać?

- Przed procesem?

- Teraz, natychmiast - odrzekł McAllister.

Czuł się dużo lepiej niż przez ostatnie dni, lecz wciąż towarzyszyło mu specyficzne uczucie oddalenia. Przypuszczał, że nadal dodawali mu narkotyków do jedzenia.

- Przykro mi, panie McAllister, lecz w tych sprawach musimy stosować się do prawa radzieckiego. Konstytucja jasno nakreśla nasze prawa i obowiązki. Zapewniam pana, że tak samo dzieje się w Waszyngtonie.

McAllister myślał o Mirosznikowie. Po pierwszej nocy tortur ustały sesje przesłuchaniowe. W tę właśnie noc został przeniesiony do celi, w której obecnie się znajdował. Nazajutrz pozwolono mu wziąć prysznic i ogolić się. Podczas śniadania najadł się do syta. To wszystko wydawało mu się takie niezrozumiałe.

- Przedstawiono mi oficjalne zarzuty?

- Tak. Jest pan oskarżony o szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych przeciwko memu rządowi. Bardzo ciężkie, poważne oskarżenia.

- I pan ma być moim adwokatem?

- Tak, zgadza się.

- Czy są jakieś inne zarzuty?

Adwokat wzruszył ramionami.

- W chwili aresztowania miał pan przy sobie broń. Jest również sprawa ataku na pułkownika Mirosznikowa w obecności świadków.

- Czy torturowano mnie również w obecności świadków?

Adwokat popatrzył ponownie na potężny stos dokumentów, który przyniósł ze sobą.

- Te zarzuty mogą zostać uchylone, panie McAllister, lecz to zależy od pana.

- Od tego, czy okażę się chętny do współpracy.

- Właśnie.

McAllister pomyślał o głównym śledczym i ich wspólnych sesjach. Ani razu nie padło nazwisko Woronina. Większość pytań dotyczyła Sieci Scorpius i miejsca obecnego pobytu Thomasa Murdocka. Najwyraźniej Rosjanie wciąż odczuwali skutki bułgarskiej operacji. Przynajmniej za to czuł wdzięczność. Usiadł prosto.

- A zatem jakie macie dowody?

Oczy adwokata wyrażały zdumienie.

- Oczywiście pańskie przyznanie się do winy. Bez tego nie marzylibyśmy nawet o przystąpieniu do procesu.

- Czy mogę je zobaczyć?

- Niech mi pan wierzy, że nie ma takiej konieczności. Jest kompletne. Opisał pan bardzo szczegółowo, w jaki sposób, postępując zgodnie z rozkazami pańskiego rządu, kierował pan pod koniec lat siedemdziesiątych siatką szpiegowską w Sofii. Panie McAllister, naprawdę nikt nie może mieć co do tego cienia wątpliwości.

- Nie przypominam sobie, abym złożył podobne zeznanie... to znaczy z mojej własnej woli.

Adwokat zacisnęła usta.

- Podpisał pan zeznanie.

- Pod przymusem.

- Panie McAllister, radzę panu przyznać się do winy przed sędziami. Tak będzie znacznie lepiej dla pana, dużo lepiej.

- Dziękuję za radę - odparł McAllister. - Przypuszczam, że dostanę rano pański rachunek.

Minęła chwila, zanim Tarasenko zorientował się, że McAllister pozwolił sobie na żart. Twarz adwokata wykrzywiła się w szerokim uśmiechu.

- Świetnie - zakończył i wstał zbierając papiery. - Tak, świetnie, panie McAllister. Mój rachunek, rano.

Wraz z obiadem przyniesiono mu błękitny garnitur w drobne prążki, białą koszulę, krawat, bieliznę i skarpetki oraz świeżo wypastowane czarne buty. Dobrano odpowiedni rozmiar, lecz krój ubrania nie zachwycałby zachodnich krawców.

Długo już tu przebywał. Z pewnością od tygodni, a możliwe, że ponad miesiąc, jednak jego wspomnienia były mgliste i niewyraźne, częściowo przez narkotyki, które mu podawano, a częściowo z uwagi na brak snu i odpowiedniego jedzenia. Nie czuł się jednak fatalnie. Nie doznawał żadnego silnego bólu, jedynie słabość i delikatne wrażenie, że unosi się nad podłogą. Czasami, kiedy wstał zbyt szybko, odczuwał mdłości i zawroty głowy, lecz nawet te uczucia zaczęły powoli ustępować w ciągu ostatnich kilku dni.

Ubrał się i zaczął przechadzać się po celi; pięć kroków do metalowych drzwi, obrót, pięć kroków z powrotem. Jeśli rzeczywiście skontaktowali się z Billem Laceyem w ambasadzie w Waszyngtonie, koła poszły w ruch. Wykluczą przynajmniej możliwość kary śmierci. Istniało spore prawdopodobieństwo, że zostanie skazany na kilka lat więzienia, być może tu, w Moskwie. Lecz nawet Francis Gary Powers został szybko zwolniony. Szpieczy wymieniali się dość regularnie.

Możliwe, że miną miesiące, albo i parę lat, ale na pewno wróci do domu, do pracy w biurze, ponieważ od tego momentu z uwagi na stałą obserwację nie będzie mógł dalej działać w terenie. Langley dysponowało wieloma ludźmi, którym z podobnych powodów nie powierzano delikatnych zagranicznych zadań.

Zatrzymał się. Według słów adwokata posiadali jego przyznanie się do winy, co oznaczało, że udało im się go złamać. Czy naprawdę tak się stało? Czy też był to fortel? Kolejna sztuczka Mirosznikowa? A może po prostu kolejna faza przesłuchania? Może wcale nie miało być jeszcze procesu. Może zamiast tego wezmą go znowu do Mirosznikowa albo do sali tortur?

Sieć Scorpius to dawna historia. Do tego czasu informacje uległy przedawnieniu. Woronin był znacznie ważniejszy, a jednak nigdy nie padło jego nazwisko. Poszukał pamięcią, lecz nie mógł sobie przypomnieć, żeby go o niego pytali. Czy mieli klapki na oczach, przejęci perspektywą złapania amerykańskiego szpiega, i uszła ich uwadze sprawa najważniejsza i najbardziej oczywista? A może uszło to jego uwadze?

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Cóż to, u diabła, znaczyło? W jego umyśle pojawiła się niepewność, czy nie powinien uznać tych słów jedynie za majaczenie obłąkanego człowieka. Były tajemnicze, to prawda, lecz charakteryzowała je swoista symetria, wskazywały na jakąś skróconą wiadomość, miały ukryte znaczenie. Jakiś związek między Waszyngtonem i Moskwą? Jak to możliwe, zastanawiał się.

Czym była, lub były Zebra Jeden i Dwa? Oczywiście to słowa kodu. Zebra Jeden to człowiek w Waszyngtonie, a Zebra Dwa to człowiek w Moskwie? A może szukał wiatru w polu?

Ponownie zaczął chodzić w tę i z powrotem - pięć kroków do metalowych drzwi, obrót i pięć kroków z powrotem - próbując przygotować się na to, co miało niebawem nastąpić.

Wczesnym popołudniem drzwi celi otworzyły się i w wejściu stanęło dwóch strażników, a w chwilę później kroczył między nimi, kiedy maszerowali bez słowa szerokim korytarzem o kamiennych ścianach. Przy końcu korytarza wsiedli do windy. Jadąc w górę obydwaj strażnicy patrzyli na McAllistera, jakby był jakimś dzikim zwierzęciem, które w każdej chwili może próbować uciec. Z otwartych kabur u pasów wystawały kolby ciężkich pistoletów, a ręka jednego z mężczyzn czujnie pieściła metaliczną kolbę.

A więc jednak miał się odbyć proces.

Wiedział, że przebywa na Łubiance znajdującej się w centrum miasta przy placu Dzierżyńskiego. Dawno temu, przed wojną, w budynku tym mieściła się firma ubezpieczeniowa. Rosyjscy narodowcy zostali zmuszeni do wzniesienia nowego, obszernego budynku, który był następnie wykorzystywany jako siedziba NKGB i NKWD - prekursorów obecnego wywiadu sowieckiego.

Winda zatrzymała się i ujrzał kolejny korytarz, opustoszały tak jak ten poniżej. Skręcili w prawo, pomaszrowali do końca i nagle znaleźli się na zewnątrz na wąskiej uliczce wylaniającej się z szerokiego dziedzińca. Było bardzo zimno. Czekala na nich czarna furgonetka bez okien, do której wepchnięto pośpiesznie McAllistera. Drzwi zatrzasnęły się natychmiast, nim zdążył posmakować rześkiego powietrza i jasnego, popołudniowego słońca, które poczuł po raz pierwszy od długiego czasu.

Podobnie jak w windzie strażnicy obserwowali go bacznie. Furgonetka ruszyła, zakręciła, zwolniła, zakręciła ponownie, a następnie przyspieszyła, podczas gdy kierowca zmieniał kolejno biegi.

Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie spodziewał się, że stanie przed sądem na Łubiance. Byłoby to niczym proces szpiega rosyjskiego w kwaterze głównej CIA w Langley. Wybór miejsca rozprawy zależał od tego, jaką wartość dla nich przedstawiał, i jak dalece chciano ukryć tę sprawę przed prasą zagraniczną

Odpowiedź przyszła piętnaście minut później, kiedy wreszcie zatrzymali się i otworzono tylne drzwi. McAllister natychmiast rozpoznał miejsce, o który m tyle mu mówiono na szkoleniach. Znajdował się w Więzieniu Wojskowym w Lefortowie w północno-wschodniej dzielnicy Moskwy. Najgroźniejsza lokalizacja procesu sądowego, jaką mógł sobie wyobrazić. Silnie strzeżona twierdza, na której tylnym dziedzińcu wykonywano egzekucje.

Zdał sobie sprawę, że tutaj jego życie może dobiec kresu.

Weszli tylnymi drzwiami, przeszli krótkim, wąskim korytarzem i schodami dotarli na górę, gdzie kazano im czekać w obszernym biurze, w którym za masywnymi biurkami pracowało sześciu urzędników wojskowych. Żaden z nich nie zadał sobie trudu, żeby podnieść wzrok. McAllister obserwował wskazówkę sekundnika zegara wiszącego nad drzwiami, nagle zafascynowany pojęciem czasu. Od wielu tygodni przestały istnieć dla niego godziny czy minuty. Dochodziła piętnasta. Spróbował sobie wyobrazić, co dzieje się w tej chwili w ambasadzie i co robi teraz Gloria.

Drzwi otwarły się i Tarasenko, jego adwokat, skinął na nich. Straż wprowadziła McAllistera do środka. W głębi obszernego pomieszczenia znajdowała się podwyższona ława dla trzech sędziów, nazywana w sowieckim systemie sądowym trybunałem. Z jednej strony zwieszała się flaga Związku Radzieckiego, a z drugiej flaga prokuratora państwowego przysłaniająca nieco fotografię Lenina. Prokurator Okręgu Moskiewskiego siedział po prawej w towarzystwie głównego oficera śledczego Mirosznikowa i generała Suslewa, człowieka, który aresztował McAllistera. William Lacey, amerykański przedstawiciel dyplomatyczny, był jedyną osobą zajmującą miejsce w części dla publiki. Podskoczył, kiedy wprowadzono McAllistera.

- Ma pan dosłownie chwilę - zaznaczył Tarasenko.

Lacey był wysokim, szczupłym mężczyzną o kanciastej twarzy i cienkich, siwych włosach. Zawsze ubierał się nieskazitelnie w trzyzędowe garnitury. Jego płaszcz i rosyjska futrzana czapa leżały obok na ławie. Nie wykonał żadnego ruchu, aby podejść. McAllister spróbował cokolwiek wyczytać z wyrazu jego twarzy, lecz nie udało mu się.

Tarasenko odszedł do stolika obrońcy znajdującego się po lewej stronie ławy, a McAllister zbliżył się do miejsca, gdzie czekał Lacey.

- Chryste, jakże się cieszę, że cię widzę, Bill - odezwał się ściszym głosem.

- Jak się czujesz, nic ci nie jest? - zapytał Lacey wpatrując się wnikliwie w twarz McAllistera.

- Bywało lepiej. Jakie są możliwości wyciągnięcia mnie stąd?

- Pracujemy nad tym, Mac. Słuchaj, w Langley mówi się, żebyś przyznał się do winy bez względu na to, o co cię oskarżą.

McAllister zesztywniał. Tego się nie spodziewał.

- Słuchaj mnie, do cholery. Przyznaj się do winy, a najprawdopodobniej skazą cię na natychmiastową deportację ze Związku Radzieckiego. Dwa tygodnie temu złapaliśmy jednego z ich ludzi w Nowym Jorku. Działał z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych i od tego czasu robią, co tylko mogą, żeby go dostać z powrotem. Pójdą na wymianę. Musisz nam zaufać w tym względzie. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się wyciągnąć cię stąd w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Udupili mnie - powiedział McAllister. Czuł napięcie w żołądku. Zerknął na swego obrońcę, który ich nieustannie obserwował. - Mówią, że mają moje zeznanie.

- Nieważne, Mac. Po prostu przyznaj się do winy, a my bez problemu wyciągniemy cię stąd. I to niebawem. Obiecuję.

McAllister popatrzył na Lacey'a. Zacisnął usta i skinął głową.

- W końcu ty jesteś szefem - powiedział. - Jak się czuje Gloria?

- Martwi się - odrzekł Lacey. - Wróciła do Waszyngtonu. Sądziliśmy, że w tej sytuacji będzie to najlepsze wyjście.

- Dobrze... - zaczął mówić McAllister, kiedy drzwi w głębi sali otworzyły się i weszło trzech sędziów.

- Proszę wstać, sąd idzie - zaintonował urzędnik.

- Za kilka minut będzie po wszystkim - szepnął Lacey. - Trzymaj się.

- Nie ma sprawy - odparł McAllister i poszedł ze strażnikami do balustradki dla oskarżonych, znajdującej się bezpośrednio przed wysoką ławą.

Na haku wisiały słuchawki do tłumaczenia. Nie miał zamiaru z nich korzystać. Wiedzieli już, że mówi po rosyjsku.

Trzy pary oczu wpatrywały się w niego surowo z góry, podczas gdy urzędnik odczytywał zarzucane mu winy przed Moskiewskim Specjalnym Sądem Północno-Wschodniego Okręgu. Szpiegostwo przeciw Bułgarskiej Republice Ludowej, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Czechosłowackiej i Polskiej Republice Ludowej, Afganistanowi i Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich. Został również oskarżony o posiadanie broni oraz atak na oficera KGB, który w momencie napadu wykonywał obowiązki służbowe.

Sędziowie usiedli, a po nich zajęli miejsca wszyscy pozostali z wyjątkiem McAllistera i jego straży.

- W powyższej sprawie, towarzysze - rozpoczął prokurator okręgowy wstając - przygotowanych zostało kilka dowodów, włączając zaprzysiężone przyznanie się do winy oskarżonego, broń oskarżonego, którą miał przy sobie w chwili aresztowania - co pod przysięgą zeznał towarzysz generał Suslew - oraz oczywiście własne świadectwo towarzysza pułkownika Mirosznikowa o napadzie dokonanym na jego osobę.

Adwokat Tarasenko wstał.

- Jeśli sąd wyrazi zgodę, chcielibyśmy wygłosić krótkie oświadczenie, zanim będziemy kontynuować proces.

Wszyscy trzej sędziowie przenieśli wzrok z prokuratora na Tarasenkę.

- Mój klient chciałby przyznać się do wszystkich zarzucanych mu win bez okoliczności łagodzących. - Adwokat odwrócił się i dramatycznym gestem wskazał srogim palcem w kierunku McAllistera. - Tam, towarzysze, stoi szpieg amerykański. Agent pracujący dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, wedle swego własnego zeznania. Marionetka, która popełniła tak niegodziwe czyny. - Odwrócił się znów do

sędziów i zaczął mówić z pełnym szacunkiem. - Przyznał, że działając zgodnie z rozkazami swych przełożonych, od roku 1975, kiedy to rozpoczął działalność szpiegowską przeciwko Bułgarskiej Republice Ludowej, zaangażował się w systematyczną walkę przeciwko wszystkim narodom radzieckim... w rzeczywistości przeciwko wszystkim pokojowo nastawionym narodom świata. Przyznając się do winy, towarzysze.... dodałbym ze skrucą... oskarżony stoi pokornie przed tym sądem, błagając o zrozumienie i przebaczenie za swe haniebne zbrodnie przeciwko ludzkości.

- Czy przyznajecie się do winy wobec powyższych zbrodni, towarzyszu Tarasenko? - spytał przewodniczący sądu, starszy człowiek o suchym, beznamiętnym głosie.

- Tak, towarzyszu, przyznaję się, z gorącym życzeniem, żeby okazano współczucie i litość.

- Biuro Prokuratora Okręgowego nie żywi urazy do tego nieszczęsnego człowieka - odpowiedział prokurator.

- A pan, towarzyszu pułkowniku? - spytał główny sędzia.

Mirosznikow uśmiechnął się smutno, patrząc na McAllistera. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, towarzyszu, nie żywię urazy do pana McAllistera. W rzeczywistości stał się on moim przyjacielem. Wierzcie mi, że szczerze lubię tego człowieka. Pod zewnętrznym płaszczykiem jego profesji widzę dobrego i uczciwego człowieka. Może nie powinienem nazwać tego płaszczykiem, lecz ciężarem, którego już nie chciałby dźwigać na swych barkach.

- Jest pan zacnym człowiekiem, towarzyszu pułkowniku - powiedział przewodniczący trybunału.

McAllister czuł się, jakby uczestniczył w bardzo kiepskiej sztuce, urządzonej przez licealistów parodiujących rosyjski sąd kapturowy. Dzieciaki nie odegrałyby tego gorzej niż obecnie aktorzy.

- Czy mogę przemówić? - odezwał się McAllister z nienagannym rosyjskim akcentem.

Na twarzach sędziów odmalowało się szczerze zdumienie. Oczy przewodniczącego zwięzły się zamieniając w dwie ciemne szparki.

- Tylko jeśli chce pan sprzeciwić się słowom, które właśnie zostały wypowiedziane w pańskim imieniu. - Pochylił się do przodu. - Wszyscy w tym pokoju są po pańskiej stronie, młody człowieku.

McAllister spojrział na Laceyę, który siedział z kamiennym wyrazem twarzy.

- A więc? - spytał główny sędzia.

McAllister odwrócił się.

- Chcę przyznać się do winy.

- To już zostało powiedziane - stwierdził niecierpliwie starszy mężczyzna. - Czy ma pan coś do dodania?

- *Niet* - odpowiedział po chwili McAllister.

Przez następne kilka sekund główny sędzia nie odrywał od niego wzroku, po czym przechylił się i powiedział coś do pozostałych dwóch członków trybunału. Skinął głową i ponownie się wyprostował.

- Za zbrodnie tak wielkie jak pańska nakazuje się karę śmierci - powiedział kierując swoje słowa do adwokata McAllistera. - Lecz nawet prokurator wyraził się o panu w bardzo uprzejmych słowach. Nie można wszelako zapomnieć faktu, że miał pan przy sobie śmiertcionośną broń i przede wszystkim, że stało się to tu, w Moskwie - i faktu, że napadł pan na dobrego, sprawiedliwego człowieka, który wypełniał swe służbowe obowiązki.



Obecność McAllistera wydawała się całkowicie zbędna. To jego adwokat był obiektem wzrastającego gniewu przewodniczącego. Jedyne świadomość, że tuż za nim siedzi Bill Lacey, podtrzymywała go na duchu.

- Jednomyślną opinią sądu skazujemy oskarżonego na karę dożywocia w obozie ciężkiej pracy w Autonomicznej Republice Jakuckiej. Również jednomyślną opinią sądu orzekamy, że kara dożywocia nie podlega żadnej możliwości skrócenia albo wymiany. - Główny sędzia uniósł się nieco i spojrzał prosto w twarz McAllistera. - W tym miejscu spędzi pan resztę swoich dni jako przestroga dla wszystkich mącicieli i awanturników, że Rosjanie są narodem wielbiącym pokój i pragną jedynie spokojnego życia bez jakichkolwiek ingerencji.

Tarasenko i Mirosznikow uśmiechali się. Kiedy McAllister odwrócił się, Lacey nie było już na sali rozpraw.

Wieczór spłynął na Moskwę, a wraz z nim pojawiły się pierwsze płatki nadchodzącej burzy śnieżnej, miotane narastającym chłodnym wiatrem. Generał Aleksander Borodin siedział sam w swym biurze na Łubiance. Tuż obok stała pełna popielniczka. Spojrzał na nią czując podły smak w ustach od nadmiaru wypalonych papierosów. Miał zdjętą kurtkę od munduru, poluzowany krawat i rozpięty kołnierzyk. Przycisnął słuchawkę mocniej do lewego ucha, manipulując prawą ręką przy przyciskach magnetofonu.

Najpierw rozległo się skrzywienie otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie kroki. Słyszał szelest materiału, kiedy rozbierano McAllistera.

Wśluchiwał się w te dźwięki w kółko kilkanaście lub więcej razy w ciągu ostatnich dwóch godzin, od czasu gdy przysłano mu w końcu odpowiednio spreparowane kasety z przesłuchania.

Pochylił się w przód i zamknął oczy, jakby poprzez ten ruch mógł lepiej słyszeć. Wzmocnił dźwięk, jak tylko się dało.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Usłyszał jeszcze raz. Tym razem nie mógł się mylić co do tych słów. Nie mogło być żadnej pomyłki.

- Co? - zapytał oficer śledczy Mirosznikow.

Przerwa.

- Pierdol się - ponownie słowa McAllistera.

Generał Borodin sięgnął ręką i zapalczywie wyłączył urządzenie. Przypomniało mu się stare rosyjskie przysłowie: „Kiedy już raz wypuścisz słowo z ust, nie możesz go powtórnie połknąć.” Czy Mirosznikow słyszał? Czy zrozumiał to, co McAllister bełkotał w delirium?

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

- Niech to diabli. - Generał sięgnął po telefon stojący na biurku, lecz zawahał się. Musiało być jakieś wyjście. Lecz jakie? Gdzie? Do kogo miał się zwrócić, tak żeby przy okazji nie puścić w ruch maszyny samodestrukcji?

## **Rozdział 4**

Było bardzo późno w nocy, lecz jako że lecieli na zachód, świt miał nadejść nieco później. Siedzieli sami w pierwszej klasie francuskich linii lotniczych, zmierzając bezpośrednim lotem do Paryża. Za nimi, w klasie turystycznej było cicho, większość pasażerów spała odchyliwszy do tyłu fotele i wyłączwszy lampki nad głowami. Okrągłe bulaje powietrznego statku nie zapewniały zbyt dobrej widoczności, a ponieważ był to nocny lot z Moskwy, nie serwowano regularnych posiłków. Udostępniono jedynie przekąski i oczywiście napoje. W klasie turystycznej

pasażerowie pili z plastikowych kubków, a w pierwszej z wykwinnych kryształów. Stewardesa pierwszej klasy wyszła zza rogu z kuchni i uśmiechnęła się.

- Chciałby pan jeszcze jednego drinka, *monsieur* McAllister? - spytała ukazując ładne, białe zęby.

- Nie. Dziękuję - odparł zmęczonym głosem McAllister. - Chyba spróbuję trochę odpocząć. Kiedy będziemy w Paryżu?

- Za niecałe półtorej godziny.

McAllister spojrział przez główne przejście na dwóch z jego eskorty. W ubiegłym tygodniu zostali wysłani z Langley z Waszyngtonu i czekali przy ambasadzie na jego zwolnienie. Oprócz kilku powitalnych słów na lotnisku, kiedy został przekazany pod ich opiekę, nie odzywali się prawie wcale i ich milczenie zaczynało go niepokoić.

Siedzący od zewnętrznej strony Mark Carrick podniósł wzrok znad czasopisma, które czytał.

- Chyba najlepsze co mógłby pan zrobić, to zamknąć oczy.

McAllister podniósł wzrok. Stewardesa wróciła do kuchni.

- Co u diabła, tam się wydarzyło? W jednym momencie jestem w drodze na Syberię, a w następnym przekazują mnie wam dwóm na lotnisku. Nie mogę w to uwierzyć.

- Niech pan uwierzy. Jedzie pan do domu.

Drugi pracownik agencji, Thomas Maas, odwrócił się od okna i popatrzył na McAllistera. Kamienny wyraz jego twarzy, podobnie jak mina Lacey'a wczorajszego popołudnia, był nieprzenikniony. Spojrzenie nie wydawało się jednak przyjazne.

- Dobrze się pan czuje?

- Szpikowali mi jedzenie narkotykami. Prawdopodobnie minie sporo czasu, zanim te świństwa wydostaną się z organizmu.

- Zajmą się tym w Waszyngtonie - zaopiniował Carrick. - Wszyscy są przygotowani na pańskie przyjęcie.

- Ale co się tam wydarzyło? Czy mimo wszystko przystali na wymianę?

Carrick wzruszył ramionami. Był masywnym mężczyzną o krótko ściętych, szarych włosach i stalowobłękitnych oczach. Otaczała go aura niezmiennego powagi.

- Nie mogę powiedzieć. Mieliśmy rozkaz czekać na pańskie zwolnienie, a potem zabrać pana do domu.

- Wiedzieliście o moim procesie?

- Nie - powiedział Carrick.

- A zatem kto was tu wysłał? Czy to Bob Highnote?

- Może spróbuje pan zasnąć, panie McAllister - odezwał się Maas. - W Paryżu nastąpi przerwa, a potem w Nowym Jorku, zanim złapiemy samolot do DC. Czeka nas długa podróż.

- Chyba ma pan rację - wymamrotał McAllister opierając głowę o fotel i zamykając oczy.

Nie potrafił trzeźwo myśleć. Wszystko stało się tak szybko. Po procesie został zabrany z powrotem do Łubianki, gdzie po obiedzie zwrócono mu ubranie, które miał na sobie w noc aresztowania. Świeżo wyprane i wyprasowane. Nikt nie przyszedł się z nim zobaczyć ani nawet zabrać naczyń po jedzeniu czy stroju, jaki dano mu na proces. Dopiero później.

Czuł się zdradzony. Zniknięcie Lacey'a pod koniec procesu głęboko nim wstrząsnęło, więc kiedy strażnicy przyszedli po niego około północy, był przekonany, że z tego położenia nie będzie mu łatwo się wydostać. Przez całe życie polegał na swoich umiejętnościach. Był odpowiedzialny za swoje zdrowie i bezpieczeństwo. Jedynie w tym przypadku nie miał absolutnie żadnej kontroli nad tym, co miało się stać.

Krocząc znajomymi korytarzami i wchodząc do oczekującej furgonetki zachowywał się potulnie. Nie można walczyć z całą rosyjską armią, chłopcze. Te słowa wymówił znajomy, lecz odległy głos. Przetrawanie, oto jak nazywa się ta gra. Poczekaj, może mimo wszystko nadjedzie kawaleria. Zastanawiał się, co jego ojciec zrobiłby w tych okolicznościach albo jak zareagowałby dziadek. Prędzej czy później i tak złamię twą wolę, uczono go na Farmie. To nieuniknione. Ty masz jedynie wytrzymać jak najdłużej.

Mieli jednak jego przyznanie się do winy. Mimo wszystko Mirosznikow wygrał. System sowiecki zwyciężył. Ostatecznie zmiażdżyli go i przygwoździli do ziemi tak, że nie mógł nic na to poradzić, pozostał mu tylko symboliczny opór. Zaatakowanie Mirosznikowa było jedynie żalonym aktem rozpaczliwego człowieka.

Zdobył się na najdelikatniejszy z możliwych uśmiechów. Lecz, do cholery, było warto.

Przed oczami pojawiła się mu twarz Woronina. Wiedział, że dryfuje na wpół we śnie, pół na jawie, usypiany stłumionym buczeniem samolotowych silników. Mimo wszystko Woronin był złotą żyłą.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa. Co to znaczyło? Dlaczego nie zapytali go o Woronina? Dlaczego?*

Był już w Moskwie, więc teraz w Waszyngtonie czekały na niego odpowiedzi. Czy chciał ich szukać? A może czas, aby stanąć z boku?

Ktoś dotknął jego ramienia. Otworzył oczy i spojrzał w uśmiechniętą twarz stewardesy.

- Podchodzimy do lądowania, *monsieur* - poinformowała. - Proszę zapiąć pasy. *S'il vous plait.*

Lotnisko Charlesa de Gaulle'a zawsze przypominało McAllisterowi stację kosmiczną, pełną aluminium, szkła oraz akrylowych wind, ruchomych pasażerów i jaskrawo oświetlonych tablic, kierujących pasażerów ku różnym punktom usługowym i sklepom. Lotnisko podzielono na dwa sektory: Aerogare 1 obsługiwał głównie loty zagraniczne, natomiast z Aerogare 2 korzystały wyłącznie francuskie linie lotnicze.

Nie mieli przy sobie żadnych bagaży, więc odprawy paszportowa i celna zajęły kilka minut. Lotnisko o tak wczesnej porze było bardzo opustoszałe, a kilku zaspanych francuskich urzędników na służbie nie zwracało zbyt dużej uwagi na to, co działo się dookoła.

McAllister wraz z Carrickiem i Maasem przeszli przez terminal na jeden z ruchomych chodników, który zabrał ich do kolistego Aerogare 1 na Pan Am do Nowego Jorku. Mieli ponad godzinę oczekiwania. Sklepy i restauracje były jeszcze pozamykane, więc udali się do niewielkiej kafejki, znajdującej się w pobliżu wejścia do rękawa prowadzącego do samolotu, i stanawszy przy wysokim kontuarze zamówili kawę. Maas odszedł, żeby zatelefonować, pozostawiając McAllistera i Carricka na kilka minut.

Opasły pracownik CIA skupił się na swej kawie, unikając wzroku McAllistera. Wydawało się, że zostawszy sam stał się nagle skrzepowany i nerwowy.

Mac przez jakiś czas wpatrywał się w profil mężczyzny. Coś się działo. Zdecydowanie coś nie grało. Czuł to już wcześniej na lotnisku w Moskwie i w samolocie, lecz odłożył na bok niepokojące myśli, uważając je za zwykłą paranoję, łagodną formę wywołanej narkotykami hysterii. Teraz przestał już być tego pewien.

- Przepraszam na chwilę - wymamrotał odchodząc od kontuaru. - Muszę iść do łazienki.

Carrick podniósł pełen zaskoczenia wzrok.

- Pójdę z panem.

McAllister zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy mężczyzny.

- Co, u diabła, tu się dzieje, Mark?

- O co panu chodzi? - zapytał Carrick.

Spojrzał przez ramię McAllistera na obszerną halę, najwyraźniej oczekując powrotu Maasa.

- Odnoszę wrażenie, że nie wracam do domu jako zwycięski bohater. Jakie macie rozkazy?

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie McAllister. Robię, co do mnie należy, cholera jasna.

- To znaczy?

- Mam sprowadzić pana do domu z Moskwy.

- I dostarczyć komu?

- Spotkamy się na lotnisku.

- Co jeszcze? - zażądał McAllister. Zaczynał czuć się podle. - Co jeszcze ci powiedziano?

- Nic.

- Czy wiesz, przez co przeszedłem w ciągu ostatnich kilku tygodni?

Carrick spojrzał twardo. Skinął głową z zaciśniętymi szczękami.

- Jest pan cały.

- Co to ma oznaczać?

Carrick pokręcił głową.

- Niech pan posłucha, panie McAllister, nie chcę wdawać się z panem w dyskusję.

- No dalej, porozmawiajmy.

Carrick nadal się wahał. Ponownie poszukał wzrokiem Maasa.

- Jeśli odwrócę się i odejdę, czy zatrzyma mnie pan?

- Ma pan cholerną rację. Zatrzymam pana, więc lepiej tego nie prowokować.

- A zatem co tu się dzieje?

- Cholery można z tobą dostać, McAllister. Wiem tylko, że przebywałeś z tymi Ruskimi przez piekielnie długi czas i że są w kraju pewni ludzie, którzy chcieliby się dowiedzieć, co im powiedziałeś i dlaczego wyszedłeś z tego cały oraz dlaczego postanowili w ostatniej chwili uwolnić cię... bez żadnej wymiany. Uwolnili cię natychmiast.

- A więc sądzą, że jestem zdrajcą?

Usta Carricka wykrzywiły się pogardliwie.

- Po prostu proszę się ode mnie nie oddalać. Mam swoją robotę do wykonania. To wszystko.

McAllister przespał się kilka godzin w trakcie lotu przez Atlantyk, choć nie był to spokojny odpoczynek. Po rozmowie odbytej z Carrikiem w kafejce dwaj eskortujący go mężczyźni stali się prawie gburowaci, wyzbywając się zupełnie przyjaznego nastawienia czy szacunku. Był zdrajcą wracającym pod eskortą do kraju. Podobnie jak podczas lotu z Moskwy francuskimi liniami lotniczymi zajmowali miejsca w pierwszej klasie i McAllister siedział samotnie, zdezorientowany i zły.

W ciągu ostatnich czternastu lat oddał się całkowicie sprawom Agencji. W wyobraźni ujrzał niezliczoną liczbę miast, twarzy, ciemnych alejek, puszek na listy, dawnych haseł, nocy spędzonych na jakichś przejściach granicznych w oczekiwaniu na pojawienie się jednego z jego szaleńców. Z największą dokładnością potrafił wyobrazić sobie każde miejsce i każde wydarzenie.

Na początku wydawało mu się to niezwykle fascynujące. Dopiero poczuł się zmęczony wszelkimi wielkimi i małymi kłamstwami, zdradami i faktem, że po prostu było niemożliwe, aby on i Gloria mieli prawdziwych przyjaciół. Mogli jedynie

podtrzymywać fałszywe znajomości, co, jeśli miał być szczerzy wobec siebie, zaczęło przegryzać włókno ich małżeństwa oraz rujnować jego psychikę.

Być może dojrzał już do aresztowania. Jego profesja wymykała mu się z rąk

Otworzył oczy, serce waliło mu jak młotem, kropelki potu zrosiły czoło. Wracał do kraju, ale do czego? Do pytań, na które nie znał odpowiedzi. Do oskarżeń, przeciw którym nie potrafił się obronić. Przebywał w rękach KGB ponad miesiąc (Boże, czy to możliwe, że aż tak długo?) i wytrzymał wszystko do granic swej wytrzymałości. Lecz to nie wystarczyło. Nie było dość.

Co ty robisz samemu sobie?

Musiał coś zrobić, poruszyć się, cokolwiek. Rozpiąwszy pasy bezpieczeństwa wstał i zanim Carrick czy Maas zdążyli ruszyć za nim, podszedł do miejsca, gdzie siedziały dwie stewardesy. Spojrzały na niego.

- Nie mogę zasnąć - powiedział McAllister.

- Czy coś panu przynieść? - zapytała jedna z kobiet przejętym głosem.

- Może drinka. Brandy?

- Oczywiście - odparła kobieta.

Wstała i weszła do wąskiej kuchni, otworzyła szafki, wyjęła z jednej z nich kilka małych buteleczek brandy, a z drugiej szklanę.

- Bez lodu - powiedział McAllister biorąc od niej drinki. - Mogę wziąć ze sobą?

Dziewczyna spojrzała przez jego ramię. Carrick stał tuż za nim.

- Oczywiście - odparła.

- Dzięki i bąknął McAllister.

Odwrócił się, precyzyjnie obok Carricka i powrócił do krętych schodków prowadzących na wyższy poziom 747.

Przytulne, skąpane w przyćmionym świetle pomieszczenie świeciło o tej porze pustkami. Podczas dziennych i wczesnowieczornych lotów transatlantyckich byłoby wypełnione pijącymi i rozmawiającymi pasażerami pierwszej klasy. McAllister usiadł przy jednym ze stolików. W tym samym momencie na szczycie schodów pojawił się Carrick. McAllister otworzył jedną z buteleczek, wlał jej zawartość do kryształowej szklanki, po czym rozsiadł się wygodnie.

- Co tu robisz? - zapytał Carrick.

McAllister podniósł szklanę.

- Chcesz drinka?

- Nie. A skoro nadal masz to gówna w swoim organizmie, też nie powinieneś pić kolejnego.

- Twoja troska mnie wzrusza - ironizował McAllister.

- Słuchaj, McAllister...

- Nie, to ty posłuchaj. Jeśli chcesz mówić wprost i szczerze, wal śmiało. W przeciwnym razie trzymaj gębę na kłódkę.

Carrick umilkł.

McAllister zamieszał zawartością szklanki.

- Przez ostatnie trzydzieści dni nasłuchiwałem się takich bzdur, że wystarczy mi do końca życia. W kraju czeka mnie kolejna porcja, więc oszczędź mi tego.

- Nie chciałem tej roboty.

- A ja chciałem - powiedział miękko McAllister. Pociągnął głęboki łyk. Miał uczucie, jakby brandy odbiła się od jego żołądka, po czym usadowiła się tam, a przyjemne ciepło rozeszło się po całym ciele. - Tym razem nie ma mowy o powracającym bohaterze. Podobnie jak z Namem.

- Żaden z nas nie był powracającym bohaterem - powiedział Carrick. - Wiem, o co ci chodzi.

McAllister słyszał tłum wrzeszczący poniżej na ulicach, próbujący przełamać bramy ambasady. W mieście trwał nieprzerwany ogień z broni ręcznej i przez całą noc wystrzeliwano w różnych kierunkach jaśniejące flary. Helikoptery nadlatywały jeden po drugim, lądowały na dachu i zabierały ładunek. McAllister i kilku innych prawie ostatni opuścili to miejsce. Spędzili większość nocy na niszczeniu papierów i tajnego sprzętu, próbując możliwie jak najlepiej przełknąć głębokie poczucie wstydu, że odchodzą, że się poddają. Boże, co za strata. Cóż za fatalna strata.

- Co tam się stało? - spytał Carrick.

McAllister skupił na nim wzrok i wzruszył ramionami.

- Mówią, że wydusili ode mnie przyznanie się do winy, które podpisałem, ale ja niczego takiego nie pamiętam.

- Cholera.

- Byłeś kiedykolwiek w grupie przesłuchującej?

Carrick pokręcił przecząco głową.

- Nie.

- Ja też nie - powiedział McAllister. - Ciekaw jestem, jak my rozprawiamy się z bydlakami, których tam ściągamy.

- Lepiej niż oni potraktowali ciebie - odpowiedział Carrick badając twarz McAllistera. - Mam nadzieję.

McAllister zdobył się na zmęczony uśmiech. KGB trzymało go przez miesiąc, w Langley będą chcieli wiedzieć, co się tam działo; ile dostarczył Rosjanom informacji, nieumyślnie czy umyślnie. Znał tak wiele nazwisk, dat, miejsc; wiedział o tyłu operacjach, zarówno ostatnich, jak i tych z odległej przeszłości. Wszystkie moskiewskie operacje legną teraz w gruzach, wszystko trzeba będzie zmieniać. Już teraz skutki tego wypadku przybrały niewątpliwie charakter lawiny. Ktoś będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Problem w tym, że on sam bardzo niewiele potrafi! komukolwiek na ten temat powiedzieć, ponieważ po prostu nie pamięta! szczegółów przesłuchania. Powiedzieli, że przyznał się, ale do czego? Ile informacji im przekazał? Jedyne co pamięta! dokładnie, to uporczywe pytania Mirosznikowa na temat Sieci Scorpius oraz na temat obecnego miejsca pobytu Thomasa Murdocka. Nic na temat Woronina czy obecnych moskiewskich operacji, o ile oczywiście mógł polegać na swojej pamięci.

Czy Mirosznikow okazał się na tyle bystry, że potrafił czytać w jego myślach? Zwolnili go bez żadnej wymiany. Sąd sowiecki uznał go winnym szpiegostwa. Dlaczego nie wysłali go na Syberię? Przekazując go na lotnisku Carrickowi i Maasowi przesłali wiadomość do Langley, lecz jaka dokładnie była to wiadomość?

McAllister otworzył drugą buteleczkę brandy i wlał zawartość do szklanki.

- Może powinieneś trochę przystopować - poradził Carrick, po czym spojrzął na zegarek. - Wkrótce będziemy lądować na JFK.

- Byłoby piekielnie zabawnie, gdybyś dostarczył mnie pijanego.

Carrick usiadł prosto.

- Nic o to mi chodziło - powiedział szczerze. - Obydwaj wiemy, że czeka cię nieciekawość okres.

- Będę potrzebował wszystkich wyostrzonych zmysłów.

- A ja będę miał przesrane, jak dostarczę pijaka - odezwał się Maas pojawiając się na szczycie schodów z gniewnym wyrazem twarzy.

Przeszedł przez salę i sięgnął przez stół po szklankę. McAllister odsunął ją na tyle, by mężczyzna nie mógł jej dotknąć.

- Jak bardzo jej pragniesz?

- Wystarczająco mocno, żeby cię rozszarpać, sukinsynu - syknął Maas.

- A zatem chodź i weź ją sobie, a jak nie, to trzymaj się, do cholery, z dala ode mnie.

Maas ruszył dookoła stołu, lecz Carrick skoczył i odepchnął go na bok.

- Co, do diabła, się z tobą dzieje, Tom?

- Ten łajdak jest... - Maas przerwał gwałtownie.

Trząsał się ze złości.

- Jest czym? - zapyta! McAllister.

Nie wiedział, dlaczego prowokował tego człowieka, lecz czuł się sponiewierany i nie miał zamiaru więcej na siebie przyjmować.

Co się działo? Gdzie nastąpiła pomyłka?

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Mógł zaakceptować aresztowanie i przesłuchanie. Mógł nawet zaakceptować nieuniknioną proces i wyrok skazujący. Ale potem wszystko zostało odwrócone do góry nogami. Czy stał się zdrajcą? Czy to właśnie zrobili z nim na Łubiance?

- Wiesz czym - odparł Maas cofając się powoli.

*Tak, ja wszystko wiem, a jednak nic nie wiem.*

McAllister odchylił się do tyłu na krześle, podniósł do ust szklanekę brandy i popatrzył w wypełnione nienawiścią oczy Toma Maasa i na zmartwioną twarz Marka Carricka.

Na tak dużej wysokości brzask zaczął powoli rozjaśniać wschodnie niebo, lecz kiedy wylądowali, na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego było nadal ciemno, a białe światła pasów startowych zamieniły się w błękitne, gdy olbrzymi samolot skierował się na pas do kołowania. W oddali Manhattan rozbłyskiwał milionami światełek.

Był w domu. Zdawało mu się, że upłynęło strasznie dużo czasu od momentu, kiedy ostami raz oddychał tym powietrzem, i teraz z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy znajdzie się w Waszyngtonie, wyprostuje wszystko i zacznie prowadzić normalne życie. Martwił się o Glorię, jak dawała sobie radę w ciągu tych ostatnich tygodni, co o tym wszystkim myślała i co, jeśli w ogóle, jej powiedzieli. Musiała przeżyć piekło. Zdecydował, że postara się jeszcze raz popracować nad ich małżeństwem, aby czuła się w nim lepiej. Nie miał wątpliwości, że nadszedł czas na rozstanie z Agencją, czas na normalne życie. Czas, jak często mawiała, by dołączyć do normalnych ludzi.

Kiedy dotarli do terminalu Pan Am, w kabinie samolotu rozbłysły światła, odsłonięto zasłony oddzielające pierwszą klasę od turystycznej i pozostali pasażerowie zaczęli przepływać obok nich męczącym strumieniem. Carrick dał mu znak, aby poczekał. Ze swego okna McAllister widział rękaw prowadzący do terminalu. U podnóża schodów stało dwóch członków załogi naziemnej w białych kombinezonach. Jeden z nich palił papierosa, co wydało się Macowi bardzo dziwne.

Po wyjściu wszystkich pasażerów Carrick i Maas wzięli go między siebie, po czym cała trójka skierowała się ku wyjściu. Zamiast przejść jak wszyscy rękawem, Carrick otworzył zewnętrzne drzwi i schodami zeszli na płytę lotniska. Na zewnątrz panował dotkliwy chłód, a w powietrzu unosił się silny odór spalin samolotu. Silniki 747 zostały zamknięte. Po drugiej stronie powietrznego kolosa pracownicy obsługi lotniska otworzyli luki ładowni i zaczęli wyladowywać bagaże. Silnik ciągnika bagażowego terkotał głośno w rześkim powietrzu.

- Przyjedzie po nas samochód - rzucił Carrick przez ramię.

- A odprawa? - zapytał McAllister.

- Zapomnij o tym - odparł Maas idący z tyłu.

Kiedy zeszli ze schodów, McAllister poszukał wzrokiem dwóch członków załogi, których wcześniej widział z okna samolotu, lecz nigdzie nie mógł ich dostrzec.

Carrick spojrział na zegarek.

- Powinni już tu być - powiedział. - Co, u diabła, mamy robić? Stać i odmrażać sobie jaja?

McAllister spojrzał w górę na okna terminalu. Dwóch nowojorskich gliniarzy stało tyłem do okna rozmawiając. Coś było nie tak. To ten papieros, którego palił jeden z techników. Zmęczenie czy wewnętrzny system ostrzegawczy?

Akurat w momencie gdy spojrzał na Carricka, chcąc mu coś powiedzieć, zauważył, że tamten odchyła się w lewo i sięga pod płaszcz. McAllister uchwycił ten ruch kątem oka i zaczął się odwracać, kiedy dwaj mężczyźni w kombinezonach, których widział wcześniej, wyłonili się z cienia trzymając w rękach ciężkie pistolety z tłumikami na lufach.

Obydwaj jednocześnie otworzyli ogień, a pracujący silnik ciągnika skutecznie stłumił odgłosy i tak już cichych strzałów.

Potworna siła cisnęła Carricka gwałtownie do tyłu. Runął jak kłoda, a głowa odbiła mu się od zimnego betonu. Maas odepchnął McAllistera na bok i w chwili gdy wyciągał rewolwer, dostał przynajmniej trzy kule w tors. Jego ciało zawisło bezwładnie na schodkach prowadzących do rękawa.

McAllister rzucił się na ziemię, niczym wąż błyskawicznie podpełzł do nieruchomego ciała Carricka i wyciągnął rewolwer z dłoni agenta. Przetoczył się przez lewe ramię i strzelił dwukrotnie.

Był pewien, że trafił jednego z napastników, lecz w chwilę później zniknęli oni w drzwiach wyjścia służbowego.

Wszystko trwało nie dłużej niż kilka sekund. Kiedy McAllister zerwał się na nogi i spojrzał w górę na okno, jeden z gliniarzy patrzył na niego z przerażeniem i zdenerwowaniem na twarzy, trzymając krótkofalówkę tuż przy ustach.

Gdy McAllister uświadomił sobie, że nadal ściska w dłoni broń Carricka, cofnął się o krok. Gliniarz prawdopodobnie nie widział dwóch rewolwerowców, którzy przecież ani na chwilę nie wyszli spod szerokiego balkonu.

W głowie kręciło mu się od resztek narkotyków i od alkoholu wypitego w samolocie.

Myśleli, że jest zdrajcą, a teraz był jeszcze przynajmniej jeden świadek, który mógł przysiąc, że McAllister to również morderca.

## **Rozdział 5**

Gliniarz z krótkofalówką zniknął z okna, a drugi już zmierzał w tę stronę, prawdopodobnie przez rękaw. Na pewno zaczął strzelać, zanim padnie jakiegokolwiek pytania.



McAllister odbiegł szybko od samolotu i w cieniu betonowego nawisu popędził ku szerokim drzwiom służbowym prowadzącym do terminalu bagażowego linii Pan Am. Dotarł do nich akurat w chwili, gdy dwaj mężczyźni w białych kombinezonach odjeżdżali małym elektrycznym pojazdem. Rzucił szybkie spojrzenie na dwóch innych robotników, którzy zajęci byli ładowaniem bagażu na wózki. Wszystko wydawało się naturalne. Nikt się nie spieszył. Nie podniesiono alarmu.

Spojrzał ponownie na szeroki korytarz i dostrzegł, jak jeden z mężczyzn w odjeżdżającym pojeździe pochyła się do przodu, trzymając się za ramię. To byli oni. Napastnicy. Zranił jednego z nich.

Zostać czy uciekać? Za chwilę zrobi się tu niezły harmider. Mógł odłożyć broń, podnieść ręce i czekać na policję. Albo gonić zabójców.

Carrick i Maas sądzili, że jest zdrajcą, a teraz leżeli nie opodal martwi. Co najmniej dwóch nowojorskich gliniarzy było święcie przekonanych, że jest mordercą. Widzieli to na własne oczy.

Co, u diabła, się działo?

McAllister wszedł na terminal bagażowy i trzymając pistolet w opuszczonej ręce z tyłu za nogą, wycofał się z jasno oświetlonego, głównego korytarza w cień, a następnie popędził za wolno odjeżdżającym pojazdem obsługi, uważając, by nie narobić hałasu i starając się ukryć przed wzrokiem pozostałych pracowników lotniska.

Zabójcy byli profesjonalistami, którzy doskonale rozumieli, że pośpiech wyróżniłby ich spośród innych i zwrócił uwagę. Z tego powodu McAllister mógł z powodzeniem ich dogonić. Bez wątplenia kazali zaparkować samochód gdzieś poza obszarem terminalu. Prawdopodobnie oczekiwał na nich kierowca. Operacja była dokładnie dograna. Czekali na samolot wiedząc, że ich ofiary będą wychodzić jako ostatnie i skorzystają ze schodów z rękawa.

Carrick twierdził jednak, że ma po nich przyjechać samochód. Czy plan został nieświadomie pokrzyżowany, czy też nieobecność tego, który miał po nich przyjechać, była zaaranżowana?

Przez kogo? Jak? Dlaczego? Tuziny mrocznych możliwości, jedna bardziej złowieszcza od drugiej, tłoczyły się w głowie McAllistera, kiedy przedzierał się przez sterty pudeł i dziesiątki wózków wypełnionych bagażami.

Zamachowcy przejechali tędy i dotarli do bagażowni linii lotniczych Eastern, przebyli szerokie, dobrze oświetlone pole startowe, po czym ostro skręcili w lewo i zniknęli za dużymi służbowymi drzwiami, które prowadziły na zewnątrz.

McAllister zatrzymał się jak wryty, słysząc za plecami krzyk i niemal w tej samej chwili dał nura za dużą skrzynię. Dwaj gliniarze wbiegli na teren bagażowni i natychmiast wypytali dwóch pracowników w kombinezonach. Sprawiali wrażenie mocno podenerwowanych, gdy gestykulowali zawzięcie, wskazując najpierw w przeciwnym kierunku, a potem w jego stronę. Wydostanie się stąd stało się nagle niemożliwe. Dostrzegliby go natychmiast, gdyby opuścił swoją tymczasową kryjówkę.

Długi wąż wózków wypełnionych po brzegi bagażami przetoczył się z hukiem służbowym wejściem, przejeżdżając dokładnie przed dwoma gliniarzami i na moment zasłaniając im widok. McAllister wyszedł z cieni i ruszył normalnym krokiem ku bagażowni linii Eastern. Gdyby poruszał się szybciej, ściągnąłby na siebie uwagę. Na razie nie ogłoszono alarmu. Jedynie dwaj gliniarze rozpoczęli pościg. Na razie.

Dotarłszy do wejścia służbowego, wyszedł na zewnątrz. Wielki samolot linii lotniczych Eastern przygotowywał się do odlotu. Dookoła panował gorączkowy ruch: napełniano zbiorniki paliwem, ładowano bagaże przez tylny luk. Zatrzymał się na chwilę, szukając wzrokiem zabójców. Sądził, że będą podążać prosto do wyjścia z terminalu, więc nie od razu dostrzegł służbowy pojazd zaparkowany po prawej stronie, w zacienionym miejscu tuż za pustymi wózkami bagażowymi. Zatrzymali się.

Wyłonił się z cienia, gdy dwaj mężczyźni ubrani w ciemne kurtki i spodnie wyszli zza wózków bagażowych i wsiedli na tylne siedzenie czarnego chevroleta.

McAllister wiedział, że nie może użyć broni Carricka. Nie miała tłumika i huk wystrzałów natychmiast zwróciłby na niego czyjąś uwagę. Czuł, że zaczyna go ogarniać ślepa panika. Dookoła Pan Amu zebrał się już tłum, a w oddali rozległ się przenikliwy jęk pierwszych syren. Musiał wynieść się stąd jak najszybciej. W przeciwnym razie znajdzie się w potrzasku.

Wsunął broń do kieszeni, kiedy duży samochód zawrócił i odjechał w ciemność nocy migocząc tylnymi światłami. Zdążył zauważyć, że miał nowojorską tablicę rejestracyjną, nierządową i niedyplomatyczną.

Coraz więcej ludzi śpieszyło na lotnisko. McAllister zmusił się do podejścia wolnym, spokojnym krokiem do miejsca, gdzie stał zaparkowany pojazd służbowy. Dwa kombinezony wciśnięto za siedzenia. Na rękawie jednego z nich widniały wyraźne ślady krwi, drugi był czysty. Nie brakowało również przypiętych do kieszeni identyfikatorów lotniskowych. Rozejrzał się dookoła, aby uzyskać pewność, że nikt go nie zauważył, wziął czysty kombinezon z pojazdu i kryjąc się za dużą furgonetką pośpiesznie wciągnął go na siebie. Gdy wyszedł zza samochodu, dwaj gliniarze, których wcześniej widział rozmawiających przy oknie, zdążyli przebiec przez bagażownię Pan Amu i wyłonili się z budynku linii Eastern. McAllister zdał sobie sprawę, że panujące ciemności uniemożliwiły im rozpoznanie jego twarzy. Spuścił wzrok.

- Czy widział pan, żeby ktoś tędy wychodził?! - krzyknął jeden z gliniarzy.

Drugi rozmawiał przez krótkofalówkę.

McAllister ruchem głowy wskazał kierunek, w jakim pojechał samochód.

- Jakiś facet wsiał do samochodu - powiedział starając się naśladować akcent z New Jersey. - Co się tu dzieje?

- Gdzie?! - zawołał gliniarz. - Teraz?!

- Tak - odparł McAllister siadając za kierownicą. - Teraz. Strasznie się spieszył.

Nie miał żadnego znaczka.

Oczy gliniarza powędrowały do odznaki na kieszeni McAllistera. Ochrona lotniska żyła i umierała z takimi identyfikatorami. Jeśli miałeś odznakę, byłeś prawnie usankcjonowany. Jeśli nie miałeś, nie należałeś do personelu lotniska.

Kiedy McAllister włączył silnik i zaczął cofać, dostrzegł, że inny samochód zatrzymał się właśnie między samolotami linii Eastern i Pan Am. Ten rozpoznał bez pudła. Tablica rejestracyjna wskazywała na rząd Stanów Zjednoczonych, a dokładniej FBI.

Dwóch gliniarzy pośpieszyło z powrotem do miejsca, gdzie dookoła samolotu Pan Am robił się coraz większy ruch. McAllister zakręcił i pojechał w przeciwnym kierunku. FBI przybyło, aby zabrać jego i eskortę z Agencji. Będą się spodziewać trzech mężczyzn. Kiedy zorientują się, że nie ma McAllistera, zamkną lotnisko, chociaż raport gliniarzy, że członek załogi naziemnej widział mężczyznę wsiadającego do samochodu i odjeżdżającego, może ich na chwilę zdeorientować. McAllister miał nadzieję, że na wystarczająco długą chwilę. W tym momencie była to jego jedyna szansa.

Ruszył wzdłuż rzędu samolotów i objechał terminal międzynarodowy, aż wreszcie skrócił sobie drogę przez pole startowe, zdążając do miejsca, gdzie obsługiwano krajowe loty. Słońce zaczęło rozjaśniać niebo na wschodzie szaraworóżową poświatą. Wydostanie się z międzynarodowego terminalu z pominięciem odprawy celnej było w ogóle niemożliwe. Jedynie pozorny status członka załogi naziemnej spełniającego właśnie swoje obowiązki pozwolił mu przejść przez kontrolę bez większych problemów. Mimo wszystko wkrótce i tak zamkną całe lotnisko. Jeśli nie wydostanie

się stąd, zanim to uczynią, utknie tu i powoli, lecz z całą pewnością pętla się zacieśni i zostanie złapany.

Waszyngton. Odpowiedzi należało szukać w Waszyngtonie. Tam mógł poczuć się bezpieczny. Baza. Wolna strefa, w której mógł otoczyć się przyjaciółmi wiedzącymi i rozumiejącymi, że spośród wszystkich ludzi on jeden nie mógł być ani zdrajcą, ani mordercą. Kiedy wreszcie opowie swoją wersję tej historii w Langley, zrozumieją. Lecz jaką to historię mógł im opowiedzieć? O majakach otumanionego wódką, starego, zgorzkniałego Rosjanina? Byłego oficera KGB? Czy też o przesłuchaniach, torturach i wpływie narkotyków? W rzeczywistości nie mógł dać im żadnych konkretnych odpowiedzi. Nic pewnego oprócz faktu, że Rosjanie nagle wypuścili go na wolność bez widocznej przyczyny.

Na międzynarodowym terminalu rozbrzmiewały coraz to nowe odgłosy syren policyjnych wozów, kiedy McAllister zaparkował służbowy pojazd w rzędzie wraz z innymi i przez teren bagażowni linii lotniczych Piedmont dostał się na terminal pasażerski, o tej porze prawie opustoszały. Nikt nie zauważył człowieka w białym kombinezonie obsługi naziemnej, wchodzącego do męskiej ubikacji, ani też wysokiego mężczyzny w cywilnym ubraniu, który wyszedł stamtąd po pewnym czasie i udał się przez główną halę do postoju taksówek na zewnątrz.

Musiał dotrzeć do Waszyngtonu. Do bezpiecznego miejsca. Ktoś wysłał z Moskwy wiadomość do Langley: McAllister stał się celem. Zabijcie go za wszelką cenę. Nie można pozwolić mu żyć.

Lecz kto? I dlaczego?

Sowieci oczywiście nie oddali mu broni, ale zanim został przekazany Carrickowi i Maasowi na lotnisku Szeremietiewo, skrupulatnie zwrócono mu paszport, portfel, karty kredytowe, kilkaset amerykańskich dolarów i parę innych rzeczy. Wsiadł z taksówki przed terminalem linii Eastern na lotnisku LaGuardia i miał mnóstwo czasu, aby pozbyć się broni, którą wziął od Carricka, a następnie wykupić bilet do Waszyngtonu na ósmą, z powrotnym na piątą na nazwisko G. Thompson. Kupując bilet w jedną stronę zostałyby zbyt szybko namierzony podczas wstępnego śledztwa, jakie niewątpliwie rozpocznie FBI tego ranka. Posłużył się kolejnym małym fachowym fortelem, który pozwolił mu na zaoszczędzenie odrobiny czasu.

Kilka minut przed wejściem na pokład podszedł do aparatu telefonicznego na korytarzu prowadzącym do bramki i wykręcił numer do domu w Georgetown. Bill Lacey powiedział mu, że Gloria jest już w Stanach. Przypuszczał, że wprowadziła się do ich domu.

Po dziesiątym sygnale odwiesił słuchawkę. Jeśli w Langley uwierzyli, że jest zdrajcą, możliwe, że izolowali ją albo w chronionym domu w Aleksandrii, albo nawet w Williamsburgu na Farmie. Pomyślał, że mimo wszystko założyli podsłuch telefoniczny z automatycznym przełącznikiem, aby przekazywał wszystkie rozmowy do Langley.

Nic, co przytrafiło mu się od chwili aresztowania, nie układało się w logiczną całość. Z bólem pomyślał, iż do tej pory na pewno poinformowano Glorię o tym, że coś jest nie tak. Martwił się nie wiedząc, co dokładnie jej powiedziano i jak przyjęła te wiadomości. Ich małżeństwo nie układało się najlepiej, chociaż obydwójce mocno się starali, aby je utrzymać. Pragnęli całkowicie odmiennych rzeczy - było to tak proste lub raczej tak skomplikowane. Ona chciała normalnie żyć w Waszyngtonie, a on chciał... czego? Właśnie, czego tak naprawdę chciał?

Zlustrował korytarz. Z głośników dobiegła pierwsza zapowiedź jego lotu. Może nie wiedział, czego chce. Może nigdy nie będzie wiedział. Jednym z problemów był fakt, że ona w żaden sposób nie mogła znieść jego zamięłowania do poszukiwań.

Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać kolejny numer do Waszyngtonu, lecz po chwili namysłu zrezygnował. W tym fachu, chłopcze, nie możesz ufać nikomu, powiedziano mu kiedyś. I to właśnie było fatalne, ponieważ ludzie tacy jak oni potrzebują, a nawet domagają się wiary w coś, a jeśli to okazuje się niemożliwe, wiary w kogoś.

Zdecydował jednak, że nie skorzysta z telefonu. Będzie musiał opowiedzieć swą historię twarzą w twarz, tak żeby mógł wyczytać reakcje w oczach swego rozmówcy. Rozmówców, poprawił się. Jak wielu było tych, którym mógł zaufać? Jeden, dwóch, kilkoro? Na pewno nie więcej. Ale czy mu uwierzą? Czy mogliby mu uwierzyć wobec ciężaru dowodów, które nagromadziły się przeciw niemu?

Zdrajca. Morderca. Przeszedłeś na drugą stronę. W sumie nie tak rzadko spotykane zjawisko. W końcu to zrobił. Zmienił człowieka, sprawić, żeby sprzedał swój kraj, wyciągnąć od niego wszystkie tajemnice i po jednej stronie granicy uczynić go bohaterem, lecz we własnej ojczyźnie zdrajcą. Co działo się z ludźmi poddanymi podobnym manipulacjom? Jaki wpływ mogło to mieć na agenta? W jaki sposób wypaczało jego poczucie dobra i zła, sprawiedliwości?

McAllister przetarł ręką oczy. Pocił się lekko, mimo że na korytarzu było chłodno. Wciąż skutki narkotyków, które podawano mu w więzieniu. A może coś innego? Strach? Zdezorientowanie? Wstyd?

*Robimy postępy i bardzo się z tego cieszę. Pan też powinien się cieszyć. Wreszcie pokonałismy pierwszą barierę... naprawdę wspaniale. Okazałeś się chętny do współpracy... Mac.*

Strzępy słów Mirosznikowa spływały na niego niczym delikatne szepty w ciemności, jak woda szmerząca miękko na piaszczystej plaży. Przerażające, a z drugiej strony dziwnie kojące. Zapewnienia ze źródła, które nie powinno było dostarczać mu zapewnień.

Boże, co się z nim stało w Moskwie? Co działo się teraz? Czego chcieli? Dlaczego akurat on?

McAllister odszedł od automatu telefonicznego, zdając sobie sprawę, że hala odpraw, która kilka minut temu była pełna pasażerów, teraz świeciła pustką. Dostrzegł jedynie dwóch urzędników, z których jeden patrzył przez korytarz w jego kierunku, a drugi, siedzący za kontuarem, podnosił właśnie słuchawkę.

- Ostatnia zapowiedź lotu linii lotniczych Eastern, 1411 do Waszyngtonu DC. - W głośnikach umieszczonych pod sufitem rozległ się wzmocniony głos urzędnika. - Pasażerowie posiadający potwierdzone rezerwacje proszeni są o wejście na pokład.

Odpowiedzi znajdowały się w Waszyngtonie. Wyciągnąwszy z kieszeni bilet i kartę pokładową pośpieszył ku wejściu. Tam musiał szukać interesujących go odpowiedzi, o ile tylko uda mu się przeżyć na tyle długo, aby je znaleźć.

Samolot dotknął płyty lotniska w Waszyngtonie niż po dziewiętej i dwadzieścia minut później McAllister jechał już zatłoczoną ulicą Waszyngtona wynajętym fordem escortem. Dzień wydawał mu się jasny i ciepły w porównaniu z dniami zapamiętanymi z Moskwy, miasto pełne parków i pomników lśniło zielenią i bielą, a z tej odległości robiło wrażenie czystego i bezpiecznego. To była stolica. Baza. Powód jego istnienia, jego życia.

Doszedł do wniosku, że nikt nie będzie podejrzewał, iż może pojawić się tutaj tak szybko, więc bez zbędnego wahania wynajął samochód na własne nazwisko. Na razie szybkość była ważniejsza niż ukrywanie się.

Robert Highnote.

McAllister czuł suchość w ustach, w żołądku mu bulgotało i nie widział zbyt dobrze, co było niewątpliwie skutkiem skumulowanego wpływu narkotyków, braku

snu i złego odżywiania. Mimo to działał na głębszym, instynktownym poziomie, zacierając za sobą ślady, wykonując odpowiednie ruchy w odpowiednim czasie, wiedząc kiedy się wahać, a kiedy działać. Wydawało się, że instynkt przejął kontrolę nad umysłem. Zanim skontaktuje się ze swym starym przyjacielem, mentorem i szefem, musi się dowiedzieć, co sądzą o jego postępowaniu w Agencji.

Przejechał po rozciągniętym nad rzeką niczym gigantyczna kładka moście Key i wjechał do Georgetown, dotarł na ulicę M, po czym skręcił w prawo, lawirując pośród setek pojazdów. Zatrzymał się na czerwonym świetle naprzeciwko restauracji Rive Gauche, do której wpadali z Glorią za każdym razem, kiedy na krótko odwiedzali Waszyngton między kolejnymi wyjazdami na zagraniczne placówki. W obecnej sytuacji poczuł się dość dziwnie patrząc na znajome miejsce.

Skręcił w lewo i pojechał aleją Wisconsin. Znajome miejsca, dźwięki i zapachy powróciły niczym stara kurtka, którą odnajduje się w szafie; dziwnie przestarzała i niemodna, a mimo to jakże wygodna i przyjazna. Nowy Jork, a szczególnie Moskwa wydawały się teraz niezwykle odległe, nie tylko pod względem odległości, lecz także czasu.

Highnote go wysłucha, pomoże. Jeśli ktokolwiek w ogóle potrafi to uczynić, to właśnie on. Najpierw jednak musiał się czegoś dowiedzieć.

Kilka przecznic za teatrem Georgetown skręcił z Trzydziestej Pierwszej, która biegła w kierunku parku Montrose, następnie dwie przecznice dalej zwolnił przejeżdżając skrzyżowanie z Avon Lane. Była to okolica trzypiętrowych domów z piaskowca, stykających się ze sobą bocznymi ścianami. Szóste drzwi od rogu prowadziły do jego domu.

W ciągu ostatnich czternastu lat McAllister uczestniczył w tak wielu operacjach inwigilacyjnych, że wiedział, na co zwrócić uwagę. Furgonetka Toyota z lustrzanymi szybami stała zaparkowana jakieś dwadzieścia metrów od jego domu. Przy zbiegu ulic przycupnęła żółta taksówka. Stojący za nią taksówkarz i wysoki, krzepki mężczyzna w samej koszuli zaglądali pod otwartą maskę mercedesa.

Czekali na niego. Oczekiwali jego przyjazdu. Dwie godziny temu, kiedy telefonował z Nowego Jorku, w jego domu nikt nie podnosił słuchawki, nie zadziałał żaden system przełączeniowy. Gdyby wówczas na niego czekali, natychmiast ktoś by odebrał.

Ten nadzór zorganizowano z powodu wydarzeń na płycie lotniska JFK. Zdrajca pozostaje na wolności, niebezpieczny obłąkaniec, który zabił dwóch swoich ludzi, zmierza w naszym kierunku.

McAllister zdał sobie sprawę, że drży. Gwałtowne dreszcze. Na jego czole pojawiły się grube krople potu, a mimo to odczuwał dotkliwy chłód. Skręcił w ulicę R i kilka przecznic dalej zatrzymał się naprzeciwko cmentarza Oak Hill.

W mieście życie toczyło się normalnym tempem. McAllister poczuł się jak konar drzewa rzucony w rwący strumień rzeki; woda kotłowała się dookoła niego. Był bezradny. Kiedy już raz wpadnie w ten wartki nurt, z pewnością utonie. Nie mógł tego uniknąć.

Czekali na niego.

Boże w niebiesiech, co tu się dzieje? Czym on się stał według nich?

*Patrz, na Waszyngton. Patrz na Moskwę.*

Był już w Moskwie, a teraz jest w Waszyngtonie. Czego jednak ma szukać i kogo?

Przejeżdżał przez Narodowy Cmentarz Arlington leżący na przeciwnym brzegu rzeki niż pomnik Lincolna. O tej porze panował tu niewielki ruch. Zmierzch okrywał miasto cienistym całunem i światła wielkiej aglomeracji zaczynały mieszać się z radosnymi błyskami gwiazd na niebie. W obecnym położeniu uderzyło go poczucie

nierealności, które nie wynikało jedynie z tego, co robił i dlaczego, lecz z faktu, że nie robił niczego. Stał na zewnątrz zaglądając do środka. To uczucie wydawało mu się co najmniej osobliwe.

Jeśli ktokolwiek znał te odpowiedzi, to niechybnie był to Highnote.

Wcześniej, na strzeżonym podziemnym parkingu międzynarodowego lotniska Dulles pozostawił wynajęty samochód. Skoro spodziewali się jego przybycia do Waszyngtonu, na pewno sprawdzili wszystkie agencje wynajmujące samochody i w którejś z nich znaleźli jego nazwisko.

Na zatłoczonym terminalu przez jakieś pół godziny szukał mężczyzny mniej więcej swojego wzrostu, budowy i wieku. Kiedy podróżny stał w jednym z koktajlbarów, wyciągnął mu portfel, i używając skradzionego prawa jazdy i karty kredytowej wynajął samochód u Hertza.

Gdy pośpiesznie wychodził z baru, człowiek ten, Thomas Hobart z Muncie w Indianie, znajdował się nadal w środku. McAllister upuścił portfel na podłogę, po czym odwrócił się, wyszedł na zewnątrz i wszedł do swojego nowego forda taurusa.

Na południe od Aleksandrii, w przydrożnej restauracji zjadł późny lunch, przeglądając i uwagą waszyngtońskie i nowojorskie gazety w poszukiwaniu wiadomości o strzelaninie na JFK, lecz nie znalazł w nich nawet najmniejszej wzmianki. Szczerze by się zdziwił, gdyby mu się to udało.

Z początku, za każdym razem kiedy skręcał w następną ulicę, czy zmieniał pas lub prędkość, spoglądał we wsteczne lusterko. Jak dotąd wydawało się, że nikt go nie śledzi. Na tym etapie mogli podejrzewać, że jest w Waszyngtonie, lecz jak do tej pory nie został namierzony. Oczywiście taka sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Nie mogła trwać wiecznie. Prędzej czy później ktoś go rozpozna, zwłaszcza że ciągle poruszał się po mieście. Gdy zaczynało się ściemniać, ponownie przejechał obok lotniska i wjechał w aleję biegnącą przez cmentarz, gdzie znacznie zwolnił. Gdyby go teraz dostali i zastrzelili, czy jego ciało złożono by tutaj w Arlington u boku ojca? Mało prawdopodobne. Był zdrajcą i mordercą. Czy kiedykolwiek jeszcze zazna spokoju? Czy śmierć może mu przynieść ukojenie? W to również wątpił.

Przeciął zachodni kraniec rozległego cmentarza, przejechał przez bulwar Waszyngtona i znalazł się w Arlington Heights, miłej, bezpretensjonalnej dzielnicy przytulnych domków. Zdążyło się już ściemnić, kiedy dotarł do alei Astor i zaparkował pośrodku przecznicy, gasząc światła i silnik.

Dom Highnote'a znajdował się przy końcu ślepej uliczki. Oprócz światelka nad drzwiami do garażu i nad głównym wejściem budynek spowijały gęste ciemności.

McAllister wysiadł z samochodu i pokonawszy pozostałą część przecznicy, przeszedł przez ciemny trawnik rozciągający się między domem Highnote'a i jego sąsiada. Gdzieś niedaleko zaczął ujadać pies i McAllister zatrzymał się na chwilę w ciemności. Po kilku sekundach szczekanie ustało więc ruszył dalej kierując się na tyły domu. Po drodze przeskoczył wysoki żywopłot, a następnie ominąwszy basen dotarł do patio.

W kuchni paliło się światło, lecz w gabinecie Highnote'a panowała nieprzenikniona ciemność. McAllister przyłożył ucho do szyby dużego okna. Usłyszał strzęp rozmowy bądź głos dobiegający z głośnika telewizora, a przez firanki dostrzegł, że drzwi gabinetu są zamknięte.

Cofnąwszy się zdjął kurtkę, owinał ją sobie dookoła prawego łokcia i delikatnie, lecz wystarczająco silnie uderzył w jedną z małych kwadratowych szybek tuż przy zamku. W nieruchomym nocnym powietrzu rozległ się charakterystyczny brzęk. McAllister wstrzymał na kilka sekund oddech, oczekując przenikliwego dźwięku sygnału alarmowego. Dookoła panowała jednak nieruchoma cisza. Wsadził rękę do

środką, przekręcił klamkę, uchylił okno i przez powstałą szparę przecisnął się do środka.

McAllister już wcześniej bywał w tym pokoju. Całkiem często. Pomimo sporej różnicy wieku on i Gloria przyjaźnili się od lat z Highnote'em i jego żoną Merrilee. Doskonale znał rozkład mieszkania. Biurko stało naprzeciwko okna, skórzana kanapa i okrągły stolik znajdowały się po prawej stronie, a po lewej były drzwi niewielkiej łazienki. Dwie ściany zabudowano półkami wypełnionymi rzędami książek, a na trzeciej widniały oprawione w ramki fotografie i dyplomy z wyróżnieniami. Dzięki odsłoniętym zasłonom dokładnie widział wewnątrz pokoju rozjaśnione przymglonym światłem dochodzącym z zewnątrz.

McAllister usiadł przy biurku, otworzył dolną szufladę po lewej stronie i wyjął z niej połyskującego walthera. Automatyczny pistolet, który kiedyś cieszył się dużą popularnością wśród agentów wywiadu brytyjskiego, był prezentem od Kima Philby'ego jeszcze z czasów, gdy Brytyjczyk stacjonował tu, w Waszyngtonie. Highnote zawsze mówił, że ta broń sprawia mu mnóstwo ironicznej przyjemności. Już za młodu należał do tych ludzi, którzy sądzili, że Philby był zbyt dobry, aby zasługiwać na zaufanie.

Sprawdził pistolet. Był dobrze naoliwiony i załadowany. Na biurku stały dwa aparaty telefoniczne; jeden to linia wewnętrzna, a drugi - prywatny numer Highnote'a. McAllister podniósł słuchawkę tego drugiego i wykręcił numer domowy. Połączenie zostało zrealizowane i usłyszał, jak rozdzwoniły się telefony w całym domu. Highnote podniósł po drugim sygnale.

- Tak?

- Cześć, Bob - powiedział McAllister.

Broń leżała przed nim na biurku. Obserwował drzwi.

- Jezu - wyszeptał Highnote. - Gdzie, u diabła, się podziewasz?

- Jesteś sam?

Highnote powiedział coś przykrywając słuchawkę.

- Tylko z Merrilee. Jesteś w mieście? Mogę po ciebie pojechać?

- Potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań, Bob.

- Ja też. Gdzie, u diabła, jesteś?

- Tutaj - odparł McAllister. - Przy biurku w twoim gabinecie.

- Dobry Boże - wybąkał Highnote po chwili wahania. - Zaraz tam będę.

McAllister odłożył słuchawkę i podniósł walthera. Komu mógł ufać? Już nie wiedział. Może nigdy tego nie wiedział.

W kilka sekund później otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Robert Highnote, zastępca szefa operacji Centralnej Agencji Wywiadowczej. Był człowiekiem średniego wzrostu, prawie łysym, o dużych, szczerych oczach. Jego sposób mówienia i zachowanie należałoby określić jako staromodnie eleganckie. Ukończył Harvard, wykładał w Rhodes i uchodził za wielce religijnego człowieka. Osiągnąwszy wiek dojrzały, każdego wieczoru spędzał przynajmniej godzinę na studiowaniu Biblii. Stał się w tej dziedzinie kimś w rodzaju eksperta. Jego życie było barwną historią, podobnie jak życiorysy prawie wszystkich pracowników Agencji; zdawało się, że ten interes przyciągał ich jak muchy do młodu.

Highnote popatrzył na broń w ręku McAllistera.

- Czy mnie również zamierzasz zastrzelić, Mac? - spytał miękko.

- Nie zastrzeliłem Carricka i Maasa. Sądzę, że badania balistyczne potwierdzą moją niewinność - wyjaśnił McAllister.

Highnote wszedł do gabinetu zamknąwszy za sobą drzwi. Był bez płaszcza, lecz nadal miał krawat. Prawdopodobnie dopiero co wrócił z biura. Usiadł naprzeciwko McAllistera i sięgnął do lampki stojącej na biurku.

- Nie - rzucił krótko McAllister.

Highnote zatrzymał rękę, ponownie się zawahał i odchyliwszy się do tyłu na krzesło, pokręcił głową z dezaprobatą.

- Ale zrobiłeś niespodziankę, Mac. Dużą niespodziankę.

- Czekali na nas, kiedy wysiedliśmy z samolotu. Dwóch w kombinezonach obsługi naziemnej. Samochód, który miał nas odebrać, spóźnił się. Carrick i Maas nie mieli szans.

- Lecy ty miałeś - powiedział Highnote.

- Miałem szczęście.

- Widziano cię z pistoletem.

- Carricka. Zdołałem zranić jednego z nich.

- Ale oni uciekli.

- Czekał na nich samochód, Bob - powiedział McAllister. Pochylił się odrobinę do przodu. - Czekali na nas, do cholery. Skąd wiedzieli?

- Nie potrafię odpowiedzieć... - Highnote zacisnął usta, a jego oczy rozszerzyły się nagle. - Do czego zmierzasz?

- Kto wiedział, że przylatuję akurat tym samolotem?

- Wiele osób. Smitty i jego ludzie poczynili konkretne plany. Finanse. Szef załogi.

- I biuro FBI w Nowym Jorku.

Highnote skinął głową.

- Mieli cię przewieźć na terminal, na JFK.

- Jak, Bob? Jaki byłby mój status?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Co powiedziano o mnie FBI? Co oni mają z tym wspólnego? Mogłem przejść do samolotu z Carrikiem i Maasem.

- Chcieliśmy uniknąć odprawy celnej.

- Nie potrzebowaliście do tego FBI... chyba że zostałem sprowadzony jako kryminalista i nie chcieliście publiki.

Highnote wzdrygnął się. McAllister dostrzegł to wyraźnie w oczach starego przyjaciela. Czy był to strach? A może obrzydzenie?

- Czy o to chodzi, Bob? - spytał łagodniejszym tonem. - Czy sądzisz, że jestem zdrajcą, ponieważ uległem naciskowi? Trzymali mnie przez miesiąc, a oni są świetni w tym fachu. Nawet lepsi niż uczono nas na Farmie.

- Podejrzewaliśmy to od samego początku - powiedział Highnote. - Z uwagi na... to, co zaczęło się dziać... co nadal się dzieje.

- Nasze siatki? - spytał McAllister, a słowa uwięzły mu w gardle, ponieważ znał odpowiedź, zanim Highnote zdążył ją wypowiedzieć.

Znał ją instynktownie. Mirosznikow był więcej niż świetny. Ten człowiek był diabłem.

- Nasze operacje zagraniczne legły w gruzach. Wiele lat pracy spłynęło ściekami. Straciliśmy mnóstwo dobrych ludzi. Kilku zabito, lecz większość aresztowano, zdemaskowano, wydalono. W obecnych okolicznościach nie narobiono wokół tego zbyt dużo szumu, lecz zostaliśmy zdruzgotani. Nie uwierzyłbyś, jak źle się stało.

- Przeze mnie.

Highnote pokiwał smutno głową.

- Trzymali cię niezwykle długo. Prezydent odwołał nawet swoje spotkanie z Gorbaczowem w Zurychu. Do tej pory się nie spotkali.

- Byłem złotą żyłą.

- Macierzystą żyłą - przytaknął Highnote. - Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, co się dzieje, zaczęliśmy wycofywać naszych ludzi, lecz było już za późno.

- Chryste, nawet nie wiesz, jak mi przykro, Bob. Próbowałem. Boże, próbowałem.



Na twarzy Highnote'a nie odmalowało się najłżejsze współczucie, jedynie odległy chłód i coś jeszcze. Jego wzrok powędrował ponownie w stronę broni w rękę McAllistera.

- Wróćmy do biura. Zobaczymy, co nam się uda wspólnie sklecić. Kiedy dowiemy się, co im powiedziałeś, będziemy mogli zminimalizować przynajmniej jakąś część stale dokonujących się zniszczeń.

- Nie wiem, co im powiedziałem - odezwał się McAllister. - Ale nie o to chodzi, prawda? Wypuścili mnie. To cię martwi. Żadnej wymiany, żadnych porozumień, nic. Po prostu przekazali mnie naszym ludziom na lotnisku i pozwolili odjechać.

- To rzeczywiście nas zmartwiło - powiedział sucho Highnote.

- A zatem kto i dlaczego próbował mnie zabić w Nowym Jorku?

- Może nie strzelali do ciebie, Mac. Może wykonali swoją misję.

- To się kupy nie trzyma - odparł sfrustrowany McAllister.

- Masz rację - zgodził się Highnote z tym samym dziwnym spojrzeniem.

Nagle McAllister uświadomił sobie, co Highnote myśli.

- Nie wierzysz mi - powiedział. - Tych dwóch facetów w Nowym Jorku.

- Nikt ich nie widział - wyjaśnił cierpliwie Highnote.

- Strzeliłem i zraniłem jednego z nich. Znajdziesz zakrwawiony kombinezon w wózku bagażowym na terenie bagażowni linii Eastern. - McAllister wyjaśnił dokładnie, gdzie pojazd został zaparkowany. - Czy przeprowadzono badania balistyczne pocisków, które zabiły Carricka i Maasa?

- Nie widziałem raportu.

- Przynajmniej tyle mógłbyś dla mnie zrobić.

Highnote skinął głową.

- Zrobimy nie tylko to, jeśli pojedziesz ze mną. Jestem po twojej stronie, Mac. Gloria też. Rozmawiałem z nią dziś rano. Powiedziała, że bez względu na to, co się stanie, bez względu na to, co się z tego wykluje, będzie trzymać z tobą, jeśli tylko zawrócisz z tej drogi, zanim, na miłość boską, będzie za późno, Mac.

Te słowa zabolowały bardziej niż mokry turecki ręcznik, którym bili go sowieccy strażnicy w więziennym korytarzu.

- Co powiedziano Glorii?

- W tych warunkach nie mogłem postąpić inaczej. Musiałem powiedzieć jej prawdę. Oczywiście rozumiesz.

- Jaką prawdę? - spytał McAllister podnosząc głos.

- Że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż cię odmienili. Że wysłali cię do domu mając nadzieję, iż w jakiś sposób przejdiesz przez sito i nadal będziesz miał czyste konto, a tym samym okażesz się ponownie gotowy do akcji. Dostali od ciebie wszystko, czego potrzebowali, a teraz mają nadzieję na trochę okraski, trochę lukru do ciastka.

- Czy tak właśnie myślisz, Bob? - spytał McAllister.

Highnote obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Co innego mogę myśleć?

McAllister odsunął krzesło i wstał ciężko. Highnote zaczął się również podnosić, lecz McAllister gestem nakazał mu pozostanie na miejscu.

- Sprawdź badania balistyczne, znajdź kombinezon, a przekonasz się, że nie zabiłem Carricka i Maasa. Zadzwoń do ciebie rano.

- Nie mogę pozwolić ci odejść.

- Przykro mi, lecz w tym momencie nie masz wyboru.

Highnote obnażył zęby.

- Do cholery, Mac, ufałem ci! Wszyscy ci ufaliśmy. Przecież to nie twoja wina. Gnoje nafaszerowali cię narkotykami i nie wiedziałeś, co robisz. Możemy to załatwić dla ciebie. Na miłość boską, Mac, zaufaj mi...

McAllister wyrwał dwa sznury telefoniczne z gniazdek w ścianie. Highnote'owi wystarczyłoby kilka sekund, aby dotrzeć do jakiegoś innego aparatu w domu, lecz tych kilka chwil zwłoki miało duże znaczenie. Highnote obserwował go spod przymrużonych powiek. Przy oknie McAllister odwrócił się i spojrzał na niego.

- Nie jestem zdrajcą i nie zabiłem tych dwóch w Nowym Jorku, Bob, lecz dopóki nie dowiemy się, kto to zrobił i dlaczego, nie będę miał cholernej możliwości, żeby cię przekonać, nie mówiąc już o innych, o mojej niewinności. Znajdź ten kombinezon i przeczytaj raport balistyczny. Zadzwoń do ciebie rano.

Biegnąc przez trawnik w stronę ulicy, wsadził walthera do kieszeni. Skoro Highnote mu nie wierzył, to na kogo, u diabła, mógł liczyć. Najbardziej bolała go świadomość, iż Gloria sądziła, że zdradził. Co się działo?

Policja mogła się tu zjawić bardzo szybko, lecz nie znali jego samochodu. Ucieczka zapewne będzie trudna, ale nie niemożliwa.

Kiedy dotarł do krawężnika, ujrzał zbliżające się światła samochodu. Jakaś postać wychynęła zza żywopłotu. Zaczął się odwracać, kiedy coś ciężkiego uderzyło go w skroń. Gdy upadł, jego głowa niczym piłka odbiła się kilkakrotnie od chodnika.

- Zabij go - usłyszał nad sobą rosyjskie słowa.

- Nie tutaj, głupku.

## Rozdział 6

McAllister myślał ciągle o pistolecie znajdującym się w jego kieszeni, lecz nie mógł w żaden sposób poruszyć rękoma ani nogami. Czuł się jak wielka kuchenna ścierka: bezwładny, bezsilny. Mimo to widział, słyszał i czuł.

Samochód zatrzymał się tuż przed nim. Drzwi otworzyły się gwałtownie, siedzący za kierownicą mężczyzna wyskoczył spreżyście i pośpiesznie obszedł dużą limuzynę. Silne ręce odwróciły McAllistera, po czym podniosły go i rzuciły przez otwarte drzwi na tylne siedzenie. W jego nozdrza wdarł się intensywny zapach skóry.

Było ich trzech. Dwóch ukrywało się w krzakach, czekając aż McAllister wyjdzie z domu Highnote'a, a trzeci siedział w dużym mercedesie przy końcu przecznicy. Oznaczało to, że mimo wcześniejszych środków ostrożności udało im się go wyśledzić. Czy stał się aż tak kiepski w swym fachu?

- Szybko - odezwał się jeden z nich po rosyjsku.

Ten fakt zaczął w końcu penetrować umysł McAllistera. Rosjanie. Został ponownie schwytany przez KGB, lecz było to kompletnie absurdalne. Takie rzeczy nie zdarzały się w Waszyngtonie, a zwłaszcza przed domem zastępcy szefa operacji CIA.

Kierowca i jeden z mężczyzn usiedli z przodu, a trzeci Rosjanin wcisnął się z tyłu koło McAllistera.

- Tam zostało pełno krwi, pieprzony skurwielu.

- Nie żyje? - spytał któryś z przodu.

McAllister leżał powyginany częściowo na siedzeniu, częściowo na podłodze. Trzasnęły drzwiczki, samochód zawrócił na ulicy i popędził w kierunku bulwaru Waszyngtona. McAllister czuł otepiający ból w głowie, a żołądek podchodził mu do gardła za każdym razem, gdy wóz przechylał się przy skręcie, lecz siły powoli wracały. Uderzenie ogłuszyło go, ale nie stracił przytomności. Rosjanin złapał go, próbując

wciągnąć na siedzenie. Mac starał się sprawiać wrażenie kompletnie bezwładnego, z obwisłymi ustami, otwartymi, nieruchomymi oczami.

- Nie wiem - odparł trzymający go Rosjanin.

- Oddycha, durniu?

Lewa ręka McAllistera została niezręcznie przygnieciona jego ciałem, lecz prawa naturalnie spoczęła na kieszeni kurtki. Samochód zakręcił na skrzyżowaniu i zarówno Rosjanin na tylnym siedzeniu, jak i McAllister przechylili się. Na taką chwilę czekał.

Krzyknął i przetaczając się po siedzeniu uwolnił lewą rękę. Równocześnie druga dłoń powędrowała do kieszeni. Zacisnął palce na zimnej kolbie i błyskawicznie wyciągnął walthera.

- Uważaj! - ryknął siedzący na przednim siedzeniu, sięgając po rewolwer ukryty pod połą płaszcz.

McAllister odbezpieczył walthera, lecz w tym samym momencie Rosjanin na tylnym siedzeniu odzyskał równowagę i kopnął. Odrzucony w tył Mac wypalił przed siebie. Pocisk trafił w pierś Rosjanina. Wewnątrz samochodu rozległ się ogłuszający huk wystrzału.

Natychmiast wycelował pistolet w stronę drugiego mężczyzny i mierząc w tył przedniego siedzenia nacisnął dwukrotnie spust. Rosjanin został rzucony na deskę rozdzielczą i uderzył głową w przednią szybę.

Kierowca nacisnął na hamulec. Siła bezwładności rzuciła McAllistera do przodu i pistolet wypadł z jego zaciśniętej dłoni. Ułamek sekundy później zdołał odzyskać równowagę, by ujrzeć przed oczami dużego automatycznego makarowa z tłumikiem oraz twarz kierowcy wykrzywioną strachem i srogą determinacją. Rosjanin nie pojmował, jak nieprzytomny i wyglądający na martwego Amerykanin zdołał chwilę później zabić jego towarzyszy.

McAllister nie miał czasu na poszukiwanie walthera. Rzucił się w lewo, gdy padł strzał. Kula drasnęła bok jego szyi i poczuł straszliwe pieczenie. Chwycił uzbrojone ramię mężczyzny i wykręcił je gwałtownie w dół nad oparciem siedzenia. Rozległ się trzask kości, a duży samochód podskoczył na krawężniku i zastygł nieruchomo.

Rosjanin wrzasnął z bólu upuszczając broń, lecz był świetnie wyszkolonym profesjonalistą. Jego prawa ręka znalazła się nagle przy twarzy McAllistera, a szponiaste palce zacisnęły się na zamkniętych oczach przeciwnika w desperackiej próbie ocalenia życia.

McAllister wyszarpnął się z uchwytu, chwycił Rosjanina za twarz i potylicę, wykręcił mu głowę maksymalnie w lewo. po czym szarpnął ostro skręcając kark. Potężny mężczyzna poderwał się do góry, próbując podnieść ciało ponad siedzenie, lecz nie mógł już sobie pomóc. Jęknął po raz ostatni, kiedy kręgi szyjne gruchnęły z trzaskiem, a jego ciałem targnął śmiertelny wstrząs. Przegryziony język krwawił obficie i czerwona posoka chlusnęła z rozwartych ust. Po chwili bezwładne ciało osunęło się na siedzenie.

Znajdowali się w spokojnej okolicy w Arlington Heights, kilka przecznic od domu Highnote'a i mniej niż czterysta metrów od zachodniej bramy cementarza Arlington i Grobu Nieznanego Żołnierza. Jakiś samochód przejechał powoli obok. Po prawej stronie kierującego mężczyzny siedziała kobieta.

Odwrócili się i z szeroko rozwartymi oczami patrzyli w jego stronę, po czym samochód przyśpieszył i skręcił za rogiem na końcu przecznicy.

Zorientowali się, że coś się stało. Samochód stał kołami na krawężniku, dwóch mężczyzn siedziało w dziwnych pozach na przednich siedzeniach, a jeden z zakrwawioną twarzą i szyją tkwił wyprostowany z tyłu. Wezwą policję, jak tylko znajdą telefon. Musiał się stąd wynosić i to szybko. Natychmiast.

Przeniesienie kierowcy na tylne siedzenie zajęło mu ponad minutę. Był słaby, a w skroniach waliło mu niemiłosiernie. Od czasu do czasu widział podwójnie. Przypuszczał, że doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu od uderzenia w głowę.

Wczołgał się do środka wozu, usiadł za kierownicą, wrzucił wsteczny bieg i zjechał z krawężnika. Ruszył ostro i skręcił za rogiem w lewo. Następne minuty miały się okazać niezwykle ważne.

Do tej pory Highnote na pewno zadzwonił już do kogoś; prawdopodobnie na policję lub do FBI, lub do kogoś z Agencji. Niewątpliwie byli już w drodze, a jeżdżenie po Waszyngtonie samochodem pełnym trupów i krwi niechybnie spowodowałoby jego aresztowanie. Ktoś by go w końcu zauważył.

Szansę. Jego życie zawsze wypełniało ryzyko, lecz tym razem musiał podjąć bardzo duże, ponieważ nadal poszukiwał odpowiedzi.

Ulicę, przy której mieszkał Highnote, nadal spowijały ciemności, gdy McAllister zatrzymał się i zaparkował mercedesa za swoim wynajętym fordem taurusem. Od czasu gdy opuścił dom przyjaciela, upłynęło zaledwie kilka minut. Spodziewał się przynajmniej usłyszeć wycie policyjnych syren zmierzających do tego miejsca. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Jeszcze nie.

Wyskoczył z samochodu i szarpnięciem otworzył tylne drzwi. Podniósł połyskującego metalicznie walthera i szybko przeszukał trzy ciała, znajdując dyplomatyczne listy uwierzytelniające z sowieckiej ambasady i prawie tysiąc dolarów w gotówce.

Pobiegł do forda. Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i odjechał. Odpowiedzi. Potrzebował więcej odpowiedzi.

\*\*\*

Tym razem wybrał prostszą drogę do centrum, obok Fort Meyer, dalej przez Colonial Village, Rosslyn, aż wreszcie mostem Key do Georgetown. Miasto migotało neonami i światłami samochodów. W czasie jazdy starł chusteczką krew z czoła i z szyi. Rany nie były poważne, miał szczęście, lecz głowa bolała go niemiłosiernie i czuł wszechogarniające mdłości. Czasami wzrok rozmazywał mu się i często widział podwójnie.

Wysłano ich na lotnisko w Nowym Jorku, aby go zabili, a teraz znów do Waszyngtonu. Skąd jednak wiedzieli, gdzie się znajduje? Był pewien, że nikt nie podążał jego tropem. Musieliby użyć co najmniej czterech pojazdów. Inaczej szybko by się zorientował. Miał zbyt duże doświadczenie i wiedzę, by nie dostrzec pojedynczego samochodu siedzącego mu na ogonie.

Wiadomość o jego powrocie do Nowego Jorku mogła zostać przekazana przez kontrolę powietrzną w Moskwie i w Paryżu. Lecz tu, w Waszyngtonie? Czyżby domyślili się, że najpierw pobiegnie do swego starego przyjaciela i mentora, Boba Highnote'a? Było to logiczne. Nasuwało się pytanie, ilu jeszcze ludzi poszukuje go w tej chwili i jakie inne miejsca będą pod obserwacją.

Powiedział jednak sobie, że musi podjąć to ryzyko bez względu na szansę. Musiał zobaczyć się z żoną, opowiedzieć swoją wersję wydarzeń. Ona zrozumie i uwierzy mu. Ona jedna ze wszystkich ludzi na ziemi będzie musiała w niego uwierzyć.

*Jestem po twojej stronie, Mac. Gloria też. Rozmawiałem z nią ponownie dziś rano. Powiedziała, że bez względu na to, co się stanie, bez względu na to, co się z tego wykluje, będzie trzymała z tobą, jeśli tylko zawrócisz z tej drogi.*

Zamiast skręcić w ulicę Trzydziestą Pierwszą, McAllister przejechał kolejną przecnicę, skręcił w lewo w Trzydziestą i pół przecnicy dalej ponownie w lewo w

Cambridge Place, wąską aleję prowadzącą z powrotem do Avon. Tą drogą mógł dojechać na tyły swego domu. O tej godzinie nie było tu żadnego ruchu, choć wiele samochodów stało zaparkowanych dalej na ulicy. Zatrzymał się, wycofał na podjazd, po czym ruszył ponownie i zaparkował około dwudziestu metrów dalej na alei, ustawiając samochód tyłem do ulicy Trzydziestej.

Sprawdził magazynek walthera. Zostało jeszcze pięć pocisków, łącznie z tym w komorze. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien wziąć jeden z pistoletów Rosjan; ciężki makarow miał większą siłę ognia niż lekki walther. Pistolety rosyjskie były ponadto zaopatrzone w tłumiki.

Błędy. Popelniał ich zbyt wiele. Jeden gonił następnym. Prędzej czy później przyplacił je życiem.

Wysiadłszy z samochodu włożył broń do kieszeni, przeszedł przez ulicę i trzymając się w jak najgłębszym cieniu, pośpieszył ku Avon Place. Była to dzielnica domków z piaskowca, udekorowanych skrzynkami na kwiaty, które latem rozkwitały bujną roślinnością, lecz obecnie zionęły jałową pustką. Chłodny, wilgotny wiatr od Potomacu niósł odór rzecznej błota, wyziewy silników i smród miasta. Znane zapachy. Zapach rodzinnej ziemi. Teraz jednak wydawały mu się bardzo dziwne.

Stojące tu wcześniej taksówka i mercedes zniknęły, lecz furgonetka Toyota z lustrzanymi szybami stała nadal zaparkowana na ulicy. W oknie pokoju gościnnego na drugim piętrze jego domu migotało słabe światło. Kiedy stał na rogu, wydawało mu się, że widzi jakiś cień poruszający się w oświetlonym pokoju, lecz po chwili cień zniknął.

Czy spodziewali się, że tu przyjdzie? Czy wszyscy odjechali poza tą jedną furgonetką, by spróbować go zwabić w to miejsce? Teraz jest bezpiecznie. Odesłaliśmy naszych ludzi. Któż jednak przebywał na piętrze w jego domu? Gloria czy może ktoś inny? Ktoś z rozkazami z Moskwy: maniak jest na wolności, zlikwidować go natychmiast

Postawił kołnierz płaszcza i ruszył niczym czujny drapieżnik spodziewający się nagłego ataku. Nie spuszczał wzroku z szyby samochodu. Wnętrze pojazdu wypełniała ciemność, gdy jednak podszedł bliżej, zobaczył, że nikt nie siedzi z przodu. Jeśli ktokolwiek był w środku, znajdował się z tyłu w ciemności.

Zatrzymał się pięć metrów dalej i spojrzał w okna salonu. Nic się nie zmieniło, światło nadal iluminowało zasłony, lecz nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

Wyjął pistolet i skrywając go przed wzrokiem niepożądanych oczu, ostrożnie podszedł do furgonetki. Pół przecznicy dalej na Trzydziestej Pierwszej toczył się zwykły uliczny ruch. Tutaj jednak panował absolutny spokój.

To jeden z powodów, dla których kupili ten dom. Okolica była cicha i bezpieczna.

Z tego miejsca widział wnętrze furgonetki. W środku nie było nikogo. Pojazd nie przypominał samochodów używanych do inwigilacji. Nie dostrzegł żadnej radiostacji, chyba że korzystali z krótkofalówek.

Spróbował otworzyć drzwi od strony pasażera. Nawet nie drgnęły. Gdyby to była furgonetka inwigilacyjna nigdy nie zostawiłaby jej zamkniętej w taki sposób. Sekundy stracone na manipulowaniu przy zamku mogłyby okazać się decydujące podczas akcji.

Może Highnote nadał wiadomość, że McAllister przebywa w Arlington Heights i poszukiwania przeniesiono na drugi brzeg rzeki. Wiarygodne?

A może znów szukał wiatru w polu?

Okrążył furgonetkę, wahał się przez chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł po schodkach prowadzących do frontowych drzwi. Nasłuchiwał przy porowatej szybie, lecz nie zarejestrował niczego podejrzanego. Nacisnął na klamkę, która łatwo uległa pod naporem dłoni i drzwi otworzyły się z lekkim trząśnięciem. Ktokolwiek przebywał na piętrze, nie zamknął ich. Kiedyś toczyli z Gloria gorzkie

sprzeczeki na ten temat. Zawsze zapominała na noc zamykać drzwi na klucz, a on bardzo złościł się z tego powodu.

Czy teraz znowu zapomniała, czy może była to pułapka? Jego wewnętrzny system ostrzegawczy działał na wysokich obrotach. Nic się nie zgadzało. Na zewnątrz nic zauważył żadnych śladów grupy inwigilacyjnej. Furgonetka Toyota jako... co? Atrapa, przynęta? Światło w oknie na piętrze zapraszało; wszystko tu gra, Mac. Żadnych kłopotów. Tylko twoja dobra i cierpliwa żona pogrążona w oczekiwaniu; twoja dobra, cierpliwa i zapominalska żona, oczekująca twego powrotu przy nie zamkniętych na klucz frontowych drzwiach.

W wejściu odbezpieczył walthera a następnie uniósł go do góry, zginając łokieć. Czy potrafiłby w tym momencie strzelić do pracownika Agencji albo do agenta FBI? Chryste, czy doszło już do tego?

Prawą stopą popchnął drzwi, które otworzyły się na oścież, a następnie wszedł do ciemnego hallu.

Z góry doleciały go dźwięki delikatnej klasycznej muzyki. Gloria nienawidziła Moskwy, lecz uwielbiała Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa, Prokofiewa. Oczekiwała go na piętrze? Czy nie wydawało się to zbyt oczywiste?

Dom nie różnił się wiele od domów w okolicy; dwupiętrowy, długi i wąski. Na parterze znajdowały się magazynki, pokój dla dziecka, którego nigdy nie mieli, i pomieszczenie dla służby, której nigdy nie zatrudniali. Na pierwszym piętrze pokój gościnny, jadalnia, kuchnia i łazienka, na samej górze dwie sypialnie i kolejna łazienka, a na tyłach budynku podwórze z ogrodem oraz garaż, w którym stał zaparkowany jego peugeot.

McAllister zamknął drzwi i podszedł cicho do podnóża schodów. Korytarz na górze tonął w mroku, lecz teraz wyraźniej słyszał muzykę dochodzącą z oświetlonego pokoju na piętrze. Zdecydowanie Czajkowski. Koncert na skrzypce. Ulubiony Glorii.

Gdy postawił prawą stopę na pierwszym stopniu, z ciemności po prawej stronie doleciał go kobiecy głos. Z magazynku.

- Proszę, niech pan się tam zatrzyma, panie McAllister. Nie chcę pana zastrzelić, lecz uczynię to, jeśli będę musiała.

McAllister zastygł w bezruchu. Głos był młody i przerażony. Przerażeni ludzie popełniają błędy. Czy była jednak sama?

- Kim pani jest?

- Albright. Urząd Bezpieczeństwa. Czekaliśmy na pana.

Ostrożnie odwrócił głowę w lewą stronę i spojrzał w kierunku, z którego dochodził głos. Musiała być gdzieś w tonącym w smolistej ciemności magazynku. Nie widział jej. Pozostali są chyba w Arlington Heights.

- Dopiero co otrzymaliśmy wiadomość - powiedziała. - Nikt jednak nie sądził, że przyjdzie pan tutaj.

McAllister postąpił krok w tył i odwrócił się do niej przodem. Sądził, że nie dostrzegła pistoletu w jego dłoni. Obecność dziewczyny wyjaśniła mu nagle wiele istotnych wydarzeń. Urząd Bezpieczeństwa firmy zwykle zajmował się sprawdzaniem życiorysów przyszłych pracowników. W wyjątkowych przypadkach zlecano mu do tego rodzaju operacje inwigilacyjne. Chciano utrzymać całą sprawę w tajemnicy. FBI najprawdopodobniej też jest w to wmieszane, lecz nie będzie miało wglądu do całej historii. Agenci Urzędu Bezpieczeństwa rzadko nosili przy sobie broń. Nie posiadali odpowiedniego przeszkolenia.

- Proszę podnieść ręce do góry - rozkazała kobieta.

- Niech pani posłucha, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Proszę zadzwonić do Boba Highnote'a. On wszystko pani wyjaśni.

- Ręce do góry...

- Nie - odparł McAllister opanowanym głosem. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli zadzwonisz po kogoś lub zastrzelisz mnie od razu, lecz nie stójmy tak tutaj.

Była amatorką. Czekał, aż popełni błąd.

Wyszła z magazynku i stanęła w słabym świetle sączącym się przez matową szybę frontowych drzwi. Miała nie więcej niż trzydzieści lat i jakieś metr sześćdziesiąt osiem wzrostu. Raczej szczupłej budowy, o pociągłej twarzy, okrągłym, lecz lekko zakrzywionym nosie i średniej długości brązowych włosach. W prawej ręce trzymała automatyczną trzydziestkędwójkę, a palce lewej dłoni zaciskała kurczowo na krótkofalówce. Sprawiała wrażenie niesłychanie zdenerwowanej.

- Przyszedłem tutaj porozmawiać z moją żoną - wyjaśnił McAllister. - Niech twoi ludzie skontaktują się z Highnote'em. Powiedz mu, że tu jestem i że nie sprawię nikomu kłopotu. Czy możesz tyle dla mnie zrobić?

Młoda kobieta zerknęła w górę schodów.

- Moja żona tam jest, prawda? Czeka na mnie?

- Tak - odparła.

- To dobrze - odezwał się McAllister. - Zawołaj swego szefa. Pójdę teraz na górę. 1 Odwrócił się i zrobił ruch, jakby miał zamiar wspiąć się po schodach.

- Chwileczkę - powiedziała ruszając w jego kierunku.

Na taki błąd właśnie czekał.

Zaczął podnosić ręce, czym zdezorientował ją na chwilę, następnie podszedł bezpośrednio do niej, obracając się na lewej stopie tak, że jego ciało znalazło się w zasięgu jej uzbrojonego ramienia. Spróbowała cofnąć się, uciec przed nim, lecz było za późno. Lewą ręką złapał za uzbrojoną dłoń dziewczyny, wykręcił ją gwałtownie do góry i chwycił mały pistolet.

Krzyknęła i zaczęła przykładać krótkofalówkę do ust. McAllister podniósł pistolet zatrzymując lufę tuż przed jej twarzą.

- Naciśnij tylko ten przycisk, a zabiję cię.

Mówił spokojnie, lecz stanowczo.

- O Boże...

- Nie chcę cię skrzywdzić i nie uczynię tego, jeśli zrobisz dokładnie to, co ci mówię. Muszę porozmawiać z żoną, a potem stąd zniknę. Po moim wyjściu będziesz wolna. Na razie musisz zostać ze mną.

- Nie rób tego...

- Nie skrzywdzę cię. Obiecuję - powiedział McAllister wsuwając pistolet do kieszeni, po czym wziął od niej krótkofalówkę i cofnął się.

Polecił jej, żeby pierwsza weszła na schody.

Była przerażona, lecz robiła, co jej kazał. Przeszła obok niego i ruszyła na górę. Szybko odkręcił antenę krótkofalówki i włożył ją do kieszeni, po czym zostawił nadajnik na stole w hallu. Powyżej muzyka zaczęła rozbrzmiewać głośniejszymi akordami. Korytarz na piętrze j został nagle skąpany jasnym światłem.

McAllister znajdował się tuż za plecami dziewczyny, kiedy jego żona pojawiła się u szczytu schodów. Miała na sobie spodnie z szerokimi nogawkami i cienki sweterek. Była bosa.

- Kto tam jest?! - zawołała w dół. - Stephanie?!

Jej głos był matowy, ochryply. Wydawało się, że niedawno płakała.

McAllister przesunął się w bok, wchodząc w krąg światła spływającego z góry.

- To ja - powiedział.

Reakcja Glorii była nagła i zaskakująca. Cofnęła się o krok, jakby właśnie otrzymała bolesny cios, z twarzą wykrzywioną w gniewnym grymasie i z obnażonymi zębami.

- Ty - syknęła.

- Gloria...? - bąknął zmieszany.

To nie miało żadnego sensu.

- Ty gnoju! Po co tu przyszedłeś?! - wrzasnęła. Jej słowa były jak uderzenia młotem zadające niemal fizyczny ból. - Jesteś zdrajcą! Mordercą! Czego chcesz? Nic tu po tobie!

- Posłuchaj mnie...

- Wynoś się! - krzyknęła. - Wynoś się... zdrajco! Wracaj do swoich ruskich przyjaciół! Wynoś się, zanim sama cię zabiję!

To niemożliwe. To nie mogło działać się naprawdę. Nie w ten sposób. Jego oczy ponownie zaszyły mgłą, a ból w głowie spowodował, że zachwiał się do tyłu tracąc niemalże równowagę.

- Zabiję cię własnymi rękami... - skrzeczała Gloria.

Odwróciła się i zaczęła szperać w szufladzie małego stolika.

Stephanie Albright również cofnęła się krok w tył.

- Pani McAllister...?

To był rewolwer. Trzymali w domu trzydziestkęósemkę. Naprawdę zamierzała go zabić. Po prostu nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom. Cały jego świat został nagle odwrócony do góry nogami.

Gloria stanęła u szczytu schodów trzymając pistolet w wyciągniętych rękach. Pierwsza kula świsnęła w powietrzu roztrzaskując lustro wiszące na ścianie na półpiętrze.

Stephanie Albright pełznąc w dół po schodach starała się zejść z linii strzału. McAllister instynktownie postąpił krok w bok i do tyłu, próbując skryć się w cieniu i uchylać się na boki, by uniknąć nadlatującego pocisku.

Gloria wystrzeliła jeszcze raz i jeszcze, trafiając McAllistera wysoko w lewy bok, tuż poniżej pachy. Straszliwy ból eksplodował mu w klatce piersiowej.

Na chwiejnych nogach zsunął się ze schodów, gdy tymczasem Stephanie dotarła do drzwi frontowych i otworzywszy je na oścież, zniknęła w ciemnościach nocy.

## Rozdział 7

Gloria wystrzeliła jeszcze dwukrotnie. Jeden z pocisków roztrzaskał matową szybę w drzwiach i rykoszetem odbił się od chodnika wydając przy tym przenikliwy świst.

McAllister stał w ciemnościach, mocno przyciskając do boku lewe ramię, aby zatamować upływ krwi. Widział nogi żony na półpiętrze. Zatrzymała się, po czym wyszła z cienia.

- Gloria? - wyszeptał zduszonym głosem.

W jej oczach pojawiły się złe błyski. Podniosła rewolwer mierząc prosto w jego twarz i bez wahania pociągnęła za cyngiel. W nieruchomej ciszy rozległ się trzask zamka spustowego; dla bezpieczeństwa nigdy nie ładował więcej niż pięć kul. Zapomniała lub źle policzyła. Nie miało to żadnego znaczenia. W każdym razie chciała, żeby był martwy.

- Dlaczego? - spytał miękko.

Serce waliło mu jak młotem.

- Gnój! - wrzasnęła i splunęła w jego kierunku.



Odwróciła się i pobiegła po schodach na górę. Przez chwilę myślał, żeby pójść za nią. Lecz przecież wszystko się teraz zmieniło. Pozbawiono go jakiegokolwiek oparcia. Przestał być czegokolwiek pewien, łącznie ze sobą.

Odwrócił się i spojrzął na zewnątrz. Stephanie Albright otwierała właśnie drzwi toyoty. Popełniła błąd zamykając furgonetkę na klucz. McAllister automatycznie zarejestrował ten fakt. Wydawało się jednak, że w obecnej sytuacji mógł, a nawet powinien był poczekać, aż go pojماją. Ona sprowadzi pomoc. Przyjdą po niego i nastąpi wielki finał. Nie będzie musiał już więcej walczyć. Był zdezorientowany i ranny. Czuł się gorzej niż na Łubiance, kiedy leżał przytroczony do metalowego stołu w izbie tortur, wsłuchując się w coraz wolniejszy rytm własnego serca.

Oczami wyobraźni ujrzał Mirosznikowa stojącego nad nim, uśmiechającego się, mówiącego mu, że zaszli wspólnie już tak daleko. Wzdrygnął się. Gdyby teraz się poddał, oni by zwyciężyli... kimkolwiek byli i czegokolwiek od niego chcieli. Nie należał jednak do tego typu ludzi. Nigdy nie miał takiej natury, od samego początku.

Stephanie Albright właśnie siadała za kierownicą toyoty, kiedy McAllister wreszcie wyrwał się z oszołomienia. Obrócił się na pięcie i nie patrząc do tyłu wypadł przez otwarte drzwi, zbiegł ze schodków i przebiegł przez ulicę.

W ciemności rozległ się warkot silnika furgonetki. Przystawił rewolwer do okna, celując bezpośrednio w głowę dziewczyny.

Podniosła wzrok trzymając jedną rękę na kierownicy, a drugą na drążku zmiany biegów.

- Potrzebuję twojej pomocy! - zawołał.

Trzęsła się. Otwierała i zamykała usta, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Na Trzydziestej Pierwszej ruch uliczny płynął niczym leniwa rzeka. Wydało mu się to nierealne.

- Jeszcze trochę. Potem pozwolę ci odejść. Obiecuję.

- Nie - jęknęła.

McAllister szarpnięciem otworzył drzwi.

- Nie zrobię ci krzywdy, przysięgam na Boga, nie zrobię.

- Czego chcesz?

- Po prostu zabierz mnie stąd. To wszystko.

McAllister usiadł bezpośrednio za Stephanie Albright. Ruszyli. Przejechali most Key i skierowali się na północny zachód wzdłuż szerokiej, ulicy Waszyngtona, która biegła równoległe do rzeki.

Kiedy znaleźli się daleko od światła miasta, położył broń na siedzeniu obok siebie, rozpiął koszulę i zbadał ranę palcami prawej ręki. Pocisk kalibru trzydzieści osiem utkwiał mu w piersi pod pewnym kątem, kilka centymetrów w lewo od serca, robiąc nacięcie w żebrze i wychodząc poniżej łopatki. Kula nie poczyniła dużych spustoszeń i z rany sączyła się jedynie niewielka strużka krwi, lecz cały lewy bok był bezwładny od ramienia aż po biodro. McAllister odczuwał silne zawroty głowy - skutek nie tyle ostatniej rany postrzałowej, co potężnego ciosu w tył czaszki. Wcisnął chusteczkę pod koszulę.

Potrzebował opieki medycznej, a także snu i jedzenia, lecz jeszcze bardziej potrzebował odpowiedzi.

- Nie możemy tak jeździć przez całą noc - odezwała się Stephanie Albright. - Na pewno już mnie poszukują... i furgonetki.

- Miejmy nadzieję, że nie znajdą nas zbyt szybko - odparł McAllister.

- Zbyt szybko na co? - spytała spoglądając na niego w lusterku wstecznym. - Zamierzasz mnie zabić?

- Nie, jeżeli będziesz robiła dokładnie to, co ci mówię.

- Więc powiedz coś - krzyknęła niemalże.
- Jedź dalej - odparł znużonym głosem.

Podniósł rewolwer i położywszy go sobie na kolanach odchylił głowę do tyłu na oparcie siedzenia.

Robert Highnote i Gloria. Dwoje ludzi, którym ufał bardziej niż komukolwiek na świecie, odwróciło się od niego. Nazwało go zdrajcą, mordercą. Nie potrafił wyrzucić z pamięci widoku twarzy Glorii wykrzywionej w grymasie nienawiści i obrzydzania. To bolało bardziej niż doznane rany. W tym fachu nie można nikomu ufać, chłopcze. Słowa wróciły do niego ponownie. Aż do tego momentu nie rozumiał nigdy ich prawdziwej wymowy. Pomimo niebezpiecznego zawodu prowadził dotąd stosunkowo bezpieczne życie. Zawsze mógł się zwrócić do Glorii czy do Langley o pomoc, pocieszenie, zrozumienie, wsparcie. Teraz ludzie, których kochał, w których pokładał zaufanie, chcieli go pojmać i zabić.

Oczywiście mógł uciekać. Był ekspertem w ukrywaniu się. Gdzieś w Europie, na greckiej wyspie, gdziekolwiek. Może na Karaibach. Lecz jak długo uda mu się pozostawać w ukryciu? Prędzej czy później go dopadną. Jeśli Agencja czy KGB bardzo tego chciały, odnajdywały praktycznie każdego. Zbyt wielu ludzi znało jego zwyczaje, a co ważniejsze - jego słabe punkty. Stary mędrzec firmy, Wallace Mahoney, wykladał kiedyś na Farmie: „...poznają cię po twoim rzemiośle.” Podobnie jak wiele innych rzeczy w Agencji, ta raz przyswojona litania dominowała dalsze życie.

W Waszyngtonie mógł znaleźć wszystkie odpowiedzi. Lecz do kogo teraz miał się zwrócić?

*W tym fachu nie można nikomu ufać... chyba że jest to ktoś zupełnie nie zainteresowany całą sprawą.*

On jednak potrzebował odpowiedzi, co oznaczało, że potrzebuje kogoś, kto wie... co?

Dryfował we własnych myślach. Umysł dokonywał skojarzeń, odrzucał pewne powiązania, prześlizgiwał się przez nazwiska, miejsca i daty.

Janos Sikorski. Człowiek, który znał odpowiedzi.

Usiadł prosto.

- Jedziemy do Reston.

Popatrzyła na niego ponownie w lusterku wstecznym.

- Reston?

- Na drodze do Dulles.

- Wiem, gdzie to jest - zachnęła się. - Dlaczego akurat Reston? Czego tam szukasz?

- Odpowiedzi - odrzekł. - Mam taką nadzieję.

- Jesteś szalony - warknęła. Strach ustąpił złości. - Dlaczego nie pozwolisz, żebym zawiozła cię do Langley?

- Bo ktoś próbuje mnie zabić.

- Łącznie z twoją żoną.

- Tak - odparł miękko McAllister czując ukłucie bólu. - Zawieź mnie do Reston.

- A potem pozwolisz mi odjechać?

- Zobaczymy.

Dom Sikorskiego był w istocie obszerną chatą stojącą przy końcu długiej, polnej drogi za Sunset Hills, na południowy wschód od miasteczka Reston. Odnalezienie tego miejsca w ciemności zabrało im prawie godzinę. McAllister był tu wcześniej tylko dwukrotnie. Raz z ojcem jakieś piętnaście lat temu, a potem przed sześciu laty, kiedy Sikorski odchodził na emeryturę z Agencji i zaprosił cały tłum na przyjęcie, które nazwał „Idę w cholerę”.

Opuścił Polskę latem roku 1939, kilka tygodni przed inwazją nazistowską. Wraz z kilkoma innymi emigrantami pracującymi dla brytyjskiego wywiadu założył małą firmę. Po wojnie odszedł na wcześniejszą emeryturę - przez tyle lat miał do czynienia z bronią, walką i zabijaniem, że starczyłoby na dziesięć żywotów. Pod koniec lat czterdziestych ojciec McAllistera zdołał zwerbować go do świeżo opierzonej CIA. Przez dwadzieścia pięć lat żelazną ręką i przerażająco bystrym umysłem zarządzał w Agencji Sekcją Danych. Mówiono, że jeżeli Sikorski czegoś nie wiedział, to znaczy, że nie było warto. McAllister miał nadzieję, że się nie mylono.

- Co to za miejsce? - zapytała nerwowo Stephanie Albright, kiedy jechali wolno, podskakując na wybojach niezwykle ciemnej i wąskiej drogi.

Drzewa po obu stronach tworzyły swoisty baldachim nad ich głowami.

- Wyłącz światła - rozkazał McAllister.

Na końcu drogi ujrzał bladożółty błysk.

- Co?

- Do cholery, wyłącz światła. Natychmiast!

Wykonała polecenie i w mgnieniu oka droga zniknęła, okryta nieprzeniknioną zasłoną ciemności. Nacisnęła gwałtownie pedał hamulca zatrzymując wóz.

- Nic nie widzę!

McAllister widział. Około pięćdziesięciu metrów dalej dostrzegł ledwie widoczne, przymglone światelka chaty. Znajdowały się wystarczająco blisko. Nie miał złudzeń co do tego, kto go oczekiwał.

- Wyłącz silnik.

- Co?! - zawołała nagle z twarzą wykrzywioną grymasem trwogi.

McAllister podniósł walthera ponad oparciem tylnego siedzenia i przycisnął lufę do jej policzka.

- Zmęczyło mnie sprzeczenie się z tobą. Wyłącz silnik!

- Nie chcę tu umierać - jęknęła.

- Nie dojdzie do tego, jeśli będziesz robiła, co mówię - odpowiedział McAllister. - Na końcu tej drogi stoi chata. Jest tam ktoś, z kim muszę porozmawiać. Wsiądziemy z wozu i pójdziemy tam. Razem. Teraz wyłącz silnik i oddaj mi kluczyki, a obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

- O Boże... o Boże... - szlochała wykonując jego polecenia.

McAllister włożył kluczyki do kieszeni, otworzył boczne drzwi i wysiadł. Zachwiał się i o mało nie upadł. Oparł się o furgonetkę dla zachowania równowagi. Stephanie Albright patrzyła na niego przez okno.

Otworzył jej drzwi. Wychodząc potknęła się, więc złapał ją za ramię i razem ruszyli po wyboistej drodze.

Chata Sikorskiego stała na wąskiej polance u podnóża stromego, zalesionego wzgórza. W oddali na północy ujrzeni światła Reston. Miejsce urzekło malowniczością. Stary chevrolet pickup stał zaparkowany z boku pod wiatą. Światło paliło się jedynie w kuchni. Resztę domostwa spowijały głębokie ciemności.

McAllister przeniósł wzrok z podjazdu na drugą stronę chaty, gdzie dostrzegł przewód linii telefonicznej. Szybkim ruchem wyrwał druty z małej skrzynki odgałęznej. Cokolwiek się wydarzy, wezwanie pomocy będzie dosyć trudne.

Zapukał do drzwi, po czym odszedł na bok, wypychając Stephanie Albright do przodu.

- Jeśli zapyta, powiedz, że przyjechałaś z Agencji. Masz jakieś pytania.

Parę sekund później na ganku rozbłysło światło. Drzwi zaskrzypiały delikatnie i w wejściu pojawił się Janos Sikorski. Dobiał siedemdziesiątki. Długie, zaskakująco siwe włosy okalały pomarszczoną twarz, z której spozierały czarne jak węgiel oczy. Obwisła, niebieskoszara skóra dookoła szyi i policzków przypominała skórę ogara.

Miał na sobie białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, stalowoszare spodnie robocze i łapcie na nogach.

- Hej-ho, cóż to za szczęście mnie spotyka - zawołał z polskim akcentem, nawet po tylu latach używając typowo brytyjskich wyrażeń.

- Witaj, Janos - powiedział McAllister wkraczając w snop światła, zanim Stephanie Albright zdążyła się odezwać.

Starzec wstrzymał oddech i zachwiał się w tył. Złapał za krawędź drzwi, żeby nie upaść. Pobladł na twarzy.

- A to niespodzianka, dzieciaku.

- Potrzebuję pomocy i odezwał się McAllister.

- W to nie wątpię - odparł Sikorski. Potrząsnął głową z kwaśną miną. - Chyba wycofuję ten kawałek o szczęściu. - Jego wzrok powędrował do rewolweru w ręku McAllistera oraz zakrwawionej szyi i boku. - Lepiej wejdz, zanim upadniesz.

Wnętrze chaty, urządzone prostymi meblami, sprawiało całkiem przyjemne wrażenie. W pomieszczeniu znajdowało się mnóstwo książek; na półkach, na kominku, spiętrzone w sterty na krzesłach, stołach, na podłodze, w kątach pokoju.

- Zaopiekowałem się już linią telefoniczną - powiedział McAllister.

- Naturalnie - odparł starzec i spojrzał na kobietę. - Co z nią?

- On mnie porwał - odezwała się sucho.

Sikorski wzruszył ramionami i ponownie skupił uwagę na McAllisterze.

- A więc, dzieciaku, co cię tu sprowadza? Pamiętasz przecież, że jestem na emeryturze. Minęło już sześć lat.

- Potrzebuję pewnych odpowiedzi, Janos - wyjaśnił McAllister.

Odwrócił się plecami do drzwi. Starzec przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed kominkiem. Stephanie stała po prawej stronie w pobliżu wejścia do kuchni.

Wyglądała jak przerażona łania, gotowa zerwać się do ucieczki w każdej chwili.

- Nie wiem, czy potrafię ci pomóc. Rozmawiałeś z Highnote'em?

- Sądzi, że jestem zdrajcą.

Sikorski ponownie wzruszył ramionami.

- Coś o tym słyszałem. Ruscy dali ci porządny wycisk na Łubiance. Mnóstwo ludzi wypadło z gry.

- Narkotyki - odparł krótko McAllister.

- Słyszałem też, że dziś rano w Nowym Jorku załatwiłeś dwóch naszych chłopców.

- Nie zrobiłem tego.

- Rozmawiałeś już z Glorią?

McAllister skinął głową.

Krzaczaste brwi starca uniosły się.

- Rozumiem - powiedział. - Więc co, do diabła, tu robisz w takim stanie? Żaden ze mnie doktor, chociaż z tego co widzę, na pewno piekielnie potrzebujesz konowala.

Poza tym nie jest to żaden piekielny zakon - nie ma tu ucieczki od Filistynów.

- Ktoś chce mojej śmierci, Janos, i nie rozumiem dlaczego. To Rosjanie. Kilka godzin temu w Arlington Heights zabiłem trzech. Czekali, aż się pojawię u Boba.

- Wybacz, dzieciaku, jeśli wydam się nieco sceptyczny, lecz o ile wiem, Rosjanie to twoi kumple. Kiepsko, bo twój stary ojciec był pierwsza klasa i zawsze myślałem, że ty też taki jesteś.

- Po co bym więc tu przychodził? - warknął McAllister.

Ufał Sikorskiemu tak jak ojciec. Od samego początku. Zawsze niezależny Sikorski trwał w Langley niczym opoka. Opisywano go jako mądrego i uczciwego człowieka o niezwykle trafnych osądach.

- To ty mi powiedz - odezwał się ostro starzec.

McAllister powoli opuścił broń i oparł się ciężko o drzwi. Czuł się wyczerpany i znowu zaczynał widzieć podwójnie. Miał coraz większe trudności, by utrzymać myśli w jakimkolwiek porządku. Długo pozostawał pod silnym wpływem adrenaliny i nie pozostało mu zbyt wiele sił. Podniósłszy głowę, spojrzał na Sikorskiego. Zostanie wysłuchany. Od samego początku chodziło mu właśnie o to, żeby ktoś go wysłuchał, a jeśli ktokolwiek potrafił go wysłuchać, to właśnie ten człowiek.

- Zostałem pojmany w Moskwie przez KGB, dwudziestego ósmego października - zaczął McAllister, a odtwarzając bieg wydarzeń, jeszcze wyraźniej uświadomił sobie, jak niewiele pamięta z przesłuchania. Fragmenty obrazów i urywki rozmów z Mirosznikowem przypląły do niego w mglistych wspomnieniach. To jednak nie wystarczyło. *W oczach Sikorskiego widział wyraźnie niedowierzenie.*

*Robimy postępy i bardzo się z tego cieszę, powiedział Mirosznikow. Pan też powinien się cieszyć. Wreszcie pokonaliśmy pierwszą barierę... naprawdę uspaniale.*

Jak dużo im powiedział? Może Highnote mimo wszystko miał rację, może Rosjanie wysłali go z powrotem, aby pracował jako podwójny agent. Ale dlaczego próbowali go zabić?

Sikorski mówił coś, lecz McAllister nie mógł się skoncentrować na jego słowach.

- Jeszcze raz, dzieciaku, po coś tu przyszedł? - spytał stary człowiek podnosząc głos.

Stephanie Albright odwróciła głowę i patrzyła na coś w kuchni. Drżała.

McAllister odepchnął się od drzwi i stanął na chwiejnych nogach. Ręka, w której trzymał broń, zwiślała bezwładnie. Własne ciało wydawało mu się obce. Miał trudności ze skupieniem wzroku na Sikorskim.

- *Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.* Były to słowa Woronina. Co oznaczały?

Sikorski postąpił krok do przodu. Jego zachowanie zmieniło się diametralnie, a twarz wykrzywiła się w maskę nienawiści i furii.

- Coś powiedział? - zawarczał.

McAllister odczuwał mdłości.

- Słyszałem to w Moskwie. Jeden z moich szaleńców... Rozpracowywałem go...

- Przy kim jeszcze wypowiedziałeś te słowa? - zażądał Sikorski, z trudem kontrolując wściekłość.

- Nikomu nie... - zaczął McAllister, kiedy kątem oka dostrzegł pewien ruch. Odwrócił się. Stephanie Albright zniknęła w kuchni. - Stój! - zawołał, lecz w tym samym momencie zgasło światło i ciemności w chacie rozpraszał jedynie migoczący blask rozżarzonych węgli w kominku.

Sikorski szybko podszedł do szafki, nagłym ruchem otworzył szufladę i odwrócił się trzymając w ręku duży automatyczny pistolet. McAllister rzucił się na lewo i ukrył za stojącą między nimi kanapą. Starzec strzelił, a kula utkwiała w grubych drewnianych drzwiach.

- Zdrajca! - wrzasnął Sikorski w zwierzęcej furii. - Dadzą mi medal za twoje ciało!

Stephanie Albright już na zewnątrz usłyszała strzał, a w chwilę później obłąkane okrzyki Sikorskiego. Chciała się zatrzymać, lecz zdawała sobie sprawę, że bez broni nie mogła w żaden sposób pomóc starcowi. Za wszelką cenę należało powstrzymać McAllistera, zanim zabije jeszcze więcej ludzi.

Bięgnąc po piaszczystej drodze, wsadziła rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków od furgonetki, które wyciągnęła McAllisterowi przy wysiadaniu. Uzmysłowała sobie, że w tamtej chwili znajdowała się bliżej śmierci niż kiedykolwiek w życiu. Nie poczuł nic, lecz przez całą drogę do chaty i później w środku, kiedy wygadywał te szalone kłamstwa, miała serce w gardle.

Dotarłszy do toyoty, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi, usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. Nasłuchiwała oczekując kolejnych strzałów, lecz chata tonęła w niezmaconej ciszy. Złowrogiej ciszy. Wyobraziła sobie, jak szalony z wściekłości McAllister wynurza się z ciemności biegnąc w jej kierunku.

Przez kilka drogocennych sekund manewrowała na wąskiej, polnej drodze, a kiedy w końcu udało jej się wykręcić, włączyła światła i przycisnęła pedał gazu. Piasek i żwir wyleciały spod tylnych opon, kiedy pomknęła w kierunku głównej drogi.

Jej umysł analizował wszystkie możliwe rozwiązania. Miała za mało czasu na powrót do Waszyngtonu. Musiała znaleźć telefon. Jak najszybciej, zanim potwór znajdzie się ponownie na wolności. Pomyślała o czterdziestotysięcznym miasteczku Reston. Przy autostradzie będzie stacja obsługi. Telefon. Pomoc.

Niecałe dziesięć minut później na peryferiach miasta zjechała z autostrady i z piskiem opon zatrzymała się przed dystrybutorem paliwa, otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu.

Młody mężczyzna w ciemnoniebieskim kombinezonie wybiegł z jednej z hal wycierając ręce w brudną szmatę.

- Mam strasznie pilną sprawę! - wrzasnęła Stephanie mijając go i pędząc w stronę biura. - Potrzebny mi telefon!

Pracownik pobiegł za nią.

- Potrzebuje pani gliniarzy?! - zawołał.

Wbiegła za kontuar i podniosła słuchawkę.

- Hej! Nie może pani tu wchodzić... - mówił młody mężczyzna, lecz Stephanie stanowczym gestem nakazała mu milczenie.

Wykręciła numer do Langley. Po pierwszym sygnale ktoś po drugiej stronie odebrał telefon.

- Mówi Albright - powiedziała starając się opanować drżenie głosu. - McAllister jest na wolności. Niedaleko Reston.

- Proszę zaczekać - powiedział z obojętnym spokojem oficer Biura Bezpieczeństwa.

Pracownik stacji wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

- Czy to ty, Stephanie? - odezwał się Dexter Kingman, szef bezpieczeństwa.

- Tak - krzyknęła z ulgą. - Jestem na stacji Texaco, tuż za Reston. McAllister wywiózł mnie do jakiejś chaty gdzieś w okolicy. Rozmawiał tam ze starym człowiekiem. Janos... jakiś tam.

- Sikorski - dokończył Kingman. - Gdzie on teraz jest?

- Kiedy uciekłam, nadal był z tym starcem. Słyszałam strzał.

Kingman zwrócił się do kogoś, a gdy zaczął ponownie do niej mówić, wydawało się, że nie może złapać tchu.

- Nic ci nie jest, Stephanie?

- Wszystko w porządku.

- Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz tam będziemy.

## Rozdział 8

McAllister leżał bezwładnie za kanapą. Jak długo? Zerwał się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że nie ma pojęcia. Nagły ruch i upadek wywołały wstrząs w jego głowie. Najprawdopodobniej stracił przytomność.

Nadal miał jednak walthera. Próbował się obrócić, pomagając sobie lewą ręką, lecz ramię ugięło się, a cała lewa strona eksplodowała bólem.

- Janos?! - zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Jedynymi odgłosami, które dolatywały do jego uszu, były trzaski wesołych płomyków w kominku.

- Janos, porozmawiajmy! - zawołał w ciemność. - To nie tak, jak myślisz. Przysięgam na Boga...

Usłyszał jakiś hałas. Po prawej stronie. W kuchni. Szuranie czegoś miękkiego po podłodze. Łapcie Sikorskiego?

- Janos? - krzyknął! McAllister gramoląc się na nogi.

Drzwi kuchni otworzyły się z hukiem.

McAllister rzucił się przez pokój, zmuszając mięśnie do maksymalnego wysiłku. Kręciło mu się w głowie, a serce waliło w piersiach jak młotem. Zatrzymał się w wejściu do kuchni nasłuchując uważnie. Usłyszał coś w oddali. Na zewnątrz. Ktoś biegł.

Rzucił się ku otwartym drzwiom kuchennym i w jednej chwili otuliły go ciemności nocy. Z początku nie mógł odróżnić nic poza ciemną linią lasu, który wyrastał na polance przed chatą, oraz polną drogą prowadzącą w kierunku wzgórza i migającymi w oddali na północy światłami Reston. Potem dostrzegł wąłą postać Sikorskiego znikającą za krawędzią wzniesienia. Rozwiane siwe włosy odbijały się jasną plamą w otaczającym mroku.

McAllister stał w ciemności na chwiejnych nogach, zastanawiając się, co zrobić. Z trudem zbierał myśli. Ten starzec mieszkał tu od sześciu lat. Niewątpliwie znał wszystkie pobliskie ścieżki i bez problemu radził sobie w ciemnościach. Podążanie za nim równałoby się popełnieniu samobójstwa. W odległości stu metrów od chaty było co najmniej kilkanaście miejsc, w których Sikorski mógł się na niego zacząć.

Odwrócił się i pokonawszy ciemności kryjące wąską, polną drogę chwiejnym krokiem skierował się ku chacie. Stephanie musiała być gdzieś w pobliżu. Nie mogła na piechotę daleko odejść. Poklepał się po kieszeni, do której wsunął uprzednio kluczyki od furgonetki, lecz okazało się, że jest pusta. Pozostałe kieszenie też. Kluczy nie było. Miał przy sobie automatyczną trzydziestkędwójkę, lecz nie miał kluczyków. Spojrzał w kierunku chaty. Przecież nie wypadły mu. W jaki sposób...? Nagle uświadomił sobie. Wsiadając z furgonetki wpadła na niego. Pozostawali ze sobą w bliskim kontakcie wystarczająco długo, aby skradła kluczyki.

Chryste. W pewnym sensie podziwiał jej odwagę. Podjęła wielkie ryzyko. Do tej pory mogła już znaleźć telefon. Przybędą inni. Profesjoniści, z rozkazem, aby go zabić. Nie będzie już drogi wyjścia.

Przyszedł mu do głowy pickup Sikorskiego zaparkowany pod wiatą. Do tej pory sprzyjało mu szczęście, zbyt wiele szczęścia. Nie widział jednak powodu, dla którego miało tak być dalej. Starzec mógł nosić kluczyki w kieszeni lub położyć je w pewnym oczywistym miejscu w domu, tak, żeby nie szukać ich więcej niż parę chwil, chwil, których Macowi brakowało.

Szczęście nie opuściło go. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Z bolesnym grymasem na twarzy usiadł za kierownicą, kilkakrotnie nacisnął pedał gazu i przekręcił kluczyk. Silnik zawarczał hałaśliwie. Włączył światła - nie miał czasu na jeżdżenie w ciemności - i wycofał wóz. Brak czucia w lewej stopie sprawił, że szarpnął sprzęgłem tak gwałtownie, iż samochód zakołysał się kilkakrotnie. Wirowało mu przed oczami i z coraz większą trudnością trzymał głowę prosto, nie mówiąc już o tym, że ciągle widział rozmyte podwójne obrazy.

W jakiś sposób udało mu się wyprowadzić półciężarówkę i ruszył polną drogą. Czas. Musiał jak najszybciej i możliwie jak najdalej odjechać od tego miejsca, zanim zostaną odcięte wszystkie drogi ucieczki.

Lecz dokąd?

U podnóża wzniesienia skręcił w lewo na drugorzędną szosę prowadzącą do Reston. O tej porze panował niewielki ruch, lecz za każdym razem kiedy oślepiały go światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu, na chwilę tracił poczucie rzeczywistości i wozem miało po całej drodze. Kilka minut później przejechał pod drogą dojazdową do lotniska Dulles. Zmierzał na południe w kierunku Wirginii. Ruch niemalże zamarł. W pewnym momencie wydało mu się, że przez otwarte okno słyszy wycie syren, całego mnóstwa syren daleko na południowy wschód od Waszyngtonu. Zjechał na pobocze, wyłączył silnik i światła, i wysiadłszy z wozu wsłuchiwał się uważnie. Dźwięki napłynęły ponownie, niesione na delikatnych skrzydłach nocnego wiatru. Syreny. Z trudem skupiając wzrok, nisko na wschodnim niebie dojrzał wolno poruszające się punkciki światła. Prawdopodobnie helikoptery. Bardzo chcieli go dostać, a kiedy zrozumieli, że uciekł, rozesłali pogoń we wszystkich kierunkach.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Od wczesnych godzin rannych, kiedy rozpoczęło się to szaleństwo na lotnisku JFK w Nowym Jorku, nieustannie pędził. Zaczynało mu brakować sił. Potrzebował schronienia, apteczki pierwszej pomocy, jedzenia, snu; właśnie w tej kolejności. Wgramolił się z powrotem do samochodu, uruchomił silnik, nacisnął przełącznik świateł i wyjechał na autostradę.

Po lewej stronie w odległości dwudziestu pięciu kilometrów widział lunę świateł Waszyngtonu. Potomac znajdował się pomiędzy nim a miastem. Nie dawało mu to spokoju. Rzeka wijąca się leniwie na południe przez Aleksandrię, Woodbridge i kilkanaście małych miasteczek aż do zatoki Chesapeake wydała mu się w tym momencie w pewnym sensie ważna.

Szukaj anomalii. Nieregularności. Kawałków, które zdają się nie pasować do całości. W tych zaułkach znajdziesz odpowiedzi.

Potomac. Apteczka pierwszej pomocy. Jedzenie. Odpoczynek. Rzeka.

Ponownie dokonywał luźnych skojarzeń. Za każdym razem myśli powracały do rzeki. Coś w tym było, coś zapamiętanego z przeszłości.

Ciepłe, letnie popołudnie. Drinki, jedzenie, miłe towarzystwo. Gloria zadrapała sobie kolano o instalacje pokładowe. Żeglowali po rzece. Ktoś niewprawnie zabandażował jej nogę. Wszyscy się z tego śmiali... a szczególnie Bob Highnote. Nazywała się Merrilee i stała na przystani gdzieś na południe od miasta.

W Dumfries. Przypomniał sobie nazwę miasteczka, gdy w jego zmęczonym umyśle pojawiły się strzępy wspomnień: żarty, które wymyślali na ten temat i na temat głupiego wypadku Glorii.

Poznają cię po twoim rzemiośle. Zrób coś niespodziewanego. Wbiegnij do środka, kiedy spodziewają się, że wybiegniesz na zewnątrz. To zasada dziecięcej zabawy: schować się w naparstku.

Potrzebował odpoczynku, a jeszcze bardziej czasu na zebranie myśli, na wyciągnięcie odpowiednich wniosków. Reakcja Sikorskiego na tajemnicze słowa Woronina była natychmiastowa, co dodawało tym słowom złowrogiego wymiaru. W tej chwili wiedział, że rozwiązanie tej zagadki jest jedyną nadzieją na przetrwanie. Jakże kruchą nadzieją.

Wilgotny, chłodny wiatr wiał prosto od rzeki, podnosząc białe grzywacze w wąskiej zatoczce położonej przed niewielkim miasteczkiem Dumfries. McAllister zostawił ciężarówkę na dużym parkingu jedną przecnicę od przystani jachtowej. Zza siedzenia wyjął łyżkę do zmiany opon, zatknął ją sobie za pas pod płaszczem i ruszył nabrzeżem w stronę opustoszałej mariny. O tej porze roku wielu właścicieli wyciągnęło swoje łódki z wody, lecz pozostało jeszcze przynajmniej pięćdziesiąt jednostek różnych rozmiarów. Fały trzepoczące na wietrze uderzały o aluminiowe



maszty w dźwięcznej, niemal melodyjnej kakofonii. Wszystkie łodzie podskakiwały lekko na falach przetaczających się przez mały porcik.

Miasteczko emanowało spokojem. W miarę możliwości starał się trzymać najbardziej zacienionych miejsc. Kierowca przypadkowo przejeżdżającego samochodu nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Na przystani nie zauważył żadnego stróża, a biuro komendanta portu było zamknięte. Znalezienie czterdziestopięciostopowej łodzi Highnote'a nie zabrało mu więcej niż pięć minut. Stała bezpiecznie zacumowana pomiędzy dwoma wąskimi pomostami, dwie trzecie drogi za głównym portem. Wskoczył bezszelestnie na pokład i przycupnął przy głównym luku, spodziewając się, że wilgotne powietrze zostanie rozdarte przenikliwym wyciem alarmu lub że ktoś wyłoni się z ciemności i zapyta, co robi na pokładzie.

Nikt się nie pojawił. Przystań zionęła pustką.

Wyciągnął łyżkę zza paska, wsadził ją pomiędzy skobel a drzwi i wykorzystując ciężar swego ciała z całej siły szarpnął w dół. Zamek wytrzymał, lecz skobel pękł przy wtórze głośnego szczęknięcia, a cały mechanizm spadł z głuchym trzaskiem na pokład ze szklanego włókna.

McAllister ponownie przycupnął się w ciemnościach spodziewając się, że ktoś przyjdzie sprawdzić ten harmider, lecz gdy minęła minuta, z zadowoleniem przekonał się, że nikt nie mógł go usłyszeć z tej prostej przyczyny, iż nie było tu żywej duszy.

Zszedł do środka zamykając za sobą drzwi, upewnił się, że zasłonki idealnie zasłaniają okna i na wyczucie zaczął szukać tablicy rozdzielczej, którą znalazł po kilku minutach. Włączył przycisk akumulatora, blokadę świateł w kabinach, a następnie mały, esowaty przewód prowadzący do lampki nad stolikiem. Wnętrze dużej łodzi wypełniło się delikatną, czerwawą poświatą.

Kolana trzęsły mu się z wyczerpania. Musiał oprzeć się o stolik dla utrzymania równowagi i w końcu zdołał złapać oddech. Droga z przecznicy do łodzi i dostanie się do środka kompletnie pozbawiły go resztek sił.

Po minucie zaczął rozglądać się za apteczką pierwszej pomocy. Znalazł ją w szafce na dziobie. Około dziesięciu minut zabrało mu znalezienie zaworów od propanowego piecyka (z których jeden znajdował się na zewnątrz w kabinie ze zbiornikami na wodę) i nastawienie wody do gotowania. Położył na stole walthera Highnote'a i automatyczną trzydziestkądwójkę Stephanie Albright, po czym zdjął kurtkę i odlepił od ciała zakrwawioną koszulę. Chusteczka mocno przyłgnęła do rany na piersi, więc musiał ją wyszarpnąć, co wywołało obfite krwawienie. W okolicy barku i nieco poniżej utworzył się potężny siniak, lecz McAllister zdawał sobie sprawę, że i tak miał sporo szczęścia. Ponownie. Gdyby został trafiony kilka centymetrów w prawo, wszelkie troski i radości tego życia już dawno przestałyby go obchodzić.

Nasączył zwój papierowych ręczników wodą utlenioną, którą znalazł w apteczce, i delikatnie przemył ranę postrzałową w boku, a następnie głębokie cięcie na czole.

Ostrożnie i z uwagą, jako że i tak nie mógł poruszać się szybciej, wyciągnął długie paski przylepca z rolki i przykleił je do krawędzi stołu, po czym złożył dwa duże kawałki gazy, wyjęte z jednego ze sterylnych opakowań.

Kiedy woda zaczynała wrzeć, zamoczył czysty ręcznik i delikatnie obmył obie rany, a potem resztę boku i piersi, ścierając możliwie jak najwięcej zakrzepłej krwi.

Po obmyciu z ran sączyło się sporo krwi, więc przez kolejne pół godziny smarował gazę kremem dezynfekującym i przykładał ją nabrzmiałymi i bezwładnymi palcami. Cały bok miał tak sztywny i obolały, że za każdym razem gdy wykonał nieodpowiedni ruch, prawie tracił przytomność.

Kiedy zmusił się, aby przyrzucić zupę w proszku, pojawiły się halucynacje. Ojciec pomógł mu znaleźć puszkę wody i paczkę sucharów. Znalazł również jeden ze starych swetrów Highnote'a.

Ojciec nie zmienił się zbyt wiele. Wciąż miał na sobie wymuskaną kurtkę myśliwską z wełnianą kamizelką pod spodem i jedwabny, staromodny krawat, misternie zawiązany pod szyją. Siedząc po drugiej stronie stołu McAllister dostrzegł, że wasy ojca posiwiły, i zaczął się zastanawiać, czemu nie nosi munduru. Uwielbiał go nosić i uwielbiał jak nazywano go generałem.

Podczas gdy McAllister jadł zupę, ojciec opowiedział mu pewną historię.

- Pod koniec lat czterdziestych gościliśmy w Waszyngtonie wysokiego rangą oficera brytyjskiego wywiadu. Specjalizował się w Sowietach i zajmował się nawiązywaniem kontaktów między CIA i FBI po tej stronie Atlantyku, oraz między SIS i MI5 w Anglii. Dopiero co rozkręciliśmy ten interes, więc można powiedzieć, że Bóg go nam zesłał. Wiesz przecież, jak to jest. W tamtych czasach działo się mnóstwo rzeczy, których nie potrafiliśmy zrozumieć; jedna ręka nie wiedziała, co robi w tym czasie druga. Przypominało to powolne tonięcie. Oczywiście ludzie chętnie skupili się wokół faceta, który rzucił koło ratunkowe. Pojawił się jednak pewien problem. A mianowicie gościa tego trudno było pojąć. Coś jak ślepi Indianie i słoń. Człowiek ten buńczucznie obnosił się ze swoim smokiem, wpasowując się to tu, to tam do każdego zadania otrzymanego z Waszyngtonu. Członek eleganckiego świata. Tajfun, jeśli chodzi o pracę papierkową i organizację. Nie upłynęło sześć miesięcy od jego przyjazdu, a już postawił wszystkie nasze sekcje na nogi, a robota zaczęła palić się w rękach. Posiadał genialny zmysł administracyjny. A przy tym wszystkim darzył ogromną sympatią Stany Zjednoczone. Zwykł wpadać do ciebie o każdej porze dnia i nocy z jednym ze swych niezwykłych pomysłów, aby ułatwić ci to, co akurat robiłeś. Był czymś w rodzaju odpłaty za wszystkie lata zastoju. No i wreszcie... był rosyjskim szpiegiem. Sprzedawał nas i Brytyjczyków. Trwało to latami. Do samego końca jego ludzie przekonywali Hoovera, aby spuścił z tonu, zamknął akta. Dopiero kiedy zniknął ze swej placówki w Bejrucie w sześćdziesiątym trzecim i pojawił się potężny i mocarny w Moskwie, poznaliśmy jego drugie oblicze. Rozumiesz, Philby uosabiał te wszystkie cnoty, wszystkie równocześnie... i jeszcze więcej. Był jednak tylko człowiekiem. Nie bądź ślepy, chłopcze, tym razem postrzegaj wszystko.

- Dziękuję - powiedział głośno McAllister, lecz ojciec już zniknął.

Wstał czując się słabiej, niż sobie wyobrażał, i chwiejnym krokiem przeszedł do dziobowej kabiny, i runął na łóżko. Ciężkie jak ołów powieki zamknęły się natychmiast.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.  
Zdrajca!*

Przez całą drogę do miasta, gdy oddalała się od położonej na wzgórzu chaty Janosa Sikorskiego, coś nie dawało Stephanie Albright spokoju. Trapiły ją pewne słowa... a raczej nie dokończona fraza.

- *Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.* Słowa McAllistera wymówione zbolonym szeptem, prawie jakby znajdował się w jakimś transie. Słyszała je, Sikorski również. Starzec jednak nie wspominał o tym. Nie powiedział absolutnie nic na temat wymiany czy swojej reakcji. McAllister pojawił się z nią, poprosił o pomoc, w zamieszaniu Sikorski chwycił za broń i otworzył ogień. Ot i cała historia.

Teraz w sprawę wtrąciło się FBI. Rozesłano opisy ciężarówky, którą uciekł McAllister. Znajdą go prędzej czy później.

- Wygląda na to, że biega po wszystkich swoich starych znajomych - odezwał się jej szef, Dexter Kingman.

- Tylko po kilku przyjaciółach - mruknęła.

Przez las przepływała fala agentów FBI i Biura Bezpieczeństwa Agencji. Z Bazy Sił Powietrznych Andrews sprowadzono trzy helikoptery. Penetrowały autostrady wychodzące z Reston.

- Prawdopodobnie trochę się spóźniliśmy - stwierdził Kingman. - Ale nie odjedzie zbyt daleko, skoro rzeczywiście jest w tak kiepskim stanie, jak opisywałaś. Będzie musiał znaleźć jakąś mysią dziurę, jakieś miejsce, żeby opatrzyć rany. Znajdziemy go.

Kingman, potężny południowiec o wydatnej klatce piersiowej i ogorzalej, śniadej cerze, szkolił się jako psycholog, lecz szybko wspiął się po drabinie służby bezpieczeństwa i został szefem wydziału. Wszyscy jego ludzie, włączając Stephanie, darzyli go nieklamany szacunkiem, chociaż czasami miewał przestarzałe poglądy i bywał apodyktyczny.

- Miałaś szczęście, Stephanie - powiedział.

Spojrzała na niego.

- Mógł cię zabić. Dziwne, że tego nie zrobił.

Tak, pomyślała sobie, to dziwne, że jej nie zabił. Mógł, a nawet powinien był to zrobić. Kiedy dotarli do ciemnego lasu otaczającego dom Sikorskiego, mógł ją zastrzelić i zostawić jej ciało gdzieś z dala od drogi. Nie znaleźliby jej aż do rana, a może poszukiwania zabrałyby wiele dni.

W ten sposób znacznie ułatwiłyby sobie ucieczkę.

Nie zabił również tego starca. Sikorski przyznał, że McAllister nie odpowiedział na jego strzał. On sam zaś wystrzelił tylko raz, po czym wczuł się do kuchni, a następnie uciekł w las zbiegając ze wzgórza.

- Według mnie to się kupy nie trzyma - powiedział do niej Kingman, zanim wyszła.

Wysłał ją do domu, żeby mogła się spokojnie przespać.

- Ciągłe mówił, że ktoś próbuje go zabić i że potrzebuje jakichś odpowiedzi.

- Mnie również przydałoby się kilka odpowiedzi - odrzekł szef bezpieczeństwa kręcąc głową. - Znaleźliśmy jego kumpli w Arlington Heights.

Stephanie spojrzała na niego pytająco. W tym miejscu roilo się od ludzi z Agencji i Biura, lecz przez chwilę zostali sami, poza zasięgiem słuchu.

- Rosjanie?

Kingman skinął głową.

- Pół przecznicy od domu Highnote'a. Wszyscy trzej nie żyją. Z tego co mi przekazano, nie był to zbyt miły widok. Dwóch zmarło od ran z broni palnej, a trzeciemu skręceno kark.

- A zatem czemu... - Stephanie chciała zadać oczywiste pytanie, lecz Kingman jej przerwał.

- Nie wiem. Jeśli uda się nam wziąć go żywego, może się dowiemy. - Ponownie pokręcił głową. - Do cholery, to przechodzi moje pojęcie, Stephanie. Naprawdę.

W Aleksandrii miała mieszkanie, które dzieliła z dziewczyną ze State. Zamiast jednak pojechać na południe obwodnicą Capital, pozostała na autostradzie wiodącej z powrotem do Waszyngtonu, przejechała rzekę mostem Key i wjechała do Georgetown. Było późno, prawie pierwsza w nocy, a ona odczuwała śmiertelne wyczerpanie, lecz absolutnie nie chciało jej się spać. Jej umysł tętnił niezliczonymi przypuszczeniami. W McAllisterze, w jego sposobie zachowania, jego czynach, słowach, które wypowiedział, kryło się coś, co nie dawało jej spokoju. Nie zachowywał się jak obłąkany, odmieniony agent, co usiłowano jej wmówić. Zachowywał się raczej jak... kto? Niesłychanie

zdezorientowany człowiek, który desperacko czegoś poszukuje. Rozwiązania jakiejś śmiertelnej zagadki.

A Rosjanie w Arlington Heights? Przynajmniej co do nich mówił prawdę.

*Wygląda na to, że biega po wszystkich swoich starych znajomych, powiedział Kingman. Będzie musiał znaleźć jakąś mysią dziurę, jakieś miejsce, żeby opatrzyć rany.*

Na Trzydziestej Pierwszej ruch ustał prawie całkowicie, lecz kiedy skręciła w Avon Place, została zatrzymana przez blokadę drogową, którą zorganizowała waszyngtońska policja, i musiała pokazać swoją kartę identyfikacyjną z Agencji.

- Wasi ludzie są w środku - powiedział policjant przepuszczając ją.

Zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy na wprost domu McAllistera, wysiadła z wozu i weszła do środka. Dwóch agentów Biura w czapkach baseballówkach i ciemnoniebieskich wiatrówkach z żółtym napisem FBI na plecach rozmawiało z Hollisem Winchesterem, jednym z oficerów Urzędu Bezpieczeństwa Agencji.

- Coś nowego? - spytał, kiedy weszła.

- Przyjechałam z Reston. Nadal przebywa na wolności. - Spojrzała na górę schodów. - Czy ona jeszcze tam jest?

- Pan Highnote przyszedł po nią jakąś godzinę temu.

Stephanie spojrzała na niego. Ta wieść zmartwiła ją, lecz nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego. Wydało jej się dziwne, że zastępca szefa operacji osobiście roztacza opiekę nad żoną agenta, z którym są kłopoty. Zabójca. Zdrajca. Miała jednak ciężką noc i nie mogła rozsądnie myśleć. Co ona tu właściwie robiła?

- Pójdę na chwilę na górę - zakomunikowała.

- Czy masz coś, o czym powinienem wiedzieć? - zapytał Winchester mrużąc oczy. Agenci Biura obserwowali ją bacznie.

- Nie - odparła z przekąsem Stephanie i udała się na górę.

W domu paliły się wszystkie światła. To również ją uderzyło. Gloria McAllister zdecydowała się na całkowitą współpracę. Centymetr po centymetrze przeczesał cały dom w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby pomóc w odnalezieniu jej męża. Tego ranka przybyło sześciu ludzi z obsługi technicznej i rozłożyło na części cały dom ...właściwie było to wczoraj rano. Nic jednak nie znaleźli i wynieśli się wczesnym popołudniem. Wszyscy się wynieśli. Po co więc te światła?

Na pierwszy rzut oka wydawało się oczywiste, że to miejsce zostało dokładnie przeszukane, choć Gloria poczyniła pewne próby, aby doprowadzić wszystko do porządku. W pokoju gościnnym stały przyjemne i nowoczesne meble; wygodna kanapa, niewielka, dwuosobowa sofa, szklany i mosiężny stolik, kilka dobrych obrazów na ścianach i mnóstwo książek i przedmiotów z całego świata. McAllisterowie dużo podróżowali, a ten pokój stanowił niewątpliwie centrum ich życia. Swego rodzaju azyl, przyszło na myśl Stephanie. Taki sam azyl, jakim była Gloria. Dlatego McAllister tu przyszedł, mimo że zdawał sobie sprawę, iż dom jest pod obserwacją. Musiał przeżyć niemały szok, kiedy Gloria obróciła się przeciwko niemu.

Rozejrzała się po salonie, przeszła obok półek z książkami, spoglądając na niektóre tytuły, na fragmenty z życia McAllisterów: niezwykle stary, ręcznie robiony, prawdopodobnie grecki wazon, mosiężna łódź na polerowanej granitowej podstawie, misternie rzeźbiona figurka woskowa, przedstawiająca średniowiecznego czarodzieja, kufel piwny z posrebrzonym wieczkiem, kilka fotografii w akrylowych oprawkach... uśmiechnięte twarze, szczęśliwe czasy spędzone z przyjaciółmi... zimowe sceny, letnie sceny na wodzie.

W kuchni dwie filiżanki, łyżeczka i dzbanek do kawy ustawiony do góry nogami na suszarce. Gloria wypłukała je, zanim wyszła z Highnote'em. Stephanie przyjrzała

się im uważnie. Wszystko uderzało ją swoją osobliwością. Było bardzo późno i przeszła wiele. *Masz szczęście... Mógł cię zabić.. Dziwne, że tego nie zrobił.*

Ta kobieta strzelała do swojego męża. Zraniła go. Krzyczała na niego. Nazwała zdrajcą. A potem wróciła tutaj i pozmywała naczynia po kawie.

*Wygląda na to, że biega po wszystkich swoich starych znajomych.*

Najpierw Robert Highnote. Potem żona. Następnie Janos Sikorski. Kto będzie następny?

*Będzie musiał znaleźć jakąś mysia dziurę, jakieś miejsce... opatrzyć rany.*

Stephanie odwróciła się nagle i podbiegła do półek z książkami w salonie. Do fotografii. Szczególnie do jednej.

Zdjęła ją z półki i przyjrzała się wnikliwie. McAllisterowie siedzieli w kokpicie czegoś, co wyglądało na dużą żaglówkę. Na kolanie Glorii widniał niezdarnie zawiązany bandaż. Highnote uśmiechając się szeroko właśnie wchodził przez luk z trzema kieliszkami wina. Łódź była przycumowana na przystani, a ten, kto robił zdjęcie, stał w pewnym oddaleniu z boku. Po przeciwnej stronie sztapła znajdowała się duża tablica przyczepiona do słupka. Odczytała słowa. PRZYSTAŃ JACHTOWA W DUMFRIES. Znała tę okolicę.

Mysia dziura? Miejsce, w którym można się schronić, opatrzyć rany?

Łódź zakołysała się i bardzo delikatnie dotknęła pomostu. Ruch ten różnił się nieco od ruchów wywołanych przez fale. Jakaś anomalia. McAllister otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, co się dzieje.

Ktoś wszedł na pokład. Kiedy oprzytomniał, usłyszał ulotne szuranie skórzanych butów o pokład ze szklanego włókna. Ktokolwiek znajdował się na górze, starał się poruszać bezszelestnie.

McAllister usiadł gwałtownie, co przyprawiło go o falę zawrotów głowy i mdłości. Na gorącym czole pojawiły się kropelki potu. Znaleźli go. W jakiś sposób natrafili na jego trop i odnaleźli kryjówkę.

Chryste, czy już nigdy nie zazna spokoju?

Oczywiście dostrzegli ciężarówkę, a co gorsza, zapomniał wyłączyć lampkę migoczącą wesołym światłem na stoliku. Wnioski nasuwały się same. Sprawdzić wszystkie możliwości. Jest profesjonalistą. Oczekuj po nim nieoczekiwanego.

McAllister zaczął wyczołgiwać się z koi na dziobie. Pistolety leżały na stoliku w głównej kabinie. Pokrywa luku otworzyła się nagle i na tle ciemnego nieba zarysowała się sylwetka mężczyzny.

Nie ma już czasu! Rzucił się do tyłu i nerwowo otworzył drugi luk znajdujący się nad posłaniem. Silne sprężyny odsłoniły pokrywą trzeszcząc niemiłosiernie. W tym samym momencie padł strzał.

- Uważaj! - zawołał jakiś głos.

McAllister podciągnął się, oparł brzuchem o krawędź luku i wypełził na przedni pokład, niepomny na nie zasklepione rany. Nocny wiatr wydał mu się przeraźliwie zimny.

Zaczął się odwracać, kiedy rozległy się dwa stłumione strzały. Pierwsza kula trafiła go w bok, a druga uderzyła w głowę. Potężna siła cisnęła jego ciałem w tył. Lina ratownicza zaplątała mu się między nogami tuż nad kolanami i przekoziółkował przez nią, wpadając w zimny nurt rzeki. Ciemna wodna kipiela zamknęła się nad nim, a miliony gwiazd eksplodowały w jego oczach.

## **Rozdział 9**

Z odległości dwudziestu pięciu metrów z łatwością rozpoznała odgłos tłumionych strzałów.

W chwilę później McAllister z głośnym pluskiem wpadł do rzeki.

Stephanie Albright cofnęła się w cień za biuro komendanta portu przy końcu nadbrzeża, ledwo mogąc uwierzyć własnym oczom. Ten w kokpicie krzyknął: Uważaj! po angielsku. To nie byli Rosjanie. Mężczyźni na żagłowie odbyli pospieszną rozmowę, po czym jeden wszedł pod pokład, a drugi kroczył powoli przy burcie, wpatrując się w ciemną toń rzeki.

Stephanie nie miała przy sobie broni, a nawet gdyby była uzbrojona, nie odważyłaby się wkroczyć do akcji i otworzyć ogień.

Światło na żagłowie rozblysło i pierwszy mężczyzna wyszedł spod pokładu zamykając za sobą luk. Dołączył do swego kompana przeszukującego wzrokiem toń wody.

Po upływie minuty obaj wspięli się na molo i zaczęli wpatrywać się w wodę po obu stronach, pomiędzy innymi łodziami, wzdłuż każdego wąskiego pomostu i nawet pod nimi, opierając się na rękach i kolanach.

Działali szybko i efektywnie. Stephanie od razu wiedziała, że są profesjonalistami. Ale skąd? Agencja czy Biuro?

My nie działamy w ten sposób. Nie strzelamy do ludzi z zimną krwią. Widziała ręce McAllistera, gdy wychodził przez przedni luk. Nie był uzbrojony, a jednak strzelali do niego.

Po jakimś czasie dwaj mężczyźni przystanęli, by się naradzić, po czym wsunęli rewolwery do kabur i pośpieszyli przez portowe nabrzeże, nie oglądając się za siebie. Minęli o dziesięć kroków miejsce, gdzie Stephanie przyłgnęła do muru po drugiej stronie niewielkiego budynku, a następnie przeszli przez ulicę i wsiedli do ciemnego forda thunderbirda. Kiedy tu przyjechała, zauważyła ten wóz na ulicy, lecz nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. W pobliżu stały zaparkowane inne samochody, I których tablice rejestracyjne nie wskazywały na żadną znaną jej serię rządową.

Zawrócili i odjechali w kierunku autostrady prowadzącej do Waszyngtonu. Wykonali swoją robotę.

McAllister nie żył. Nie miała wątpliwości, jako że przynajmniej raz został trafiony w głowę. Widziała dokładnie.

Wyszła zza budynku komendanta portu i ruszyła ostrożnie w stronę odległego krańca przystani. Spojrzała na wąską zatoczkę. Nie żył, więc co ona tu robiła? Zawróć i jedź do domu, prześpij się trochę. Zapomnij o wszystkim.

Była jednak świadkiem morderstwa. Do jej pracy... jej obowiązków należało zdanie raportu z tego, co widziała. Powinna zadzwonić do Kingmana, opowiedzieć mu wszystko łącznie z tym, po co tu przyjechała. Przeklinała własną głupotę, lecz działa się to tak szybko, było tak niespodziewane.

Spojrzała w dół na wodę uderzającą o pomost. Nurt rzeczny wirował w tej wąskiej zatoczce, wymiatając wszystko w kierunku zatoki Chesapeake i dalej do oceanu.

Stephanie zamysliła się. Wszystko zostanie zmiecione w dół rzeki. Przynajmniej aż do południowej strony zatoki. Wszystko. Wszyscy...

Przecież on nie żyje, myślała spiesząc z powrotem ku zejściu z głównego pomostu, i kierując się do następnego, południowego molo. Dwaj zawodowcy, którzy wytropili go tutaj i zastrzelili, byli na tyle pewni swego dzieła, że odeszli przeprowadziwszy jedynie powierzchowne poszukiwania. Wiedzieli, co robią. Wystrzelili do niego z odległości nie większej niż sześć metrów. Nie mogli chybić. Musiał być martwy.

Przy końcu molo położyła się na brzuchu i zajrzała pod pomost spoglądając wzdłuż drewnianych podpór. Lekko wzburzona woda falowała jakieś sześćdziesiąt centymetrów niżej. Gdyby nawet rana w głowie nie okazała się śmiertelna, z pewnością stracił przytomność i do tej pory utonął. Woda tchnęła lodowatym chłodem. Efekt hypotermiczny uniemożliwiłby mu poruszanie kończynami i jego ciało

zostałoby na powierzchni. Wstała i popędziła z powrotem na nabrzeże i dalej ostatnim odcinkiem molo w kierunku południowym. W połowie drogi usłyszała słaby jęk pod pomostem. Opadła na kolana i podparwszy się rękoma wyrzała zza krawędzi.

McAllister przytulał się do jednej z drewnianych podpór tuż za krótko zacumowaną łodzią motorową, której silnik wystawał ponad wodę, wyciągnięty częściowo na rufę. Strumienie krwi sączące się z rany na czole tuż za linią włosów zalewały mu twarz. Jego usta otwierały się i zamykały konwulsyjnie, gdy mrugał powiekami, starając się zasłonić oczy przed wodą zabarwioną jego własną krwią.

- McAllister, słyszysz mnie? - zawołała zduszonym głosem.

Wyraźnie chciał uciec, lecz gdy zgrabiła palce puściły drewniany wspornik, jego głowa zniknęła pod ciemną taflą wody.

- O Boże! - krzyknęła Stephanie.

Zeskoczyła na rufę dużej łodzi motorowej i właśnie zamierzała rzucić się do wody, kiedy głowa McAllistera pojawiła się na powierzchni kilka metrów dalej. Silny nurt zepchnął osłabionego mężczyznę w pobliże łodzi.

Chwyciła za nasiąknięty wodą sweter i przyciągnęła bezwładne ciało do burty.

- Nie - wybełkotał. - Dosyć... już nie... proszę...

- Już dobrze - odezwała się Stephanie holując go dookoła wystającego silnika aż do platformy dla nurków. - Musisz mi pomóc. Sama nie dam rady cię wyciągnąć.

- Nie - bełkotał McAllister próbując odepchnąć przytrzymujące go ręce. -

Odejdź... zostaw mnie... oni wrócą... niemożliwe...

Stephanie udało się obrócić go tyłem do łodzi. Zapierając się nogami o rygiel wyteżyła wszystkie siły. Wciągnęła go na tyle, że usiadł na platformie.

- Połóż rękę tutaj - poinstruowała wciągając jego prawe ramię przez krawędź rygla.

Przeszła na platformę, na której woda sięgała jej ponad kostki. Wyciągnęła mu nogi z lodowatej toni, a następnie przekręciła go tak, że dotykał bokiem rufy.

- Podciągnij się - powiedziała błagalnie, wlokąc bezwładne ciało przez krawędź. -

Teraz - wysapała z wysiłku. - Podciągnij się.

W końcu wykonał polecenie i podciągnąwszy się wpełzł przez burtę i opadł bezwładnie na otwarty kokpit. Broczył obficie krwią.

Stephanie wspięła się na pomost i pośpieszyła ku nabrzeżu, a potem przez ulicę do następnej przecznicy, gdzie zaparkowała toyotę. Jak dotąd sprzyjało jej szczęście. O tej godzinie ulice zionęły pustką. Jedyne miejscowa policja mogła kręcić się po okolicy. Prędzej czy później będą tędy przejeżdżać. Gdyby ją dostrzegli, nie miałyby pojęcia, co im powiedzieć.

Uruchomiła silnik furgonetki, podjechała do przystani i ustawiła samochód tyłem do nabrzeża. Wyłączyła światła, lecz zostawiła pracujący silnik.

Jeszcze kilka minut, powiedziała do siebie wyskakując z wozu. Otworzyła boczne drzwi, a następnie rozejrzawszy się dookoła, pośpieszyła z powrotem ku pomostowi.

McAllister ponownie odzyskał przytomność i zanim do niego doszła, udało mu się wciągnąć na burtę tak, że znajdował się w połowie odległości między łodzią a pomostem.

- Ty? - zdziwił się unosząc głowę.

- Zamierzam cię stąd zabrać - powiedziała Stephanie pomagając mu pokonać ostatnią przeszkodę.

- Dlaczego...? - wybełkotał. - Dlaczego to robisz...?

- Nie wiem - odparła przytrzymując go, po czym poprowadziła do furgonetki. - Po prostu nie wiem... jeszcze nie wiem.

Pierwsze przytomne skojarzenia McAllistera dotyczyły suchego łóżka, okrywających go kocy, ciepła i bandażu dookoła głowy oraz ścisłych opatrunków na ranach w boku. Dookoła niego tętniło życie; światła, ruch, lecz nie był do końca przekonany, czy przypadkiem to wszystko mu się nie śni.

Leżał w małej sypialni ze skośnym sufitem. Za pojedynczym oknem widział światła miasta. Była noc.

- Jak się czujesz? - doszedł go głos z lewej strony.

McAllister odwrócił głowę i ujrzał w drzwiach starszego mężczyznę o przyjaznej twarzy i chudym, orlim nosie.

- Słabo. I chyba głodny.

- To dobrze - stwierdził mężczyzna.

Nosił grube okulary w rogowej oprawie, co sprawiało, że jego oczy wydawały się olbrzymie i pocziwe.

- Gdzie jestem? - spytał McAllister, a własny głos wydał mu się niezwykle odległy.

- W Baltimore - odparł mężczyzna.

Trzymał w rękach białą emaliowaną tacę. Położył ją na stoliku przy łóżku i poprawił bandaż na głowie McAllistera. Miał delikatny dotyk.

- Jest pan lekarzem?

- W pewnym sensie. Jestem weterynarzem. Nicholas Albright. Ojciec Stephanie.

McAllister spróbował przetrwać te wieści. Ostatnią rzeczą, jaką sobie przypominał, była łódź... jacht Highnote'a w Dumfries... a potem te strzały i zimna, ciemna woda.

- Co ja tu robię?

Albright uśmiechnął się delikatnie.

- Stephanie przywiozła pana tutaj. - Pokręcił głową. - Przez całe życie to robi. Sprowadza do domu rannych i zabłąkanych. Chociaż muszę przyznać, że, jak do tej pory, jest pan jej największym znaleziskiem.

- Jak długo...?

- Trzy dni.

Wydawało mu się to niemożliwe. McAllister odrzucił koc i spróbował wstać, lecz lekarz łagodnie przytrzymał go na łóżku.

- Jeszcze przez jakiś czas nigdzie pan nie pójdzie, panie McAllister. Nawet jeśliby się panu udało wstać z łóżka, w co osobiście wątpię, nie uszedłby pan dziesięciu kroków z tymi ranami. W rzeczy samej powinien pan już nie żyć. Większość ludzi nie przyjmuje zbyt dobrze kul w czaszkę.

- Agencja... Biuro...

- Jest pan tu bezpieczny - powiedział Albright. - Teraz proszę odpocząć. Stephanie powinna wkrótce wrócić.

Było jeszcze ciemno, kiedy McAllister obudził się ponownie. Chociaż nie wiedział dlaczego, miał przeczucie, że jest bardzo późno w nocy. Odwrócił głowę. Stephanie Albright spała zwinięta w dużym fotelu stojącym w rogu przy drzwiach. Miała na sobie niebieskie dżinsy i bluzę, a rysy jej twarzy łagodziło delikatne światło lampki nocnej na komodzie.

W domu panowała cisza i spokój. Zdało mu się, że na zewnątrz w oddali słyszy wycie syren, lecz wnet przypomniał sobie, iż jest w Baltimore, a jak każde duże miasto, Baltimore nigdy nie pogrążało się w całkowitej ciszy.

Odsunąwszy koce usiadł. Zawroty głowy i podwójne widzenie minęły. Czuł się dużo lepiej, mimo że nadal był strasznie słaby i odczuwał przeraźliwą pustkę w żołądku.



Spojrzał na Stephanie Albright. Przebudziła się i patrzyła na niego mrugając oczami.

- Twój ojciec to bardzo dobry człowiek - powiedział McAllister.

- To prawda.

- Przynies mi moje ubranie, to sobie pójdę. Moja obecność jest dla was zbyt niebezpieczna.

- Nie jesteś w stanie nigdzie iść - stwierdziła.

- W takim razie zrobię to sam.

- Nie - powiedziała Stephanie. - Nikt nic nie podejrzewa. Oni wszyscy myślą, że nie żyjesz.

McAllister popatrzył na nią.

- Oni?

- W Langley. Mój szef, Dexter Kingman i twój, Highnote.

- W jaki sposób?

- Znaleźli ciężarówkę Sikorskiego, pełno krwi na jachcie Highnote'a oraz w łodzi motorowej, do której najwyraźniej próbowałeś się wciągnąć z rzeki, lecz później wpadłeś ponownie do wody. Przeczesało całą okolicę aż po Norfolk.

- Skąd wiedziałaś, że jestem na jachcie?

- Domyśliłam się. Widziałam tę fotografię na półce z książkami.

- Dlaczego mnie nie wydałaś? - zapytał McAllister. - Nie rozumiem.

- Ja też nie - przyznała po długiej chwili wahania. - Nie jesteś zabójcą. Powinieneś był zabić mnie i Sikorskiego, kiedy miałeś taką okazję, lecz tego nie zrobiłeś.

- Jestem zdrajcą.

Pokręciła przecząco głową.

- Sam w to nie wierzysz, a ja chyba też nie.

- A zatem co?

- Myślę, że w Moskwie natknąłeś się na coś, co sieje panikę wśród wielu osób. Na coś, o czym nie mówi się w Langley. Nawet Sikorski pominął to w swoim raporcie.

- Mów dalej - zachęcił McAllister.

- Na początku wszystko szło jak najlepiej. Sądzę, że Sikorski chętnie cię słuchał aż do chwili, kiedy coś wyszeptaleś. Coś, co doprowadziło go do szału.

- Słyszałaś?

Skinęła głową.

- Wówczas jednak nie miałam pojęcia, co to oznacza. Teraz zresztą wiele się nie zmieniło, ale zanim pójdę powęszyć w aktach, pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli zapytam ciebie.

- O co? - zapytał ostrożnie McAllister. - Co dokładnie usłyszałaś?

- *Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden. Zebra Dwa.* Co to ma oznaczać?

A zatem znów te same słowa. Ujrzał wątłą, zniedołężniałą postać Woronina siedzącego na wózku. Usłyszał, jak słowa te wychodzą z ust starca, bełkotliwie, lecz zrozumiale. Rytm i składnia, a nie obłąkane majaczenia pijanego, zgorzkniałego starego człowieka.

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł potrząsając głową. - Wiem jedynie, że nie minęło nawet pół godziny, odkąd usłyszałem te słowa, a zostałem aresztowany przez KGB.

Stephanie wstała i przemierzyła pokój. Usiadła w nogach łóżka i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba lepiej będzie, jeśli powie mi pan wszystko, panie McAllister. Od samego początku. Może wspólnie uda nam się coś wymyślić.

- Muszę zapytać cię raz jeszcze: Dlaczego to robisz?

- A ja muszę ci jeszcze raz powiedzieć: Nie wiem.
- To bardzo niebezpieczne dla ciebie i twego ojca.
- Wiem.
- Może jestem zdrajcą. Może zrobili mi pranie mózgu i zmienili jaźnię. Trzymali mnie na Łubiance ponad miesiąc. To na pewno możliwe.
- Znalaziono tych trzech Rosjan, których zabiłeś w Arlington Heights - powiedziała Stephanie.
- Więc jestem dwustronnym agentem, który z kolei zdradził swoich koleżków z Rosji.
- Pokręciła przecząco głową.
- Ci dwaj mężczyźni, którzy próbowali cię zabić na jachcie, byli Amerykanami. Słyszałam, jak rozmawiali.
- Wszyscy mnie ścigają - stwierdził gorzko McAllister. - Nawet moja żona.
- Stephanie patrzyła na niego szeroko rozwartymi poważnymi oczami. Ściągnęła usta.
- Chyba najlepiej, jeśli zaczniesz od samego początku. Powiedz mi wszystko, każdy najdrobniejszy szczegół, jaki pamiętasz od chwili, gdy usłyszałeś te słowa, aż do dzisiaj.
- A potem?
- Potem spróbujemy wymyślić jakiś sposób na ocalenie twego życia.

## CZEŚĆ DRUGA

## Rozdział 10

Kolejne dni były niezwykle trudne dla McAllistera i jeszcze gorsze dla Stephanie. Powracał do zdrowia, lecz odzyskanie pełni sił musiało zabrać sporo czasu. Z każdym dniem jednak czuł się coraz lepiej. Codziennie ćwiczył do granic wytrzymałości, często opadając na wąskie łóżko kompletnie wyczerpany i mokry od potu.

Stephanie musiała wstawać przed świtem, aby mieć dostatecznie dużo czasu na dojazd do Waszyngtonu do pracy. Pytania na temat porwania i ucieczki przed McAllisterem wreszcie się skończyły i pozwolono jej wrócić do codziennej, rutynowej pracy, a mianowicie sprawdzania danych dotyczących przyszlých pracowników Agencji, lecz musiała się nieustannie kontrolować, żeby nic niepożądanego nie wymysknęło jej się przez przypadek.

Dziewczynie, z którą dzieliła pokój, podała jakiś wymijający powód swej nieobecności. Na szczęście koleżanka była zbyt zajęta własnym życiem, by zwrócić jakąkolwiek uwagę na te wyjaśnienia.

- Baw się dobrze, Steph, bez względu na to, kim on jest - odparła.

Wieczory spędzali na długich rozmowach. Na początku z wahaniem, wyczuwając się wzajemnie, dowiadując o przeszłości, upodobaniach i awersjach, obawach, nadziejach. McAllister nadal nie rozumiał, dlaczego to robiła, lecz odczuwał głęboką wdzięczność. Wiedział, że bez Stephanie i jej ojca najprawdopodobniej by nie przeżył. Zawdzięczał im życie.

- Powiedzmy sobie, że to, co widziałam, nie pasowało do tego, co słyszałam - powiedziała. - Twój wyraz twarzy, kiedy żona nazwała cię zdrajcą. Nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz nie było to spojrzenie szpiega. Poza tym powinieś był mnie zastrzelić tamtej nocy. Nie zrobiłeś tego.

- Niezbyt naukowe wytłumaczenie - stwierdził.

Uśmiechnęła się.

- Mój ojciec powiedział dokładnie to samo.

- Czy on zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł?

Stephanie skinęła głową z poważną miną.

- Nie jest specjalnie dumny z tego, w jaki sposób zarabiam na życie. Zawsze myślał, że zostanę weterynarzem i pewnego dnia przejmę jego lecznicę.

- Nie masz rodzeństwa?

Pokręciła przecząco głową.

- Tylko nas dwoje.

- A matka?

- Umarła, kiedy byłam w college'u. - Stephanie popatrzyła w stronę ciemnego okna. - Zrezygnowałam z nauki i przyjechałam mu pomóc. Nie minął rok, kiedy kazał mi wracać. - Potrząsnęła głową. - Był wtedy taki zagubiony, lecz oczywiście miał rację.

- Co potem? - zapytał McAllister.

- Zrobiłam dyplom z psychologii i wstąpiłam do lotnictwa jako podporucznik, czyli zrobiłam dokładnie to, co robi ze swym życiem każda córka weterynarza.

Roześmiała się cicho, melodyjnie, skłaniając McAllistera do śmiechu. Dano jej dostęp do tajnych danych i spędziła cztery lata, prowadząc badania nad przeszłością potencjalnych pracowników. Podróżowała po całym kraju, najczęściej po cywilnemu współpracując z miejscowymi agentami FBI i policjantami. Poznała wielu profesjonalistów. Podchodziła do swojej pracy z zainteresowaniem, choć może nie zawsze z ekscytacją, aż do momentu gdy się zakochała, a wówczas cały jej świat nagle wywrócił się do góry nogami.

- Był szefem mojej sekcji. Bardzo wysoki, bardzo przystojny i bardzo, bardzo żonaty - wspominała pełna zadumy. - A ja naiwna myślałam, że porzuci dla mnie żonę.

- Nie wyszło? - zapytał McAllister łagodnie.

- Nie - odparła lapidarnie i spojrzała na niego. - Mieliliśmy się pobrać, jak tylko przeprowadzi rozwód, i razem iść przez życie korzystając ze szczodroblewości naszego rządu. - Ponownie pokręciła przecząco głową. - Zamiast tego wystąpiłam z wojska, wróciłam tutaj do ojca i przez cały rok pracowałam w klinice.

- Aż do chwili, gdy zostałam zatrudniona przez Agencję?

Skinęła głową.

- Znałam Dextera Kingmana jeszcze z czasów studiów na Uniwersytecie Maryland. Kilkakrotnie z nim pracowałam. W lotnictwie. To on do mnie przyszedł i spytał, czy szukam pracy.

- Nie żałujesz?

Uśmiechnęła się słabo.

- Wielu rzeczy, ale kto czegoś nie żałuje?

Urząd Bezpieczeństwa to same gryzpiórki, powiedziała, chociaż załatwiono jej krótkie szkolenie na Farmie, wkrótce po tym, jak została zatrudniona.

- Nie byłam zbyt dobra w strzelaniu, chociaż odróżniałam jeden koniec broni od drugiego. - Uśmiechnęła się. - Zaszokowało mnie zupełnie, kiedy Dexter wręczył mi pistolet i wyznaczył do grupy odpowiedzialnej za obserwację twojego domu.

McAllister spał się wewnątrz. Ich rozmowa nieubłaganie prowadziła do tego punktu, a teraz, kiedy do niego doszli, Stephanie stała się nerwowa, mniej pewna siebie niż poprzednio, prawie wahała się. Gloria zawołała ją po imieniu na schodach. Na pewno rozmawiały ze sobą tamtego dnia.

- Nie wątpię, że to był dla ciebie szok. A moja żona?

- Co twoja żona?

- Była zdziwiona, kiedy pojawiłaś się w drzwiach jej domu?

- Nie. Highnote zorganizował inwigilację.

- Miała zostać użyta jako przynęta.

Stephanie pokiwała ponuro głową.

- Domyślili się, że prędzej czy później pojawisz się w domu. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że wyciągnie broń... że stanie się to, co się stało.

- Ja też nie - przyznał McAllister odwracając wzrok.

Ból tego wspomnienia dorównywał cierpieniu z powodu ran, a pod pewnymi względami był jeszcze silniejszy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób może opatrzyć tę osobliwą ranę.

Spędzili wspólnie mnóstwo czasu, rozmawiając o dalekiej przeszłości i bezpośredniej teraźniejszości, lecz do tej pory skrupulatnie unikali jakiegokolwiek dyskusji na temat przyszłości. Przypuszczano, że McAllister nie żyje, a jego ciało pojawi się prędzej czy później gdzieś w dole rzeki. Stephanie wydawało się jednak, że przez Agencję przepływa jeszcze jeden równoległy nurt. Tajny nurt.

- Mnóstwo ludzi chodzi dookoła na palcach - powiedziała.

- Na przykład kto?

- Chociażby Highnote.

- On jest w porządku - zaprzeczył McAllister. - Znalazł się między młotem a kowadłem.

Stephanie chciała coś powiedzieć, lecz najwyraźniej zmieniła zamiar. Wstała i podeszła do okna. Wybiła już prawie północ. Ruch uliczny przycichł, a za szybą ujrzała opadające płatki śniegu. Wreszcie nadeszła zima.

- O co chodzi? - zapytał patrząc na nią. Podpięte włosy odsłoniły jej szczupłą szyję i małe, delikatne uszy.

- Nie wiem - odezwała się po długiej chwili. - Coś tu nie pasuje. Coś w związku z...

- Przyjaźnimy się od wielu lat.

- Wszyscy rozmawiają o tamtej nocy na jego jachcie - powiedziała. - Oficjalna wieść niesie, że to Rosjanie cię zabili, chociaż nikt nie wie, w jaki sposób wpadli na twój trop.

- Ale to nie byli Rosjanie.

- Nie - odparła Stephanie odwracając się. - Zdecydowanie nie.

- A zatem kto?

Piątego dnia po południu McAllister ubrał się i zszedł na dół do kuchni na tyłach dużego domu. Gabinet przyjęć mieścił się od frontu, tam gdzie kiedyś był pokój gościnny, jadalnia i biblioteka, więc miał pewność, że bez zbędnego ryzyka może niepostrzeżenie zejść na dół.

Dom znajdował się w centrum miasta, kilka przecznic od wejścia do zatoki, w okolicy, która niegdyś uchodziła za jedną z gorszych i niesłychanie zaniedbanych, lecz obecnie stawała się uroczym zakątkiem do mieszkania i pracy. Młodzi biznesmeni odkryli ulicę Front - wyjaśnił Nicholas Albright.

Prowadził lecznicę od prawie dwudziestu pięciu lat i na tym etapie życia nie miał ochoty przeprowadzać się na wieś. Przedmieścia i tak zaczynały się teraz do niego zbliżać, a jego praktyka kwitła

McAllister zrobił sobie kanapkę i otworzył butelkę piwa. Siedział właśnie na dużym stole, kiedy wszedł Nicholas Albright pachnący środkami dezynfekującymi i z niewielkim śladem krwi z boku swego krótkiego, białego laboratoryjnego fartucha

- Widzę, że mój dwunożny pacjent już sobie radzi. Jak się pan dziś czuje?

- Zakłatkowany.

- Mam u siebie kilka takich przypadków. Może chciałby pan zmienić zakwaterowanie?

- Nie, dziękuję - odparł McAllister - lecz wkrótce będę musiał się stąd zabrać. Czy mogę już podróżować?

Albright popatrzył na niego krytycznym okiem.

- Jak naprawdę się pan czuje?

- Jestem zmęczony, osłabiony i jeszcze trochę doskwiera mi ból, lecz czuję się lepiej niż w dniu, w którym się tu znalazłem. Dzięki panu.

- Gdyby był pan psem, powiedziałbym: idź na krótki, słoneczny spacer na smyczy, obsikaj kilka hydrantów przeciwpożarowych, a potem wróć i prześpij się przy kominku. Ale pan nie jest psem, a ja nie leczę ludzi, jednak wiem na pewno, że pięć dni temu był pan cholernie bliski śmierci. Pomijając rany postrzałowe i w konsekwencji sporą utratę krwi, kimkolwiek był ten, co grzmotnął pana w głowę, zamierzał zrobić panu poważną krzywdę... i udało mu się, przynajmniej w pewnym stopniu, to osiągnąć. Nadal odczuwa pan, silniej lub słabiej, skutki wstrząśnienia mózgu i nie mogę zagwarantować, że od czasu do czasu nie wystąpią nawroty podwójnego widzenia. Nie zagwarantuję również, że nie upadnie pan gdzieś na środku ulicy.

- Dzięki za słowa otuchy.

- To są żarty, McAllister - powiedział Albright. - A na poważnie, powinien pan przez jakieś sześć tygodni wypoczywać gdzieś w słonecznym zakątku. Radziłbym również przebadać się u prawdziwego lekarza.

- Nie mam tych sześciu tygodni.

- Wiem.

- Będąc tutaj narażam pana i pańską córkę na niebezpieczeństwo.

Albright skinął głową.

- Tak, to prawda. Lecz jeśli jeszcze pan nie zauważył, to zdradzę panu pewien sekret: Stephanie dostaje to, czego Stephanie chce. Aktualnie pan jest obiektem jej... zainteresowań.

- Czy mówiła coś o mnie... o tej całej sytuacji? - zapytał McAllister.

Albright powstrzymał go.

- Nic, a to i tak więcej, niż chcę wiedzieć na ten temat. Zostań, jeśli mogę cię prosić, idź, jeśli musisz, lecz postępuj uczciwie z moją córką. Jest w niebezpieczeństwie, jak mówisz, więc powiedz jej wszystko, żeby dokładnie wiedziała, w co się pakuje. - Uśmiechnął się słabo. - Nie jest już małą dziewczynką. Wyrosła na bardzo silną i zdolną kobietę.

- Wiem - odparł cicho McAllister.

\* \* \*

Dwa dni później Stephanie przyniosła mu broń. Był piątek i miała przed sobą wolny weekend. Wszedłszy położyła zawiniątko na stole przy oknie, gdzie McAllister siedział czytając gazety.

- Coś ciekawego? - spytała.

- Nie odparł spoglądając na paczkę owiniętą w brązowy papier. - Co to jest?

- To dla ciebie - oznajmiła. - Pożyczyłam od przyjaciela. Powiedziałam mu, że znudziła mi się rola porywanej z ulicy.

W chwili gdy McAllister podniósł paczkę, wiedział już, co zawiera. Rozwinął papier. Pistolet German P38 dziewięć milimetrów z dwoma pełnymi magazynkami amunicji. Broń miała już swoje lata, lecz wydawało się, że jest w dobrym stanie. Kilkakrotnie przesunął dobrze naoliwionym suwakiem, po czym podniósł wzrok.

- Zaufany przyjaciel?

- Bardzo - odpowiedziała. - Byliśmy kochankami przez prawie rok. Nadal coś do mnie czuje.

- Pracuje dla Agencji?

Skinęła głową.

- Możliwe, że go znam?

- Nazywa się Doug Ballinger. Pracuje w mieście w obsłudze technicznej.

McAllister nigdy nie słyszał tego nazwiska.

- Jesteś pewna, że nie wspomni o tym nikomu? Gdyby to wydostało się na światło dzienne, ktoś mógłby dodać dwa do dwóch i wyszłoby nazwisko twego ojca.

- Chcę podjąć to ryzyko - powiedziała żarliwie. - Poza tym, on nie piśnie ani słowa. Nie Doug.

- Będę musiał się stąd zbierać.

- Wiem, tato mówił, że zacząłeś się buntować.

- Będę potrzebował samochodu.

- To się da załatwić.

- Ale tak, żeby nie zostawić za sobą śladów.

- Mogę to załatwić - odezwała się Stephanie. - Powstaje jedynie pytanie, dokąd pojedziesz?

- Kołacze mi się po głowie kilka pomysłów.

- Na przykład?

- Ty pozostajesz poza tym wszystkim - powiedział stanowczo McAllister. - Ktoś próbuje mnie zabić, a w Langley sądzą, że jestem zdrajcą. Jak dotąd nie byłeś w to

wplątana. W chwili gdy dowiedzą się, że mi pomagasz, staniesz się ich kolejnym celem.

- Poradzę sobie... - zaczęła protestować Stephanie, lecz McAllister powstrzymał ją.

- Prawdopodobnie ty tak, lecz ja nie sędzę, że bym sobie wówczas poradził. Gdyby cię dostali, miałiby mnie w ręku.

- Nic bym im nie powiedziała - oburzyła się.

- Może nie dano by ci w ogóle takiej szansy - stwierdził miękko.

Oczy się jej rozszerzyły, lecz nic nie odpowiedziała.

*Wynoś się... zdrajco! Wracaj do swoich ruskich przyjaciół! Wynoś się, zanim sama cię zabiję!*

Co powiedziano Glorii? Boże... to się kupy nie trzymało.

McAllister wstał i podszedł do nocnego stolika, na którym zostawił papierosy. Zapalił wciągając dym głęboko w płuca.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę.*

W Moskwie już był, teraz nadszedł czas, by rozejrzeć się po Waszyngtonie. Odpowiedzi znajdowały się gdzieś tutaj. Najprawdopodobniej w Langley... albo przynajmniej miał nadzieję, że te odpowiedzi, jeśli w ogóle udałoby się je znaleźć, były w Langley, i że ta choroba nie zatrąła innej instytucji... na przykład Pentagonu. Taka ewentualność wydawała się zbyt przerażająca, aby w ogóle o niej myśleć.

- Ufałeś temu Woroninowi? - zapytała Stephanie.

McAllister odwrócił się do niej odpędzając swe myśli.

- Z początku tak.

- Później już nie?

- Nie byłem pewien. Zacząłem mieć co do niego pewne wątpliwości

- Powiedziałeś mi, że właśnie skończyłeś z nim w tamtą noc, kiedy cię aresztowali.

- Sądziłem, że mający.

- A Rosjanie nigdy cię o to nie pytali? O to. co tam robiłeś tak późno?

- Nie.

- Czy nie zdziwiło cię to?

*Zdziwiło?* - pomyślał. Może na początku, ale później jego ciało było tak naszpikowane narkotykami, że przestał ufać własnym myślom, a nawet własnej normalności. Dla niego jedyną rzeczywistością była wówczas terażniejszość; bez względu na to, czy go bito, czy zadawano pytania, nie istniała przeszłość ani przyszłość, wyłącznie terażniejszość.

- Może nie uważali tego za istotne - usłyszał swój głos.

- Albo za tak istotne, że nie chcieli nadawać temu dodatkowej wagi zadając ci pytania i rejestrując to w aktach.

- Nie, to bezsensowne.

- Może oni już wtedy znali odpowiedzi.

- W takim razie dlaczego zostałem wypuszczony?

- Może dlatego, abyś zrobił dokładnie, to co zrobiłeś: wrócił do Waszyngtonu i szukał odpowiedzi.

McAllister przetarł ręką oczy.

- Odpowiedzi, do diabła. Ja nawet nie znam pytań. W Arlington Heights byli Rosjanie.

- A Amerykanie w Dumfries. Być może to walka między dwiema frakcjami. I może to ty właśnie znasz odpowiedzi.

- Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę - cicho powtórzył zasłyszane słowa.

- Jakiś człowiek w Moskwie i jakiś w Waszyngtonie? Agent i jego oficer kontrolujący? To możliwe, prawda?

- Co oznaczałoby, że wypuszczono mnie, żebym powrócił i zaprowadził ich do nich?

- Oczywiście będą próbowali cię powstrzymać: Zebra Jeden i Dwa. Będą musieli się ochraniać. Rosyjski oficer nadzorujący wysłał swoich ludzi za tobą, a jego amerykański odpowiednik zrobił dokładnie to samo.

- Jednak ten, kto podpisał rozkaz uwolnienia mnie, musiał mieć wielkie wpływy w KGB.

- Może człowiek, który próbuje cię powstrzymać, jest jeszcze bardziej potężny - powiedziała Stephanie z błyskiem w oczach. - Może popełnił błąd uwalniając cię. Rozproszenie uwagi, dekoncentracja. Może tuż po tym, jak znalazłeś się na wolności, zdał sobie sprawę, co naprawdę się dzieje i sprowadził na lotnisko w Nowym Jorku ten komitet powitalny.

- Wówczas strzelaliby najpierw do mnie.

- Nie myślisz logicznie. Mac. Nie miałeś przy sobie broń. Najpierw musieli wyeliminować siłę ognia. Nie spodziewali się, że zadziałasz tak szybko. A kiedy sprawy zaczęły się wymykać spod kontroli, zabrali się stamtąd. Gdyby wówczas ich złapano, wszystko wyszłoby na jaw.

- Jak na kogoś, kto nie potrafi strzelać prosto, masz niezwykle bystry umysł.

Pokręciła przecząco głową.

- Po prostu logika. To z kolei prowadzi nas z powrotem do Langley i do najbardziej prawdopodobnego kandydata.

- Bob Highnote - powiedział McAllister, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

Skinęła głową.

- Ci trzej Rosjanie czekali przed jego domem. A tych dwóch Amerykanów przyszło po ciebie na jacht Highnote'a.

- To śliskie wytłumaczenie.

- Highnote wydał rozkaz inwigilacji twego domu. Musiał powiedzieć twojej żonie coś, co sprawiło, że zareagowała w taki właśnie sposób.

- To zbyt śliskie. Znam Boba od wielu lat. Tamtej nocy chciał, żebym pojechał z nim do Langley. Powiedział, że moglibyśmy wszystko wyprostować.

- Sądzisz, że zjechałbyś tak daleko?

- To nie Highnote - stwierdził McAllister z całą stanowczością, choć podobna myśl już wcześniej pojawiła się w zakamarkach jego umysłu.

To niemożliwe, by znać kogoś tak długo, a jednak go nie znać. Kim Philby był najlepszym przyjacielem przez wiele lat, szpiegiem doskonałym, a jedni w końcu okazał się rosyjskim agentem.

- Myślę, że będzie ci potrzebna pomoc, Mac - westchnęła Stephanie. - Ktoś nadal działający w Agencji. Ktoś, kto cię wysłucha, na kim możesz polegać.

- Ty?

Pokiwała głową.

- Na początek.

- Odpowiedzi należy szukać w Langley - odezwał się.

- Tak. Musimy tylko utrzymać cię przy życiu dostatecznie długo, abyś zdążył je znaleźć.

Jedna z nich przyszła tej nocy kilka minut po jedenastej. McAllister leżał w swoim pokoju próbując zasnąć, lecz tysiące wrzających myśli odpędzało sen. Przez te wszystkie lata Highnote był dla niego kimś więcej niż przyjacielem, był mentorem, powiernikiem, niewyczerpanym źródłem informacji i podporą. Wiara w jego zdradę zdawała się przekraczać możliwości McAllistera.



Rankiem wsiądzie w samochód, który Stephanie obiecała sprowadzić dla niego do Waszyngtonu, i zatrzyma się w jakimś małym, ustronnym hoteliku. Stamtąd ponownie spróbuje porozmawiać ze swym starym przyjacielem i wyłożyć mu kawę na lawę. Jeśli Highnote jest zdrajcą, pozna to po jego oczach.

Zebra Jeden, Zebra Dwa. Czy to możliwe, żeby Highnote był Zebłą Jeden? Przez te wszystkie lata?

Drzwi od sypialni otwarły się z hukiem. Na tle światła wpadającego z korytarza ujrzał wyraźnie sylwetkę Stephanie w cienkiej koszuli nocnej. Na twarzy dziewczyny malowało się ożywienie.

- Właśnie o tym mówią. W wiadomościach! - zawołała podekscytowana.

McAllister usiadł.

- Co?

- Pośpiesz się, bo nie zobaczysz.

Wyskoczył z łóżka i pobiegł za nią do jej pokoju, który znajdował się na końcu korytarza. Stała przed telewizorem. Spiker o poważnej twarzy czytał wiadomości.

- O co chodzi? - zapytał McAllister.

- Słuchaj - warknęła Stephanie nakazując, żeby był cicho.

- ...skazany dzisiaj przez Okręgowy Sąd Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie na karę dożywotniego więzienia - mówił spiker.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie krzepkiego mężczyzny o ciemnych, siwiejących włosach i schludnie przystrzyżonej brodzie.

- O'Haire, wraz ze swym młodszym bratem, kapitanem Sił Powietrznych USA Liamem O'Haire'em i siedmioma pozostałymi w ubiegłym miesiącu przyznali się do stawianych im zarzutów, że szpiegowali dla rządu sowieckiego. Nazywając się Siecią Zebra, O'Haire'owie wykradli dane dotyczące Wojen Gwiezdnych, które następnie przekazali, jak dotąd nieznanemu, sowieckiemu informatorowi w Waszyngtonie.

- A więc tak - odezwała się szeptem Stephanie.

McAllister wpatrywał się w odbiornik, a słowa spikera przepływały dookoła niego. *Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.* Czy to Woronin chciał mu przekazać? Sieć Zebra przekazywała tajemnice jakiemuś człowiekowi tu w Waszyngtonie, który z kolei przekazywał je dalej do Moskwy?

Lecz siatka została rozerwana. Przestała istnieć.

Czy aby na pewno?

- Powinam była się domyślić - mówiła Stephanie. - Kiedy usłyszałam te słowa, coś mi zaświtało. Czulałam, że z czymś mi się to kojarzy, ale nie potrafiłam określić, z czym. Aż do teraz.

- Odpowiedzi są nadal w Waszyngtonie - powiedział McAllister.

- Oczywiście. Ich, „jak dotąd nieznanemu sowieckiemu informatorowi w Waszyngtonie”. Założyłabym się o wszystko, co mam, że to Robert Highnote, nasz zastępca szefa operacji.

- Nie - zaprzeczył. - W to nie mogę uwierzyć. Przynajmniej nie teraz.

Stephanie ściszyła telewizor i popatrzyła na McAllistera.

- Mówię ci, żebyś lepiej uważał na niego, dopóki się sam nie przekonasz.

Kimkolwiek jest Zebra Jeden, czy to Highnote, czy nie, zrobi wszystko, żeby ochronić swój własny tyłek. Przyjaciel, nie przyjaciel, jeśli to rzeczywiście on, nie zawaha się ani sekundy, żeby cię zabić.

Myśli McAllistera wybiegały daleko do przodu.

- Jeśli się pojawię, bez względu na to, kim jest, będzie chciał mnie dopaść.

- To prawda - zgodziła się Stephanie mrużąc oczy.

- Na razie wszyscy myślą, że nie żyję.

Przytaknęła.

- Najwyższy więc czas pokazać im, że tak nie jest.  
- Nie wygłupiaj się...  
- Kiedy się ujawnię, rozpęta się piekło i cały brud wylezie na wierzch. A tymczasem ja będę zbierał wszystkie informacje potrzebne do wystawienia go. Bez względu na to, kim jest.

- Robert Highnote albo ktoś inny?  
- Zgadza się - potwierdził McAllister.

Stephanie podeszła nieco bliżej i McAllister nagle uświadomił sobie, że są sami w jej sypialni, a ona nie ma na sobie nic poza cienką, prawie przezroczystą koszulą nocną, on natomiast jest ubrany w spodnie od piżamy jej ojca. Wyciągnęła do niego rękę, lecz cofnął się.

- Nie - powiedział łagodnie.  
Zaczęła protestować, lecz po chwili cofnęła się opuszczając rękę.  
- Rozumiem - rzekła. - Tak, rozumiem.

Świtało. Śnieg, który zaczął prószyć w nocy, nadal zasypywał Waszyngton białym puchem. Krzepki mężczyzna w ciemnoszarym płaszczu i jasnoszarym filcowym kapeluszu stał przed pomnikiem Lincolna z rękoma założonymi do tyłu i wpatrywał się w napis na murze za kolumną.

*W tej świątyni, tak jak w sercach ludzi, dla których ocalił Unię, żyje nieśmiertelna pamięć o Abrahamie Lincolnie.*

To miejsce w mieście darzyło największą sympatią. Pod wieloma względami przypominało mu Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym w Moskwie. Każdy z tych ludzi był w pewnym sensie rewolucjonistą. Każdy uratował swój naród i obecnie słusznie darzono ich szacunkiem.

- Przyjemnie jest tu latem - odezwał się ktoś z tyłu.

Mężczyzna nie odwrócił się, nie musiał tego robić, ponieważ rozpoznał głos człowieka, z którym przez wiele lat współpracował.

- Teraz też nie najgorzej - powiedział nienagannym angielskim z ledwo słyszalnym obcym akcentem.

- McAllister żyje.

- Skąd wiesz? - spytał mężczyzna.

Serce zaczęło mu bić szybszym rytmem.

- Nie znaleziono ciała, a to wielce zaradny człowiek. Do chwili gdy nie będziemy absolutnie pewni, musimy zakładać, że w jakiś sposób przeżył.

- A zatem jest Bogiem?

- Nie - odparł głos z tyłu. - Po prostu jest bardzo dobry, bardzo oddany temu, co robi. Musimy mieć pewność.

- Co proponujesz?

- Wrócić jego śladem zaczynając od Moskwy. Żaden kamień nie może zostać nie odwrócony. Nie można zlekceważyć żadnej możliwości, choćby wydawała się śmieszna. Czy wyrażam się jasno?

- Niesłuchanie - odpowiedział Rosjanin. - A tu, w Waszyngtonie?

- Obecnie trwają przesłuchania jego żony i Sikorskiego.

- A ta dziewczyna?

- Albright?

- Tak, ona.

- Ją też nie minie. Jak już powiedziałem, żaden kamień nie może zostać nie odwrócony. W chwili gdy McAllister zostanie zlokalizowany, trzeba go zabić. Tym razem nie może być mowy o pomyłce. W żadnym wypadku.

- Zgadzam się - odparł Rosjanin zatapiając spojrzenie w słowach wyrytych ponad pomnikiem Lincolna. - Po prostu stawka jest zbyt duża. O wiele za duża.

## Rozdział 11

Waszyngton żył wolnymi dniami. W sobotę, kiedy McAllister wyruszył z odległego o sześćdziesiąt kilometrów Baltimore wynajętym przez Stephanie buickiem regalem, na autostradzie panował niewielki ruch. Chciał trzymać Stephanie od tej sprawy możliwie jak najdalej, lecz ubiegłego wieczora wyjaśniła mu, że i tak już jest to wmieszana i nic, co by zrobił, czy powiedział, nie może tego faktu zmienić. Było to ryzyko, jak stwierdziła, które ona i jej ojciec zdecydowali się podjąć, w chwili gdy przywozła go rannego i krwawiącego do domu.

Wczesnym rankiem powróciła do swego mieszkania w Aleksandrii, żeby być w domu na wypadek, gdyby Agencja chciała się z nią skontaktować. Poza tym jej współlokatorka będzie mogła przyznać z całą uczciwością, że Stephanie jest w mieście.

Zamierzał wynająć pokój w Best Western Center, kilka przecznic od Białego Domu. Ona miała przyjechać w południe i spotkać się z nim, a gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwane, w odwodzie mieli umówione spotkanie w barze hotelu Marriott Twin Bridges po drugiej stronie rzeki.

Zanim wjechał do miasta i skierował się do Georgetown, dochodziła już jedenasta. Dziś rano nie był z nią szczery. Stwierdził, że właściwie z nikim już nie będzie potrafił być całkowicie szczery, dopóki nie skończy się to całe szaleństwo.

W swojej pamięci nadal napotykał czarne plamy, niekompletne wspomnienia, jakby większość tygodni, które spędził w więzieniu, była w istocie surrealistycznym snem. Przerazało go to.

- Im częściej będziesz wyjeżdżał na miasto, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś cię wreszcie dostrzeże - mówiła.

- Myślą, że nie żyję, nie pamiętasz?

- Masz przyjaciół, kontakty, ludzi, którzy cię rozpoznają. Jesteś pewien, że jakiegoś pięknego dnia nie wpadniesz na któregoś z nich?

W ciągu ostatnich kilku dni Stephanie odwiedziła różne sklepy w Baltimore i na przedmieściach, aby nie ściągnąć na siebie uwagi, i kupiła mu trochę ubrań, zestaw kosmetyków i niewielką nylonową torbę podróżną. Przystrzygła mu włosy i wybrała okulary „zerówki”. Te szczegóły tylko nieznacznie zmieniły jego wygląd zewnętrzny, lecz obydwójce mieli nadzieję, że na tyle, aby wyeliminować przynajmniej zwrócenie uwagi przez przypadkowego obserwatora. Zmiany te nie mogły zmylić kogoś, kto znał go dobrze, lecz dla mundurowego spacerującego z jego zdjęciem powinny być wystarczające.

Istniało ryzyko możliwe i niemożliwe do przyjęcia. To co dzieli te dwa rodzaje, to pożądaný cel. Im ważniejszy obiekt, tym większe ryzyko możliwe do przyjęcia.

- Odpowiedzi są w Waszyngtonie - powiedział jej. - Nie mogę uniknąć tego faktu. Nie mam też zamiaru przed tym uciec.

- Nie spodziewałam się, że to zrobisz.

- Spotkamy się w hotelu w południe.

Popatrzyła na niego chcąc jeszcze coś powiedzieć, lecz w końcu skinęła głową i odeszła ze smutną miną.

Zaparkował samochód na rogu ulic Q i Trzydziestej. Wysiadł i ruszył z powrotem długą przecznicą, skręcając w prawo z Trzydziestej Pierwszej w kierunku Tudor Place

w pobliżu swego domu. W obecnym położeniu czuł się dziwnie w tej dobrze znanej okolicy. Osobliwe uczucie zostało spotęgowane towarzyszącym mu od kilku dni wrażeniem oddalenia.

Kiedy przemierzał prawie opustoszałe ulice, otoczony wirującymi płatkami śniegu, przypomniał mu się podobny weekend sprzed wielu lat, kiedy wraz z Gloria próbowali zdecydować, czy rzeczywiście chcą kupić ten teren. Była wówczas wczesna zima, jak teraz, a oni spacerowali po okolicy, aby poczuć atmosferę tej dzielnicy. Spodobało im się i w poniedziałek podpisali dokumenty.

Od tego czasu nie przebywali tu wspólnie dłużej niż przez kilka miesięcy - między pobytami na placówkach zagranicznych - więc to miejsce nigdy nie stało się dla niego prawdziwym domem. Zawsze traktował je jako wakacyjną przystań lub raczej wyspę, na której osiadą na dobre, kiedy wreszcie skończy ze swą pracą; do czego Gloria nakłaniała go przez ostatnie cztery czy pięć lat.

Z drugiej strony, uwielbiała ten dom i pomimo długich nieobecności udało jej się uczynić z niego przytulne gniazdko. Kiedy wracali, urządzała koktajlowe przyjęcia albo obiady, na które zapraszali znajomych z Agencji. Okazała się wyborną gospodynią i ciepło wspominał tamte czasy.

Teraz jednak powracał jako zbieg i nie miał zupełnie pojęcia, dlaczego podejmował to ryzyko, może poza wytlumaczeniem kołatającym się gdzieś w zakamarkach umysłu, że grupa inwigilacyjna została odwołana, że Gloria będzie w domu i że ją ujrzy, dowie się, co jej powiedziano i przekona, że się myliła, nazywając go zdrajcą.

Jego ojciec zakochał się w Glorii. To kobieta w sam raz dla ciebie chłopcze - powiedział, kiedy McAllister poinformował go o zaręczynach. Człowiek w tym interesie potrzebuje swej opoki, aby podtrzymywała domowe ognisko i stała na straży porządku.

*Ktoś, kto dawałby powód do powrotów. Ktoś, kto opatrywałby rany, koł cierpienia.*

Jego matka zmarła, kiedy był bardzo młody, a ojciec nigdy powtórnie się nie ożenił. Nikt jej nie zastąpi - zwykł mawiać. Jestem teraz zbyt zajęty, żeby szukać innej.

McAllister dotarł do Avon Place i właśnie miał skręcić, lecz zatrzymał się gwałtownie i cofnął. Przed jego domem stał czarny cadillac z włączonym silnikiem; z rury wydechowej wydobywały się kłęby wyciewów malujące na białe zimne powietrze.

McAllister musiał tylko lekko się wychylić, żeby zobaczyć krawędź narożnego budynku z piaskowca. Pod wpływem świdrującego bólu zamknął na chwilę oczy. Wiedział, kto wyjdzie z domu. Doskonale znał ten wóz. Nie chciał jednak szukać przyczyn. Zbyt wiele szczegółów, o których powiedziała mu Stephanie, zdawało się teraz układać w logiczną całość. Wiedział, że właśnie po to tu przyszedł.

Frontowe drzwi domu otwarły się. W wejściu pojawiła się Gloria. Robert Highnote trzymał ją pod rękę. U podnóża schodów zatrzymali się na moment i zamienili ze sobą parę słów. Podniósłszy głowę spojrzała w oczy mężczyzny. Trzymał w ręku jedną z jej walizek.

Przeszli przez chodnik i Gloria wsiadła do samochodu, sadowiąc się na miejscu pasażera.

Miała zostać użyta jako przynęta. Wiedzieli, że wrócisz do domu. Była twoim azylem. Ona i Robert Highnote.

Wszyscy myślą, że nie żyjesz. Szukają twego ciała, spodziewając się, że prędzej czy później gdzieś się ukaze. Twoje ciało, nie ty.

Gloria jednak nie sprawiała wrażenia pogrążonej w żałobie. Znajdowała się na tyle blisko, że widział dokładnie jej uśmiech przeznaczony dla Highnote'a. Żadnej czarnej woalki na twarzy, postać nie zgięta pod naporem cierpienia z powodu straty

bliskiej osoby. Tylko mężczyzna i kobieta. Razem. Jadący gdzieś... żeby zrobić coś... coś do siebie mówić?

Highnote obszedł dookoła wóz i usiadł za kierownicą. Nagle McAllister zdał sobie sprawę, że za kilka sekund będą przejeżdżać obok niego. Jego nieznaczne przebranie mogło zmylić nieznanego, lecz nie zwiódłoby żony i najlepszego przyjaciela.

Odwrócił się i popędził ulicą. Po kilkunastu krokach wskoczył za żelazną bramę, za którą znajdowały się schody prowadzące w dół do piwnicy jednego z budynków. Samochód Highnote'a wychynął zza rogu i przepłynął dostojnie opustoszałą ulicą.

Kiedy zniknęli za następnym zakrętem, McAllister podszedł do zbiegu ulic, po czym skierował się do miejsca, gdzie zaparkował swój wóz. Towarzyszyło mu niejasne uczucie, że właśnie był świadkiem własnego pogrzebu. Problem w tym, że nikt go nie oplakiwał.

Prawie się minęli. Stephanie czekała piętnaście minut sądząc, że coś poszło nie tak, i właśnie miała jechać na drugie miejsce spotkania, kiedy pojawił się McAllister.

Gdy go ujrzała, na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga, lecz wnet jej spojrzenie pociemniało, kiedy zrozumiała, że coś się wydarzyło.

Wysiadła z furgonetki i podbiegła do niego.

- Traciłam zmysły. Myślałam, że cię dopadli. Wszystko w porządku?

- Nie - odezwał się McAllister wysiadając z samochodu.

- Co się stało?

Popatrzył jej w oczy.

- Nie chciałem tego robić, Stephanie, lecz obawiam się, że będę potrzebował twojej pomocy.

- Mówiłam ci już wcześniej, że możesz na mnie liczyć. Powiedz mi w końcu, co się stało?

- Zobaczyłem coś, czego nie chciałem ujrzeć. Coś, czego nigdy bym się nie spodziewał.

Nagle zrozumienie zachmurzyło jej twarz.

- Byłeś w Georgetown - rzekła miękko. - U swojej żony.

- Widziałem ją z Bobem Highnote'em. Razem.

- Nie zobaczyli cię, prawda?

McAllister pokręcił przecząco głową.

- Nadal tam są?

- Wyszli.

Stephanie zastanawiała się przez chwilę.

- To niczego nie dowodzi. Mówiłeś, że przyjaźniliście się od wielu lat.

- Nie towarzyszyła im Merrilee, a to właśnie ona powinna była tam być.

- Sugerujesz, że coś ich łączy?

- Nie - wyrzucił z siebie McAllister, zdumiony gwałtownością, z jaką zaprzeczył.

- Zarówno twój najlepszy przyjaciel, jak i żona sądzą, że jesteś zdrajcą. Nie masz zbyt wielkiego wyboru, prawda?

- Chryste... już sam nie wiem.

- Lecz jesteś niewinny. Nie jesteś zdrajcą.

- Może jestem... może...

Stephanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

- Rozumiem, dlaczego Rosjanie zrobili to, co zrobili. Rozumiem też, dlaczego się broniłeś. Lecz... słuchaj bardzo uważnie, co ci powiem... Bez względu na to, co Agencja czy FBI myślą o tobie, w naszym kraju nie robi się takich rzeczy. Ci dwaj Amerykanie, którzy wytropili cię na jachcie Highnote'a. Wykurzyli cię z ukrycia i strzelili do ciebie. Żadnego aresztowania, żadnego procesu, nic. Po prostu strzelili do ciebie i zostawili, żebyś zdechł. Gdyby stała za tym Agencja, całe miasto zostałoby

zalane oficerami służby bezpieczeństwa. Dano by ci szansę poddania się i stanięcia przed sądem. Gdyby doszło do strzelaniny, kilkadziesiąt rewolwerów otworzyłoby ogień, a nie dwa.

McAllister spojrzał na nią. Pomimo całej swej naiwności miała rację. Działo się tu coś innego. Coś naprawdę mrocznego i niebezpiecznego, a on znajdował się w samym centrum tej sprawy, lecz nie miał pojęcia dlaczego.

Zameldowali się jako małżeństwo nazwiskiem G. Arthur. Ich pokój na trzecim piętrze był czysty, lecz stary i zniszczony. Stephanie wyszła tylnym wyjściem, zaparkowała furgonetkę w garażu kilka przecznic od ronda Vermont i wróciła piechotą.

Czerwona na twarzy i z ogniem w oczach weszła do pokoju i rzuciła płaszcz na łóżko.

- Potrzebujemy informacji, a dostarczy nam ich Dexter Kingman.

Podczas jej dwudziestominutowej nieobecności McAllister przemyślał sobie wiele spraw i doszedł do podobnego wniosku, lecz inną drogą rozumowania.

- Zgadzam się - powiedział. - Jeśli jednak wmieszamy w to twojego szefa, stracimy anonimowość.

- Nie dbam o to, do cholery.

- A ja tak - odparł McAllister. - Aż do tej chwili nadal masz sporo swobody, co oznacza, że możesz wchodzić do siedziby Agencji bez problemu, czyli wolno ci robić to, czego ja muszę się wystrzegać.

- Co zatem mamy robić? Siedzieć tu przez cały weekend? Prędzej czy później zdadzą sobie sprawę, że nie umarłeś, a wówczas rozbiorą Waszyngton na kawałki, żeby cię znaleźć.

- Mnie, nie nas.

Stephanie była wyraźnie rozgoryczona.

- Co zamierzasz?

- Potrzebujemy informacji. Zebra Jeden i Dwa Woronina może być tylko przypadkowym wyrażeniem. Może nie mieć nic wspólnego z siecią O'Haire'ów.

- Tego nie wiesz.

- Nie, zresztą podobnie jak ty. Więc będzie to nasz pierwszy krok. Jeśli istnieje związek, musimy go znaleźć. Jest tylko jeden człowiek, który może dostarczyć mi tej informacji. Jeden człowiek, który zgodzi się ze mną spotkać na moich warunkach, bez włączania w to twojej osoby.

- Chcesz zadzwonić do Highnote'a i powiedzieć mu, że żyjesz i jesteś w Waszyngtonie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- Dlaczego akurat do niego? - zdziwiła się. - Poza tym że nie chcesz, by moje zaangażowanie wyszło na jaw i żeby kojarzono mnie z tobą, co oczywiście by się stało, gdybym zadzwoniła do Dextera. Czemu nie można poczekać do poniedziałku, kiedy pójde do biura? Mogę trochę powęszyć, może uda mi się znaleźć coś ciekawego.

- To zbyt niebezpieczne.

- Nic rozśmieszaj mnie... zbyt niebezpieczne A twoje spotkanie z Highnote'em nie byłoby niebezpieczne? Przestań gadać głupoty. Tu chodzi o coś innego. Musisz mu coś udowodnić. A jeśli on jest Zebra Jeden? Nie pomyślałeś o tym?

- Wtedy otrzymam tę odpowiedź,

- Otrzymasz kulę w łeb - odparowała. - Dostałby medal za zabicie ciebie i nie musiałby zwoływać wojska, by wykonało tę robotę za niego

- Tak czy inaczej poznałbym odpowiedź.

- Czy zabijesz go, jeśli okaże się agentem operacyjnym?

McAllister skinął głową.

- A jeśli nim nie jest?

- Wówczas mi pomoże.

Stephanie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czy dla ciebie wybór rzeczywiście wygląda tak prosto? Czy tylko próbujesz coś udowodnić jemu, swojej żonie, czy może sobie samemu?

- Nie wiem - przyznał McAllister. Podszedł do okna i spojrzął w dół na ulicę. - Moje życie skończyło się półtora miesiąca temu, kiedy zostałem aresztowany w Moskwie. Chcę je odzyskać. To wszystko. Czy tak trudno to zrozumieć? Zrobię, co tylko będzie konieczne, żeby zakończyć to szaleństwo. Co tylko będzie konieczne.

- A zatem pomogę ci, jeśli mi pozwolisz.

- A co jeśli przegram? - zapytał odwracając się do niej.

- Wówczas przegramy oboje.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego mi pomagasz? Odwróć się i wracaj do swego mieszkania. W poniedziałek idź do pracy i zapomnij o mnie.

- Nie - wyszeptwała.

- Dlaczego? Możesz mi powiedzieć?

- Nie wiem - odparła po chwili namysłu. - Wiem tylko, że zaczęło się to w domu Sikorskiego, kiedy mnie nie zabiłeś, a potem na jachcie Highnote'a, kiedy zostawili cię na pewną śmierć.

- Nie jestem jednym z twoich zabłąkanych.

- Nie, nie jesteś. A ja nie jestem już małą dziewczynką mojego taty.

- A zatem zrobimy to po mojemu - powiedział McAllister.

- Pod warunkiem, że ja wezmę w tym udział.

- Nie sądzę, żeby było łatwo się ciebie pozbyć.

- Nie, nie byłoby łatwo.

Nastał wieczór, a zachmurzone niebo pogłębiało jeszcze bardziej zapadającą ciemność. McAllister wszedł do obszernej hali Dworca Union przy alei Massachusetts. Skręcił w lewo ku budkom telefonicznym znajdującym się po przeciwnej stronie National Visitors Center. Dworzec zamykano dopiero o północy, lecz o tej porze w weekend hala była opustoszała.

Wszedłszy do trzeciej budki od prawej, zerknął na zegarek. Do tej pory Stephanie już na pewno znajdowała się ponad dwadzieścia kilometrów na północ na parkingu Guilford przy autostradzie I-95. Zostawiła furgonetkę niedaleko swego mieszkania i pożyczyla od współlokatorki nie rzucającego się w oczy chevette. W ten sposób chcieli uniknąć ryzyka, że Highnote dostrzeże furgonetkę i rozpozna ją. Co prawda było to mało prawdopodobne, ale McAllister postanowił nie podejmować większego ryzyka niż to konieczne. I tak wiele spraw mogło się nie powieść, o wiele za dużo spraw, nad którymi nie miał kontroli.

Telefon zadzwonił minutę później. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Jestem na miejscu - usłyszał głos Stephanie.

- Duży tam ruch?

- Niewielki. Wciąż pada śnieg. A u ciebie?

- Przestało, ale poczekamy jeszcze dziesięć minut. Gdyby coś się zaczęło dziać, do cholery, zabieraj się stamtąd.

- Powodzenia.

- Dobra - rzucił McAllister. Przerwał połączenie, wrzucił dwadzieścia pięć centów do otworu w automacie i wykręcił domowy numer Highnote'a. Wcisnął czasomierz na

zegarku. Gdyby telefon był na podsłuchu, potrzebowaliby dwóch minut na określenie centrali telefonicznej, a trzech na znalezienie numeru. Postanowił nie rozmawiać dłużej niż dziewięćdziesiąt sekund.

Merrilee Highnote podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Halo?

McAllister odezwał się zmienionym głosem.

- Tu biuro pana Highnote'a.

- Czy jest w domu?

- Tak, proszę chwilę poczekać.

Nie rozpoznała go.

McAllister obserwował cyferki na zegarku. Od czasu gdy skończył wykręcać numer do momentu, gdy Highnote podniósł słuchawkę, minęło pełne dwadzieścia sekund.

- Kto dzwoni na ten numer? Wiecie, że...

- To ja - przerwał McAllister.

Przez kilka sekund na linii panowała cisza. McAllister patrzył na zegarek. Aby określić miejsce, z którego ktoś dzwoni, należy za wszelką cenę przedłużyć rozmowę, używając wszelkich forteli, jakie tylko przyjdą na myśl. Highnote był starym wygą.

- Żyjesz - odezwał się w końcu cicho. - Wiedziałem.

- Musimy się spotkać. Dziś wieczór.

- Gdzie się podziewasz, Mac? Co ci się przydarzyło w Dumfries? Boże, przeszukujemy rzekę już od ponad tygodnia.

- Chcę, żebyś przyszedł sam i bez broni. Nie dzwoń do nikogo, nie zostawiaj żadnych wiadomości.

- Jak sobie życzysz. Może byłoby ci łatwiej przyjść tutaj, ale jeśli tego chcesz, przyjdę do ciebie. Powiedz mi tylko kiedy i gdzie.

- Na południe od Guilford w Maryland znajduje się parking przy I-95. Około dwudziestu kilometrów na północ od Waszyngtonu.

- Wiem, gdzie to jest - powiedział Highnote. - Mogę tam być za pół godziny, może czterdzieści minut.

- Musisz skrócić na wyjazd przy Guilford i zawrócić. Będę czekał przy pasie autostrady prowadzącym na południe.

- Jesteś sam, Mac?

- Jestem sam - odparł McAllister. - I lepiej, żebyś ty też był.

- Nie piszę nikomu ani słowa, przysięgam. Nie zrób tylko przez ten czas czegoś głupiego.

- Na przykład czego, mam się nie bronić? - ironizował McAllister.

Minęło przeszło siedemdziesiąt sekund.

- W tym samochodzie byli Rosjanie.

- I Amerykanie na twoim jachcie, Bob. Chcę uzyskać pewne odpowiedzi. Wiele odpowiedzi.

- Postaram się. Byłoby jednak dużo bezpieczniej dla nas obojgu, gdybyśmy spotkali się na Farmie.

- Oczekuję cię za pięćdziesiąt minut - powiedział McAllister. - Mam stąd dobrą widoczność we wszystkich kierunkach.

- Mogę ci coś przywieźć... cokolwiek...?

Minęło dziewięćdziesiąt sekund. McAllister przerwał połączenie, po czym wyszedł z budki, szybkim krokiem opuścił dworzec i skierował się do miejsca, gdzie zostawił samochód na parkingu przed zajazdem Quality jedną przecnicę dalej. Miał nad Highnote'em piętnastominutową przewagę, a droga mu była każda minuta.



Stephanie czekała w samochodzie swojej koleżanki na parkingu Guilford przy południowym pasie autostrady. Obserwowała przejeżdżające pojazdy. Opuściła nieco szybę, by wyraźnie słyszeć wycie zbliżających się syren, jeśli by takowe się pojawiły, lub warkot nadlatujących z południa helikopterów. Od jej rozmowy z McAllisterem minęło pełne trzydzieści pięć minut i w tym czasie zaczęła sobie wyobrażać wszelkie możliwe komplikacje. Highnote'a nie było w domu albo odmówił spotkania. Ktoś zobaczył Maca i rozpętała się strzelanina. Namierzono jego rozmowę telefoniczną i został przyparty do muru. Podczas oczekiwania w zimnym samochodzie przychodziło jej do głowy mnóstwo możliwości.

Do tej pory nic się nie zdarzyło. Panował mały ruch. Kilkanaście dużych ciężarówek z włączonymi silnikami stało w pobliżu na parkingu. Nie zdarzało się, by przejeżdżały więcej niż trzy czy cztery samochody jednocześnie, a żaden z tych, które przybyły po jej rozmowie z McAllisterem, nie pozostał tu na dłużej niż kilka minut.

Z miejsca, w którym się znajdowała, mogła z powodzeniem obserwować, co działo się na parkingu przy północnym pasie autostrady, oddalonym od niej o jakieś kilkaset metrów i oddzielonym od południowej nitki zadrzewionym pasem zieleni. Tam ruch był podobny. Chociaż z uwagi na ciemność, sypiący śnieg i odległość nie mogła określić poszczególnych marek samochodów, była przynajmniej w stanie odróżnić je od ciężarówek.

Jakiś samochód zaparkował tyłem, włączając na chwilę lewy migacz. Następnie dwukrotnie błysnęły długie światła. Był to sygnał McAllistera. A więc mimo wszystko udało mu się. Jedno mignięcie bez kierunkowskazu oznaczałoby, że z takiej czy innej przyczyny muszą zrezygnować ze swego planu. Pojedynczy błysk światłem migacza świadczył o tym, że Highnote jest w drodze. Drugie mignięcie było sygnałem, żeby odczekała jeszcze pięć minut, a potem zadzwoniła do McAllistera.

Spojrzała na zegarek, po czym wysiadła z samochodu i zagłębiła się w ciemność, mijając wozy zaparkowane na tyłach budynku z toaletami. Ubikacja męska znajdowała się po lewej, a damska po prawej stronie. Pomiedzy nimi zainstalowano dużą mapę połączeń międzystanowych. Telefon wisiał na ścianie obok planszy.

Nikt się nie pojawił. Żadnych syren. Żadnych helikopterów. Żadnych dziwnych samochodów z dużą liczbą anten.

Weszła do damskiej toalety, otworzyła drzwi jednej z kabin i usiadła na muszli klozetowej, nerwowo spoglądając na wskazówki zegarka. Wciąż tyle spraw mogło się nie powieść. Nie można było ufać Highnote'owi. Zbyt wiele okoliczności świadczyło przeciwko niemu. Rosjanie czekający przed jego domem. Zamachowcy na jachcie. Zona Maca.

Po czterech minutach opuściła kabinę, umyła ręce w jednej z umywalk, a następnie przypudrowała nos.

Kiedy minęło dokładnie pięć minut, wyszła na zewnątrz i wykrciła w automacie numer północnej części parkingu. McAllister odebrał po pierwszym sygnale i w tej samej chwili Robert Highnote podjechał swym cadillakiem.

- Tak? - odezwał się McAllister.

Stephanie odwróciła się.

- Właśnie się zatrzymał - wyszeptała szybko. - Sam.

- Dobrze, zabieraj się stamtąd natychmiast!

- Nie mogę. Zaparkował nie dalej niż pięćdziesiąt kroków ode mnie.

- Wejdz do damskiej toalety. Zrób coś, byleby cię nie zauważył. Będę tam za chwilę.

Stephanie odwiesiła słuchawkę, odwróciła się i wchodząc do toalety zaryzykowała krótkie spojrzenie przez ramię. Highnote ubrany w ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem nadchodził właśnie z gniewnym wyrazem twarzy.

Rzucił jej obojętne spojrzenie. Weszła do środka. Serce waliło jej jak młotem. Widział ją. Musiał ją zauważyć, lecz na jego twarzy nie pojawiła się najmniejsza oznaka zdradzająca, że ją rozpoznał.

## Rozdział 12

McAllister dotarł do zalesionego pasa oddzielającego północne i południowe pasmo autostrady międzystanowej i zatrzymał się. Z miejsca, w którym stał w ciemności, poprzez padający dookoła śnieg widział ukryty pośród sosen budynek z toaletami.

Cień znajomej sylwetki Highnote'a rysował się na oświetlonych ścianach budynku. Mężczyzna przechadzał się w tę i z powrotem. Choć McAllister nie mógł tego dostrzec, domyślił się, że samochód jego starego przyjaciela musi być zaparkowany gdzieś od frontu.

Żadnych syren, żadnych helikopterów, żadnych pędzących samochodów, żadnych posiłków... jak do tej pory. Highnote przybył sam, tak jak obiecał. Teraz czekał, aż pojawi się McAllister.

Z ubikacji wyszedł jakiś mężczyzna, minął Highnote'a nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, i otworzył drzwi jednej z wielkich ciężarówek. Wsunął się do kabiny i w chwilę później silnik zaryczał głucho, a olbrzym powoli ruszył w kierunku wyjazdu. W chwili gdy ciężarówka przejeżdżała przed toaletami, McAllister wypadł z lasku, przedostał się przez obniżenie obok chodnika i popędził przez ciemny pas autostrady, docierając do bezpiecznego, zalesionego miejsca po drugiej stronie, akurat w momencie gdy ciężarówka przyśpieszyła na drodze wyjazdowej.

Highnote zniknął! McAllister widział teraz cadillaca zaparkowanego tuż przed budynkiem. Samochód był pusty. Highnote musiał wejść do męskiej toalety.

McAllister wychynął z lasku, przebiegł przez parking i dotarłszy do wozu Highnote'a usiadł na siedzeniu pasażera dokładnie w chwili, gdy zastępca szefa operacji wyszedł z ubikacji. McAllister wyciągnął broń, którą otrzymał od Stephanie, i odchylił się nieco do tyłu na siedzeniu, by znaleźć się poza kręgiem światła docierającego z zewnątrz.

Highnote spojrział na zegarek, po czym odwrócił się i skierował do telefonu. Wahał się przez jakieś pół minuty, zanim ponownie się odwrócił. Kręcąc głową ruszył chodnikiem do samochodu. Kiedy znajdował się dziesięć kroków od wozu, dostrzegł McAllistera i zatrzymał się na chwilę, po czym podszedł do cadillaca

- Sądziłem, że nie przyjedziesz - powiedział siadając za kierownicą.

Spojrzał na broń spoczywającą na kolanach McAllistera.

- Jesteś uzbrojony? - zapytał McAllister.

- Nie.

- Póki co, wezmę to za pewnik, ponieważ muszę ci całkowicie zaufać. Rozumiesz? McAllister wpatrywał się w jego oczy. Wydawały się czyste i spokojne.

- Jeśli potrzebujesz pomocy, uczynię wszystko, co w mojej mocy, Mac, zaczynając od jednej ważnej rady - pojedź teraz ze mną. Zabiorę cię do Langley, gdzie zaczniemy prostować sprawę. Mogę zagwarantować ci bezpieczeństwo i sprawiedliwe wysłuchanie.

- To nie leży w twojej mocy, Bob.

- O czym ty mówisz? - spytał Highnote mrużąc oczy. - Przyjeżdżając tu balansuję na krawędzi.

- Ja też - odparł McAllister. - Poprosiłem cię, żebyś sprawdził dla mnie badania balistyczne.

- Na pewno chcesz to usłyszeć?

- Tak.

- W LaGuardia, w koszu na śmiecie znaleźliśmy broń, z której zabito Carricka i Maasa. To była broń Carricka z całą pasą twoich odcisków palców.

- To niemożliwe.

- Nigdzie na całym lotnisku nie było zakrwawionego kombinezonu, choć znaleźliśmy jeden w innym koszu na śmiecie w męskiej toalecie niedaleko hali odpraw linii lotniczych Piedmont.

*Jeśli ci ludzie należeli do organizacji, wszystko było możliwe. Mogli nagiąć każdy układ faktów, by ułożył się w logiczną całość, ich całość. O tym pisano w podręcznikach.*

- Tak jak mówiłem wcześniej, Mac, nie jesteś odpowiedzialny za swoje czyny. Przynajmniej nie tego ranka, gdy wyszedłeś z samolotu. Byłeś tak nafaszerowany narkotykami, że nie mogłeś wiedzieć, co się wokół ciebie działo. Coś cię napadło, w jakiś sposób zabrałeś broń Carrickowi i zastrzeliłeś jego i Maasa. Od tego momentu działałeś wyłącznie powodowany instynktem. Uciekałeś. I cholernie dobrze ci szło. Skąd wzięłeś lekarza?

- Co byś powiedział, gdybym obstawał przy mojej wersji?

Highnote obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Że kłamiesz.

- W tym momencie nie ma ku temu powodów. Jestem zbiegiem i siedząc tutaj z tobą mam przewagę. Czy są jakieś inne możliwości?

- Byłeś tak naćpany tymi świństwami, że nie mogłeś odróżnić rzeczywistości od jakiejś straszliwej fantazji.

- Sam przyznałeś, że świetnie się spisałem zabierając się stamtąd. - Nie najgorzej sobie radziłem, jak na kogoś, kto ma tyle narkotyków pod czaszką, że nie wie, czy kogoś zabił, czy me.

- Co sprowadza nas z powrotem do kłamstwa...

- Do cholery, Bob, jaka jest trzecia możliwość?

Nozdrza Highnote'a rozszerzyły się.

- Że mówisz prawdę?

McAllister skinął głową.

- Spróbuj.

- Wskazywałoby to, że z jakiegoś powodu zostałeś wystawiony przez dość niezwykłą organizację. Przez kogoś, kto ma mnóstwo znajomości.

- Właśnie.

- Dlaczego?

- Dojdziemy do tego za chwilę. Ktoś strzela do mnie w Nowym Jorku, a kiedy docieram do Waszyngtonu, moja żona nazywa mnie zdrajcą i próbuje zabić.

- To moja sprawa - westchnął ciężko Highnote. - Jak tylko uciekłeś, domyśliliśmy się, że możesz wrócić do domu. Gloria była przynętą. Musieliśmy powiedzieć jej wszystko. Ale przysięgam, że nie miałem pojęcia, iż zareaguje w taki sposób.

- Przed twoim domem napadło na mnie trzech Rosjan. Zabiłem ich.

Highnote przytaknął.

- Sikorski był następny. Nazwał mnie zdrajcą i próbował zabić. To był otwarty sezon polowań.

- Sądziłeś, że prędzej czy później pojawisz się u niego. Powiedziano mu dokładnie to samo co Glorii.

- Więc udałem się na twój jacht.  
- O tym nie pomyśleliśmy.  
- Ktoś pomyślał. I nie byli to Ruscy, lecz Amerykanie. Postrzelili mnie i zostawili, żebym zdechł.  
- Co tam się wydarzyło?  
- Ty mi to powiedz, Bob - odezwał się cicho McAllister, zaciskając palce na pistolecie.  
Tym razem oczy Highnote'a rozszerzyły się wyrażając szczere zdumienie i złość.  
- Czy dlatego mnie tu sprowadziłeś, żeby dowiedzieć się, ile Agencja ma dowodów przeciwko tobie?  
- Skąd wiedziałeś o Dumfries?  
- Komendant portu dostrzegł krew na pokładzie mojego jachtu i na kokpicie tej drugiej łodzi. Zostałem wezwany jako właściciel. To była twoja grupa krwi.  
- Czy za tą operacją stoi Agencja?  
- My nie działamy w ten sposób i dobrze o tym wiesz - wybuchnął Highnote. - Zastanów się trochę!  
- Biuro?  
- Oni wysłaliby tam połowę swoich ludzi z Waszyngtonu. To też wiesz.  
- A zatem kto?  
- Nie mogę odpowiedzieć, bo po prostu nie wiem. Podejrzewam jednak, że ty wiesz. Podejrzewam również, że powiesz mi, co tu się w ogóle dzieje.  
*Nie zadawaj pytania, jeśli jeszcze nie znasz odpowiedzi. Podstawowa zasada przesłuchania. Lecz on nie znalazł żadnych odpowiedzi. Prawie nie miał pytań.*  
- Czy mówi ci coś imię Wiktor Woronin?  
Highnote potrząsnął przecząco głową.  
- A powinno?  
- Były oficer KGB. Rozpracowywałem go w Moskwie i miałem całkiem niezłe wyniki. W noc kiedy zostałem zaaresztowany, wychodziłem właśnie z jego mieszkania.  
- Pytali cię o niego, o operację?  
- Nie, co zresztą mnie zdziwiło. Jeszcze bardziej dziwna była ostatnia rzecz, jaką Woronin powiedział mi tej nocy. Majaczył coś o wojnie nuklearnej, o pokoju i stwierdził, że ma dla mnie pewne ostrzeżenie.  
- A mianowicie?  
- Jego dokładne słowa... - McAllister zawahał się na moment. Przybliżył się nieco do Highnote'a, by lepiej widzieć jego twarz. - Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.  
Highnote nie okazał żadnej reakcji, absolutnie żadnej, może z wyjątkiem lekkiego zniecierpliwienia, kiedy McAllister nie kontynuował swej wypowiedzi.  
- Czy to wszystko?  
McAllister skinął głową.  
- Czy to coś dla ciebie znaczy?  
Nie wiedział, czy czuje się rozczarowany, czy zadowolony.  
- Absolutnie nic. A dla ciebie?  
- Z początku też nic nie znaczyło.  
- A teraz?  
- Zebra Jeden to oficer Agencji, a Zebra Dwa to ktoś z KGB. Przynajmniej tak przypuszczam. Jeden jest w Waszyngtonie, a drugi w Moskwie. Myślę, że współpracują ze sobą.  
- Dobry Wszechmogący Boże - wyszeptał Highnote. - Sądziś, że w Agencji jest agent operacyjny?  
McAllister przytaknął.

- I sądzisz, że to... ja?  
- A jest tak. Bob? To ty?  
- Nie wygłupiaj się - powiedział jakby nigdy nic. - Ile lat mnie znasz? - Highnote odwrócił wzrok, jego ręce mocno zacisnęły się na kierownicy, głowa drżała. - To wiele wyjaśnia. Tak wiele...  
- Powiedz mi - odezwał się McAllister. Spodziewał się wszystkiego oprócz takiej reakcji, - Zbyt wiele okoliczności przemawia za tobą. Rosjanie przed twoim domem. Zamachowcy na twoim jachcie. Ty i Gloria... dziś rano.  
Highnote odwrócił się do niego z wytrzeszczonymi oczami.  
- Ty tam byłeś?  
- Widziałem, jak wychodziliście z domu.  
- Zabrałem ją do siebie. Chciała być z Merrilee, a przede wszystkim opuścić Georgetown. Sądzisz, że ona i ja...?  
- Powiedziałeś, że to wiele wyjaśnia. Co miałeś na myśli?  
Atmosfera w samochodzie nagle wydała się bardzo przyjacielska.  
- Chyba więcej niż możesz sobie wyobrazić, Mac - odparł Highnote podekscytowanym głosem. - Masz jednak rację co do jednego. Nie możesz się ujawnić. Jeśli w Agencji pracuje agent operacyjny, nie mógłbym ci w żaden sposób zapewnić bezpieczeństwa. To znaczy, nie mielibyśmy pojęcia, komu można zaufać. Musisz ukrywać się aż do momentu, gdy dowiem się, kto to jest. Dobry Boże...  
- Tymczasem Agencja i Biuro polują na mnie - odezwał się McAllister.  
- Nie potrafię nic poradzić na to, że przy okazji rozpętała się burza.  
- Przynajmniej wyjaśnij Glorii.  
Highnote chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymał się. Popatrzył na McAllistera z jakąś nową bystrością w oczach.  
- Jeśli mówisz prawdę.  
- W przeciwnym razie byłoby to naprawdę wypracowane kłamstwo, Bob. I po co?  
- Mówisz, że nigdy cię o to nie pytano podczas przesłuchania?  
- Nie.  
- Ale faszerowali cię narkotykami. Mogłeś nieświadomie o tym wspomnieć.  
- Możliwe - przyznał McAllister.  
Twarz Mirosznikowa wychynęła z zakamarków jego pamięci.  
- Czy wspominałeś o tych słowach komukolwiek innemu? Tutaj lub tam?  
McAllister chciał powiedzieć mu o Sikorskim, lecz coś go powstrzymało.  
- Nie - odparł.  
- Nie rób tego - zażądał Highnote. - Oczywiście oni wiedzą. To wyjaśnia, dlaczego zostałeś zwolniony w taki sposób i dlaczego próbowali cię zabić w Nowym Jorku, a potem przed moim domem i na jachcie. Przynajmniej raz Rosjanie i przynajmniej raz Amerykanie.  
- Do czego zmierzasz?  
- Nie rozumiesz, Mac, że to walka frakcji? Ktoś z KGB chce zdemaskować to powiązanie.  
- Dlaczego?  
- Polityka? Kto wie? Jak tylko cię zwolniono, rozeszła się wieść: musi zostać zlikwidowany, zanim coś powie. - Highnote myślał intensywnie. McAllister znał swego starego przyjaciela na tyle, by wyczytać to z jego twarzy. - Może nikt z Agencji. Może to być każdy, kogo znasz. Pentagon, Narodowa Rada Bezpieczeństwa... ktokolwiek.  
- Pomożesz mi?

- Tak - powiedział Highnote patrząc mu w oczy. - Lecz musisz się ukrywać, nawet przede mną. Trzymaj dupę w jakimś przytulnym schowku, Mac, bo myślę, że pociski zaczną latać nad głowami.

- Myślę, że nie powinieneś mu ufać - stwierdziła Stephanie. Dochodziła północ. Byli w pokoju hotelowym w centrum miasta. Siedziała na skraju łóżka, a McAllister przechadzał się w tę i z powrotem.

- Był przekonujący, a poza tym rzeczywiście przybył sam.

- Nie rozumiesz, że przystając na twoje warunki nie miał nic do stracenia a wszystko do zyskania? Jesteście starymi przyjaciółmi. Cokolwiek by o tobie myślał, był pewien, że nie zabijesz go z zimną krwią. Musiał się przecież dowiedzieć, co robisz, jakie masz informacje.

- Gdyby rzeczywiście był agentem operacyjnym, miałby jednak pewne wątpliwości. Ryzykowałby wiele spotykając się ze mną.

- Nadal nie rozumiesz. Po prostu nie jesteś tego typu człowiekiem.

- Rosjanie trzymali mnie przez ponad miesiąc, faszując narkotykami. W Nowym Jorku przypuszczalnie zabiłem Carricka i Maasa. I nie ulega wątpliwości, że zabiłem trzech Rosjan w Arlington Heights.

- Jedno to tylko przypuszczenie, a do drugiego sam się przyznałeś. Lecz w sytuacji, kiedy dla własnego bezpieczeństwa powinieneś być zabić mnie i Sikorskiego, nie zrobiłeś tego, ukazując swoje prawdziwe oblicze.

- Mimo wszystko dużo ryzykował.

- A zatem dlaczego nie powiedziałeś mu, w jaki sposób Sikorski zareagował na te słowa?

- Nie wiem - odparł McAllister.

- A ja wiem. Po prostu była to samoobrona. Coś w zakamarkach umysłu, jakiś instynkt powiedział ci stop. I z tego co widzę, uważam, że jak do tej pory żyjesz przede wszystkim dzięki instynktowi. Ufaj mu.

Problem polegał na tym, że McAllister czuł, iż znajduje się u kresu. Jego życie skończyło się półtora miesiąca temu w Moskwie i czasami czuł się tak, jakby za wszelką cenę próbował wydostać się z łona matki, urodzić ponownie. Nie miał tylko pojęcia, kim będzie. Ta myśl go przerażała.

- Nie powiedziałem mu również o możliwym związku między ostrzeżeniem Woronina a siatką O'Haire'ów.

- Bez względu na to, jaki jest, na pewno nie można go podejrzewać o głupotę - powiedziała spokojnie Stephanie. - Musimy założyć, że przynajmniej rozważył możliwość, iż wykryłeś ten związek.

- Jeśli takowy istnieje.

- Nigdy nie zdemaskowano oficera nadzorującego siatkę O'Haire'ów.

- Highnote?

- Możliwe.

- Jeśli się nie mylisz, to pokona wszelkie przeciwności, żeby mnie znaleźć - zauważył McAllister zatrzymując się przy oknie. - Będziemy potrzebowali więcej informacji o Sieci Zebra. Gdzieś musi być koniec tej nitki, jakiś ślad.

- W bibliotece są wszystkie poprzednie wydania „New York Timesa” i „Washington Post”. Może tam znajdziemy coś...

- Nie. Chodzi mi o szczegóły, które nie zostały opublikowane. Coś z akt Agencji. Może w archiwach FBI.

- Mogę zatelefonować do Douga i poprosić, żeby dyskretnie sprawdził parę informacji.

- Do tego, który dał ci broń?

- Tak - odparła Stephanie. - Zna mnóstwo ludzi. Jest dobry.  
- Nie będzie zadawał pytań?  
Stephanie uśmiechnęła się smutno.  
- Wciąż jest we mnie zakochany. Zrobi to dla mnie.  
McAllister odwrócił się i spojrzął na nią.  
- Dlaczego to robisz?  
- Już to przerabialiśmy, Mac - odezwała się wstając.  
Ominąwszy łóżko podeszła do telefonu.  
- Nigdy jednak nie dałaś mi konkretnej odpowiedzi.  
Pokręciła głową.  
- I nie sądzę, żebym potrafiła. Przynajmniej nie w tej chwili. Poczekaj jeszcze trochę, aż wymyślę coś, co by cię zadowoliło.  
Podniosła słuchawkę, przełączyła na linię zewnętrzną i wykreciła numer domowy Douga Ballingera. Właśnie wrócił do domu i sprawiał wrażenie zmęczonego.  
- Przepraszam, że cię niepokoję, Douglas - odezwała się Stephanie - ale znów potrzebuję twojej pomocy.  
- To przyjedź, kochanie, i porozmawiamy o tym.  
- Dziś nie mogę. Chciałabym, żebyś się czegoś dowiedział. Potrzebuję kilku informacji i to szybko. Tak jak wczoraj.  
W głosie Ballingera pojawiła się nuta zaciekawienia.  
- Masz jakieś kłopoty, Steph?  
- Dlaczego pytasz?  
- Cóż, najpierw pożyczasz moją broń, a potem dzwonisz w środku nocy, prosząc o jakieś informacje. O co chodzi?  
Stephanie westchnęła.  
- Mogę znaleźć się w opałach, Douglas, więc liczę, że zachowasz dyskrecję w całej sprawie.  
- Czego potrzebujesz?  
- Znana ci jest sprawa O'Haire'ów?  
- Wszystkim jest znana - odparł ostrożnie Ballinger. - Kilka dni temu zostali skazani. Jaki to ma związek?  
- Nigdy nie podano nazwiska ich sowieckiego oficera nadzorującego. Masz jakieś informacje na ten temat?  
Przez chwilę na linii zaległa cisza.  
- W co ty się wplątałaś, Stephanie? To duża sprawa.  
- Wiem. Potrzebuję tylko informacji, Douglas. Po cichu.  
- Nie wiem, czy mogę to dla ciebie zrobić, czy powinienem. Przynajmniej dopóki me wyjaśnisz mi dlaczego. Moja dupa zawisłaby na bardzo cienkiej gałęzi.  
- Nie nogę. Musisz mi zaufać. Czy możesz mi pomóc?  
- Do cholery. Stephanie, powiedz mi, o co chodzi! Teraz nie żartuj! Ci ludzie to zdrajcy na wielką skalę. Sprzedali nas. A teraz pytasz mnie o ich oficera nadzorującego? O co, do diabła, chodzi?  
- Nie mam z nimi tac wspólnego, Douglas, przysięgam. Potrzebuję tylko tej informacji.  
- A zatem idź do swego biura i wyciągnij to z komputera. Masz dostęp do tajnych akt.  
- Nie mogę tego zrobić.  
- Dlaczego?  
- Posłuchaj, albo mi ufasz, albo nie! - warknęła Stephanie. - Jeśli tak, mogę ci jedynie obiecać, że prędzej czy później otrzymasz wyjaśnienie i wtedy zrozumiesz, dlaczego musiałam tak postąpić.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia na linii. Kiedy Ballinger odezwał się ponownie, jego głos brzmiał chłodno.

- Zadzwoń do mnie rano. Około dziesiątej.

- Dziękuję, Douglas - powiedziała Stephanie, lecz linia była już głucha.

Ballinger odwiesił słuchawkę. Powoli odłożyła swoją.

- Nie był zbyt szczęśliwy - odezwał się McAllister.

- Nie - odpada - ale się zgodził. Mam zadzwonić do niego o dziesiątej.

Powie komuś?

- Nie sądzę. Mówiłam ci już, jest we mnie zakochany.

- Ty go też kochasz?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Kiedyś tak, dawno temu, ale teraz już nie. Byliśmy przyjaciółmi.

McAllister zwrócił uwagę na czas przeszły, którego użyła.

Przykro mi, Stephanie.

- Taak, mnie również.

Było bardzo późno. Nie odwracając głowy, żeby spojrzeć na zegarek, McAllister domyślił się, że musi dochodzić czwarta rano. W oczekiwaniu poranka popatrzył w okno, częściowo zasłonięte storami. Stephanie leżała na drugim łóżku,

Ich plany zależały w przeważającej mierze od tego, czego dowie się Ballinger, na obecnym etapie wydawał się ich jedyną nadzieją na jakąkolwiek wskazówkę. Jeśli istniał związek między tajemniczym ostrzeżeniem Woronina a siatką szpiegowską O'Haire'ów i jeśli Ballinger zdoła dać im jakąś wskazówkę do oficera nadzorującego, będą mogli zacząć działać.

*Odpowiedzi są w Waszyngtonie,*

A jeśli Zebra Jeden okaże się Highnote'em? Jeśli to on był oficerem nadzorującym O'Haire'ów? A jeśli tak, to od kiedy?

Czy kiedykolwiek można powiedzieć, że się kogoś dobrze zna, naprawdę zna?

*W tym fachu nie można nikomu ufać, chłopcze.*

Te słowa powinny zostać wyrzeźbione w granicie na jakimś pomniku i zadedykowane nieludzkości postępowania człowieka względem człowieka, zadedykowane ludzkiej perfidii. PIKE to stary akronim CIA tłumaczący, dlaczego ludzie stają się zdrajcami: Pieniądze, Ideologia, Kompromis i Ego.

O który z tych powodów chodziło? Dokąd to wszystko prowadziło? Czy naprawdę chciał wiedzieć?

- Pytałeś, dlaczego ci pomagam.

Z ciemności doleciał go głos Stephanie.

Odwrócił się i spojrzął na nią. Wpatrywała się w sufit.

- Powinnaś się przespać.

- Myślę, że zostałeś wystawiony.

- Przez Highnote'a?

- Jego lub kogoś innego. Nieważne. Kogoś z wysokiego stołka. Kogoś, kto chciał ochronić własny tyłek.

- Przecież siatka O'Haire'ów została rozbita.

- I na tym koniec - odpowiedziała. Odwróciła się i spojrzała na niego dużymi, lśniącymi oczami. - Może jedynie była wierzchołkiem góry lodowej, której podstawa jest o wiele większa.

- A zatem dowiemy się - odparł McAllister. - Tymczasem prześpij się trochę.

- Boję się - odezwała się cicho Stephanie.

Odrzuciła okrywające ją koce i wyszła z łóżka, poruszając się delikatnie i płynnie. Była naga. W mglistym świetle wpadającym z zewnątrz ujrzał jej małe piersi, wąskie



biodra i kępkę ciemnych włosów łonowych. Ostatnio musiała się opalać, ponieważ widać było wyraźnie linię bikini obrysowującą białe ciało na tle ciemnej opalenizny.

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Przytul mnie - wyszeptała wchodząc mu do łóżka. - Proszę cię.

Odsunął koc. Niczym zwinny wąż wślizgnęła się pod przytulne okrycie.

Dwa rozgrzane ciała zetknęły się ze sobą. Objął ją czule. Poczul straszliwy ciężar winy, jak gdyby był zdrajcą, wielkim niszczycielem, lecz mimo wszystko przynajmniej w tym momencie uznał, że tak jest dobrze.

Rankiem skrzętnie unikali rozmowy na temat tego, co się wydarzyło. Około ósmej trzydzieści zeszli na dół do hotelowej kawiarni, gdzie zjedli śniadanie przeglądając „Washington” i „New York Sunday”. Nadal nie pojawiła się żadna wzmianka o poszukiwaniach jego ciała ani na temat śledztwa w sprawie śmierci dwóch zastrzelonych oficerów Agencji w Nowym Jorku czy trzech Rosjan w samochodzie w Arlington Heights.

Wrócili do pokoju dokładnie o dziesiątej i Stephanie wykręciła numer domowy Ballingera. Po pierwszym sygnale odebrał Dexter Kingman.

- Tu mieszkanie Douga Ballingera. Kto mówi? - odezwał się ponuro.

Stephanie usłyszała głosy innych ludzi. Wielu ludzi.

- Dexter? Tu Stephanie. Czy jest Doug? Mogę z nim rozmawiać?

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Jesteś w domu?

- Nie. Spędziłam noc z przyjacielem. O co chodzi?

- Ballinger nie żyje.

- O Boże...

- Został zastrzelony w nocy lub wczesnym rankiem. FBI właśnie cię szuka.

- Co się dzieje... dlaczego mnie szukają?

- Obok telefonu na kartce papieru było napisane twoje nazwisko z notatką: dziesiąta rano. Miałaś się dzisiaj z nim spotkać czy co?

- Mielśmy razem spędzić dzień - wyjaśniła Stephanie próbując zapanować nad drżeniem swego głosu.

- Przyjedź do mojego biura. Załatwię tam przesłuchanie.

- Dexter... wiesz, kto go zabił? Przychodzi ci coś do głowy?

- Wygląda na robotę Rosjan - stwierdził ciężko Kingman.

- Rosjanie?

- Dość niemiły widok, Stephanie.

- Powiedz mi - poprosiła uzbrajając się w siłę.

- Wygląda to na standardowy zamach Centera. *Mokryje diela*. Dostał trzy strzały w twarz z bliskiej odległości.

- Zabili go - powiedziała Stephanie odkładając słuchawkę. - Mój Boże, zabili go...

## Rozdział 13

- Przykro mi, Stephanie - odezwał się McAllister. - Nawet nie wiesz, jak mi przykro, lecz nadszedł czas, żeby z tym skończyć.

Siedziała pobladła na skraju łóżka, spoglądając na niego załzawionymi oczami.

- Zadał komuś nieodpowiednie pytania i zabili go za to. Mój Boże, to wydaje się niemożliwe.

- Skąd Kingman wiedział, że to robota Rosjan? Byli jacyś świadkowie?
- Nazwał to standardowym zamachem Centera.
- *Mokryje diela?*

Skinęła głową.

- Tak, tak właśnie to określił. Co to oznacza?
- Dosłownie znaczy to „mokre sprawy”, rozlew krwi. Strzelono mu w twarz?
- Tak - odparła cicho. - A teraz FBI chce ze mną rozmawiać. Doug zapisał moje

imię na kartce papieru przy telefonie.

- Pójdiesz na to spotkanie - powiedział McAllister. - Powiesz im, że nic na ten temat nie wiesz. Zamierzaliście z Ballingerem spędzić wspólnie dzień, tak jak powiedziałaś Kingmanowi.

- Nie mogę.

- Musisz - nalegał McAllister. - Jeśli się nie zjawisz, zaczną cię szukać. Kiedy dowiedzą się, że jesteś ze mną, znajdziesz się na czarnej liście.

- Nie rozumiesz. Mac, ja już jestem na czarnej liście. Moje imię było zapisane na kartce przy telefonie Douga. Ktokolwiek go zabił, musiał je widzieć. Jeśli pojawię się na tym przesłuchaniu, załatwią mnie.

- Jedno niekoniecznie prowadzi do drugiego - stwierdził McAllister. - Może pójdziesz na to przesłuchanie?

- Nie - odparła stanowczo. - Bez względu na to, co się stanie, zostanę z tobą aż do wyjaśnienia całej sprawy. W tę czy w tamtą.

- Dlaczego? Czy potrafisz mi teraz powiedzieć?

Zacisnęła usta.

- Ponieważ nie lubię, jak się mną pomiata.

- To dopiero początek.

- Skończmy więc z tym jak najszybciej!

Pojechali samochodem, który Stephanie wynajęła wcześniej w Baltimore. McAllister postanowił, że użyją buicka po raz ostatni, ponieważ skoro nie pokazała się w Langley, zaczną jej szukać, a zlokalizowanie wozu nie zajmie im dużo czasu.

Za miastem zatrzymali się, żeby mogła zadzwonić do ojca i ostrzec go, że prawdopodobnie ktoś przyjdzie zadać na jej temat kilka pytań.

- To co ci powiedzą, nie będzie prawdą, ojciec - powiedziała.

- Grozi ci niebezpieczeństwo?

- Tak.

- Jesteś z nim?

- Tak.

- Uważaj na siebie. Ja dam sobie radę.

- Wiem, że tak będzie, tato - odparła.

Dzień był zimny i pochmurny. Na drogach panował niewielki ruch, więc szybko przebyli obwodnicę Capital. Skręcili na zachód w drogę dojazdową na lotnisko Dulles.

- Nie będą mieli powodu nękać twojego ojca - odezwał się McAllister.

Nastrój Stephanie pogorszył się znacznie od czasu rozmowy z ojcem, więc zaczął się o nią martwić.

- Bardzo na to liczę - odparła.

- Wciąż masz czas, aby się wycofać.

Spojrzała na niego.

- Nie mów tego więcej, Mac. Niczego mi to nie ułatwia. Lepiej się pośpieszmy.

Od tego ranka w głowie McAllistera zaczął formować się pewien plan. Stało się oczywiste, że słowa Woronina faktycznie miały konkretne znaczenie i że w pewien sposób wiązały się z siatką szpiegowską O'Haire'ów, a raczej z jej oficerem

nadzorującym. Było równie oczywiste, że bez większej ilości informacji nie mógł posunąć się w tej sprawie ani kroku dalej. Wszystko sprowadzało się do pytania: Komu można zaufać, kiedy oddzielenie kłamców od niewinnych wydaje się niemożliwe?

Zwolnił, gdy zbliżyli się do zakrętu przy Reston. Niewiele z mijanych samochodów zmierzało ku lotnisku. Od czasu gdy opuścili hotel, nie dostrzegł policyjnego radiowozu ani jakiegokolwiek rozpoznawalnego wozu Agencji czy Biura. Oczywiście nikt się nie spodziewał, że wróci do Sikorskiego. Nie po tym, co zdarzyło się owej nocy. Zerknął w lusterko wsteczne, zanim skręcił na zjazd i zobaczył czekoladowobrazowego forda thundeibirda zbliżającego się z dużą prędkością. Skręcił lekko w prawo, by ułatwić mu przejazd i samochód przemknął obok nich. Kierowca i pasażer wyglądali na zawziętych ludzi.

- To oni! - krzyknęła Stephanie pochylając się w przód.

- Kto? O czym ty mówisz?

- Tamten samochód! Brązowy thunderbird! Ten sam co w Dumfries!

Samochód zdążył już przejechać obok znaku stopu na szczycie wzgórza i pędził teraz na północ, w kierunku Reston, do Sikorskiego. McAllister wcisnął pedał gazu. Tyłem wozu lekko zarzuciło, gdy wjechali na oblodzone miejsce na drodze dojazdowej. Nie było ruchu, więc McAllister nie silił się nawet na zwolnienie przed znakiem stopu. Samochód zakołysał się mocno na skrzyżowaniu, ponownie wpadając w lekki poślizg. McAllister zmusił się, żeby zwolnić. Wypadnięcie z drogi w tej sytuacji uniemożliwiłoby dogonienie dwóch zamachowców jadących przed nimi.

- Jesteś pewna, że to ci sami mężczyźni? - zapytał McAllister.

Ford zdążył już wjechać na kolejne wzniesienie i zniknął za nim. Boczna droga prowadząca do chaty Sikorskiego znajdowała się niewiele dalej niż kilometr stamtąd.

- Nie zdążyłam przyjrzeć im się aż tak dobrze, kiedy nas mijali, lecz to ten sam samochód. Tablica rejestracyjna New Jersey.

Spojrzał na nią. Z torebki wyjęła małą automatyczną trzydziestkędwójkę.

- Jadą do Sikorskiego.

- Żeby go zabić - dodała Stephanie. - Tak jak zabili Douga.

- Ci dwaj to Amerykanie. Obydwoje słyszeliśmy ich wówczas na jachcie.

Stephanie spojrzała na niego.

- Gdybyś chciał kogoś zabić i upozorować to tak, żeby wyglądało na robotę Rosjan, to co byś zrobił?

McAllister przytaknął.

- Nasuwa się pytanie, skąd, do cholery, biorą te wszystkie informacje?

- Z samego środka Langley. Od Highnote'a.

- Zobaczymy - rzucił ponuro McAllister.

Wspięli się na wzniesienie i popędzili w dół wzgórza, widząc w oddali światła Reston. Nigdzie jednak nie dostrzegli thunderbirda. Przed nimi ciągnęła się prosta nitka czarnej szosy. Samochód mógł jedynie skręcić w drogę zawracającą lekko w górę przez Sunset Hills. Niewielkie wątpliwości, które do tej pory kołatały się w umyśle McAllistera, topniały błyskawicznie, a ich miejsce zajmowało coraz silniejsze przeświadczenie. Ktoś eliminował po kolei wszystkich, z którymi kontaktował się po zwolnieniu z Łubianki.

Wszystkich, z wyjątkiem Roberta Highnote'a.

Dotarli do drugorzędnej drogi i skręcili w nią. Polna droga prowadząca do chaty Sikorskiego znajdowała się kilka kilometrów dalej wśród wzgórz. Śnieg, który spadł zeszłej nocy, okrył białym płaszczem drzewa i krzaki. Mała osada Sunset Hills przycupnęła na skraju lasu po prawej stronie; skręcił w lewo i dopiero po przejechaniu około kilometra zwolnił i zatrzymali się na polnej drodze.

Ślady kół prowadziły dalej, żaden nie wracał. Nikt tędy nie przejeżdżał od czasu ostatnich opadów śniegu. Tylko thunderbird.

McAllister ruszył powoli podjazdem. Drzewa po obu stronach drogi zamykały się nad nimi tworząc swoisty baldachim. Przejechawszy kilkaset metrów zatrzymał się ponownie i wyłączył silnik. W tym miejscu droga była niezwykle wąska, a wysokie pobocze po obu stronach uniemożliwiało zjechać z niej. Cokolwiek by się stało, thunderbird nie byłby w stanie powrócić tędy na główną drogę.

- Ukryj się w lesie - powiedział McAllister. - Jeśli nadjadą, zacznij do nich strzelać, a potem zabieraj się stąd jak najszybciej.

- Idę z tobą - rzekła stanowczo Stephanie.

- Zrobisz, jak powiedziałem, do cholery - warknął McAllister. - Gdyby coś mi się stało, chcę, żebyś dotarła do Kingmana i powiedziała mu wszystko... Naprawdę wszystko. Przynajmniej będziesz miała jakąś szansę.

Stephanie popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, po czym skinęła głową.

Wysiedli z wozu. Wahala się przez sekundę, lecz po chwili wspięła się na żwirowy nasyp i zniknęła w gęstym lesie.

McAllister ruszył w kierunku chaty. Kroczył ostrożnie po miękkim, na wpół stającym śniegu. Po przejściu dziesięciu metrów buty zupełnie mu przemokły. Wyjął z kieszeni P38 i odbezpieczył go.

Thunderbird stał na skraju polany. Podbiegł do niego pochylony nisko przy ziemi. Nie zauważył nikogo. Chata sprawiała wrażenie opustoszałej. Nie usłyszał żadnych odgłosów ani nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

Z miejsca, gdzie przykłęknął za dużym samochodem, widział wyraźnie podwójne ślady stóp prowadzące przez polanę, a następnie rozdzielające się na prawo i lewo. Otoczyli chatę podchodząc do niej z dwóch stron. Pickup Sikorskiego stał nadal pod wiatą, lecz żadne ślady, oprócz śladów stóp dwóch mężczyzn, nie odciskały się ciemnym piętmem na polanie. Od czasu opadów śniegu nikt tędy nie przechodził i ten fakt niepokoił McAllistera.

Obszedł samochód zatrzymując się po stronie kierowcy. Okno było otwarte, kluczyki zwisały ze stacyjki. Sięgnął do środka, wyjął kluczyki i wsadził je do kieszeni.

Teraz, pomyślał sobie, szanse zostały trochę bardziej wyrównane. Cokolwiek się stanie, nie uda im się tak łatwo stąd wydostać. Będą musieli walczyć.

Jakiś mężczyzna w ciemnej lotniczej kurtce wyszedł zza chaty. McAllister cofnął się szybko za samochód, żeby nie zostać dostrzeżonym. Mężczyzna jednak z uwagą obserwował opustoszałe domostwo.

Frontowe drzwi otworzyły się nagle i drugi mężczyzna, ubrany w ciemny, rozpięty płaszcz, wyszedł na zewnątrz, chowając broń pod połą. Mężczyzna w lotniczej kurtce powiedział coś do niego, a tamten pokręcił przecząco głową. McAllister słyszał ich głosy, lecz nie mógł rozróżnić słów.

Spodziewali się, że zastaną Sikorskiego w domu, lecz najwyraźniej starzec wyjechał z kimś, zanim śnieg przestał padać. Teraz powrócą do samochodu.

McAllister cofnął się jeszcze dalej, a następnie przedostał się do lasu. Przeskakując od drzewa do drzewa, znalazł się nie dalej niż cztery i pół metra od samochodu, lecz tym razem był ukryty w zimowym mroku lasu. Ponownie usłyszał przyciszoną rozmowę. Słowa stały się wyraźniejsze, gdy mężczyźni weszli na niewielkie wzniesienie. Nadal nie mógł zrozumieć, lecz wydawało mu się, że mówią po angielsku.

Pierwszy wyłonił się ten w lotniczej kurtce, podchodząc do wozu od strony kierowcy. McAllister przytknął rewolwer do pnia drzewa. Trzymał go w obu dłoniach czekając, aż ukaże się drugi.

- A to skurwiel - zaklął ten w kurtce odwracając się od otwartego okna i sięgając ręką po broń.

Jego współnik właśnie pojawił się z drugiej strony samochodu i spojrzał zaniepokojony.

- Ktoś gwizdnął pieprzone kluczyki - zaklął ten w kurtce.

- Nie ruszać się! - zawołał McAllister.

Mężczyzna w kurtce wyciągnąwszy rewolwer rzucił się na lewo. Drugi schował się za samochodem.

McAllister strzelił, a broń podskoczyła mu w rękę. Kula przebiła drzwi kierowcy piętnaście centymetrów za pierwszym zamachowcem, który natychmiast odpowiedział wystrzałem. Pocisk ugodził w drzewo prawie przy twarzy McAllistera.

McAllister strzelił ponownie. Głowa mężczyzny odskoczyła w tył, uderzając w przedni zderzak wozu. Z jego ust wydobył się ohydny bulgot. Bandzior chwycił się za ranę w szyi, z której trysnęła krew, brocząc śnieg dookoła.

To byli Amerykanie, nie Rosjanie! Tego nie chciał! Nie o taką konfrontację mu chodziło.

Mężczyzna umierał pełną minutę, po czym las zatopił się w niezmaconej ciszy, przerywanej jedynie szelestem lekkiego wiatru poruszającego gałęziami drzew.

McAllister stał bokiem do drzewa, czując wzbierające mdłości i słysząc, jak serce wali mu w piersiach. Drugi mężczyzna nie ruszył się z za samochodu. Przez chwilę trwali w impasie.

- Nie zabiliśmy go. - Akcent wskazywał na Nowy Jork lub New Jersey. - Znaleźliśmy go w takim stanie, przysięgam na Boga. Nie wiem, co się stało. Nie wiem, kto to zrobił...

Słowa brzmiały histerycznie, lecz ton głosu wykazywał opanowanie.

Janos nie żył? Jeśli ci dwaj go nie zabili, to kto to zrobił?

- Muszę mieć gwarancje. Nie dam się zatłuc jak Nick.

Głos docierał teraz z tyłu samochodu.

McAllister lekko wychylił się do przodu i wyrżał ostrożnie z za drzewa. Mężczyzna w lotniczej kurtce leżał na śniegu w dużej kałuży krwi.

- Rzuć broń, to nikt cię nie skrzywdzi! - zawołał McAllister.

- On tam kiepsko wygląda - odezwał się mężczyzna. - Ten w chacie.

- Powiedziałem, rzuć broń.

Mężczyzna wyrżał z za samochodu i oddał dwa stężały; pociski przeleciały tuż obok McAllistera, kiedy chował się ponownie za drzewo. Kimkolwiek byli, dobrze strzelali, byli zawodowcami.

Po chwili usłyszał szybkie kroki zmierzające w kierunku drogi. Wychylił się z za drzewa, żeby ujrzeć, jak mężczyzna znika w lesie. Wystrzelił dwukrotnie, wiedząc już w momencie strzału, że nie ma szansy go trafić.

McAllister pobiegł przez las do buicka, gdzie czekała Stephanie. Jedyna droga ucieczki prowadziła w tym kierunku, więc prędzej czy później mężczyzna musiał wybiec na szosę. McAllister potykał się i ślizgał na śniegu. Zatrzymawszy się zaczął nasłuchiwać. W oddali usłyszał, jak ktoś przedziera się przez las, po czym odgłosy ucichły.

Jeśli Stephanie dobrze się ukryła, mężczyzna przebiegnie koło niej, w ogóle jej nie zauważając. Jeśli jednak stała na otwartej przestrzeni, mogła mieć kłopoty. McAllister zdwoił wysiłki, skręcając w kierunku polnej drogi. Wiedział, że będzie odsłonięty, lecz pusta przestrzeń pozwalała mu na szybszy bieg.

Przypomniał sobie góry Rodopy tuż przy granicy bułgarsko-greckiej. Biegł całą noc i teraz, kiedy wschodziło słońce, pozostał mu jeszcze niecały kilometr do granicy, za którą czekała na niego oaza bezpieczeństwa. Ścigany przez bułgarską służbę

bezpieczeństwa słyszał, jak nadbiegają, słyszał psy i helikoptery, a jednak nie przestawał biec, ponieważ nie miał innego wyjścia.

W oddali rozległ się pojedynczy strzał, a potem zaległa cisza. McAllister zatrzymał się na skraju drogi i wstrzymawszy oddech nasłuchiwał. Buick stał dwadzieścia pięć lub trzydzieści metrów dalej na polnej drodze. Nic się nie poruszyło. Las tonął w ciszy. Odczuwał ból w boku i miał wrażenie, że coś sący mu się z lewego ramienia.

Domyślił się, że prawdopodobnie puścił jeden ze szwów.

Przemknął ostrożnie na drogę i pochyliwszy się do poziomu nasypu, popędził w kierunku samochodu. Zatrzymał się ponownie, aby nasłuchiwać, lecz las niezmiennie odpowiadał mu głuchą ciszą.

- Stephanie?! - zawołał.

- Tutaj! - doleciała go jej odpowiedź z leśnej głuszy.

McAllister obszedł buicka z przodu i spojrzawszy znad nasypu w kierunku, w którym prowadziły ślady jej stóp na śniegu. Nie widział nic oprócz drzew. Zagłębił się w las.

- Stephanie?! - zawołał ponownie, tym razem odpowiedź wydała mu się słabsza i nadeszła z prawej strony.

- Tutaj! - zawołała. - Jestem tutaj!

Włosy na karku stanęły mu dęba. Coś było nie tak. Miała kłopoty. Słyszał to wyraźnie w tych kilku słowach, które wypowiedziała.

- Idę! - zawołał i zaczął głośno przedzierać się ścieżką wytyczoną śladami jej stóp. Zatrzymał się po dziesięciu krokach i zaczął nasłuchiwać, po czym zszedł ze ścieżki i starając się stąpać możliwie bezszelestnie, zatoczył duże koło w lewą stronę, próbując poruszać się jak najszybciej.

Doszedł do wąskiej polany położonej około dwadzieścia pięć metrów od podnóża wzniesienia. Ślady czyichś stóp z lewej strony niknęły powyżej w lesie. Stephanie musiała znajdować się blisko, chociaż ciemności nie pozwoliły mu niczego dostrzec, gdy przechodził przez polanę. Ponownie się zatrzymał.

- Gdzie jesteś?! - zawołała Stephanie, a jej głos doszedł go z zaskakująco bliskiej odległości. Gdzieś z prawej. - Mac?!

Spojrzawszy na drzewa i krzaki znajdujące się tuż przed nim i powoli przeczesał je wzrokiem centymetr po centymetrze; ciemne na tle białego śniegu. Zauważył ich za dużym drzewem. Mężczyzna w ciemnym płaszczu obejmował ramieniem Stephanie na wysokości klatki piersiowej, podczas gdy prawą ręką przykładał jej pistolet do głowy. Nie byli dalej niż dziesięć metrów od niego, trochę powyżej, odwróceniem plecami.

McAllister położył się na brzuchu i zaczął pełznąć pod górę, starając się skrywać za drzewami i krzakami. Ich uwaga koncentrowała się na przeciwnym kierunku, na drodze.

Znalazłszy się zaledwie dziesięć stóp od nich, wstał powoli i uniósł pistolet w obu dłoniach.

- Stephanie! - zawołał głośno.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu kompletnie zdumiony spojrzawszy przez ramię i zaczął odwracać pistolet. To wystarczyło McAllisterowi. Pocisk trafił napastnika w czoło odrywając spory kawałek czaszki, a bryzgająca na wszystkie strony krew zalała Stephanie. Mężczyzna osunął się po drzewie. Nogi bez oporu ugięły się pod nim, po czym upadł twarzą w śnieg.

Stephanie z wyrazem przerażenia na twarzy odeszła krok od ciała i nagle skoczyła w przód, zbiegła ze zbocza i wpadła w objęcia McAllistera.

- Usłyszałam strzały i nagle znalazł się tuż za mną - powiedziała szybko. - Kazał mi wystrzelić w ziemię i zawołać cię. Słyszeliśmy, jak idziesz. Chciałam cię ostrzec, lecz nagle zapadła cisza. Och, Boże, Mac...

- Już dobrze - powiedział spoglądając przez ramię na martwe ciało mężczyzny.
- Co z tym drugim? - spytała nagle, sztywniejąc w jego ramionach i cofając się.
- Leży przy samochodzie. Zabiłem go.

Spojrzała mu w oczy.

- Przyjechali tu, żeby zamordować Sikorskiego - odezwała się.

- Już nie żyje. Ten powiedział, że tak go znaleźli - odparł zmęczonym głosem McAllister. Kręciło mu się w głowie. - Nic ci nie jest?

Zaprzeczyła.

- A tobie?

- Chyba też nie - odparł.

Podszedł i odwrócił na plecy bezwładne ciało.

Stephanie pomogła mu. Znaleźli przy nim pięćset czy sześćset dolarów w gotówce, które McAllister zabrał, i portfel. Nazywał się Treffano Miglione, z Jersey City; członek Synów Włoch i związku Teamsters Local 1451. Najwidoczniej był żonaty. Znaleźli kilka zdjęć trójki małych dzieci i całkiem przystojnej młodej kobiety.

McAllister przykucnął i podniósł wzrok na Stephanie.

- Ten nie był ani z Agencji, ani z Biura.

- Nie - powiedziała. - Mafia?

- Taak - odparł McAllister. - Najemni mordercy. Ktoś ich wynajął, żeby się pozbyć mnie. Ballingera i Sikorskiego. Tylko kto ich wynajął?

Martwy miał przy sobie dziewięciomilimetrowego sigsauera. McAllister wyjął magazynek, pociski i schował je do kieszeni. Potrzebował ich do własnej broni.

Wstał. Tu w lesie byli jakby odizolowani od świata zewnętrznego, więc istniało małe prawdopodobieństwo, że ktokolwiek słyszał strzały. Nie chciał jednak ryzykować. Nadszedł czas, żeby się zbierać.

- Gdzie teraz pojedziemy? - spytała Stephanie.

Prawie jak aksjomat, pomyślał. Im dalej zagłębiasz się w grę, tym bardziej zawężają się wszelkie opcje, Czuł tak zwany efekt przewodu wentylacyjnego ciągnący go nieubłaganie w dół. W kierunku czego?

- Zorganizujesz mi spotkanie ze swoim szefem, Dexterem Kingmanem - powiedział. - Dziś wieczór.

Pozbawione butów i koszuli ciało Janosa Sikorskiego leżało na kupie drewna na opał w drewutni za wiatą. Nie żył już co najmniej od dwóch dni. Zdażył zamarznąć. Został pobity na śmierć, miał połamane ręce i nogi, prawdopodobnie od wielu uderzeń potężnymi szczapami drewna.

McAllister stanął w wejściu. Słabe światło padało na podłogę oświetlając półnagie ciało starca, Połamali mu żebra, wybili zęby i wreszcie zmiażdżyli czaszkę.

- Co im po wiedziałeś, Janos? - mruknął McAllister na w pół do siebie.

Z uwagi na temperaturę w szopie nie śmierdziało, a jednak wyobraził sobie woń śmierci i zebrało mu się na wymioty.

Stephanie stała tuż za nim. Jęknęła głucho, kiedy ujrzała ciało, odwróciła się i zwymiotowała na podwórze.

Ci dwaj w lesie najprawdopodobniej zabili Ballingera, więc kto to zrobił Sikorskiemu? Jeszcze bardziej istotne; Dlaczego? Czy rzeczywiście znaleźli się na polu bitwy jakichś frakcji?

W sytuacji zagrożenia organizacja za wszelką cenę musi bronić swego bezpieczeństwa. To podstawowa zasada. Lecz jaka organizacja zrobiła coś takiego i jak daleko mogła posunąć się w samoobronie?

McAllister wszedł dalej do drewutni i spróbował zamknąć Sikorskiemu oczy, lecz zamarznięte powieki nawet nie drgnęły.

- Och, Janos, co wiedziałeś o Zebrze Jeden i Zebrze Dwa? - wymamrotał.  
*Zdrajca*, krzyczał Sikorski. *Dadzą mi medal za twoje ciało.*  
Kto miałby ci dać medal, Janos? Do cholery, kto?

\* \* \*

Zaparkowali buicka na polanie przed domem Sikorskiego i pojechali thunderbirdem na lotnisko Dulles, gdzie u Hertza McAllister wynajął dla Stephanie chevroleta celebrity, używając prawa jazdy i kart kredytowych jednego z zamachowców. Jechała za nim do miasta, po czym zostawili obydwa samochody na tym samym parkingu, kilka przecznic od swojego hotelu w centrum miasta.

Kiedy znaleźli się w pokoju, dochodziła już trzecia po południu. Stephanie zmieniła opatrunek na nowo otwartej ranie w boku McAllistera, i której sączyła się strużka krwi.

Była wyraźnie wstrząśnięta. Dziś rano miała jeszcze wybór: zostać lub odejść, teraz jednak było za późno. Przekroczyła pewną granicę. W obecnej sytuacji jej życie nie mogłoby już toczyć się normalnym torem.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia - powiedziała. Pili upragnionego drinka. - Jeśli zaaranżuję to spotkanie, Kingman postawi na nogi połowę Agencji, żeby tylko cię dostać.

- Właśnie o to mi chodzi - stwierdził McAllister.

Patrzył przez okno na rozciągające się w dole miasto. Wyglądało, że zbiera się znowu na śnieg.

- Faktycznie jesteśmy w gorszej sytuacji niż przedtem - zachnęła się. - Będą podejrzewać, że to ty zabiłeś Sikorskiego. Prędzej czy później mafia zacznie szukać swoich ludzi. Ten thunderbird stanie nam kolkiem w gardle.

McAllister odwrócił się do niej plecami.

- Wziąłem ich samochód wyłącznie z uwagi na to, co znalazłem w bagażniku. Będę tego potrzebować.

- To znaczy?

- Narzędzia.

Popatrzyła na niego zaciskając usta.

- Po co, Mac? Co zamierzasz zrobić?

- Zaczniemy od początku - odrzekł. - Powiedzmy, że zadzwonisz do Kingmana dziś po południu, zaraz, i powiesz mu, że chcę się z nim spotkać. Tylko my dwaj, dziś o dziesiątej przed Obserwatorium Marynarki Wojennej. Co uczyni? Dokładnie.

- Jeśli chcesz mieć jakiegokolwiek szanse, by tam dotrzeć i wydostać się, musimy zastosować kilka forteli. Nie będzie to trudne do zaaranżowania. Na przykład telefon do budki telefonicznej. Ale on nie przyjedzie sam.

- Żadnych sztuczek - zastrzegł McAllister. - A gdyby powiedziec mu od razu, kiedy i gdzie chcę się spotkać?

- W ciągu godziny jego ludzie obstawią cały obszar. Nie zdołasz dostać się tam niepostrzeżenie.

- Zgodzi się na spotkanie, jeśli do niego zadzwonisz? - nalegał McAllister.

- Oczywiście. Spróbuje przemówić mi do rozsądku. Będzie rozczarowany. Lecz przyjdzie. Podejrzewam, że stałeś się nie lada kąskiem.

- Kingman przyszedłby osobiście, jak również wielu jego ludzi.

- Połowa Agencji - odparła Stephanie. - Jestem pewna, że włączyłby w to również FBI. A prawdopodobnie nawet gliniarze z okręgu.

- Nasze małe spotkanie ściągnęłoby mnóstwo ludzi do obserwatorium. Wielka sensacja.



- Naturalnie... - zaczęła, lecz nagle dotarło do niej to, co próbował jej przekazać i otworzyła szeroko oczy. - Podczas gdy wszyscy będą na ciebie czekać, ty znajdziesz się zupełnie gdzie indziej. Odwrócenie uwagi.

- Właśnie - przyznał McAllister. - Lecz chcę, żebyś była w pobliżu i obserwowała, kto się pojawi i co zrobi. Blisko, ale w ukryciu.

- Holiday Inn - odezwała się. - Przy Alei Wisconsin, kilka przecznic od obserwatorium. Spalimy tam raz z Dougiem.

- Czy stamtąd będziesz miała dobry widok na obserwatorium?

- Z najwyższego piętra - odpowiedziała. - A co z tobą? Gdzie ty będziesz?

- Postaram się zdobyć jakieś informacje, których niewątpliwie będziemy potrzebowali, jeśli chcemy ocalić nasze żywoty - wyjaśnił z lekką ironią.

Chciała coś odpowiedzieć, lecz tylko uśmiechnęła się kwaśno. Skinęła głową.

- Rozumiem - rzekła cicho.

- A teraz zadzwoń do niego.

Śnieg znowu zaczął przykrywać białym całunem zmarzniętą ziemię, kiedy McAllister dotarł do Georgetown Pike i zaparkował thunderbirda na ciemnej ulicy poniżej Langley Hill. Teren CIA znajdował się po drugiej stronie. Przez kilka minut siedział w ciemnym samochodzie, obserwując uważnie opustoszałą okolicę. Minęła dwudziesta pierwsza trzydzieści. Do tej pory ludzie Kingmana z pewnością otoczyli obserwatorium na północ od parku Dumbarton Oaks i przez co najmniej pół godziny nikt nie powinien zacząć czegokolwiek podejrzewać. Ochroniarze na pewno będą jak zawsze czujni, lecz na miejscu zabraknie Kingmana i Highnote'a oraz pozostałych grubych ryb, które mogły zostać wplątane w tę sprawę. Potrzebował dostępu do terminalu komputerowego w jednym z biur.

Wysiadł z samochodu i wyjął z bagażnika nożyce o długich rączkach, do przecinania sworzni i rygli oraz mały zestaw narzędzi, który wcześniej znalazł. Dwaj zamachowcy przybyli z Jersey City dobrze przygotowani do wykonania zlecenia. Oprócz narzędzi odkrył również karabin o dużej sile rażenia i noktowizor w aluminiowej walizce, pistolet maszynowy MAC 10 z trzystoma nabojami oraz obrzynek, niezastąpiony w ciasnych pomieszczeniach. Akcesoria te nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do sposobu, w jaki działali.

Zamknawszy bagażnik na klucz, przeszedł przez rów i ruszył w kierunku linii drzew na skraju polany znajdującej się na wierzchołku niskiego wzgórza. Czasami podpierał się rękoma i kolanami, ponieważ droga była śliska.

Na górze schronił się w lesie i spojrzał w tył na drogę, którą przebył. Śnieg padał teraz równo, więc niedługo ślady, które zostawił wspinając się na wzniesienie, zostaną zasypane.

Skreślił na północny wschód myśląc o szczęściu. Tak wiele w jego życiu zależało od łutu szczęścia.

Po przejściu stu metrów dotarł do wysokiego, powiązanego łańcuchem ogrodzenia, opatrzonego na górze drutem kolczastym. Duża metalowa tablica ostrzegała nie upoważnione osoby przed wejściem na teren rządowy.

Postawiwszy na ziemi zestaw narzędzi, McAllister szybko wyciął duży kwadrat w dolnej części siatki ogrodzenia, używając do tego długich nożyc, po czym otworzył go i przeczołgał się na drugą stronę. Kucnął w ciemnościach, oczekując i nasłuchując sygnału alarmowego. Noc jednak była cicha i spokojna, a drzewa i padający śnieg tłumili okazjonalne odgłosy ruchu ulicznego, dochodzące z Georgetown Pike.

Pozostawiwszy na ziemi nożyce, ruszył biegiem w dół do płytkiej dolinki, a następnie wspiął się na przeciwległe zbocze, zatrzymując się mniej więcej co sto

metrów i nasłuchując odgłosów jednego z patroli, które nadzorowały ten obszar przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nie usłyszał nic. Zdawało mu się, że znalazł się w innym wszechświecie, otoczonym ciemnymi drzewami, zacinającym śniegiem i przepastną ciszą, którą przerywał jedynie jego przyśpieszony oddech.

*Patrz, na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Organizację O'Haire'ów nazwano Siecią Zebra. Żołnierze siedzieli w więzieniu. A generałowie? Zebra Jeden i Zebra Dwa?

Ich oficer lub oficerowie nadzorujący nigdy nie zostali zidentyfikowani. Dlaczego? Brak informacji, czy też ktoś ochraniał ich z jakiegoś powodu?

Po przebyciu około kilometra od ogrodzenia dotarł do pierwszej brukowanej drogi. Na świeżym śniegu nie dostrzegł śladu opon. Przystanął na skraju. Gdyby przeszedł na drugą stronę, następny patrol, który będzie tędy przejeżdżał, dostrzegłby jego ślady.

Odwrócił się i przez kilkaset metrów szedł w kierunku północnym. Dotarł do skrzyżowania z drogą, po której niedawno przejechał jakiś pojazd. Dokładnie tego szukał. Świeże ślady opon samochodowych prowadziły w kierunku północno-wschodnim, a wydawało mu się, że w oddali widzi delikatną poświatę reflektorów.

Wszedł na brukowaną drogę i starając się trzymać koleiny, ruszył przed siebie, a jego krokom towarzyszył chrzęst świeżego śniegu. Teraz widział wyraźnie błysk światła przed sobą. W opadającym białym puchu wydawały się prawie różowe. Dostrzegł parking na tyłach placu budowy. Duży spychacz stał na poboczu, a za nim dwie ciężarówki dźwigające potężne gruchy na cement, i dźwig, który w oczekiwaniu poniedziałkowej porannej zmiany znieruchomiał z ramieniem spoczywającym na długiej przyczepie. McAllister podążył wzdłuż drogi, która skręcała w prawo, a dalej prowadziła na szeroki parking, w większości opustoszały o tej porze. W oddali ujrzał kompleks siedmiopiętrowych budynków - siedzibę CIA z nowo powstającą budowlą, zarysowującą się na tle nieba niczym ciężki, niezdamny statek, zmagający się z silnym sztormem. Zatrzymał się przy śmieciarce.

Pytania padły w Moskwie. Czy tutaj znajdzie odpowiedzi?

Nagle poczuł przeraźliwy chłód.

Na końcu parkingu rozbłysły światła samochodu. McAllister przykucnął za dużą ciężarówką i przeczekał, aż jasnoszary truck przejedzie przez parking w kierunku drogi, którą właśnie przybył. Spojrzał na kierowcę i pasażera, który mówił coś do mikrofonu. Czyżby odkryto dziurę w ogrodzeniu? Gdy tylne światła samochodu zniknęły w ciemnościach nocy, McAllister szybko przebiegł przez drogę i popędził skrajem parkingu.

Rozbudowę kompleksu rozpoczęto prawie rok temu. Ostatni biuletyn, jaki czytał, donosił, że nowe pomieszczenia biurowe nie zostaną oddane do użytku wcześniej niż przed wiosną, z uwagi na liczne, jak dotąd nie wyjaśnione, opóźnienia. Rusztowania obejmowały wszystkie trzy skrzydła budowli w kształcie litery U, wznoszącej się ponad dotychczasowe zabudowania. Dookoła walał się sprzęt i sterty materiałów budowlanych.

Przykucnąwszy w ciemności, jeszcze przez minutę obserwował budynek, lecz nic się nie poruszyło, a czarnych otworów okien nie rozjaśnił najmniejszy błysk światła. Wejście do głównego budynku, dla potrzeb bezpieczeństwa, było jasno oświetlone od zewnątrz. W Wydziale Operacyjnym na pewno znajdował się cały personel, podobnie jak w Wydziale Komunikacji i kilku innych podstawowych wydziałach, lecz większa część budynku świeciła pustką.

McAllister podszedł do północnej ściany nowego gmachu. Dotarłszy do rusztowania, wcisnął zestaw narzędziowy do kieszeni i zaczął się wspiąć na górę.

Okna na czwartym piętrze i powyżej nie zostały jeszcze założone. Płócienny materiał okrywający otwory falował z lekka pod wpływem delikatnego ruchu powietrza.

Kiedy dostał się na czwarte piętro, był trochę spocony i musiał zatrzymać się na chwilę, żeby złapać oddech, po czym przeszedł pod płótnem i znalazł się we wnętrzu budynku.

Wyczuł czyjąś obecność. Stał nieruchomo w otaczającej go ciemności, oczekując jakiegoś dźwięku, ruchu, czegokolwiek, co mogłoby towarzyszyć zapachowi dymu z papierosa, który wyraźnie wyczuwał. Ktoś tu był. Bardzo blisko.

Stopniowo oczy przyzwyczyły się do ciemności i był w stanie odróżnić kształty i zarysy ścian, zwieszających się drutów, rur i stosów materiałów budowlanych. W dalszym ciągu stał przy zakrytym płótnem otworze okiennym nasłuchując i obserwując. Znajdował się w obszernym, nie wykończonym pokoju. Dokładnie na wprost niego było wyjście na szeroki korytarz. Jakiś człowiek stojący gdzieś po lewej stronie na korytarzu zakaszłał krótko. McAllister wyjął rewolwer i zaczął się skradać niczym ślepiec, z wyciągniętą przed siebie ręką, by nie nastąpić na jakiś przedmiot.

Przy wyjściu zatrzymał się ponownie i zaczął nasłuchiwać. W tym miejscu woń papierosa była jeszcze silniejsza. Wyczuwał również ciepło przenośnego ogrzewacza, dmuchającego w jego kierunku gorącym powietrzem. Mógł to być strażnik. Nowy budynek stykał się ze starym akurat w tym miejscu. Na pewno są tam drzwi. Jakies przejście. Ktoś musi więc go strzec. Jeden strażnik czy dwóch? Czy dopisze mu dotychczasowe szczęście?

Ścisnąwszy mocniej kolbę pistoletu wyszedł zza rogu. Strażnik siedział przy małym stoliku przed przepierzeniem z dykty, w którym widniały drzwi z ogromną kłódką. Ustawił sobie przy nogach przenośny grzejnik i z uwagą studiował jakieś czasopismo. Ze stojącej przed nim popielniczki unosił się dym. Zwisająca z sufitu pojedyncza żarówka oświetlała zimne pomieszczenie.

McAllister zdążył przemierzyć pół korytarza, zanim strażnik zorientował się, że ktoś nadchodzi; podniósł głowę, spojrzał rozszerzonymi ze strachu oczami i otworzył usta. Sięgnął po leżącą na stole krótkofalówkę.

- Nie rób tego - odezwał się McAllister podnosząc pistolet.

Strażnik wahał się przez kilka chwil. McAllister podszedł do niego i złapał krótkofalówkę. Początkowe zdziwienie mężczyzny przerodziło się w złość.

- Zaraz, myślisz, że kto jesteś, do cholery? - wyrzucił z siebie strażnik, zrywając się na równe nogi.

- Nie chcę cię zabić, ale zrobię to, jeśli mnie do tego zmusisz - wycedził McAllister ściszone, złowrogim głosem.

Nie chciał takich niespodzianek. Zabicie tego człowieka nie wchodziło w grę, bez względu na to, co miało nastąpić.

Osiągnięcie celu nagle stało się niezwykle trudne.

W następnej chwili szczęście zupełnie go zawiodło.

- Proszę bardzo ostrożnie podnieść ręce, panie McAllister - odezwał się ktoś za jego plecami.

McAllister znieruchomiał. Znał ten głos, pamiętał go sprzed kilku lat. Przeszukał swój umysł, próbując przypomnieć sobie twarz i nazwisko. Ktoś z czasów, kiedy ostatnim razem wykonywał tu, w Langley papierkową robotę.

- Prosiłem, żeby pan podniósł ręce do góry, i wcale nie żartuję.

- Kim jesteś? - spytał McAllister odwracając się powoli.

Mężczyzna był bardzo niski, lecz dobrze zbudowany. Miał gęste, siwiejące włosy i ciemne brwi okalające szerokie oczy. Twarz wydała się Macowi nieco znajoma, jednak nie potrafił połączyć jej z żadnym nazwiskiem.

- Tom Watson. Zostaliśmy poinformowani, że może się pan pojawić. A teraz, proszę podnieść ręce.

McAllister przypomniał sobie. Watson był jednym ze strażników przy frontowym wejściu. Często wymieniali żartobliwie powitania, kiedy McAllister przychodził do pracy. Mężczyzna trzymał w prawej ręce trzydziestkę-ósemkę Smith&Wesson. Nie miał przy sobie krótkofalówki. McAllister podniósł obie ręce. W jednej trzymał krótkofalówkę, w drugiej broń.

- I co teraz, Tom?

- Najpierw pana rozbroję, a potem zawołam pomoc - powiedział zmęczonym głosem Watson. - Weź od niego pistolet, Frank.

Drugi strażnik podszedł z tyłu i sięgnął po pistolet. To był błąd z jego strony. McAllister odwrócił się, jakby chciał wręczyć strażnikowi broń, lecz wykonał pełen obrót i znalazłszy się w okamgnieniu za mężczyzną, otoczył lewą ręką jego gardło i przystawił mu zimną lufę do skroni.

Tom Watson ruszył do przodu podnosząc rewolwer. Na jego twarzy malowało się przerażenie pomieszane z niepewnością i zdumieniem.

- Nie chcę go zastrzelić, Tom, ale zrobię to, jeśli będę musiał - odezwał się McAllister.

Tom Watson zatrzymał się w pół kroku.

- Niech cię diabli - rzucił.

- Rób, co ci każe przez następne pięć czy dziesięć minut, a obiecuję ci, że nikomu nic się nie stanie.

## Rozdział 14

Coś poszło nie po ich myśli. Stephanie widziała z pokoju na siódmym piętrze, który wynajęła w Holiday Inn w Georgetown, jak dwaj mężczyźni wysiedli z samochodu zaparkowanego na terenie obserwatorium i pobiegli z powrotem do lasu. W chwilę później wrócili pośpiesznie z dwoma innymi, wsiedli do samochodu i wyjechali, pędem objeżdżając budynek główny.

Zasadziła się tutaj około szóstej po niezbyt przyjemnej rozmowie z Kingmanem i obserwowała z zaciemnionego pokoju, jak tuż przed siódmą zaczęły pojawiać się pierwsze jednostki inwigilacyjne. Teraz zegarek wskazywał dziesięć po dziesiątej.

Kingman dał słowo, że McAllister nie zostanie wzięty siłą.

- Porozmawiam z nim, Stephanie, jeśli tego chcesz - powiedział chłodno. - Nie mogę jednak zagwarantować niczego więcej.

- On tylko tego potrzebuje. Jeśli jednak pojawisz się w towarzystwie, nie wyjdzie.

- Jeśli przybędę sam, zastrzeli mnie z zimną krwią, jak to zrobił z innymi.

- Jedynymi ludźmi, których zabił, byli trzej Rosjanie przed domem Highnote'a i uczynił to w samoobronie.

Zakładała, że sprawa Sikorskiego nie została jeszcze odkryta.

- Nie zamierzam się z tobą w tym momencie kłócić. Spotkam się z nim i obiecuję, że nie sprowadzę posiłków.

- Jeśli się nie uda, pozwolisz mu odejść?

- Jeśli jest niewinny, jak mówisz, nie będzie musiał odchodzić. Załatwimy to wspólnie. Ale, Stephanie...

Odłożyła słuchawkę i pojechała prosto do Holiday Inn, gdzie od tej pory czekała i prowadziła obserwację. Naliczyła przynajmniej jedenaście różnych jednostek w

obrębie i poza terenem obserwatorium i doszła do wniosku, że dwa razy więcej nie zdołała dojrzeć ze swego punktu obserwacyjnego.

Samochód z dystryktu Kolumbia migając czerwonymi światłami na dachu nadjechał z dużą prędkością z ulicy Whitehaven, okrążył rondo i wjechał na teren obserwatorium od strony południowo-wschodniej.

Do tej pory świetnie ukryci agenci zaczęli wychodzić z kryjówek. Stephanie odeszła od okna i spojrzała na telefon na szafce nocnej stojącej pomiędzy dwoma łózkami.

McAllister nie powiedział jej, gdzie się wybiera, lecz nie musiał tego mówić. Tylko w jednym miejscu mógł znaleźć informację, której szukał. Choć wydawało się to szalone, musiała przyznać, że jego plan jest logiczny. Zebra Jeden, Zebra Dwa, powiedział mu człowiek w Moskwie. Organizacja O'Haire'ów była znana jako Sieć Zebra. Jeśli istniał związek pomiędzy tymi dwoma, a sądząc z reakcji Sikorskiego w tę pierwszą noc, miała silne podejrzenia, że takowy istniał, wówczas dalszych informacji należało szukać w archiwach CIA. A dokładniej w skomputeryzowanych aktach Wydziału do Spraw Sowieckich. Czwarte piętro w kwaterze głównej. Dobrze znała to miejsce, ponieważ kiedy szef wydziału Adam French nie chciał wciągać w to FBI, kilkakrotnie zlecano jej okresową obserwację podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Sowieców, działających poza ambasadą w Waszyngtonie.

Spróbowała wyobrazić sobie, w jaki sposób McAllister dostał się do budynku, a następnie na czwarte piętro. Musiał znaleźć biuro z terminalem komputerowym oraz poprawne kody wejściowe. Istniało tak wiele przeszkód.

Na zewnątrz dwa kolejne radiowozy z dystryktu Kolumbia, z włączonymi kogutami na dachach i wyjąłymi syrenami, wyłoniły się z terenu obserwatorium i popędziły na południe ulicą Trzydziestą Czwartą. W chwilę później wyjechał zza rogu wóz Dextera Kingmana i również przyśpieszył, zanurzając się w ciemnościach nocy.

Spotkanie nie udało się. Jednak w tym momencie McAllister miał zaledwie dziesięć minut spóźnienia. Za wcześnie, żeby Kingman zakończył operację. Nagroda była zbyt duża, by tak szybko się wycofał.

Kolejne cztery samochody i furgonetka bez tylnych okien opuściły teren obserwatorium i ruszyły Trzydziestą Czwartą w kierunku mostu Key, po którego drugiej stronie znajdowała się ośmiomilowa aleja prowadząca na północny zachód prosto do siedziby CIA.

McAllister wsadził do kieszeni krótkofalówkę, zabrał obydwu mężczyznom rewolwery i patrzył bacznie, jak Tom Watson otwiera drzwi prowadzące do starego budynku. Korytarz był długi i szeroki, dość słabo oświetlony i opustoszały o tej godzinie.

- Jakie zadania ma nocny strażnik, jeśli chodzi o to piętro? - spytał McAllister ściszonego głosem.

- Nie wiem - odparł Watson, a drugi strażnik spojrzał na niego gromiącym wzrokiem.

- Musisz mi uwierzyć, Tom, kiedy ci mówię, że nie chcę nikogo skrzywdzić. Jeśli znasz harmonogram, byłoby najlepiej, gdybyś mi powiedział. Nie chcę, żeby doszło do konfrontacji.

- Obchód co pół godziny - odezwał się Tom po chwili wahania.

McAllister zerknął na zegarek. Było kilka minut po dziesiątej, co dawało im dwadzieścia minut na dostanie się do środka i wydostanie na zewnątrz, i to tylko pod warunkiem, że nie odkryto jeszcze jego obecności.

- Chodźmy - ponaglił.

- Nie wiem, jakie ma pan kłopoty, lecz niech pan tego nie robi. Tylko doda pan...

- I nie chcesz wiedzieć - odparł McAllister popychając go do przodu lufą pistoletu.  
- Idź przed siebie. No, dalej.

Biuro Adama Frencha znajdowało się na końcu korytarza, który w tym miejscu się rozwidłał. Ponieważ French sprawował funkcję szefa Wydziału do Spraw Sowieckich, bezpośredni dostęp do danych można było uzyskać przez jego terminal. Oczywiście, pomyślał McAllister, jeśli nie zmienili kodu wejściowego od ostatnich trzech lat. Było wiele „jeśli”, zbyt dużo.

Kazał obu strażnikom położyć się twarzą w dół na podłodze korytarza, podczas gdy sam wybrał z zestawu narzędziowego, który wyjął z bagażnika thunderbirda, cienki wytrych z hartowanej stali i w niecałe dwadzieścia sekund drzwi stanęły otworem.

- Do środka - rzucił w stronę dwóch mężczyzn.

Wstali. Na twarzy Watsona malował się nie skrywany gniew, a na obliczu jego towarzysza przerażenie. Weszli do biura; McAllister ponownie rozkazał im położyć się na dywanie, a sam zajął się zamknięciem drzwi na klucz.

- To nie potrwa dłużej niż kilka minut - odezwał się. - Jeśli nie będziecie sprawiać kłopotów, obiecuję, że nic wam się nie stanie.

- Nie uda ci się uciec bezkarnie - warknął Watson.

- Lepiej miej nadzieję, że mi się uda - odparował McAllister siadając przy biurku Frencha i wciskając klawisz komputera.

Na ekranie pojawiło się jedno słowo: GOTOWY.

Ten terminal, podobnie jak setki innych w budynku, był podłączony do komputera centralnego, znajdującego się w podziemiach siedziby. Dane segregowano, a dotrzeć do nich można było jedynie przechodząc przez kolejne sekcje. Trzy lata temu kod wejściowy Wydziału do Spraw Sowieckich brzmiał S/R DIV KREWKI, co wiązało się z czymś niejasnym komentarzem, określającym amerykańską politykę w stosunku do Sowietów.

Wystukał na klawiaturze te słowa i nacisnął klawisz ENTER.

PLIK? i słowo zapisane bursztynowymi literami pojawiło się na ekranie.

McAllister spojrzał na leżących nieruchomo strażników, po czym odwrócił się ponownie do klawiatury i wpisał najbardziej oczywisty wariant. SIEĆ O'Haire'ów, po czym ponownie wcisnął ENTER.

WEJŚCIE ZASTRZEŻONE - HASŁO?

Spojrzał na ekran, nagle uzmysłowiwszy sobie, jak niewiele zostało mu czasu. Obawiał się, że wejście może być zastrzeżone, a teraz mógł jedynie zgadywać, jakie było hasło. Główny problem polegał na tym, że miał jedynie trzy szanse na wybranie trafnego. Po trzech nieudanych próbach uruchamiał się alarm w komputerze centralnym wskazując, że ktoś próbuje się dostać do zastrzeżonego pliku.

Od czego zacząć? Zaszedł już tak daleko, że nie miał zamiaru się wycofać. Jeszcze nie teraz.

Napisał pierwszy wyraz, jaki przyszedł mu do głowy. ZEBRA. Nacisnął klawisz ENTER.

NIEWŁAŚCIWE HASŁO.

Szukanie igły w stogu siana. O'Haire'owie działali w organizacji, która została powszechnie uznana za najbardziej szkodliwą siatkę szpiegowską działającą przeciwko Stanom Zjednoczonym, jaka istniała od czasu drugiej wojny światowej. Te hasła rządziły się pewną określoną logiką.

Wystukał: SZPIEDZY i zawahawszy się przez chwilę, nacisnął klawisz ENTER.

NIEWŁAŚCIWE HASŁO.

McAllister spojrzał ponownie na strażników na podłodze. Tom Watson podniósł głowę i patrzył na niego.

- Nie chcesz tego widzieć, Tom. Wierz mi, to dla twojego dobra.
- Niech pan da spokój.
- Schył głowę.

Watson posłuchał po chwili, a McAllister odwrócił się ponownie do terminalu. Zaświtała mu w głowie inna myśl. To będzie jego ostatnia szansa. Wystukał: ARBEZ, po czym nacisnął ENTER.

NIEWŁAŚCIWE HASŁO.

Wpatrywał się w ekran przez długą chwilę słysząc dudnienie swego serca. Zaczął się pocić. Teraz maszyna ruszyła. Ktoś przyjdzie sprawdzić powstały problem, a jeśli już zdążyli się zorientować, że jest na terenie, to zaczną działać naprawdę szybko.

Przegrał. A jednak doszedł już tak blisko. Tak prowokacyjnie blisko. Akta O'Haire'ów znajdowały się gdzieś w komputerze. Jedno słowo. Jeden klucz i wiedziałby...

W desperackim geście wystukał jeszcze jedno słowo, które przyszło mu w tym momencie do głowy. HIGHNOTE. Nacisnął ENTER.

Tym razem ekran wypełnił się nagle długą listą plików ułożonych alfabetycznie w katalogu SIEĆ ZEBRA.

- Bingo - mruknął przebiegając palcem po wyborach plików, pośród których znajdowały się takie jak: Historia i pochodzenie, Prowadzący śledztwo, Podsumowanie budżetu, Oszacowanie strat, Telefony - Zapisy rozmów, Wywiady bezpośrednie i Zapis rozmowy, Wywiady pośrednie - Zapis rozmowy oraz pod nazwą Kod M plik - PODEJRZANI.

Wystukał M i nacisnął klawisz ENTER.

Natychmiast pojawiła się lista czterech nazwisk wraz z krótką notką na temat każdego z nich i instrukcjami, jak przywołać inne pliki, które zawierały bardziej szczegółowe informacje.

Cztery nazwiska.

Sięgnął i włączył drukarkę, po czym nacisnął klawisz DRUKUJ. Maszyna zapiszczała, kiedy komputer zaczął wyrzucać z siebie namacalną kopię tego, co pojawiał się na ekranie.

- Nie zniosę tego dłużej! - zawołał Watson zrywając się na nogi i rzucając w kierunku biurka.

McAllister ledwo zdążył się cofnąć przed uchwytem Watsona i złapać za pistolet leżący na biurku. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Watson skoczył, sięgnął po słuchawkę i zerwał ją z widełek.

- To McAllister! - wrzasnął.

Drugi strażnik również poderwał się z podłogi. McAllister nie miał wyboru. Rąbnął kolbą swego ciężkiego pistoletu w podstawę czaszki Watsona. Mężczyzna krzyknął i runął na biurko, które roztrzaskało się pod jego ciężarem. Drugi strażnik zdążył już dotrzeć do drzwi, gdy McAllister wymierzył w niego pistolet.

- Stój! - zawołał.

Manipulujący przy zamku mężczyzna spojrzął przez ramię rozszerzonymi ze strachu oczami i znieruchomiał.

Drukarka zatrzymała się i w nagłej ciszy do uszu McAllistera doleciał cienki, przenikliwy głos, wzywający jego imię jakby z wielkiej odległości. Zajęło mu chwilę, żeby uświadomić sobie, że to Stephanie woła go przez telefon. Podskoczył i obszedł biurko dookoła. Watson pociągnął słuchawkę wraz z biurkiem. McAllister podniósł ją.

- To ja - powiedział nie spuszczając z oka strażnika przy drzwiach.

- Kingman i pozostali właśnie odjechali w pośpiechu - zawołała zdenerwowana.

- Kiedy? - zażądał McAllister.

Nie było czasu na zastanawianie się, skąd wiedziała, że tu jest.

- Nie więcej niż jakieś dwie minuty temu. Zabieraj się stamtąd, Mac.  
- Jestem w drodze - rzucił McAllister i wyszarpnął sznur telefoniczny ze ściany. Pochylił się nad Watsonem i przyłożywszy rękę do szyi mężczyzny, starał się wyczuć puls. Był silny i regularny. Strażnik został ogłuszony, ale żył i McAllister poczuł zadowolenie przynajmniej z tego powodu.

Wróciwszy za biurko, oderwał wydruk i wyłączył komputer.

- No dobrze, Frank, zabieramy się stąd.

- A Tom? - zapytał trwożliwie strażnik.

- Nic mu nie będzie. Tobie również, o ile będziesz robił, co ci każę - odezwał się McAllister. - Gdzie stoi twój wóz?

- Z tyłu, przy windzie.

- Chodźmy - powiedział McAllister.

Strażnik otworzył drzwi. Korytarz nadal sprawiał wrażenie opustoszałego. Nie pojawił się nikt od centralnego komputera, żeby sprawdzić, kto próbował złamać zastrzeżony kod wejściowy, lecz lada chwila na pewno ktoś nadejdzie. Pobiegli korytarzem, przeszli przez drzwi w przepierzeniu z dykty i znaleźli się w nowym budynku.

McAllister właśnie zajmował się zamykaniem kłódki na drzwiach, kiedy odezwała się krótkofalówka, którą wsadził uprzednio do kieszeni.

- Czwórka. Tu baza.

Strażnik zeszywniał.

- Czy to ty? - zapytał McAllister.

Mężczyzna wahał się przez moment, po czym skinął potakująco głową.

McAllister wyciągnął krótkofalówkę i wręczył ją strażnikowi jedną ręką, podczas gdy drugą przystawił mu pistolet do głowy.

- Nic się tu nie dzieje - wycedził.

Strażnik wcisnął przycisk krótkofalówki.

- Tu czwórka i odezwał się.

Ręce mu drżały.

- Co tam u ciebie?

- Bez zmian - odparł strażnik.

- Miej oczy otwarte, możesz mieć kłopoty. Ogłoszono alarm o wejściu na teren.

- Spytaj ich, kto to jest i skąd o tym wiedzą - rozkazał McAllister.

Strażnik wcisnął przycisk.

- Kto to jest i jak to odkryliście?

- To McAllister. Ktoś dzwonił kilka minut temu. Jest uzbrojony, więc uważaj na siebie.

McAllister skinął głową czując, jak wszystkie mięśnie naprężają mu się bezwiednie. Kto dzwonił? Skąd, na Boga, ktokolwiek wiedział?

- Bez odbioru - odezwał się strażnik, a McAllister wyrwał krótkofalówkę z jego ręki i wsadził ją do kieszeni.

- Kto jeszcze pilnuje budynku?

- W tym skrzydle nikt oprócz mnie i Toma.

- Wcześniej widziałem wóz na zewnątrz na parkingu.

- Jednostka piąta. Jeden z patroli zewnętrznych.

- Mam nadzieję, że na swoje szczęście nie kłamiesz - skwitował McAllister.

- Nie kłamię.

Winda znajdowała się przy końcu korytarza. Zjechali nią na dół, po czym pobiegli prawie wykończonym korytarzem wejściowym prowadzącym na zewnątrz. Nadal padał śnieg. W oddali usłyszeli wycie wielu syren. McAllister kazał strażnikowi usiąść za kierownicą jasnoszarej półciężarówki, a sam zajął miejsce pasażera.



- Jedź - rzucił.

- Dokąd?

- Na zachód.

- Ale tam nie ma wyjścia.

- Rób, co mówię - rozkazał McAllister. +Strażnik pośpiesznie włączył silnik i ruszył przez parking ku tylnej drodze, którą przybył wcześniej McAllister.

Potrzebował czasu na zastanowienie. Stephanie była inteligentną kobietą. Wiedziała, czego szukał i mogła się bez trudu domyślić, dokąd musiał się udać, aby zdobyć potrzebne informacje. To wyjaśniało telefon do biura Adama Frencha ostrzegający go, że Kingman i jego ludzie opuścili miejsce spotkania. Była również jedyną osobą, która wiedziała, że McAllister nie stawi się na spotkaniu. Gdyby to ona poinformowała Kingmana, dlaczego dzwoniłaby do biura Frencha? Nic nie trzymało się kupy. To było czyste szaleństwo.

Komputer podał mu cztery nazwiska. Właśnie tej informacji szukał, a teraz musi ją wykorzystać, jeśli uda mu się przeżyć na tyle długo, że zdąży porozmawiać z tymi ludźmi i wyciągnąć z nich, co wiedzą.

McAllister opuścił szybę. Wycie syren zostało daleko za nimi. Wszyscy pędzili w kierunku budynku kwatery głównej. Ocenił, że przejechał ze strażnikiem około półtora kilometra.

- Zatrzymaj się tu - polecił.

- Jezu, McAllister, zrób, co tylko zechcesz - odparł mężczyzna z przerażeniem w głosie.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić. Po prostu zatrzymaj się tu i pozwolę ci odejść.

Możesz wracać.

Strażnik chciał mu wierzyć, lecz w rzeczywistości sądził, że nadeszła jego ostatnia godzina. Zatrzymał się.

- Mam rodzinę...

- Wysiadaj i nie odwracaj się - powiedział McAllister.

Strażnik zawahał się, po czym otworzył drzwi, wyskoczył i zaczął biec po zaśnieżonej drodze, znikając w ciemnościach.

McAllister przesiadł się za kierownicę, nacisnął pedał gazu i przejechał jeszcze około pół kilometra, po czym zatrzymał się wyłączając światła i silnik.

Wyskoczył z półciężarówki, zszedł z drogi i zagłębił się w las, biegnąc w kierunku miejsca, w którym przeszedł przez ogrodzenie.

Jeszcze dwukrotnie z oddali doleciało go jęklive zawodzenie syren i zdawało mu się, że gdzieś na północy słyszy dźwięk klaksonu, lecz w przeważającej mierze las był zatopiony w ciszy.

Po pięciu minutach dotarł do ogrodzenia. Szedł wzdłuż niego w kierunku północno-zachodnim jakieś kilkaset metrów, zanim znalazł wyciętą przez siebie dziurę. Jedyne ślady stóp, częściowo pokryte śniegiem, były jego własnymi. Nikt nie odkrył, w jaki sposób dostał się na teren. Wydawało się, że szczęście ponownie zaczęło się do niego uśmiechać.

W ciągu kolejnych pięciu minut dotarł na wierzchołek wzgórza wychodzącego na ulicę. Thunderbird stał w miejscu, gdzie go zostawił. Nikogo nie było w pobliżu, choć znów z oddali doleciało wycie syren.

Zszedł ze zbocza, wszedł do samochodu i odjechał.

Zaparkował samochód na ulicy Dziesiątej przed budynkiem J. Edgara Hoovera, w którym mieściła się kwatera główna FBI w Pensylwanii. Pozostawił krótkofalówkę i broń strażników pod przednim siedzeniem.

Zasiej zamęt, gdzie tylko możesz; pomoże to zamaskować twoje ruchy w trudnej sytuacji.

Samochód wzbudzi sporo zainteresowania, kiedy odkryją, co się w nim znajduje. Komu jednak można zaufać?

Skoro Stephanie domyśliła się, dokąd poszedł, pozostali mogli zrobić to samo. Myśl ta nie napawała nadzieją, lecz było to zawsze coś.

Dojście do hotelu zajęło mu prawie pół godziny. Domyślał się, że do tego czasu Stephanie zdążyła już wrócić z Holiday Inn. Przed budynkiem panowała cisza i spokój, żadnego ruchu ulicznego. Przez dziesięć minut czekał po drugiej stronie skrzyżowania, ukryty w ciemnościach, obserwując, czy ktokolwiek się pojawi. Gdyby hotel został obstawiony, dostrzegłby jakiś ruch; wolno przejeżdżający samochód czy furgonetkę, czyjaś głowę wychylającą się zza rogu, zapalonego papierosa, cokolwiek. Tym razem nie zauważył niczego podobnego.

Przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu. Zaspany portier obrzucił go jedynie przelotnym spojrzeniem, odrywając wzrok od jakiegoś telewizyjnego pokazu. McAllister wsiadł do windy i udał się na trzecie piętro.

Otworzyła mu drzwi.

- O Boże, jak się cieszę, że cię widzę! - zawołała rzucając mu się na szyję, zaledwie zdążył wejść.

Ulga, którą dostrzegł w jej oczach, usłyszał w głosie i w sposobie, w jakim go obejmowała drżącym ciałem, była szczerą i rozwiewała wszelkie wątpliwości.

- Wiedzieli, że przyjdę - powiedział.

- To niemożliwe.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

Jej oczy rozszerzyły się.

- Co ty mówisz, Mac?

- Powtórzę, skąd wiedziałaś, gdzie będę?

- Chciałaś informacji na temat O'Haire'ów. O Sieci Zebra. Tylko w jednym miejscu mogłeś je uzyskać.

- Co powiedziałaś Kingmanowi?

- Stałaś tuż za mną, kiedy z nim rozmawiałam - oburzyła się Stephanie.

- Nie słyszałem obu rozmawiających stron.

- Do czego zmierzasz? - warknęła. - Wyrzuć to z siebie!

- Ktoś do nich zadzwonił. Powiedział, że nadchodzę i że jestem uzbrojony i niebezpieczny.

- A ty uważasz, że to ja?

- Co powiedziałaś Kingmanowi? O co cię pytał?

- O nic - odparła, a jej oczy wypełniły się łzami. - Co ty powiedziałaś swojemu przyjacielowi Highnote'owi?

*Zebra Jeden, Zebra Dwa. Highnote wiedział prawie wszystko.*

- Gdybym chciała twojej śmierci, zostawiłabym cię tam, w rzece! - zawołała. - Mogłabym wpakować ci kulę w łeb w domu mojego ojca albo tu w hotelu, albo u Sikorskiego czy w wielu innych miejscach!

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytał smutno McAllister.

Głos uwiązał mu w gardle.

- Nie wiem... - chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się.

Złapał ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy.

- Dlaczego, Stephanie? Co ty tu ze mną robisz? Dlaczego ryzykujesz własnym życiem, żeby mi pomóc? To nie ma sensu.

- Bo cię kocham - wyrzuciła z siebie.

Nie wiedział, co powiedzieć. Poczul, że podłoga rozstępuje mu się pod nogami.

- No i co? - zapytała wyswobadzając się z jego uścisku. - Jesteś usatysfakcjonowany, draniu?

Lot TWA z St. Louis był opóźniony o czterdzieści pięć minut, co oznaczało, że dotrą do Waszyngtonu po dwudziestej trzeciej trzydziści. Louis Jaffe, zastępca głównego doradcy CIA, siedział odchyłony do tyłu na fotelu w pierwszej klasie. Na chwilę zamknął oczy. John Norris, który poleciał wraz z nim na rozmowę do więzienia federalnego w Marion w południowym Illinois, spał mocno na siedzeniu obok.

Highnote nalegał, żeby włączono kogoś z operacji i w rzeczywistości to Norris zadawał najwięcej pytań.

Jaffemu wydawało się niezwykle dziwne, że akurat ta informacja wyszła teraz na światło dzienne, lecz jak to powiedział Norris w swoim sardonicznym stylu, szukali jakiegoś układu... w sytuacji, kiedy nie były możliwe żadne układy. - A więc wysyłamy im kamizelkę ratunkową i nie musimy mówić, że jest podziurawiona.

Jaffe otworzył oczy i włączył walkmana. Głosy w słuchawce były nieco zniekształcone, lecz zrozumiałe.

- ...mówi ci coś nazwisko McAllister?

Głos Norrisa.

Rozległ się trzask zapalanej zapalki, którą James O'Haire podpalił sobie papierosa.

- David Stewart? - zapytał z wyraźnie słyszalnym irlandzkim akcentem.

- Ty masz mi powiedzieć - odezwał się Norris.

- Bydlak. Pod koniec pogrywał na dwie strony. Ostatnio słyszałem, że zabawiał się bliżej Moskwy. Prawdopodobnie już dali sobie z nim spokój, o ile znam swego człowieka.

- Czy David McAllister wchodził w skład twojej siatki? - Jaffe usłyszał swoje własne słowa.

- Od samego początku.

Jaffe przewinął taśmę do przodu.

- ...miał tam swoich ludzi z siatki; nafaszerowali go pytaniami, na które trzeba było znaleźć odpowiedź. Wiesz, sprzęt, dane techniczne, tego rodzaju sprawy.

- A tu, w kraju, kto był twoim oficerem nadzorującym? - spytał Norris.

O'Haire roześmiał się głośno, rycząc Jaffemu do ucha.

- Naoglądałeś się filmów szpiegowskich.

Jaffe znów przewinął taśmę do przodu.

- ...mówić ci o tym teraz, ponieważ mój brat i ja chcemy pójść na układ. Chyba nietrudno to zrozumieć, co?

- Chcesz wrócić do kumpli w Moskwie? - zapytał Norris.

- Do diabła, nie - wybuchnął O'Haire śmiejąc się ponownie. - Chcielibyśmy przeczekać tutaj, powiedzmy, jakiś rok czy dwa. Aż kurz osiadzie. Potem moglibyście nas po cichu wypuścić. Pojechalibyśmy do Hiszpanii, a może Francji. Gdzieś do Europy. Nie wymagamy za dużo.

- Zgodzisz się świadczyć na sądzie przeciwko McAlli...? - zapytał Jaffe, lecz O'Haire przerwał mu w pół słowa.

- Bawisz się z nami w ciuciubabkę, panie Jaffe, i my zabawimy się z tobą. Powiem ci jednak jedno. Uważajcie na McAllistera. Ten skurwiel to lepszy twardziel. Zawsze go podziwiałem. Zawsze.

- Oni kłamią - odezwał się Robert Highnote, patrząc przez stół konferencyjny na trzech mężczyzn, którzy przybyli na bardzo wczesne spotkanie w kwaterze CIA. - Poza tym, o ile znam sądową procedurę, słowo szpiega nie zostanie przez sąd wzięte pod uwagę.

Dennis Foster, główny doradca Agencji, skinął głową.

- Nie mówimy tutaj o sądzie, Bob. Rozważając jednak wszystkie domniemane czyny McAllistera, których jakoby dopuścił się w ciągu ostatniego tygodnia, nasuwają się pewne wątpliwości, nie uważasz?

Drobny mężczyzna o wyglądzie patrycjusza o siwych włosach zwykł nosić okulary w drucianych oprawkach, co nadawało jego twarzy wynędzniały wygląd. Wyrażał się nad wyraz elokwentnie.

- Do diabła, ten człowiek jest co najmniej mordercą - oburzył się Dexter Kingman.

Stanowił dokładne przeciwieństwo Fostera; kościsty, potężny, czasami zbyt głośny. Niejedna osoba zbyt nisko oceniła jego poziom inteligencji, kierując się jedynie wyglądem zewnętrznym. Nierzadko później tego żałowała. Teraz w jego oczach migotały gniewne błyski.

- Co więcej, był tutaj zeszłej nocy - dodał Adam French, szef Wydziału do Spraw Sowieckich. - Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Nie - odpowiedział Highnote. - Ale do tej pory wszelkie dowody, jakie udało nam się zgromadzić, charakteryzują się dużą sprzecznością. Temu też nie możesz zaprzeczyć.

- Ten człowiek próbuje ochronić swoją własną dupę - powiedział Kingman. Na jego twarzy malował się wyraz silnego gniewu. - Teraz zgarnął jednego z moich ludzi.

Highnote spojrzał na leżący przed nim raport.

- Z tego co tu czytam, możliwe, że uczyniła to z własnej woli.

- Prawdopodobnie z gnatem przystawionym do głowy - warknął Kingman.

- Nadal żyje. Podobnie jak ci dwaj strażnicy z ubiegłej nocy. Mógł pociągnąć za spust, a mimo to nie zrobił tego.

- Co ty próbujesz robić, bronić tego sukinsyna? - odezwał się Kingman podnosząc głos. - Byliście przyjaciółmi, lecz nic trzymajmy się tego tak kurczowo, by nas zaślepiąło.

- To co O'Haire'owie powiedzieli naszym ludziom, zdaje się pasować do całości - wtrącił Dennis Foster. - Jeśli się nad tym zastanowić, naprawdę wygląda sensownie.

- Według mnie nie - powiedział ciężko Highnote. - Nic tu nie wygląda sensownie. Widziałem go, pamiętasz? Rozmawiałem z nim osobiście, kiedy tamtego wieczora przyszedł do mnie do domu. Jest kompletnie zdezorientowany, ucieka w obronie swego życia, to wam gwarantuję, a w tym go szkoliliśmy. I jak dotąd spisuje się dobrze.

- A wszystko na żądanie Rosjan - stwierdził Foster.

- Czy naprawdę tak sądzisz, Dennis? - spytał poważnie Highnote i powiódł wzrokiem po pozostałych. - Czy taki jest konsensus dzisiejszego spotkania? Bo jeśli tak, to nie liczcie na moje towarzystwo.

Kingman wyrzucił ręce do góry w geście zirytowania.

- A zatem, co my, u diabła, tu robimy, Bob? Czego od nas chcesz? Czy mamy pozwolić, żeby ten skurczybyk chodził sobie na wolności, pozwolić mu robić, na co ma ochotę? Zaproponować mu amnestię? Zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło?

- Wprost przeciwnie. Musimy położyć temu kres.

- Świetnie... - Kingman chciał coś powiedzieć, lecz Highnote go powstrzymał.

- Wysłuchaj mnie, Dexter. I wy wszyscy. Mamy do czynienia z wysoce wyszkolonym agentem, który bez wątplenia powodowany jest silną motywacją.

Mówiąc prosto, McAllister czegoś szuka. I szuka niezwykle zawzięcie. Myślę, że postąpimy rozsądnie, jeśli spróbujemy ustalić, co to może być. On nie musiał wracać do Waszyngtonu. Mógł się zabrać, schować i minęłyby lata całe, zanimbyśmy go wykopali, gdyby w ogóle do tego kiedykolwiek doszło. Dlaczego jednak wrócił? Czego chce?

- Odwetu - odparł prosto Kingman.

- Za co?

- Za niepowodzenie jego siatki.

- Ustaliliśmy wszyscy, jak tu siedzimy, że nie współpracował z O'Haire'ami.

- To pasuje - skontrował Kingman. - Rosjanie aresztowali go, aby wyeliminować podejrzenia, a potem wypuścili w nadziei, że będzie mógł z powrotem wrócić w szeregi. Gdy jednak tego nie kupiliśmy, całkowicie stracił panowanie nad sobą. Widziałeś raporty balistyczne z Nowego Jorku. Carrick został zabity swoją własną bronią. Maas również. Na gnacie widniały odciski palców McAllistera.

- A ci trzech Rosjanie przed moim domem? - zapytał Highnote.

- Nie wiem. Może plan nie poszedł całkowicie po ich myśli?

- A krew na moim jachcie? McAllister tam był. Znaleźliśmy walthera, którego wziął z mojego gabinetu. Kto próbował go zabić?

- Tu również brakuje mi odpowiedzi, Bob. Zgaduję natomiast, że byli to Ruscy. Może zdali sobie sprawę, że wypuszczając go popełnili wielki błąd. Może chcą go powstrzymać.

- Teraz próbujesz powiedzieć, że McAllister działa niezależnie? - spytał Highnote.

- Wyszkolony przez nas, a uformowany przez Rosjan? Narkotykami, może torturami? Jest narzędziem?

- Które się skiepsciło, wypadło spod kontroli - podsumował Kingman. - Myślę, że ten człowiek przekroczył pewną granicę. Sądzę, że jest obłąkany.

- Jeśli tak faktycznie jest - Highnote odchylił się w fotelu - wszyscy mamy kłopoty, panowie. I to olbrzymie kłopoty.

- Wyszkoliliśmy go, więc potrafimy powstrzymać - odparł Kingman z niewielką oznaką satysfakcji na twarzy. - Powstaje pytanie, w jaki sposób? Ten skurczybyk jest naprawdę sprytny.

- Gdybyśmy wiedzieli, czego on szuka, moglibyśmy przewidzieć jego następne ruchy - odezwał się Dennis Foster. - Jeśli założymy, że O'Haire'owie mówią prawdę, moglibyśmy właśnie od tego zacząć...

- Żadnych założeń, Dennis - stwierdził Kingman. - Nie możemy sobie pozwolić na taki luksus. Poza tym, jeśli mózg McAllistera został zmieniony pod wpływem narkotyków, nie jest on tym samym człowiekiem co poprzednio. Nie, musimy zacząć od początku. Od jego początku. Jeśli przyjechał z zamiarem odwetu... musimy znaleźć jego cel. - Zwrócił się do Adama Frencha. - Włamał się do twego biura i użył terminalu komputerowego. Czy można ustalić, czego szukał?

- Mogło to być praktycznie wszystko - odparł French. - Wiemy jednak z całą pewnością, że kiedy dostał się do archiwum wydziału, próbował dotrzeć do pliku o zastrzeżonym wejściu i trzykrotnie nie udało mu się podać właściwego hasła.

- Czy za czwartym razem mu się udało?

- Możliwe - powiedział French. - Tom Watson poinformował nas, że McAllister coś wydrukował.

- Nie można tego odzyskać? - spytał Kingman.

- Nie.

- Rzykując przyszedł tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć. Potrzebował jakiejś informacji, którą najwyraźniej udało mu się zdobyć. Jakiej informacji?

- Niech zgadnę - odezwał się French. Sięgnął do walizki stojącej na podłodze przy krześle i wyjął z niej płożółtą aktówkę z pomarańczowymi ukośnymi paskami, oznaczającymi, że zawiera ściśle tajne informacje. - Przed tym spotkaniem rozmawialiśmy krótko z Dennisem o tym, co wyszło na jaw w Marion z O'Haire'ami. Jak może wiecie, przechowujemy w naszych archiwach dokumenty Sieci Zebra O'Haire'ów. Doszedłem do wniosku, że jeśli McAllister był z nimi związany, to może szukał większej ilości informacji... może po prostu chciał się dowiedzieć, jak dużo my wiemy. - Wyciągnął kilka wydruków komputerowych i przekazał je Highnote'owi. - Nie wiadomo, czy to plik, którego szukał, ale istnieje pewien związek i jest tam twoje hasło, Bob.

Podczas gdy French mówił, Highnote szybko przejrzał strony zadrukowane kodami różnych plików dotyczących sprawy O'Haire'ów. Plików, które znał doskonale, ponieważ to właśnie jego departament był najbardziej uwikłany w śledztwo w tej sprawie. Istniał pewien związek. Ponad wszelką wątpliwość!

Patrzyli na Highnote'a. Decyzja należała do niego i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Respektowali również fakt, że Highnote i McAllister przyjaźnili się od wielu lat. W rzeczywistości to Highnote zatrudnił tego człowieka.

Highnote położył wydruki na stole.

- Jego ojciec był najlepszy w tej branży. Praktycznie to legenda.

- Nikt tu niczego nie sugeruje - powiedział łagodnie Kingman. - Nikt nie czyni cię za to odpowiedzialnym.

- Chodzi mi o to, że do momentu aresztowania przez Sowietów McAllister był najzupełniej w porządku. Szczerze wierzę, że był dobrym, lojalnym Amerykaninem. Jednym z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek znałem.

- Zgadzam się z tobą - przyznał Kingman. - Wszyscy się zgadzamy, jeśli chodzi o jego umiejętności. Lecz O'Haire'owie podali jego nazwisko.

- Ktoś im kazał tak zrobić, Dexter. Mógłbym założyć się o wszystko, że Mac nie był z nimi związany.

- A zatem coś się z nim stało na Łubiance - stwierdził Kingman.

- Tak - zgodził się Highnote. - Coś mu zrobili, wypaczyli umysł, zmienili go, a potem wysłali z powrotem, mając nadzieję, że go przyjmiemy, lecz to było zbyt grubo ciosane.

- Zgadza się - rzekł Adam French. - A teraz boją się go tak samo jak my.

- Musimy go powstrzymać - Highnote wypowiedział te słowa z wyraźnym trudem.

- Sprowadzić tu i powstrzymać.

- On walczy o swoje życie... albo przynajmniej tak mu się wydaje - odezwał się Kingman. - Nie będzie go łatwo... pojmać.

Dennis Foster zachnął się.

- Nie wiem, czy powinienem tego słuchać.

Zaczął się podnosić, lecz Highnote gestem nakazał mu usiąść.

- Jeszcze nie przekroczyliśmy tej granicy, Dennis. Robimy tu wyłącznie to, co do nas należy. Nie planujemy niczego nielegalnego. Optymalne założenie jest takie, żeby go sprowadzić i dowiedzieć się, co się z nim stało.

- Powtarzam, to nie będzie łatwe - odezwał się Kingman. - Niewątpliwie wie, co robi i działa według określonego planu.

- A ta kobieta, którą przerobił na swoją modłę?

- Stephanie Albright jest młoda, kieruje się ideałami. Nie można jednak zaprzeczyć, że to specjalistka w swojej dziedzinie - odpowiedział Kingman zaciskając zęby. - Wiecie, że jej nazwisko było zapisane notesie telefonicznym Ballingera? Mieli się spotkać tamtego ranka.

- Chcesz powiedzieć, że to ona go zabiła? - zapytał zdumiony Highnote.

- Nie. Mówię, że McAllister kazał jej załatwić spotkanie, po czym zabił Ballingera.  
- Dlaczego?  
- Ja wiem dlaczego - wtrącił French blednąc silnie na twarzy. Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. - Ballinger telefonował do mnie, chciał się dowiedzieć czegoś na temat siatki O'Haire'ów. Powiedział, że właśnie nad tym pracuje... że może mieć dla nas coś nowego.  
- Co mu powiedziałeś? - zażądał Highnote.  
- Nic. Powiedziałem, że będzie musiał uzgodnić to z tobą albo przynajmniej pójść do biura Dextera. Odparł, że tak uczyni.  
- Nie zadzwonił do mnie - zaprzeczył Kingman.  
- Ani do mnie - przyznał Highnote.  
- McAllister zdecydowanie szuka śladów O'Haire'ów - powiedział French. - Gdybym tylko wiedział...  
- Albo kogoś z nimi związanego - przerwał Dennis Foster. - Oni siedzą bezpiecznie w więzieniu. Mogą być jednak jeszcze inni. Na przykład ich oficer nadzorujący.  
- Co oznacza, że McAllister nie zabił Ballingera - powiedział Highnote. - Wykorzystał tę kobietę, żeby uzyskać informacje, lecz kiedy to nie wypaliło, poszedł bezpośrednio do źródła. Rosjanie zabili Ballingera, ponieważ nie chcieli, by McAllister dowiedział się czegokolwiek. Na pewno wiedzą, do czego on zmierza i prawdopodobnie to oni powiadomili Urząd Bezpieczeństwa, że McAllister jest tutaj.  
- To kiepskie zgadywanki, Bob - ocenił Kingman.  
Highnote walnął otwartą dłońią w blat stołu.  
- Nie mamy żadnych innych punktów oparcia, do cholery. Próbuję coś wymyślić, więc nie kontruuj mnie.  
- Skoro on szuka czegoś lub kogoś związanego z siatką O'Haire'ów, dajmy mu to - zaproponował Kingman.  
- Przyjęta?  
- Oczywiście. Jeśli zareaguje, będziemy wiedzieli, do czego zmierza.  
- O czym myślisz? Masz coś konkretnego?  
- Przekażemy mu wiadomość.  
- W jaki sposób?  
- Istnieje tylko jeden sposób, by zwrócić jego uwagę - odpowiedział Kingman. - Damy przeciek do prasy, że jesteśmy o włos od aresztowania oficera nadzorującego siatki O'Haire'ów, Posuniemy się nawet jeszcze dalej nazywając go byłym oficerem Agencji: Davidem McAllisterem.  
- Jesteś szalony - rzekł Foster. - Każdy glina w tym kraju będzie chciał go ustrzelić.  
Kingman pokręcił przecząco głową.  
- Podamy zmyślony rysopis. Nawet nie zbliżony. Inny wiek, wzrost, włosy. McAllister zrozumie, że próbujemy go dostać i dlaczego.  
- Rosjanie też.  
- Oni urzędują na niego polowanie, ponieważ wiedzą dokładnie, jak wygląda. Tymczasem my będziemy ich obserwować i prędzej czy później zaprowadzą nas do niego.  
- Jeśli pierwsi do niego dotrą, zabiją go - odezwał się Foster.  
- To ryzyko, które podjęliśmy podnosząc prawą rękę, Dennis.  
- Chyba złożyłeś inną przysięgę niż ja - skontrował Foster. - Nie chcę brać udziału w dalszych rozgrywkach i proponuję, żeby całą sprawę przekazać do Biura. To ich działka. Niech oni się tym zajmą.

Stojący na końcu stołu telefon zabuczał delikatnie. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy Highnote podniósł słuchawkę. Słyszeli, jak mówił sekretarce, żeby nie przerywała tego spotkania, chyba że będzie chodziło o sprawę najwyższej wagi.

- Rozumiem - powiedział cicho Highnote z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Foster zdążył już wstać i przebyć połowę drogi do drzwi. Nawet on się zawahał.

- Dziś rano? - zapytał Highnote. - Tak, rozumiem, dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w telefon.

- O co chodzi, Bob? - Kingman pierwszy przerwał złowieszczą ciszę.

Highnote podniósł wzrok.

- Janos Sikorski - powiedział. - Znalaziono go zakatowanego na śmierć w jego własnym domu za Reston. Dziś rano.

- Dobry Boże - westchnął Foster.

- Są jacyś świadkowie? - spytał Kingman z błyskiem w oczach.

Highnote pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze niczego nie stwierdzono, lecz zabójcy najwyraźniej przyjechali dwoma samochodami. Zostawili jeden. Było mnóstwo krwi...

- Czy ustalono, do kogo należy ten samochód?

- Pochodzi z wypożyczalni. Z Baltimore.

- Na kogo?

- Stephanie Albright.

- Chryste - wysapał Kingman. - Jezu Chryste.

## Rozdział 16

*Żyjesz sto lat, uczysz się sto lat, a mimo to umierasz głupcem. Lepiej zawrócić niż zgubić drogę. Kiepski kompromis jest lepszy niż dobra bitwa.*

Te przysłowia były rosyjską litanią; odpowiedzią, przetrwaniem.

Mężczyzna w ciemnoszarym płaszczu i jasnoszarym filcowym kapeluszu zgniół niedopałek papierosa w popielniczce mercedesa, po czym spróbował usadowić się wygodnie na siedzeniu i odprężyć się. Był spięty. Tak wiele poszło nie po jego myśli, coraz trudniej było sobie wyobrazić, że wszystko może jeszcze odwrócić się na dobre.

Podniósł wzrok, gdy jakiś samochód wyjechał zza rogu i wolno go minął. Serce zaczęło mu bić szybciej, lecz chwilę potem zdał sobie sprawę, że to nie po niego.



Tak wiele tu historii, pomyślał, dalekiej i bliskiej. Od przybycia do Waszyngtonu zagłębiał się w dziedzictwie miasta. Rozkoszował się. Tak żyje Waszyngton, tak żyje naród. Ironia spotkania na parkingu hotelu Watergate jeszcze w nim nie przebrzmiała. Prezydent runął pod ciężarem wydarzeń, które miały tu miejsce. Cały rząd również znalazł się na skraju przepaści. Czy historia mogła się powtórzyć? Wzdrygnął się na samą myśl.

McAllister wciąż był żywy, a teraz jeszcze uzyskał pomoc. Niczego się nie dowiedzieli od Sikorskiego, a co gorsza, ludzie, których wynajmował w New Jersey, grozili, że wycofają się, jeśli nie zacznie im więcej płacić.

- Mówimy tu o moim kraju! - Głos z ciężkim włoskim akcentem krzyczał do niego przez słuchawkę. - Będzie cię to kosztować, i to dużo.

Załatwienie dodatkowych funduszy mogło okazać się trudne, choć nie niemożliwe.

- Na mnie też spoczywa odpowiedzialność - powiedział.

- Tak jest w tej grze. A stawka właśnie wzrosła. Dwadzieścia cztery godziny.

McAllister był kluczem. Został zwolniony z Łubianki... przez kogo? Ktoś przecież musiał podpisać rozkaz uwolnienia. Ktoś wysoko postawiony. Ktoś z Komitetu. Ale kto? I dlaczego? Z jego punktu widzenia nie miało to sensu.

Drzwi na dalekim końcu wjazdu otworzyły się i kiedy Rosjanin odwrócił głowę, ujrzał, że jego amerykański odpowiednik wyłania się z klatki schodowej. Obserwował ruchy mężczyzny, które zdawały się sugerować, że coś mu doskwiera. Zatałmować lawinę. Musieli nie tylko powstrzymać McAllistera. Przede wszystkim musieli dowiedzieć się, kto nim kieruje i dlaczego.

Amerykanin podszedł do mercedesa i zajął miejsce obok kierowcy. Na jego pobladoj twarzy malowało się widoczne strapienie; ręce mu drżały, gdy zapalał papierosa.

- Najwyższy czas, żebyśmy zaczęli myśleć o wycofaniu się z tego, chyba że powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Słowa znaczyły o wiele więcej niż ton, jakim je wypowiedział.

- O czym ty mówisz?

- McAllisterowi ktoś pomaga.

- Tak, to ta kobieta...

- Nie, mówię o pomocy z zewnątrz. Ktoś przekazuje mu informacje. Niemożliwe, żeby był tak dobry.

Przez dłuższą chwilę Rosjanin wpatrywał się badawczo w Amerykanina. Jak wiele tajemnic zataili przed sobą przez te lata? Stawka była wysoka. Oczywiście nie mogli się wycofać. Poza tym, nie istniało takie miejsce na tym świecie, dokąd mogliby uciec i czuć się bezpieczni. Nigdzie.

- A zatem musimy go powstrzymać, zanim posunie się zbyt daleko.

Amerykanin pokręcił przecząco głową.

- Nie zdajesz sobie sprawy, Gienadij, jak daleko on już się posunął.

- Więc ty mi to powiesz i wspólnie zdecydujemy, jak można temu zaradzić.

Rosjanin starał się mówić spokojnie. Pracował już długo z tym człowiekiem, więc wiedział, że tamten nie denerwował się, jeśli nie miał ku temu poważnych powodów.

- Ktoś musi przekazywać mu informacje.

- Skąd?

- Z Moskwy.

- W jaki sposób? Gdzie jest ten przeciek? Z kim się widuje? Gdzie się spotykają? Spokojnie, pomyślał.

- Tobie łatwiej się dowiedzieć niż mnie.

- O niczym takim nie słyszałem, wierz mi, kiedy ci mówię - odezwał się Rosjanin.  
- Dowiadywałem się... Jeśli McAllister rzeczywiście otrzymuje jakieś informacje, to pochodzą one gdzieś z Waszyngtonu, z bliska. A przy okazji, trafnie odgadłeś, że włamie się do kwatery CIA.

- Szukał dokumentów O'Haire'ów.

- Znalazł?

- Nie wiem, ale musimy założyć, że tak. A wiesz, co to może oznaczać.

- Otrzymali jasne polecenia. Myślę, że w tym momencie są bezpieczni.

- Na miłość boską, Gienadij, on się włamał do siedziby CIA! - krzyknął Amerykanin. - Czy sądzisz, że Marion przedstawia dla niego większy problem?

Rosjanin zaprzeczył ruchem głowy.

- Zapytałem cię kiedyś, czy McAllister jest Bogiem i powiedziałaś mi, że nie. To zwyczajny człowiek o nadzwyczajnych umiejętnościach. Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Cztery razy nie udało nam się go powstrzymać.

- Tak - odparł Rosjanin odwracając głowę. - Albo jest bardzo dobry i ma bardzo dużo szczęścia, albo ktoś mu pomaga.

- A zatem zgadzasz się ze mną - powiedział żywo Amerykanin.

- Tylko w przypadku, gdy ta pomoc może... i kładę nacisk na słowo „może”, pochodzić od kogoś stąd. Połączenia satelitarne i kablowe były czyste. To gwarantuję.

- Masz jakieś propozycje?

- Przychodzi mi na myśl jedno nazwisko - stwierdził Rosjanin.

- Kto?

- Ktoś, o kim nie wiesz.

- W co teraz grasz? - spytał Amerykanin ponownie podnosząc głos.

- Krzyki nic tu nie pomogą. Życie płynie z góry ustalonym torem. Szkoliliśmy go od wielu lat, nawet jeszcze moi poprzednicy. Właśnie zaczynał być produktywny, kiedy to się stało. Od kilku tygodni nie odzywa się. Gdybyś wiedział, kim on jest, zrozumiałbyś, jak dziwna to cisza.

- Mówisz zawile, Gienadij. Kim jest ten człowiek?

- Nicholas Albright - powiedział Rosjanin, bacznie obserwując twarz Amerykanina.

- Boże!

- Sądziliśmy, że dzięki pracy jego córki w Agencji będziemy mieli dostęp do niewyczerpanego źródła informacji o nowych rekrutach Agencji.

- Czy ona również pracuje dla ciebie?

- Nie, oczywiście, że nie, lecz o ile wiem, pozostaje z ojcem w bardzo bliskich stosunkach. Mówi mu o wielu sprawach.

- A zatem on wie, gdzie ukrywa się McAllister.

- Nie wiem.

Oczy Amerykanina zwęziły się.

- Co proponujesz?

- Albright to nie mój projekt, nigdy nim nie był. Jeśli jednak w Moskwie jest jakiś maniak, który próbuje nas powstrzymać, możliwe, że Albright z nim współpracuje. Teraz wydaje się to bardziej niż logiczne. Niemniej, nie mogę zdecydować się na bezpośrednią ingerencję, bo istnieje obawa, że się podłożę. Czujesz delikatność tego przedsięwzięcia?

- Co ja mogę zrobić? - zapytał Amerykanin.

- Na razie nic, poza tym co robiłeś do tej pory. Ja osobiście zajmę się Albrightem.

- To może okazać się bardzo niebezpieczne...

- Nie mam na myśli siebie fizycznie. Chodziło mi o to, że każę zaopiekować się Albrightem. Ta dzielnica Baltimore jest przeraźliwie niebezpieczna. Nierzadko słyszy się o włamaniach. Jeśli uda nam się wydobyć od niego informacje, przynajmniej dowiemy się, kim są nasi wrogowie.

- McAllister.

- On jest tylko narzędziem, przyjacielu. Musimy zidentyfikować rzemieślników. Amerykanin odwrócił wzrok.

- Czy zdają sobie sprawę, czym ryzykują?

Rosjanin nie odpowiedział. Strach - ta potężna, ciemna siła - zagościł w zakamarkach jego umysłu.

- McAllister nie może kontynuować tego, co zaczął.

- Nie.

- Boże miej nas w opiece, gdyby mu się powiodło - odezwał się Amerykanin.

- Albo nawet gdyby udało mu się kogoś przekonać, że nie jest obłąkany.

*Zanim zrobisz kolejny ruch po celnym uderzeniu, musisz poczekać i obserwować, jaka będzie reakcja wroga. Należy bezwzględnie przestrzegać takiej kolejności w bitwie, szanse wygranej są tak nikłe.*

McAllister podniósł wzrok znad ostatniej z wielu gazet, które przewertował. Stephanie skończyła wcześniej.

- Coś ciekawego? - zapytała.

Pokręcił przecząco głową.

- Na razie nie - odparł znużonym głosem.

Męczył się zamknięty w hotelu i czuł, że dla niej również jest to nieprzyjemne, lecz wychodzenie na zewnątrz stało się zbyt niebezpieczne. Po ostatniej nocy Agencja, FBI i policja okręgowa będą ich szukać zawzięcie. Zanim jednak wydarzy się coś konkretnego, nie mieli innego wyboru, jak tylko czekać.

Udało im się trochę przespać i rankiem żadne z nich nie wspominało jej wieczornego wybuchu. Wyznanie Stephanie wisiało między nimi niczym gruba woalka, której nikt nie chciał odsłonić.

Ze swej strony, McAllister nie wiedział, co powiedzieć ani co zrobić, ponieważ właściwie nie potrafił zdefiniować swoich uczuć ani do niej, ani do żony, z wyjątkiem tego, że uważał Stephanie za bardzo atrakcyjną i szczerą kobietę; jednakże jego życie małżeńskie już od wielu lat nie układało się zbyt dobrze; na długo przed tym, zanim żona nazwała go zdrajcą i próbowała zabić. Czuł się dezorientowany i zraniony. W Moskwie wszystko odwróciło się do góry nogami. Bez względu na to, co się stało, wiedział na pewno, że jego życie już nigdy nie będzie wyglądało tak samo jak wcześniej. To wydawało się niemożliwe. Zmieniły się okoliczności, zmienił się on sam.

- Skąd w tobie ta pewność, że napiszą cokolwiek w gazetach? - zapyta. - Do tej pory tego nie robili.

- Biuro jest teraz wplątane w całą sprawę. Policja okręgowa również. To przyciągnie uwagę. Będą musieli w jakiś sposób się określić.

- Mogą napisać cokolwiek. Nawet bez żadnego znaczenia.

- Nawet ich milczenie może nam coś powiedzieć - odezwał się McAllister, chociaż nie był pewien co.

Coś w środku, jakiś wewnętrzny instynkt podpowiadał mu, że jeszcze nie nadszedł czas na kolejny ruch. Potrzebowali więcej informacji.

- Mamy cztery nazwiska - mówiła Stephanie. - Tego przecież szukałeś. Przynajmniej podążmy za tymi wskazówkami.

- Jeszcze nie - odparł McAllister.

Spojrzał na zegarek. Zbliżało się południe, czas na wiadomości telewizyjne. Wstał, przemierzył pokój i włączył lokalną stację. Właśnie nadawano blok reklamowy.

- Na co czekasz? - zapytała Stephanie lekko podniesionym głosem.

- Na wiadomość.

- Jaką?

- Z ich punktu widzenia postąpiłem wbrew jakiegokolwiek logice - powiedział odwracając się do niej. - Włamałem się do siedziby i złamałem zastrzeżone kody wejściowe. Teraz muszą odparować atak. Powinni zareagować, i to publicznie. To jedyny sposób, w jaki mogą zaproponować mi jedno z dwóch rozwiązań. Po pierwsze: będą chcieli pójść ze mną na układ, co oznacza, iż ktoś strasznie się obawia, że za bardzo się zbliżam.

- My za bardzo się zbliżamy - poprawiła Stephanie.

Skinął głową.

- A druga możliwość: zignorują wszelkie przeszkody i zapolują na mnie tak, jakbym był wrogiem publicznym numer jeden.

- A to co ci powie?

- Powie nam, kto przewodniczy śledztwu - albo osoba z ramienia prawa, która uczciwie wierzy, że jestem zdrajcą, albo agent operacyjny, który wie, że chcę się do niego dobrać i musi mnie powstrzymać.

- Skąd będziesz miał pewność? - zapytała coraz bardziej sfrustrowana Stephanie.

- Nie będę miał - odparł McAllister. - Tak jak ty nie możesz być mnie pewna, szczególnie po ostatniej nocy.

Wzięła jedną z gazet, po czym rzuciła ją ze złością na stół.

- Myślisz, że tego chciałam? Myślisz, że to zaplanowałam? Chyba powinnam przebadać sobie umysł!

- Ja również.

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś. Coś, co znalazłeś wczoraj oprócz tych czterech nazwisk.

Nie odezwał się.

- Nie sądzisz, że zasługuję przynajmniej na tyle? Przynajmniej na prawdę? Moje życie też wisi na włosku. Jeśli polują na ciebie, polują również na mnie. Rozmawiając z Dexterem dałam jasno do zrozumienia, że nikt mnie do tego nie zmuszał.

- Nawet najsilniejszy przystałby na współpracę, gdyby przystawiono mu pistolet do skroni.

- Ja nie zrezygnuję! Nie uda ci się mnie odepchnąć. Do cholery, pogadaj ze mną! Chcę ci pomóc. Zaufaj mi.

*Zaufaj mi.*

Do tego doszło. Zawsze tak się działo pod koniec.

- Patrz - odezwała się wskazując na telewizor z nagłą trwogą w głosie.

McAllister odwrócił się i na chwilę ogarnęła go kompletna dezorientacja.

Na ekranie ujrzał uproszczony portret mężczyzny o grubej szyi, potężnej szczęce, gęstych siwych włosach, długich wąsach i kwadratowych okularach. U dołu widniało jego nazwisko. Lecz to nie był on. Wzmocnił dźwięk.

- ...najprawdopodobniej uzbrojony i niezwykle niebezpieczny. W lakonicznym oświadczeniu Federalne Biuro Śledcze określiło McAllistera jako jednego z wyższych oficerów nadzorujących siatki szpiegowskiej O'Haire'ów. Bracia O'Haire'owie, jak państwo pamiętacie, zostali skazani na karę dożywotniego więzienia za udział w spisku szpiegowskim, który doprowadził do kradzieży tajemnic państwowych i przekazania ich Rosjanom. Domniemywa się, że McAllister współpracował z Sowietami w Moskwie, aby dowiedzieć się, które dziedziny technologii wykorzystywanej w Wojnach Gwiazdnych najbardziej ich interesują. Rzecznik Biura

powiedział, że działalność McAllistera polegała na przekazywaniu tych pytań O'Haire'om. Po zgromadzeniu niezbędnych informacji w Stanach Zjednoczonych, przekazano je McAllisterowi, który w tym czasie stacjonował w Centralnej Agencji Wywiadowczej przy ambasadzie amerykańskiej w Moskwie. CIA odmówiło jakichkolwiek komentarzy, stwierdzając jedynie, że wkrótce dojdzie do aresztowania. McAllister został wezwany do Waszyngtonu na przesłuchanie, lecz dwa tygodnie temu zniknął w Nowym Jorku. Powszechnie uważa się, że obecnie przebywa na terenie Waszyngtonu. W kolejnych wiadomościach...

- To nie twoja podobizna - odezwała się Stephanie.

McAllister wpatrywał się w ekran telewizora.

- Nie - rzekł nieobecny głosem.

- To wiadomość, na którą czekałeś - powiedziała wstrzymując oddech. - Co oni próbują ci przekazać?

- Nie wiem - przyznał.

Kręciło mu się w głowie. Spodziewał się wszystkiego, lecz nie czegoś takiego. Najwyraźniej izolowali społeczeństwo od tej sprawy. Nie istniał nawet cień szansy, by jakiś przechodzień rozpoznał go i przekazał wiadomość policji. Co tu się działo? Czy to możliwe, że próbowali uspić jego czujność w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa? Mało prawdopodobne, pomyślał. Pokazano tak odmienny rysopis, a ponieważ został on przekazany przez kogoś, kto doskonale znał McAllistera, musiało to mieć jakieś ukryte znaczenie.

- Rosjanie znają twoją twarz. Mafia również - mówiła Stephanie. - Zobaczą to i będą pewni, że dano im wolną rękę.

Czy o to chodziło? Czy taką informację niosła ze sobą ta wiadomość? Może nie była dla niego; może dla tych, którzy próbowali go powstrzymać. Dalej, łapcie McAllistera. My nie będziemy przeszkadzać. Czy takie było przesłanie?

- Zabierajmy się stąd, Mac. Zanim będzie za późno dla nas obojga.

Stephanie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Była to kusząca propozycja, biorąc pod uwagę wydarzenia z kilku ostatnich tygodni. Zastanawiał się, czy istnieje miejsce, w którym mogą czuć się przez dłuższy czas bezpieczni. Jeśli CIA czy KGB chciały kogoś dopaść, zawsze dopinały swego. Ich macki oplatały praktycznie cały świat i istniało małe prawdopodobieństwo, by ktokolwiek mógł się przed nimi ukryć. Prędzej czy później ktoś po nich przyjdzie. Przez resztę życia będą musieli nieprzerwanie oglądać się przez ramię, nieustannie napinać mięśnie, spodziewając się kuli z broni snajpera.

- Całe życie spędziłem pracując dla firmy. Nie mogę się teraz poddać.

- Co ona ci takiego dała? - zawołała.

- Nie wypnę się na nią, Stephanie.

- A zatem zabiją cię - powiedziała. - Popelnisz błąd. W nieodpowiednim czasie znajdziesz się w nieodpowiednim miejscu. Zaufasz komuś, komu nie powinieneś. Nie będą ciągle pudłować. Prędzej czy później zrealizują swój zamiar.

- W takim razie ty odejdz - odezwał się łagodnie.

Co on do niej czuł? Jego poczucie odpowiedzialności i obowiązku tłumilo prawdziwe uczucia.

- Nie odejdę, Davidzie - Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. - Zeszłej nocy mówiłam poważnie. Kocham cię. Nie opuszczę cię. Zabierajmy się stąd. Jak najdalej. Teraz. Razem. Proszę!

- Ja... ja nie mogę - odezwał się McAllister, a słowa uwięzły mu w gardle i poczuł silny ucisk w klatce piersiowej. - Nie mogę tego tak zostawić.

- Musisz! Nie możesz wygrać, nie przeciwko nim wszystkim!

- Muszę spróbować.

- Dlaczego?! - wrzasnęła. - Co ty próbujesz udowodnić?

- Ktoś mnie wystawił, ktoś próbuje mnie zabić.

Jak przez mgłę ujrzał twarz Mirosznikowa. Rosyjski śledczy uśmiechał się.

*Poczyniliśmy wspólnie wielkie postępy, ty i ja. Jestem z Ciebie dumny, Mac, tak bardzo się cieszę.*

Czy mógł kiedykolwiek zapomnieć ból i upokorzenia, jakich zaznał od Rosjan? W szczególności od jednego Rosjanina.

- Będą ciągle próbować, nie rozumiesz tego? - zawołała Stephanie.

- Oznacza to, że znajdujemy się na dobrym tropie - powiedział.

Pot wystąpił mu na czoło.

Stephanie podeszła do niego i z wahaniem wyciągnęła rękę dotykając jego twarzy, policzków, ust, jak gdyby była niewidomą dziewczyną, starającą się poznać kształt i rysy jego twarzy.

- Musiałam spróbować - odezwała się miękko. - Dla Ciebie. Dla nas. Ale chyba rozumiem, dlaczego nie możesz się na wszystko wypiąć i uciec. Ja mogłabym to zrobić, ale nie ty. To firma. Twój ojciec. Twój przyjaciele. Twoje zobowiązania... Twoja żona.

McAllister zamknął oczy. Ujrzał twarz Glorii wykrzywioną grymasem furii i nienawiści i rewolwer w jej zaciśniętej dłoni. Zdrajca! - wrzasnęła i naprawdę usiłowała go zabić. Ból zdawał się nie do zniesienia. Musiał dowiedzieć się dlaczego. Przynajmniej tyle.

- Rozumiem, kochanie. Wierz mi, rozumiem - szeptała Stephanie.

McAllister otworzył oczy i przyciągnął ją stanowczym ruchem.

- Naprawdę? - zapytał.

- Tak - odparła. Serce waliło jej jak młotem. - Cokolwiek zrobisz, zostanę z tobą. Nie opuszczę Cię, obiecuję.

- A potem? - spytał. - Jeśli jest jakieś potem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- To będzie zależec od Ciebie - powiedziała. - Na razie mamy cztery nazwiska do sprawdzenia, cztery wskazówki z komputera. To już coś.

- Pięc - poprawił McAllister.

Zdezorientowanie zmieniło wyraz jej twarzy. Spojrzała na leżący na stole komputerowy wydruk.

- Cztery... - zaczęła.

- Było coś, o czym nie powiedziałem ci zeszłej nocy - przerwał jej McAllister.

Spojrzała mu głęboko w oczy czekając na dalsze słowa. Drżała.

- Plik O'Haire'ów był zastrzeżony. Wejście wymagało hasła. Spróbowałem „zebra”, literowałem od początku do końca, i spróbowałem słowa „szpiedzy”. Nie skutkowało. Wreszcie zdesperowany użyłem jedyne go słowa, jakie przychodziło mi do głowy: „Highnote”.

- I to było właściwe hasło?

McAllister skinął głową.

- O Boże.

- Zanim udam się za tymi czterema, muszę ponownie się z nim spotkać.

- Nie, Davidzie, nie pozwolę na to. Wszystko, tylko nie to.

- Muszę.

- Nie mogę beczynn timer patrzeć, jak popełniasz samobójstwo - zaprotestowała odpychając go od siebie. - Nie rozumiesz? Od samego początku to był Highnote. Na pewno!

- A zatem dowiem się tego.

- Nie - zawołała.

- Tak. To jedyny sposób. Muszę wiedzieć.

## Rozdział 17

Minęła dopiero szósta, a mimo to miasto pogrążyło się już w zimowym mroku. Na szerokiej ulicy, przy której znajdowała się siedziba CIA, panował duży ruch. Dzienna zmiana właśnie opuszczała budynek. McAllister obserwował okolicę z miejsca, gdzie zaparkował samochód - na poboczu, mniej więcej kilometr na południe od Agencji.

Wąsając się w pobliżu, ryzykował wiele. Stephanie chciała mu pomóc, lecz w końcu przekonał ją, że będzie o wiele bezpieczniej, jeśli sam spotka się z Highnote'em. Gdyby cokolwiek się zdarzyło, ona nadal pozostałaby na wolności. Mogłaby wówczas zwrócić się do Dextera i opowiedzieć mu całą historię.

Kiedy wcześniej udał się na parking po chevroleta celebrity, którego wynajęli w Dulles na nazwisko Treffano Miglione, zaskoczył go fakt, że miasto było przystrojone. Nad ulicami przewieszono wstęgi kolorowych świateł, lampiony i jaskrawo oświetlone girlandy spływały z latami, a wiele okien sklepowych przykuwało wzrok wyszukanymi wystawami. Za niecałe dwa tygodnie miały nadejść Święta Bożego Narodzenia. Zupełnie o tym zapomniał, a uświadomienie sobie tego faktu wzbudziło w nim swoisty ból i tęsknotę za czymś, czego nigdy nie doświadczył w swoim dorosłym życiu: za rodziną, za kimś dla kogo te święta znaczyłyby równie dużo jak dla niego.

Z początku chciał zadzwonić do Highnote'a i umówić się na kolejne spotkanie, podobne do tego na parkingu nie opodal autostrady międzystanowej na północ od miasta, lecz podejrzewał, że od tamtej pory kontrolowano wszystkie rozmowy. Składanie staremu przyjacielowi wizyty w domu również wydawało się niebezpieczne. Na pewno przebywa tam grupa inwigilacyjna.

Zrób coś niespodziewanego. To prywatne śledztwo całkowicie pochłonęło jego własne życie oraz życie Stephanie; czasami wydarzenia następowały po sobie z ogromną, nie kontrolowaną prędkością, jakby zostali złapani w pułapkę na małej łodzi pędzącej z nurtem w kierunku śmiertelnie niebezpiecznego wodospadu.

Obserwował w lusterku wstecznym, jak sznur pojazdów naciągających z północy przepływa pod wysoką latarnią sodową, oddaloną od niego o jakieś sto metrów. W pewnym momencie pojawił się czarny cadillac. McAllister spojrzał uważniej na mijający go wóz. Za kierownicą siedział Robert Highnote. Włączywszy światła, McAllister wmieszał się w sznur samochodów, przyspieszając, żeby znaleźć się tuż za cadillakiem.

Highnote był sam. McAllister bardzo na to liczył, podobnie jak liczył na niezniszczalne nawyki swego starego przyjaciela, który prawie zawsze wychodził z pracy dokładnie o szóstej i wracał prosto do domu. Pomimo napięcia, w jakim musiał się znajdować z uwagi na ostatnie zdarzenia, najwidoczniej stosował się do swego codziennego rozkładu dnia.

Kilka kilometrów na południe, w Arlington, Highnote zjechał z szerokiej szosy. McAllister trzymał się na ogonie jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu, wykorzystując przerwę w sznurze samochodów, zaczął go wyprzedzać.

Zjechał na równoległy pas ruchu, przyspieszył i popatrzył na Highnote'a, który po chwili, zdając sobie sprawę, że coś się dzieje, spojrzał w jego stronę. Zareagował pełnym niedowierzania spojrzeniem.

McAllister uśmiechnął się słabo, wskazał ruchem dłoni, żeby Highnote podążył za nim, po czym dodał gazu i wjechał przed cadillaca. Jego stary przyjaciel miał teraz

dwie możliwości do wyboru. Mógł pojechać za nim albo zatrzymać się przy najbliższym telefonie i wezwać posiłki. Znał teraz i samochód, i numer rejestracyjny.

Droga rozwidlała się półtora kilometra dalej; na południe ku Arlington Heights i na wschód ku Falls Church. McAllister prowadził tak, by żaden inny wóz nie mógł wjechać między ich samochody. Skręcił na wschód, a Highnote podążył za nim. Po raz pierwszy od długiego czasu odetchnął z ulgą. Przynajmniej na razie nie zanosilo się na kłopoty. Highnote najwidoczniej wykazywał chęć rozmowy.

Dookoła roztaczał się pagórkowaty i mroczny krajobraz. Dwadzieścia minut później, kiedy McAllister wjechał na parking znajdujący się przed niewielkim, lecz eleganckim zajazdem położonym kilka kilometrów za Falls Church, zaczął padać śnieg. O tej porze parking był zapełniony tylko w połowie. Takiego miejsca szukał i spodziewał się, że właśnie tu je znajdzie. Zaparkował na tyłach budynku i wysiadł z samochodu, kiedy Highnote zatrzymał swój wóz tuż obok.

- Otrzymałem twoją wiadomość - powiedział McAllister, gdy Highnote wysiadł z wozu. Stali patrząc sobie prosto w oczy.

- Gdzie jest Stephanie Albright?

- W bezpiecznym miejscu.

- A zatem współpracuje z tobą?

- Chciałeś ze mną rozmawiać - odezwał się McAllister. - Jestem. Wejdźmy do środka.

- Pozwól jej odejść. To nie jest jej walka.

- Moja też nie była, Bob. Przynajmniej dopóki jacyś ludzie nie zaczęli do mnie strzelać. I to dużo ludzi, Rosjanie i Amerykanie. Myślę, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali o Sieci Zebra.

- A zatem udało ci się złamać kod wejściowy.

W świetle dochodzącym z restauracji twarz Highnote'a wyraźnie pobladła.

- Inspirujący wniosek - odparł McAllister. - Wejdźmy do środka.

Zajazd był kiedyś obszernym domem mieszkalnym. Na prawo od korytarza znajdowały się oddzielne jadalnie, z dużymi oknami wychodzącymi na ogródek przycupnięty w dolince otoczonej stromymi zboczami. Po lewej stronie urządzono bar. Usiedli w wyściełanej skórą kabinie na końcu sali. Z szafy grającej dolatywały dźwięki muzyki z lat czterdziestych.

Kelner przyniósł im drinki. McAllister z papierosem w ręku odchylił się lekko do tyłu i spojrzał na swego starego przyjaciela. Komu ufać? Zawsze, absolutnie zawsze wszystko sprowadzało się do tego pytania. Z biegiem lat coraz trudniej było mu znaleźć na nie odpowiedź.

- Ja się ma Gloria? - spytał.

- Kompletnie zdezorientowana - odparł Highnote popijając martini.

- Podejrzewam, że nie mamy dziś zbyt wiele czasu, więc nie pieprzmy dyrdymałów. Jak się na to zapatruje Gloria?

- Wykreśliła cię zupełnie ze swego życia - odrzekł chłodno Highnote. - Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

Coś chwyciło McAllistera za serce, choć ta odpowiedź nie zdumiała go aż tak bardzo. Szczerze mówiąc, ich małżeństwo skończyło się wiele lat temu. Teraz próbował jedynie ostatniej wymówki. Mimo wszystko bolało.

- A ty? Czy ty również wykreśliłeś mnie ze swojego życia?

- Przecież tu jestem, prawda? - odparł Highnote. - Muszę przyznać, że poradziłeś sobie lepiej, niż się spodziewałem.

- O co w tym wszystkim chodzi?

Highnote uniósł brwi.



- Myślałem, że ty mi to powiesz. Znaleźliśmy ciało tego biedaka Janosa. Czy to było konieczne?

- Nie zabiłem go - powiedział McAllister. - To powinno być dla ciebie oczywiste. Jeśli chcesz dane co do tych dwóch ciał, mogę ci je dać.

- Jakich dwóch ciał? - zapytał Highnote ze zdziwieniem.

- Jedno na podjeździe, a drugie w lesie, mniej więcej sto metrów od drogi.

Highnote pokręcił przecząco głową.

- Nie opodał podjazdu zauważyliśmy nieco krwi; O Rh +. jak sądzę to twoja grupa, i ślady kół. Nie znaleziono jednak żadnych innych ciał oprócz Janosa.

McAllister zamknął oczy. Mafia wysłała dwóch wynajętych rewolwerowców, żeby przycisnęli Sikorskiego. Kiedy nie wrócili, ktoś inny musiał się tam wybrać i sprawdzić, co się z nimi stało. To wydawało się logiczne. Nadal jednak nie znał odpowiedzi na pytanie, kto torturował Sikorskiego, jeśli to nie byli oni.

- Ktoś mnie wystawił, żeby wyglądało na to, że ja zabiłem - powiedział otwierając oczy.

- Rosjanie.

- Dlaczego?

- Doszliśmy do wniosku, najlepszego, jaki udało nam się wykoncypować, że jesteś ich nieudanym projektem.

- Wiesz dobrze, do cholery, że nie pracowałem dla O'Haire'ów - rzucił McAllister.

- Podali twoje nazwisko.

- A więc ktoś im kazał to zrobić!

- Cały świat się myli, tylko ty masz rację, tak? - zapytał Highnote pochylając się do przodu. - Nie wiem, co się z tobą stało na Łubiance, i nie sądzę również, żebyś sam o tym wiedział, lecz myślę, że zostałeś wystawiony, zrobili ci pranie mózgu, jeśli takie określenie ci pasuje, abyś tu powrócił i szerzył spustoszenie.

- A zatem dlaczego Rosjanie próbują mnie zabić?

- Ponieważ, jak sądzę, stracili nad tobą kontrolę. Gdybyś został złapany i tajemnice, które są zamknięte wewnątrz twego umysłu, wydostałyby się na zewnątrz, przysporzyłbyś wiele kłopotu.

- A zatem jestem niewinną ofiarą...?

- Nie - warknął Highnote. - Myślę, że przez cały czas współpracowałeś z O'Haire'ami, a kiedy siatka przestała istnieć, Rosjanie aresztowali cię mając nadzieję, że w ten sposób wymażą wszelkie podejrzenia co do twojej osoby, a kiedy już cię u siebie mieli, postanowili urządzić sobie małą zabawę. Mili przyjaciele.

- I ty w to wierzysz, Bob? - zapytał McAllister.

- Nie wiem, w co innego mogę uwierzyć.

- Dlaczego? Gdzie są moje motywacje?

Highnote spuścił wzrok i pokręcił głową.

- To najbardziej przekłeta część tej zagadki, Mac. Po prostu nie znam odpowiedzi na to pytanie. - Podniósł wzrok. - Wypalony? Gloria powiedziała nam, że dziwnie się zachowywałeś, od chwili gdy skierowano cię na placówkę do Moskwy. Może dostrzegłeś bezowocność swoich działań. Może doszedłeś do wniosku, że twój ojciec zmarnował życie. Mimo wszystko popełnił samobójstwo. Sam nie wiem, lecz czasami tak się dzieje.

McAllister zwalczył w sobie to jedyne wspomnienie ojca, którego nigdy nie dopuszczał do swej świadomości. Wstyd? Strach? Cokolwiek by to było, od długiego czasu unikał rozmyślań na ten temat.

- Dlaczego wysłano mi wiadomość? Bo przecież ta szopka z moim nazwiskiem i fałszywym rysopisem miała właśnie być swoistą wiadomością, prawda?

- Dexter Kingman wpadł na ten pomysł. Doszedł do wniosku, że to może wyciągnąć cię z kryjówki. I tak się też stało.

- Tak - przyznał McAllister. - Rzeczywiście tak się stało. A więc jesteśmy tu razem. Porozmawiajmy.

- Mam mówić wprost?

McAllister skinął głową.

- Pozwól odejść Stephanie Albright. Nic się jej nie stanie, obiecuję.

- A zatem będziesz mi pomagał?

- Nic nie mogę dla ciebie zrobić, Mac - powiedział Highnote ścisząc głos. - Wpakuj sobie kulę w łeb. Skończ to teraz. To najlepsze wyjście.

McAllister zadrżał.

- Czy taka jest twoja rada?

- James O'Haire był Zebrą Jeden w Waszyngtonie, a ty byłeś Zebrą Dwa w Moskwie. Zgaduję, że Woronin ostrzegł cię, iż odkryto, kim jesteś. Zbadałem jego sprawę. Zajmował stanowisko, które pozwalało mu wiedzieć takie rzeczy.

- Taki jest twój punkt widzenia?

- Tak - odparł Highnote. - Dostałeś się do komputera, żeby się dowiedzieć, czy cię podejrzewamy. No cóż, teraz już wiesz, że tak nie było, chociaż prędzej czy później byśmy do tego doszli.

McAllisterowi kręciło się w głowie. Nic się kupy nie trzymało. Wszystko wydawało się takie nierealne. A jednak w słowach Highnote'a kryła się jakaś wewnętrzna logika. Oprócz tego, że Rosjanie aresztowali go, po czym bez wyjaśnień wypuścili po procesie, żeby utwierdzić CIA w przekonaniu, iż rzeczywiście działał jako oficer nadzorujący O'Haire'ów, a wszystko najwyraźniej po to, by ukryć nazwisko prawdziwego agenta lub agentów. Jeden wciąż przebywał w Moskwie, a drugi w Stanach.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy poprosiłem cię, abyś rozważył możliwość, że mówię prawdę i że zostałem wrobiony.

- Rozważyłem ją, Mac, wierz mi. Doszedłem do wniosku, iż istotnie jesteś przekonany, że mówisz prawdę. Czy możesz mi jednak opowiedzieć dokładnie, chwila po chwili, co działo się z tobą na Łubiance?

Przed oczami McAllistera pojawiła się twarz Mirosznikowa. Pomieszczenie barowe nagle wydało mu się niezwykle ciepłe i przytulne.

- Widzę, że nie potrafisz tego zrobić. Oni są niezwykli, Mac. Znasz schemat. Trzymali cię tam ponad miesiąc. Mogli z tobą zrobić praktycznie wszystko. Absolutnie wszystko. Zamienić we wszystko, w co tylko chcieli. Zamienić w oddane im stworzenie. Nawet to.

- A jeśli tak się nie stało? - nalegał McAllister. - Daj mi chociaż tyle. Daj mi taką możliwość z uwagi na te wszystkie niejasności.

- Mów - odezwał się Highnote po chwili.

McAllister przetarł ręką po oczach.

- Tam w Moskwie byłem cierniem w ich boku, więc aresztowali mnie i poddali miesięcznym przesłuchaniom. Wierz mi, Bob, tego doświadczenia nie można zapomnieć.

- Dlaczego cię wypuścili?

- Myślę, że istnieją dwie możliwości. Pierwsza to taka, że dopięli swego. Złapali szpiega amerykańskiego, wytoczyli przeciwko niemu proces i udowodnili mu winę. W tym momencie przestał przedstawiać dla nich jakąkolwiek wartość, więc go po prostu wypuścili.

- Mieli twoje przyznanie się do winy - powiedział Highnote. - Podałeś nazwiska wszystkich ludzi ze swojej starej siatki. Godziny, miejsca, operacje. Wszystko.

- Druga możliwość jest taka, że popełniono błąd. Nie przedstawiono wszystkich faktów temu, kto kierował moją sprawą. Zebra Jeden i Dwa nie oznaczały nic dla śledczego, który mnie przesłuchiwał, lecz ktoś inny mógł przesłuchać kasetę, przeczytać raporty. Być może zbyt późno zdali sobie sprawę, że wychodzę na wolność.

- Zatem sądząc, że wiesz więcej, niż potrafisz sobie przypomnieć, ten nieznamy Rosjanin wydał rozkaz zlikwidowania cię w Nowym Jorku, zanim zaczniesz sprawiać kłopoty. Czy to właśnie próbujesz mi uzmysłowić?

- Albo powiedział o mnie swemu tutejszemu agentowi i rozkaz likwidacji zrodził się już tutaj. Rosjanie czekali na mnie przed twoim domem, lecz na jachcie byli Amerykanie, a potem ci dwaj u Sikorskiego. Prawdopodobnie mafia.

- Nie znaleźliśmy żadnych ciał.

- Ktoś posprzątał bałagan, zanim tam dojechaliście.

- Zebra Jeden i Dwa nadal są na swoim miejscu, jeśli mam ci wierzyć. Jeden człowiek tu, w Waszyngtonie, a drugi w Moskwie. Prawdopodobnie pracownik Agencji. Ktoś, kogo obydwaj znamy, komu ufamy.

- Zgadza się - odparł McAllister. - Jest jednak jeszcze coś.

Highnote uniósł brwi.

- Wciąż cię słucham, Mac.

- Nie zabiłem Janosa, ale nie zrobili tego również ci dwaj, z którymi się strzelałem.

- A zatem kto?

- Nie wiem. Janos nie żył już przynajmniej od półtora dnia. Stało się to przed opadami śniegu. W okolicach chaty nie widziałem żadnych śladów opon samochodu wjeżdżającego czy wyjeżdżającego od niego.

Ta informacja wywarła na Highnocie największe wrażenie. Odchylił się, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia.

- Jeśli mam ci wierzyć, Mac, a wcale nie mówię, że tak rzeczywiście jest, oznaczałoby to, że działa tu jeszcze jakaś trzecia grupa. Ktoś zupełnie nie związany z twoim agentem operacyjnym. Pokręcił przecząco głową. - Kompletnie się kupy nie trzyma. To znaczy, czy potrafisz wskazać mi jakieś logiczne wytłumaczenie?

- Nie - odparł ciężko McAllister. - Lecz jeśli nie mówię prawdy, z jakiegokolwiek przyczyny, moje kłamstwa są nadzwyczaj wyszukane. Zbyt wyszukane. Po co?

*Poczyniliśmy wspólnie wielkie postępy, ty i ja. Jestem z ciebie dumny, Mac, tak bardzo się cieszę.*

*Czy możesz mi jednak opowiedzieć dokładnie, chwila po chwili, co działo się z tobą na Łubiance?*

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

- Nie wiem, czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, czy powinienem. Zbyt wiele się zdarzyło. Gdybyś się poddał od razu, na początku, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale teraz, po prostu nie wiem.

- Do tej pory byłbym już martwy.

Highnote pokręcił smutno głową i spojrzał w kierunku drzwi. McAllister powędrował za jego spojrzeniem.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał.

Highnote odwrócił wzrok z poczuciem winy.

- Powiedziałeś, że Dexter Kingman ma pomysł na wyciągnięcie mnie z ukrycia. Czy jego ludzie tu jadą? Czy wezwaleś ich ze swojego wozu?

- Coś się dzieje, Mac. Nie wiem, co to...

- Ty naprawdę ich wezwaleś - odezwał się McAllister wstając gwałtownie.

Highnote patrzył na niego okrągłymi oczami.

- Uciekaj - szepnął. - Zrobię, co w mojej mocy.

Idąc pośpiesznie w stronę korytarza wejściowego, McAllister sięgnął do kieszeni płaszcza po broń. Podczas tej krótkiej rozmowy z Highnote'em pomieszczenie wypełniło się ludźmi. Wielu z nich czekało na miejsca. Wyszedł zza rogu, a w tej samej chwili frontowe drzwi otwały się i weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Dexter Kingman.

- McAllister! - krzyknął Kingman.

McAllister wyciągnął rewolwer i strzelił ponad ich głowami. Pocisk trafił w ścianę nad drzwiami. Obaj nowo przybyli wybiegli przez główne wejście. Jakaś kobieta wrzasnęła, kiedy McAllister odwrócił się na pięcie i pognął do jadalni, torując sobie drogę między stolikami i wzbudzając panikę wśród ludzi.

Kelnerka właśnie wchodziła przez wahadłowe drzwi kuchni, balansując dużą tacą z jedzeniem, którą trzymała w prawej ręce. McAllister wpadł na dziewczynę, przewracając ją przy wtórze rozbijanych naczyń.

- Tam jest jakiś maniak z pistoletem! - zawołał pędząc przez kuchnię i skrywając broń.

- Co się dzieje?! - krzyknął jeden z szefów kuchni.

Ktoś krzyczał do telefonu.

McAllister dotarł do tylnego wyjścia i wybiegł na zewnątrz, zeskoczył z platformy dostawczej, przy której właśnie zatrzymywała się furgonetka. Szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i wskoczył do środka, zanim samochód zdążył się całkowicie zatrzymać. Wycelował broń w głowę młodego człowieka.

- Odjeżdżaj stąd! Natychmiast!

- Czy to napad? - wyjąkał przerażony chłopak.

- Wywieź nas stąd, do cholery! Ruszaj!

Kierowca wycofał furgonetkę, odjechał od rampy, po czym zakręcił na śliskim podjeździe i ruszył ku autostradzie.

McAllister opuścił szybę i odwrócił duże boczne lusterko tak, żeby widzieć tylne wyjście restauracji. Do momentu kiedy skręcili i wjechali na autostradę, nikt się w nim nie ukazał. Popędzili w kierunku Waszyngtonu, zostawiając za sobą wycie syren.

James Franklin O'Haire nie spał dobrze od czasu, gdy wraz z bratem Liamem zostali przetransportowani do więzienia federalnego w Marion w Illinois. Sędzia, powodowany szczególnym, perwersyjnym poczuciem patriotyzmu, wybrał więzienie dla pospolitych przestępców, zdając sobie doskonale sprawę, że O'Haire'owie nie zostaną tam dobrze przyjęci przez współwięźniów. Tych dwóch zasłużyło na najgorsze - powiedział ogłaszając wyrok. Gwałt, morderstwo, napad na bank należały do akceptowalnych przestępstw, lecz nie szpiegostwo. Nawet kryminaliści powinni odczuwać narodową lojalność.

Jim O'Haire uniósł lewą rękę i spojrział na zegarek. Za kilka minut wybije północ. Obudził go jakiś odgłos, metaliczny szczęk. Nie wiedział co.

Odsłoniwszy koc usiadł i spuścił nogi z łóżka. Oczy tego krzepkiego mężczyzny o siwiejących włosach emanowały intensywnym błękitem. Towarzysz niedoli spał mocno na górnej pryczy. Światła dochodzące z głównego korytarza rzucały cienie w wąskiej celi. Skądś dolatywały dźwięki muzyki. Doszedł do wniosku, że jakiś strażnik słucha radia.

Potężna czarna postać ubrana w więzienny drelich pojawiła się w drzwiach celi.

- O'Haire - odezwał się cicho mężczyzna.

Jim O'Haire rozpoznał George'a Hanksa, jednego z więźniów pełniących funkcję administratora. Coś było nie tak, fatalnie nie tak. O tej porze wszyscy więźniowie powinni być zamknięci w swoich celach.

- Chodźmy - odezwał się Hanks.

Obejrzał się przez ramię, po czym otworzył drzwi, starając się robić możliwie jak najmniej hałasu.

- O co chodzi? - zapytał O'Haire. - Czego chcesz?

- Wynosisz się stąd, to wszystko - odparł Hanks. - Rusz tę tłustą dupę i posprzątaj łóżko. Spiesz się.

Dźwięk, który zakłócił jego sen, pochodził od elektronicznego zamka przy drzwiach. W jakiś sposób Hanks dostał się do pulpitu sterowniczego albo jeden ze strażników brał w tym udział. O'Haire nie chciał cieszyć się zbyt wcześnie, nie wcześniej niż porozmawia z tymi dwoma bucami z Agencji, którzy pojawili się kilka dni temu. Poza tym to wszystko nie pachniało mu najlepiej. Przez ostatni tydzień Hanks i pozostali więźniowie traktowali go jak gówno.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Cholera, nie mam zamiaru sterczeć tu całą pieprzoną noc i czekać na ciebie. Dostaliśmy cynk od pewnego faceta, że wychodzisz. Dziś w nocy.

Chryste, czy to możliwe?

- A mój brat?

- On jest już w drodze. Teraz ruszaj dupę! - szepnęła ostro Hanks.

O'Haire wahał się tylko przez moment, po czym wsadził poduszkę pod koc, by na pierwszy rzut oka wydawało się, że ktoś śpi przykryty po same uszy. Nie widział powodu, dla którego miałby gnić w tym parszywym miejscu, kiedy nadarzała się szansa natychmiastowej ucieczki. Żadnego, cholera, powodu.

Prześlizgnął się przez uchylone kraty i wydostał na korytarz trzy kondygnacje nad głównym piętrem. Potężne mięśnie Hanksa nabrzmiały pod cienką więzienną koszulą gdy zamykał drzwi. Rozległ się charakterystyczny szcęk zamka. Mężczyzna odwrócił się i skinął na O'Haire'a, by podążył za nim.

Na końcu korytarza zeszli schodami na główne piętro. Hanks wyjął klucz i otworzył masywne stalowe drzwi. Weszli do przedsionka. Daleko przed nimi znajdowały się kolejne stalowe drzwi z małym, kwadratowym okienkiem na poziomie oczu. Hanks otworzył je i O'Haire ruszył za nim do wejściowego korytarza, który biegł wzdłuż całego budynku.

Powinni napotkać tu jakiegoś strażnika, lecz za biurkiem stał tylko pusty fotel, a w korytarzu nie ujrzeli żywej duszy. Hanks wyraźnie działał według określonego planu, wszystko zostało zorganizowane, więc niewątpliwie posiadał szerokie kontakty. O'Haire podziwiał te niezaprzeczone atrybuty. Wpatrując się w potężne plecy idącego przed nim mężczyzny, pozwolił sobie na słaby uśmiech. Z korytarza wyszli w objęcia mroźnej nocy.

Przystanęli kryjąc się w głębokim cieniu, gdy wyjeżdżająca z pralni jasnoszara więzienna furgonetka przetoczyła się przez dziedziniec.

- Jaki plan? - zapytał szeptem O'Haire.

Hanks odwrócił się i spojrzał na niego z kamienną twarzą.

- Rano ty i twój brat wyjedziecie ze śmieciami.

- A po tamtej stronie?

- Ktoś będzie na was czekał. Wszystko załatwione.

- A ubrania?

- Człowieku, przestań mnie szarpać za dupę. Będziecie mieli dobrą opiekę.

- Chcę wiedzieć - zażądał O'Haire, łapiąc mężczyznę za ramię i odwracając go do siebie.

Hanks cisnął nim o ceglany mur. Jego oczy nagle wypełniły się wściekłością, a mięśnie naprężyły się groźnie.

- Nie zaczynaj ze mną, skurwielu! Powiedziałem, że będziecie mieli opiekę i to miałem na myśli!

O'Haire rozłożył ręce.

- Zrozum, człowieku. Moja dupa wisi na włosku.

- Taak, moja też - odparł Hanks odwracając się.

Gdy furgonetka zniknęła za załomem muru, pobiegli na koniec budynku, przeszli przez tunel, potem przez szeroki dziedziniec i podjazd, a następnie bocznymi drzwiami przedostali się do budynku, w którym gromadzono wszelkie odpady. Odór gnijącego jedzenia i smród dobywający się z otwartego odtłuszczacza wtargnęły nagle w ich nozdrza.

Sortowano tu więzienne odpady; oddzielano materiały do powtórnego przetworzenia; puszki i szklane butelki, które po zmiążdżeniu transportowano do innego miejsca, oraz przedmioty papierowe i plastikowe, które po wysuszeniu rвано na strzępy i wysyłano do spalarni. Pozostałe śmiecie ładowano każdego ranka na ciężarówkę i wywożono na wysypisko znajdujące się poza terenem więzienia.

W głównym garażu stały cztery duże ciężarówki. Hanks poprowadził go za wozy i dalej przez stalowe drzwi do wielkiego, sąsiadującego z więzienną kuchnią pomieszczenia, w którym odbywało się rozdzielanie śmieci.

Młodszy brat Jima O'Haire'a, Liam, stał oparty o stół z rękami założonymi na piersiach. Dostrzegłszy nowo przybyłych wyprostował się.

- Zabieramy się stąd - rzekł.

- Zgadza się... - zaczął mówić Jim O'Haire, kiedy Hanks nagle rzucił się na niego, zaciskając potężny kułak na jego koszuli i ciężarem ciała przygniatając go do stołu.

- Ty skurwielu! - zaklął Hanks.

- Co, u diabła?! - zawołał Jim O'Haire odzyskując równowagę i odwracając się.

Sześć uzbrojonych w noże czarnych postaci wyłoniło się z cieni. W rękę Hanksa również błysnęło ostrze sprężynowego noża.

- Matko Boska, co tu się dzieje?! - zawołał Jim O'Haire.

- No dalej, chłopaczku, nikt cię tu nie usłyszy - odezwał się złowróźnie Hanks, podchodząc powoli wraz z pozostałymi.

- Zrobiliśmy, co do nas należało! - zawołał Jim O'Haire. - Do cholery, zrobiliśmy, co nam kazano!

## **Rozdział 18**

Po czwartym sygnale odwiesiła słuchawkę. Telefonowała do domu swego ojca w Baltimore, korzystając z automatu znajdującego się w przejściu między barem a korytarzem.

Jak powiedział jej Mac, rozmowy z pokoju mogły być kontrolowane przez operatora w hotelowej centrali. Wierzyła mu. Boże, robiła wszystko, co jej powiedział.

Wyjrzała na wyłożony ciemną glazurą korytarz w kierunku baru. Przy wysokim blacie siedziało dwóch mężczyzn i rozmawiało z barmanką. O tej porze w hotelu panowała cisza i spokój.

Gdzie jest ojciec? - pytała samą siebie. Poniedziałek wieczór. Powinien być w domu i spać, chyba że odebrał jakiś pilny telefon. Nigdy jednak nie dzwoniło do niego w nagłych wypadkach.

A gdzie podziewa się Mac? Rozstali się prawie siedem godzin temu. Gdzie jest? Co się dzieje? Oczami wyobraźni ujrziała podziurawione kulami ciało leżące gdzieś przy ciemnej drodze.

Wyczekując w samotności zaczynała odnosić wrażenie, że znalazła się na skraju wyczerpania. Nigdy nie była w tym dobra. Nie znosiła czekania. W pewien szczególny sposób Highnote znajdował się w samym centrum sprawy. Przynajmniej co do tego zgadzali się z Makiem, lecz tam, gdzie jego zaślepiła miniona przyjaźń i dawna lojalność, ona potrafiła patrzeć obiektywnie, na zimno. Mac został wrobiony. Zaczęło się od aresztowania w Moskwie. Logicznie rzecz ujmując, za tym wszystkim stał Highnote. To on ukrywał się pod określeniem Zebra Jeden. To on był człowiekiem w Waszyngtonie, który nadzorował działalność siatki O'Haire'ów... i prawdopodobnie nadal kierował tym, co pozostało po organizacji. Idąc na spotkanie z nim, Mac wchodził prosto w pułapkę.

Wykreślić go. Odwrócić się i odejść. Lecz dokąd? Mac nie wracał, a ojciec nie odbierał telefonów. Była sama i bardzo się bała.

Wsiadła do windy i wjechała na trzecie piętro. Weszła do pokoju i wyjrzała przez okno, za którym płatki śniegu otulały gęstym kobiercem uśpione miasto.

*Nie mogę beczynnie patrzeć, jak popełniasz samobójstwo... Od samego początku to był Highnote. Na pewno!*

A zatem muszę się o tym przekonać. To jedyny sposób. Wszystko inne jest bez znaczenia. Muszę to wiedzieć.

Muszę wiedzieć... co? - zawołała do siebie, dotykając czołem chłodnej szyby. Co tobą kieruje, kochanie? Czego szukasz? Kogo szukasz?

Zamknęła oczy i ścisnęła w dłoni grubą zasłonę. Czowała nieprzyjemną pustkę w żołądku, a nogi uginały się pod nią tak, że utrzymanie równowagi kosztowało ją wiele wysiłku. Wiedziała od samego początku, gdy wyznaczono ją do domu McAllistera i gdy porozmawiała z jego żoną, że szpikowano ją kłamstwami. Ta kobieta sprawiała wrażenie przerażonej... nie bała się jednak o swego męża, a raczej o siebie. Stephanie wtedy tego nie rozumiała. Dopiero gdy Mac pojawił się i stanął twarzą w twarz z Glorią na schodach ich domu, Stephanie zrozumiała to, co czuła do tej pory instynktownie. Pani McAllister pragnęła śmierci swego męża nie dlatego, że uważała go za zdrajcę, lecz dlatego, iż sama coś ukrywała lub już nie dbała o to, co się z nim stanie. Ona odeszła z Highnote'em. Czy ta dwójka pracowała razem?

- Och, ojciec załkała cicho. - Tak cię teraz potrzebuję. Nie wiem, co mam robić.

McAllister zaparkował furgonetkę dostawczą przed siedzibą FBI, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzednio zostawił thunderbirda, i skierował się do Best Western. Wściekną się, kiedy znajdą furgonetkę. Wkrótce zaczną przeszukiwać wszystkie hotele, zaczynając od centrum i stopniowo zataczając coraz, większe kręgi, Prędzej czy później dopisze im szczęście. Nadchodził czas, aby zmienić kryjówkę.

Kilka godzin temu wypuścił młodego kierowcę gdzieś w odludnej okolicy między parkiem Higłwiew a Cherrydale, lecz zamiast udać się bezpośrednio do miasta i zostawić furgonetkę, pojechał na cmentarz Arlington, gdzie mógł przebywać sam na

sam ze swoimi myślami. Zagrywał bardzo ryzykownie. Młody kierowca nie potrzebował zbyt dużo czasu na dotarcie do telefonu i powiadomienie policji. Do tej pory rozpoczęto już pewnie poszukiwania furgonetki. Zwiększył dodatkowo ryzyko, decydując się na to opóźnienie, lecz czuł, że nic jest gotów stanąć twarzą w twarz ze Stephanie.

Gdy siedział w ciemności paląc papierosa, przez chwilę przyszło mu do głowy, żeby ją opuścić. Po prostu odwrócić się i uciec. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Była teraz częścią tego wszystkiego, bez względu na to, co robiła. Ten, kto usiłował go zabić, będzie chciał również jej śmierci.

Jak zawsze zachowywał przesadną ostrożność i starał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Zatrzymał się w ciemnościach po drugiej stronie ulicy naprzeciw hotelu i stał tak pełne pięć minut, upewniając się, że miejsce nie zostało obstawione.

Highnote postąpił dokładnie tak, jak powinien postąpić każdy dobry i lojalny urzędnik rządowy: gdy tylko dostrzegł McAllistera, powiadomił Urząd Bezpieczeństwa, a stary wyjadacz Mac zapomniał o telefonie w samochodzie. Tego błędu o mały włos nie przypłacił życiem.

Highnote wysłuchał go jednak. Przyznał, że działa się coś więcej, niż można było wywnioskować z czystej obserwacji. I wreszcie powiedział mu, żeby uciekał. Ostrzegł go.

Uciekać dokąd? Do kogo? Do czego? W jakim kierunku mógł się jeszcze zwrócić?

Wyłonił się zza rogu i wszedł do hotelu przez podziemny garaż. Wspiął się po schodach na trzecie piętro, gdzie ponownie się zatrzymał, badając pusty korytarz. Nie mieli zbyt wielu możliwości do wyboru. Highnote, miał co do tego absolutną pewność, był po jego stronie; może nieco opornie, co McAllister doskonale rozumiał, lecz po jego stronie. Trzeba będzie przekonać Stephanie, że nadszedł czas, by się wycofała. Oczywiście nie chodziło mu o powrót do Agencji; dziewczyna musi zaszyć się w jakimś odległym miejscu. Gdzieś, gdzie nikt nie zdoła jej skrzywdzić.

Otworzyła mu drzwi, zdjawszy uprzednio stalowy łańcuch, i odsunęła się w głąb pokoju. W jej dużych, wilgotnych oczach dostrzegł lśniące błyski. Najwyraźniej płakała. Drżącą dłonią dotknęła jego policzka.

- Myślałam, że nie wrócisz - odezwała się zdławionym głosem.

- Nic ci nie jest? - zapytał biorąc ją w ramiona i uświadamiając sobie, że w pewien sposób od kilku ostatnich dni zaczął ją naprawdę lubić. - Czy coś się tu wydarzyło?

- Nie - odparła. - Właściwie nie...

- Co chcesz przez to powiedzieć, Stephanie? Co się stało?

Potrząsnęła głową.

- Widziałeś się z Highnote'em? Udało ci się z nim porozmawiać?

- Powiedz mi, co się dzieje.

- Do cholery, Davidzie, ty mi coś powiedz! - ucięła. - Nie było cię przez siedem godzin. Zostawiłeś mnie tu samą i wyobrażałam sobie przeróżne rzeczy.

Łzy ponownie napłynęły jej do oczu, a ciałem targnęły dreszcze.

- Spokojnie. - McAllister przytulił ją mocno. - Widziałem się z nim i rozmawiałem. Niewiele może dla nas zrobić, lecz jest po naszej stronie.

Stephanie odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ech, Davidzie, jak możesz w to wierzyć po tym wszystkim, co się stało?

- Wysłuchał mnie. Z początku okazał się sceptyczny, ale w końcu mi uwierzył.

Ostrzegł mnie. Powiedział, żebym uciekał. To uratowało mi życie.

- Uciekał przed czym?

~ Zadzwoił do Dextera Kingmana z telefonu w samochodzie. Tego niestety nie wziąłem pod uwagę. Właśnie nadchodzili, kiedy uciekłem.



- Dla nich byłoby znacznie dogodniej, gdyby zabito cię podczas próby ucieczki - odparła Stephanie. - Kochanie, czy nie widzisz, co się dzieje? W jaki sposób tobą manipuluje? Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiasz, daje ci tę samą radę. Nie może ci pomóc i mówi ci, żebyś uciekał. Davidzie, uciekają tylko winni. W jaki inny sposób mógł odebrać to Dexter?

- Highnote nie musiał mi niczego mówić. Wystarczyło zająć mnie czymś. Wpadłbym w pułapkę.

- Rozpętałyby się strzelanina. Zabiliby cię.  
- Może mieli taki plan, ale on zmienił zdanie.  
- Co ci powiedział?

- Myślał, że cały czas pracowałem dla Rosjan kontrolując działalność siatki O'Haire'ów. Podobno zeznali, że byłem ich oficerem nadzorującym.

- Dlaczego zostałeś aresztowany w Moskwie? Czy na to też miał dobre wyjaśnienie?

- Najpierw, żeby wyeliminować podejrzenia, lecz później, na Łubiance, poddano mnie praniu mózgu. Przypuszczalnie stałem się jednym z nich. Coś jednak poszło nie po ich myśli i stracili nade mną kontrolę. W końcu zdecydowali, że lepiej będzie dla nich, jeśli umrę.

- A wszystko zapakowane w schludną, małą paczuszkę - zareagowała wzgardliwie.  
- Zbyt schludną. - Pokręciła głową na znak poirytowania. - To jedynie wyjaśnia powód, dla którego Rosjanie chcą twojej śmierci. A co z mafią? Co oni mają z tym wspólnego?

- U Sikorskiego nie znaleziono żadnych ciał - powiedział McAllister. - Ktoś posprzątał cały bałagan, zanim przybyło FBI.

- A zatem sądzą, że to ty zabiłeś Sikorskiego?

- Tak.

- Highnote ci to powiedział? - zapytała Stephanie patrząc mu w oczy.

- Przekonałem go, że tak nie jest. Przynajmniej zmusiłem go do zastanowienia się nad inną możliwością.

- To znaczy?

- Że w CIA znajduje się ukryty agent. Ktoś zajmujący wysokie stanowisko, kto współpracuje ze swoim odpowiednikiem z KGB.

- Zebra Jeden i Dwa.

- Zgadza się.

- A zatem zwolnienie cię z Łubianki było po prostu pomyłką administracyjną. McAllister skinął głową.

- I Highnote to przyjął?

- Dopiero wtedy, gdy unaocznilem mu jedną rzecz, która do niczego nie pasuje. Jedną rzecz, która absolutnie nie trzyma się kupy. Dwaj mężczyźni, których powstrzymałem u Sikorskiego, nie zabili Janosa. Znaleźli go w takim stanie. Nie żył przynajmniej od półtora dnia. Któż go więc zabił i dlaczego?

- Jeśli nie mafia, to Rosjanie - odpowiedziała Stephanie. - Czy tego nie widzisz? Zebra Dwa to Rosjanin. Ma ludzi, którzy dla niego pracują, prawdopodobnie z ambasady w Waszyngtonie. Lecz Zebra Jeden, Amerykanin, nie może używać do swojej brudnej roboty ludzi z CIA, więc wynajmuje profesjonalnych morderców. Wszystkie te przypuszczenia nadal wskazują na Highnote'a.

- Musiałabyś tam być, stanąć z nim twarzą w twarz. Ja go dobrze znam. On naprawdę chce nam pomóc, ale ma związane ręce.

- A zatem co ci pozostaje, kochanie? - spytała cicho Stephanie. - Co nam pozostaje?

- Lista.

Spojrzała na niego pytająco.

- Co takiego?

- Te cztery nazwiska z komputera. Muszę podążyć tym śladem. To nasze jedyne wskazówki. Jeśli nadal istnieją powiązania między siatką O'Haire'ów i tym, kto ją prowadził, kimkolwiek by on był, ci ludzie mogą na ten temat coś wiedzieć.

- Highnote także o tym wie i każe swoim agentom czekać na ciebie.

McAllister zirytował się.

- Do cholery, nie dotarło do ciebie ani jedno słowo z tego, co mówiłem. Highnote nie jest Zebrą Jeden.

- Przepraszam - odezwała się Stephanie - lecz nawet jeśli masz rację, on będzie musiał również podążyć tropem tych czterech ludzi. To jego obowiązek. Będzie musiał udać się do nich z tej samej przyczyny, która kieruje tobą.

McAllister kręcił przecząco głową i nagle Stephanie zrozumiała, o co mu chodziło.

- Nie powiedziałaś mu, prawda? - spytała.

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- Zatrzymałeś dla siebie tę jedną informację. Dlaczego? Czy potrafisz odpowiedzieć?

- Nie nadarzyła się sposobność podczas rozmowy - odparł nieprzekonywująco.

- Bo ty nie podjąłeś tego tematu - stwierdziła triumfalnie. - Cokolwiek byś mówił, jest coś w zakamarkach twego umysłu, jakiś instynkt przetrwania, który powiedział ci, abyś zatrzymał to dla siebie. Tak na wszelki wypadek.

- Nic przecież nie mógłby zrobić...

- Nie - przerwała Stephanie. - Wiesz, co myślę? Uważam, że naprawdę coś się z tobą stało na Łubiance. Coś, co cię zmieniło, coś, co sprawiło, że nie wierzysz w swoje możliwości. Lecz głęboko w środku wiesz doskonale, jaki należy wykonać ruch, wiesz, jak się chronić, a wydarzenia z Nowego Jorku i wszystko, co dzieje się od tego czasu, są tego dowodem. Uwierz w siebie, Davidzie. Pozwól swoim starym instynktom, starym przyzwyczajeniom dojść do głosu. Rób to, co uważasz za słuszne. Wykorzystaj swój profesjonalizm, swój fach.

- Po pierwsze, jutro rano wynosimy się stąd - powiedział podchodząc do okna i spoglądając w dół na pustą ulicę.

*Profesjonalizmem posługujesz się przeciwko wrogom, nie przyjaciółom. Wpakuj sobie kulę w łeb... Skończ to teraz... To najlepsze wyjście. Gloria wykreśliła cię ze swego życia.*

- Dokąd pojedziemy?

- Jak najdalej od Waszyngtonu - odparł.

- Dokąd? Co będziemy robić?

Skupił wzrok na jej bladym odbiciu, jaśniejącym w ciemnej szybie okiennej. Tak długo żył z bólem, że dziwił się, iż jeszcze się do niego nie przyzwyczyił. Wydała mu się nierealna - zmierzwiłone włosy, prosta luźna bluza, niebieskie dzinsy - a jednak pragnął jej, jej bliskości, zapachu ciała, dotyku. Zdumiało go to nagłe uczucie. W ciągu kilku ostatnich tygodni albo przebył niezwykle długą drogę, albo upadł z kretelem - nie potrafił zdecydować, które z tych dwóch określeń lepiej odzwierciedlało jego sytuację oraz czy akurat w tym momencie to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Powiedział mi, żebym pozwolił ci wrócić - odezwał się McAllister. - W pewnym sensie miał rację.

- O czym ty mówisz?

- Nie stać mnie już na ciebie. Spowolnisz mnie do tego stopnia, że dogonią nas i oboje zginiemy. - Gorzkie słowa zabrzmiały glucho w jego uszach. - Prędej czy

później dostaną twego ojca i użyją go jako przynęty, żebyś wyszła z ukrycia. Nie zamierzam czekać, aż do tego dojdzie.

Odwrócił się w jej kierunku. Na białych policzkach Stephanie łyżę żłobiły sobie smutny szlak.

- Nie mam dokąd pójść - odparła.

- Dexter Kingman mógłby ci zapewnić ochronę.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie opuszczę cię, Davidzie. Nie teraz, nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Nie słuchasz mnie - McAllister podniósł głos. - Oni prawdopodobnie zwyciężą.

Jest ich zbyt wielu, są zbyt dobrze zorganizowani. Prędzej czy później braknie mi sił, moje szczęście się skończy i będzie po wszystkim.

- Złapałoby i mnie.

- Nie, jeśli tylko utrzyma się ich w przekonaniu, że nic nie wiesz. Że trzymałem cię wbrew twojej woli.

- Nie opuszczę cię, Davidzie - powiedziała. - Zrobię wszystko, aby cię o tym przekonać.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham! - krzyknęła. - Powiedziałam ci już raz, nie słuchałeś mnie? Nie uwierzyłeś mi? Kocham cię i życie bez ciebie nic dla mnie nie znaczy.

Odwrócił się ponownie do okna, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. Nie potrafił wyrazić na głos swoich myśli, a może nie chciał jej tego powiedzieć. Nie teraz. Zewsząd otaczało ich szaleństwo. Przy nim czekała ją śmierć, z dala od niego przynajmniej szansa na życie. Coś nim kierowało, coś zawsze nim kierowało, odkąd tylko sięgał pamięcią w przeszłość, lecz nawet teraz nie potrafił dopuścić do głosu targających nim od środka demonów.

*To gra, która prędzej czy później dobieże się do nas - powiedział kiedyś na Farmie Wallace Mahoney. Z powodu swojej pracy stracił żonę i dwóch synów, a jednak nie zrezygnował, jako że nie widział innej możliwości.*

Trzeba jednak żyć dalej - niezależnie od okoliczności - i to jest jedyna rzeczywistość. Rosjanie mają przysłowie: „Życie jest nie do zniesienia, lecz śmierć również nie należy do przyjemności.”

- Musisz mi uwierzyć - odezwała się Stephanie.

- Nie możesz ze mną zostać.

- Tylko jedna rzecz skłoniłaby mnie do odejścia - odparła. - Odwróć się i spójrz na mnie!

McAllister odwrócił się.

- Powiedz mi, że nic dla ciebie nie znaczę. Powiedz mi, że nie dbasz o to, że cię kocham. Powiedz mi, że nigdy nie będę cię obchodzić. Wtedy odejdę.

- Nie mogę.

- Musisz.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, ponieważ ja również cię kocham. To dlatego chciałem cię odesłać, trzymać w ukryciu, w bezpiecznym miejscu, ochronić cię. Nie dbam o to, co stanie się z kimkolwiek innym, lecz nie z tobą. Jeśli chcesz zostać, nie mogę zmusić cię do odejścia.

Zdjęła bluzę. Miała drobne, nieco zaokrąglone plecy. Brodawki jej małych piersi stały naprężone jakby w oczekiwaniu.

- Chcę zostać - powiedziała. - Nigdy nie odejdę.

McAllister przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona. Jego usta znalazły jej wargi. Zadygotała tuląc się do niego, a przez koszulę poczuł ciepło rozpalonego ciała dziewczyny. Przesunął dłonią po jej plecach, biodrach, wzniesieniach pośladków,

małych i napiętych, ukrytych pod niebieskimi dżinsami. Ponownie przebiegł ją dreszcz.

- Proszę, Davidzie - odezwała się patrząc mu prosto w oczy. - Kochaj się ze mną. Teraz.

Wziął ją na ręce i przeniósł przez pokój, po czym położył na łóżku. Rozpiąwszy jej dżinsy, zaczął zsuwać je z chłopięcych bioder, a następnie wzdłuż długich, zgrabnych nóg. Całował jej twarde piersi, po czym przejechał językiem przez jej brzuch, nogi, wewnętrzną stronę ud, gdy rozszerzyła nogi spragniona jego dotyku.

Kiedy cofnął się, żeby zdjąć z siebie ubranie, patrzyła na niego z lekko rozchylonymi ustami i słabym rumieńcem na twarzy. Położył pistolet na stoliku przy łóżku i rzucił ubranie na podłogę.

- Pośpiesz się - ponagliła. - Pośpiesz.

Przyłgnął go niej i bez żadnych wstępów wszedł głęboko, gdy rozwarła nogi. Fala podniecenia zakołysała rozgorączkowanymi ciałami. Otworzyła usta i przyciskając go palcami mocno do siebie, a nogami oplatając jego ciało, podnosiła miarowo biodra zgodnie z opadaniem jego ciała.

- Nigdy cię nie opuszczę, Davidzie - wyszeptała cicho. - Nigdy cię nie opuszczę.

McAllister obserwował, jak jej piersi podnoszą się i opadają w rytm miarowego oddechu. Czuł niezwykle zmysłowy, piżmowy zapach jej ciała.

- Nie wiem, jak to wszystko się zakończy - odezwał się - ale nie zamierzam się poddać i nie sądzę, żebyśmy mieli taki wybór.

Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek i słaby uśmiech rozjaśnił jej usta.

- Kochasz mnie?

Na zewnątrz śnieg sypał nieprzerwanie. Opuszkami palców dotknął jej warg.

- Tak.

- Powiedz to - poprosiła.

- Kocham cię.

- A więc nic innego się nie liczy. Poradzimy sobie razem, Davidzie. - Uśmiechnęła się. - A teraz kochaj się ze mną. Pragnę cię.

Było bardzo późno. McAllister otworzył oczy uświadomiwszy sobie nagle, że jest sam w dużym łóżku. Usiadł raptownie, ściągając okrycie. Ekran wciąż włączonego telewizora został przyciemniony, a dźwięk ściszony do minimum. Ciemności rozpraszało jedynie światło wydobywające się zza uchylonych drzwi łazienki.

- Stephanie?! - zawołał wstając z łóżka.

Przywitało go milczenie. Nie było jej w łazience. Nigdzie nie mógł dostrzec jej ubrań i torebki. Zegar na szafce nocnej wskazywał za kilka minut piątą. Dokąd ona, u diabła, poszła?

Właśnie wkładał spodnie, gdy w zamku zazgrzytał klucz. Dwoma susami przemierzył pokój i chwycił broń, odbezpieczył i odwrócił się w chwili, gdy drzwi otwarły się cicho.

W wejściu pojawiła się Stephanie, oświetlona od tyłu światłem z korytarza. Wślizgnęła się do środka i natychmiast znieruchomiała, widząc McAllistera mierzącego w jej kierunku z pistoletu.

- Och! - wykrzyknęła przytłumionym głosem.

McAllisterowi serce podskoczyło do gardła. Opuścił drżącą rękę i cofnął się o krok.

- Chryste - odezwał się. - Gdzie byłaś?

- Chodzi o mojego ojca - powiedziała bez tchu. - Zeszłam na dół zatelefonować z automatu. Nikt nie odpowiadał.

- Co takiego?
- Davidzie, on powinien być w domu. Coś się z nim stało. Coś strasznego. Ja to po prostu wiem!

## Rozdział 19

Robert Highnote jechał bardzo ostrożnie. Zeszłej nocy napadało mnóstwo śniegu i nad ranem drogi pokrywała wyjątkowo śliska breja. Świt przyniósł niepewne, szare światło dnia. Na obwodnicy Capital panował duży ruch, a samochody nadal jeździły z włączonymi światłami.

Telefon, który odebrał niecałą godzinę temu, kompletnie go zaskoczył. Zdumiał go również apodyktyczny ton głosu Paula Innesa, zastępcy ministra sprawiedliwości.

- Spotkamy się dziś rano u mnie na śniadaniu, Bob. Chcemy z tobą porozmawiać. Highnote nie mógł zasnąć. Zerkał na stojący przy łóżku budzik. Dopiero dochodziła szósta.

- Cholernie świetna pora na dzwonienie. O co chodzi?  
- Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon. Chcę, żebyś zjawił się tu jak najszybciej. Dziś rano wszyscy mamy bardzo napięty grafik.

- Zadzwoń tylko szybko do Vana...

- Już to zrobiłem. Oczekujemy cię nie później niż za godzinę.

Vun Skike był szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Cokolwiek się działo u Innesa dziś rano, na pewno miało ogromną wagę.

- Będę za godzinę.

Highnote zjechał z autostrady przy Ministerstwie Rolnictwa i udał się aleją Baltimore na południe aż do parku College przylegającego do Uniwersytetu Maryland. Podczas takich spotkań śniadaniowych załatwiano się w Waszyngtonie wiele codziennych spraw. Mnóstwo z nich finalizowano bez zbędnej biurokracji, Innes był oskarżycielem w sprawie O'Haire'ów, więc Highnote przeczuwał, jaki będzie temat porannego spotkania. Zjechał z głównej drogi i pomknął długim, wznoszącym się podjazdem, prowadzącym między drzewami. Jedyne pytania, które przychodziły mu do głowy, to ile wiedział Innes i kto jeszcze będzie obecny na spotkaniu.

Śnieg stopił się nieco, lecz kilka centymetrów białego puchu wciąż pokrywało ziemię, gdy Highnote wysiadł z samochodu przed ogromnym, trzypiętrowym kolonialnym domem i usłyszał za sobą chrzęst kroków. Odwróciwszy się ujrzał potężnego mężczyznę, ubranego w kozaki i białą futrzaną kurtkę z kapturem, który wyłonił się zza domu.

- Dzień dobry! - zawołał podchodząc.

Serce Highnote'a zaczęło bić szybciej. Stał przy samochodzie czekając, aż agent podejdzie do niego. Z jego wyrazu twarzy i sposobu noszenia się przebijało jedno: FBI.

- Ma pan przy sobie broń, panie Highnote?

Pytanie wydawało się dość niezwykle.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Świetnie - odrzekł ochroniarz zaglądając do samochodu Highnote'a. - Proszę, niech pan wejdzie, oczekują pana.

Nigdzie nie zauważył innych samochodów, choć ujrzał ślady kół prowadzące na tyły domu. Gdy przechodził przez podjazd i wspinał się po schodach ku drzwiom wejściowym, towarzyszyło mu wrażenie, że jest obserwowany. Nacisnął przycisk dzwonka. Odwrócił się, lecz nikogo nie zauważył.

\* \* \*

Czekali na niego w tylnej części domu w pokoju śniadaniowym. Duże, łukowate okna wychodziły na teren, który latem przeobrażał się we wspaniałą różany ogród, ozdobiony pięknie rzeźbionymi marmurowymi fontannami.

Za stołem z kutego żelaza ze szklanym blatem siedziało trzech mężczyzn. Paul Innes zajmował miejsce po lewej stronie i wstał, gdy Highnote wszedł do pokoju.

- Dziękujemy, że przyjechałeś tak szybko - odezwał się potrząsając ręką Highnote'a. Mocno zbudowany mężczyzna o kruczoczarnych włosach i krzaczastych brwiach miał silny uścisk dłoni. Podobnie jak Highnote ukończył Harvard i zanim został asystentem prokuratora okręgowego w stanie Nowy Jork, pracował w prestiżowej nowojorskiej firmie prawniczej. Podczas pierwszego roku urzędowania Reagana, gdy zasiadał na ławie jako sędzia federalny w Siódmym Obwodzie, został powołany do Departamentu Sprawiedliwości. Ten człowiek potrafił przetrwać. Należał do nielicznego grona osób, którym w jakiś sposób udawało się manewrować tak, żeby wyglądało, iż popierają swego szefa Edwina Meese'a, jednocześnie nie rozgłaszając swego stanowiska na łamach mediów.

Nie musieli się sobie przedstawiać. Highnote znał dobrze pozostałych mężczyzn. Naprzeciwko Innesa siedział Alvan Reisberg, zastępca szefa FBI, od sześciu miesięcy również asystent dyrektora Wydziału do Zadań Specjalnych Biura - które to dwie funkcje wykonywał coraz lepiej. Korpulentna figura i niezwykle grube szkła w okularach nadawały mu wygląd stale zamyślonego i często mylono go z naukowcem, podczas gdy w istocie był wyższym oficerem śledczym. Podniósłszy wzrok skinął głową.

Po lewej stronie Innesa, naprzeciw pustego krzesła, siedział Melvin Quarmby, główny doradca Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, NSA, były zastępca dziekana Instytutu Technologii w Massachusetts. Quarmby swymi arystokratycznymi manierami i sposobem bycia przypominał Hiszpana. Oprócz doktoratu z prawa posiadał stopień doktora z dziedziny fizyki i chemii, a mówiono również, że jest inżynierem elektronikiem i ekspertem komputerowym. Uniósł się nieco, przytrzymując lewą ręką serwetkę na kolanach, podczas gdy prawą dłoń wyciągnął, aby przywitać się z Highnote'em.

- Jadłeś? - zapytał Innes, gdy usiedli.

- Napiję się tylko kawy - odparł Highnote.

Quarmby podał mu filiżankę.

- Będę mówił krótko i spodziewam się, że panowie zrobią to samo - zaczął Innes. - O piątej rano rozmawiałem z prezydentem. To on zaproponował, by doszło do tego wstępnego spotkania.

- O czym dokładnie mamy rozmawiać? - zapytał Highnote.

Innes popatrzył na niego chłodno.

- Zanim zaczniemy, pragnę zauważyć, że to spotkanie jest nagrywane. Nie chcę, żeby ktokolwiek miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. - Zwrócił się do Reisberga. - Alvan?

- Alvan Reisberg, FBI. Przyjmuję do wiadomości.

- Melvin Quarmby, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa. Zostałem poinformowany.

Innes zwrócił się do Highnote'a.

- Robert Highnote, CIA. Rozumiem, że nasza rozmowa jest nagrywana, lecz nie zostałem jeszcze poinformowany o charakterze tego spotkania.

- Dziękuję i odezwał się Innes. - Dziś rano prezydent wyznaczył mnie na specjalnego prokuratora w sprawie Davida McAllistera, człowieka, który w pewnym sensie jest wam wszystkim znany... a w przypadku Boba to zażyła przyjaźń.

Highnote osłupiał.

- Do tej pory traktowaliśmy to jako sprawę wewnętrzną i mówienie o postępowaniu sądowym wydaje mi się piekielnie przedwczesne.

- Nie mogę się zgodzić z twoimi słowami - odparł Innes. - Szczególnie w świetle wypadków z zeszłej nocy.

- Z pewnością czytałeś mój raport. Byliśmy cholernie bliscy złapania go. Uważam jednak, że w zaistniałych okolicznościach zachował widoczną powściągliwość, starając się nikogo nie zranić.

- Do tego również dojdziemy, Bob. Na razie mówię o innym incydencie. - Innes zerknął na Quarmby'ego. - To prawdopodobnie cię nie zaskoczy.

- Podobnie jak innych. Zamieniam się w słuch - powiedział Quarmby.

- Ubiegłej nocy James i Liam O'Haire'owie zostali zamordowani w więzieniu federalnym w Marion, w Illinois. Ich ciała znaleziono w przygotowanym do wywozu poza teren więzienia kontenerze na śmiecie. Zadano im ponad sto pchnięć ostrymi narzędziami.

Quarmby uniósł brwi.

- Jeśli rozumiesz, jaką wagę przywiązuje do tego faktu NSA, to pochwalam zakres twoich informacji.

- Prezydent przekazał mi wszystko dziś rano. W tym pokoju nie będziemy mieli przed sobą żadnych sekretów. Nie mogę przecenić wagi tej sprawy.

- Żaden z nas nie spodziewał się, że O'Haire'owie przetrwają zbyt długo w zwykłym więzieniu - odezwał się Highnote - lecz najwidoczniej nie do końca rozumiem znaczenie tego incydentu.

- Wczoraj po południu sekcja przechwytywania tajnych informacji Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Fort Meade zarejestrowała niezwykle szybką transmisję z Moskwy, skierowaną do jakiegoś jeszcze nie zlokalizowanego miejsca w Waszyngtonie - wyjaśnił Innes.

- Możemy jedynie domniemywać, że chodzi o ambasadę sowiecką - dodał Quarmby.

- Część tej wiadomości odkodowano wczoraj wieczorem. Niestety, nastąpiło to zbyt późno, żeby się na cokolwiek przydało. W wiadomości pojawiły się dwa nazwiska: McAllister i O'Haire.

- Niemożliwe, by McAllister ich zabił, jeśli do tego zmierzasz - odezwał się Highnote.

- Zgadza się - przytaknął Innes. - Lecz wiadomość dowodzi lub przynajmniej silnie sugeruje, że istnieje między nimi jakiś związek.

- Bez wątplenia czytałeś moje raporty, więc na pewno znasz nasz stosunek do sprawy.

- Mówisz o jego aresztowaniu i uwięzieniu w centrum KGB na Łubiance?

- Trzymali go przez ponad miesiąc, Paul. Bóg jeden wie, co z nim tam zrobili, w jaki sposób... go zmienili.

Innes skinął głową w zamyśleniu.

- Rozmawiałeś z nim dwukrotnie. Twarzą w twarz. Powiedz mi, jakie sprawił na tobie wrażenie. Czy był obłąkany?

- Coś nim kieruje. Tyle na pewno mogę stwierdzić. I w tym sensie jest zmieniony. W najlepszym wypadku zaaplikowali mu olbrzymie dawki narkotyków i prawdopodobnie torturowali go. Wyznał im prawie wszystko. William Lacey, nasz

przedstawiciel dyplomatyczny w Moskwie, otrzymał kopię jego zeznania. Skutki były katastrofalne.

- Skutki? - zapytał Innes. - Co dokładnie przez to rozumiesz?

- McAllister podał mnóstwo nazwisk. Wielu z tych ludzi nadal aktywnie działało za żelazną kurtyną. Niewiele mogliśmy im pomóc, z uwagi na zbyt krótki czas. Rosjanie posiadali te informacje, a przynajmniej ich część, wiele tygodni wcześniej, zanim udostępniono nam jego zeznanie.

- Czy doszło do aresztowań?

Highnote skinął głową.

- Aresztowania, procesy sądowe, egzekucje. W pozostałych przypadkach... nieszczęśliwe wypadki.

Innes zmrużył oczy.

- Po prostu likwidowano naszych ludzi?

- Tak - odparł Highnote.

- A jaka była nasza reakcja?

Highnote odchylił się na krześle i spojrzał na pozostałych.

- Niewiele mogliśmy zrobić. Jak powiedziałem, zanim dostaliśmy tę wiadomość, było już za późno.

- Lecz niewątpliwie kiedy KGB aresztowało McAllistera, musiałeś liczyć się z tym, że wydobędą z niego te informacje. Na pewno jesteś świadom ich metod i technologii. Musiałeś zdawać sobie sprawę, że McAllister nie zdoła zatrzymać niczego dla siebie. Dlaczego nie ocalono twoich ludzi albo przynajmniej ich nie ostrzeżono?

Highnote ponownie się zawahał, a jego myśli wybiegły daleko poza temat rozmowy.

- Myślę, że wkraczamy tu w obszar spraw, o których nie mogę nic powiedzieć. Wciąż pewne projekty są w fazie rozwoju.

- Doceniam to - odezwał się Innes. - Lecz, jak ci powiedziałem, w tej sprawie mam całkowite zaufanie prezydenta. Niczego nie można zachować dla siebie. Absolutnie niczego.

- Przykro mi, ale poruszone przez ciebie problemy nie mają związku z McAllisterem.

- Prezydent czeka na telefon - powiedział Innes bez zmużenia oka. - Każdy z was może z nim porozmawiać, zanim przejdziemy dalej.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- A ja sądzę - rzekł Innes. - Nie pozwolę, by mnie okłamywano czy zbywano. Jeśli zajdzie taka potrzeba, staniesz przed senacką komisją sprawiedliwości do spraw wywiadu w otoczeniu kamer.

- Być może byłoby to najlepsze wyjście - odparł Highnote zbierając się do odejścia.

- Grubo się mylisz.

- Co masz na myśli? - zapytał Highnote chłodno.

- Rozumiem, że McAllister jest twoim bliskim przyjacielem. I to już od wielu lat. Naprawdę nawet nie chciałbym sobie wyobrazić, że w tej sprawie sprzeciwiasz się wymiarowi sprawiedliwości.

- Tego już za wiele! - ryknął Highnote. - Każdy może się zapoznać z raportami z mojej pracy.

- A zatem współpracuj dla dobra tego śledztwa.

- W jakim celu? To nadal sprawa wewnętrzna.

- Nie mogę się zgodzić. Prezydent też nie - powiedział Innes. - Chce zaoferować McAllisterowi amnestię, jeśli przyjdzie i powie nam, co stało się z nim w Moskwie oraz co się z nim działo od czasu jego powrotu.



Highnote osłupiał. Opadł na krzesło i patrzył oniemiały przez stół na prokuratora Departamentu Sprawiedliwości.

- I od nas zależy, jak to osiągnąć.

- On nic nie wie - odparł Highnote. - Okres Łubianki jawi się jak pusta tablica w jego pamięci. Mówił mi o tym.

- Coś wie - stwierdził Innes. - Zbyt dużo w tej całej sprawie niezgodności, żeby przyjąć takie założenie. Zbyt wielu ludzi straciło życie i chcę położyć temu kres.

- Mówisz o pułapce - odezwał się Highnote.

- Nie.

- Zostanie zastrzelony, gdy do nas przyjdzie.

- Masz moje słowo, że do niczego takiego nie dojdzie.

- On będzie na wolności, a ty przyprowadzisz go tu za rękę. Czy to proponujesz? -

Highnote popatrzył po pozostałych szukając poparcia. Nie dostrzegł najmniejszego znaku aprobaty. - Rozmawiałem z nim. Widziałem go... dwukrotnie. Nie wyobrażacie sobie, jaki jest zdesperowany, jaki zdeterminowany. Jeśli zacznie podejrzewać jakiegokolwiek kłopoty, ucieknie i znowu poleje się krew.

- Za wszelką cenę pragniemy tego uniknąć, Bob. Wierz mi, kiedy ci mówię, że chcemy jedynie usiąść z nim i porozmawiać.

- Nie zaufa wam.

Innes pochylił się do przodu z poważną i przejętą miną na twarzy.

- Dlatego właśnie zostałeś zaproszony. Jesteś jego przyjacielem. Tobie ufa.

Przyszedł do ciebie wcześniej, przyjdzie i teraz. Potrzebujemy cię.

- Wie, że zeszłego wieczoru powiadomiłem Urząd Bezpieczeństwa. Wątpię, żeby ponownie mi zaufał.

- Mógł cię zastrzelić, lecz nie zrobił tego - powiedział cicho Alvan Reisberg. -

Kolejna niezgodność.

Highnote skupił wzrok na gliniarzu z FBI.

- O czym ty mówisz?

- McAllister jest, jak to określiłeś, kierowany - wtrącił Innes. - Powstaje zatem pytanie, kto nim kieruje? I dlaczego?

- Wiemy, że ktoś próbuje go zabić - przyznał Reisberg.

- Skąd to wiecie? - zapytał z zaciekawieniem Highnote.

- Ponieważ nam powiedział.

Granatowy dżip wagoner zatrzymał się na rogu ulic Trzydziestej Pierwszej i Avon Lane w Georgetown. Za kierownicą siedział przystojny, dobrze ubrany mężczyzna. Serce waliło mu jak młotem. Cenne minuty mijały. Nie było już czasu, a to on miał wprowadzić w ruch to kompletne szaleństwo. Boże w niebiosach, jak można było coś takiego zrobić?

Mówiono mu, że kiedy raz wejdzie w ten interes, utknie w nim na dobre i nie wszystko zawsze będzie ładne i przyjemne. Jednakże było to konieczne.

Korzyść, oportunistyczny slogan. Jego rozkazy były idealnie przejrzyste. Źródło, bez zarzutu. Lecz, Jezu Chryste, gdyby coś poszło nie tak, cokolwiek, nawet najmniejsza rzecz, wszystko obróci się przeciwko nim.

Pomyślał o Dallas, Los Angeles, Bejrucie i wielu innych miejscach na kuli ziemskiej, które odwiedził w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Cóż za straszna strata. To całe ryzyko. Czy było tego warte? Czy było warte zapłaconej ceny?

Wpatrując się w budynek z piaskowca, stojący pół przecznicy dalej przy wąskiej bocznej uliczce, rozważał skutki tego posunięcia i doszedł do wniosku, że nie ma innych możliwości. Wiedział o tym już w chwili, gdy zdecydował się na ten ruch.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i dotknął chłodnej kolby rewolweru, po czym wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Obok przetoczył się rozklekotany autobus. Mężczyzna skręcił za rogiem i pośpieszył opustoszałą ulicą. Przechodząc na drugą stronę pośrodku przecznicy, z wdzięcznością pomyślał o niewielkim ruchu, jaki panował o tej porze. Bóg jeden wiedział, w jaki sposób mógłby wyjaśnić swą obecność tutaj, gdyby został przez kogoś rozpoznany. Minęło go kilka samochodów, lecz kierowcy nie zwrócili najmniejszej uwagi na mężczyznę, który wszedł po schodkach do domu McAllistera i otworzył drzwi.

Był po prostu jakimś człowiekiem powracającym do domu. Idealnie integrował się z otoczeniem. Nikt nie uniósł brwi ze zdziwieniem. Nikt nie zada mu żadnych pytań, o ile nie zostanie rozpoznany.

Zamknął za sobą drzwi przekręcając klucz w zamku, po czym stanął i nasłuchiwał czując, jak serce wali mu w piersiach. Czas. Miał go tak niewiele. Tak mało drogiego czasu. Nawet teraz mogło się okazać, że już jest za późno.

Dom tonął w ciszy. Spojrzał w górę schodów. Wiedział, że tu są. Było to ostatnie miejsce, jakie komukolwiek przyszłoby do głowy sprawdzić. Nikt nie miał powodu, by podejrzewać, że McAllister tu wróci, a jego żona przebywała bezpieczna w domu Roberta Highnote'a w Arlington Heights.

Nic nie mogło pójść źle, a zarazem wszystko mogło się nie powieść.

- To ja! - zawołał opierając prawą rękę o balustradę.

W połowie schodów zatrzymał się ponownie, nasłuchując uważnie.

Z zewnątrz doleciał go odgłos samochodowego klaksonu, lecz dom pozostał przejmująco cichy. W korytarzu unosiło się zatęchłe powietrze, jak gdyby szczelnie zamknięty budynek został opuszczony dawno temu. Faktycznie tak było. McAllisterowie od prawie trzech lat przebywali w Moskwie. Nigdy nie mieli tu powrócić.

Na szczycie schodów skręcił w prawo i wszedł do pokoju gościnnego. Przy oknie stała raczej chuda, lecz atrakcyjna kobieta. Na jej twarzy błąkał się słaby uśmiech jakby właśnie usłyszała kiepski, ale zabawny dowcip.

- Witaj, Don - przywitała go.

Zatrzymał się gwałtownie, zdumiony, że zna jego prawdziwe imię.

- Gdzie Royce? - chciał zapytać, kiedy kątem oka dostrzegł nieznaczny ruch z lewej strony tuż za sobą.

Zaczął się odwracać, gdy przytknięto mu do skroni zaopatrzoną w tłumik lufę rewolweru. Znieruchomiał w jednej chwili.

- Przyszedłeś sam? - wyszeptał szorstko mężczyzna.

- Tak.

- Nikt cię nie śledził?

- Nie.

Kobieta odwróciła się do okna i rozchyliła zasłonki na tyle, by móc obserwować ulicę.

- Gdzie zaparkowałeś wóz? - zapytała.

- Za rogiem, na Trzydziestej Pierwszej.

- Niebieski džip? - mruknęła.

- Tak.

- Jak tam? - spytał cicho mężczyzna stojący za jego plecami, z trudnym do określenia akcentem, może środkowozachodnim.

Kobieta odwróciła się od okna, pozwalając zasłonie opaść swobodnie na miejsce. Miała na sobie ciemnoszary sweter i niebieskie džinsy.

- Czysto.

- Bardzo dobrze. - Mężczyzna stojący za Donaldem Harmanem cofnął broń i odszedł na bok. - Jesteśmy. Co masz dla nas tym razem?

Harman odwrócił się i spojrzał na niego. Po raz pierwszy ujrzał oblicze Royce'a Todda. Bardzo niewielu ludzi widziało tę twarz i przeżyło, by ją opisać. Jego oczy zrobiły na Harmanie największe wrażenie. Emanowały pustką. Nie miały dna. Zadrżał. Todd i ta kobieta, Carrol Stenhouse, posiadali najwyższe rekomendacje. Po prostu byli najlepsi w tym fachu; profesjonaliści w każdym znaczeniu tego słowa.

- Mamy dla was bardzo dużą robotę. - Harman odzyskał w końcu głos. - Trzeba ją wykonać natychmiast, jeszcze dziś rano. Właściwie w ciągu godziny.

Royce rzucił krótkie spojrzenie w kierunku kobiety. Lekko skinęła głową, wciąż rozchylając usta w delikatnym uśmiechu.

- Nie będzie czasu na zwyczajowe potwierdzenie z Genewy, że nasze fundusze są na miejscu - powiedział Todd.

- Będziesz musiał nam zaufać. Z tego powodu przyszedłem osobiście. - Harman spojrzał na kobietę. Przypominała mu nocne stworzenie, kogoś, z kim z własnej woli nigdy by nie zadarł. - Płacimy pięćset tysięcy. Każdemu.

Kobieta uniosła lekko lewą brew. Oprócz tego ruchu żadne z nich nie zareagowało w jakikolwiek sposób, mimo że zapłata pięciokrotnie przewyższała tę, którą otrzymali za Sikorskiego.

- Jesteśmy zainteresowani - odparł Todd. - Jako że czas nagli, proponuję, byś przeszedł do konkretów. Kogo mamy załatwić, w jaki sposób i jak zaplanowałeś nasze zniknięcie?

- Wszystko jest tutaj - odparł Harman wyciągając z kieszeni grubą kopertę.

## Rozdział 20

Po raz pierwszy od czasu, gdy otrzymali wiadomość o aresztowaniu McAllistera w Moskwie, Robert Highnote miał trudności ze zrozumieniem tego wszystkiego. Zawsze odczuwał dumę ze swojej umiejętności przejrzyściego widzenia, dostrzegania wszystkich wariantów każdej sytuacji. Nie istniało czarne i białe, tylko delikatne szare odcienie. Nieporozumienia, zbiegi okoliczności, zmiany planów czy opinii sprawiały, że ta skomplikowana maszyna nadawała się jedynie dla człowieka o intuicyjnym geniuszu. Po raz pierwszy w swojej karierze poczuł, że może go to przerastać.

Odsunął filiżankę po kawie.

- A zatem kontaktowałeś się z nim? Przyszedł do ciebie?

- Nie. Nic tak dramatycznego - odparł Alvan Reisberg.

Zdjął okulary i przecierał szkła chusteczką. Jego oczy wydawały się nagie.

- W takim razie o czym ty, na Boga, mówisz? Twierdzisz, iż powiedział ci, że ktoś próbuje go zabić?

- Chodzi mi o to, że oprócz tych trzech Rosjan, których znaleźliśmy w samochodzie nie opodal twego domu - odparł Reisberg - z jakiejś przyczyny wplątała się w to mafia.

- Jeśli masz na myśli ten incydent w Nowym Jorku, badania balistyczne wykazały, że broń, z której strzelano, należała do Carricka. Mamy również zeznania nowojorskiego gliniarza. Widział McAllistera z rewolwerem Carricka w rękę.

- To mogę przyznać - stwierdził Reisberg zakładając okulary - ale jak mówię, w sprawę wplątana jest mafia. Dwie noce temu przed budynkiem naszej siedziby znaleziono zaparkowanego forda thunderbirda.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z czymkolwiek - zaprotestował Highnote, lecz Innes powstrzymał go ruchem ręki.

- Niech mówi dalej, Bob.

Reisberg skinął głową.

- Dowiedzieliśmy się, że samochód należy do Cosa Nostra z Jersey City. Bardzo dużej rodziny. Jeden z naszych informatorów przekazał nam, że dwaj członkowie, zleceniobiorcy, czyli innymi słowy, płatni mordercy, zaginęli w okolicach Waszyngtonu wykonując jakieś zlecenie. Nie przekazał nam zbyt jasnych informacji. Jest przerażony, że odkryją, gdzie przebywa, i zabiją go, ale był pewien, że nigdy wcześniej nie słyszał nazwiska McAllister.

- A więc o co chodzi? - spytał Highnote.

- Odciski palców McAllistera były na całym samochodzie. Zostawił dla nas wyraźny ślad.

- Dlaczego? - zapytał Highnote.

- O to samo chciałem zapytać - odparł Innes.

- Nie ma wątpliwości, że użył tego samochodu w dwóch oddzielnych przypadkach. Porównaliśmy odciski kół na podjeździe do domu Janosa Sikorskiego oraz na Langley Hill tuż poniżej miejsca, gdzie przedarł się na teren CIA.

- Może współpracuje z nimi - podsunął Highnote. - To wyjaśniałoby, w jaki sposób udało mu się wymknąć z potrzasku.

- W karoserii samochodu znaleziono dziury od pocisków - odezwał się Reisberg. - Kaliber pasuje do tych znalezionych w domu Sikorskiego. Sądzymy, że McAllister powrócił do Sikorskiego, żeby porozmawiać ze swoim starym przyjacielem, i natknął się na mafię. Albo to może mafia podążyła za McAllisterem do Sikorskiego. Chociaż bardziej skłaniamy się ku temu pierwszemu rozwiązaniu, z uwagi na ułożenie śladów kół. Thunderbird nadjechał pierwszy, a następnie zjawiał się drugi wóz - ten, który został wynajęty na nazwisko Stephanie Albright.

- I twierdzisz, że między McAllisterem a tymi ludźmi z mafii doszło do strzelaniny?

- Znaleziliśmy ślady krwi, nie wszystkie miały grupę McAllistera, oraz dowody na to, że pojawił się jeszcze ktoś, aby, mówiąc krótko, posprzątać.

Highnote ponownie odchylił się mocno na krześle.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziano? - zapytał. - Zgodziliśmy się na ścisłą współpracę, jeśli chodzi o wszystkie aspekty tego śledztwa.

- Raporty zostały przesłane do Dextera Kingmana - odrzekł Reisberg. - Nic dla siebie nie zatrzymujemy. Jego raporty również do nas docierają, włączając kompletne dossier dotyczące Stephanie Albright.

- Doceniamy fakt, że ty i McAllister jesteście przyjaciółmi - odezwał się pojednawczym tonem Innes. - Szczerze doceniamy. Musisz jednak zrozumieć, Bob, z czym mamy tu do czynienia.

- Nie rozumiem - odezwał się ze złością Highnote. - I nadal oczekuję, że ktoś w tym pokoju mi to wytłumaczy.

- Jaki jest twój punkt widzenia? - zapytał Reisberg.

Highnote odwrócił się do niego.

- McAllister jest dobry, to jeden z najlepszych.

- Sądzę, że wszyscy zgadzamy się z tym stwierdzeniem - odparł gliniarz z FBI niezwykle miękko głosem.

- Myślę, że w Moskwie zafundowano mu pranie mózgu. Uważam, że go zmienili, a potem przysłali tu z powrotem, żeby narobił jak najwięcej spustoszenia, co właśnie czyni. Lecz to nie jego wina, w tym wszystkim nie ma ani trochę jego winy.

- Co proponujesz?

- Oczywiście musimy się z nim spotkać. To nie podlega kwestii. Musimy.

- Żeby mu pomóc?

- Tak.

Reisbeig zerknął na Innesa i Quarmby'ego, po czym zaczął mówić.

- Doszliśmy mniej więcej do tego samego wniosku. Należy spotkać się z nim i pomóc mu. Dlatego też prezydent zaproponował amnestię. Według nas jednak dowody wskazują niezbicie, że może się tu dziać jeszcze coś innego. Coś, co nas bardzo... niepokoi.

- Kontynuuj - odezwał się Highnote.

- Zacznijmy od początku, jeśli można. Od Moskwy. Nad czym dokładnie pracował dla ciebie McAllister?

- Mielśmy sporo projektów w fazie rozwoju - odparł Highnote. - Jak zawsze. McAllister należał do siatki. Specjalizował się w wyszukiwaniu tak zwanych wolnych strzelców piszących do gazet, a następnie rozpracowywaniu ich.

- Czyli facet od ludzi - określił Reisberg.

- Jeśli tak chcesz go nazwać. Zajmuje się osobowościami. Ludźmi posiadającymi motywację.

- Co konkretnie robił w noc, kiedy został aresztowany? Chodzi mi o to, z kim się widział owej nocy?

- Nie wiem - odpowiedział Highnote. - W jego zapiskach nie znaleźliśmy niczego na ten temat, a później oczywiście nie nadarzyła się okazja, by nam to przekazał.

- Czy w jego zeznaniach nie było czegoś, co sugerowałoby, z kim widział się tamtej nocy?

- Nie - odparł Highnote.

- Nie zdziwiło cię, że Rosjanie nie wspomnieli ani słowem, dlaczego został aresztowany akurat wtedy?

- Tak, Alvan, bardzo mnie zdziwiło. Zdziwiło nas wszystkich, lecz powtarzam jeszcze raz, Mac nigdy później nie dał nam szansy wyjaśnienia tego.

- Czy ten problem nie pojawił się podczas dwóch rozmów, które z nim przeprowadziłeś?

Highnote z trudem się opanował.

- Sprzeciwiam się takim implikacjom. Widzieliście moje raporty.

- Nikt tu nic nie implikuje, Bob - wtrącił delikatnie Innes. - Próbujemy dotrzeć do prawdy, to wszystko.

- To kierowany człowiek.

- Istotnie, w tej kwestii wszyscy się zgadzamy. Faktem jest jednak, że ktoś próbuje go zabić. Nie tylko Rosjanie, lecz również mafia. Rodzi się pytanie: skoro Rosjanie chcieli jego śmierci, dlaczego go w ogóle wypuścili? Oraz kto wynajął i nasłał na niego mafię i dlaczego?

- Co więcej - przerwał Reisberg - czego ludzie z mafii szukali u Sikorskiego... zakładając, że nasze domniemania, iż przybyli tam pierwsi, są słuszne.

- Jeśli szukali McAllistera, wydaje się logiczne, że dopadali jego starych przyjaciół. Ludzi, z którymi, jak sądzili, mógł się kontaktować.

- Właśnie - odparł Reisberg. - Skąd zatem czerpią informacje?

Highnote zakrztusił się własnym oddechem.

- Rozumiem - powiedział.

- Rozpracowali kontakt między tobą a McAllisterem - kontynuował Reisberg. - Rosjanie przed twoim domem czekali na niego. A potem, kiedy ukrył się na jachcie w Dumfries, poszli za nim... ktoś poszedł... i strzelał do niego, zostawił na pewną śmierć. Krew, którą znaleźliśmy, miała tę samą grupę co jego krew, a znaleźliśmy jej mnóstwo.

- Twierdzisz, że ten, kto chce dopaść Maca, otrzymuje informacje z wewnątrz?

- Na to by wyglądało - odparł Reisberg.

- Wysuwamy śmiało wnioski - powiedział Innes przerywając nagłą ciszę.

- A mianowicie? - odezwał się Highnote próbując zachować spokój.

- Kiedy za pierwszym razem zaczęliśmy składać wszystko do kupy, wyróżniliśmy cztery newralgiczne obszary.

- Co za my?

- Wczoraj zwróciłem się z tym do Paula - odparł Alvan Reisberg.

- Ponieważ miałeś pytania, na które nie znałeś odpowiedzi?

- Tak.

- Pierwszym obszarem było oczywiście aresztowanie McAllistera, a następnie jego zwolnienie - powiedział Innes. - Naturalnie nie mieliśmy z tą sprawą nic wspólnego aż do incydentu w Nowym Jorku.

- Naturalnie - odparł Highnote.

Innes puścił mimo uszu wyraźny sarkazm.

- Drugim była niepokojąca ewentualność, że nie tylko Rosjanie próbują go zabić, lecz ktoś wynajął mafię, aby go powstrzymać. W każdym wypadku okazywało się, że ktoś z wewnątrz dostarczał informacji o McAllisterze. Trzeci obszar to wyraźny związek między McAllisterem a O'Haire'ami. Po pierwsze, powiedziano twoim ludziom, że McAllister pracował dla nich jako rosyjski łącznik. Po drugie, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa przechwyciła transmisję, po której zamordowano O'Haire'ów.

- Możemy postąpić w dwojaki sposób - przerwał Reisberg. - Ten, kto próbuje uciszyć McAllistera, wrobił O'Haire'ów, by przekazać mu, że my wykonaliśmy za nich robotę. Innymi słowy, jeśli uwierzyliśmy, że McAllister przez cały czas sprawował funkcję oficera nadzorującego O'Haire'ów, nie zawahamy się przed strzelaniem i zabijaniem, kiedy nadarzy się okazja. Oczywiście O'Haire'owie zostali uciszeni, żeby nie mogli odwołać swoich zeznań. Musimy przyjąć tę ewentualność albo wierzyć, że McAllister rzeczywiście był ich oficerem nadzorującym, nadal stoi na czele siatki i musiał sam ich uciszyć... albo przynajmniej zorganizować ich likwidację.

- Czyli nie jest to akt zdesperowanego, kierowanego człowieka - zauważył Highnote.

Innes pokręcił przecząco głową.

- Co nas sprowadza do Stephanie Albright, która najwyraźniej zgodziła się mu pomagać.

- Nie sędzę, żeby to zostało ustalone w stu procentach - odezwał się Highnote.

- Wybacz sceptycyzm - skontrolował Reisberg - ale uważam, że fakt, iż pomaga mu z własnej, nieprzymuszonej woli, absolutnie nie podlega kwestii. Zgaduję nawet, że to ona uratowała go w Dumfries.

- Co takiego?

- Była w domu McAllistera w Georgetown tej nocy, kiedy udało jej się uciec z chaty Sikorskiego. Mogła zobaczyć zdjęcie w pokoju gościnnym ukazujące McAllistera i jego żonę na pokładzie twojego jachtu. W tle wyraźnie widać napis „Przystań jachtowa w Dumfries”.

- To śmiały wniosek - odparł Highnote. - Zakładając jednak, że tak istotnie było, dlaczego miałyby uczynić coś podobnego? Przejrzałem jej akta. Absolutnie wykacza poza jakiegokolwiek podejrzenia.

- Tak - przyznał Reisberg. - Sądziłem dokładnie tak samo. Jest czysta jak łąza. Pojechaliśmy do Baltimore, aby przesłuchać jej ojca, który powiedział nam, że to zawzięta dziewczyna, lecz wielka idealistka; zakochana w swym kraju, co stało się przyczynkiem do pracy w CIA.

- Co mu powiedziałeś?

- Tylko że przeprowadzamy rutynowe sprawdzanie otoczenia.  
- Czy miał od niej jakieś wiadomości?  
- Od miesięcy nie - odparł Reisberg. - Zdziwiał mnie jednak, że taka patriotka jak Stephanie pomaga McAllisterowi. Przecież z własnej woli okłamała swego szefa, co oczywiście umożliwiło McAllisterowi wtargnięcie do siedziby CIA.  
- Do czego zmierzasz?  
- Zmierzymy, Bob, do tego, że Stephanie Albright nie pomagałaby McAllisterowi, gdyby w niego nie wierzyła - odparł Innes.  
- Daj spokój...  
- Istotnie, ten wniosek brzmi dość nieprzekonywująco. Zgadzą się z tobą, lecz gdy dodać go do całej reszty... no cóż, dało to nam powód do intensywnego myślenia. Highnote przejechał wzrokiem od Innesa do Quarmby'ego i z powrotem.  
- Co sprowadza nas do celu naszego dzisiejszego spotkania.  
- Prezydent oferuje McAllisterowi amnestię i sądzę, że od nas znajdujących się w tym pokoju zależy, w jaki sposób możliwie najszybciej do niego dotrzeć z tą wiadomością bez dalszych ofiar w ludziach - stwierdził Innes.  
- Ponieważ on coś wie? - zapytał Highnote. - Ponieważ na pewno dowiedział się czegoś w Moskwie, czegoś, co zaintrygowało Rosjan... i może kogoś innego... tak zaintrygowało, iż z własnej woli ryzykuje zdemaskowanie się, żeby tylko upewnić się, że McAllister nie będzie mówił?  
- Tak.  
- To znaczy?  
- Przypuszczamy, że w CIA na całkiem wysokim stanowisku pracuje sowiecki agent. Sądzimy, że McAllister w jakiś sposób wpadł na tę informację będąc w Związku Radzieckim.  
- Dobry Boże - wykrztusił Highnote. - W takim razie dlaczego w ogóle go wypuścili?  
- Podejrzewamy, że przez pomyłkę - odpowiedział Innes. - Kiedy jednak uświadomili sobie ten fatalny błąd, próbowali go zlikwidować. I będą próbować dalej. Rosjanie używają do tego swoich własnych ludzi, a ukryty agent wynajmuje zawodowych morderców z mafii.

Biały peugeot Davida McAllistera skręcił z obwodnicy Capital i wjechał w aleję Baltimore, po czym nie przekraczając dozwolonej prędkości skierował się na południe. Od Georgetown wzmógł się ruch uliczny, lecz Royce Todd był wyśmienitym kierowcą, a instrukcje, które przekazał im Donald Harman, okazały się niezwykle szczegółowe.

Właśnie na taką robotę obydwójce czekali. Po tym wszystkim będą mogli odpocząć przynajmniej przez kilka lat, aż wrzawa przycichnie. Harman zapewnił ich, że w końcu do tego dojdzie. Z jego pomocą.

- Jeszcze kilometr - odezwała się Carrol Stenhouse podnosząc wzrok znad naszkicowanej mapy.

*Podstawa: nie może wam się nie powieść. Z tej przyczyny oferujemy taką sumę. Potrzebuję waszego zapewnienia.*

Jesteśmy tu i wykonamy swoją pracę.

*W tym przypadku nie wymagam jakichkolwiek potwierdzeń. Jestem pewien, że przeczytam o tym w popołudniowych gazetach.*

Cały świat o tym przeczyta, pomyślał Royce Todd. A piękno całej sprawy polega na tym, że policja będzie poszukiwała zupełnie innej pary, co da im mnóstwo czasu na wydostanie się za granicę.

- Jesteś gotowa? - zapytał zerkając na Carrol.

Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Oczywiście - odparła cicho.

Zjechali z głównej drogi i ruszyli długim podjazdem prowadzącym przez mocno zadrzewioną posiadłość przylegającą do Uniwersytetu Maryland. Otaczający ich półmrok emanował spokojem. Todd ujrzał wyraźne ślady samochodów, które rano przejeżdżały tą drogą. Naliczył przynajmniej trzy pary śladów kół na śniegu.

Carrol wyjęła magnum 22 automatic z tłumikiem, umieściła naboje w magazynku i w komorze strzelniczej i odbezpieczyła broń. Todd wyciągnął z kieszeni swój rewolwer i położył go na siedzeniu tuż przy prawej nodze.

Spotkali się pięć lat temu w Hondurasie, gdzie obydwoje wykonywali zlecenie dla CIA. Swoje umiejętności, które zdobył w Delta Force z Ft. Bragg, wykorzystywał w nikaraguańskiej brygadzie antyterrorystycznej. Siedząca obok niego dziewczyna, były pilot śmigłowca Armii Stanów Zjednoczonych, trudniła się przemytem broni przez granicę.

Uratowała mu życie, w dosłownym tego słowa znaczeniu, podczas nocnego nalotu, gdy został odcięty po drugiej stronie granicy. Dostrzegła intensywną strzelaninę na wzgórzach niecały kilometr w głąb terytorium Nikaragui, lecąc nisko nad ziemią chciała sprawdzić, co się dzieje, a kiedy dostrzegła go, zabrała na pokład i odwiozła z powrotem do Hondurasu.

Opuścili Amerykę Środkową kiedy Sandiniści zaczęli regularnie zestrzeliwać samoloty z pilotami pracującymi dla CIA, a organizacja z równie monotonną regularnością zaczęła wypierać się własnych ludzi.

Zanim wyjechali z domu McAllistera, Carrol przebrała się w krótką spódniczkę khaki i wygodną bluzkę. Gdy pokonywali wzniesienie oddalone o jakieś pięćdziesiąt metrów od olbrzymiego, trzypiętrowego kolonialnego domu, przesunęła się na siedzeniu, a jej spódniczka podjechała do góry, ukazując silne uda aż po koronkowe majteczki. Rozszerzyła nogi tak, że widać było wyraźnie ciemną kępkę włosów łonowych.

Podjazd omijał z prawej strony duży wybetonowany staw ze złotymi rybkami i marmurową fontanną. Czarny cadillac stał zaparkowany od frontu pod wysokim zadaszeniem. Kiedy zatrzymali się obok niego, zza rogu wyłonił się potężnie zbudowany mężczyzna w wysokich butach i białej futrzanej kurtce z kapturem. Jego towarzysz, który trzymał się tuż za nim, okrążył samochód, podchodząc z przeciwnej strony.

Carrol opuściła szybę, a Todd otworzył drzwi i wysiadł z auta. Trzymał broń tuż przy nodze, aby nie mogli jej zauważyć. Czekał za otwartymi drzwiami samochodu.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie strażnik, który podszedł najbliżej.

Drugi stanął obok wozu po stronie pasażera.

- Jesteśmy umówieni z panem Innesem - odparł Todd.

Kciukiem odbezpieczył rewolwer.

- Oczywiście - odezwał się strażnik. - Będzie pan łaskaw odejść od samochodu i poprosić panią, aby również wysiadła.

- Mój cholerny pas się zaciął - zawołała Carrol przez otwarte okienko.

Todd uśmiechnął się i spojrzał na nią. Drugi strażnik podszedł do drzwi z jej strony.

- Tak mi głupio - powiedziała przepraszająco Carrol.

Strażnik schylił się, żeby zajrzeć do samochodu. Jego wzrok automatycznie powędrował w kierunku rozszerzonych nóg Carrol.

- W czym problem?...

Podniosła rewolwer i strzeliła mu prosto w czoło.



Todd odwrócił się i wystrzelił ułamek sekundy później, trafiając pierwszego strażnika w lewe oko; jego głowa odskoczyła do tyłu i mężczyzna runął z rozłożonymi ramionami na zaśnieżony podjazd. Od momentu pojawienia się ochroniarzy do ich śmierci minęło mniej niż dziesięć sekund, a dwa stłumione wystrzały nie były słyszalne z większej niż dwadzieścia kroków odległości.

Zanim Todd doszedł do drzwi wejściowych, Carrol wysiadła z samochodu i przeszła przez podjazd. Kiedy dotarła do wejścia, stanął po jednej stronie drzwi. Skinął głową.

Trzymając broń z boku, nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyła je i Todd wślizgnął się obok niej na główny korytarz.

Jakaś kobieta we wzorzystej sukience schodziła właśnie po schodach. Zdziwienie zamarło na jej milej twarzy, gdy pocisk trafił ją w klatkę piersiową przeszywając serce tuż pod lewą piersią. Nogi ugięły się pod nią i stoczyła się do połowy schodów z otwartymi oczami i ustami gotowymi do krzyku, który nie zdążył się z nich wydobyć.

Spotkanie miało się odbyć albo w gabinecie Innesa, albo w pokoju śniadaniowym. Obydwa pomieszczenia znajdowały się na tyłach domu, co eliminowało możliwość, że ktokolwiek widział, co zdarzyło się na podjeździe przed budynkiem.

Todd ruszył korytarzem na lewo od schodów. Carrol podążyła tuż za nim. Nie zamknęła za sobą drzwi domu ani peugeota, nie wyłączyli silnika - wszystko po to, by zaoszczędzić drogocenne sekundy, jeśliby zaszła taka potrzeba.

Po prawej stronie korytarza znajdował się pokój gościnny, na lewo salon z lekko uchylonymi szklanymi drzwiami. Todd zawahał się, gdy Carrol wyprzedziła go i wskoczyła do środka przesuwając uniesionym rewolwerem od lewej do prawej.

Potrząsnęła przecząco głową i dołączyła do niego w chwili, gdy drzwi na dalekim końcu korytarza otwarły się i doleciały ich jakieś głosy.

- Teraz to tylko kwestia przyjęcia określonej procedury, lecz musisz zrozumieć wagę tej sprawy - powiedział ktoś wewnątrz pokoju.

Tłusty mężczyzna o wyglądzie naukowca w grubych okularach wyszedł z pokoju trzymając pod pachą dużą teczkę z dokumentami. Chciał coś odpowiedzieć pozostałym osobom w pokoju, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś jest w korytarzu. Uniósł prawą rękę, jakby chciał odeprzeć uderzenie, lecz w tej samej sekundzie Todd oddał dwa strzały; pierwszy pocisk trafił Reisberga w twarz roztrzaskując mu nos, a drugi ugodził w klatkę piersiową, rzucając go na framugę drzwi.

W pokoju śniadaniowym wybuchło istne piekło.

Todd bez słowa przebiegł pozostały odcinek korytarza, przekonany, że Carrol trzyma się tuż za nim, ubezpieczając go od tyłu.

Skrećając przeskoczył przez ciało Reisberga i błyskawicznie omiótł wzrokiem niewielki pokój.

Paul Innes z poluzowanym krawatem krzyczał do słuchawki. Todd strzelił mu w skroń. Słuchawka wypadła prokuratorowi z ręki, runął jak długi na przezroczysty blat stołu.

Szklane drzwi wychodzące na różany ogród otwarły się z hukiem. Todd wystrzelił natychmiast, lecz pocisk ze świstem przeszył powietrze. Wystrzelił po raz drugi, w momencie gdy Robert Highnote zniknął wybiegając na wąską werandę.

- Bierz go - szepnęła Todd, a Carrol puściła się pędem przez pokój.

Melvin Quarmby schwycił masywny dzbanek do kawy i w ostatecznym desperackim geście cisnął nim w twarz mordercy. Todd z łatwością uchylił się przed uderzeniem i strzelił; kula rozerwała tchawicę i przecięła tętnicę szyjną doradcy NSA. Mężczyzna upadł na wznak łapiąc się za gardło.

Na zewnątrz rozległ się huk nie stłumionego wystrzału. Dopadłszy do szklanych drzwi Todd ujrzał, że Carrol kłękła na śniegu, łapiąc się prawą ręką za lewe ramię.

Highnote z nadzwyczajną prędkością i zwinnością jak na człowieka w jego wieku pędził przez przykryty białym kobiercem ogród. Todd przyklęknął przyjmując klasyczną postawę wyborowego strzelca, namierzył oddalającą się postać i delikatnie nacisnął spust. Pocisk dopadł uciekającego trafiając go w plecy tuż pod prawym barkiem. Highnote runął w przód i znieruchomiał.

Todd podbiegł do Carrol, która właśnie wstawiała na nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy z zawziętym grymasem na ustach.

- Czy wykonaliśmy swoją robotę?

- Tak. - Todd skinął głową. - Czas na nas.

## Rozdział 21

Stephanie chciała natychmiast opuścić hotel, lecz McAllister przekonał ją, że wystawią się na mniejsze ryzyko, jeśli zaczekają kilka godzin, aż ulica ożywi się do tego stopnia, by mogli niepostrzeżenie wmieszać się w tłum przechodniów.

Wymeldowali się z hotelu kilka minut po siódmej trzydzieści, zapłacili rachunek i przeszli trzy przecznice na aleję Nowego Jorku, dokładnie naprzeciw Washington Convention Center.

Na zewnątrz powitał ich szary i pochmurny świt. Dookoła panował duży ruch, potęgowany przez włączone reflektory przemyskających obok samochodów. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, a przede wszystkim nastrój Stephanie, wesoło oświetlone dekoracje świąteczne wydawały się nie na miejscu. Dręczyło ją przecucie, że ojcu przydarzyło się coś złego i McAllister nie miał pojęcia, co powinien jej powiedzieć; uważał, iż istnieje duże prawdopodobieństwo, że ma rację.

Prawie natychmiast znaleźli taksówkę, której kierowca, młody Murzyn z walkmanem na uszach, rękoma wybijał żwawe rytmy na kierownicy.

- Możesz nas zawieźć na lotnisko Baltimore-Waszyngton? - zapytał McAllister, kiedy wraz ze Stephanie usiedli na tylnym siedzeniu.

We wstecznym lusterku błysnęły oczy kierowcy.

- Człowieku, w tym gównie? - spytał wskazując sznur samochodów przed sobą.

- Sto dolarów - zaproponował McAllister. - Musimy złapać samolot, więc nie możemy sobie pozwolić na krążenie po mieście.

Kierowca wyszczerzył zęby, wcisnął przycisk taksometru i zagłębił się w powodzi pojazdów. Prawą ręką podkręcił walkmana i zaczął podrygiwać głową w takt muzyki, nagle tak głośnej, że nawet McAllister i Stephanie siedząc z tyłu doskonale ją słyszeli.

Po przejechaniu kilku przecznic McAllister spojrzał przez ramię, żeby zorientować się, czy nikt ich nie śledzi, lecz nie dostrzegł niczego, co mogłoby na to wskazywać. Na razie udało im się dokonać niemożliwego, pomyślał od tej chwili będzie jednak coraz trudniej.

Stephanie ścisnęła jego rękę zimnymi i wilgotnymi dłońmi. Jej ciałem targały gwałtowne dreszcze. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeśli coś mu się stało, nie wiem, co zrobić - powiedziała załamującym się głosem.

- Wysłali kogoś z Agencji i prawdopodobnie z Biura, żeby go przesłuchać - odezwał się McAllister. - Nie sądzę jednak, by posunęli się do czegoś więcej niż zadanie mu kilku pytań.

- I tak nic by im nie powiedział.

- Oczywiście, że nie.

- To nie nimi się martwię, Mac. Przerazają mnie Rosjanie i mafia.  
- Nie ma powodu, by się nim interesowali - odparł McAllister, sam nie wierząc we własne słowa. - To mnie chcą dopaść.

- I mnie, ponieważ ci pomagam.

- A jednak nie czepiają się mojej żony. Nie ma więc powodu podejrzewać, że pójda do twego ojca.

- Boże, chciałabym ci wierzyć - szepnęła Stephanie odchylając się na oparcie fotela. - Oby to okazało się tak proste.

Nie odzywał się przez chwilę. Zaufaj własnym instyktom, powiedziała mu kiedyś.

*Myślę, że naprawdę coś się z tobą stało na Łubiance. Coś, co cię zmieniło, coś, co sprawiło, że nie wierzysz w swoje możliwości. Lecz głęboko w środku wiesz doskonale, jaki należy wykonać ruch, wiesz, jak się ochraniać... Uwierz w siebie, Davidzie. Pozwól dojść do głosu swoim starym instyktom, starym przyzwyczajeniom... Wykorzystaj swój profesjonalizm, swój fach.*

- On nic nie wie - rzekła miękko. - Nie mówiłam mu, co robimy, tylko że jesteśmy razem.

Ścisnął ją za rękę.

- Może nie uda nam się z nim skontaktować.

i Co masz na myśli? - zapytała z dzikimi błyskami w oczach.

- Musisz uciekać. Dexter Kingman prawdopodobnie domyśla się, że spróbujemy dotrzeć do twojego ojca. Mogą obserwować dom.

- Czemu zatem nie założyli podsłuchu na telefonie? - zapytała. - Nikt nie odbierał ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano.

- Bo wiedzą, że nie wyjawiałabyś miejsca swego pobytu.

Nagle zrozumiała, do czego zmierzał.

- Możliwe, że przełączali wszelkie rozmowy na martwy numer, abym sądziła, że coś się stało mojemu ojcu. Przynęta. To może być pułapka.

McAllister skinął głową myśląc, że dla niej byłoby dużo lepiej, jeśliby rzeczywiście tak to wyglądało. Miał jednak sporo wątpliwości.

Dotarli do alei tuż za National Arboretum i kierowca pomknął przez most na rzece Anacostia, zręcznie lawirując wśród znacznie mniej licznych w tym miejscu samochodów. O tej porze większość ludzi wracała do miasta.

Znajdowali się teraz w Maryland, a kilka minut później, kiedy mijali ulicę Landover, trzy wozy patrolowe na sygnale przejechały poniżej w kierunku Hyattsville i parku College.

Stephanie zeszywniała. Kiedy jednak policyjne radiowozy nie skręciły w aleję, lecz dalej mknęły na północny zachód, odprężyła się wyraźnie.

McAllister odwrócił się i patrzył, jak wozy znikają w oddali, po czym opuścił boczną szybkę o kilka centymetrów. Z początku słyszał jedynie przejmujące wycie wiatru. Kierowca czując nagle zimne powietrze spojrział we wsteczne lusterko. W oddali McAllister usłyszał zawroźnienie syren. Mnóstwa syren.

Jakiś wypadek, zastanawiał się. Czy aby na pewno?

Dochodziła dziewiąta, kiedy wysiedli z taksówki przy wejściu do hali odlotów linii lotniczych Eastern, znajdującej się na międzynarodowym lotnisku Baltimore-Waszyngton w Fendale na południe od centrum Baltimore. McAllister zapłacił kierowcy, po czym wraz ze Stephanie popędzili na terminal, zjechali schodami w dół do części bagażowej i wsadzili swoje torby do zamykanej szafki.

Taksówkarz objechał lotnisko dolnym podjazdem i czekał teraz przed budynkami na powracających do Waszyngtonu. Zaczęło lekko prószyć. Z głośników ponad ich

głowami wydobywały się dźwięki świątecznej muzyki, co w pewnym stopniu wprawiało ich w przygnębienie. Kilka minut później dwoje młodych ludzi zajęło miejsca w samochodzie, a kiedy odjechali, McAllister i Stephanie wyszli na zewnątrz, złapali taksówkę i ruszyli w kierunku Baltimore. Stephanie podała kierowcy adres kilka przecznic od domu swego ojca.

McAllisterowi towarzyszyło dziwne uczucie, że zawraca; zawracał z obranej drogi. Nie posuwał się do przodu. Stephanie usiadła tuż przy tylnych drzwiach, trzymając ręce na kolanach, sztywno wyprostowana, jakby obawiała się, że przy najmniejszym poruszeniu może coś uszkodzić.

Centrum Baltimore powitało nadchodzące święta dekoracjami, które swym przepychem i ilością górowały nad waszyngtońskimi. Pośrodku Civic Center stała wysoka choinka, a kilka przecznic na południe, w porcie, zatknięto oświetloną amerykańską flagą narodową, którą otaczały przeróżne flagi i proporce. Będzie tak lśnić całą noc.

Wysiedli przed dworcem kolejowym Union przy ulicy Exeter. Zaczekali przed głównym wejściem, aż taksówka zniknie za rogiem.

- Chodźmy - powiedział.
- Dokąd teraz?
- Zadzwonimy do twego ojca.

Przeszli przez obszerną halę odjazdów i McAllister dostrzegł rząd telefonów. Stephanie wcisnęła dwadzieścia pięć centów do automatu i wykręciła numer ojca. Kiedy nastąpiło połączenie, odsunęła słuchawkę od ucha, żeby McAllister również słyszał.

Po dziesięciu sygnałach spojrzała na niego i pokręciła przecząco głową.

- To samo co wczoraj wieczorem i dziś rano - odezwała się odwieszając słuchawkę. - Powinien być w domu.
- Nie ma jakiegoś asystenta czy może sekretarki, która z nim pracuje?
- Tylko latem, kiedy przyjmuje na staż kilku młodych lekarzy z college'u. Woli pracować sam. Davidzie. To nigdy nie był duży gabinet.
- Czy jest jakieś inne miejsce, do którego mógł wczoraj pójść? Może jakieś wezwanie czy coś w tym rodzaju? Znajomi? Może jakaś przyjaciółka?
- Jest wtorek. Może pojechał gdzieś na weekend. Czasami to robił, lecz nigdy w tygodniu. Coś się stało.

McAllister omiół wzrokiem obszerny hall. Na dworcu o tej porze panował duży ruch. Naprzeciwko telefonów znajdowało się kilka sklepików i mały bar. Wyczuł wetknięty za pasek rewolwer.

- Nadal masz broń?
- Tak.

Złapał ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy, chcąc ująć ją powagą tego, co zamierzał powiedzieć.

- To bardzo ważne, Stephanie - odezwał się. - Jeśli staniemy z nimi twarzą w twarz, zostaniemy zapędzeni w róg czy coś podobnego, a oni jasno przedstawią się jako FBI lub policja, lub nawet Agencja, nie będziemy stawiać oporu. Odłożysz broń i natychmiast się poddasz.

- Zabiją nas.
- Możliwe - stwierdził ponuro McAllister - ale nie możemy strzelać do niewinnych ludzi. Nie teraz, w ogóle nie. Rozumiesz?

Skinęła głową.

- Chodźmy - odezwał się. - Miej oczy szeroko otwarte.

Dom Albrightów stał przy ulicy Front jakieś trzy przecznice od dworca Union. Wiele dużych domów w tej dzielnicy uderzało swym podobieństwem; niegdyś należały do kapitanów statków, którzy szukali ciszy i odpoczynku po morskich wozajach. Z upływem lat budynki zatraciły swój imponujący wygląd; odpadający tynk i zmurszałe elewacje przypominały o zmierzchu ery wielkich żaglowców, lecz w ciągu ostatnich kilku lat odnowiono teren portowy i podjęto kampanię renowacji i odbudowy tej części miasta. Ojciec Stephanie, jak powiedziała McAllisterowi, był świadkiem wszystkich zmian, jakie dokonywały się przez ponad dwadzieścia lat.

Tego ranka panował tu spory ruch. Samochody poruszały się wolno ze względu na ciągłe opady śniegu, które sprawiały, że drogi były niezwykle śliskie. Przy krawężniku parkowało kilka BMW, jakiś mercedes i kilka wozów amerykańskich marek. Z żadnego z nich nie wystawała dodatkowa antena i nikt nie siedział w środku. Nigdzie nie dostrzegli czających się taksówek, furgonetek bez tylnych szyb czy podejrzenie wyglądających ciężarówek, które parkowałyby w okolicy. McAllister nie widział żadnych przechodniów w pobliżu domu Albrighta, żadnych inkasentów odczytujących liczniki, monterów reperujących telefony czy roznosiciele gazet. Nikogo ani niczego. Żadnej zasłony dla grupy inwigilacyjnej.

Minęli sklep spożywczy na rogu i przeszli przez ulicę, przepuszczając dużą furgonetkę Allied. McAllister patrzył, jak skręca za rogiem przy Union, a kiedy zniknęła z pola widzenia, odczekali po drugiej stronie ulicy pełne pięć minut spodziewając się, że ciężarówka powróci z drugiej strony. Kiedy nic takiego się nie wydarzyło, ruszyli dalej.

Gdy znaleźli się w pobliżu domu, McAllister stwierdził, że panuje tu niezwykle spokoj, lecz Stephanie sapnęła cicho i zatrzymała się raptownie.

- O co chodzi? - zapytał.

- To samochód mojego ojca.

McAllister dostrzegł tył ciemnobrązowej półciężarówki zaparkowanej na zapleczu budynku.

- Nie ma innego?

- Nie - odparła miękko.

Podeszli ostrożnie do dużego domu i wspięli się na schody prowadzące do wejścia. McAllister odwrócił się i spojrzał na ulicę. Nikogo nie było. Nikt nie obserwował tego miejsca. Dzielnica wydawała się opustoszała.

Kartonowy zegar z napisem: WRACAM O wisiał w oknie drzwi wejściowych. Wskazówki pokazywały dziewiątą. Teraz było już dobrze po dziewiątej, czy jednak chodziło o dziewiątą wczoraj wieczorem, czy dziś rano?

Stephanie wyciągnęła klucz z torebki i otworzyła drzwi. Ruszyła do przodu, lecz McAllister powstrzymał ją. Wyjął rewolwer, odbezpieczył go i wszedł do przedsionka.

Prowadzące na schody wysokie dębowe drzwi z szybą z grawerowanego szkła były w połowie otwarte. Dzisiejsza poczta leżała na podłodze w przedsionku. McAllister podszedł na palcach do częściowo otwartych drzwi i zajrzał do środka. Ujrzał strome schody prowadzące na piętro, i korytarz, na którego końcu znajdowało się wejście do kuchni. Po lewej był gabinet Albrighta, po prawej w dawnym pokoju gościnnym i jadalni mała poczekalnia, gabinet lekarski i laboratorium. W domu unosił się delikatny zapach środków dezynfekcyjnych i dziwny zwierzęcy odór. Zdawało mu się, że gdzieś z zaplecza dobiega pomiaukiwanie kota, a może pojękiwanie małego psa.

Stephanie wślizgnęła się do przedsionka i zamknęła drzwi na klucz. Usłyszała skomlenie.

- To z klatek ze zwierzętami na tyłach domu - szepnęła.

Niezwykła bladeść na twarzy, rozszerzone nozdrza i lekko rozchylone usta świadczyły o jej wyjątkowym podenerwowaniu.

McAllister zajął do poczekalni. Dookoła niskiego plastikowego stolika, na którym leżały rozrzucone czasopisma, stało kilka krzeseł. Odgłos żalnego skomlenia nasilił się. Zaczynało go to drażnić.

Stephanie podeszła do niego.

- Sprawdź na górze - szepnęła do niej, gdy wyjmowała automatyczną trzydziestkędwójkę.

- Czy ktoś tu jest? - zapytała.

- Nie sądzę, ale uważaj na siebie.

Zawahała się, jednak po chwili skinęła głową i zawróciła. McAllister patrzył, jak dziewczyna wchodzi na schody trzymając broń z boku, po czym przeszedł przez poczekalnię do uchylonych drzwi prowadzących do gabinetu, uważając, by nie nastąpić na strużkę zakrzepłej krwi, która utorowała sobie pod nimi drogę. Stephanie nie weszła dostatecznie daleko do poczekalni, aby dostrzec krwawy ślad. Lecz on tak. Wiedział dokładnie, co to oznacza i co zastanie za zamkniętymi drzwiami.

Przygotowany na najgorsze McAllister popchnął drzwi i wszedł do środka. Pomieszczenie nie było specjalnie duże. Przy dwóch ścianach stały szafki ze szklanymi drzwiczkami, zawierające przyrządy medyczne. Przy trzeciej znajdował się stół zajmujący całą długość pokoju. Przy czwartej ujrzał półki z lekarstwami i drzwi prowadzące do laboratorium. Nagie ciało Nicholasa Albrighta leżało przywiązane do metalowego stołu chirurgicznego pośrodku pokoju. Zanim umarł, stracił wiele krwi, z której część utworzyła kałużę tuż obok na blacie stołu, a większość spłynęła na podłogę i pociekła strużką przez posadzkę z białych płytek do poczekalni.

McAllister odwrócił twarz czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Pokój został dokładnie przeszukany. Roztrzaskali szyby szafek. Większość przyrządów i lekarstw wałała się na podłodze wśród błyszczących okruszków szkła.

Wyglądało, jakby ktoś wtargnął tu w poszukiwaniu narkotyków, a kiedy ich nie znalazł, przywiązał Albrighta do stołu i torturował go, aby uzyskać informację. McAllister jednak widział znacznie więcej. Lamy na suficie zostały rozebrane na części, szafki odsunięto od ściany i odsłonięto nawet otwory wentylacyjne. Ktokolwiek to zrobił, był profesjonalistą. Przyszli tu w poszukiwaniu czegoś, co schowano w tym pokoju. Widział laboratorium. Tam niczego nie ruszono. Nie tknięto również poczekalni. Poszukiwania ograniczyły się do gabinetu lekarskiego Albrighta.

Uważając, aby nie wdepnąć w krew, McAllister okrążył stół i podszedł do długiego blatu pod przeciwległą ścianą. Mała szafka była częściowo otwarta. Uchylił bardziej drzwiczki. Szafka była pusta, lecz ze ściany wystawało kilka przewodów. McAllister przypatrywał im się przez dłuższą chwilę. Jeden był przewodem elektrycznym, drugi służył jako uziemienie, a trzeci najwyraźniej prowadził ku antenie, bębenek współosiowej wtyczki zwisał luźno. Nadajnik. Dlaczego?

Odwrócił się i spojrzał na ciało Albrighta. Skalpel, którego użyli do zadawania mu ran, wystawał z lewego oczodołu. Ręce miał związane pod stołem. Nogi również. Wycięli długie pasy ciała z brzucha, ramion oraz z wrażliwych okolic dookoła brodawek i z krocza. Usta miał pełne gazy, aby nie mógł krzyczeć, gdy go torturowali.

Penis został rozcięty wzdłuż, moszna otwarta. Wykastrowali go, a na koniec nacięli żyły wysoko na nogach w pobliżu pachwiny, żeby wykrwawił się na śmierć.

Skalpel wbity w oko był prawdopodobnie oznaką frustracji. Możliwe, że nic z niego nie wydusili.

Ponownie musiał odwrócić wzrok, czując mdłości. Woń środków dezynfekcyjnych nagle zaczęła drażnić mu gardło. Stephanie nie mogła tego zobaczyć.

Szukali czegoś. Może nadajnika. A jednak coś mu tu nie grało, lecz za żadne skarby nie potrafił sprecyzować co. Nie przyszli tu tylko po to, by dowiedzieć się, gdzie

jest Stephanie. Już w pierwszych minutach musiało stać się jasne, że ten człowiek niczego nie wie.

Chyba że z nimi współpracował. Nagła myśl przyprawiła go o dreszcze.

Zatkali mu usta gazą, żeby nie mógł narobić hałasu i zaalarmować sąsiadów. Nie mógł mówić. To było ostrzeżenie. Uderzyła go brutalność tego czynu. Rosyjskość tego czynu. Widział już wcześniej takie sceny. *Mokryje diela*. Mokra sprawa. Rozlana krew będzie ostrzeżeniem dla pozostałych szpiegów.

Zwierzątko na tyłach domu przestało skomleć, a upiorną ciszę przerwał nagle krzyk Stephanie stojącej w wejściu do gabinetu lekarskiego.

## Rozdział 22

Limuzyna Howarda Van Skike'a szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej, przejechała bez problemu przez silnie strzeżoną zachodnią bramę i minawszy budynek biurowe, wjechała na teren Białego Domu. Wóz zatrzymał się przed wejściem i umundurowany strażnik otworzył drzwi samochodu. Z wnętrza wyłonił się wysoki mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojony garnitur i długi płaszcz. Zaczerpnął głęboko powietrza w płuca. Był znaną osobistością na amerykańskiej scenie politycznej, a jeszcze większą w wywiadzie.

Tego południa wydawał się bardzo zamyślony, by nie rzec zły. Dużymi krokami pokonał schody. Skierował się do windy w zachodnim skrzydle i wjechał do gabinetu prezydenta znajdującego się na pierwszym piętrze. Pod lewą pachą trzymał cieką walizeczkę.

Do tej pory pozostawał nieco z boku sprawy McAllistera. Znał ojca tego człowieka i w gruncie rzeczy przez większą część swojej kariery w wywiadzie wzorował się na jego dziadku, Stewarcie Alvinie, który w czasach, gdy Van Skike go poznał, był już jedną ze świętych krów Białego Domu, człowiekiem znającym na wskroś sowiecką mentalność.

„Przemawiaj łagodnie i noś gruby kij”, to według starszego McAllistera był jedyny wartościowy cytat, jaki kiedykolwiek wyszedł z amerykańskich ust. Dobry Boże, on naprawdę znał ten fach. Do tej pory piszą o nim książki

Ojciec McAllistera należał do najlepszych i najpotężniejszych pracowników CIA, szczególnie we wczesnej fazie rozwoju organizacji, a syn, nie było co do tego wątpliwości, kontynuował długą rodzinną tradycję, mającą swe początki w czasach pierwszej wojny światowej.

Obecnie jednak, choć trudno było w to uwierzyć, nastąpiło załamanie owej tradycji, co skłaniało Van Skike'a do najgłębszych przemyśleń nad celem, jaki przyświecał temu człowiekowi.

Van Skike wszedł do gabinetu prezydenta. Drzwi zamknęły się za nim cicho, gdy przemierzał pokój idąc ku masywnemu biurku. John Sanderson, szef FBI, właśnie rozmawiał z prezydentem. Obydwaj podnieśli wzrok.

- Słyszałeś? - zapytał prezydent cichym jak zawsze, bez względu na okoliczności, głosem.

Kilka lat temu był szefem CIA, więc wiedział doskonale, w jakiej sytuacji znajdował się obecnie Van Skike.

- Tak, panie prezydencie, słyszałem, chociaż nie znam jeszcze szczegółów.

- Właśnie się z nimi zapoznajemy - odezwał się Sanderson.

Odszedł od biurka prezydenta i wskazał kilka fotografii leżących na blacie.

Van Skike położył teczkę na krześle i pochylił się nad czarno-białymi zdjęciami.

- Dwóch moich ludzi zostało zabitych na podjeździe - kontynuował Sanderson. - Sprawcy używali automatycznych dwudziestekdwójek z tłumikami. Niezwykle precyzyjne strzały. Jeden z bardzo bliska, drugi z odległości trzech, czterech metrów; ktokolwiek strzelał, wiedział dokładnie, co robi.

Pierwsze zdjęcia pokazywały agentów FBI leżących na podjeździe. Ich krew znaczyła śnieg ciemnymi plamami.

- Dostali żonę Paula Innesa na schodach, Reisberga przy drzwiach do gabinetu, Paula przy telefonie... rozmawiał z naszym dyżurnym operatorem... Quarmby'ego koło stołu w pokoju śniadaniowym... i Highnote'a na zewnątrz w ogrodzie.

Pozostałe fotografie przedstawiały rozciągniętą na schodach martwą kobietę we wzorzystej sukience, ciało Reisberga skulone w wejściu oraz Innesa - na wpół siedzącego, opartego o szklany stół.

- Stan Quarmby'ego jest krytyczny - mówił Sanderson. - Bob Highnote również jest w ciężkim stanie, lecz ma szansę na przeżycie. Pocisk trafił półtora centymetra od kręgosłupa.

- A pozostali? - zapytał Van Skike podnosząc wzrok.

- Nie żyją - odparł Sanderson. Wyjął fajkę i tytoń i odwrócił się. - Był jednym z twoich ludzi, Van.

Van Skike popatrzył na prezydenta.

- Czy to McAllister? - spytał. - Czy zostało to stwierdzone?

Prezydent skinął głową

- Ta kobieta, Albright, była z nim. Widziano jego wóz, kiedy opuszczał posiadłość Paula Innesa. O ile wiem, ślady kół się zgadzają

Sanderson odwrócił się.

- Przesłuchiwalismy sąsiadów McAllistera. On i ta Albright byli widziani w domu. Około siódmej jego peugeot wyjechał z garażu. Sąsiedzi poświadczyli, że McAllister wychodził w towarzystwie niskiej, ciemnowłosej kobiety.

- Dlaczego? - zapytał Van Skike. - Bob Highnote był jego przyjacielem. A poza tym skąd mógł wiedzieć, że Paul Innes zwołał takie spotkanie?

Sanderson i prezydent wymienili porozumiewawcze spojrzenia, co rozwścieczyło Van Skike'a. Zachował jednak kamienną twarz.

- Jest jeszcze coś - odezwał się Sanderson. - McAllister i Albright byli w domu. Co do tego nie mamy wątpliwości. Lecz był tam ktoś jeszcze, wcześniej rano ktoś złożył im wizytę.

- Kto?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Sanderson. - Jakiś mężczyzna, dobrze ubrany.

Przyszedł piechotą i wszedł jak do własnego domu.

- Czego to dowodzi?

- Powinieneś tego posłuchać, Van - powiedział prezydent.

Sanderson podszedł do biurka i włączył magnetofon.

- ...oferuje McAllisterowi amnestię, i sądzę, że od nas znajdujących w tym pokoju zależy, w jaki sposób możliwie najszybciej do niego dotrzeć z tą wiadomością bez dalszych ofiar w ludziach.

- To głos Paula Innesa - powiedział Sanderson. - Nagrywał to spotkanie.

- Ponieważ on coś wie? - padło pytanie ze strony innego mężczyzny. Van Skike rozpoznał głos Highnote'a. - Ponieważ na pewno dowiedział się czegoś w Moskwie, czegoś, co zaintrygowało Rosjan... i może kogoś innego... tak zaintrygowało, iż z własnej woli ryzykuje zdemaskowanie się, żeby tylko upewnić się, że McAllister nie będzie mówił?

- Tak.

- To znaczy?



- *Przypuszczamy, że w CIA na całkiem wysokim stanowisku pracuje sowiecki agent...*

Sanderson wyłączył magnetofon.

- Oczywiście dostanie pan kopię taśmy.

- Wygląda na to, że sądzili, iż McAllister jest niewinny. Że KGB chce go dopaść - powiedział Van Skike.

Sanderson przewinął taśmę do przodu.

- *W takim razie dlaczego w ogóle go wypuścili?* - zapytał Highnote.

- *Podejrzewamy, że przez pomyłkę* - odezwał się Paul Innes.

Sanderson wyłączył magnetofon.

- Żadna pomyłka - zachnął się. - McAllister próbuje ochraniać tego, dla kogo pracuje, kimkolwiek by on był, tego, kto dziś rano pojawił się w jego domu z rozkazem zabicia Innesa i pozostałych.

Sanderson ponownie przewinął kasetę do przodu.

- *...kwestia przyjęcia określonej procedury, lecz musisz zrozumieć wagę tej sprawy* - powiedział Innes.

W chwilę później z głośnika magnetofonu doleciały ich dwa ciche dźwięki, jakby ktoś dwukrotnie, bardzo delikatnie, zamknął książkę. Van Skike poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Rozpoznał stłumione wystrzały z pistoletu. Morderstwa zostały zarejestrowane na kasecie i teraz przysłuchiwał się temu.

Nagle głośnik magnetofonu eksplodował istną kakofonią dźwięków, Innes krzychał dzikim głosem; nastąpiły kolejne stłumione wystrzały; odgłosy trzasków, tłuczonego szkła, a potem męski szept dochodzący jakby z oddali: *Bierz go*.

Sanderson wyłączył magnetofon.

- McAllister i Albright - rzekł stanowczo.

- Jesteś pewny, John? - zapytał ponownie Van Skike. - Całkowicie pewny?

- Tak - wtrącił prezydent. - Ja jestem przekonany. David McAllister i Stephanie Albright przekroczyli pewną granicę. Bez względu na to, co się wydarzy, trzeba ich powstrzymać. Natychmiast. Za wszelką cenę.

- Czy dobrze rozumiem, panie prezydencie...? - zaczął Van Skike.

- Skończyło się cackanie - odezwał się Sanderson. - Wydałem moim ludziom wyraźne rozkazy. McAllister i Albright mają zostać zastrzeleni na miejscu. Nie wolno dopuścić, żeby stanęli przed sądem.

Van Skike spojrział zdumiony na prezydenta, lecz ten odwrócił wzrok. Rozumiał logikę takiego postępowania, konieczność. Ale, wielki Boże, czyż nie jesteśmy narodem prawa? Przecież człowieka uważa się za niewinnego, dopóki mu się nie udowodni winy?

- Panowie - rzekł prezydent - musimy ich powstrzymać.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### Rozdział 23

McAllister siedział na skraju łóżka i głaskał delikatnie kark Stephanie. Żyli w koszmarze, z którego żadne z nich nie potrafiło się przebudzić, lecz w tym świecie snów umierali prawdziwi ludzie. Nie przestawała dygotać i oddychała nierówno, łkając.

- Dlaczego? - pytała. - Nie mieli powodu, żeby go zabić... szczególnie w taki sposób. Nic nie wiedział.

Nie odpowiedział jej.

Z wielkim trudem odciągnął ją od drzwi gabinetu i uspokoił na tyle, że poszli na górę do jej dawnego pokoju, gdzie do małej walizki wrzucił kilka rzeczy. Pośpiesznie opuścili zatopiony w ciszy dom, idąc pod rękę do Dworca Union. Tam złapali taksówkę i pojechali do małego, przysadzistego hotelu w pobliżu Narodowego Towarzystwa Historycznego.

- Nie czuje się dobrze - wyjaśnił McAllister obojętnemu recepcjonście. - Jest w ciąży. To poranne mdłości.

Na górze, w obskurnym pokoju zdjął z niej płaszcz i buty i kazał położyć się do łóżka.

- Dlaczego, Davidzie? - załkała. - To niemożliwe.

- Rosjanie - odparł McAllister patrząc przed siebie.

Wiedział jednak, że nie były to zwykłe tortury i zabójstwo dokonane po to, by znaleźć dziewczynę.

- Co? - zapytała Stephanie patrząc mu w twarz.

McAllister spojrzał jej prosto w oczy.

~ Rosjanie zrobili to twemu ojcu.

- Skąd wiesz?

Stąd, skąd wiem o tysiącu innych spraw, pomyślał. To rzemiosło, część gry, część wiedzy, której agent terenowy potrzebuje, aby utrzymać się przy życiu.

- W taki sposób załatwiają sprawy - powiedział. - Już wcześniej to widziałem.

- Przez ciebie? Przez nas? Ponieważ ci pomagam?

- Tak - odparł.

Prawda była bardziej okrutna, niż to sobie mogła wyobrazić.

*Robimy wspólnie ogromne postępy, ty i ja. Mac. I tak bardzo się cieszę.*

Słowa Mirosznikowa ponownie rozbrzmiały w jego głowie, a twarz śledczego pojawiła mu się przed oczami. Zawsze tam była. Zawsze była i zawsze będzie. Nie potrafił przed nią uciec.

- O co chodzi? - zapytała Stephanie wyczuwając jego cierpienie.

Czterem nazwiskom mającym związek z Siecią Zebra, jakie wydobył z komputerowego archiwum Agencji, towarzyszyła pewna symetria. Najwyraźniej ci ludzie byli podejrzanymi w sprawie O'Haire'ów, ale Agencja nie miała przeciwko nim wystarczających dowodów, aby wszcząć postępowanie sądowe. Pozostaną na swoich miejscach pod ścisłą obserwacją.

Pierwszy, Ray Ellis, był ekspertem od spraw komunikacji cywilnej w ambasadzie amerykańskiej w Moskwie. McAllisterowi wydawało się, że rozpoznaje nazwisko, lecz nie potrafił przyporządkować do niego twarzy. Ten człowiek był z pewnością rosyjskim łącznikiem, przez którego przekazywano informacje.

Drugie ogniwo stanowiłby sierżant obsługi technicznej Sił Powietrznych, Barry Gregory, który pracował jako konserwator sprzętu kryptograficznego w olbrzymim centrum komunikacyjnym Pentagonu. On był stacją przekaźnikową w kraju.

Pewne informacje mogły pochodzić od Charlesa Denby'ego, trzeciego na liście. Pracował jako inżynier w Technical Systems Industries w kalifornijskiej Silicon Valley, za San Francisco. TS Industries było jednym z głównych dostawców w programie badawczym Wojen Gwiezdných.

I wreszcie Kathleen O'Haire. Jej nazwisko pojawiło się na liście podejrzanych z tej prostej przyczyny, że była żoną Jamesa O'Haire'a, szefa Sieci Zebra. Słabe ogniwo.

- Davidzie?

- Musimy wyjechać z Baltimore.

Usłyszał, jak mówi. Mimo to nadal dryfował kojarząc luźne fakty, analizując możliwości, pułapki i wreszcie ruchy, które będą musieli wykonać.

- Nie do Waszyngtonu? - pytała Stephanie.

- Do Kalifornii.

Obserwowała go uważnie.

- Lista - odezwała się. - Jak się stąd wydostaniemy? Kiedy?

- Wezmę nasze bagaże. Złapiemy samolot z Nowego Jorku. Dziś po południu.

Wieczorem.

- A broń?

- Przejdzie z odprawionym bagażem do luku. Jest to wykonalne.

- W Kalifornii Denby i Kathleen O'Haire są na pewno pod ścisłą obserwacją.

- Więc będziemy na siebie uważać - odparł McAllister wrywając się w końcu z zamyślenia. - W tej sytuacji nie mamy innego wyboru.

Stephanie wyszła z pokoju dziesięć minut po McAllisterze, który poszedł wysłać taksówką bagaże na lotnisko Baltimore-Waszyngton. Ochlapała sobie twarz wodą, po czym chodziła w tę i z powrotem, nie mogąc już dłużej wytrzymać. Nie nękała jej bierność, lecz fakt, że nigdy już miała nie powrócić do Baltimore. Jej dawne życie minęło na zawsze i nie mogła pogodzić się z myślą, że żegna się z nim w ten sposób.

Recepcjonista za kontuarem nawet nie zadał sobie trudu, aby podnieść wzrok, kiedy wychodziła z hotelu. Na zewnątrz skręciła w lewo i przeszła pośpiesznie dwie przecznice w kierunku Szpitala Stanowego Maryland przy ulicy Madison gdzie złapała taksówkę, każąc kierowcy jechać na Dworzec Union.

W to wczesne zimowe popołudnie na ulicach panował duży ruch. Śnieg nie przestawał sypać i zdawało się, że opady przybierają na sile. W taksówce rozbrzmiewały dźwięki świątecznej muzyki i pomimo mocnego postanowienia poczuła, jak łzy spływają jej po policzkach; te wszystkie stracone bezpowrotnie lata. Ojciec nigdy nie powiedział jej wprost, że chciałby mieć wnuki, lecz wiedziała, iż często o tym myślał.

Odwiedzała go w weekendy. W ciągu dnia pomagała mu w gabinecie, a po kolacji, przy butelce bądź dwóch wina, prowadzili rozmowy, które nierzadko przedłużały się do późnej nocy. Ojciec był jej najlepszym przyjacielem. Mówiła mu o swej pracy, o życiu codziennym i o swoich miłościach... lub ich braku. Słuchał z zainteresowaniem, lecz nigdy nie był krytyczny, chociaż kiedy poprosiła o radę, za każdym razem chętnie jej udzielał. Zawsze głęboko myślący, zawsze uprzejmy. Będzie jej go bardzo brakowało.

Nie mogła go tak zostawić.

*Uważaj na siebie. Ja dam sobie radę.*

*Wiem, że tak będzie, tato.*

Przypomniała sobie ostatnie słowa pożegnania. Nie będzie już więcej.

Wysiadłszy z taksówki przeczekala dziesięć minut na Dworcu Union, obserwując mijających ją pasażerów, słuchając huku przejeżdżającego od czasu do czasu pociągu, czytając rozkład jazdy, przypatrując się ludziom w barze.

Mac kazał jej pozostać w hotelu.

- Wychodzenie na ulicę jest teraz zbyt niebezpieczne.

Czy nie rozumiesz, kochanie, że ja muszę to zrobić? - zawołała w duchu.

Duży zegar na ścianie głównej hali odjazdów wskazywał trzynastą trzydzieści, kiedy wreszcie opuściła dworzec i piechotą ruszyła na ulicę Front. Powrót, szczególnie w ten sposób, niósł ze sobą ogromne ryzyko, lecz zdawało się, że w ciągu tych kilku godzin nic się tu nie zmieniło. Przy wejściu nie było policyjnych radiowozów otoczonych tłumami ciekawskich gapiów zastanawiających się, co się wydarzyło. Nikt

nie czekał pod drzwiami wejściowymi z psem czy kotem potrzebującym pomocy doktora.

Półciężarówka jej ojca stała nadal zaparkowana na tyłach domu. Weszła po schodkach. Roznosiciel zdążył już przynieść gazetę z wczesnego popołudnia, leżała przy drzwiach nieco przyprószone śniegiem. Stephanie podniosła ją i weszła do domu. Przechodząc przez przedsionek do korytarza położyła gazetę na stole.

W domu panowała cisza. Mac wypuścił dwa psy z klatek i otworzył im tylne drzwi. Na zewnątrz przynajmniej miały jakąś szansę przeżycia. Tutaj była... jedynie śmierć.

Zatrzymała się w poczekalni. Na chwilę ugięły się pod nią kolana. Dostrzegła strugę krwi wypływającą spod drzwi gabinetu, która zakrzepła w niemym świadectwie potwornego wydarzenia, tworząc czarną, zaschniętą plamę na posadzce. Poczła mdłości i pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

Szaleństwo. To wszystko było szalone nie wyłączając jej powrotu.

Zmusiła się, aby przejść przez poczekalnię do drzwi gabinetu, wzięła głęboki wdech i otworzyła je. W tej samej chwili poczuła, że ma nogi jak z waty.

- Och, ojcie - wyszeptwała.

Za pierwszym razem nie widziała go dokładnie. Mgła przesłoniła jej oczy, podobnie jak w tej chwili. Zmusiła się jednak, by na niego spojrzeć, i przyjrzeć się ciału, bestialskiej masakrze.

Rosjanie, powiedział Mac. Zwierzęta.

Przyszła jej do głowy szalona myśl, że ojciec zaraz wstanie i roześmieje się. To żart, Stephanie - powie. Odpędziła upiorne wyobrażenie i weszła dalej do gabinetu. Z jednej z szuflad wyjęła nożyce i koncentrując się wyłącznie na tym, co robią jej dłonie, poprzecinała taśmę, która krępowała pod stołem powyginane ręce i nogi ojca.

Jego ciało było zimne, lecz zaskakująco elastyczne. Ścisnęło ją w gardle, gdy podniosła mu nogi na metalowy stół, a potem ręce, składając zimne dłonie na piersiach.

Choć łzy zalewały jej oczy, pobiegła na górę i wyjęła z szafy czyste prześcieradło, po czym przyniosła je z powrotem do gabinetu i białym całunem zakryła ciało swego ojca.

- Przepraszam, tato - rzekła wpatrując się w wybrzuszenie na prześcieradle w miejscu gdzie rękojeść skalpela wystawała mu z oka. Mogła zrobić wszystko oprócz tej jednej rzeczy.

Wycofała się ku drzwiom od gabinetu, przebiegła przez poczekalnię na schody, po których zbiegła na dół, wpadła do łazienki i zwymiotowała gwałtownie.

Ciało w gabinecie było ciałem jej ojca, lecz nie nim samym, powtarzała sobie. To tylko mięso, kości i płyny. Jej ojciec był wesołym, żywym człowiekiem - osobowością, przyjacielem dającym mądre rady i niosącym pocieszenie. To ciało w gabinecie nie potrafiło robić takich rzeczy.

- Ojcie! - wrzasnęła podnosząc się nagle i okręcając na pięcie.

Przy drzwiach musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Musiała dalej żyć. Nie było innej możliwości. Mac był teraz wszystkim i w jej życiu nie istniało już nic... absolutnie nic poza nim.

Chwiejnym krokiem doszła do korytarza. Przez frontowe okno zobaczyła gęste płatki śniegu i pierwsze porywy silnego wichru. Zanosiło się na potężną burzę śnieżną. Pokręciła głową. Czy to się kiedykolwiek skończy? Czy w ogóle może się skończyć?

Przy drzwiach w przedsionku odwróciła się i spojrzała w kierunku poczekalni, czując wzbierającą panikę. Jej ojciec pozostał tam zupełnie sam. Będzie tak leżał,

dopóki ktoś nie przyjdzie, by sprawdzić, co się stało. Przyjdą nieznajomi, zabiorą ciało i odejdą.

Czy mogła to znieść?

Cofnęła się o krok i jej wzrok padł na leżącą na stole gazetę. Była zgięta na pół i zapakowana w plastikową torebkę. Patrzyło na nią zdjęcie Maca.

Drżącymi rękami podniosła gazetę, zdjęła plastikowe opakowanie i otworzyła na pierwszej stronie. Obok twarzy Maca ujrzała swój własny wizerunek, a nad nimi duży nagłówek:

## MASAKRA W PARKU COLLEGE POSZUKIWANI PODEJRZANI O WIELOKROTNE MORDERSTWO

### Rozdział 24

McAllister czekał pod terminalem bagażowym lotniska Baltimore-Waszyngton na następną wolną taksówkę. Obecnie na lotnisku panował dużo większy ruch niż rankiem. Niektóre loty zostały już odwołane lub były opóźnione z uwagi na pogarszającą się pogodę. Rozczarowali i podenerwowani pasażerowie przepychali się i potracali próbując załatwić sobie transport z powrotem do miasta.

Jeżeli sytuacja nie ulegnie wkrótce zmianie, będą zmuszeni pojechać pociągiem do Nowego Jorku. Przy odrobinie szczęścia rankiem uda im się złapać samolot na Zachodnie Wybrzeże.

Spojrzał na stojącego nieopodal biznesmena, który postawiwszy na ziemi walizkę i teczkę, wyjął gazetę z jednej z maszyn ustawionych rzędem przy drzwiach. McAllister zerknął na pierwszą stronę i cofnął się osłupiały.

Biznesmen zgiał gazetę nie patrząc na nią, podniósł walizki i podszedł do McAllistera.

- Mój lot odwołali, a pana? – zagadnął.

- Czekam tu na kogoś - wybąkał McAllister i odwróciwszy się wszedł do terminalu, pozostawiając za sobą zdzwionego mężczyznę.

Pojechał ruchomymi schodami do głównej hali odlotów czując, jak serce łomocze mu w piersiach. Zdjęcia jego i Stephanie wieńczyły pierwszą stronę gazety. Nie udało mu się przeczytać nagłówków, lecz widział, że są wielkie.

Dwa dni temu przesłano mu wiadomość z fałszywym rysopisem i podobizną. Co zaszło przez ten czas, że zmienili zdanie?

Podszedł do jednego z kiosków gdzie zobaczył kilka tytułów gazet. We wszystkich widniały te same zdjęcia poniżej tych samych nagłówków. MASAKRA W PARKU COLLEGE. Sprzedawca za ladą czytał gazetę. McAllister wycofał się nie wchodząc do środka, zawrócił i szybkim krokiem przemierzył terminal, zmierzając ku głównemu wyjściu, przed którym zatrzymywały się taksówki i autobusy, przywożąc kolejne partie zniecierpliwionych ludzi, mających nadzieję, że uda im się złapać jakiś inny samolot na innym lotnisku.

Masakra - to słowo kołatało się w jego głowie. Jaka masakra i kiedy? Po drodze słyszeli mnóstwo syren: Czy miało to z tym związek?

Wyszukał kilka monet w kieszeni i zanim zatrzymał jedną z odjeżdżających taksówek, wrzucił pieniążek do maszyny i wyciągnął z niej gazetę.

- Do Towarzystwa Historycznego - odezwał się unikając wzroku kierowcy.

- Już się robi - odparł taksiarz i zjechał z krawężnika. - Ale pogoda. co?

- No - mruknął nieobecny głosem McAllister ze wzrokiem utkwionym w pierwszej stronie gazety.

Zdjęcia wyglądały jak standardowe fotografie z dokumentów Agencji; dziewczyny nieco nowsze niż jego, lecz obydwa łatwe do rozpoznania, choć teraz miał dużo krótsze włosy i nadal nosił okulary, które kupiła mu Stephanie

Z rosnącym niedowierzaniem pochłaniał długi artykuł. Innes i Reisberg zostali bestialsko zamordowali. Quarmby walczył o życie w Szpitalu Marynarki Wojennej w Bethesda, lecz nie dawano mu zbyt dużych szans. Highnote znajdował się w ciężkim stanie, jednakże spodziewano się, że wyzdrowieje.

Highnote nie był Zebrawą Jeden. Nie był częścią siatki.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę.*

Highnote nie był agentem operacyjnym, a ktokolwiek nim był, wciąż zasiadał na wysokim stanowisku. Highnote próbował pomóc i swój wysiłek prawie przypłacił życiem. Carrick i Maas zostali zabici w Nowym Jorku, potem Sikorski w Reston, Ballinger w Waszyngtonie i ojciec Stephanie tu, w Baltimore. Teraz Innes, Reisberg i prawdopodobnie Quarmby. To wszystko wydawało się niewiarygodne.

Wiadomość została opublikowana zaledwie kilka godzin temu przez rzecznika FBI, który poinformował, że spotkanie zwołano w domu Paula Innesa, zastępcy ministra sprawiedliwości, w związku z zamordowaniem tej samej nocy Jamesa i Liama O'Haire'ów w więzieniu federalnym niedaleko Marion w stanie Illinois. „Dokończenie na stronie 2A.”

McAllister odwrócił na wskazaną stronę. Zasztyletowanych braci O'Haire'ów znaleziono bardzo wczesnym rankiem. Nie istnieją żadne wskazówki co do tożsamości morderców, lecz urzędnicy więzienni twierdzą, że pomiędzy dwoma braćmi a kilkoma innymi więźniami doszło do jakiegoś sporu.

Powróciwszy na pierwszą stronę. McAllister czytał dalej główny artykuł.

Sąsiedzi McAllistera z dzielnicy Georgetown przyznali, że widzieli jak podejrzany jakaś kobieta, której wygląd odpowiada opisowi Stephanie Albright, wyjeżdżał białym peugeotem sedanem zarejestrowanym na McAllistera. Ślady opon na miejscu wielokrotnego mordu odpowiadają śladom kół peugeota.

Oprócz czterech urzędników rządowych zabici zostali również dwaj oficerowie FBI oraz Caroline Innes, żona zastępcy ministra sprawiedliwości.

Nazwisko McAllistera - jak dalej donosił artykuł - zastało wymieniane w związku z czterema innymi morderstwami: dwoma w Nowym Jorku jednym w Waszyngtonie i jednym w pobliżu Reston.

Według „nieznanego źródła ze struktur CIA”. McAllister, który powrócił ostatnio z Moskwy, gdzie wykonywał pewne zadanie, współpracował z Rosjanami przekazując informacje siatce szpiegowskiej O'Haire'ów. Uważano, że McAllister i Stephanie Albright przebywają nadal na wolności w okolicy Waszyngtonu; uzbrojeni i niesłychanie niebezpieczni.

Gazeta luźno opadła na kolana McAllistera. Teraz żadne z nich nie miało już drogi odwrotu. Nikła nadzieja, że w razie niepowodzenia Stephanie mogłaby naświetlić prawdziwą wersję tej historii, zdając relację z całego i przebiegu wydarzeń Dexterowi Kingmanowi, legła teraz w gruzach. Według artykułu strzelano z dwóch pistoletów, co wyraźnie sugerowało, że McAllister i kobieta uczestniczyli w mordzie.

Stephanie, pomyślał, co ja ci, na Boga, zrobiłem?

Hotelowy hall był prawie opustoszały, więc McAllister bez przeszkód skierował się do windy. Nie mógł oczywiście tego przed nią ukryć, lecz nie miał pojęcia, jak Stephanie przyjmie wieść że jest poszukiwana za zabójstwo. Obawiał się, że jeśli przytuli się do niego, nie będzie potrafił jej tego powiedzieć. Nie wiedział, jak może

zareagować, szczególnie po wstrząsie, którego doznała na widok okaleczonego ciała swego ojca.

Stephanie stanęła w drzwiach, przenosząc wzrok z niego na bagaże, które niósł, a następnie na złożoną gazetę pod pachą.

- Widziałeś już.

Na jej bladej twarzy malowało się przerażenie.

- Nadawali w telewizji? - spytał wchodząc i stawiając walizki. W tym momencie dostrzegł gazetę rozłożoną na łóżku i spojrzał na Stephanie. - Chryste, mówiłem ci, żebyś została w pokoju. Mówiłem, że w żadnym wypadku nie wolno ci wychodzić z hotelu.

- Przepraszam - załkała - ale musiałam to zrobić.

- Co było aż tak ważne? - zapytał podnosząc głos.

- Mój ojciec - odparła odwracając się.

Oddychała nierówno i trzymała się za ręce, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Co z nim? - warknął McAllister zdając sobie w okamgnieniu sprawę, jak gruboskórne i nieczułe mogły jej się wydać te słowa. - Posłuchaj, Stephanie, przepraszam...

- Nie przepraszaj, miałaś rację. Nie powinnam była wychodzić z hotelu, lecz nie wiedziałam o tym. - Spojrzała mu w twarz. - Ja po prostu nie mogłam go tak zostawić, Davidzie. Nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć; on był tam sam i nie chciałam, żeby go zobaczyli... w takim stanie.

McAllister starał się za wszelką cenę zapanować nad nagłą falą strachu.

- Czy wezwałaś kogoś?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Zamierzałam, ale zobaczyłam tę gazetę...

- Co zrobiłaś?

Opowiedziała mu przerywanym głosem, a jemu serce pękało, gdy słyszał te słowa, lecz w żaden sposób nie potrafił ulżyć jej cierpieniu.

- Rozumiem - odezwał się, kiedy skończyła. - Naprawdę rozumiem.

Popatrzyła na niego próbując wyczytać z oczu, czy nie traktuje jej protekcyjnie. Zdobył się na słaby uśmiech. Podeszła do niego. Wziął ją w ramiona i przytulił mocno czując, jak cała drży.

- Gdzie to wszystko ma kres, Davidzie? - zapytała cicho. - Świadkowie zeznali, że nas widzieli.

- Albo kłamali, albo się pomylili. Prawdziwi zabójcy mogli się upodobnić do nas. Poszli do mojego domu, wzięli mój samochód i pojechali do parku College.

Podniosła głowę.

- A więc Highnote nie jest częścią tej gry - powiedziała patrząc na niego rozszerzonymi, wilgotnymi oczami.

- Nie - odparł McAllister.

- Będą próbowali go zabić, prawda?

- Prawdopodobnie tak, lecz na pewno jest teraz silnie strzeżony. Za drugim razem nie byłoby im już tak łatwo. Teraz mamy sprzymierzeńca. Kogoś, komu można ufać.

- Jeśli powróci do zdrowia.

- Tak - powiedział McAllister wybiegając myślami do czasów swojej wieloletniej przyjaźni z Highnote'em.

Dobre i złe okresy. Tak wiele wspólnie osiągnęli, darzyli się tak wielkim zaufaniem. Highnote był mentorem. Mac jego najzdolniejszym uczniem. Bolało go, że zwątpił w swego przyjaciela

- Przykro mi - odezwała się Stephanie. - Od samego początku myślałam się co do niego.

- Bazowałaś na tym, co o nim wiedziałaś. Na faktach - dodał

- Czy znałeś któregoś z tych ludzi?

McAllister spojrzał jej w twarz.

- Quarmby'ego z NSA. To był dobry człowiek.

- Z dawnych czasów znałam Alvana Reisberga. Powstaje pytanie, Davidzie, o czym rozmawiali podczas tego spotkania?

- Do czego zmierzasz?

- Pomyśl o tym. Ostatniej nocy zabito O'Haire'ów, a dziś rano ci czterej szczególnie mężczyźni spotkali się. O czymkolwiek rozmawiali, na pewno wiązało się to z nami. I musiało być na tyle ważne dla Zebry Jeden, że zdecydował się ich powstrzymać i obwinić nas o tę zbrodnię.

- A teraz wszyscy polują na nas.

- Po co miałby zabijać Innesa i pozostałych? Chyba że Highnote przekonywał ich o naszej niewinności.

Nagle McAllister zrozumiał.

- Masz rację. Chryste, to takie oczywiste. Ten, kto zaaranżował zabójstwo, udowodnił, że Highnote się mylił.

- To kolejna wiadomość.

- Nawet więcej - dodał McAllister nagle wszystko rozumiejąc. - Wspólna nić. Zebra Jeden to ktoś postawiony na tyle wysoko, że znał nie tylko ruchy Highnote'a, lecz również wiedział o posunięciach i poglądach Innesa z Departamentu Sprawiedliwości, Reisberga z FBI oraz Quarmby'ego z NSA.

- Mój Boże, kto to?

- Nie wiem, lecz lista takich osób nie może być długa. - McAllister myślał intensywnie. - Począwszy od zastępcy szefa CIA w górę... jak tylko wysoko można.

Stephanie kręciła głową z niedowierzaniem.

- Może miałaś rację mówiąc, że nie możemy z nimi walczyć - powiedziała. - Co teraz zrobimy?

- Módl się do Boga, żeby Highnote wyzdrowiał i żebyśmy mógł z nim porozmawiać i ostrzec go. On jest teraz naszą jedyną nadzieją.

- To może zabrać trochę czasu.

- Czasu, którego nie mamy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin każdy gliniarz na Wschodnim Wybrzeżu zacznie nas szukać. O ile oczywiście sądzą, że nadal przebywamy w tym rejonie. Musimy przyciąć się w jakimś ukryciu na kilka dni.

- Musimy także dotrzeć do Kalifornii. Oprócz Highnote'a jedynym kierunkowskazem jest dla nas lista.

- Teraz nie możemy tego zrobić - powiedział w zamyśleniu McAllister. - W samolocie będziemy zbyt widoczni, zbyt zamknięci. Gdyby ktoś nas rozpoznał, pilot nadałby wiadomość przez radio i czekali by na nas na płycie lotniska.

- Jeżeli byśmy poleciali samolotem - odpowiedziała Stephanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pociąg, Davidzie - odezwała się ożywionym głosem. Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po trzeciej. - Mamy trochę ponad godzinę.

- Jaki pociąg?

- Amtrak z Dworca Union. Będąc tam po południu, widziałam rozkład jazdy. Wyjeżdża do Chicago dwadzieścia po czwartej, a stamtąd do Los Angeles. Dotarcie do wybrzeża zajmie nam przynajmniej trzy, może cztery dni, wystarczająco długo, przy odrobinie szczęścia oczywiście, żeby Highnote doszedł do siebie i żeby trochę się tu uspokoiło.

*Dobrze mnie wyszkolili. Znam mnóstwo sposobów, by przetrwać; podstępny, małe wyprawy; kiedy uciekać, kiedy stać nieruchomo niczym zając pod miedzą,*



*którego jedyną obroną jest szybkość i umiejętność kompletnego znieruchomienia, doskonały kamuflaż.*

Patrzyła na niego.

- Davidzie? Nic ci nie jest?

McAllister zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie mamy innego wyboru. - Zdobył się na kolejny słaby uśmiech.

Odwzajemniła go, choć widział niewymowne cierpienie w jej oczach.

- A więc powstrzymajmy tych skurczybyków raz na zawsze - zdecydowała.

Stephanie wyszła z hotelu tylnym wyjściem i zaczęła na zewnątrz, aż McAllister ureguluje rachunek u zgorzkniałego recepcjonisty. Ze względu na wzmagającą się burzę, która już na tym etapie uniemożliwiała podróżowanie, wiele osób rezerwowało pokoje spodziewając się, że zostaną unieruchomione w mieście.

Zerwał się porywisty wicher i smagając śniegiem majestatycznie obojętne budynki buszował wśród ulic, na których ruch zmalował drastycznie w ciągu ostatniej godziny.

Taksówkę udało im się złapać dopiero po przejściu trzech przecznic, na ulicy Katedralnej. McAllister różnił się nieco wyglądem od swego wizerunku w gazetach, miał więc nadzieję, iż nie zostanie tak łatwo rozpoznany. Stephanie spięła włosy do tyłu w ogromny kok, zmyła makijaż i zawiązała na głowie chustkę, co sprawiło, że upodobniła się do starej panny. Te niewielkie zmiany w ich powierzchowności nie zmyliłyby wyszkolonego obserwatora, lecz wystarczyły, przynajmniej mieli taką nadzieję, by dostać się niepostrzeżenie do pociągu.

- Czy pociągi nadal kursują? - zapytał McAllister kierowcy.

- A, kochane - odparł kierowca zerkając na nich we wstecznym lusterku. - Jeśli jest, jak mówisz, to niech mnie drzwi ścisną, jeśli nie są to jedyne rzeczy, które dokądkolwiek się wloką. Gdzie się wybieracie, kochani?

- Do Nowego Jorku i odrzekł McAllister spoglądając na Stephanie. - Wczesnym rankiem musimy złapać samolot do Paryża.

- Taaaa, życzę szczęścia.

Prędzej czy później dotrą po śladach do Baltimore. Istniała możliwość, że taksjarsz zapamięta sobie wybierającą się do Paryża parę, którą wiozł na stację kolejową. Nie było to nic wielkiego, lecz dzięki temu fortelowi mogli zyskać niezwykle drogocenne chwile.

Dochodziła czwarta, kiedy dotarli do Dworca Union. Pociągi rzeczywiście kursowały, a na stacji panował niesamowity tłok. Gdy znaleźli się wewnątrz dużego budynku, Stephanie przytrzymała go za rękę.

- Kup bilety i zaczekaj na mnie na dole na peronie - powiedziała stanowczo.

- Co takiego?

- Zrób, jak mówię, Davidzie - warknęła. Popatrzyła na jego włosy. - Zaraz wracam.

- Dokąd idziesz?

- Za rogiem jest drogeria. Potrzebuję kilku drobiazgów. - Wręczyła mu swoje torby. - Wiem, co robię. Wszystko w porządku - dodała, po czym odwróciwszy się na pięcie wyszła w objęcia szalejącej burzy.

Przez chwilę McAllister stał nieruchomo, a następnie przeszedł przez halę odjazdów, kierując się ku kasom biletowym. Nadmiernie utykał na lewą nogę, wpatrując się przy tym w posadzkę.

Kolejka posuwała się opornie i dopiero po mniej więcej dziesięciu minutach zdołał dopchać się do okienka, a po kolejnych pięciu rozdrażniony kasjer zabukował mu dwa miejsca w pierwszej klasie do Chicago z powrotnym biletem na wtorek.

- Szkoda, że nie czekał pan do ostatniej minuty - zachnął się z sarkazmem urzędnik. - Bagaż?

- Trzy sztuki. Tylko podręczny.

- Lepiej się, człowieku, pośpiesz, w przeciwnym razie spóźnisz się na pociąg. - Urzędnik wręczył mu bilety. - Odjeżdżamy punktualnie.

Przemierzając przepastny hall McAllister zerknął na zegarek. Dziesięć po czwartej. Stanąwszy przy ruchomych schodach, poszukał wzrokiem Stephanie, lecz nigdzie nie mógł jej dostrzec. Powinna już wrócić, chyba że spotkały ją jakieś kłopoty. Wszystko mogło się zdarzyć.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wyjść na zewnątrz i próbować ją odszukać. Powiedziała, że idzie do drogerii za rogiem. Po co? Nie było już czasu; albo czekała na niego na peronie, albo nie.

Zjechawszy na dół, ujrzał ją na skraju zniecierpliwionego tłumu. W lewej dłoni ścisnęła papierową torebkę, a prawą trzymała w kieszeni, w której zwykle nosiła broń. Podbiegła do niego i wyciągnęła z torebki wełnianą czapkę.

- Włóż ją - wyszeptała gwałtownie.

Bez pytania naciągnął czapkę na głowę i pośpieszyli razem wzdłuż pociągu.

- Myślę, że taksjarsz nas rozpoznał - odezwała się cicho.

- Jesteś pewna?

- Kiedy wróciłam, stał przed wejściem na stację i rozmawiał z dwoma gliniarzami.

- Zauważyli cię?

- Nie - odparła. - Przynajmniej tak sędzę.

- No cóż, niebawem się przekonamy - stwierdził McAllister, kiedy doszli do kontrolera i pokazali mu bilety.

## **Rozdział 25**

Śnieg sypał ukośnie za oknem pędzącego na południe pociągu. Przejeżdżali przez przedmieścia Baltimore. Wagony przechylały się i kołysały z lekka, w miarę jak żelazny koń nabierał prędkości. Kilkoro pasażerów wsiadło w ostatniej chwili, lecz uciekinierzy nie zauważyli policji ani żadnych podejrzanych ludzi. Pociąg odjechał punktualnie.

Z dnia na dzień mieli coraz mniejszą możliwość wyboru. Tak jakby jakieś niewidzialne ręce kierowały ich ku czemuś nieznanemu.

McAllister stał przy oknie, wpatrując się w odbicie Stephanie w szybie. Stała odwrócona plecami do drzwi, wciąż trzymając prawą dłoń w kieszeni płaszcza. Drżała. Od momentu gdy wsiedli do pociągu, nie zamienili ze sobą ani słowa. Uniósł lewą rękę i spojrzął na zegarek. Szesnasta trzydzieści. Pociąg opuścił stację punktualnie; podróż do Chicago zabierze im całą noc, a kolejne dwa dni stracą na dotarcie do Los Angeles.

Musieli znaleźć dobrą kryjówkę, tak należało teraz postąpić. Zejść z linii ognia, kiedy staje się zbyt intensywny, tak celny, że nie można się bronić.

Pociąg nazywał się Cardinal. Zajmowali wyższy poziom. Przez jedno z okien w przedziale widzieli zmieniający się błyskawicznie krajobraz, drugie, nieco większe, z zasłonami, wychodziło na korytarz. Naprzeciwko siebie stały sofa i fotel. Małe drzwi prowadziły do niewielkiej łazienki z toaletą, umywalką i prysznicem.

Ciszę przerwało energiczne pukanie do drzwi. McAllister obrócił się natychmiast, a Stephanie odskoczyła na bok, jakby strzelono do niej z armaty. W rękę ścisnęła rewolwer.

Przyłożył palec do ust pokazując, by zachowała ciszę.

- Tak?! - zawołał.

- Steward, proszę pana. Czy państwo czegoś potrzebują? Czy będę mógł później opuścić łóżka?

- Nie, dziękuję! - odkrzyknął McAllister. - Poradzimy sobie. Chyba od razu pójdziemy spać.

- Tak, proszę pana - odparł steward po chwili wahania.

- O której godzinie będziemy w Chicago?

- O ósmej piętnaście rano.

- Przyjedziemy punktualnie?

- Przypuszczam, że tak.

- Dziękuję - odezwał się McAllister.

- Wagon restauracyjny jest czynny do dwudziestej drugiej, a klubowy do drugiej w nocy. Jesteście państwo pewni, że wieczorem niczego nie będziecie potrzebować?

- Jesteśmy zmęczeni i pójdziemy spać. Jeszcze raz dziękuję.

- Dziękuję. - Z głosu stewarda przebijało rozczarowanie.

Chwilę później usłyszeli pukanie do drzwi sąsiedniego przedziału i Stephanie wypuściła powietrze, które do tej pory wstrzymywała w napięciu.

- Już dobrze - rzekł miękko McAllister.

Spojrzała na niego, lecz wsłuchiwała się uważnie w wymianę zdań między stewardem a pasażerem z sąsiedniej kabiny. Po chwili usłyszeli pukanie do kolejnego przedziału. Stephanie odetchnęła wreszcie i rzuciła broń na kanapę. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała upaść.

- Zatrzymaliby pociąg, gdyby mnie dostrzegli, prawda? - zapytała.

- Prawdopodobnie tak - odparł McAllister, lecz ponownie myślami wybiegł w przyszłość. W ciągu godziny dojadą do Waszyngtonu i tam zostaną wystawieni na pierwszą ważną próbę. Jeśli Stephanie została dostrzeżona, gdy wchodziła na stację, i jeśli urzędnik sprzedający bilety zapamiętał go, możliwe, że policji uda się poskładać te fakty do kupy. Ktoś wejdzie do stojącego na peronie pociągu i wtedy nie będą już mieli żadnej możliwości ucieczki.

Ponownie wyjrzał przez okno. Nadal nabierali prędkości - jeśli by mieli wyskakiwać, to tylko teraz. Ale co potem? Dokąd mogliby pójść? Istniało prawdopodobieństwo, że jedno z nich doznałoby jakiegoś obrażenia podczas upadku. W takiej sytuacji byłiby zgubieni.

Na liście, którą wydobyl z komputera Agencji, widniały cztery nazwiska, lecz wiedział, iż tylko Kathleen O'Haire będzie łatwa do zlokalizowania. Dotarcie do

pozostałych, z uwagi na ich profesje i miejsca pobytu, wydawało się niezmiernie trudne, właściwie prawie niemożliwe.

Czy Kathleen O'Haire była jedynie słabym ogniwiem? Czy wyślą kogoś, by ją obserwował, spodziewając się, że prędzej czy później on się pojawi? Wydało mu się to całkiem realne. Pomyślał, że w taki sposób mogą wdepnąć w kolejną zasadzkę.

- Musieli podejrzewać, że mój ojciec posiada jakieś informacje - powiedziała Stephanie.

Odwrócił się do niej.

- Przesłali nam kolejną wiadomość.

- Jaką wiadomość, Davidzie?

- Po prostu, że uważają nas za wyjątkowo ważnych.

- Zabijając go? Torturując?

- Jej głos zaczął przybierać na sile, lecz starała się opanować.

- Nie rozmawiajmy o tym - odezwał się łagodnie McAllister. - Nie możemy już nic na to poradzić.

- Możemy, możemy - Rozszerzyła gniewnie nozdrza, a szkarłatny rumieniec oblał jej policzki. - Możemy, Davidzie. Teraz, kiedy mnie muszą zabić, nie pójdzie im już tak łatwo.

Podszedł do niej i spróbował wziąć ją w ramiona, lecz odsunęła go.

- Pamiętasz, jak poszliśmy dziś rano do domu mojego taty, a ty powiedziałeś mi, że jeśli pojawi się FBI, Agencja czy ktokolwiek ważny, to mam odłożyć rewolwer i poddać się? - Zaciśnęła wargi i potrząsnęła stanowczo głową. - Nie zrobię tego. Na pewno nie. Jeśli ktokolwiek wejdzie mi w drogę - ktokolwiek, Davidzie - zabiję go bez wahania.

- Stephanie...

- Zabić albo zostać zabitym, to rutynowe postępowanie, nieprawdaż? Cóż, czekam na okazję. Czekam!

Odwróciła się podnosząc dłonie do twarzy.

Złapał ją za ramiona. Przez chwilę stawiała opór, lecz w końcu, choć wciąż usztywniona, pozwoliła się przytulić. Pomyślał, że rozumie, dlaczego wróciła do domu swego ojca, lecz dobrze jej to nie zrobiło. W rezultacie jej poczucie moralności zatrzęsło się w posadach. Każdy agent terenowy prędzej czy później musiał stanąć w obliczu takiego poważnego kryzysu. Nadchodził moment, kiedy dostrzegał nagle, że to co robi, czynności, które podejmuje w walce z wrogiem, nie różnią się od postępowania tegoż wroga.

Nadchodził czas, kiedy dobry agent zaczynał mieć trudności w dostrzeganiu jakiegokolwiek różnicy między swoją ojczyzną a krajem wroga. Dla wielu był to pierwszy i ostatni kryzys. Wielu wycofywało się w takim właśnie momencie. Inni w jakiś sposób go pokonywali. Jeszcze inni pozostawali na zawsze skażeni. Ich ręce - raz zbrukane - nie dawały się już nigdy oczyścić. To ci kończyli wyrzucani z pracy w zniesławieniu, popełniali samobójstwa lub likwidowano ich w jakiejś ciemnej alejce.

- Przykro mi - wyszeptał jej do ucha.

Odsunęła się i spojrzała na niego oczami pełnymi złości.

- Mnie też jest przykro - odparła. - Współczuję tobie, sobie, wszystkim.

- To jednak nic nie zmienia.

- Nie - odezwała się i spojrzała w kierunku okna. Na zewnątrz zapadł już zmrok. - Wkrótce będziemy w Waszyngtonie.

- Istotnie.

- Idź, umyj głowę - powiedziała zdejmując płaszcz i rzucając go na krzesło.

- Co?

- Powiedziałam, żebyś umył włosy. Nie mamy dużo czasu.

Z torebki, którą przyniosła ze sobą, wyjęła nożyczki, małą suszarkę i farbę do włosów.

- Proszę bardzo - zachęciła spoglądając na niego - chyba że chcesz spędzić na tym całą noc.

W tym momencie McAllister pomyślał, że wcale jej nie zna.

Stephanie kończyła właśnie wieczorną toaletę w małej łazience, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Waszyngtonie, żeby zabrać oczekujących pasażerów. McAllister siedział w ciemnym przedziale, obserwując peron przez minimalnie uchyloną storę okienną. Tuż obok leżał jego rewolwer.

- Już jesteśmy? - zapytała Stephanie otwierając drzwi.

- Wyłącz światło - odezwał się McAllister nie podnosząc wzroku.

Zrobiła, co powiedział i poczuł, że podchodzi do niego. Przysiadła na skraju kanapy.

- Jak tam wygląda?

- Duży ruch, ale nie widać gliniarzy - odparł. - Przynajmniej na razie.

- Gdyby nas dostrzegli w Baltimore, już by tu byli.

- Tak się wydaje - odezwał się nieobecny głosem.

Na peronie panował spory ruch. Ludzie wsiadali i wysiadali; większość z walizkami, niektórzy z dziećmi, kilku wojskowych w mundurach.

Dociągnął storę, wziął broń, podszedł cicho do drzwi od strony korytarza i delikatnie rozsunął zasłonki.

Steward stał tyłem do okna i rozmawiał z jakimś mężczyzną i kobietą. McAllister słyszał głosy, lecz nie mógł rozróżnić słów. Wyglądało, że się o coś sprzeczą.

Puścił luźno zasłonkę, która miękko opadła na swoje miejsce. Wszystko toczyło się normalnym trybem. Nie podniesiono alarmu, nikt nie pędził przez peron z bronią w ręku. Nie usunięto ze stacji pasażerów. Czy było zbyt normalnie, czy ponosiła go wyobraźnia? W zakamarkach umysłu czuł jakiś nieokreślony niepokój. Jakiś nie zdefiniowany sygnał alarmowy dzwonił nieprzerwanie. Widział sylwetkę Stephanie zarysowaną się na tle światła prześwitującego przez storę. Patrzyła na niego.

- O co chodzi? - zapytała cicho.

- Nie wiem - odparł. - Chyba o nic.

- Nikt się nam nie przyglądał, kiedy wsiadaliśmy - zauważyła. - Nawet steward. Nie zauważył zmiany.

Nie wypuszczając broni z ręki podszedł z powrotem do zewnętrznego okna i wyjrzał na peron. Stephanie stanęła tuż za nim. Czuł silną, drażniącą woń chemicznego środka, którego użyła do zrobienia sobie pasemek na włosach. Wyglądała inaczej. Dwadzieścia lat starzej. Stała lekko przygarbiona, a gdy się poruszyła, stawiała niepewne, chwiejne kroki. Ta przemiana zdumiała go. Nie było czasu na przefarbowanie jego włosów, lecz ścięła je bardzo krótko, a po nałożeniu lekkiego makijażu i okularów wyglądał nieco inaczej niż na zdjęciach opublikowanych w gazetach i istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by ktokolwiek się nim zainteresował.

Thum zaczął powoli topnieć. Zbliżała się godzina odjazdu. Co to było? pomyślał ponuro. Czego mu brakowało? A jeśli rozpoznano ich w Baltimore? A jeśli wypytywanie urzędników sprzedających bilety zajęło więcej czasu, niż przypuszczał? Ktoś będzie czekał na ten pociąg dalej na zachodzie. W Chicago.

*Zwątpienie w siebie prędzej czy później dopadnie każdego z nas, chłopcze.* Przed oczami ujrzał swego ojca i usłyszał jego głos. Nie mieli powodu, by przypuszczać, że ich rozpoznano, może oprócz faktu, iż taksjarsz rozmawiał z gliniarzami przed

dworcem. Mógł z nimi rozmawiać o pogodzie, o ruchu ulicznym, wynikach footballu, o czymkolwiek.

A uczucie, że ktoś ich śledzi, że ktoś ich obserwuje? Gdzie należało szukać źródła tego niepokoju? Gdzie mężczyzna lub mężczyźni nie pasujący do otoczenia na peronie; błysk w oczach stewarda, kiedy wsiadali do pociągu, nuta zawodu w jego głosie, gdy zapukał do drzwi? Nic. To paranoja. Jak w dawnych czasach; Sofia, Berlin Wschodni, Praga, Warszawa, kilka innych miejsc, jeszcze więcej incydentów sięgających ponad czternaście lat wstecz, aż szczęście, bądź raczej profesja, zawiodło go tamtej nocy w Moskwie. Odwrót, nie zapominaj nigdy o tylnym wyjściu, dzieciaku.

Chryste, znał przecież rutynowe postępowanie. Wiedział, jak się ukrywać, a jednak popełnił błąd; błąd, który przyczynił się do śmierci wielu niewinnych ludzi.

Pociąg ruszył i Stephanie wpadła na niego straciwszy równowagę. Podtrzymał ją wolną ręką, nie przestając wyglądać oknem, w miarę jak stacja zaczęła się oddalać. Nikt nie wbiegł w ostatnim momencie na peron. Nikt. Chwilę później zagłębili się ponownie w ciemnościach. Pozwolił, aby stora okienna opadła luźno, rzucił broń na kanapę i wziął w objęcia Stephanie.

Kiedy ich usta złączyły się w pocałunku, wzdrygnęła się gwałtownie, jakby ktoś właśnie przeszedł po jej własnym grobie.

Gienadij Potemkin postawił kołnierz swego ciemnoszarego płaszcza i poprawił profil filcowego kapelusza wybiegając z hallu hotelu Hyatt Regency dwie przecznice od stacji kolejowej. Rozejrzał się na wszystkie strony, po czym podszedł do zaparkowanego nie opodal lincolna continentalą.

Siedzący z tyłu przysadzisty, groźnie wyglądający mężczyzna, ubrany w zgrabnie skrojony smoking z białą chustą na szyi, wychylił się nieco, gdy kierowca otworzył nowo przybyłemu drzwi. Potemkin wsiadł bez słowa.

Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin wykraczały poza wszelkie wyobrażenie. Potemkin łudził się jeszcze nadzieją, której nie powinien już mieć, że ten człowiek uraczy go dobrymi wieściami. Iskierka nadziei przygasła w momencie, gdy spojrział w zimne oczy Włocha.

Kierowca usiadł za kierownicą i powoli odjechali od hotelu, zagłębiając się w szalejącej, utrudniającej jazdę burzy. O tej porze Waszyngton sprawiał wrażenie miasta obłożonego.

- Kurewska pogoda, co? - powiedział przysadzisty Włoch z silnym sycylijskim akcentem.

- Dużo ci zapłaciłem - odparł ostro Potemkin. - Nie przyszedłem tu wysłuchiwać tego pieprzenia o pogodzie.

Szef mafii odwrócił się i spojrział na Potemkina grobowym wzrokiem.

- Lepiej, żebyś posłuchał, bo minęliśmy się z nimi o włos.

Zimny dreszcz przebiegł przez serce Potemkina.

- Co?! - zawołał.

- Nie mieliśmy pewności co do pociągu, ale zabrakło nam nie więcej niż pół godziny.

- Dokąd jadą? Nie wysiedli tu, w Waszyngtonie? Jesteś pewny?

- Chicago.

- Na zachód - mruknął Potemkin z lodowatym spojrzeniem. - Jedźcie za nimi.

- To niemożliwe w taką pogodę, o to mi właśnie chodziło. Nic się nie rusza, to znaczy nic oprócz pociągów.

- Pojedźcie następnym pociągiem.

- Nie ma takiego.

Ciężki samochód zarzucił tyłem przy skręcie, lecz kierowca wyprowadził go na prostą. Potemkin rozważał wszelkie możliwości. Czuł, że traci kontrolę nad sytuacją. Zaczynało robić się niebezpiecznie. Tak niebezpiecznie, że trudno było utrzymać równowagę.

- Jesteś pewny, że to byli oni? Żadnych wątpliwości?

- Nasz człowiek odwiózł ich na stację. Dostaliśmy cynk z zewnątrz. Bez pudła. Powiedział gliniarzom, tak jak kazałeś, a potem zadzwonił do nas. Na pewno jadą tym pociągiem. Niestety, ustalenie tego zajęło nam trochę czasu.

- Nie można ich dogonić? - zapytał Potemkin, z trudem utrzymując nerwy na wodzy.

- Za cholereę - odparł Sycylińczyk, lecz wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jest jednak inna możliwość.

- No?

- To będzie kosztowało.

Potemkin spojrział z odrazą na swoje go rozmówcę.

- Do tego momentu nie wykonałeś niczego, za co ci zapłaciłem.

Sycylińczyk pochylił się nagle do przodu i chwycił Potemkina za poły płaszcza.

- Tam w Reston to był mój syn. Ten skurwiel go ukatrupił. Kapujesz, facet? Teraz mam w tym własny interes. Ale będzie cię to kosztować.

Bezgraniczna chciwość tego człowieka przechodziła wszelkie granice. Potemkin jednak miał już wcześniej do czynienia z podobnymi typami. Często.

- Dostaniesz swoje pieniądze - powiedział zmieniając ton.

Sycylińczyk puścił płaszcza.

- Jeszcze nie słyszałeś, ile...

- Nieważne, jaka to cyfra, dostaniesz, ile chcesz - wtrącił Potemkin. - Pod jednym warunkiem.

Sycylińczyk skinął z ociąganiem głową.

- Zapłacę, jak się powiedzie. Nie ujrzysz nawet centa, jeśli spieprzycie robotę.

- Połowa teraz...

- Nie - przerwał ponownie Potemkin. - Tylko za wykonaną robotę.

- Nie wkurwiał mnie. Jeden telefon do federalnych i jesteś ugotowany.

- Wiesz, co robimy ze zdrajcami? - zapytał chłodno Potemkin, czując po raz pierwszy, że odzyskał panowanie nad sobą. - Mamy coś takiego, co się nazywa *mokryje diela*. Wy strzelacie w kolano jako ostrzeżenie, my strzelamy w twarz. Twoja własna matka by cię nie rozpoznała.

Sycylińczyk roześmiał się.

- To mój teren, facet. Mój kraj.

- Nie bądź taki pewny - odpowiedział miękko Potemkin, a coś w tonie jego głosu powstrzymało szefa mafii.

Przez kilka minut jechali w ciszy. Minęli budynek Kapitolu, który na tle ciemnego nieba i padającego śniegu wyglądał bardziej jak makieta z Hollywood niż prawdziwa, masywna budowla. Działo się coś, czego Potemkin nie potrafił zrozumieć.

Odparowywał ataki na ślepo; w jedyny sposób, jaki znał, bezpośrednio i z ogromną siłą.

- W Chicago jest pewna rodzina - powiedział Sycylińczyk. - Są mi winni przysługę.

- Teraz nie może być pomyłek - skwitował Potemkin. - McAllister i dziewczyna nie mogą wydostać się z Chicago. W żadnym wypadku.

Zawrócili w kierunku hotelu Hyatt. W samochodzie zapadła złowroga cisza.

Potemkin pograżył się w posępnych myślach. Totalna kontrola, to było wszystko, lecz on zaczynał ją tracić i zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł zrozumieć jednej rzeczy,

nie potrafił objąć jej umysłem - a mianowicie porannego incydentu w parku College. Czy tak bardzo nie docenił McAllistera?

- Czy ten dupek to jeden z twoich ludzi? - spytał Sycylińczyk.

- Nie - odparł Potemkin kręcąc głową. - To zdecydowanie żaden z naszych. - Odwrócił się. - Zabij go. Tym razem na pewno.

Wczesnym rankiem wydostali się z obszaru ogarniętego burzą. Stephanie stała przy oknie patrząc na zmieniający się krajobraz. Silny blask księżyca przyćmiewał światło gwiazd. Miała na sobie jedynie długą bluzę. Stała przygarbiona z czołem przytkniętym do chłodnej szyby.

- Powinnaś się trochę przespać - odezwał się McAllister z dolnego łóżka.

- Ty też - odparła zmęczonym, prawie mechanicznym głosem.

- Przykro mi z powodu twojego ojca.

- Już to mówiłeś, ale co się stanie, jeśli w Kalifornii nie znajdziemy odpowiedzi?

- Porozmawiam z Highnote'em.

- A jeśli umrze albo stwierdzi, że nic nie może poradzić?

- Wówczas zwrócimy się do kogoś innego.

- Jeden z nich jest w Pentagonie, a drugi w Moskwie - odezwała się z pogardą w głosie. - Przestańmy się oszukiwać.

W świetle księżyca jej skóra wydawała się blada niczym bezcielesna powłoka ducha, lecz odnosił wrażenie, iż wyczuwa promieniujące od niej ciepło, jakby była pracującym na wolnych obrotach silnikiem, gotowym w jednej chwili ruszyć pełną parą. Kiedyś mógł oszczędzić jej życie odwracając się i odchodząc na zawsze. Teraz nie było już takiej możliwości i odczuwał pewien rodzaj żalu, który rywalizował w jego sercu z niepokojącym uczuciem zadowolenia.

Widział jej oddech malujący delikatną mgiełką szybę. Pociąg kołysał się rytmicznie, a późna pora sprawiała, iż ruch ten wydawał się niemalże hipnotyzujący.

Kiedy świt zaczął wdzierać się nieśmiało w krajobraz Indiany, kochali się delikatnie, czule, jakby obawiali się zranić siebie nawzajem. W pewnym sensie rzeczywiście odczuwali obawę, jak gdyby miał to być ich ostatni raz... prawdopodobnie tak było.

Zmęczeni przytulili się do siebie. Zaczęła opowiadać o swoim ojcu; kiedy była małą dziewczynką i żyła jej mama, i potem, kiedy wróciła z college'u, żeby być przy nim. Był jej opoką, mentorem, najlepszym przyjacielem, powiernikiem, jedyną osobą na świecie, przed którą nie musiała przywdziewać fałszywej maski, jedyną osobą na tym świecie, która kochała ją taką, jaką była.

Wsluchując się w jej słowa, McAllister pomyślał o swoim ojcu; chociaż darzył starca głęboką miłością i szacunkiem, czuł się oszukany. Nie mógł pogodzić się z jego śmiercią, a przede wszystkim ze sposobem, w jaki zakończył swoje życie.

Jego śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek. W rzeczywistości po prostu wypalił się i popełnił samobójstwo.

Nie zostawił żadnej kartki, żadnego wyjaśnienia, pożegnalnych słów. McAllister nie potrafił przypomnieć sobie samego pogrzebu, lecz z najmniejszymi detalami pamiętał koszmar, w którym wyobrażał sobie ojca leżącego samotnie w ciemnym, zimnym grobie na szczycie targanego wichrami wzgórza.

## Rozdział 26



Wjechali do miasta od strony południowej, kilka minut po ósmej. Tory skręcały w bok od jeziora Michigan. Na autostradzie Dan Ryan panował duży śnieg. W oddali wystrzelała w kobaltowoniebieskie niebo wieża Sears. Burza śnieżna nie dotarła do Chicago i tylko gdzieś na ulicach leżały brudne kupki topniejącego śniegu. Wydawało się, że na zewnątrz panuje przenikliwy chłód.

Przez cały ranek Stephanie pracowała nad charakterystyką swoją i McAllistera, starając się nadać ich twarzom zniszczony wygląd. Po kilku godzinach zmienili się nie do poznania. Spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze. McAllister niemalże uwierzył, że nie jest sobą. Wyglądał na wojskowego.

Pociąg zwolnił przy wjeździe do miasta, by po chwili zagłębić się w ciemność tunelu, który miał ich zaprowadzić na Dworzec Union usytuowany w samym centrum. Stephanie wstała, kiedy McAllister włączył światła w przedziale, i z kieszeni płaszcza wyciągnęła pistolet. Wyjęła z kolby magazynek, a następnie nabój z komory. Wcisnęła go delikatnie do magazynka, który wsunęła z powrotem do kolby pistoletu, i zanim włożyła go do kieszeni, załadowała energicznie, sprawdzając, czy broń jest odbezpieczona.

Podniósłszy wzrok napotkała nieruchome spojrzenie McAllistera.

- Wczoraj nie żartowałam - powiedziała, a McAllister nie dostrzegł czułości, która gościła w jej oczach minionej nocy.

- Nie stań się taka jak oni - odezwał się.

- Nie chcę tego słuchać - warknęła.

Najwyraźniej gniew walczył w niej z przerażeniem.

- Nie możemy walczyć z nimi wszystkimi, nie w ten sposób.

- Nie?

- Nie - odparł McAllister. - Zrobisz to po mojemu i zastosujesz się do moich instrukcji.

- Tylko do chwili, gdy ktoś spróbuje mnie zaarrestować. Nie mam zamiaru do tego dopuścić.

- Zastrzełiłabyś niewinnego gliniarza wykonującego swoje obowiązki?

- Jeśli zajdzie taka konieczność - odparowała.

McAllister wyciągnął rękę.

- Daj mi swój pistolet - powiedział.

Cofnęła się o krok i pokręciła przecząco głową, unosząc lekko lewą brew

- Nie.

- Nie rób tego - poprosił McAllister. - Chcę twój pistolet.

- Do cholery, Davidzie... - zaczęła protestować, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Gestem ręki nakazał jej milczenie.

- Tak?! - zawołał.

- Pięć minut do stacji, prze państwa - zakomunikował męski głos.

Nie był to ten sam steward co zeszłego wieczoru.

- W porządku, dziękujemy - odparł McAllister.

- Jakby mnie pan wpuścił, pomogę z bagażami - zaferował pomoc mężczyzna, lecz McAllister wyczuł niepokojącą nutę w jego tonie.

Odniósł wrażenie, że już wcześniej słyszał ten głos, albo jakiś podobny. Gdzie?

Klamka zaczęła się powoli obracać.

- Załatwię państwu bagażowego.

Miał włoski akcent. Pokryta śniegiem droga, ciemnobrązowy thunderbird. Człowiek w kurtce lotniczej. Ten sam akcent. New Jersey. Mafia. Mafia kontrolująca część związku Teamsters. Taksówki, stewardzi w pociągach?

Oczy Stephanie rozszerzyły się nagle. Zrozumiała to samo co on. Wyciągnęła pistolet z kieszeni płaszcza. McAllister ruchem ręki wskazał, by odsunęła się na bok. Wyciągnął swoją broń i wyłączył światło w przedziale. Otoczyła ich ciemność.

- W porządku! - zawołał. - Za chwilę!

Podszedł do drzwi i bezgłośnie przekręcił zamek. Zerknął na Stephanie, po czym otworzył drzwi na oścież.

Na korytarzu stał niski, krępy mężczyzna o grubo ciosanej twarzy. Niebieską czapkę stewarda miał zsuniętą na tył głowy, a prawą rękę trzymał pod kurtką z baraniej skóry. Ujrawszy McAllistera rozdziawił usta ze zdziwienia,

- Co? - wyjąkał.

McAllister chwycił go za kurtkę i wciągnął do przedziału obracając dookoła, po czym przycisnął go do drzwi łazienki i przyłożywszy pistolet do szyi, lewą ręką przytrzymał jego uzbrojone ramię.

Stephanie zamknęła drzwi na klucz, po czym włączyła światło. Oczy zamachowca wychodziły niemalże z orbit i ciężko, raz za razem, przełykał ślinę. Nie stawiał oporu.

- Stora - rzucił krótko McAllister.

Stephanie zasłoniła okno.

- To pomyłka - zaskrzeczał z trudem mężczyzna, jako że lufa pistoletu wciskała mu się w szyję.

- Żadna pomyłka - stwierdził McAllister. - Kto cię nasłał?

- Nie wiem, o czym pan mówi - zaprzeczył mężczyzna, lecz bez wątpienia kłamał.

Stephanie wyciągnęła jego rękę spod kurtki, po czym sięgnęła pod spód i w jej dłoni pojawił się duży magnum 357 z grubym tłumikiem dokręconym na końcu skróconej lufy. Straszliwa broń, szczególnie na małe odległości.

- Kto cię nasłał? - zażądał McAllister przyciskając lufę pistoletu do gardła mężczyzny. - Gadaj albo rozwalę cię na miejscu.

- Nie wiem - wycharczał. - Otrzymaliśmy rozkazy ze wschodu, że ty i ta cizia jedziecie tym pociągiem. Wsiadłem w Dyer.

- Od kogo te rozkazy?

- Nie wiem, przysięgam na Boga, że nie wiem. Dostaliśmy tylko telefon. To wszystko.

- Czy ktoś czeka na nas na stacji?

- Nie - odparł mężczyzna. Stephanie przytknęła mu do skroni zaopatrzonego w tłumik rewolwer. - Tak... tak! - zawołał.

- Ilu?

- Czterech. Bagażowy. Dwóch przy schodach i taksjarski na zewnątrz.

- Jak ich rozpoznamy?

- Wszyscy są ubrani tak jak ja, oprócz bagażowego.

- A zatem co? - spytał McAllister. - Jakie dostałeś rozkazy? Dokładnie.

- Miałem was tylko pojmać. Nic więcej.

Pociąg zaczął zwalniać, aż wreszcie zatrzymał się.

Stephanie odwiodła kurek magnum.

- O Jezus Maria, Matko Boska - wyjąkał mężczyzna. - Miałem was zabić. A gdyby mi się to nie udało, mieli zastrzelić was na peronie albo na ulicy. Gdziekolwiek. Nie mogliśmy zawieść. To była wielka robota.

- Kto cię nasłał? Musisz znać nazwisko.

- Przysięgam, nie wiem.

- To była wielka robota? - zapytała Stephanie.

- Taak, taak, ważna, już mówiłem...

- Taka jak w Baltimore? - spytała Stephanie.

- Taak, tak jak w Baltimore... - odparł mężczyzna.

McAllister w ostatniej chwili uświadomił sobie, co miało się wydarzyć, lecz było już za późno, by ją powstrzymać. Cofnął się o krok, kiedy z gardła Stephanie dobył się zwierzęcy jęk i dziewczyna pociągnęła za spust.

Głowa mężczyzny uderzyła o drzwi łazienki. Tylne części czaszki została oderwana, a oczy, nos i usta wypełniły się krwią, gdy ciało bezwładnie osunęło się na podłogę.

Stephanie trzęsła się gwałtownie, wciąż mierząc z rewolweru w nieruchomą postać.

- O mój Boże - załkała cicho.

Łzy spływały jej po policzkach.

Pociąg zatrzymał się. Na zewnątrz w korytarzu usłyszeli kroki wysiadających pasażerów. Pozostali zamachowcy będą czekać na peronie na tego człowieka, albo na młodą parę, która wysiądzie z pociągu. Musieli zniknąć stąd jak najszybciej, teraz kiedy mieli jeszcze trochę czasu w zapasie i dobre przebrania.

- Ja go zabiłam - bełkotała Stephanie. - Mój Boże, jego... głowa...

McAllister wsadził pistolet za pas i chwyciwszy Stephanie za ramiona odwrócił ją od nieprzyjemnego widoku.

- Przestań - warknął.

Spojrzała mu w oczy. Znajdowała się na granicy omdlenia.

- Posłuchaj mnie, Stephanie. Miałaś do wyboru: albo on, albo my. Wysłano go, aby nas zabił. Nie mogłaś postąpić inaczej.

- Zastrzeliłam go - wyjąkała.

- Tak, a teraz musimy stąd zniknąć. Natychmiast. - Wyjął jej z dłoni ciężkie magnum i położył je na łóżku. Następnie pomógł Stephanie włożyć płaszcz, schował jej pistolet do swojej kieszeni, po czym ubrał się i podniósł walizki.

- Nie. - Nagle obudziła się z odrętwienia. - Davidzie, oni czekają tam na nas.

- Jeszcze nie wiedzą, jak wyglądamy. Ani że temu tam się nie udało. Nie mamy jednak zbyt wiele czasu. Musisz się wziąć w garść. Natychmiast!

Kręciła przecząco głową, cofając się powoli. McAllister postawił walizki, złapał ją za rękę i uderzył w twarz. Głowa dziewczyny odskoczyła gwałtownie w tył, a z otwartych ust wydobył się krótki krzyk.

- Musimy się stąd wydostać. Stephanie! Natychmiast! - zawołał.

Wzięła głęboki wdech, skinęła głową i wyprostowała się.

- Tak - powiedziała. - Już dobrze. Musimy iść.

Odwróciła wzrok od nieruchomego ciała na podłodze, a McAllister podniósł walizki. Przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, po czym otworzył je i wyszedł na korytarz. Jakaś młoda para zatrzymała się z szacunkiem, pozwalając im opuścić przedział i zamknąć drzwi. McAllister skinął w podziękowaniu głową, uśmiechnął się i powędrował na koniec wagonu utykając wyraźnie. Stephanie podążała bezpośrednio za nim.

Będą musieli wydostać się z tej stacji jak najszybciej. Tamci odkryją wkrótce, co się stało. W obecnych okolicznościach zniknięcie na kilka dni przestało wchodzić w rachubę. Szybkość stała się ich jedyną możliwością obrony.

Rób to, co niespodziewane. Uderz. Zadawaj bolesne ciosy, aż zaczną krwawić. Wyprowadzaj ich z równowagi. Przeraż ich tak, żeby zaczęli popełniać błędy.

Steward pomógł McAllisterowi zejść z wysokiego stopnia, po czym podał dłoń Stephanie.

- Mam nadzieję, że mieliście państwo dobrą podróż - powiedział uprzejmie.

McAllister skinął machinalnie głową, penetrując wzrokiem ruchliwy peron. Potężnie zbudowana dziewczyna w mundurze bagażowego stał jakieś sześć metrów

dalej przyglądając się im uważnie, lecz odwrócił wzrok, kiedy kolejni pasażerowie zaczęli wyłaniać się z pociągu.

Stephanie ujęła McAllistera pod rękę i razem ruszyli wzdłuż peronu ku bramom, mijając po drodze tłum ludzi, wśród których dwóch mężczyzn w kurtkach z baranej skóry bacznie obserwowało wysiadających pasażerów. Weszli na ruchome schody prowadzące do głównej sali biletowej.

Obszerny, wykwintnie zdobiony budynek dworca przystrojono świątecznymi dekoracjami. Bożonarodzeniowa muzyka rozbrzmiewała z sieci megafonów, przerywana jedynie zapowiedziami przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów. Mnóstwo ludzi spieszyło we wszystkie strony. Dwóch policjantów stało przy głównych drzwiach.

- Spokojnie - wyszeptał nie poruszając ustami, a Stephanie silniej przytuliła się do jego ramienia.

Gliniarze ledwie na nich spojrzeli. Minęli główne wejście i wyszli prosto w ramiona mroźnego poranka. Przenikliwy wiatr dmuchał od strony jeziora, taksówki przyjeżdżały i odjeżdżały. Kierowca jednej z pierwszych miał na sobie kurtkę z baranej skóry, dokładnie taką jak ci na peronie i człowiek, który został w pociągu. Podobnie jak tamci rzucił w ich stronę szybkie spojrzenie, lecz ujrawszy dwoje ludzi w średnim wieku, skoncentrował uwagę na wyjściu z dworca.

McAllister rzucił walizki na tylne siedzenie pierwszej taksówki i razem ze Stephanie wsiedli do środka.

- Gdzie jest najbliższy szpital?

Taksjarsz popatrzył na nich.

- Choryś pan, czy co?

- Moja żona będzie rodzić - wyjaśnił bez wahania McAllister.

Na twarzy kierowcy odmalowało się zdumienie, lecz po chwili roześmiał się szeroko.

- Taak, no pewno, dziecko - powiedział. - Szpital Miłosierdzia jest kilka przecznic stąd. Może być?

- W porządku - odparł McAllister. - Właściwie chodzi o moje serce.

- Wytrzymasz pan? Będziemy tam migiem.

- Powoli i spokojnie - powiedział McAllister z południowym akcentem.

\* \* \*

Wysiedli przed wejściem do pogotowia i zaraz po odjeździe taksówki przeszli przez szpital do głównego hallu. McAllister zadzwonił z automatu po następną taksówkę, tym razem na lotnisko O'Hare.

Oczekując na taksówkę McAllister wszedł do męskiej toalety. W jednej z kabin szybko złamał obydwa rewolwery, rozładował magazynki i rozłożywszy broń na części, rozłokował je wraz z pociskami we wszystkich trzech walizkach. Miał nadzieję, że trafią bezpośrednio do luków bagażowych. Nie spodziewał się żadnych kłopotów.

- Dokąd jedziemy? - spytała ospale Stephanie, kiedy minęło bezpośrednio niebezpieczeństwo i uświadomiła sobie wyraźnie, co uczyniła.

- Los Angeles - odparł McAllister. - Najwyższy czas odparować cios.

## **Rozdział 27**

Samolot wylądował na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles dokładnie o trzynastej trzydzieści. McAllister zajął się bagażami, a Stephanie czekała na niego przy przejściu prowadzącym na parking. Nie mieli żadnych problemów z załatwieniem lotu

z Chicago. Nikt też nie pytał, co zawierają ich bagaże. Mimo to lot był dość ciężki; dla niego, ponieważ nie miał pojęcia co zastaną po wyjściu z samolotu, a dla Stephanie z uwagi na to, co zrobiła.

*Zabiłam w imię zemsty. To nie był przyjemny widok i nie jestem wcale z siebie dumna. Ten czyn nie dał mi spełnienia, jakiego się spodziewałam.*

*Pomóż mi Davidzie. Wierzę w ciebie. Proszę, przytul mnie i na miłość boską, nigdy nie pozwól mi odejść.*

Nie potrafił jej pomóc. Nie teraz, dopóki nie skończy się to szaleństwo. W jakiś sposób wysledzono ich w Chicago. Wiadomość pewnie już dotarła do Waszyngtonu: Jada na zachód! Powstrzymać ich, za wszelką cenę powstrzymać!

- Dobrze się czujesz? - zapytał podając jej rękę.

Pobladała, a na jej czole lśniły drobne kropelki potu. W Los Angeles było znacznie cieplej niż w Baltimore czy Chicago, poza tym strasznie się denerwowała.

- Rozpoczną poszukiwania, jak tylko się zorientują, że wyjechaliśmy z Chicago - powiedziała.

- Prawdopodobnie tak - odparł McAllister. - Będziemy musieli się szybko przemieszczać.

- W jaki sposób? Nie możemy wynająć samochodu, nie teraz, nie na nasze nazwiska.

- Masz rację - przyznał. - Ukradniemy wóz.

Pojechali ruchomym chodnikiem na długoterminowy parking w zewnętrznej części budynku. Winda zabrała ich na szósty poziom, gdzie kazał Stephanie zaczekać na siebie, a sam ruszył wzdłuż rzędów samochodów szukając odpowiedniego wozu.

Po pięciu minutach wpadł mu w oko jeden z nowszych modeli mercedesa 300D. Na tablicy rozdzielczej leżał bilet długoterminowy. Na podjeździe panował spory ruch, ale nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który zestawem wytrychów zaczął rozpracowywać zamek od strony kierowcy.

Data i czas podstemplowane na bilecie wskazywały na dzisiejszy ranek.

Właściciel samochodu nie zostawiłby go tutaj, gdyby nie planował rozstania na co najmniej jedną noc, a to oznaczało, że upłynie przynajmniej osiemnaście godzin, zanim podniesie alarm.

W ciągu dwudziestu sekund centralny zamek uległ i wszystkie drzwi stanęły otworem. Usiadł za kierownicą, znalazł przycisk otwierania bagażnika, wcisnął go i kłapa drgnęła lekko.

Obszedł wóz i otworzył bagażnik. Znalazł zestaw narzędzi w które, jak wiedział, zaopatrywano wszystkie nowe mercedesy, i wyjął największy śrubokręt z płaską końcówką. Zamknął pokrywę bagażnika i ponownie usiadł za kierownicą.

Niebieski chevrolet pick-up minął go powoli, skręcił za rogiem i skierował się do wyjazdu.

McAllister wsadził ostrze śrubokręta między stacyjkę a kolumnę kierownicy i wyważył ją ostrym skrętem, wkładając w to siłę swych mięśni.

Stacyjka wypadła zgrabnie z otworu, odsłaniając zwój drutów i drążek kierowniczy.

Ponownie sprawdził, czy nikt go nie obserwuje, po czym zerwał izolację z trzech kolorowych drutów, skręcił dwa z nich razem i używając śrubokręta zrobił krótkie spięcie między złączonymi drutami a trzecim. Silnik mercedesa zawarczał głośno.

Rozpoczęło się odliczanie i chociaż nie miał pojęcia, co znajdują, jeśli w ogóle cokolwiek, wiedział, że nie ma dla nich odwrotu.

Olbrzymia aglomeracja rozłożyła się na rozległym, malowniczym obszarze. O czternastej trzydzieści na szerokich drogach wylotowych z Los Angeles panował duży

ruch. Za kilka godzin utkną w gigantycznym korku. Kathleen O'Haire mieszkała w Canoga Park, przyjemnej dzielnicy na przedmieściach Valley, jakieś trzydzieści kilometrów na północ od lotniska. McAllister był w Los Angeles tylko dwukrotnie w swoim życiu, lecz Stephanie całkiem dobrze poznała to miasto podczas służby w siłach powietrznych.

Przez wiele lat Sieć Zebra prosperowała wręcz wspaniale. James O'Haire, wychowanek Oddziałów Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych, zagłębił się w świat tak zwanego żołnierza fortuny, walcząc przez jakiś czas w Ameryce Środkowej, a potem w Afryce, gdzie przypuszczalnie w Libii nawiązał kontakty z Sowietami.

Jak wiele wiedziała jego żona? Jej nazwisko pojawiło się w dokumentach Agencji, a jednak nigdy nie została aresztowana. Możliwe, że nic nie wiedziała.

- A jeśli ona jest tylko ślepą uliczką? - zapytała Stephanie.

Dotarli do Sherman Oaks i skręcili na zachód w ulicę Ventura. McAllister spojrział na dziewczynę.

- Wówczas spróbujemy u Denby'ego w San Francisco.

- A on? Jeśli on również okaże się ślepą uliczką?

- Nic wiem. Zobaczymy.

- Zobaczymy - powtórzyła i umilkła przyglądając się przez okno podnózom gór majaczącym w oddali.

Po drodze z lotniska wydobyła z bagaży części pistoletów i złożyła je; lekką automatyczną trzydziestkędwójkę z wyraźną wprawą i P38 z niewielką pomocą z jego strony.

- Nie uczyli nas tego w szkole - wyjaśniła.

Zanim wręczyła McAllisterowi pistolet Douga Ballingera, obróciła go w dłoniach kręcąc głową.

- O co chodzi? - spytał.

Podniosła głowę.

- Ciągle myślę, że to wszystko nie powinno było się zdarzyć - odparła. - Z drugiej strony, pewna część mego ja podpowiada mi, że nie mogło być inaczej.

- Jeśli my nic wygramy, oni zwyciężą.

- Tym razem - odezwała się. - Ale zawsze będzie inny raz. To się nigdy tak naprawdę nie skończy.

Zapadła cisza. McAllister skoncentrował się na prowadzeniu wozu. Duży samochód gładko lawirował między innymi pojazdami. Odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno.

W Canoga Park skręcili w szeroką, bezdrzewną, typową dla południowej Kalifornii ulicę. Po obu stronach ujrzeni długie, niskie domy z dwoma garażami i wybetonowanymi podjazdami. Wszędzie stały samochody osobowe, furgonetki, przyczepy kempingowe i rowery. Na niektórych podwórzach widać było naziemne baseny, na innych patia z sekwojami. Identyczność tych budynków wprawiała w pewne przygnębienie; wielka amerykańska groźba, którą O'Haire'owie i ich szpiegowska siatka próbowali z takim zapalem zniweczyć.

Dochodziła piętnasta trzydzieści, kiedy wolno minęli dom Kathleen O'Haire. Przed otwartymi drzwiami garażu stał biały camaro. Z tego co McAllister zdążył zaobserwować, dom wydawał się opustoszały, lecz należało przypuszczać, że kobieta znajduje się w środku.

Na rogu zawrócił i przejechał dwie przecznice do sklepu 7-Eleven przy ulicy Shennana, skąd Stephanie zadzwoniła z automatu do Kathleen O'Haire. Po pierwszym sygnale w słuchawce rozległ się głos kobiety mówiącej z przyjemnym, południowym akcentem. Stephanie natychmiast przerwała połączenie.

- Jest w domu.
- A zatem poczekamy - powiedział McAllister wyjeżdżając z parkingu.
- Na co?
- Aż wyjdzie, żebym mógł spokojnie rozejrzeć się po domu.
- Albo na kogoś, kto nas szuka - powiedziała Stephanie.
- Chyba że tak - odparł McAllister.

Zaparkowali na rogu, pół przecznicy od domu Kathleen O'Haire McAllister nie wyłączył silnika, a jego oczy systematycznie penetrowały ulicę, domy, zaparkowane pojazdy. Nic nie wzbudzało podejrzeń. Żadnych obserwatorów. Nikt na nikogo nie czekał, chyba że znajdował się w środku z kobietą. Brał pod uwagę taką możliwość, lecz nie wiedząc czemu wątpił w to. Jeśli Kathleen O'Haire należała do siatki, ich oficer nadzorujący zostawiłby ją teraz samą. Jeśli nic nie wiedziała, nie było powodu, żeby ją nachodzić, chyba że ktoś się domyślił, iż on i Stephanie zjawią się tutaj prędzej czy później.

Zapałił papierosa i wciągnął dym głęboko w płuca, bębniąc palcami po kierownicy. Nigdy nie radził sobie dobrze z oczekiwaniem, choć miał na tym polu sporo doświadczenia.

*Cierpliwość musi stać się częścią twego fachu, chłopcze, mawiał jego ojciec. Sukces przychodzi do tych, którzy czekają... obserwują.*

Stephanie pogrążyła się we własnym świecie. Nie widzącymi oczami spoglądała na ulicę; postrzegała jedynie krew, śmierć i bezsensowne dzieło zniszczenia.

Patrzył w tym samym kierunku co ona i zastanawiał się, czy widzi to samo. Zwyczajna dzielnica, zamieszkała przez obywateli klasy średniej, nic poza tym. Stosunkowo spokojna w ciągu tygodnia - inkasenci, śmieciarze, mechanicy, roznosiciele gazet, poczta. Wieczorem domy rozbłysną światłami, dzieciaki powrócą ze szkoły. W weekendy zabuczą kosiarki do trawy, zadymią grille, rozlegnie się gwar hałaśliwych przyjęć - przy basenie albo przy bilardzie. Do czego zmierzali James O'Haire, jego brat i pozostali? Jakie mogli mieć pretensje do tych domowych scenek?

*Uważaj na człowieka, który staje się cikliwy w tym biznesie, chłopcze. Nie ma miejsca na czcze słowa i sentymenty. Mogłoby cię to kosztować życie. Żadnych różowych okularów. To prawdziwy świat.*

Kilka minut przed piątą Kathleen O'Haire wyszła z domu. Była postawną kobietą, wysoką o rudych włosach. Wsiadła do samochodu i tyłem wyjechała z podjazdu.

McAllister opuścił auto, a Stephanie wślizgnęła się za kierownicę.

- Kiedy wróci, zadzwoń do domu. Po dwóch sygnałach odwieś słuchawkę.

- Dlaczego sądzisz, że zaraz wróci?

- Nie zamknęła drzwi od garażu - odpowiedział McAllister.

Stephanie skinęła głową.

- Daj nam pięć minut, a potem wejdź - poinstruował McAllister. - Ale uważaj na siebie. I cholernie dobrze się upewnij, że nikt jej nie śledzi i nie rozpozna przy okazji ciebie.

- Życzę szczęścia.

- Ja tobie też - odparł McAllister.

Tak wiele chciał jej posiedzieć, lecz teraz nie mieli czasu na rozmowy. Przeszedł przez ulicę, a Stephanie ruszyła za camaro Kathleen O'Haire i skręciwszy za rogiem, wcisnęła mocniej pedał gazu.

Młoda dziewczyna z długimi włosami wystającymi spod czapki baseballowej, z płóciennymi torbami na gazety doczepionymi jak juki do siodełka z tyłu roweru, przeminęła obok niego, rzucając gazety na trawniki ze zręcznością wskazującą na spore doświadczenie. Cztery domy od budynku O'Haire'ów kilku chłopców grało w

koszykówkę na podjeździe. Przez uchylone okna jednej z willi po przeciwnej stronie ulicy dolatywały dźwięki muzyki. Zwyczajne odgłosy i scenki, pomyślał.

McAllister podniósł gazetę Kathleen O'Haire i spokojnie przeszedł po podjeździe. W garażu panował bałagan; sterty śmieci leżały po kątach, mała zamrażarka stała w rogu przy drzwiach do kuchni obok zmywarki do naczyń i suszarki. Nigdzie nie dostrzegł zabawek. Czytał, że O'Haire'owie nie mają dzieci. Przez moment zastanawiał się, czy brakowało im rodziny równie silnie jak czasami jemu.

Drzwi od kuchni nie były zamknięte na zamek więc ostrożnie wszedł do środka. Naprzeciwko wejścia znajdowały się zlew, kuchenka, lodówka i zmywarka do naczyń. Za oknem w całkiem przyjemnym ogrodzie ujrzał naziemny basen. Rzucił krótkie spojrzenie w lewo w stronę jadalni. Wysoka oszklona szafka stała naprzeciwko dębowego stołu otoczonego krzesłami, na którego środku postawiono koszyk wypełniony owocami. Położył gazetę.

Ponownie uderzyła go zwyczajność całej okolicy, a w szczególności samego domu. Z tego miejsca rozpoczęła działalność jedna z najsprawniej operujących siatek szpiegowskich, jakie kiedykolwiek istniały w tym kraju. Może konspiratorzy wieczorami siadywali wokół tego stołu w jadalni, aby rozmawiać o swoich strategiach, dzielić dochody i planować akcje.

Czy Kathleen O'Haire brała w tym czynny udział? Czy może przyrządzała kawę, serwowała kanapki dla męża, szwagra i pozostałych członków siatki? A może kiedy rozmawiali grając w pokera, odsyłali ją do znajomych czy sąsiadów?

Owładnął nim wszechogarniający strach, gdy pomyślał, że podjęli straszliwie błędną decyzję przychodząc do tego domu. Kathleen O'Haire mogła być niewinną ofiarą. W takim przypadku pojawiając się tu wystawiał ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jej nazwisko figurowało jednak w dokumentach Agencji. Niewątpliwie dlatego, że istniało przynajmniej podejrzenie, iż wie coś wartościowego dla śledztwa.

Mała alkowa wiodła prosto z jadalni do łazienki, za którą znajdowała się sypialnia. Po lewej szeroki łuk otwierał się na mały, lecz przyjemnie umeblowany pokój gościnny. Jedną ścianę zajmowały półki z kilkoma książkami, sprzętem stereo, dekoracyjnymi drobiazgami i paroma zdjęciami. Duży, obramowany plakat wiszący nad kanapą przedstawiał pejzaż, który równie dobrze mógł znajdować się w Irlandii: zamek osadzony na wzgórzu, otoczony soczystą zielenią doliny. Tuż przy oknie stała mała choinka z błyszczącymi ozdobami. Nie było pod nią żadnych prezentów. Korytarz prowadził na prawo przez drugą łazienkę ku trzem sypialniom. Zachodzące słońce wysyłało smugi światła przez okna na tyłach domu.

McAllister zmusił się, żeby zająć się tym, po co tu przyszedł. Począwszy od zaplecza, szybko i skutecznie przeszukał wszystkie pokoje, zaglądając do szafek, komód z szufladami, za obrazy na ścianach, do apteczki, za muszlę klozetową, pod łóżka, za zasłony. Sprawdził nawet w lodówce, w kuchence i zmywarce do naczyń. Nie znalazł niczego, co w jakimkolwiek stopniu łączyłoby Kathleen O'Haire ze szpiegowską działalnością jej męża. Jedną z szaf całkowicie wypełniały jego ubrania, podobnie zresztą jak dużą komodę z szufladami, lecz pośród tych rzeczy nie było nic, co dostarczałoby jakichkolwiek wskazówek.

Dawno już minęła szósta i za oknami zaczął zapadać zmrok, kiedy telefon w pokoju gościnnym zadzwonił dwukrotnie. Sygnał ostrzegawczy Stephanie. McAllister wyszedł z kuchni z rewolwerem w rękę, kiedy Kathleen O'Haire zaczęła mówić.

*Dzień dobry, tu mieszkanie państwa O'Haire'ów. Przykro mi lecz nie mogę odebrać telefonu, ponieważ nie ma mnie w domu. Na pewno oddzwonię, jeśli zostawią państwo swoje nazwisko, numer i krótką wiadomość po usłyszeniu sygnału.*



To sekretarka.

Rozbrzmiał długi, ciągły sygnał, po którym nastąpił ton wybierania numeru, który zamarł po paru sekundach.

McAllister spojrział na aparat. Widział go już wcześniej, lecz zlekceważył podczas pierwszych poszukiwań. Przewinął taśmę z wiadomościami i nacisnął guzik „play”.

Telefon zapiszczał, przez sekundę czy dwie rozbrzmiewał sygnał wybierania numeru, ucichł, aparat ponownie zapiszczał i rozległ się kolejny sygnał. To rozmówcy, którzy nie chcieli rozmawiać z maszyną i odwiesili słuchawkę natychmiast po usłyszeniu wiadomości Kathleen O’Haire.

Aparat zadzwieczał ponownie, lecz tym razem z głośnika doszedł kobiecy głos: *Nie cierpię tej cholерnej maszyny, Kate. Tu Chris, oddzwoń jak najszybciej. Cześć.*

Rozległy się dwie serie sygnałów, po czym szósty rozmówca odwiesił słuchawkę.

Z początku McAllister słyszał niewiele albo właściwie nic, więc podkreślił głośność. Na linii rozległ się delikatny, głuchy syk. Rozmowa zamiejskowa. Potem odezwał się męski głos:

*Pani O’Haire, bardzo bym chciał jak najszybciej z panią porozmawiać. Nie zna mnie pani, lecz zapewniam, że to sprawa najwyższej wagi, związana z pani bezpieczeństwem... szczególnie w obliczu tego, co ostatnio wydarzyło się w Waszyngtonie i oczywiście w Illinois.*

Głos wydal się McAllisterowi dalece znajomy. Ale skąd? Nie potrafił przypisać go konkretnej osobie.

Może pani dzwonić o każdej porze dnia i nocy, lecz jak najszybciej. Naprawdę musimy porozmawiać. To niesłychanie ważne. Mój numer kierunkowy 273, a dalej 202 - 456 - 1414.

McAllister wpatrywał się w telefoniczną sekretarkę z na wpół otwartymi ustami. Nagle zabrakło mu tchu. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Absolutnie. Nie potrafił połączyć tego głosu z nazwiskiem, lecz natychmiast rozpoznał numer. Kierunkowy wskazywał na Waszyngton. Numer należał do Białego Domu!

Połączenie zostało przerwane, jednakie sygnał wybierania numeru buczał jeszcze przez chwilę, po czym umilkł. Reszta taśmy nie została zapełniona. To była ostatnia rozmowa. Kiedy się odbyła? Czy Kathleen wysłuchała jej? Czy wyszła w odpowiedzi na telefon, żeby zadzwonić spoza domu?

Jak to możliwe, żeby ktoś z Białego Domu tak otwarcie dzwonił do żony oskarżonego o szpiegostwo mężczyzny, a potem zostawiał numer, żeby oddzwoniła? Co tu nie grało?

Zwracaj uwagę na anomalie, uczył go na Farmie stary mędrzec Agencji Wallace Mahoney. Szukaj kawałków, które zdają się nie pasować do całości. Być może tam znajdziesz prawdę lub przynajmniej strzałkę wskazującą dobry kierunek.

Camaro Kathleen O’Haire zatrzymał się na podjeździe. Wysiadła niosąc torbę z zakupami i weszła do garażu.

McAllister czekał w ukryciu w pokoju gościnnym, dopóki nie usłyszał, że kuchenne drzwi od strony garażu otwierają się, a po chwili zamykają.

Wyłonił się zza rogu. Kathleen O’Haire stała przy blacie, wciąż trzymając w ręku torbę z zakupami. Ujrzawszy go otworzyła szeroko oczy i upuściła ją. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Och - wyjąkała, a wzrok jej powędrował do pistoletu w dłoni McAllistera.

## Rozdział 28

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z panią o Sieci Zebra - odezwał się McAllister.  
- Mój mąż nie żyje! - krzyknęła wyciągając przed siebie ręce, jakby chciała go odgonić. - To już skończone.

McAllister schował rewolwer i rozłożył ręce na znak, że nie zamierza zrobić jej krzywdy. Zerknęła ku drzwiom. Chciała uciekać, lecz strach i niepewność trzymały ją w miejscu. Miała zaczerwienione oczy i wyglądała, jakby nie spała od wielu dni.

- Oprócz pani męża i szwagra straciło życie zbyt dużo ludzi. Chcę z tym skończyć.

- Kim, na Boga, pan jest? - zapytała. - Nie znam pana. Co pan robi w moim domu? Zawołam policję. Proszę wyjść!

- Nazywam się David McAllister i obawiam się, że nie mogę wyjść. Jeszcze nie teraz. Potrzebuję pani pomocy.

- O mój Boże! - zawołała. - Jim jeszcze nie zdążył spocząć w grobie. Odejdź, człowieku!

- Proszę.

Zerwała się nagle, lecz McAllister złapał ją, zanim zdążyła otworzyć drzwi, wciągnął z powrotem do kuchni i przycisnął do lodówki, trzymając jej ręce z tyłu i napierając na nią swoim ciałem. Pomimo potężnej postury nie dorównywała mu siłą. Po kilku chwilach przestała się szamotać i z rozchyłonymi ustami spojrzała mu w twarz mrugając nerwowo.

- Nie chcę pani skrzywdzić, pani O'Haire. Przysięgam. Potrzebuję odpowiedzi i nie stać mnie na zbytnią delikatność.

- Nic nie wiem, przysięgam na Boga. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Z czym?

- Oni nie żyją! Zostaw mnie w spokoju!

- Przez długi czas zajmowali się szpiegostwem. Musiała pani coś podejrzewać.

- Nie! - wrzasnęła próbując ponownie się wyswobodzić, lecz przycisnął ją jeszcze mocniej do lodówki. Oddychała nierówno i czuł, jak serce łomocze jej w piersiach.

- Chcę tylko porozmawiać.

- Zacznę krzyczeć. Sąsiedzi usłyszą i wezwą policję.

- Zanim przybędzie policja, już dawno nie będziesz żyła - odciął się ostro McAllister. - Moje życie zależy od pani współpracy, pani O'Haire, a teraz również na odwrót

- Nic nie wiem - załkała.

- Myślę, że jednak pani wie. Zaczynając od wiadomości na sekretarce. - Powoli puścił jej ręce i odsunął się odrobine, aż wreszcie odstąpił o krok. - Czy oddzwoniła pani?

Masowała nadgarstki w miejscach, gdzie jego palce pozostawiły czerwone plamy. Spojrzała na niego uważnie. Przez pół minuty nie odzywała się ani słowem. Czuł promieniujące od niej ciepło.

- Jaka wiadomość? - zapytała w końcu.

- Na sekretarce.

Spojrzała w kierunku pokoju gościnnego.

- Od Chris?

- Nie, ta druga. Od mężczyzny, który zostawił swój numer telefonu.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Najwyraźniej nie kłamała, przynajmniej co do tego.

- Po wiadomości od przyjaciółki, Chris, wyszła pani z domu?

- Tak, poszłam się z nią zobaczyć. Mieszka... niedaleko.

A zatem wiadomość nadeszła, kiedy przebywała poza domem.

- Lepiej więc, żeby pani jej posłuchała.

- Chcę, żeby pan opuścił mój dom.  
- Nie mogę, dopóki nie otrzymam odpowiedzi.  
- Jakich odpowiedzi?  
- Kto próbuje mnie zabić i dlaczego. Ma to jakiś związek z działalnością szpiegowską pani męża.  
- On nie żyje, niech pan da temu spokój! - krzyknęła.  
- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pani będzie następną - powiedział McAllister.  
- Pan jest obłąkany.  
- Nie. Myślę jednak, że możemy sobie wzajemnie pomóc. Pani może uratować mi życie, a ja mogę ochronić panią.  
- Przed kim? Przed kim chce mnie pan chronić?  
- Przed człowiekiem, który kierował siatką. Kimkolwiek by on był. Przed tym, który wydawał rozkazy pani mężowi i innym.  
- To ty.  
- Nie - odparł McAllister. - To kłamstwa. Czy sądzisz, że gdybym rzeczywiście miał z tym coś wspólnego, przychodziłbym tu tak jak teraz? Jaki miałbym cel? Błądząc w ciemnościach na równi z panią, jeśli można wierzyć pani słowom, lecz o ile się nie mylę, oni nie spoczną, dopóki mnie nie zlikwidują, a teraz jest pani w to zamieszana bardziej, niż może pani sobie wyobrazić.  
- Tylko dlatego, że pan tu przyszedł.  
- Z powodu tej wiadomości na sekretarce.  
- Jakiej wiadomości? - krzyknęła zapalczywie. - Domyślam się, że to pan ją tam umieścił. Albo jeden z pańskich koleśków.  
- Posłuchaj i sama mi powiesz.  
Jakiś samochód zatrzymał się na podjeździe, a O'Haire zeszywniała i zaczęła otwierać usta do krzyku. McAllister chwycił za broń i gestem nakazał jej milczenie. Mogła to być Stephanie, lecz również ktokolwiek inny.  
- Spodziewałaś się kogoś dziś wieczór? - zapytał.  
Wpatrywała się w drzwi.  
- Tak - odparła bystro. - Przyjaciół. Moi przyjaciele mają tu przyjechać. - Tym razem kłamała. - Wyjdiesz natychmiast, to nie powiem nikomu. Możesz uciec. Obiecuję.  
Usłyszeli hałas otwieranych i zamykanych drzwi. Ktoś wszedł do garażu.  
O'Haire chciała krzyknąć, lecz obserwowała nieustannie broń w ręku McAllistera.  
- Davidzie?! - zawołała Stephanie.  
- Tutaj - odpowiedział McAllister.  
Kathleen O'Haire cofnęła się w kierunku piecyka, zakryła usta dłońmi, a całym jej ciałem targały dreszcze.  
Drzwi od kuchni otworzyły się i weszła Stephanie z pistoletem w ręku. Przeniosła wzrok z Kathleen O'Haire na McAllistera, po czym zamknęła drzwi.  
- Nic ci nie jest?  
McAllister odprężył się i wcisnął pistolet za pas.  
- Jak dotąd nic - powiedział. - Był tam ktoś na zewnątrz?  
Stephanie włożyła broń do kieszeni.  
- Nie, jest czysta. Pojechała do sklepu kilka przecznic stąd i wróciła bezpośrednio do domu.  
- Mogła do kogoś dzwonić?  
- Jechałam za nią - odparła Stephanie.  
Podniosła z podłogi torbę z zakupami i wstawiła ją do zlewu. Przez dno sączył się sok pomarańczowy. O'Haire obserwowała ją bacznie, jakby patrzyła na dzikie zwierzę.

- Nie zamierzamy pani skrzywdzić, pani O'Haire - odezwała się delikatnie Stephanie.

- A zatem wynoście się z mojego domu. Oboje. Zostawcie mnie w spokoju.

- Ktoś dzwonił dziś po południu i zostawił dla niej wiadomość na sekretarce - powiedział McAllister. - Jeszcze jej nie słyszała.

- O nas? - zapytała Stephanie z błyskiem w oczach.

- Prawdopodobnie - odparł McAllister. - Posłucha pani? - zwrócił się do kobiety.

Skurczyła się opierając o kuchenkę gazową.

- Proszę mnie zostawić w spokoju.

- Ja nastawię - zdecydował McAllister.

Poszedł do pokoju gościnnego i przewinał taśmę na koniec piątej rozmowy. Kiedy podniósł wzrok, Kathleen O'Haire siedziała na skraju wygodnego fotela, a Stephanie stała tuż za nią. Na bladej twarzy kobiety malowało się przerażenie; obie ręce trzymała zaciśnięte na kolanach. Albo była wyśmienitą aktorką, albo nie miała z tym wszystkim nic wspólnego.

McAllister nacisnął przycisk. - *Pani O'Haire, bardzo bym chciał jak najszybciej z panią porozmawiać. Nie zna mnie pani, lecz zapewniam, że to sprawa najwyższej wagi, związana z pani bezpieczeństwem... szczególnie w obliczu tego, co ostatnio wydarzyło się w Waszyngtonie i oczywiście w Illinois. Może pani dzwonić o każdej porze dnia i nocy, lecz jak najszybciej. Naprawdę musimy porozmawiać. To niesłychanie ważne. Mój numer kierunkowy 273, a dalej 202 - 456 - 1414.*

Połączenie zostało przerwane i McAllister wyłączył maszynę.

- To numer kierunkowy do Waszyngtonu - odezwała się Stephanie.

McAllister skinął głową.

- Kim był ten człowiek? - zwrócił się do Kathleen O'Haire, lecz ona pokręciła głową na znak, że nie ma pojęcia.

- Nie wiem - odparła.

- Jeden z przyjaciół twego męża? Ktoś, kto mógł już tu dzwonić wcześniej?

- Nigdy nie słyszałam tego głosu. Przysięgam na Boga, nie słyszałam. Musicie mi uwierzyć.

- A ja słyszałam - powiedziała cicho Stephanie. - Albo przynajmniej tak mi się wydaje.

- Gdzie? - spytał McAllister.

Potrząsnęła głową próbując coś wymyślić.

- Nie jestem pewna na sto procent. Gdzieś. - Podniosła głowę. - A ty?

- Odnoszę podobne wrażenie. Jest znajomy, a jednak nie potrafię go dokładnie określić. Znam jednak numer telefonu.

- To znaczy?

- Biały Dom - odpowiedział obserwując reakcję Kathleen O'Haire.

Zdziwiła się.

- Nie rozumiem - rzekła. - Dlaczego ktoś z Białego Domu miałby do mnie dzwonić... w ten sposób?

- Davidzie - odezwała się nagle Stephanie. - Ja znam ten głos. Teraz sobie przypominam.

- Kto to jest?

- Widziałam go podczas przesłuchań dotyczących Iran-contras w ubiegłym roku. Nie był zamieszany w sprawę, sędzę, że nie, lecz przemawiał w imieniu Białego Domu. Nazywa się Donald Harman. Na Boga, on jest specjalnym asystentem prezydenta.

- Zebra Jeden? - spytał McAllister wstrzymując oddech.

To tłumaczyłoby wiele spraw. Człowiek taki jak Harman mógłby wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w wywiadzie. Miałby wgląd w raporty ze wszystkich agencji;

CIA, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, FBI, wywiadu wojskowego, kontrwywiadu... wszystkich. Miałby zaufanie najważniejszych senatorów i kongresmenów z Langley Hill, Narodowej Rady Bezpieczeństwa, gabinetu prezydenta oraz samego prezydenta. Miałby olbrzymią władzę, byłby nawet ważniejszy od samego dyrektora Agencji.

Stephanie i Kathleen obserwowały go uważnie.

Za każdym razem, kiedy Highnote coś robił, wykonywał jakiś ruch w imieniu McAllistera i Albright, jego raport wędrował do szefa Agencji, który z kolei włączał go do streszczeń wywiadu przekazywanych dwa razy dziennie do prezydenta. Harman naturalnie również miał wgląd w te wszystkie raporty.

W jaki sposób walczyć z tak potężnym człowiekiem? To był Philby, tyle że po stokroć groźniejszy.

- Co zrobimy? - zapytała Stephanie.

McAllister spojrział na nią.

- Jedyne co możemy zrobić - odparł. - Zadzwoń do niego, żeby dowiedzieć się, czego on chce.

- Nie! - zawołała Kathleen O'Haire i to jedyne wypowiedziane słowo utknęło jej gdzieś głęboko w gardle.

- Dlaczego jednak tak po prostu do niej zadzwonił, a potem zostawił swój numer telefonu, Davidzie? - zapytała Stephanie. - To się kupy nie trzyma.

- Ponieważ sądzi, że znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. Ponieważ sądzi, podobnie jak my, że ona coś wie. Że mogła coś podsłuchać z rozmów męża, coś, co może doprowadzić do oficera nadzorującego siatkę.

- Harmana?

- Albo do niego, albo do kogoś, kogo on ochrania.

- Nie zrobię tego - powiedziała stanowczo O'Haire. - Nie możecie mnie do tego zmusić.

- Czy to prawda? - zapytał McAllister miękko. - Czy słyszała coś pani? Czy zna pani nazwisko oficera nadzorującego pani męża?

- Powiedziałam ci, że nic nie wiem! - wrzasnęła Kathleen O'Haire. - Zostawcie mnie w spokoju! Wynoście się stąd!

McAllister przemierzył pokój i zbliżywszy się do niej, spojrział jej prosto w oczy.

- Czy pani nie rozumie, co się tutaj dzieje, pani O'Haire? Czy jeszcze to do pani nie dotarło? Pani mąż i szwagier przez wiele lat prowadzili siatkę szpiegowską. Osoba, dla której pracowali, otrzymywała rozkazy od Rosjan. Od KGB. Jakie, według pani, mamy szanse, jeśli tym człowiekiem jest Donald Harman, ktoś z Białego Domu, ktoś z najbliższego otoczenia prezydenta? A może ma to pani gdzieś?

- To nie moja wina! - zawołała. - Oni nie żyją. To już skończone. Nic nie wiem.

- Wierzę pani - powiedział McAllister. - Lecz zadzwoni pani do Harmana i uda, że coś wie. Zaaranżuje pani spotkanie z nim w Waszyngtonie.

Kręciła przecząco głową.

- Jutro. W samo południe. W samym środku jasnego dnia spotka się z nim pani gdzieś w miejscu publicznym, gdzie będzie pani bezpieczna, gdzie nie ośmieli się niczego pani zrobić.

- A co potem? - spytała zuchwale.

- Porozmawia z nim pani, nic więcej. My będziemy w pobliżu.

Spojrzała na Stephanie ze strachem w oczach.

- Pani mąż bardzo zranił ten kraj, pani O'Haire - odezwała się Stephanie - lecz tego, co uczynił, nie da się w żaden sposób porównać z tym, co może jeszcze zrobić człowiek taki jak Harman, jeśli się go szybko nie powstrzyma. Najwyższy czas położyć temu kres, a do tego potrzebujemy pani pomocy.

- Nie wiem, jak to zrobić! - krzyknęła rozżalonym głosem O'Haire. - Nie wiem, co powiedzieć!

- Będę słuchał razem z panią, pomogę pani - odezwał się cicho McAllister.

- A jeśli nie zechce się ze mną spotkać?

- Zechce - odparł McAllister. - Na pewno zapyta, czy byliśmy u pani. Powie mu pani, że byliśmy tego popołudnia i że zasypaliśmy panią gradem dzikich oskarżeń.

- Zapyta, co mówiliście, to znaczy dokładnie...

- Tak, i dlatego właśnie chce się pani z nim spotkać w Waszyngtonie. Nie można o tym rozmawiać przez telefon.

- A jeśli mimo wszystko odmówi?

McAllister spojrzał na Stephanie.

- Powie mu pani, że wiemy o kimś z Białego Domu i że mamy dowód.

- Nie - zaproponowała Kathleen O'Haire potrząsając głową. - Nie mogę tego zrobić.

- Musi pani - powiedziała zimno Stephanie.

- Nie, do cholery...

McAllister złapał ją za rękę i przewrócił na podłogę.

- Posłuchaj mnie, do diabła. Jak myślisz, co się z tobą stanie, jeśli teraz wyjdziemy i pozostawimy cię samą sobie? Mówię ci szczerze, nie musisz odpowiadać. Donald Harman telefonował do ciebie tego popołudnia. Chce z tobą rozmawiać. Nie zapomni o tobie. Jeśli przypuszcza, że coś wiesz, jeśli tylko podejrzewa, że możesz go okłamywać, wyśle kogoś, żeby cię usunął.

- Wezwę policję! - zawołała czkając nerwowo.

- I co im powiesz?! - wrzasnął dziko McAllister. - Że jeden z doradców prezydenta zamierza cię zabić?!

Próbowała wyswobodzić się z uścisku McAllistera, lecz trzymał ją mocno.

- Przykro mi, że zostałam w to wplątana - powiedział. - Chciałbym, żeby było inaczej, ale tak nie jest.

- Nie chcę oberwać - powiedziała.

- My też nie - odparła Stephanie. - Zrobimy, co w naszej mocy, to ci możemy zagwarantować.

Kathleen O'Haire przestała się szamotać, więc McAllister ją puścił. Spojrzała na dwójkę intruzów.

- Kiedy mam zadzwonić? - zapytała cichym głosem.

- Teraz - odparł McAllister próbując ukryć nutę triumfu. - Prawdopodobnie zasugeruje jakieś miejsce spotkania, lecz bez względu na to, gdzie to będzie, odmówisz.

- A zatem gdzie?

McAllister spojrzał na Stephanie. Znała Waszyngton lepiej od niego.

- Park McMillan - rzekła. - Znajduje się na południe od rezerwatu, niedaleko Uniwersytetu Howarda. Jest tam wiele miejsc, w których możemy się ukryć, mimo że to całkiem otwarta przestrzeń. Kiedyś latem jeździliśmy tam z Dougiem.

- Czy o tej porze roku będą tam jacyś ludzie?

- Niewielu.

- A zatem park McMillan - zdecydował McAllister. Podeszedł do telefonu i wykręcił numer do Białego Domu. Uzyskawszy połączenie oddał słuchawkę Kathleen O'Haire. - Poproś kierunkowy 273 - powiedział.

Przez moment wahała się, lecz w końcu wzięła słuchawkę i przytrzymała ją tak, by oboje mogli słyszeć.

- Biały Dom - usłyszeli przyjemny głos kobiety z centrali.

Kathleen O'Haire spojrzała na McAllistera.

- Wewnętrzny 273.

- Proszę chwilkę zaczekać.

Tutaj dochodziła dziewiętnasta, czyli prawie dwudziesta druga na Wschodnim Wybrzeżu. W słuchawce rozległ się pojedynczy sygnał, po którym nastąpiło ciche kliknięcie, ton sygnału zmienił się nieznacznie. Rozmowa była automatycznie przełączana tam, gdzie akurat Harman przebywał w danej chwili. Najprawdopodobniej do domu.

- Halo - powiedział Donald Harman.

Kathleen O'Haire usztywniła się na chwilę i McAllister musiał szturchnięciem sprowokować ją do odezwania się.

- Halo - rzekła. - Tu Kathleen O'Haire. Poproszono mnie, bym zadzwoniła pod ten numer.

- Jedną chwilkę - odpowiedział Harman i przez sekundę na linii zapanowała głucha cisza. Powrócił po chwili. - Dziękuję za telefon, pani O'Haire. Czy wszystko w porządku?

- Nie - odparła. - Nie wszystko.

- O co chodzi? - zapytał Harman, a McAllister wyczuł nutę ostrożności w jego głosie. - Czy coś się wydarzyło? Dzwoni pani z Kalifornii?

- Tak - odparła. - Lecz dzisiaj po południu miałam pewnych gości. Nie wiem, co mam robić. Mówił pan, że grozi mi niebezpieczeństwo...

- Proszę się uspokoić, pani O'Haire. Wszystko będzie dobrze. Mówi pani, że miała gości. Kto to był?

- McAllister i jakaś kobieta.

Harman zawahał się na ułamek sekundy.

- Rozumiem i odparł. - Gdzie teraz są?

- Odjechali.

- Nie zrobili pani krzywdy?

- Nie, ale... pan i ja... musimy się spotkać - odezwała się Kathleen O'Haire i umilkła. McAllister gestem wskazał, żeby kontynuowała. - Wiedzą o panu... albo o kimś z Białego Domu - powiedziała.

- Co wiedzą, pani O'Haire? - zapytał gładko Harman.

- Nie wiem - odparła przekonywująco. - Pytali o Jima i ta wiadomość od pana...

- Czy byli w domu, kiedy do pani zatelefonowałem? - spytał Harman.

McAllister pokręcił przecząco głową.

- Nie, ale powiedzieli, że wiedzą o ogniwie w Białym Domu.

- Nie wiedzą, że telefonowałem do pani?

McAllister ponownie pokręcił przecząco głową.

- Nie, zdążyli już wyjść.

- Czy powiedzieli, dokąd zamierzają się udać?

- Nie, ale ja się boję. Jim mówił, żebym... uważała na siebie.

- I miał rację, pani O'Haire. Znajduje się pani w dużym niebezpieczeństwie. Chcę, żeby pozostała pani tam, gdzie pani jest. Przyślę kogoś po panią.

- Nie! - wybuchnęła Kathleen O'Haire. - Jadę do Waszyngtonu.

- Dobrze. Załatwię pani hotel. Z którego lotu zamierza pani skorzystać?

McAllister położył rękę na słuchawce.

- Lecisz dziś wieczorem do Nowego Jorku, a rano pociągiem do Waszyngtonu - wyszeptał.

Odsunął rękę od głośnika, a ona powtórzyła jego słowa

- Każę komuś po panią wyjść.

- Nie - odezwała się Kathleen O'Haire. - Boję się. Nie wiem, co się stanie.

Spotkamy się w parku McMillan. Wie pan, gdzie to jest?

Harman wahał się przez jakąś sekundę czy dwie.

- Jest pani teraz sama, pani O'Haire?
  - Tak - odparła. - Jutro w południe. Wie pan, gdzie to jest?
  - Tak, wiem.
  - Mówili, że mają dowód. Nie mogę powiedzieć niczego więcej przez telefon.
  - Rozumiem - rzekł Harman. - Na pewno nie chce pani, żebym wysłał kogoś po panią? Byłaby pani bardziej bezpieczna...
  - Nie - odparła Kathleen O' Haire. - Zobaczymy się w południe.
- McAllister przerwał połączenie, po czym wyjął słuchawkę z jej ręki i odłożył na widelki. Odetchnął z ulgą.
- I co o tym myślisz? - spytała Stephanie.
  - Boi się - powiedział McAllister. Uścisnął ramię Kathleen O'Haire. - Bardzo dobrze się spisałaś. A teraz zacznij się pakować. Wyjeżdżamy natychmiast
  - Do Nowego Jorku?
  - Bezpośrednio do Waszyngtonu. Nie spodziewają się nas tak szybko.

W dzielnicy panował już wieczorny spokój, kiedy dwóch mężczyzn wysiadło z metalicznie szarego cadillaca kabrioletu, który zatrzymał się przed domem Kathleen O'Haire. Było dobrze po dwudziestej drugiej. Wyruszyli z Los Angeles natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że McAllister i kobieta prawdopodobnie wymknęli się z Chicago i mogą zdążać w tym kierunku. Otrzymali proste i jasne rozkazy: Zabić całą trójkę i potwierdzić.

Rozdzielili się. Nick Balliterri podszedł do drzwi wejściowych, a Frank Pearce pośpieszył na tyły domu. Pograżony w ciemności budynek sprawiał wrażenie opustoszałego. Balliterri pomyślał, że prawdopodobnie szukają wiatru w polu. Ofiary zdążyły się wymknąć.

Odczekał kilka sekund, dając Pearce'owi szansę wejścia do budynku, po czym nacisnął przycisk dzwonka. W rękę trzymał magnum 357 z tłumikiem.

Z tyłu domu doleciał go ledwo słyszalny brzęk tłuczonego szkła. Zadzwoił ponownie.

Sześćdziesiąt sekund później Pearce otworzył drzwi i Balliterri wszedł do środka.

- Wóz stoi w garażu, ale sypialnie są puste - zakomunikował Pearce.
- A szafy? - spytał cicho Balliterri.
- Jedna w dużej sypialni jest otwarta. Wygląda, jakby brakowało trochę ubrań.
- Uciekła - wycedził przez zęby Balliterri, wkładając rewolwer do kabury i przeczesując wzrokiem pokój. - Przeszukaj dom.
- Dobra - odparł Pearce wsuwając swoją broń do pochwy, po czym ruszył korytarzem w kierunku sypialni.

Balliterri przeszedł przez pokój, przewinął taśmę w aparacie telefonicznym na początek i wcisnął przycisk „play”.

## Rozdział 29

Stephanie udała się po odbiór bagażu, podczas gdy McAllister wraz z Kathleen O'Haire podeszli do stanowiska Avisu na lotnisku Dulles. O'Haire wynajęła samochód na swoje nazwisko. Pomyślał, że tak będzie bezpieczniej, przynajmniej na razie. Nikt nie powinien się spodziewać, że pojawi się tu otwarcie.

Czekał, aż kobieta wypełni formularze i odbierze kluczyki. Nikt nie zwracał na nią większej uwagi, lecz urzędnik, który wręczał jej kluczyki, obdarzył ją dziwnym spojrzeniem, kiedy złożyła podpis. Czyżby rozpoznał nazwisko z gazet i wiadomości telewizyjnych?



- Podstawiają samochód od frontu - wyjaśniła podchodząc do McAllistera.

Sprawiała wrażenie zmęczonej; miała czerwone i zapuchnięte oczy. Żadne z nich nawet się nie zdrzemnęło w trakcie nocnego lotu z Los Angeles. Niewiele ze sobą rozmawiali. Siedziała między McAllisterem a Stephanie z zamkniętymi oczami i dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Szczerze jej współczuł, lecz w żaden sposób nie potrafił zmniejszyć jej obaw.

Dochodziła dziesiąta, do spotkania z Harmanem pozostały im dwie godziny. Będzie się spodziewał, że pojawi się sama; nikt nie miał pojęcia, że para uciekinierów zmieniła swój wygląd, a mimo to pobyt w Waszyngtonie zmuszał do zachowania maksymalnej ostrożności.

- Spotkamy się ze Stephanie na dole w terminalu bagażowym - zakomunikował. - Jak tylko odbierzesz samochód, podjedź do miejsca, gdzie się odbiera bagaż.

Kathleen O'Haire skinęła nerwowo głową.

McAllister podszedł do niej.

- Nie odjeżdżaj bez nas. Sama w mieście nie przetrwałabyś zbyt długo. Nie teraz. Nie teraz, kiedy Harman i jego ludzie spodziewają się ciebie.

Otworzyła szeroko oczy. Jego słowa brzmiały przekonująco. Skinęła ponownie głową.

- I, na miłość boską, spróbuj zachowywać się naturalnie.

Spojrzała na niego.

- Chyba żartujesz - powiedziała i odwróciła się na pięcie w stronę wyjścia.

McAllister patrzył, jak odchodzi, po czym skierował się do miejsca, gdzie Stephanie odbierała bagaże. Spojrzawszy na niego, poszukała wzrokiem kobiety.

- Gdzie ona jest?

- Przyprowdzi samochód - odparł McAllister biorąc dwie walizki.

- Ufasz jej?

- W tym momencie nie mamy zbyt dużego wyboru, prawda?

Zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- Co ją powstrzymuje od ucieczki?

- Nic - odparł krótko McAllister kierując się ku drzwiom. - Prawdopodobniej lepiej by na tym wyszła, gdyby tak właśnie postąpiła.

Na zewnątrz było dość ciepło. Burza w końcu ustąpiła, drogi zostały odśnieżone, a śnieg topniał, w miarę jak wzrastała temperatura. W powietrzu unosił się smród spalin z rur wydechowych samochodów i silników samolotowych. Miniony lot miał komplet pasażerów i wielu z nich oczekiwało teraz z bagażami w rękach na taksówki i autobusy.

McAllister i Stephanie odsunęli się nieco od tłumu, czekając na Kathleen O'Haire.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Jeśli Harman był Zebłą Jeden, człowiekiem z Waszyngtonu, kim był Rosjanin? Czy to ktoś z KGB, komu udało się skontaktować z Harmanem i przeciągnąć go na swoją stronę, a może jakaś szycha z Kremla? Zrobiło mu się słabo na samą myśl, ile szkody mógł spowodować człowiek z Białego Domu podczas tych wszystkich lat spędzonych u boku prezydenta.

Się Zebra O'Haire'ów, jak podejrzewał, stanowiła jedynie wierzchołek góry lodowej. Człowiek taki jak Harman z pewnością prowadził równolegle inne operacje. Możliwe, że miał kontakty w CIA, a może również w Pentagonie. Mimo wszystko Kim Philby o mały włos nie został szefem brytyjskiego wywiadu. Na jaki szczebel drabiny rządowej spróbuje wejść Harman?

- Jedzie - odezwała się cicho Stephanie.

Wyrwany z zamyślenia ujrzał, jak Kathleen O'Haire wjeżdża na krawężnik granatowym taurusem. Wsiedli, Stephanie na przednie siedzenie, a McAllister z tyłu z bagażami.

- Dokąd mam jechać? - spytała O'Haire spoglądając w lusterko wsteczne.
- Do parku. Stephanie wskaże ci drogę.
- Chcesz, żebym ja poprowadziła? - zapytała Stephanie.
- Nie, w porządku, poradzę sobie.

Zjechali z krawężnika i ruszyli długim podjazdem w kierunku wyjazdu | lotniska. McAllister otworzył bagaże, wyjął rozłożone pistolety i złożył je szybko. Kiedy skończył, wręczył Stephanie jej broń.

Patrzyła na niego.

- Myślisz, że przyjdzie sam?
- Jeśli sądzi, że ona będzie sama - tak - odpowiedział McAllister. - Chce z nią porozmawiać.
- Co ty mówisz? - zapytała z przestachem Kathleen O'Haire. - A jeśli wyśle kogoś innego?
- Wtedy zabierzesz się stamtąd w diabły i my wkroczymy do akcji.
- Może wyśle kogoś, żeby mnie zabił.
- Nie - odparł McAllister. - Jeśli chce twojej śmierci, zrobi to sam, lecz najpierw sprawdzi, co wiesz i co my ci powiedzieliśmy.
- O cholera... o cholera - zakłęła ściskając kierownicę tak mocno, że pobiełały jej kłykcie.

Podobnie jak przedtem w samolocie ani on, ani Stephanie nie potrafili jej pomóc. Kości zostały rzucone w chwili, gdy oddzwoniła do Harmana.

Teren dookoła rezerwatu McMillan tworzył w przybliżeniu trójkąt; od zachodu wzdłuż ulicy Czwartej wznosiły się budynki Uniwersytetu Howarda, a od wschodu po przeciwnej stronie alei Michigan kompleks Waszyngtońskiego Centrum Zdrowia. U podstawy trójkąta znajdował się ładny, zadbane park. Wejście od ulicy Pierwszej prowadziło do drogi, która wiła się brzegiem uroczego stawu. Drzewa o tej porze roku były kompletnie nagie. Wyglądało na to, że pofałdowany teren parku przyciągnął ostatnio wielu narciarzy przełajowych, którzy pozostawili za sobą wąskie ślady krzyżujące się na pokrytej śniegiem ziemi.

Objechali dookoła cały park, mijając po drodze uniwersytet, przejeżdżając wzdłuż ulicy Bryant, potem Pierwszej i zaparkowali samochód niecały kilometr od wejścia.

Woda połyskująca pod zachmurzonym niebem sprawiała wrażenie zimnej i ciemnoszarej. Wiatr podniósł kilka grzywaczy, jakaś zapomniana stronica gazety poderwała się niesiona podmuchem, po czym ślizgiem opadła na drogę. W parku spacerowało niewiele osób.

Droga z lotniska przez miasto trwała ponad godzinę, lecz mimo to pozostało im sporo czasu. Gdziekolwiek wzdłuż linii brzegowej stały ławki i stoły piknikowe oraz kosze na śmiecie przywiązane łańcuchami do drzew. Tuż przed sobą ujrzeni mały budynek, w którym mieściły się toalety publiczne. O tej porze roku były prawdopodobnie zamknięte.

Jakiś samochód wjechał na teren parku i minął ich powoli. McAllister chwycił za broń, lecz wnet zorientował się, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Ktoś prawdopodobnie użył drogi parkowej jako skrótu, jadąc do uniwersytetu. McAllister odprężył się lekko.

- Stephanie i ja wysiadziemy teraz z samochodu - odezwał się do kobiety.
- Odwróciła się na siedzeniu. Na jej twarzy malował się grymas przerażenia.
- Nie chcę się w to pakować - wyjąkała.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszyła ją Stephanie. - Ukryjemy się kawałek dalej przy drodze. Przybiegniemy na pierwszy znak jakichkolwiek kłopotów. Nie zrobi ci nic złego na otwartej przestrzeni, nie przy świadkach.

McAllister spojrział na zegarek. Wskazywał jedenastą piętnaście.

- Ma jeszcze czterdzieści pięć minut, założę się jednak, że przyjdzie wcześniej. Będzie chciał zrobić dokładnie to samo co my - rozejrzeć się po okolicy. Liczy na to, że przyjdiesz sama i nie bardzo będziesz wiedziała, co robić.

Kathleen O'Haire spojrzała na drogę. Zza zakrętu wybiegło dwoje ludzi w strojach do joggingu.

- Co ja mu powiem?

- Postaraj się, żeby to on jak najwięcej mówił - poradził McAllister. - Na pewno zaczniesz cię zapewniać, że pragnie ci pomóc, lecz będzie chciał się również dowiedzieć, co my ci powiedzieliśmy, jaki mamy dowód na to, że ktoś z Białego Domu pracuje dla obcego wywiadu.

- Co mam mu powiedzieć?

- Jak najdłużej udzielaj mu wymijających odpowiedzi.

- Dlaczego?

- Chcę, żebyś go doprowadziła do szafu.

- O czym ty mówisz?! - zawołała Kathleen O'Haire. - Umawia się ze mną prawdopodobnie po to, by mnie zabić, a ty chcesz, żeby go doprowadziła do szafu!

- Nic nie robi, dopóki nie dowie się, co wiesz.

- Ja nic nie wiem.

- Ale on nie ma o tym pojęcia - odparł McAllister. - Będziemy w pobliżu i jak tylko zaczniesz się ostro wkurzać, przyjdziemy ci z pomocą.

- I co? - spytała Kathleen O'Haire. - Co to udowodni? Nic.

- Gdy zobaczysz, że idziemy w waszym kierunku, chcę, abyś mu powiedziała: McAllister wie o Zebrze Jeden i Zebrze Dwa w Waszyngtonie i w Moskwie. Ma dowód.

- Co to ma oznaczać?

- On już będzie wiedział - zapewnił ją McAllister. - I jeśli spróbuje coś zrobić, to właśnie wtedy, lecz my będziemy w pogotowiu. Jeśli będzie rzeczywiście zdesperowany, zaczniesz do nas strzelać. Ja jednak sądzę, że ucieknie.

- Nie, dziękuję bardzo - odezwała się Kathleen O'Haire kręcąc przecząco głową. - Nie mam zamiaru dać się zabić. To czyste szaleństwo.

- Posłuchaj mnie, Kathleen. Harman nie pozwoli ci tak zwyczajnie odejść. Jeśli nie pójdziesz na to spotkanie, wyśle kogoś za tobą i prawdopodobnie wówczas nie zada sobie tyle trudu, żeby rozmawiać z tobą w miejscu publicznym, lecz gdzieś, gdzie będzie zdecydowanie górą, gdzie będzie mógł z powodzeniem powiedzieć, co tylko chce i zrobić to, na co ma ochotę.

- Ucieknę.

- Wierz mi, nie ma ucieczki przed człowiekiem na takim stanowisku z jego władzą i stosunkami.

Przeniosła wzrok z niego na Stephanie.

- Dlaczego mi to zrobiliście? - załkała. - I to akurat teraz.

- Aby położyć kres zabijaniu - odparł cicho McAllister. - Jak tylko się pojawi, chcę, żebyś wysiadła z samochodu i podeszła do niego.

- Skąd będę wiedziała, że to on?

- O to się nie martw. On cię rozpozna - odparł McAllister.

Odwróciła się.

- To on zabił Jima?

- On albo ktoś jemu podobny.

Umilkła na chwilę, po czym powiedziała cichym głosem.

- Zebra Jeden, Zebra Dwa?

- Tutaj w Waszyngtonie i w Moskwie. Mam dowód - powiedział McAllister. -  
Rozumiesz?

- Tak - rzekła nieobecny głosem Kathleen O'Haire.

McAllister skinął na Stephanie i wysiedli z samochodu. Kathleen O'Haire nie podniosła wzroku. Jakaś para przebiegła obok nich i skierowała się ku budynkowi z toaletami. W parku panował większy chłód niż w mieście. Od strony rezerwatu wiał zimny wiatr. Przez jakiś czas szli w milczeniu. McAllister nie przestawał kuśtykać, a Stephanie powłóczyła nogami jak dużo starsza kobieta.

- To przez nią, prawda? - powiedziała w końcu Stephanie.

McAllister spojrział na nią.

- Co masz na myśli?

- Od czasu gdy dotarliśmy do Kalifornii i spotkaliśmy się z nią, zachowujesz się dziwnie, jesteś odległy, oschły. Z początku myślałam, że chodzi o mnie, z powodu tego, co się stało... w pociągu.

Zatrzymał się.

- To co się stało, musiało się stać - odpowiedział. - Wiedział, jak wyglądamy, więc nie mogliśmy zostawić go przy życiu.

Odwróciła wzrok.

- Kiedy powiedział to o Baltimore... o wielkiej robocie... nie mogłam się powstrzymać. - Odwróciła się do tyłu i stanęła. - Davidzie, ja nigdy wcześniej nikogo nie zabiłam. Nawet nigdy w złości nie wystrzeliłam z pistoletu. To nie było...

- Tak jak się spodziewałaś?

Potrząsnęła głową.

- No właśnie.

- Nigdy tak nie jest - powiedział łagodnie. - Masz jednak rację. Martwię się o nią. Spojrzeli na Kathleen O'Haire siedzącą za kierownicą. Śledziła ich wzrokiem.

- Nie można tego zmienić - stwierdziła Stephanie.

- Nie. Harman wykonał pierwszy ruch. Teraz my musimy przekonać się, jak daleko zechce to pociągnąć.

Poszli dalej.

- Wiesz, a może on jest niewinny - odezwała się Stephanie.

- Myślałem o tym. Tyle że ten telefon od niego wydaje się zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Poza tym zgodził się z nią spotkać sam na sam.

- A zatem co? - zapytała Stephanie. - To znaczy, co się stanie, jeśli on wykona jakiś ruch, a my go powstrzymamy? Co wtedy zrobimy?

- Zadamy mu kilka pytań.

- Na które nie odpowie.

- Odpowie - rzekł McAllister. - Odpowie.

Zadrżał.

*Fatalnie, że pański ojciec już nie żyje i nie może być tego świadkiem. Był dobrym człowiekiem. Odważnym. Bezpośrednim. Żołnierzem. Wiedział, kim są jego wrogowie i stawiał im czoło z podniesioną głową.*

*Wreszcie robimy postępy i bardzo się z tego cieszę. Ty również powinieneś się cieszyć.*

Usiedli na ławce tuż obok bielonego wapnem budynku. Dziesięć minut przed dwunastą granatowy dżip wagoneer wjechał do parku od wschodniej strony, minął taurusa Kathleen O'Haire i zatrzymał się.

- To on - szepnęła raptownie Stephanie. - Donald Harman.

Ręka McAllistera powędrowała do kieszeni płaszcza, w której trzymał swój pistolet. Palce zacisnęły się mocno na kolbie, a kciuk wyczuł bezpiecznik.

Stephanie chciała wstać, lecz powstrzymał ją.

- Jeszcze nie teraz - odezwał się patrząc w kierunku parku, lecz kątem oka obserwując bacznie rozwój sytuacji. - Dajmy im szansę.

Harman przez kilka minut siedział w samochodzie, po czym otworzył drzwi i wysiadł. Wysoki mężczyzna nosił się elegancko; nawet z tak dużej odległości McAllister widział, że ma na sobie ładne ubranie: ciemny płaszcz, szalik.

Stał przy samochodzie, dopóki Kathleen O'Haire nie wysiadła z taurusa. Zbliżyli się do siebie.

- Spokojnie - odezwał się cicho McAllister, patrząc teraz na odwróconego do nich plecami Harmana.

Powiedzieli coś do siebie i podali sobie ręce. Harman wskazał na swój samochód, lecz O'Haire zaprzeczyła ruchem głowy, najwidoczniej odmawiając.

Nie mieli sprzętu do podsłuchiwania ani czasu na zorganizowanie odpowiedniego aparatu. W normalnych warunkach założyłby podsłuch. Byłoby w tej chwili nieocenionym dobrodziejstwem wiedzieć, co mówi Harman i jak reaguje na słowa Kathleen O'Haire.

Gestem wskazała wejście do parku, po czym niejasno w kierunku miasta.

Harman powiedział coś i zaczął się odwracać, lecz nagle zatrzymał się nieruchomiejąc w pół kroku. Kobieta coś powiedziała, a on powoli odwrócił się do niej.

Stało się. Ze sposobu w jaki stał, usztywniony i wyprostowany, wynikało jasno, że ogarnęła go wściekłość, lecz doskonale nad sobą panował.

- Teraz - rzucił McAllister wstając.

Stephanie zerwała się na równe nogi i ruszyli razem drogą. McAllister mocniej ścisnął kolbę pistoletu.

*Zebra Jeden, Zebra Dwa.* Kathleen O'Haire powinna właśnie teraz wymawiać te słowa.

Biały mercedes pojawił się w parku, nadjechawszy z tego samego kierunku co przednio samochód Harmana. W środku znajdowało się dwóch mężczyzn. Samochód jechał szybko, zbyt szybko jak na wąską parkową aleję.

Nagle McAllister zrozumiał, że zaraz może dojść do tragedii! Skąd oni wiedzieli?

- Na ziemię! - wrzasnął odpychając Stephanie w bok.

Mercedes zaczął przyśpieszać w chwili, gdy zrównał się z Harmanem i Kathleen, którzy spojrzeli ze zdziwieniem. Mężczyzna na miejscu pasażera wychylił się przez otwarte okno i kilkakrotnie wystrzelił z rewolweru z tłumikiem. Harmana zważyło z nóg i coś wypadło mu z prawej dłoni. Krew trysnęła z przynajmniej trzech ran, a w ułamek sekundy później głowa Kathleen O'Haire eksplodowała masą krwi, kości i szarej substancji.

McAllister bezskutecznie próbował wyciągnąć broń z kieszeni, kiedy samochód przemknął obok nich. Ani zamachowiec, ani kierowca nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi i po chwili wóz zniknął za zakrętem.

## Rozdział 30

McAllister puścił się pędem wiedząc, że i tak jest już za późno. Harman dostał trzy kule w klatkę piersiową, a czwarta oderwała mu kawałek prawego policzka. Twarz i potylicy Kathleen O'Haire zostały zdruzgotane.

Harman miał jednak broń w ręku. Specjalny policyjny smith&wesson leżał teraz w śniegu, kilkadziesiąt centymetrów od jego ciała; rewolwer był odbezpieczony, co świadczyło, że Harman zamierzał zabić kobietę.

McAllister dyszał ciężko. Co się stało? Jak do tego doszło? Jeśli Harman był Zebra Jeden, skąd się wzięli zabójcy?

Dotarł do taurusa, w chwili gdy Stephanie mijała w biegu granatowego dżipa. Kiedy odepchnął ją w bok, upadła, i teraz miała z jednej strony zupełnie przemoczony płaszcz.

- Ruszaj się! - zawołał. - Musimy się stąd zabierać!

- Potemkin... Davidzie, to Gienadij Potemkin kierował tym wozem. Rozpoznałam go. Jest szefem operacji KGB w ambasadzie sowieckiej w Waszyngtonie.

- Jesteś pewna?

- Tak!

Szarpnięciem otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł za kierownicą. Kiedy Stephanie zajęła miejsce obok niego, przycisnął pedał gazu, ominął samochód Harmana i wyjechał z parku.

Na ulicy Czwartej panował zwyczajny ruch, mimo że uniwersytet był zamknięty z powodu przerwy świątecznej. McAllister zmusił się, aby zwolnić, zachowywać się i jechać, jakby nic się nie wydarzyło. To była jego wina. Obiecał tej kobiecie, że będzie ją ochraniał. Okazało się to jednak niemożliwe.

Zebra Jeden mógł być Harman.

Zebra Dwa to ktoś w Moskwie.

Kim był ich wspólny wróg? Ktoś podpisał rozkaz wypuszczenia McAllistera z sowieckiego więzienia, a ktoś w Waszyngtonie zlecił zamordowanie Harmana. Dlaczego? Co tu się nie zgadzało?

- Dokąd jedziemy? - spytała Stephanie z trudem łapiąc oddech.

- Nie wiem. Potrzebuję trochę czasu na zastanowienie.

Przez głowę, niczym błyskawice, przelatywały mu obrazy, fragmenty rozmowy. Czuł oślepiający ból, kłujący w kroczu i przenikający piersi. W uszach rozbrzmiewał mu łomot własnego serca... ale nagle ustał!

- Dobrze się czujesz, Davidzie? - spytała miękko Stephanie.

Spojrzał na nią. Była blada i trzęsła się cała. Obłąd, z którym walczyli od kilku ostatnich dni, zaczynał zbierać żniwo.

Gdziekolwiek się pojawiał, śmierć deptała mu po piętach. Wszystkie osoby, z którymi się kontaktował od czasu zwolnienia z Łubianki, były kolejno mordowane. Wszystkie z wyjątkiem Highnote'a i Stephanie. Jak długo jeszcze wytrzymają? Gdzie szukać odpowiedzi?

Uciekać. A może to jest odpowiedź? Czy mogli uciec i ukryć się na resztę życia? Chryste, czy to było możliwe? A jeśli nie, czy mieli jakieś inne możliwości?

Jechał na oślep. Gdy dotarli do alei Rhode Island, skręcił w prawo w kierunku ronda Logana. Na ulicach panował bardzo duży ruch. Obok nich przemknął samochód policyjny na sygnale, na szczęście jadący w tym samym kierunku, nie w stronę parku.

Niedługo odkryją ciała i wezwą policję. Kolejna masakra w Waszyngtonie. Prasa oszaleje. Jeśli ktoś widział taurusa, policja zacznie go szukać.

W tej chwili jedynie zmieniony wygląd działał na ich korzyść. Nikt jeszcze nie wiedział, jak wyglądają. Potemkin i jego zamachowiec nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi, koncentrując się całkowicie na swoim celu.

Ponownie zerknął na Stephanie. Patrzyła na niego z głęboką troską w oczach.

- Harman zamierzał ją zabić - powiedział.

Skinęła głową.

- Wiem, widziałam, jak broń wyleciała mu z ręki, kiedy upadał.

~ Co oznacza, że prawdopodobnie był Zebrawą Jeden.

Ponownie skinęła głową.

Pracował dla Rosjan, więc dlaczego go zabili?

- Przykrywką - wyjaśnił McAllister. - Lecz skąd Potemkin wiedział, że Harman ma się spotkać i tej porze w tym parku z Kathleen O'Haire? A może on sam mu o tym powiedział?

- Nie wiem.

- Jest jeden człowiek, który to wie.

- Kto? - spytała Stephanie mrużąc oczy.

- Gienadij Potemkin - odparł McAllister. - I zamierzam go o to zapytać. Dziś wieczorem,

Stephanie przeszła przez korytarz, kierując się do automatów telefonicznych. McAllister wysadził ją przy hotelu Marriott Twin Brigdes, gdzie zameldowała się i czekała w pokoju przez pełne cztery godziny, dając mu dość czasu na odpowiednie przygotowania. Były to najdłuższe godziny jej życia. Nieustannie przed oczami pojawiał jej się obraz okaleczonego ciała ojca; czuła nieprzerwanie chłód, martwość jego ciała, tak jak wówczas gdy po raz ostatni zmusiła się do spojrzenia mu w twarz, kiedy przykrywała go prześcieradłem. Zebra Jeden, Zebra Dwa to oczywiście kryptonimy dwóch mężczyzn, którzy od wielu lat zajmowali najwyższe stanowiska w rządzie sowieckim i amerykańskim. Wystarczająco długo, aby stworzyć siatkę O'Haire'ów. Wystarczająco długo... na co jeszcze?

Kiedy opowiedziała ojcu historię McAllistera, nie był uszczęśliwiony, że chciała mu pomagać, lecz zrozumiał, tak jak to zawsze potrafił.

- Może on sam nie wie, co nim kieruje - powiedział jej ojciec. - Jednak od pewnego czasu ciągnie się za nim sporo zabójstw.

- Co innego mogę zrobić? - spytała go wtedy. - Już jestem w to zamieszana. Od momentu kiedy wyciągnęłam go na wpół umarłego z rzeki.

- Wiem. Po prostu uważaj na siebie, Stephanie. Proszę. Zrób to dla mnie.

Dotarłszy do telefonów, położyła torebkę na półce i wykręciła numer do ambasady sowieckiej znajdującej się po drugiej stronie rzeki. Czekając na połączenie odwróciła się i przebiegła wzrokiem zatłoczony korytarz. Nikt na nią nie patrzył, nikogo nie interesowała jej osoba; zwykła kobieta dzwoniąca z aparatu telefonicznego. Nic ponadto.

W słuchawce rozległ się długi, przerywany sygnał. Odwróciła się z powrotem.

- Dobry wieczór, tu ambasada Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, czym mogę służyć? - powitał ją nienaganną angielszczyzną przyjemny, męski głos.

- Chciałabym rozmawiać z Gienadijem Potemkinem.

- Przykro mi, proszę pani, lecz nie pracuje tu osoba o takim nazwisku - odparł gładko telefonista ambasady.

- Tak się składa, że wiem, iż pracuje - zripostowała Stephanie zmuszając się do opanowania. - Jeśli będzie pan tak miły i przekaże temu panu wiadomość, że McAllister był dzisiejszego popołudnia w parku McMillan, sądzę, że będzie chciał ze mną rozmawiać.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, lecz...

- Jeśli nie przekażesz tej wiadomości, towarzyszu, będzie to największa pomyłka twojego życia.

- Proszę chwilę poczekać - odezwał się spokojnym głosem operator i na linii zaległa cisza.

Przez moment myślała, że połączenie zostało przerwane. Ambasada sowiecka otrzymywała codziennie mnóstwo dziwnych telefonów od niezadowolonych obywateli amerykańskich i sowieckich emigrantów. Postanowiła jednak poczekać.

Pięć minut później jakiś inny człowiek, o głosie znacznie starszym i silnym akcencie odezwał się na linii.

- Czy to pani Albright?

- Tak, pan Potemkin? - spytała Stephanie, zaskoczona, że zwrócił się do niej po nazwisku, ale z drugiej strony bynajmniej nie zdziwiona, iż jest mu ono znane.

- Istotnie, to ja - odparł Potemkin. - Przypuszczam, że dzwoni pani ze stosunkowo bezpiecznego miejsca, gdzieś z miasta?

- Blisko - rzekła Stephanie. - Byliśmy dziś rano w parku McMillan.

- Tak? - odezwał się Potemkin.

- McAllister chciałby się z panem spotkać.

- W jakim celu, pani Albright? Co moglibyśmy mieć sobie do powiedzenia?

- Posłuchaj mnie, skurwielu. Wiemy o Zebrze Jeden i Zebrze Dwa. Wiemy o waszej siatce i wiemy jeszcze dużo więcej.

Potemkin roześmiał się.

- Moja droga dziewczynko, nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Sądzę, że masz i myślę, że lepiej, jeśli zgodzisz się na spotkanie z nim. Sam. Tylko wy dwaj.

- Wykluczone.

- Nie słuchasz, co mówię.

- Ty również nie. Nie wiem, co sądzisz, że wiesz, ale to bez znaczenia.

- Tak samo bez znaczenia jak zwolnienie McAllistera z Łubianki zaledwie w kilka godzin po procesie i ogłoszeniu wyroku? Żadnych wytłumaczeń. Żadnych wymian więźniów. Żadnej publiki. Nic.

Potemkin nie odpowiedział.

- Jest teraz w domu Janosa Sikorskiego. Czeka na ciebie. To koło Reston. Poza tym jestem pewna, że sam wiesz najlepiej. Chce pójść na układ.

- Jaki układ? - spytał Potemkin opanowanym głosem.

- Jego życie za twoje - odrzekła Stephanie i odwiesiła słuchawkę, jak poinstruował McAllister.

Zabrawszy torebkę przeszła przez korytarz. Czowała, że nogi ledwo ją niosą i z trudem łapie oddech. Zrobiła wszystko, co mogła. Reszta należała do niego.

McAllister siedział w taurusie zaparkowanym pod pewnym kątem do krawężnika, po przeciwnej stronie ulicy Szóstej, niedaleko ambasady sowieckiej, a kilka przecznic od Białego Domu. Przyjechał z Reston jakieś piętnaście minut temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Stephanie rozmawiała z Potemkinem. Niewiele mógł w tej sytuacji zrobić, by wyrównać szanse, lecz upewnił się, że dom Sikorskiego nie jest pod obserwacją. Teraz wszystko zależało od Rosjanina, który, jeśli okaże się sprytny, po prostu zignoruje otrzymaną wiadomość.

Nie rób nic, powiedział sobie McAllister, a tym razem będziesz bezpieczny.

Od Kathleen O'Haire, żony oskarżonego o szpiegostwo człowieka, do Donalda Harmana, doradcy prezydenta, następnie od Harmana do Gienadija Potemkina, szefa operacji KGB w Stanach Zjednoczonych. Dokąd teraz? Ile jeszcze mrocznych korytarzy będzie musiał przebyć, zanim wreszcie przebrnie przez ten labirynt?

- Nawet jeśli się zgodzi na spotkanie, Davidzie, z pewnością nie przybędzie sam - sprzeciwiła się Stephanie, kiedy przedstawił jej swój plan.



- Byłby ostatnim głupcem, gdyby tak postąpił - zgodził się McAllister. - Dlatego też zamierzam czekać na niego przed ambasadą i zorientować się, w jak licznym będzie towarzystwie.

- Pozwól mi pojechać z tobą.

- Nie.

- Do cholery, Davidzie...

- Nie - powtórzył McAllister. - Zostaniesz tu i zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Żadnych rozgrywek. Nie chcę, żebyś tam była. Nie chcę się o ciebie martwić. Wiem, co robię.

Obdarzyła go długim spojrzeniem.

- Jeśli cię zauważą, cały trud diabli wezmą.

- Masz rację - przyznał.

To było jego rzemiosło, czyste i proste, lecz tym razem niezbyt przyjemne; krew jego krwi, dziedzictwo rodzinne, fachowe przeszkolenie i doświadczenie, jakie zdobył w ciągu minionych czternastu lat.

Jak już raz zostaniesz szpiegiem, zawsze nim będziesz, mówiło stare powiedzenie. Ale po tym wszystkim, jeśli jakimś cudem przeżyje, skończy z tym. Ten biznes przestał go fascynować, jeśli kiedykolwiek w ogóle go fascynował.

Dach ambasady sprawiał osobliwe wrażenie, najeżony antenami i talerzami satelitarnymi, które za pośrednictwem sowieckiego satelity komunikacyjnego przekazywały sygnały wprost do Moskwy. Patrzył na skomplikowane elektroniczne szeregi, a jego umysł dokonywał automatycznych połączeń, przeskakując niczym komputer przez długie rzędy faktów i cyfr, z których każda wiodła nieubłaganie do następnej.

Anomalie, tak Wallace Mahoney nazywał części, które zdawały się nie pasować do całości. Ojciec Stephanie po straszliwych torturach został zabity... z powodu nadajnika? Oczami wyobraźni ujrzał otwarte drzwiczki szafki i wystające ze ściany przewody. Ponownie skupił wzrok na antenach na dachu ambasady. Czy Albright komunikował się z Rosjanami? Czy jego również zabito, by ktoś nie został zdemaskowany?

Ten sam biały mercedes 450SEL sedan, którego widzieli w parku, wyłonił się teraz zza ambasady, a kiedy go mijał, McAllister szybko rzucił okiem na pasażerów. Potemkin prowadził, obok niego siedział zamachowiec z dzisiejszego ranka, tylne siedzenia zajmowali trzej mężczyźni o ponurych twarzach.

McAllister ruszył powoli. Kiedy znalazł się na końcu przecznicy, skręcił za róg i ponownie ujrzał mercedesa, który zdążył już zbliżyć się do parku Lafayene. Trzymał się z tyłu na dystans kilku długości samochodu. Ciężki niemiecki wóz skręcił na południe w ulicę Siedemnastą. Po lewej stronie wyrastała kopuła Białego Domu z olbrzymią świąteczną choinką na trawniku migoczącą niezliczoną liczbą światełek w powoli zapadającym zmroku.

Potemkin jechał z równą prędkością. Nie miał czasu na to, żeby go ktoś zatrzymał i wlepił mandat czy ostrzeżenie za przekroczenie dozwolonej szybkości. Teraz będzie ostrożny; tak wiele zależy od jego punktualności. Będzie skrupulatnie przestrzegał ograniczenia prędkości.

Dotarłszy na aleję Konstytucji, mercedes skręcił w prawo w kierunku mostu Roosevelta, gładko mieszając się z innymi samochodami i znacznie przyśpieszając.

Powstawało pytanie, którą drogę wybiorą Rosjanie, aby dotrzeć za Reston? Czy pojedą na południe przez przedmieścia Aleksandrii, a potem I-495 przez Annandale, na północ do obwodnicy Capital, przecinającej drogę dojazdową na lotnisko Dulles albo najkrótszą trasą przez Arlington - częściowo ukończoną I-66, która rozwidlała się na północ od Falls Church?

Otrzymał odpowiedź po przejechaniu około pięciu kilometrów, kiedy mercedes kierując się na północ minął wyjazd z I-66 i pomknął dalej obwodnicą Capital. Szczęście mu dopisywało.

Skreślił na zachód z I-66 i przyśpieszył. Przez chmury przebijały ostatnie promienie słońca. Ruch wzmógł się, a samochody pędziły coraz szybciej, ponieważ wszystkim spieszyło się do domu.

McAllister zaparkował samochód jakieś siedemdziesiąt metrów od polany, na której stał dom Sikorskiego. Wyłączył światła i silnik, pozostawiając jednak kluczyki w stacyjce. Spod maski wyciągnął główny przewód zapłonu unieruchamiając w ten sposób samochód.

Zapadał zmrok. Podążył drogą w kierunku polany. W oddali na północy dostrzegł migotliwe światła Reston.

W głębokim śniegu widniały jedynie ślady jego własnych stóp, prowadzące bezpośrednio do drzwi frontowych chaty. Pośpieszył tą samą ścieżką starając się stąpać po śladach tak, by wyglądało, że przechodził tędy stosunkowo niedawno. Wszedł do ciemnego, cichego wnętrza i skierował się do kuchni, przez którą wydostał na zewnątrz, przemierzył podwórze na zapleczu domu, niewidoczne od strony podjazdu, i wspiał się na strome wzgórze do ścieżki, którą znalazł tego popołudnia.

Po zachodzie słońca temperatura zaczęła spadać dość gwałtownie. Mimo to pocił się, a rana w boku porządnie dawała o sobie znać, kiedy okrężną drogą dotarł do lasu, który zaczynał się obok domu i rósł wzdłuż podjazdu.

Pojedyncze płatki śniegu zaczęły sypać z nieba, kiedy zatrzymał się około pięćdziesięciu metrów od domu, nastawiając uszu i lustrując ciemny las w oczekiwaniu na jakiś znak świadczący o pojawieniu się Potemkina i jego ludzi. Doleciał go jedynie delikatny szept wiatru przeczesującego wierzchołki drzew. Ruszył dalej pod górę.

Na chwilę znalazł się w Bułgarii; pędził ku granicy czując za sobą milicję sunącą jego śladem. Słyszał helikoptery i od czasu do czasu ujadanie psów-tropicieli. Była zima, tak jak dziś, i głęboki śnieg utrudniał ucieczkę. Wówczas, podobnie jak teraz, biegł po swe życie.

Dotarł do punktu położonego dokładnie nad miejscem, w którym zaparkował swój wóz i zaczął schodzić w kierunku podjazdu, kiedy ujrzał błysk przednich reflektorów samochodu. Zatrzymał się raptownie, kryjąc się za drzewem i wstrzymując oddech, aby jak najlepiej słyszeć.

Światło błysnęło ponownie, po czym zgasło. W chwilę później do jego uszu doleciały odgłosy otwierania i zamykania drzwi samochodu oraz stłumionej rozmowy i wydawanych rozkazów.

Nie ruszał się z miejsca. Było ich pięciu, sami mordercy; musiał wyrównać szanse, zanim stanie twarzą w twarz z Potemkinem.

Silnik taurusa jęknął, lecz umilkł niemalże w tym samym momencie. Ten, który znajdował się za kierownicą, spróbował ponownie. McAllister usłyszał teraz więcej głosów, tym razem wydawało się, że przynajmniej jeden z nich pałał gniewem.

W końcu głosy zaczęły zanikać, oddalając się w kierunku polanki. McAllister wyszedł zza drzewa i nisko pochylony zaczął zbiegać po zboczu, a ostatnie pięć metrów drogi pokonał czołgając się na brzuchu.

Zostawili jednego przy mercedesie. Opierał się o bagażnik samochodu trzymając papierosa w kąci ust i duży pistolet z tłumikiem w prawej ręce.

McAllister wyjął pistolet i dalej czołgał się do miejsca położonego zaledwie metr nad podjazdem i dziesięć metrów za mercedesem. Mężczyzna patrzył czujnie w

kierunku, w którym oddalili się pozostali. Nie odwrócił się, kiedy McAllister wyslizgnął się z lasu i dalej pełznął do dużego niemieckiego wozu.

W ostatniej chwili zaniepokojony Rosjanin zrobił ruch, aby się odwrócić, lecz niemalże w tej samej sekundzie McAllister skoczył na równe nogi i walnął go w głowę kolbą ciężkiego P38. Zamachowiec padł na ziemię objając się plecami o zderzak, lecz zachowawszy resztkę świadomości próbował jeszcze podnieść broń. McAllister chwycił mężczyznę za poły płaszcza, uniósł nieco do góry i rąbnął rewolwerem prosto w twarz; krew trysnęła Rosjaninowi z nosa i stracił przytomność.

Działął szybko. Zerkając nieustannie w kierunku stromeego podjazdu, na wypadek gdyby któryś z ludzi Potemkina usłyszał coś podejrzanego i wrócił, by sprawdzić, co się stało, McAllister skrupował nieprzytomnemu ręce i nogi za pomocą paska i krawatu, które mu zabrał. Wpakował chusteczkę w usta zamachowca, schował do kieszeni swój pistolet i wziął broń z tłumikiem. Zważył w ręku dużego i ciężkiego dziewięćmilimetrowego automatica. Odpowiednia broń do masakrowania twarzy podczas wykonywania czegoś, co nazywali *mokryje diela*.

Nie zamknęli mercedesa. Otworzył klapę silnika, wyrwał przewód zapłonu i ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, zamknął klapę, zanim z powrotem zagłębił się w ciemnościach lasu.

Zneutralizowanie pierwszego Rosjanina zajęło zaledwie trzy minuty. Domyślał się, że do tej chwili pozostali dotarli już do polanki. Teraz pewnie się zatrzymają, by obserwować chatę w poszukiwaniu oznak jakiejś pułapki. Potemkin prawdopodobnie każe kilku swoim ludziom okrążyć dom i podejść od tyłu. Będą poruszać się po lesie, lecz na tyle blisko, żeby nie stracić z oczu polany. Nikt nie chce się zgubić w tych ciemnych lasach. Okrążenie całej polanki i powrót na tyły chaty zajmie im kilka cennych minut.

On również stracił kilka cennych chwil na znalezienie ścieżki, którą utorował sobie przez las tego popołudnia, po czym podążył nią do miejsca oddalonego około dziesięciu metrów od polanki i tyleż samo od podjazdu.

Zdawało mu się, że gdzieś z lewej słyszy rozmowę i że ktoś skrada się przez las na prawo od niego, lecz w chwilę później odgłosy zatarły się w ciemności.

Wcisnął duży rosyjski rewolwer za pas, po czym wspiął się na drzewo do drugiego rozgałęzienia potężnych konarów, jakieś cztery i pół metra nad ziemią, gdzie zostawał wcześniej jedną ze strzelb myśliwskich Sikorskiego, wyposażoną w dużą lunetę.

Z tego miejsca mógł praktycznie prowadzić ogień na całą polankę.

Dostrzegł pierwszego mężczyznę w momencie, kiedy ten pojawił się na zachodnim skraju lasu. Przesunawszy szybko celownikiem przez polankę wypatrzył drugiego od wschodu, powoli zmierzającego w kierunku domu. Potemkin i jeszcze jeden prawdopodobnie czekali na podjeździe.

McAllister ponownie wymierzył w kierunku zachodnim. Co chwila tracił z pola widzenia przemykającego chyłkiem Rosjanina. Nagle zamachowiec zatrzymał się i spojrzał w stronę domu.

Naprowadził krzyżyk celownika na piersi mężczyzny i zawahał się na moment. Pociągnięcie za spust zrobi z niego mordercę... takiego samego zabójcę jak ludzie, z którymi walczył.

*I tak to jest, chłopcze, powiedział mu kiedyś ojciec. Nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał podjąć trudną decyzję. Moralną decyzję. Kiedy do tego dojdzie, rozważ wszystkie możliwości, zastanów się, jaką masz alternatywę, pomyśl o konsekwencjach nie tylko swojego czynu, lecz również o konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z bezczynności.*

Miał przed sobą zatwardziały zabójców. Widział, co zrobili Sikorskiemu i Nicholasowi Albrightowi. Widział na własne oczy w Bułgarii i we wschodnich

Niemczech i w wielu innych miejscach, jakie to były bestie. Oczywiście nie wszyscy Rosjanie - lecz ci specjaliści, których wybierano do pracy w Departamencie KGB Wiktor - w oddziale zabójców. Ci byli najgorsi. Nie mieli żadnego poszanowania dla ludzkiego życia.

Pociągnął za spust, kończąc w ten sposób z tą małą lekcją moralności dla samego siebie, a ciężka strzelba odskoczyła szarpiąc mu ramię do tyłu. Huk wystrzału przetoczył się wśród wzgórz. Ułamek sekundy wcześniej Rosjanin padł na ziemię jak rażony piorunem.

McAllister błyskawicznym ruchem załadował strzelbę, wyjmując zużyte łuski i wkładając nowy nabój do komory. Drugi Rosjanin uciekał chcąc schronić się w mrocznym lesie. Mac namierzał przez chwilę cel i w ostatniej sekundzie nacisnął spust. Mężczyzna z rozpostartymi ramionami i nogami runął na pokrytą śniegiem ziemię.

Zawiesiwszy pasek od strzelby na gałęzi, McAllister zszedł z drzewa i zawrócił tą samą drogą, którą przyszedł, poruszając się ostrożnie i nie spuszczać z oka podjazdu i miejsca, skąd strzelał.

Po dwudziestu metrach skręcił w kierunku podjazdu, wyciągnął rosyjską broń i upewnił się dotykaniem palców, że jest gotowa do strzału.

Usłyszał jakiś odgłos za sobą; otarcie się materiału o pień drzewa, chrzęst wysokiego buta w głębokim śniegu. Znieruchomiał.

- McAllister! - zawołał Potemkin.

Jego głos dochodził z miejsca położonego bardziej na prawo niż hałas, który dał się słyszeć przed chwilą. Wydawało się, że Rosjanin w dalszym ciągu znajduje się przy końcu podjazdu w pobliżu polanki.

McAllister ostrożnie postąpił kilka kroków w dół ubocza i stanął za pniem potężnego drzewa, penetrując wzrokiem ciemny las za sobą.

Pozostało ich jeszcze dwóch; Potemkin na podjeździe i ten, który wślizgnął się w gąszcz lasu. Szedł śladami McAllistera widocznymi w śniegu. Poruszał się ostrożnie, przemykając od drzewa do drzewa, dokładnie tak jak jego przeciwnik. Sprawdzał każdy krok, usiłując przebić wzrokiem ciemności.

Mac ponownie znieruchomiał.

- McAllister! - zawołał ponownie Potemkin. - Przyszedłem, żeby porozmawiać. Odeślę swoich ludzi. Tylko ty i ja.

Na lewo, w odległości około czterech i pół metra, McAllister zarejestrował kątem oka ledwo dostrzegalny ruch, potem nic.

Stał z policzkiem przylgniętym do szorstkiej kory drzewa, starając się, żeby nie drgnął mu żaden mięsień.

- Popełniasz poważny błąd! - krzyknął Potemkin. - Nie znasz wszystkich szczegółów. Ja mogę ci pomóc. Chociaż wydaje się to dziwne, to prawda. Odezwij się. Koniec z zabijaniem.

Potężny mężczyzna wyszedł zza dużego drzewa i zaczął posuwać się przez wąską, otwartą przestrzeń. McAllister wyciągnął automatyczny pistolet z tłumikiem i namierzył cel opierając ramię o pień drzewa.

- Zatrzymaj się i rzuć broń - rozkazał.

Mężczyzna oddał pojedynczy strzał i skoczył pod osłonę drzew. McAllister wystrzelił dwukrotnie raz za razem; pierwszy pocisk zgruchotał zamachowcowi lewą nogę, a drugi trafił go w bok. Rosjanin upadł w śnieg, walcząc o życie przez sekundę lub dwie, po czym znieruchomiał.

McAllister obserwował go przez pełną minutę, zanim wyszedł zza drzewa i zbliżył się ostrożnie. Ujrzał otwarte oczy bez śladów życia; duża plama krwi broczyła śnieg dookoła. Było w tym człowieku coś, może twarz, woźę krój ubrania, co wydało się

McAllisterowi dziwnie znajome, lecz nie przychodziło mu do głowy żadne konkretne skojarzenie.

Odwróciwszy się popędził prawie bezszelestnie przez las, równoległe do podjazdu, aż w końcu wyłonił się przy zaparkowanych samochodach i w ostatniej chwili zdążył dać nura z powrotem do lasu, kiedy Potemkin sapiąc ciężko, wyłonił się z ciemności z dużym pistoletem w prawej ręce.

Szef KGB w USA sprawiał wrażenie wyraźnie podenerwowanego. Zapowiadało się, że usunięcie McAllistera nie przysporzy zbyt dużo kłopotów - szanse były jak pięć do jednego - z jakiegoś powodu paskudnie się nie powiodło i teraz uciekał, samotnie walcząc o życie i oglądając się przez ramię co kilka metrów.

McAllister widział, jak Potemkin minął taurusa i zatrzymał się raptownie, spostrzegłszy leżącego przed mercedesem związanego mężczyznę. Popatrzył w kierunku lasu po obu stronach podjazdu, po czym dokonał, według McAllistera, najbardziej niezwykłej rzeczy, jaka tylko była możliwa. Podniósłszy pistolet, strzelił w głowę swojemu człowiekowi.

McAllister skoczył za samochód, czując łomot własnego serca i ledwo mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą ujrzał. Dlaczego? Ten czyn wydawał się całkowicie pozbawiony sensu. Dlaczego miałby zabijać własnego człowieka?

Potemkin obszedł wóz i usiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk - silnik jęknął, lecz nie ruszył.

Spróbował ponownie i w tym momencie McAllister przekradł się z boku samochodu, wstał raptownie i szarpnięciem otworzył drzwi, przykładając Potemkinowi pistolet do skroni.

Rosjanin osłupiał z przerażenia. Zaczął sięgać po swoją broń, którą położył tuż obok na siedzeniu.

- Odstrzelę ci pysk, towarzyszu - wyrzucił z siebie McAllister.

Potemkin zeszywniał, a oczy wyszły mu z orbit.

- Zebra Jeden był Donald Harman. Załatwiliście go dziś rano. Kim jest Zebra Dwa?

- Nie wiem, o czym mówisz - wyjąkał Potemkin.

McAllister jeszcze mocniej przycisnął tłumik automatycznego pistoletu do skroni mężczyzny.

- Nie mam czasu na pieprzenie. Zebra Dwa, kto nim jest?

- Nie wiem.

McAllister pociągnął za kurek z głośnym szczękiem.

- Nazwisko, towarzyszu, a będziesz żył.

- Przysięgam, że nie wiem.

- Dlaczego kazałeś zabić Harmana?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Albo jesteś niesłychanie odważny, albo niewiarygodnie głupi. Dlaczego kazałeś zabić Harmana?

- Bo szalał. Wymykał się spod kontroli.

- Spod czyjej kontroli, twojej?

- Nie pracował dla mnie.

- Zatem dla kogo?

- Nie wiem - zawołał Potemkin. - Przysięgam, nie wiem. Ale pracował z Albrightem, to wiem na pewno.

- Co takiego?! - krzyknął McAllister czując, jak dreszcz strachu przebiega mu po plecach.

- Nicholas Albright był jednym z przecieków Harmana do CIA.

McAllister poczuł zawroty głowy.

- Człowiek typu Harmana nie potrzebowałby go. Nie do tego.  
- Albright był również jego łącznikiem z Moskwą - odezwał się Potemkin. - Ja sam dowiedziałem się o tym dopiero kilka dni temu.  
- Wtedy, kiedy kazałeś zabić Albrigha?  
McAllister pomyślał o szafce w gabinecie Albrigha i przewodach sterczących ze ściany. Nie mylił się co do nadajnika.  
- Tak - przyznał Potemkin.  
- Od kogo w Moskwie Albright odbierał rozkazy? Kto był jego kontaktem?  
- Tego nie jestem pewny.  
- Nazwisko, towarzyszu. Nazwisko!  
- Prawdopodobnie Borodin. Generał Aleksander Borodin.  
- Czy to KGB?  
- Tak, oczywiście. To szef kontrwywiadu Pierwszego Dyrektoriatu. Szaleniec. W Waszyngtonie Zebrał Jeden był Donald Harman. W Moskwie Zebrał Dwa generał Aleksander Borodin. To jednak nie koniec.  
- Co miałeś na myśli mówiąc, że Harman wymknął się spod kontroli?  
- To on zaaranżował masakrę w parku College.  
- Po co?  
- Żeby cię powstrzymać. Chciał cię kompletnie zdyskredytować, sprawić, żeby wszyscy uwierzyli, iż naprawdę oszalałeś.  
- Skąd wiedziałeś, że spotka się z Kathleen O'Haire dziś rano?  
- Wysłałem kogoś do niej do domu. Przesłuchali nagraną wiadomość na sekretarce. Już jej nie było, więc domyśliłem się, że gdzieś się spotkają, i śledziłem go. Harman i Borodin współpracowali ze sobą, a ojciec Stephanie był ich łącznikiem.  
Co jeszcze?  
- Czy O'Haire'owie pracowali dla Harmana?  
- Nie - zaprzeczył Potemkin. - Byli w mojej siatce.  
Im dalej zagłębiał się w ten koszmar, tym mniej widział w tym wszystkim sensu.  
- Dlaczego tak po prostu zastrześliłeś swojego człowieka?  
- Nie był mój - odrzekł z pogardą Potemkin. - On... i pozostali... wszyscy z mafii. Wynająłem ich. Zrobią wszystko dla pieniędzy. Wszystko.  
Coś ponownie zaświtało w zakamarkach umysłu McAllistera, lecz nie potrafił tego określić.  
- Borodin i Harman współpracowali ze sobą. Kto jest twoim kontaktem tu, w Stanach?  
Potemkin nie odpowiadał.  
- Przez cały czas toczy się walka frakcji - powiedział McAllister. - Harman chciał mnie zabić, ty również. Dlaczego?  
Potemkin powoli odwrócił głowę, tak że mógł spojrzeć kątem oka prosto w twarz McAllistera.  
- Naprawdę nie wiesz, jeszcze do tego nie doszedłeś?  
- Z kim współpracujesz?! - wrzasnął McAllister.  
- Jesteś obecnie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jaki chodzi po tej ziemi. Wszyscy pragną twojej śmierci.  
- Kto?! - wrzasnął ponownie McAllister.  
- Odpierdol się! - zaklął Potemkin i rzucił się na McAllistera, lecz w tym samym momencie broń wystrzeliła, roztrzaskując mu połowę głowy.

## Rozdział 31

McAllister dotarł na przedmieścia Arlington kilka minut po ósmej uciekając przed zamiecią, która ponownie zbliżała się do miasta. Postanowił wrócić mercedesem. Sądził, że przez następnych kilka godzin tablica dyplomatyczna zabezpieczy go lepiej niż tablice taurusa, który do tej pory mógł już zostać skojarzony ze strzelaniną w parku McMillan.

Był zmęczony, obolały, przemoknięty od czołgania się w śniegu i czuł, że umysł ma równie zdruzgotany jak ciało. Szpiegostwo odbywało się na dwóch poziomach; z Białego Domu poprzez Harmana oraz z CIA poprzez agenta, którego kontrolował Potemkin.

*Naprawdę nie wiesz, jeszcze do tego nie doszedłeś? Jesteś obecnie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jaki chodzi po tej ziemi. Wszyscy pragną twojej śmierci.*

Ale dlaczego? Potemkin wolał zaryzykować własne życie, niż odpowiedzieć na to pytanie. Harman nie żył, więc jego operacja została zakończona. Śmierć Potemkina położyła kres działalności drugiej siatki. Co jeszcze? Czego mu brakowało? Co nim kierowało?

Przed sklepem całodobowym przy bulwarze Arlington znalazł budkę telefoniczną i zatrzymał się parkując możliwie jak najdalej od latami ulicznych.

Musiał dowiedzieć się w informacji o numer, a kiedy go wykręcił, ktoś podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

- Krajowe Centrum Zdrowia.

- Macie państwo pacjenta Roberta Highnote'a. Czy mógłbym z nim rozmawiać?

- Proszę chwilę poczekać - odparł kobiecy głos.

Do tej pory Stephanie na pewno zachodzi w głowę, co się stało, pomyślał czekając. Przez te wszystkie lata jej ojciec wykorzystywał ich przyjaźń, aby wyciągać od niej informacje na temat działalności CIA... szczególnie o nowych pracownikach Agencji. To jednak okazało się tylko poboczną działalnością. Przede wszystkim był łącznikiem między Harmanem a Borodinem.

Prowadziła z nim długie rozmowy. Mówiła różne rzeczy. McAllister przeraził się uświadomiwszy sobie, że powiedziała ojcu o wszystkim, o czym dyskutowali między sobą. Ten człowiek mógł przekazać informacje dalej do Harmana, który z kolei wysłał swoich ludzi z rozkazami, aby wyeliminować zagrożenie. Za każdym razem, kiedy McAllister wykonywał ruch, ktoś deptał mu po piętach.

W jaki sposób miał Stephanie powiedzieć, że jej ukochany ojciec pracował dla Rosjan? Chryste, nie wyobrażał sobie, że może powiedzieć jej coś podobnego prosto w oczy.

Głos Highnote'a wydał mu się słabszy niż zwykle.

- Halo.

- Jesteś sam? - spytał McAllister.

- Dobry Boże... tak, póki co.

- Czy ta linia jest czysta?

- Myślę, że tak. Gdzie jesteś, co się stało?

- Jak się czujesz, Bob?

- Nie najgorzej. Co się stało?

- Nie wyobrażasz sobie nawet, jak wiele, ale teraz będę potrzebował twojej pomocy.

- Nie wiem, co mogę zrobić z tego miejsca. Mam tu pozostać jeszcze przez kilka dni.

- Donald Harman i Kathleen O'Haire nie żyją.

- Słyszałem...

- Zabił ich Gienadij Potemkin.  
- Skąd wiesz? - zażądał Highnote.  
- Byłem tam. Widziałem wszystko.  
- Potemkin... szef operacji KGB z ambasady?  
- Zgadza się. On również nie żyje. Zabiłem go jakąś godzinę temu w posiadłości Janosa Sikorskiego wraz z czterema jego ludźmi. Mafia.  
- Mój Boże - odezwał się cicho Highnote. - Co tu się dzieje, Mac, coś ty narobił?  
- To nie byliśmy my, w parku College.  
- Wiem o tym!  
- Więc dlaczego władze nadal nas obwiniają?  
- Ponieważ nie chcą mi wierzyć. Ja nie widziałem zabójców. Alvan właśnie wychodził, kiedy został zastrzelony w korytarzu. Ja wybiegłem tylnymi drzwiami i prawie udało mi się przebiec przez ogród, kiedy... już niewiele pamiętam poza tym, że mnie trafili. Ten kto to zrobił, wziął twój samochód od ciebie z domu.  
- Według Potemkina, to Donald Harman zaaranżował te morderstwa.  
- Rozmawiałeś z nim? Potemkin naprawdę z tobą rozmawiał?  
- Powiedział mi, że Donald Harman współpracował z generałem KGB w Moskwie, który nazywa się Borodin.  
- Aleksander Illicz Borodin - wykrztusił z niedowierzaniem Highnote. - To gruba ryba w sowieckiej hierarchii, lecz jest absolutnie stuknięty. Pół Kremla się go boi, a druga połowa chciałaby ujrzyć go martwym. On jednak dzierży zbyt dużą władzę. Potemkin ci to powiedział?  
- Tuż przed śmiercią.  
- Co jeszcze?  
- Przyznał, że pracował również z kimś stąd.  
- Czy podał ci nazwisko?  
- Nie. Powiedział jednak coś bardzo dziwnego, coś, czego nie potrafię zrozumieć. Powiedział mi, że wszyscy chcą teraz mojej śmierci i że jestem najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na ziemi.  
Przez długą chwilę na linii panowała cisza. McAllisterowi wydawało się, że prawie słyszy, jak jego przyjaciel myśli, jak poszukuje rozlicznych powiązań, różnych możliwości.  
- Jesteś niebezpieczny dla nich - odezwał się wreszcie Highnote. - Przez cały czas działały tu dwie siatki. Harman w Białym Domu i przypuszczalnie ktoś w Agencji. W ciągu tygodni, a właściwie dni w jakiś sposób udało ci się unicestwić obydwie.  
- To jednak jeszcze nie koniec - stwierdził McAllister.  
- Oczywiście. Ukryty agent wciąż jest na swoim miejscu.  
- Jak również generał Borodin.  
- On jest poza zasięgiem.  
- Dopadnę go - powiedział McAllister, zaskoczony własnymi słowami.  
- Oszalałeś? - wybuchnął Highnote. - Mówimy teraz o Związku Radzieckim. O Moskwie. Nawet gdyby udało ci się dotrzeć do tego kraju, co mógłbyś uczynić takiemu człowiekowi? Nawet byś się do niego nie zbliżył. A poza tym po co go dopadać? Harman nie żyje, jego organizacja została rozbita.  
McAllisterowi kręciło się w głowie.  
- Nie wiem dlaczego - odparł. - Zgadza się, jeśli jednak Borodin potrafił dotrzeć do człowieka takiego jak Harman, przeciągnąć go na swoją stronę i wykorzystywać do własnych celów, czego jeszcze potrafi dokonać? Ile już zrobił? Czy masz stuprocentową pewność, że Harman był jego jedynym informatorem?  
- To szaleństwo.



- Posłuchaj mnie - rzucił McAllister. - Potemkin z ambasady nadzorował działania swojego ukrytego agenta. Musieli pozostawać ze sobą w stałym kontakcie. Wróć możliwie jak najszybciej do Langley i przeszukaj wszystko. Na pewno w dokumentach odnajdziesz coś, co połączy Potemkina z kimś z Agencji. Cokolwiek.

- Ale co?

- Nie wiem. Lecz agent Potemkina na pewno zajmuje wysokie stanowisko. Szef Tajnych Służb, zastępca szefa wywiadu... i wyżej.

- Wspólnie go sprawdzimy - zaproponował Highnote.

- Ja jadę do Borodina. Tu się dzieje jeszcze coś innego, Bob... Nie wiem tylko co. Jeśli jednak ktokolwiek zna odpowiedzi, to władnie Borodin w Moskwie,

- Powtarzam jeszcze raz, nie uda ci się wjechać do ich kraju, a co dopiero zbliżyć do tego człowieka.

- Myślę. Że mi się uda - odparł McAllister. Potrzebuję jednak twojej pomocy,

- W czym?

- Paszporty dyplomatyczne.

Highnote'owi zaparło dech.

- Liczba mnoga?

- Zabiorę Stephanie do Helsinek. Jeśli coś się nie powiedzie, narobi szumu, żebym po prostu nie zniknął nagle w jakimś gułagu.

McAllister ponownie usłyszał niemalże, jak umysł jego przyjaciela pracuje, rozważa możliwości, obmyśla scenariusze, tak jak robili to kiedyś wspólnie.

- W jaki sposób wydostaniesz się ze Stanów?

- Czy nasze prawdziwe paszporty są na czarnej liście?

- Nie - odparł Highnote. - Przynajmniej z tego co wiem, nie. Nikt nie spodziewa się, że będziesz próbował wyjechać z kraju.

- Rano polecimy do Montrealu, a stamtąd do Europy. To co z tymi paszportami dyplomatycznymi?

- Skąd dzwonicz?

- Z budki telefonicznej w Arlington, niedaleko twojego domu.

- Mam kilka pustych w ściennym sejfie w moim gabinecie. Wiesz gdzie?

- Tak.

Highnote podał mu szyfr.

- Znajdziesz, tam również trochę gotówki, ale nie przemycisz broni przez kontrolę celną. Szczególnie do Związku Radzieckiego.

- Wiem - odezwał się McAllister.

- Paszporty są puste, co z artystą?

- Monachium,

- A co potem. Mac? Przypuśćmy, że jakimś cudem dotrzesz, do Borodina. I co, uważasz, że zechce z tobą rozmawiać?

- Nic będę wiedział, dopóki nie spróbuję.

- Nie rób tego - poradził szczerze Highnote. - Proszę, przemyśl jeszcze tę decyzję,

- Już to zrobiłem - odparł McAllister. - Czy twój dom jest pod obserwacją?

- Nie.

- A Merrilee i... Gloria?

- Po strzelaninie zostały zabrane do jednego z naszych bezpiecznych domów w Falls Church. Myślę, że nie powinieneś tam jechać.

Masz rację przyznał McAllister i ze zdumieniem zauważył, że myśl o żonie nie przysporzyła mu tyle bólu, ile się spodziewał. - Uważaj na siebie, Bob. Agent Potemkina zrozumie, że depczemy mu po piętach, kiedy tylko zorientuje się, że jego oficer nadzorujący został wyprawiony na tamten świat.

- Nie rób tego - spróbował ponownie Highnote.

- Nie mam wyboru. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek miał jakiś wybór - odparł McAllister i odwiesił słuchawkę.

Stephanie otworzyła mu drzwi i w chwili gdy ich oczy się spotkały, wiedziała już, że podjął decyzję, która może wszystko zmienić. Jednocześnie czuła głęboką ulgę widząc go całego.

- Był sam? - zapytała, kiedy wszedł do środka i zamknęli drzwi na klucz.

- Nie - odparł McAllister. - Przywiózł ze sobą czterech innych.

Stała sztywno wyprostowana.

- Co się stało?

- Wszyscy nie żyją.

- Potemkin też?

McAllister skinął głową.

- A... z tobą wszystko w porządku?

- Nie - odrzekł wzdychając głęboko.

Czuł olbrzymi ucisk w piersiach i w żołądku. - Ale nie zostałem ranny.

- Och, Davidzie. - Przytuliła się do niego. Objął ją mocno i gładził po włosach radując się jej zapachem i dotykiem. - Zabiłem ich i przyszło mi to tak łatwo. Łatwiej niż możesz sobie wyobrazić.

Nie odezwała się.

Po chwili zaczął opowiadać, co zdarzyło się od momentu, gdy ujrzał mercedesa wyjeżdżającego z ambasady przy ulicy Szesnastej, aż do chwili, kiedy wrócił do Arlington. Nie opuszczał żadnego szczegółu, poza rolą jaką bez wątpienia odgrywał jej ojciec. Czuł, że potrzebowała tych wiadomości ze względu na to, co się stało w Baltimore. Rewanż, może katarsis; pomyślał, iż powinna uwierzyć, że to oni pierwsi uderzyli. Że nie siedzieli z założonymi rękami, oplakując straszliwe wydarzenia ostatnich kilku dni.

- Było ciężko? - spytała, kiedy skończył.

- Tak.

Wpatrywała się w jego twarz szukając znaku, że koszmar już się skończył, że zwyciężyli. Nie znalazła.

- Co zrobiłeś z mercedesem?

- Zaparkowałem go w garażu w centrum i przyjechałem tu taksówką. Minie trochę czasu, zanim go znajdą. Przy odrobinie szczęścia dopiero jutro lub pojutrze.

Ponownie spojrzała na niego badawczo.

- Jest coś jeszcze.

Bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Skinął głową.

- Zadzwoń do szpitala do Boba Highnote'a.

- Dobrze się czuje?

- Mają go wypuścić za dzień lub dwa. Musiałem go ostrzec. Gdy znajdą ciało Potemkina, ukryty agent zrozumie, że jesteśmy blisko.

- Ucieknie.

- Może nie. Zależy od tego, ile ma tu jeszcze do ocalenia. Może O'Haire'owie byli tylko wierzchołkiem góry lodowej. Może ktoś zajmie miejsce Potemkina.

- Co powiedział? - zapytała Stephanie. McAllister odwrócił się, lecz pociągnęła go ku sobie. - Co jeszcze, Davidzie?

Tak wiele chciał jej powiedzieć, a jednak nie mógł się na to zdobyć. Zasługiwała, żeby poznać prawdę, lecz bał się, że może tego nie wytrzymać.

- Jadę do generała Borodina.

- Do Moskwy - powiedziała spokojnie.

- Tak.  
- Kiedy? Jak?  
- Rano do Montrealu, gdzie zmienimy z powrotem wygląd, żeby pasował do prawdziwych paszportów, a stamtąd do Frankfurtu. Potem samochodem do Monachium, gdzie załatwię nam nowe dokumenty. - Wyjął paszporty dyplomatyczne, które znalazł w sejfie Highnote'a. - Użyjemy tego.  
- Co po Monachium? - spytała, zaledwie rzuciwszy okiem na paszporty.  
McAllister pomyślał, że zaraz wybuchnie.  
- Helsinki - odrzekł.  
- Potem Moskwa?  
- Ty zostaniesz w Helsinkach.  
- Po co?  
- Jeśli nie wrócę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, zadzwonisz do Highnote'a, a jeśli zajdzie konieczność, do naszej ambasady, władz fińskich, a nawet do prasy. Rozdmuchasz całą sprawę.  
Uśmiechnęła się, lecz niezwykle kruchym uśmiechem.  
- A tymczasem ty będziesz gdzieś na krańcach Związku Radzieckiego. Skazany szpieg amerykański, którego wszyscy chcą zabić. Bez broni, przeciwko jednemu z najpotężniejszych generałów tego kraju. - Roześmiała się, a w jej oczach rozbłysły płomienie. - Davidzie, to wykracza poza wszelkie realia. W tym momencie muszę się zgodzić z Highnote'em, to szaleństwo.  
McAllister ponownie odwrócił się, lecz tym razem nie powstrzymywała go. Przemierzył pokój i podszedł do okna.  
*W mojej głowie gnieźdzą się demony, których nie potrafią kontrolować. Są siły, które mną kierują których nie potrafią zrozumieć. Zapragnął znaleźć się u boku swego ojca; nigdy niczego jeszcze w życiu tak bardzo nie pragnął. Straszliwie się boję i nie wiem czego.*  
- Skończ z tym, kochanie.  
Stephanie podeszła do niego.  
Potrzęsnał przecząco głową.  
- Nie mogę - odparł krótko.

## Rozdział 32

Howard Van Skike, dyrektor CIA, wszedł do gabinetu prezydenta. Dookoła masywnego biurka stało wielu ludzi. Jeden z doradców rozmawiał żywiołowo przez telefon, a inni zgromadzeni po przeciwnej stronie pokoju, pogrążeni byli w rozmowie.  
John Sanderson, szef FBI, odłączył od grupy przy biurku i wyszedł na powitanie nowo przybyłego.  
- W samo południe ma zaplanowaną konferencję prasową. - Spojrzał na zegarek.  
- Co daje nam trochę ponad trzy godziny na obmyślenie czegoś.  
- Co się dzieje? - zapytał Van Skike czując ból w żołądku.  
Wrzody znów dały o sobie znać. Od trzech dni pił Maalox butelkami.

- Możliwe, że myliliśmy się co do McAllistera - zakomunikował Sanderson. - Straszliwie się myliliśmy. Są pewne pytania, które zdają się nie mieć logicznych odpowiedzi.

- Czy ma to związek z Donem Harmanem?

- W ogromnej mierze, Van. Wygląda na to, że Don spotkał się z żoną O'Haire'a zamierzając ją zabić, lecz niespodziewanie zostali oboje rozwaleni.

- Co takiego?! - wysapał Van Skike ledwie mogąc uwierzyć własnym uszom.

- Możliwe, że to Harman był ukrytym agentem, którego szukaliśmy. Albo przynajmniej jednym z nich. Oczywiście, nie mamy całkowitej pewności, lecz mnóstwo faktów na to wskazuje. Pamiętasz, mieliśmy świadków, którzy mówili, że widzieli wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę koło domu McAllistera rankiem, kiedy miała miejsce strzelanina w parku College.

Van Skike przytaknął. Prezydent podniósł głowę.

- Zaczekaj jeszcze kilka minut, Van, dobrze? - odezwał się.

- Tak, panie prezydencie.

- Wydaje się coraz bardziej możliwe, że tym mężczyzną był Don Harman.

- Który współpracował z McAllisterem i tą Albright?

- Nie - odparł Sanderson. - Innes nagrywał spotkanie. McAllister mógłby się tego domyślać, lecz zabójcom to umknęło. Jeden z nich wypowiedział dwa słowa: Bierz go. Męski głos. Nasi ludzie w laboratorium zorganizowali kasetę z głosem McAllistera. Zdaje się, że to całkiem świeża taśma. Przepuścili ją przez analizator. Wygląda, że człowiek, który nagrał się na kasetę i McAllister to dwie całkiem różne osoby.

Van Skike chciał oponować, lecz Sanderson powstrzymał go.

- Wiem, że w najlepszym razie można nazwać te przypuszczenia wątpliwymi. Niemożliwe, by mieć stuprocentową pewność, jeśli chodzi o te dwa słowa. Są jednak jakąś wskazówką.

- Która nadal nie daje odpowiedzi na pytanie, kto współpracował z Harmanem i co robi McAllister od ostatnich kilku tygodni.

- Oddawał cios - stwierdził Sanderson. - Najwyraźniej dowiedział się w Moskwie czegoś, co wskazywało na Harmana... oczywiście to tylko domniemania. Kiedy Rosjanie go wypuścili, Harman wystawił na niego wyrok śmierci. Od tego czasu McAllister ciągle próbuje bronić własnego życia.

- I robi to cholernie dobrze.

Sanderson skinął głową.

- Jest najlepszy, nie ma co do tego wątpliwości.

- Co teraz?

- Prezydent sam ci powie - odparł Sanderson zerkając na drugą stronę pokoju. - Och, przy okazji - dodał odwracając się. - Słyszałeś, że Mel Ouarmby umarł zeszłej nocy?

- Nie - przyznał Van Skike. - Przykra wiadomość. Był dobrym człowiekiem.

- A Bob?

- Wczoraj wypisał się ze szpitala. Czuje, że w pewnym sensie ta sprawa dotyczy go osobiście. Od wielu lat przyjaźnił się z McAllisterem.

Sanderson spojrział na niego ze zdziwieniem, co w tym momencie wydało się Van Skike'owi co najmniej nieodpowiednie; jakby szef FBI wiedział coś, czego nie chciał powiedzieć.

- Panowie, chciałbym was prosić o opuszczenie gabinetu. Dajcie nam kilka minut - powiedział prezydent.

Dal znak Van Skike'owi i Sandersonowi, żeby pozostali.

Ostatni z wychodzących zamknął za sobą drzwi.

- To gównu wkrótce rozchlapie się dookoła - odezwał się prezydent wychodząc zza biurka, kiedy zostali sami. - Czy John poinformował cię o najświeższych rewelacjach?

- Tak, panie prezydencie - odparł Van Skike. - Lecz bardzo ciężko mi uwierzyć, że Don Harman współpracował z, Rosjanami.

Prezydent uśmiechnął się krzywo.

- Mnie to mówisz - rzekł. - Tymczasem media zalewają Biały Dom wrzeszcząc o krwawym morderstwie. Chcą odpowiedzi i nie mogą ich za to winić. - Pokręcił głową.

- Kłopot w tym, że nie wiem, co mam im powiedzieć.

- Prawdę - poradził Van Skike. - Albo na razie przynajmniej pewną jej część.

Prezydent ponownie się uśmiechnął.

- Którą prawdę, Van? Bez McAllistera nie mamy nic. A co najważniejsze, John bierze pod uwagę, że Harman nie pracował sam. Ktoś mógł z nim współpracować, ktoś z twojego pastwiska po drugiej stronie rzeki. Przyjemna myśl, co?

Van Skike zerknął na Sandersona, lecz szef FBI wydawał się niezwykle opanowany.

- Możliwe, że McAllister jest jedynym człowiekiem znającym odpowiedzi, których szukamy. Chcę go tu widzieć i tym razem radzę nie spieprzyć roboty. Osobiście gwarantuję mu bezpieczeństwo. Udzielę mu prezydenckiej amnestii lub czegokolwiek, co przekona go, że naprawdę mam takie zamiary.

- Jeśli w jakiś sposób uda ci się przekazać mu taką wiadomość, powiedz, żeby zadzwonił do prezydenta - wtrącił spoglądając na Van Skike'a Sanderson.

- Sam z nim porozmawiam - odezwał się prezydent. - Tylko dotrzyjcie jakoś do niego.

- Prawdopodobnie nie będzie to łatwe - powiedział Van Skike na pół do siebie, wrywając się z własnych myśli. - Bob Highnote zna go lepiej niż jakikolwiek inny człowiek na ziemi. Jemu powierzę to zadanie. Jeśli ktokolwiek potrafi znaleźć McAllistera, to tylko on.

John Sanderson przy zachodnim wyjściu spotkał George'a Muellera, szefa kontrwywiadu FBI. Razem opuścili budynek i wsiedli do samochodu Sandersona.

- Co o tym myślisz? - spytał Mueller.

Ten niski, potężnie zbudowany mężczyzna o gęstych, ciemnych włosach często uchodził za pyszałka. Łączyła go bliska przyjaźń z Alvaneni Reisbergiem.

- Highnote zajmie się tą sprawą - odparł Sanderson.

Kierowca zakręcił przed portykiem i ruszył długim podjazdem.

- Chwycił przynętę? - spytał Mueller.

Sanderson spojrział na niego.

- Nie wiem. Trzeba poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Tymczasem prawie wszystko może się zdarzyć... - mruknął Mueller.

- Spokojnie - ostrzegł Sanderson.

Van Skike pomyślał, że Bob Highnote wygląda, jakby za chwilę miał upaść. Mężczyzna starał się za wszelką cenę siedzieć prosto na krześle, a na wysokim czole wystąpiły mu kropelki potu.

- Chodzi o to, że Mac nosi wszystkie możliwe odpowiedzi w swojej głowie, tak? - mówił Highnote.

- Zdaje się, że Sanderson przedstawił całkiem przekonujący obraz sytuacji. Kłopot w tym, jak się dostać do McAllistera, zanim wydarzy się coś jeszcze.

Highnote na chwilę odwrócił wzrok.

- Czy to może kolejna pułapka? Wywabić go z kryjówki i rozwalić na miejscu, gdy tylko wystawi głowę?

- Nic - odparł krótko Van Skike.

- Od samego początku mówiłem wam, że on jest niewinny. Nikt mnie jednak nie słuchał i z tego powodu mnóstwo dobrych ludzi rozstało się z życiem. Bóg raczej wie, co Mac jeszcze zrobi, jak się go będzie prowokować.

- Możesz go dla nas znaleźć, Bob? - spytał po chwili Van Skike.

Highnote odwrócił się do niego.

- Tak, mogę - powiedział. - Lecz oczywiście nie na tyle szybko, żeby pomóc prezydentowi w jego dzisiejszej konferencji prasowej.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Nie dokładnie, lecz mam pewne pojęcie.

- Gdzie?

- Zszedł do podziemia, Van, czego się zresztą domyślałem. Odszukam go jednak dla ciebie, tyle że nie mogę zagwarantować, w jaki sposób zareaguje. Do tej pory na widok broni musiał się w nim wykształcić odruch obronny.

Van Skike stał się w ciągu ostatnich lat bardziej administratorem i politykiem niż specjalistą w dziedzinie szpiegostwa. Pytanie, komu zaufać, zawsze było dla niego najważniejsze, jednak z wiekiem zaczynał zatracać swoją nieomylną intuicję.

- Uważają, że Don Harman nie pracował sam - powiedział.

- Oczywiście, że nie.

- Uważają, że oprócz rosyjskiego agenta, kimkolwiek on był, mógł otrzymywać wsparcie bezpośrednio z Agencji.

Oczy Highnote'a rozszerzyły się znacznie. Wyprostował się jeszcze bardziej.

- Czy to powiedział ci Sanderson?

Van Skike skinął głową. Czuł ogień w żołądku.

- Zostaw wszystkie inne sprawy. Chcę, żebyś poświęcił się temu całkowicie.

- Kto to jest, Van? - spytał miękko Highnote. - Mają jakiegoś podejrzanego?

Możemy przygwoździć skurczybyka sami, zanim Sanderson i jego czołowi łowcy posuną się jeszcze dalej?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Może taki ktoś w ogóle nie istnieje. Może to tylko nieuzasadnione domniemanie. Mam taką nadzieję.

Highnote wstał z pewną trudnością.

- Zabieram się za to natychmiast. Ale powiem ci jedną rzecz, Van.

- Tak. - Van Skike podniósł wzrok.

- Nie dam Sandersonowi tak od razu namiarów na McAllisera. Po prostu nie zrobię tego. Jeśli uda mi się dotrzeć do niego, spróbuję go sam sprowadzić. Dopiero kiedy sytuacja się ustabilizuje, pozwolimy, żeby Biuro go przesłuchało.

- I tę kobietę - dodał Van Skike, kiedy Highnote zatrzymał się przed drzwiami.

- Ją także.

Samolot linii lotniczych Air Canada wylądował na lotnisku we Frankfurcie kilka minut po siódmej rano. McAllister i Stephanie podróżowali pod swoimi prawdziwymi nazwiskami i byli jednymi z pierwszych pasażerów, którzy wysiedli z samolotu. Czuł się prawie nagi podróżując w ten sposób, tak otwarcie, lecz urzędnicy z kontroli paszportowej ledwie na nich spojrzeli, mimo że wyglądali zupełnie inaczej niż osoby na zdjęciach w paszportach.

- Cel wizyty w Niemczech, proszę pana?

- Turystyka - odparł McAllister.

- Jak długo zamierza pan tu przebywać?

- Tydzień, może trochę dłużej.

Urzędnik, młody mężczyzna o surowej twarzy, uśmiechnął się i oddał McAllisterowi paszport.

- Życzę udanych wakacji, *mein Herr*.

- Dziękuję, z pewnością będą udane - odparł McAllister i przeszedł na drugą stronę bramki, gdzie poczekał na Stephanie.

Kiedy się odprawiła, podążyli za zieloną linią do kontroli celnej pasażerów z bagażem podręcznym, jako że tylko taki ze sobą zabrali, a pięć minut później, już na dole, McAllister wymienił trochę dolarów na marki niemieckie, po czym z Hertza wynajął na tydzień małego mercedesa sedana.

Byli w Europie. Highnote miał rację, ich paszporty nie znalazły się na czarnej liście. Nikt nie zwrócił na nich większej uwagi, lecz mieli za sobą dopiero tę łatwiejszą część podróży.

*Poczyniliśmy wspólnie wielkie postępy, ty i ja. Jestem z ciebie dumny, Mac, tak bardzo się cieszę.*

Poczynił pewne postępy, lecz nawet teraz nie potrafił określić dokładnie, w jakim kierunku. Stephanie powiedziała mu kiedyś, żeby polegał na instynkcie i zastosował się do jej cennej rady. Zdołali zejść tak daleko umykając wciąż przed prześladowcami, lecz cena, jaką zapłacili, okazała się nienaturalnie wysoka i wcale nie odczuwał dumy z tego, co zrobił. Dokądkolwiek się kierował, z kimkolwiek się kontaktował, wszędzie towarzyszyło temu zabijanie, szerzenie śmierci i zniszczenia. Czasami, jak na przykład teraz, propozycja Highnote'a, że może byłoby lepiej, gdyby wpakował sobie kulę w łeb, wydawała mu się rozsądną opcją. Zakończyć ból, walkę, położyć temu kres raz a dobrze. Nie mógł jednak tego zrobić ani też odwrócić się na pięcie i odejść, zapominając o wszystkim. Coś nim kierowało. To rzemiosło, chłopcze, powiedziałby jego ojciec. To siedzi we krwi i rujnuje człowiekowi normalność, regularność życia. Ciężko powiedzieć sobie stop, kiedy po głowie szamocą się te wszystkie niezgłębione sekrety. Przez resztę życia będziesz oglądał się przez ramię spodziewając się, że jeden z wrogów, których przysporzyłeś sobie podczas kariery, podejdzie cię od tyłu z twoimi dziewięcioma uncjami - rosyjski eufemizm na dziewięćmilimetrową kulę w potylicę.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Boże, dopomóż mi, bo właśnie to się dzieje.

Niebo w Niemczech jaśniało przejrzystym błękitem, lecz powietrze było chłodne. Mnóstwo śniegu leżało w zaspach wzdłuż autobanów, po których samochody z włączonymi światłami gnały z prędkością stu trzydziestu, stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Skoncentrował się na prowadzeniu wozu. W Montrealu Stephanie stała się dziwnie milcząca, co stworzyło między nimi dystans, tak jak po wypadku w pociągu w Chicago. Przypuszczał, że powodem może być strach... oraz odraza do tego, co zrobili.

Zabijali ludzi. Co im to dało? Czym, w ostatecznym rozrachunku, różnili się od oprawców z KGB?

Do dziesiątej dotarli do miasta Nurnberg, gdzie z drogi E6 skręcili na południe mijając obszerne połacie pastwisk federalnych, innym razem przejeżdżając obok małych wiosek i dobrze rozplanowanych gospodarstw. Teren zaczął się stopniowo wznosić w kierunku Alp, u których podnóża leżało Monachium, siedziba BND - niemieckich tajnych służb. Bywał tu już wcześniej, nawet dosyć często, wymieniając informacje z Niemcami podczas swojego urzędowania w Berlinie. Tym razem nie miał wrażenia, że powraca do znajomych miejsc. Wszystko się zmieniło. On również się zmienił.

Wjechali do Monachium od północy około jedenastej trzydzieści, zatłoczoną Leopoldstrasse w dzielnicy Schwabing, ograniczoną po obu stronach rzędem butików, restauracji, galerii, barów, piwnic artystów, bliźniaczymi wieżami stanowiącymi sławny punkt orientacyjny Monachium, z wieżą Frauenkirche wystrzeliwującą wysoko w błękit przejrzystego nieba. Szerokim bulwarem, wysadzonym wysokimi topolami,

wjechali do centrum miasta i minęli duży parking położony w pobliżu zaprojektowanego z przepychem Hauptbahnhof, jednego z największych dworców kolejowych w Europie,

Zawróciwszy na najbliższej przecznicy, wjechał na parking, wziął bilet z maszyny i pojechał na najniższy poziom, gdzie zaparkował mercedesa w ciemnym rogu.

- I co teraz? - spytała Stephanie głosem bez wyrazu.

McAllister spojrział na nią.

- Przykro mi, lecz nie wiem, jak inaczej można to zrobić.

- A zatem zamierzasz to kontynuować?

- Tak.

Zaczęła się trząść i złapała go za rękę.

- Wszystko już się skończyło, Davidzie. Zostaw to. Proszę. Zrób to dla mnie.

- W takim razie oni wygrają.

- I co z tego?! - wrzasnęła z twarzą wykrzywioną w grymasie strachu i złości. - Nie możesz wrócić do Związku Radzieckiego! Na pewno cię zabiją

- Muszę - powiedział McAllister. - Czy nie rozumiesz, kochanie? Nie mam wyboru.

- Ależ masz! Davidzie, przerwałeś dwie siatki! Zostaw to w końcu!

- Nie.

Taksówka zawiozła ich do małego hotelu tuż obok parkingu. Zameldowali się pod własnymi nazwiskami i zostawili paszporty dla policji, która miała je rano sprawdzić. Oboje czuli ogromne zmęczenie, jako że żadne nie wypoczęło specjalnie podczas długiego, transatlantyckiego lotu.

Po wyjściu boya hotelowego McAllister założył łańcuch na drzwi, odsłonił kołdry, zmiętosił poduszki, tak jakby ktoś spał w łóżku, a w łazience zwinął dwa ręczniki i rzucił je na podłogę.

Stephanie stała pośrodku pokoju i obserwowała go z rękami skrzyżowanymi na piersiach, pocierając dłońmi ramiona, żeby powstrzymać się od dreszczy.

Rozpakował bagaże i rozrzucił ubrania po pokoju, wieszając kilka w szafie, inne kładąc na krzesłach, pozostawiając resztę na podłodze. Następnie umieścił przybory toaletowe w łazience, wycisnął trochę pasty do zlewu i pobrudził szklanki.

- Czy będziesz czegoś potrzebowała przez następnych kilka dni? - spytał po skończonej pracy.

- Co masz na myśli?

- Zostawiamy to wszystko.

Rozejrzała się po pokoju i wzruszyła ramionami.

- Torebka.

- Zabierz ją i chodźmy.

- Dokąd?

- Schwabing - odparł.

Dzielnica artystyczna Schwabing była, podobnie jak Greenwich Village w Nowym Jorku i Soho w Londynie, centrum rozrywki. Po opuszczeniu hotelu wsiedli do mercedesa i następne kilka godzin spędzili dokonując zakupów w różnych sklepach, zaopatrując się w nowe ubrania, przybory do mycia i paru tanich nylonowych walizek, do których wepchnęli wszystkie rzeczy, usuwając z nich ceny i etykiety sklepowe.

Leopoldstrasse, główny bulwar, którym jechali w południe, zaczął ożywiać się wczesnym wieczorem, kiedy McAllister zaparkował samochód przy bocznej uliczce i wraz ze Stephanie skierowali się do małego, zapuszczonego nocnego klubu, znajdującego się mniej więcej w połowie przecznicy. Chociaż dochodziła dopiero



szósta, miejsce to było już zatłoczone, atmosfera zagęszczała się stopniowo od dymu, a młody, długowłosy mężczyzna siedzący na niewielkim podeście grał na gitarze jakiś hit Bruce'a Springsteena. Odnosiło się wrażenie, że nikt go nie słucha. Gwar rozmów wydawał się wszechobecny.

McAllister znalazł wolny stolik pod ścianą, a kiedy przyniesiono im drinki, wstał.

- Zostań tu, zaraz wrócę - powiedział.

Stephanie podniosła wzrok, lecz nie odpowiedziała, więc odwrócił się i podszedł do baru. Usiadł ze swoim drinkiem kładąc przed sobą studolarówkę.

Po niecałej minucie barman stanął przy nim, spojrzawszy najpierw na banknot, a potem na McAllistera.

- Potrzebuję artysty - odezwał się po niemiecku McAllister.

- Pełno ich w mieście, *mein Herr* - odparł potężny, grubo ciosany mężczyzna o twarzy czerwonej jak burak.

- Ten musi mieć wyjątkowe zdolności. Ktoś bardzo dobry, a przede wszystkim dyskretny.

Barman ponownie zerknął na zielony banknot.

- Ukrywasz się?

- Być może - przyznał McAllister.

- Potrzeba ci dokumentów, tak?

McAllister skinął głową.

Barman wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Gdzie siedzisz?

McAllister wskazał gestem pod ścianę. Barman zręcznie zsunął studolarówkę z blatu i schował ją do kieszeni.

- Przyślę go.

- Jak się nazywa?

- Nigdy nie pytałem - odparł mężczyzna i odszedł.

McAllister wrócił do Stephanie i usiadł przy stoliku. Miała oczy szeroko otwarte, lecz przestała już drżeć.

- W porządku?

Skinęła głową.

- Ktoś przyjdzie z nami porozmawiać. Bez względu na to, co się stanie, nic nie mów.

Ponownie skinęła głową.

McAllister chciał jej jakoś pomóc, zrobić coś, żeby jej to wszystko ułatwić. Nie potrafił. Nie teraz.

Pięć minut później przy ich stoliku usiadł, trzymając kufel piwa w ręku, stary mężczyzna o szczurzej twarzy i w okularach o bardzo grubych szklach, które sprawiały, że jego oczy wydawały się olbrzymie i nagie. Obdarzył ich bezzębnym uśmiechem. Cały wydawał się jakiś prehistoryczny i niechlujny. Wyjątek stanowiły dłonie. Cienkie, długie i niezwykle delikatne palce oraz zadbane paznokcie zdradzały artystę.

- Jaki zatem macie problem? - zapytał.

- Tego nie chciałbyś wiedzieć, mój przyjacielu - odparł bez zastanowienia

McAllister. - Potrzebne nam są dwa paszporty.

Starzec spojrział krytycznie na McAllistera, a potem przeniósł wzrok na Stephanie. Skinął głową.

- Macie oryginały?

- Puste.

- Więc będzie łatwo. Zdjęcia?

- Nie. I musimy zmienić wygląd, a przynajmniej ja.

- Żaden problem. Moje studio znajduje się tuż za rogiem.  
- Jeszcze jedno - rzekł McAllister. - Będę potrzebował stempli wizowych w moim paszporcie. Dużo.  
- Wyglądających na podniszczone - dodał starzec ze zrozumieniem. - Jakich krajów?  
- To zostawiam tobie, oprócz jednej, najświeższej wizy.  
- Tak, do jakiego kraju?  
- Do Związku Radzieckiego.  
Starzec odchylił się na krześle mrużąc oczy. Potrząsnął głową.  
- Trudna sprawa - stwierdził. - Będzie kosztowało.  
- Ile?  
- Tysiąc pięćset od tej damy - odparł bez wahania. - Dolarów. Dwa tysiące od ciebie.  
Kwota ta przekraczała połowę sumy, którą Mac wziął z sejfu Highnote'a.  
- Potrzebujemy też noclegu na dzisiejszą noc.  
Starzec skinął głową.  
- Żaden problem. - Pochylił się lekko do przodu. - Czy mogę mieć za to BND na głowie?  
- Jeśli będziesz trzymał język za zębami, to nie - odparł McAllister. - Połowa teraz, a połowa, kiedy będą gotowe.  
Starzec wahał się chwilę, po czym westchnął.  
- Twoja skóra - powiedział i wyciągnął rękę.

### **Rozdział 33**

Okrutny wiatr hulał po zamarzniętej rzece Istrze trzydzieści kilometrów od Moskwy, zaganiając śnieg w długie zasy, wyjąc na krawędziach stromych skarp i zawodząc w wierzchołkach brzoź. Pomimo wczesnego popołudnia słońce zdążyło już zatonać na zachodnim horyzoncie. O tej porze roku ciemności wcześniej okrywały ziemię.

Krępy mężczyzna o grubej szyi, ubrany w ciepłą kurtkę z kapturem i kozaki obszyte kozuszkami, zbliżał się od strony rzeki, wzniecając oddechem kłęby białej pary. Na wzniesieniu zatrzymał się i spojrzął na wąską, zalesioną dolinę, w której

przycupnęła jego dacza. Kręta smużka dymu unosiła się ponad ubielonym śniegiem dachem.

Ktoś nadchodził. Przeczuwał to już od kilku dni, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Może instynkt. A przecież chciał jedynie mieć nad wszystkim kontrolę, nic więcej. Nie pragnął niczego więcej, przynajmniej dopóki nie zostaną zweryfikowane błędy popełnione w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Każdy kolejny dzień przynosił jednak nowe nieszczęście i co gorsza, żadnego nie potrafił zrozumieć. Tak jakby działały jakieś siły, na które nie miał wpływu. Po raz pierwszy w swej długiej, błyskotliwej karierze poczuł, te prawdziwe szpony strachu wpijają mu się w trzewia. Potrzebne były wyjaśnienia; on jednak nie potrafił podać żadnego.

Spojrzał za siebie na drogę, którą przyszedł i zacisnął sękatę dłoń schowaną w grubych rękawicach. Kłamstwa gonily kłamstwa. Żył w ten sposób zbyt długo i czasami miał duże trudności z przypomnieniem sobie co było właściwie prawdą.

W pewien sposób wszystka zaważyło się dookoła niego z powodu jednego człowieka - Davida Stewarta McAllistera. Nie miał pojęcia, dlaczego i jak to się stało. Wiedział jednak, że się stało i działo się nadal.

Odwróciwszy się zszedł ze wzgórza, przemierzył dolinę i wspinał się ku swej daczce, która dawno temu należała do księcia, jednego z członków carskiej rodziny. Te czasy minęły, lecz nowa era miała swoje wygody.

Ściągnął buty w przedsionku, powiesił kurtkę i zacierając ręce wszedł do głównej izby, kiedy jego sekretarz wyłonił się z gabinetu z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tak, o co chodzi, Michaił?

- Telefon, towarzyszu generale - odparł młodszy mężczyzna, Michaił Wasiliewicz Kiselew. - Ze Stanów Zjednoczonych.

Borodinowi nagle zabrakło tchu.

- Niemożliwe.

- To jednak prawda - odparł z szacunkiem Kiselew.

Generał minął swego sekretarza, wpadł do małego gabinetu i podniósł słuchawkę.

- Tak, kto mówi?

Z początku nie słyszał na linii nic oprócz głuchego syku, który świadczył o połączeniu zamiejscowym. Kto znał ten adres. Któż mógł go znać?

- Generale Borodin - powiedział męski głos po angielsku. - Niech pan mnie słucha.

- Kto mówi? - zażądał Borodin przechodząc na angielski.

Kiselew stał w drzwiach z uniesioną lewą brwią.

- Harman i Potemkin nie żyją, a McAllister jest w drodze do Moskwy. Rozumie mnie pan?

Na otwartej linii! Generał Borodin ledwo mógł uwierzyć własnym uszom. Musiał oprzeć się o biurko, żeby nie stracić równowagi.

- Kto mówi? O czym pan mówi?

- McAllister wie wszystko. Nawet zna pana nazwisko i jedzie tu po pana. Jedzie, żeby pana zabić.

- Jest pan szalony - rzekł Borodin.

Chciał krzyknąć, ale najwyraźniej brakowało mu tchu.

- Jeśli zostanie aresztowany, powie wszystko, co wie. Wszystko zostanie zniszczone. Ty, ja, wszystko, rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem - powiedział z uwagi na Kiselewa.

Rzeczywiście, teraz rozumiał; jeśli nawet nie dlaczego i jak, to przynajmniej implikacje. Kim jednak był ten głupiec, który do niego teraz dzwonił?

- Musisz go zabić. Jesteś ostatnią nadzieją

- O czym ty mówisz?

- McAllister jedzie do Moskwy, żeby cię zabić. Nie mam już nikogo innego z kim mógłbym się skontaktować. Boże, czy ty nic nie rozumiesz?

Generał Borodin nie odpowiedział. Po chwili połączenie zostało przerwane. Powoli odwiesił słuchawkę. Kiselew obserwował go bacznie.

- O co chodziło, towarzyszu generale?

Borodin potrząsnął głową i wyrwał się ze swych ciemnych myśli.

- Nie wiem, Michaiile Wasiliewiczu. To jakiś obłąkaniec, krzyczał coś o szpiegach.

- Szpiegach? - zapytał sekretarz podnosząc brwi.

- Tak - odparł generał Borodin z wymuszonym uśmiechem. - Chciał pracować dla nas. Myślę, że to kowboj. Szalony.

- Czy mam napisać raport?

- Nie - odparł generał Borodin odsyłając mężczyznę. - Zajmę się tym jutro rano.

Robert Highnote zatrzymał windę na czwartym piętrze siedziby CIA w Langley i pobiegł do swego biura. W niedzielne południe w budynku panował względny spokój.

Położył torbę na biurku swego sekretarza i wszedł do środka, chwycił za słuchawkę i wykręcił trzycyfrowy numer. Zaczerwienione oczy zdradzały brak snu. straszliwie bolała go głowa, a rana w boku zdawała się palić żywym ogniem. Nie mógł jednak przestać. Nie teraz. McAllister wziął paszporty i pieniądze z sejfu w ścianie jego gabinetu i w jakiś sposób udało mu się wraz z tą kobietą wyjechać z kraju.

Highnote zawsze darzył swego przyjaciela dużym szacunkiem, lecz od wydarzeń z Moskwy nie potrafił zrozumieć niczego, co Mac powiedział lub zrobił. Stało się z nim coś niezwykłego, coś kompletnie niezrozumiałego. Coś całkowicie szalonego.

- Kontrola paszportowa - odpowiedział głos w słuchawce.

- Tu Highnote. Macie coś na temat numerów tych dwóch paszportów dyplomatycznych z Helsinek?

- Tak, proszę pana. Próbowaliśmy dotrzeć do pana wcześniej, lecz nikt nie odpowiadał w domu.

- Jestem teraz w biurze - odparł Highnote napiętym głosem.

- Pojawili się w Helsinkach kilka godzin temu. Obydwa numery zostały potwierdzone.

Highnote ścisnął słuchawkę tak mocno, że prawie całkiem zbiały mu kłykcie.

- Czy macie nazwiska?

- Tak, proszę pana. Ostatnie trzy cyfry, sześć-pięć-dziewięć, na Wilsona, Thomasa S. Paszport sześć-sześć-zero na Morgan, Christine M.

- Udało się wam ustalić nazwę hotelu, w którym się zatrzymali?

- Jeszcze nie, proszę pana, ale stacja w Helsinkach obiecała, że dadzą nam znać od razu, jak sprawdzą na policji. Nie powinno to długo potrwać.

- Jest tam teraz wczesny wieczór. Sądziłem, że już mają tę informację.

- Przykro mi, ale to wszystko, co udało im się ustalić. Czy chce pan, żebyśmy ponownie spytali?

McAllister dokonał niemożliwego. Do tej pory prawdopodobnie był już w Związku Radzieckim. Dobry Boże, czy to naprawdę możliwe?

- Proszę pana? - pytał dyżurny.

- Nie, nie musicie tego dalej ciągnąć. Dziękuję.

- Jak mam to zapisać, panie Highnote?

- Proszę to zostawić, jeśli można. Zajmę się tym jutro.

- Rozumiem - odparł oficer dyżurny.

Highnote odwiesił słuchawkę. McAllister był świetny, lecz w tej chwili mógł być już martwy. Gdy tylko postawi stopę na rosyjskiej ziemi, zostanie pojmany. Poza tym, gdyby faktycznie jakimś cudem udało mu się dotrzeć do generała Borodina, nie

przeżyłby tego spotkania. Highnote wiedział o Borodinie, że to wyjątkowy twardziel. Żołnierz. Bali się go nawet jego ludzie. Nikt, kto wszedł mu w drogę, nie zdołał wyjść z tego bez szwanku.

A zatem Stephanie Albright sama wyczekuje w pokoju helsińskiego hotelu.

Highnote podniósł słuchawkę, przełączył się na zewnętrzną linię i zadzwonił do sekcji operacyjnej Bazy Sił Powietrznych w Andrews.

- Poproszę z majorem Jenkinsem - powiedział.

Dowódca eskadry odezwał się po sekundzie czy dwóch.

- Major Jenkins.

- Bob Highnote. Gotowi do wyruszenia, Mark?

- Czy to zielone światło?

- Zgadza się.

- A zatem, kiedy tylko będzie pan gotów - odrzekł major Jenkins.

- Jaka pogoda nad północnym Atlantykiem?

- Nad europejską częścią Rosji tworzy się burza, lecz posuwa się w kierunku wschodnim, więc możemy być dobrej myśli.

- Będę najdalej za godzinę - odparł Highnote.

Dexter Kingman, szef Urzędu Bezpieczeństwa CIA, siedział naprzeciwko Johna Sandersona w J. Edgar Hoover Building przy alei Pensylwanii i ulicy Dziesiątej, kiedy dyrektor FBI wreszcie wyjaśnił mu, co się dzieje.

- Nie podoba mi się ta ostatnia część, panie Sanderson i nie waham się tego panu powiedzieć.

- Mnie też się nie podoba - odparł Sanderson. - Ale niezaprzeczalny fakt jest taki, że Highnote zaczął działać.

- Gdzie?

- W tej chwili w swoim biurze.

- Uważa pan, że zaprowadzi nas do McAllistera?

Sanderson skinął głową i pochylił się do przodu.

- Musi pan zrozumieć, że ci dwaj przyjaźnili się ze sobą od wielu lat. I tego co wiemy, Highnote ochraniał McAllistera od chwili wydarzeń w Nowym Jorku.

- W świetle pozostałych informacji, które mi pan przekazał, aż trudno w to uwierzyć.

- Dla nas również nie jest to łatwe - przyznał Sanderson wzdychając głęboko - lecz wydaje się wielce prawdopodobne, że Robert Highnote pracuje dla rządu sowieckiego. Jego oficerem nadzorującym był niejaki Gienadij Potemkin, którego zwłoki znaleźliśmy na terenie posiadłości Janosa Sikorskiego, niedaleko Reston. Razem kontrolowali działalność siatki Haire'ów i odwalili piekielnie dobrą robotę.

- Dlaczego człowiek typu Highnote'a miałby się sprzeniewierzyć?

- Jeszcze nie wiemy, lecz nadal pracujemy nad psychologiczną stroną tego zjawiska...

- Co takiego? - zapytał Kingman, który sam był psychologiem.

Sanderson rozłożył ręce.

- Dysponujemy niewielką ilością faktów, na których możemy bazować. Aparaty telefoniczne, których używa, są stale czyszczone, więc nie ma możliwości kontrolowania jego rozmów. Za każdym razem, gdy wykonuje jakiś ruch, robi to z taką delikatnością, że wyśledzenie go sprawia ogromną trudność. Obecnie jednak przypuszczamy, że w ciągu ostatnich pięciu do ośmiu lat stał się dość niezrównoważony. Presja pracy, dylematy moralne, nie mamy pewności. Zebrane dowody każą przypuszczać, że przekroczył pewne granice. Czy wie pan, że stał się fanatykiem religijnym?

- To jeszcze nie czyni z człowieka rosyjskiego szpiega.  
- Nie - przyznał Sanderson.  
- A McAllister? Jak on pasuje do tego schematu?  
- Uważamy, że McAllister dowiedział się w Moskwie czegoś, co mogło ostatecznie doprowadzić go z powrotem do Highnote'a, który, pod pozorem przyjacielskiej pomocy, w rzeczywistości wystawiał go na strzał. Na całkiem legalne morderstwo. Kierował McAllisterem podobnie jak łowca potrafi kierować dzikim stworzeniem, naganając go w stronę innych łowców... nas.  
- A masakra w parku College? Niemożliwe, żeby zrobił to McAllister.  
- Nie - odparł Sanderson. - To wielka zagadka. Sądzymy jednak, że działała tu równocześnie druga siatka szpiegowska. Ta, w której pracował Donald Harman z jak dotąd nie znanym Rosjaninem.  
Kingman odchylił się do tyłu na krześle. Kręciło mu się w głowie.  
- Donald Harman, doradca prezydenta?  
- Tak.  
- Jak to możliwe? - zapytał Kingman próbując ze wszystkich sił zapanować nad sobą.  
Był gliniarzem, nie szpiegiem. Nie podobało mu się obgadywanie człowieka, którego przez tyle lat podziwiał.  
Zadzwoił telefon na biurku.  
- Tak - odparł cicho Sanderson.  
W chwilę później na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Przełączył telefon na głośnik, żeby Kingman również słyszał rozmowę.  
- Jesteś tam teraz, w Andrews?  
- Widzę, jak kołują na pasie startowym - odrzekł George Mueller. - Mogę kazać odwołać lot  
- Dokąd on leci?  
- Do Helsinek.  
- Chryste - odezwał się Sanderson spoglądając na Kingmana.  
- Mam go zatrzymać? - pytał Mueller.  
- Kto leci? - zapytał Kingman.  
- Highnote - odparł Sanderson. - Albo McAllister i Albright są w Helsinkach, albo Highnote próbuje uciec za granicę sowiecką.  
- Co takiego?! - zawołał Mueller. - Co mówisz?!  
- Nie zatrzymuj go - poleciał Sanderson. - Zadzwoń do Pentagonu i zorganizuję lot dla ciebie i Dextera Kingmana. On zaraz tam przyjedzie.  
- Nie dogonimy go.  
- Może nie, ale nie będziemy też daleko za nim - stwierdził Sanderson. - Czekaj tam. - Odłożył słuchawkę. - Czy w tej sytuacji pomożesz? - zapytał Kingmana.  
- Jeśli McAllister i Stephanie wierzą, że Highnote przybywa im z pomocą, bez problemu uda mu się ich zabić. Nie spodziewają się niczego złego z jego strony.  
- Pomożesz? - powtórzył Sanderson.  
- Tak - odparł bezwiednie Kingman. - Trzeba ich ostrzec. Moglibyśmy przesłać im jakoś wiadomość.  
- Zadzwoń do Vana Skike'a, a on załatwi coś w Agencji w Helsinkach, ale nie będziemy ich ostrzegać.  
Nagła fala zrozumienia spłynęła na Kingmana.  
- Mac i Stephanie... mają zostać użyci jako przynęta.  
Sanderson skinął głową.  
- To co mamy na Highnote'a, to jedynie dowody pośrednie. Nadal chcesz pomóc?  
- Nie mam chyba zbyt dużego wyboru, prawda? - odparł Kingman wstając.

- Nikt z nas nie ma - powiedział Sanderson.

Boże, dopomóż, by noc jakoś minęła. Leżąc w ubraniu na łóżku w hotelu Berlin niedaleko Łubianki, McAllister próbował zdystansować się wobec tego obłądu, w miarę jak niebo za oknem zaczęło rozjaśniać poniedziałkowy poranek. Wciąż czuł dotyk Stephanie, jej ciało otulające go niczym ciemny, ciepły sekret. Przed jego popołudniowym odlotem do Moskwy kochali się w hotelu w Helsinkach. Delikatnie pieścili swe rozgorączkowane ciała, a Stephanie nie chciała pozwolić mu odejść. Nie potrafił złagodzić jej bólu, jak również swego strachu.

- To szaleństwo - zawołała zrozpaczona.

Ostatni nieracjonalny czyn nieracjonalnego człowieka, lecz nawet teraz, kiedy nadal miał możliwość zawrócić, wymeldować się z hotelu i złapać pierwszy lot z powrotem do Helsinek, nie potrafił tego zrobić. Coś nim kierowało. Nawet w najgłębszych zakamarkach umysłu rozumiał, że wydarzenia, które pociągnęło za sobą jego działanie, nie miały racjonalnej podstawy. Przynajmniej nie w rzeczywistości, którą potrafili zdefiniować i zrozumieć.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Waszyngton stał się już przeszłością. Teraz przyszedł czas na Moskwę, ażeby mógł zakończyć koło obłądu, które dla niego rozpoczęło się pewnego późnego, październikowego wieczoru.

*Poczyniliśmy wspólnie wielkie postępy, ty i ja. Jestem z Ciebie dumny, Mac, tak bardzo się cieszę.*

Człowiek, który go przesłuchiwał, nazywał się Mirosznikow, pułkownik KGB. Tyle McAllister wiedział. W jego pamięci zachował się zaledwie obraz twarzy mężczyzny pochylającego się nad nim, jego małe oczy, wąskie, osadzone blisko siebie, oczy bez dna. Widział też Mirosznikowa, jak siedzi naprzeciwko w pokoju przesłuchań. Dobrze zbudowany, o prawie żółtej cerze i orientalnych rysach.

*Sądził pan, że może zrobić dla kraju więcej słowami niż kulami, czy tak?... w końcu zacznie pan mówić. Wszyscy to robią... A pan, mój drogi panie McAllister, niewątpliwie jest takim zasobem... Wierz mi, będziemy się świetnie bawić, ty i ja...*

Strzępy słów Mirosznikowa przepływały przez głowę McAllistera, lecz było coś więcej. Pomiędzy chwilą, gdy zaczął się rozpadać, a nocą, podczas której jego serce zatrzymało się, kiedy leżał na metalowym stole, zdarzyło się znacznie więcej. Jakieś fragmenty... kawałki rozmów, których nie potrafił poskładać do kupy... przepływały nieuchwytnie gdzieś ponad umysłem.

Zebra Jeden to zdecydowanie Donald Harman, a Zebra Dwa generał Borodin. Lecz kim jest Borodin? Czym się zajmuje? W jaki sposób udało mu się dotrzeć do takiego człowieka jak Donald Harman i przeciągnąć go na swoją stronę? A co najważniejsze w tej chwili, w jaki sposób McAllister miał dotrzeć do generała?

Wstał z łóżka i wyrzwał przez okno na Dietskij Mir, wielki dom towarowy z artykułami dziecięcymi, i dalej na plac Dzierżyńskiego. Było po siódmej i miasto zaczynało budzić się do życia. Pomyślał, że niedługo czas iść.

W niedzielę rano bez problemu opuścili Monachium. Dokumenty okazały się bez zarzutu, stemple wizowe w paszporcie McAllistera również. Pierwszy test czekał na nich w Helsinkach, lecz zgodnie ze statusem dyplomatycznym potraktowano ich z preferencją i przeszli kontrolę celną bez zwyczajowego sprawdzania.

W niedzielę po południu Stephanie pojechała z nim taksówką na lotnisko i patrzyła, jak wchodził na pokład samolotu Aeroflotu lecącego do Moskwy. Kiedy maszyna kołowała, szukał jej wzrokiem, lecz nigdzie nie mógł jej wypatrzeć.

Jeśli on przegra, pomyślał, ona przegra również. Ich losy splotły się ze sobą nierozdzielnie, w chwili gdy wyłowila go z rzeki Potomac w Dumfries.

*Dziękuję ci, że uratowałaś mi życie, kochanie, lecz powinnaś była odwrócić się ode mnie, kiedy jeszcze miałaś taką możliwość.* Teraz nie mógł dla niej zrobić absolutnie nic.

Na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie sprawdzono jego paszport nieco dokładniej niż w Helsinkach, lecz podobnie jak Finowie, rosyjscy urzędnicy potraktowali go z szacunkiem. W ciągu dwudziestu minut od kontroli celnej przeszedł przez odprawę i złapał taksówkę do miasta.

Odwrócił się od okna i zmęczonym krokiem poszedł do maleńkiej łazienki, gdzie popatrzył na swoje wymizerowane odbicie w lustrze. Bardzo krótko przystrzyżone włosy miały teraz kruczoczarny kolor. Skóra na całym ciele została przyciemniona o kilka odcieni w porównaniu do oryginalnej barwy, dzięki barwnikowi uzyskanemu z łupinek migdałów. Miał pogrubione brwi, zrobiono mu wspaniałe wąsy i ponownie nosił okulary zerówki, które Stephanie kupiła w Baltimore. Okres ten wydawał mu się odległy o całe wieki.

Przezeszał palcami włosy, starł pot z czoła ręcznikiem, po czym powrócił do sypialni. Wciągnął sportową bluzę, a następnie włożył nylonową kurtkę.

Naprzód, pomyślał.

Kwatera KGB mieściła się przy placu Dzierżyńskiego w kompleksie nie wyróżniających się budynków, kilka przecznic na północ od Kremla i zaledwie sto metrów od hotelu Berlin. Główny budynek z szarego kamienia wyrastał dziewięć poziomów ponad ulicę. Z tyłu znajdowała się jedna ze starszych części, ograniczona podwórzem - słynne więzienie na Łubiance. Minęła ósma i przy sześciu bramkach zaczęli pojawiać się spieszący do pracy oficerowie i urzędnicy KGB.

Z miejsca gdzie stał udając, że czyta „Prawdę” leżącą na wystawie biuletynów pod szybą, McAllister widział wyraźnie wszystkie sześć bram. Wejście do więzienia na Łubiance znajdowało się kilkanaście kroków dalej. Ludzie mijali go w pośpiechu, pędząc do pracy. Nie tak dawno był tam w środku, lecz nawet teraz to wspomnienie wydawało mu się lodowato nierealne. Trzymali go przez ponad miesiąc, faszeringując narkotykami, pozbawiając odpowiedniego jedzenia i odpoczynku, nieubłaganie przesłuchując, na nowo i na nowo, i w końcu torturując. Większość tych wspomnień tchnęła szarością lub w ogóle nie istniała w jego pamięci, poza tym że to doświadczenie zrodziło w nim głęboką, nurtującą nienawiść.

Jedynie najważniejsi członkowie partii i urzędnicy rządowi korzystali z uprzywilejowanego parkingu na wewnętrznym dziedzińcu. Pozostali pracownicy musieli zostawiać auta na zewnątrz; Mirosznikow był tylko śledczym, więc nie mógł stawiać swego samochodu na parkingu w obrębie kompleksu. KGB miało również kilka parkingów w odległości mniej więcej przecznicy od placu, chociaż większości niższych rangą urzędników i oficerów nie stać było na utrzymanie samochodu, więc dojeżdżali do pracy metrem bądź autobusami.

Trzęsąc się z zimna McAllister zdawał sobie sprawę, że może tak czekać bez końca. Istniało prawdopodobieństwo, że Mirosznikow nie przyjdzie dziś w ogóle do pracy lub pojawi się później. A może już wszedł do budynku? Może były jeszcze inne wejścia, inne drogi prowadzące do wnętrza kompleksu?

Obserwując ukradkiem ludzi, przestraszył się w pewnej chwili, że nawet jeśli Mirosznikow pojawi się tego ranka, on go nie zdoła rozpoznać. Sięgnął pamięcią wstecz, lecz oprócz krzepkiej budowy przypomniał sobie jedynie jego oczy i niewiele więcej.

Istniała także możliwość, zaniepokoił się McAllister, że Mirosznikow nie wchodził do budynku przez bramę więzienną. Miał przecież do wyboru pięć innych wejść. Być



może jego biuro znajdowało się gdzieś w obrębie głównego budynku, w którym mieściła się większość dyrektoriatów KGB.

Odszedł od wystawy z gazetami i zaczął bacznie obserwować ulicę. Widział teraz pozostałe bramy, lecz z tej odległości na pewno nie udałoby mu się rozpoznać pojedynczego człowieka w przepływającym tłumie; zresztą i tak nie zdążyłby do niego podejść. Mirosznikow zniknąłby w budynku, a znalazłszy się wewnątrz, stałby się nieuchwytny przynajmniej do końca dnia pracy.

Zdesperowany McAllister odwrócił się na pięcie. Serce skoczyło mu do gardła, lecz nie wierzył własnym oczom. W odległości zaledwie pięciu metrów ujrzał zapamiętaną z koszmaru postać. Wyrastając ponad większość otaczających go ludzi, szedł ze spuszczoną głową, trzymając grubą skórzaną teczkę w lewej ręce, a pod prawą pachą ściskając zrolowaną gazetę.

Przez kilka długich, straszliwych chwil McAllister stał w osłupieniu niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Twarz Mirosznikowa była jedyną na całym świecie, której nie spodziewał się kiedykolwiek ujrzeć. Wreszcie oprawca i jego ofiara spojrzeli sobie prosto w oczy. Nagle powróciło uczucie satysfakcji, które ogarnęło go po uderzeniu kolanem w krocze tego człowieka i sięgnięciu mu pięścią do gardła w tę pamiętną, ostatnią noc.

Mirosznikow podniósł głowę w ostatniej chwili, a jego wzrok prześlizgnął się po postaci McAllistera. Nie rozpoznał go, lecz sekundę później spojrzął raz jeszcze, jego oczy znalazły oczy McAllistera i spoczęły na nich świdrując wnikliwie. Nagle zrozumiał i zatrzymał się jak wryty.

McAllister przepuścił dwóch umundurowanych oficerów KGB i podszedł do Mirosznikowa, zanim ten miał okazję się poruszyć.

- Ty... - wysapał Mirosznikow patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Jak?

McAllister uśmiechnął się, chociaż żołądek podchodził mu do gardła i odczuwał zawroty głowy. Złapał Mirosznikowa pod ramię, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Idziemy na spacer - powiedział po rosyjsku stanowczym tonem. - Jeśli mi odmówisz albo krzykniesz, zabiję cię natychmiast.

- To szaleństwo.

- Istotnie - zgodził się McAllister.

Do tej pory nikt nie zwrócił na nich uwagi, lecz w każdej chwili sytuacja mogła ulec zmianie.

- Czego chcesz?

- Informacji. A teraz idziemy albo tu zginiesz.

- Ty również - odezwał się Mirosznikow próbując wyswobodzić się z uchwytu.

McAllister wzmocnił uścisk.

- To już nieważne. Nie mam nic do stracenia.

Strach na twarzy śledczego ustąpił miejsca zrozumieniu, jeśli nie akceptacji.

- Istotnie, przypuszczam, że rzeczywiście nie masz.

- Chodźmy.

- Gdzie?

- Twój wóz A potem gdzieś, gdzie można swobodnie porozmawiać. W jakieś ustronne miejsce.

Mirosznikow wahał się przez krótką chwilę. Wreszcie skinął głową

- Jak sobie życzysz - zgodził się.

- Jesteś niesamowitym człowiekiem - stwierdził Mirosznikow.

Wsiedli do zaparkowanego nie opodal czarnego moskwicza.

McAllister sięgnął pod połę płaszcza śledczego i wyciągnął automatycznego makarowa. Standardowa broń KGB.

- Masz zamiar mnie teraz zabić? - zapytał Mirosznikow. - Za wszystko czego doznałeś pod moją opieką?

- To zależy od ciebie - odparł McAllister.

Czuł ucisk w klatce piersiowej i słyszał bicie własnego serca. Mimo panującego chłodu pocił się straszliwie.

- Przebyłeś całą tę drogę szukając wyjaśnienia?

- Potrzebuję informacji na temat generała KGB Aleksandra Borodina. Chcę, żebyś mi powiedział, jak go znaleźć. Gdzie on mieszka?

Na twarzy śledczego odmalowało się zdumienie.

- Co takiego?

- Borodin. Potrzebuję adresu.

- Nie rozumiem. Sądziłem, że przybyłeś tu, żeby...

McAllister podniósł pistolet i przytknął go do boku Mirosznikowa.

- Nie mam czasu. Chcę natychmiast jego adres, jeśli nie - umrzesz. To proste.

Mirosznikow pokręcił przecząco głową.

- Ma mieszkanie w mieście przy prospekcie Kalinina, lecz zwykle przebywa w nim jego żona. Generał woli swoją daczę.

- Gdzie? Dokładnie - zażądał McAllister.

Spotkanie i bliskość Mirosznikowa okazały się zupełnie inne, niż myślał. Czuł się jak głupiec lub raczej jak uczeń, który coś spsocił. Oddaj mu rewolwer, jest twoim przyjacielem. Czyż to nie zostało już kiedyś ustalone?

*Robimy takie wielkie postępy, ty i ja. Mac.*

Mirosznikow obserwował go wnikliwie.

- Znajduje się nad rzeką Istrą. Około pięćdziesięciu kilometrów stąd. Nie tak trudno trafić.

McAllister znał większość terenów dookoła Moskwy. Kilkakrotnie bywał w okolicy rzeki Istry w Muzeum Architektury Drewnianej. Dokładna replika wsi z kościołami, chłopskimi domostwami, spichlerzami, młynami powstała po sprowadzeniu tych budynków z obszaru całej Rosji.

- Czy to blisko wsi?

- Tak - odparł Mirosznikow nadal nie mogąc wyjść ze zdziwienia. - Kilka kilometrów na północ. Jest most na rzece. Jego dacza stoi pierwsza po prawej stronie.

Parking ochraniało wysokie ogrodzenie z drutu. Jeden ze strażników wyszedł z budki i patrzył w ich kierunku. McAllister podniósł wzrok.

- Włącz silnik i wyjedź stąd - rozkazał.

Mirosznikow również dostrzegł strażnika.

- Do daczy generała?

- Nie. Gdzieś w ustronne miejsce. Gdziekolwiek. Zabierajmy się stąd.

Natychmiast

Mirosznikow włączył silnik i ruszył. McAllister zniżył pistolet tak, żeby znajdował się on poza polem widzenia strażnika. Minęli go i wyjechali za bramę.

Na ulicy panował już duży ruch, więc przez kilka następnych minut śledczy skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Skręcił w prawo przejeżdżając obok Ministerstwa Edukacji. Przy następnym skrzyżowaniu musiał się zatrzymać na czerwonym świetle. Nie patrzył na McAllistera, oczy utkwione miał na zderzaku samochodu przed nimi. Kiedy światło się zmieniło, ruszył dalej.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę.* Słowa Woronina tak silnie wryły się w umysł McAllistera, że chyba zawsze będzie o nich pamiętał. Było jednak coś jeszcze. Coś, co nie dawało spokoju.

- Kim jest dla ciebie ten generał? - zapytał Mirosznikow przerywając denerwującą ciszę.

- Zebra Dwa - odpowiedział McAllister.

W tej chwili nie miało już znaczenia, kto o tym wiedział.

- Kim?

- Szpiegiem.

- Oczywiście...

- Pełnił funkcję oficera nadzorującego Donalda Harmana. On i jego ludzie próbowali mnie zabić, od chwili kiedy zostałem wysłany do domu. Cóż, wszyscy pożegnali się już z tym światem, a Borodin jest jedynym, który pozostał przy życiu.

Mirosznikow patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Zebra Jeden to Donald Harman, doradca prezydenta. Generał Borodin to Zebra Dwa, jego oficer nadzorujący.

- Przyjechałeś tu, żeby go zabić? - zapytał z niedowierzaniem w głosie Mirosznikow.

- Tak.

- Dlaczego?

McAllister chciał odpowiedzieć, lecz nie potrafił wyartykułować swoich myśli. Serce waliło mu jak młotem.

Przecięli obwodnicę Sadową i jechali dalej na północ, oddalając się od centrum miasta. Nad szeroką ulicą wisiał rozpostarty transparent. NIECH ŻYJE NARÓD RADZIECKI, BUDOWNICZY KOMUNIZMU. McAllister z trudem panował nad sobą.

- Dlaczego? - powtórzył Mirosznikow. - Podjąłeś ogromne ryzyko przyjeżdżając tutaj. Porwałś oficera KGB sprzed siedziby organizacji i podejrzewam, że nawet nie byłeś uzbrojony. A teraz mówisz, że zamierzasz zabić bardzo ważnego generała.

Pytam ponownie dlaczego?

- Za to... co zrobił.

- Tobie? Twojej ojczyźnie?

- Tak.

- Mówisz, że ten Donald Harman nie żyje. Czytałem o tym w gazetach. Również o innych ważnych osobistościach z Waszyngtonu. Wykonałeś swoją robotę, Mac, i to naprawdę dobrze. Jestem z ciebie dumny.

- Amerykanie - szepnął McAllister.

- Myślę, że również Rosjanie. Widziałem raporty. Zaginął Gienadij Potemkin.

Przypuszczalnie nie żyje.

- Zabiłem go.

- No widzisz? Byli też inni.

Ruch malał, w miarę jak oddalali się od centrum. Minęli Dworzec Ryski, park Dzierżyńskiego, a przejechawszy pod wiaduktem kolejowym, dużą fabrykę włókienniczą po prawej stronie.

*Wierz mi, będziemy się świetnie bawić, ty i ja.*

Słowa śledczego wirowały dookoła McAllistera. Słyszał jego głos, to z tej, to z tamtej strony.

Miasto zostało z tyłu. Brzozowe lasy rozpościerały się aż po lekko pofalowany horyzont, a autostrada wznosiła się i opadała niczym fale olbrzymiego oceanu. Ciemne, ciężkie chmury zakrywały niebo, a wiatr zaczął nawiewać śnieg przez drogę. Krajobraz wydawał się obcy, jakby z innej planety.

- Nie rozumiesz, prawda, Mac? - doszedł do McAllistera cierpliwy głos Mirosznikowa. - Oczywiście nie możesz zrozumieć.

Wąska droga, która była właściwie ścieżką przecinającą głębokie zasy śniegu, ginęła wśród drzew. Mirosznikow zredukował bieg i mały samochód pokonał niewysokie wzgórce, po czym zjechał z drugiej strony biorąc stromy zakręt. Kiedy

stanęli, nie widzieli już autostrady. Ze wszystkich stron otaczały ich drzewa. Nawet najmniejszy ślad ludzkiej obecności nie kalał tego opustoszałego krajobrazu.

- Nie sądzę, żebyś chciał mnie zabić - odezwał się Mirosznikow.

McAllister podniósł automatyczny rewolwer. W jego oczach tańczyły delikatne błyski niczym migoczące, żarzące się węgle z ogniska.

- Zamierzam ci pomóc, tak jak robiłem to od samego początku. Mac. Wierz mi, że okażę się dobrym przyjacielem. Twoim jedynym przyjacielem.

Śledczy otworzył drzwi i wysiadł.

- Dokąd idziesz?! - krzyknął McAllister budząc się nagle z odrętwienia.

- Zapalić, nic więcej. Porozmawiamy i w końcu zrozumiesz, że możemy razem zabić tego twojego generała i wspólnie uciec na Zachód. Będziemy bohaterami, ty i ja. Wierz mi, będziemy się świetnie bawić.

McAllister wysiadł z samochodu w chwili, gdy Mirosznikow zapalał papierosa. Oficer KGB poczęstował go wyciągając rękę ponad maską samochodu, lecz McAllister odmówił. Wyjątkowo mroźny wiatr szczypał w twarz i uszy.

- Zrobimy to wieczorem - zaproponował Mirosznikow. - Trudny przeciwnik, lecz myślę, że z twoją pomocą jest to możliwe. Wszystko jest możliwe.

- To jeden z twoich, dlaczego chcesz go zabić?

Mirosznikow spojrzał gniewnie.

- Jest Rosjaninem, nie jednym z moich.

- A ty?

- Sybirakiem. To wielka i istotna różnica, Mac. Pewnego dnia ci to wyjaśnię.

Podczas gdy Mirosznikow stał oddalony o szerokość samochodu, zimny wiatr nieprzerwanie rozjaśniał umysł McAllistera. Wyrwał się już z hipnotycznego wpływu tego dziwnego mężczyzny... który, mimo wszystko, był tylko zwykłym człowiekiem.

- Co mi zrobiłeś na Łubiance?

Mirosznikow zaczął podnosić papierosa do ust, lecz zatrzymał rękę w połowie drogi.

- Uratowałem ci życie.

- O czym ty mówisz?

- Byłeś szpiegiem. Kiedy cię pojmano, miałeś przy sobie broń. Powinieneś być dostać karę śmierci. Zapobiegłem temu.

- Jak?

- Przekonując generała Suslewa, szefa mojego wydziału, że przydasz się nam bardziej w Stanach niż w Gulagu czy dwa metry pod ziemią.

McAllister poczuł, że palec zaciska mu się na cynglu makarowa. Nie miał pojęcia, jaki nacisk wystarczyłby do wystrzału.

Mirosznikow dostrzegł ten ruch.

- Co mi zrobiłeś?

- Przekonałem Suslewa, że przerobiłem cię na naszego agenta. Szanse, że to się powiedzie, że potrafisz udowodnić, iż nie jesteś zdrajcą, były niewielkie. Ale nawet najmniejsza szansa jest lepsza niż żadna.

- Co zrobiłeś?! - krzyknął McAllister przez wiatr. - Ty skurwielu, co się stało?!

Mirosznikow upuścił papierosa na ziemię.

- Dałem ci... motywację.

- Co jeszcze?

- Dałem ci moją... nienawiść. Dałem ci...

- Czekali na mnie w Nowym Jorku. Miałem umrzeć. Kto wydał ten rozkaz?

- Nie wiem.

McAllister odbezpieczył makarowa.

- Kto im powiedział, że przylatuję tym samolotem?

- Potemkin! - odkrzyknął Mirosznikow.  
 - Skąd on wiedział?  
 Mirosznikow nie odpowiedział.  
 - Skąd?  
 - Powiedziałem mu, że ktoś podpisał rozkaz twego zwolnienia i że wiesz o siatce O'Haire'ów.  
 - Wystawiłeś mnie.  
 - Wiedziałem, że mu się nie uda. To głupiec, tak jak pozostali. Nie tak jak ty! Wiedziałem, że przeżyjesz. Dostrzegłem to w twoich oczach od pierwszej chwili, gdy tylko cię zobaczyłem.  
 - Dlaczego?! - zawołał McAllister. - Dlaczego to zrobiłeś?!  
 - Wiedziałem, że jeśli przeżyjesz Nowy Jork, nie spocznesz, dopóki nie dowiesz się, kto próbował cię zabić. Wiedziałem, że odkryjesz naszego agenta w CIA.  
 - Harman nie pracował dla CIA.  
 - O nim nie wiedziałem. Mówię o Robercie. Twoim przyjacielem.  
 McAllisterowi zabrakło nagle powietrza. Ręce zaczęły mu się trząść.  
 - Nie wiedziałeś?! - krzyknął poruszony do żywego Mirosznikow.  
 - Highnote?  
 - Współpracowałem z Potemkinem. Od wielu lat. Chciałem oddać cios.  
 Highnote. Lata przyjaźni, wzajemnego zaufania, wspólne zlecenia, wszystko to zlało się w umyśle McAllistera w jedną całość. Olbrzymi, bolący, niesamowicie ciężki balast na jego barkach. Był Atlasem. Tyle że jego brzemię przechodziło granice wytrzymałości.  
 - I to ty tego dokonałeś - powiedział Mirosznikow. - Ty oddałeś cios. Ty ich zniszczyłeś.  
 McAllister kręcił głową. Opuścił pistolet i odwrócił się. Pamiętał szczególnie jeden wieczór; wyszli wraz z Highnote'em na berlińską Ku-Damm i straszliwie zapili. Coś świętowali... Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć co. Kiedy wrócili do pokoju, Merrilee i Gloria czekały na nich, z początku rozłoszczone, lecz na koniec tak się wszyscy śmiali, że Merrilee dosłownie popuściła w majtki. Dobre wspomnienia. Wspaniałe czasy.  
 - Teraz to zakończymy, Mac. Ty i ja. Tak daleko zaszliśmy razem...  
 - Przez cały czas to byłeś ty - odezwał się zdumionym głosem McAllister.  
 - Borodin jest ostatni. Zabijemy go, a potem uciekniemy.  
 - Ty - powiedział McAllister silnym głosem.  
 Odwrócił się podnosząc pistolet.  
 - Uratowałem ci życie! - wrzasnął Mirosznikow.  
 - Ale zabrałeś duszę! - krzyknął McAllister.  
 Kula trafiła Mirosznikowa w sam środek czoła.

### **Rozdział 34**

Stephanie Albright zapłaciła za obiad i przeszła przez zatłoczoną restaurację do windy. Po dwudziestu czterech godzinach samotności opuściła pokój hotelowy, nie będąc w stanie dłużej znieść takiej izolacji. Przez godzinę przechadzała się po pięknym centrum Helsinek, przechodząc obok wykwintnie zdobionego budynku opery i starego kościoła przy ulicy Lonnrotin. Panował jednak tak przenikliwy chłód, że w końcu schroniła się w restauracji znajdującej się na samym szczycie hotelu Tornii, z którego roztaczał się widok na całe miasto. Często w swoim życiu doświadczała samotności. Bardzo dużo myślała o Davidzie, o obłędzie, w jakim tkwili od kilku ostatnich tygodni. Coś nim kierowało. Była o tym przekonana od pierwszej chwili, gdy na niego spojrziała.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Janos Sikorski wiedział, co oznaczają te słowa. Słyszając, jak David je wypowiada, zareagował natychmiast i gwałtownie.

- Przy kim jeszcze wypowiedziałeś te słowa? - zażądał wówczas Sikorski.

Przywołując w pamięci ową scenę, przypomniała sobie, że do tego czasu zdążyła już wymknąć się z kuchni, lecz tuż przed hukiem wystrzału do jej uszu doleciał krzyk starca: Zdrajca! Dadzą mi medal za twoje ciało!

Wtedy to nie miało sensu, a teraz jeszcze mniej. Sikorski już dawno nie pracował w swoim fachu, przeszedł na emeryturę zaszywając się w chacie niedaleko Reston, a mimo to znał i rozumiał znaczenie słów Zebra Jeden, Zebra Dwa. Kimkolwiek byli ci dwaj - jeśli w ogóle istnieli - najwyraźniej działali od bardzo dawna. Na pewno jeszcze za czasów aktywności Sikorskiego.

On jednak nazwał Davida zdrajcą. Dlaczego? Cóż to oznaczało?

Czekała tylko dwadzieścia cztery godziny. Mac prosił ją o czterdzieści osiem, zanim zacznie robić szum. Nie mogła jednak wytrzymać ani chwili dłużej. Sprawy zaszły zbyt daleko. W rzeczywistości stało się to już w momencie, gdy pozwoliła mu wsiąść na pokład samolotu rejsowego do Moskwy.

O Boże, Davidzie, zawołała do siebie zjeżdżając windą, gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje? Zdecydowała, że nadszedł czas, aby położyć kres temu szaleństwu. Czas, aby wy dostać go z Rosji.

Na korytarzu podeszła do rzędu automatów telefonicznych i zadzwoniła do ambasady amerykańskiej znajdującej się przy Itainen Puistotie. Czekając na połączenie próbowała się uspokoić, lecz z trudem opanowywała wzburzone nerwy.

Usłyszawszy sygnał, mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Tu Stephanie Albright. Potrzebuję pomocy.

- Tak, proszę pani - odpowiedział męski, przyjemny głos. - Jest pani obywatelką Stanów Zjednoczonych?

Czyżby nie słyszał, że wraz z McAllisterem są poszukiwani za morderstwo? Czy to możliwe?

- Tak - odparła.

- Czy obecnie przebywa pani w Helsinkach?

- Proszę mnie posłuchać - odezwała się Stephanie. - Chcę, żeby pan powiadomił kogoś na górze, że jestem w mieście. Chcę również, żeby przesłano wiadomość do Dextera Kingmana. To szef Urzędu Bezpieczeństwa CIA w Langley. Zapisał pan?

- Proszę pani, nie wiem, o czym pani mówi, lecz skoro przebywa pani w Helsinkach, myślę, że łatwiej uzyska pani pomoc przychodząc do ambasady. Jestem pewien, że ktoś tutaj...

- Do cholery! - zawołała Stephanie. - Nie słuchasz mnie. Przekaż moje nazwisko na górę wraz z wiadomością.

- Na górę?

- Do specjalnego zastępcy ambasadora.

- Do kogo?

- Do twojego szefa biura CIA.

- Ja nie...

- Zrób to - warknęła Stephanie. - Oddzwonię dokładnie za trzydzieści minut.

Odwiesiła słuchawkę i przez chwilę nie ruszała się z miejsca, aż odzyskała panowanie nad sobą, odwróciła się i przeszła korytarzem do drzwi wejściowych. Mijając po drodze kilka przecznic, udała się do swego hotelu przy ulicy Bulevardi.

Wraz z McAllisterem zameldowali się pod nazwiskami ze swoich paszportów dyplomatycznych. Ambasadzie nic nie da szukanie nazwiska Stephanie Albright. Oficjalnie nie przebywała na terytorium Finlandii.

Czas, pomyślała, był teraz czynnikiem rozstrzygającym. Gdyby udało jej się przekonać kogoś z ambasady, aby połączył ją z Dexterem na specjalnej linii, oraz gdyby udało jej się poinformować go o wszystkim, co się wydarzyło, istniałaby możliwość, że prześlą wiadomość do ambasady Stanów w Moskwie. Ktoś stamtąd na pewno zna generała Borodina i będzie wiedział, jak dotrzeć do McAllistera. Muszą mu pomóc!

Kilka minut po czternastej dotarła do hotelu Klaus Kurki. Wjechała windą na piętro, gdzie znajdował się jej pokój. Była zupełnie przemarznięta. Myślała o Davidzie. Tam w Moskwie jemu na pewno też zimno i jest przerażony, lecz nie będzie odczuwał bólu. Skoncentruje się wyłącznie na jednym człowieku. Wszystko inne przestanie się dla niego liczyć.

Przekręciła klucz w zamku i weszła do pokoju. Robert Highnote z uśmiechem odwrócił się od okna. Jego płaszcz leżał rzucony bezładnie na łóżko.

- Witaj, Stephanie - powiedział.

Ogromne zaskoczenie natychmiast wymieszało się z uczuciem ulgi i nagle kolana ugięły się pod nią.

- O Boże - wymamrotała. - Jak mnie tu znalazłeś?

- Kazałem oznakować wasze paszporty dyplomatyczne, tu, w Helsinkach. Z tego co wiem, artysta Maca w Monachium wykonał kawał dobrej roboty.

- On pojechał do Moskwy - zaczęła Stephanie i nagle przypomniała sobie, że nie zamknęła za sobą drzwi.

Odwróciła się i popchnęła je lekko.

- Po generała Borodina? - zapytał Highnote.

- Tak i musimy mu pomóc - odparła odwracając się. Serce w niej zamarło.

Highnote mierzył w nią z małego, automatycznego pistoletu. Maski zadumy i żalu opadła na jego twarz, zupełnie jakby było mu przykro z powodu tego, co robił.

Nagle wszystko wydało się jej takie oczywiste; Rosjanie czekający na Maca przed domem Highnote'a. Zabójcy, którzy przyszedli po niego na jacht przyjaciela. Nawet mordercy u Sikorskiego. Highnote znał świetnie metody McAllistera. Wiedział, że prędzej czy później się tam pojawi. Poza tym tylko Highnote przeżył strzelaninę w parku College. Wziął na siebie ogromne ryzyko, lecz cena była najwyraźniej tego warta.

- To nie Harman. - W końcu odzyskała głos. - To przez cały czas byłeś ty,

- W rzeczywistości obydwaj - odparł Highnote. - Chociaż na początku nie miałem pojęcia, że Donald również w tym siedzi. Nigdy nie współpracowaliśmy ze sobą.

- A zatem, który z was był Zebra Jeden?

Highnote pokręcił przecząco głową.

- Nie mam pojęcia, co to oznacza, panno Albright. Oczywiście, może mi pani nie wierzyć, ale to prawda.

- Organizacja O'Haire'ów nazywała się Sieć Zebra.

- Zgadza się. Nigdy jednak nie istniały kryptonimy Zebra Jeden i Zebra Dwa.

- Z kim pracowałeś?

- Z tym biedakiem Potemkinem - odpowiedział Highnote zaciskając zęby. -

Wspólnie odwaliliśmy kawał dobrej roboty. I zrobilibyśmy jeszcze więcej, gdyby Mac nam nie namieszał.

- Dlaczego?

Highnote ponownie zdobył się na słaby uśmiech.

- Bardzo złożone pytanie - odparł. - Na które jednak nie mam ani czasu, ani cierpliwości odpowiadać w tym momencie. Wystarczy, jeśli powiem, że w świecie, na którym palce spoczywają na dziesiątkach tysięcy przycisków broni nuklearnej, jedyna

gwarancja bezpieczeństwa leży w znajomości wzajemnych prawdziwych intencji. To jedyny sposób, zapewniam cię, uniknięcia ewentualnej konfrontacji atomowej.

Istniał pewien stary akronim CIA tłumaczący, dlaczego agenci zdradzają. Słyszała go podczas szkolenia na Farmie. PIKE, co oznaczało Pieniądze, Ideologię, Kompromis i Ego. Highnote niewątpliwie nie zdradzał za pieniądze. Ideologia? Kompromis, jak to teraz sugerował? Czy może po prostu ego? Ostami bastion nadziei na przetrwanie ludzkości. Czyżby stał się tak egocentryczny, że faktycznie w to uwierzył?

- W parku College to nie byliśmy my z Makiem.

- Wiem o tym.

- Więc kto?

- Nie jestem do końca pewny, lecz podejrzewam, że prawdopodobnie zaaranżował to Don Harman.

- Dlaczego?

- Następne bardzo obszerne pytanie - odparł. - Ponieważ, moja droga, nikt już nie wierzy, że ty i Mac jesteście zdrajcami czy zabójcami. Spotkaliśmy się, żeby przedyskutować sposób, aby was o tym przekonać. Chcieliśmy sprowadzić was w bezpieczne miejsce i dowiedzieć się, o co chodzi.

- Lecz zabito by nas, gdybyśmy tylko wyszli z ukrycia.

- Tak.

Stephanie kręciło się w głowie.

- A więc o co chodziło w tej całej sprawie?

- To jedyne pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć, ponieważ sam nie wiem.

Jestem pogrążony w ciemnościach na równi z wszystkimi, lecz nie ma to już większego znaczenia, ponieważ, widzisz, Mac na pewno nie przeżyje konfrontacji z generałem Borodinem... zadzwoniłem do niego i ostrzegłem, że Mac się zbliża... a ty, niestety, również nie przeżyjesz tego spotkania.

- Nie! - wrzasnęła Stephanie uskakując w bok przez otwarte drzwi łazienki.

Highnote wystrzelił, a kula rozerwała rękaw jej płaszcza.

Potężny łomot wstrząsnął ścianami. Zamek rozsypał się na kawałki i drzwi wejściowe rozwarły się na oścież.

Highnote wystrzelił ponownie, ktoś krzyknął, po czym nastąpiło jeszcze kilka innych strzałów. Wydawało się, że pochodzą z trzech różnych rodzajów broni.

Stephanie gorączkowo próbowała wstać, by zatrzaskać drzwi od łazienki, kiedy ujrzała nad sobą Dextera Kingmana. Krew ciekła mu z lewego ramienia tuż poniżej barku.

- Dexter?! - zawołała.

- Już dobrze, dzieciaku, wszystko słyszeliśmy - odpowiedział Kingman, a z jego głosu z południowym akcentem przebijał fizyczny ból.

Pokój wypełnił się uzbrojonymi mężczyznami. Podniosła się.

- Wcale nie dobrze. Mac jest w Moskwie! Musimy mu pomóc!

Kingman pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe.

Generał Aleksander Illicz Borodin wstał z miejsca, gdzie klęczał na śniegu, jakies pięćdziesiąt metrów od końca podjazdu, i odwróciwszy się popatrzył na drzewa w kierunku głównej drogi. Dawno już minęło południe i zaczął zapadać zmrok, lecz nadal mógł odróżnić kontur mostu na rzece.

Gdyby McAllister przyszedł... kiedy McAllister przyjdzie... to właśnie stamtąd. Samochodem czy pieszo? I jedno, i drugie będzie niemożliwe dla tego Amerykanina. A jednak miał wrażenie, że McAllister dokonywał już o wiele większych wyczynów.



Borodina ponownie zaczęły męczyć te same pytania, które zżerały go od samego początku. Dlaczego McAllister tu jechał? Ktoś musiał nim kierować. Żaden człowiek nie mógł być tak dobry działając w pojedynkę. Każda inna droga rozumowania oznaczała pograżenie się w szaleństwie. Lecz kto? Suslew, który wyobraził sobie, że pewnego dnia przejmie kierownictwo? Czy jego własny numer dwa w dyrektoracie, Siergiej Nemchin, który kierował tym głupkiem Hamanem od kilku minionych lat? A może ktoś po drugiej stronie Atlantyku? Ktoś, kto odkrył...

Odszedł krok od miny przeciwpiechotnej, którą właśnie zagrzebał w śniegu. Jeśli McAllister będzie tędy przechodził, zginie natychmiast. Samochodem ma szansę przeżycia, chociaż prawdopodobnie odniesie obrażenia.

Zabrawszy łopatę Borodin ruszył ku swej daczce, położonej pół kilometra od grzbietu oddzielającego dolinę od urwistego brzegu rzeki. Jego wcześniejsze ślady stóp, które prowadziły w lewo i w prawo od podjazdu, zdążył już przykryć sypiący śnieg.

Zatrzymał się na chwilę i nastawił uszu, lecz nie usłyszał nic prócz zawodzenia wiatru w wierzchołkach drzew.

Gdyby McAllister przeżył wybuch miny, mógłby podejrzewać, że cały podjazd został zaminowany i wówczas ruszyłby przez las po jednej lub drugiej stronie drogi. Borodin przymocował do drzew dwa kałasznikowy, ustawione na pełne automatyczne działanie, połączył je drutami rozciągniętymi tuż przy ziemi. Ten Amerykanin nie może przeżyć czegoś takiego... prawdopodobnie.

Generał pośpieszył z powrotem do domu, zatrzymując się na chwilę w miejscu, gdzie podjazd otwierał się na wąską polankę. Z trudem dostrzegł przypadkowy błysk jednej z kamer, zainstalowanych tuż pod okapem. Zostały one umieszczone na wszystkich ścianach domu, co umożliwiała obserwację czterech stron świata. Wytwór najnowszej technologii z Siódmego Departamentu Dyrektoriatu do Spraw Inwigilacji, zdolny do skutecznego działania przy minimalnym oświetleniu.

W korytarzu otrząsnął śnieg z butów, odłożył łopatę i powiesił płaszcz. Wszedłszy do swego gabinetu, włączył monitory telewizyjne, z których każdy pokazywał inny obszar wokół domu. Dookoła panował kompletny bezruch.

Wyjął pistolet z kieszeni, sprawdził, czy jest gotowy do strzału, i położył na biurku. Następnie sprawdził kałasznikowa z lunetą noktowizyjną i oparł go o ścianę przy drzwiach, po czym nalał sobie pełen kielich koniaku. Wypił do dna, zanim wyłączył światła w całym domu.

Odesłał swego sekretarza Michaiła, a jego żona Sasza znajdowała się w bezpiecznym miejscu w mieście.

Teraz pozostali tylko oni dwaj. On i ten samotny Amerykanin, który zbliżał się coraz bardziej.

Kim był ten McAllister? Czym się zajmował? Zakiełkowało w nim pierwsze ziarno niepokoju.

Kiedy McAllister dotarł do Muzeum Wsi nad rzeką, świat tonął już w mrokach nocy, a zwiększający się z każdą chwilą wiatr czasami spychał niewielkiego moskwicza ze śliskiej drogi.

Przez całe długie popołudnie miał trudności z koncentracją. Kilka godzin czekał w pobliżu autostrady ciągnącej się na północ od miasta, gdzie ciało Mirosznikowa powoli zamarzało w śniegu. Kiedy nie mógł już wytrzymać z zimna, włączył silnik, lecz grzejnik podnosił temperaturę wewnątrz wozu zaledwie o kilka stopni, chociaż na pewno szczelne wnętrze samochodu chroniło go przed uderzeniami lodowatego wichru.

Chciał odpocząć. Koniecznie potrzebował odpoczynku. Nie spał od ponad czterdziestu ośmiu godzin i prawie równie długo nic nie jadł. Umysł nie dawał mu jednak spokoju.

*Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Nadal nie znalazł ostatecznej odpowiedzi. Istniała możliwość, że Donald Harman krył się pod kryptonimem Zebra Jeden. Druga ewentualność sugerowała, że Robert Highnote był głównym agentem współpracującym z Borodinem, z którym kontaktował się poprzez Gienadija Potemkina.

McAllister powrócił pamięcią do chwili, gdy po raz pierwszy wypowiedział te słowa w towarzystwie Highnote'a. Znał tego człowieka... lub przynajmniej sądził, że go zna... a jednak nie zauważył żadnej reakcji, najmniejszego śladu świadczącego o tym, że Highnote wie, o czym on mówi.

Jaka pozostawała alternatywa?

Późnym popołudniem, kiedy powoli zaczął zapadać zmrok, wyszedł z małego samochodu i zbliżył się do miejsca, gdzie leżał Mirosznikow. Wiatr nazbierał już sporo śniegu przy jego ciele, skóra przybrała niebieską barwę i otwarte oczy mężczyzny były równie puste po śmierci, jak za życia.

W końcu to jego oprawca go wykreował.

*Dałem ci motywację... dałem ci moją nienawiść... Dałem ci życie...*

- Lecz za jaką cenę? - spytał McAllister martwego mężczyznę.

Stephanie powiedziała mu kiedyś, żeby się wyzwolił, zaufał własnym instynktom, nie tylko w imię swego fachu, lecz w imię poczucia dobra i zła. To rozgraniczenie zostało jednak dokładnie pomieszane przez narkotyki i pranie mózgu, któremu poddano go, gdy był w rękach Mirosznikowa. Właściwie nie potrafił oddzielić swych własnych myśli i impulsów od tych, które mu implantowano.

W pewnej chwili w jego zmęczonym umyśle ponownie zrodził się pomysł ucieczki; wydostać się z Moskwy, zanim rzeczywiście będzie za późno. Przerwać cykl zdarzeń uruchomiony przez Mirosznikowa. W chwili gdy o tym pomyślał, wiedział równocześnie, że nie może tego zrobić. Gdyby Borodin przeżył, wówczas wszyscy, którzy zginęli, a było ich już tak wielu, straciliby życie na marne.

*Od wczesnego dzieciństwa kierował się poczuciem całości. Nigdy nie odchodź od roboty, jeśli nie jest w pełni zakończona. Nigdy nie odwracaj się od raz rozpoczętej pracy, chłopcze. To nie płynie w naszej krwi. My nie z tych, co się poddają.*

Właściwie stało się nieistotne, co nim kieruje, plan Mirosznikowa czy też jego własne instynkty.

Teraz nie miał już wyboru.

O tej porze autostrada była zupełnie pusta. McAllister znalazł zjazd kilka kilometrów za wsią, a kiedy dotarł do mostu, wyłączył światła moskwicza i przejechawszy na luzie przez wąską rzekę, opuścił szybę od strony kierowcy.

Po jakichś stu metrach dotarł do wąskiej, pokrytej śniegiem ścieżki prowadzącej w prawo przez las. Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i wysiadł ściskając w dłoni odbezpieczonego automatycznego makarowa. Wokół panowała absolutna cisza, przerywana jedynie jego własnym, nierównym oddechem, tykaniem stygnącego silnika samochodu i wyciem wichru. Podjazd niknął w ciemnościach. Nigdzie nie dostrzegł nawet najmniejszego błysku światła.

Ruszył ciemną drogą i po dziesięciu krokach zatrzymał się nasłuchując, penetrując wzrokiem wyrastający przed nim gęsty las w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, że ktoś tam na niego czeka. Odpowiedziała mu głucha cisza, więc zawrócił i pośpieszył do wozu. Położył pistolet na siedzeniu obok i włączył silnik.

Moskwicz prychnął gniewnie, grzęznąc w zaspie po jakichś dwudziestu metrach; silnik zgasł nagle. McAllister przekreślił kluczyk w stacyjce. Samochód szarpnął w przód, po czym przyśpieszył, kiedy koła znalazły lepsze oparcie na ciemnej drodze.

McAllister nie miał pojęcia, jak daleko w lesie znajdowała się dacha generała Borodina. Nie dostrzegł jednak żadnych śladów kół na śniegu, co oznaczało, że przynajmniej od kilku godzin nikt tędy nie przejeżdżał.

Jechał z wyłączonymi światłami, więc jego oczy stopniowo przyzwyczyły się do mroku, i chociaż las tonął w ciemnościach, rozróżniał wąską wstęgę podjazdu i drzewa po obu stronach leśnej drogi.

Po przejechaniu niewiele ponad pięćdziesięciu metrów, kiedy miał zatrzymać wóz i wsłuchać się w odgłosy nocy, pod podłogą zrodził się oślepiający błysk, któremu towarzyszył huk eksplozji, i w jednej sekundzie pochłonął mały samochód. Wybuch zepchnął moskwicza na pobocze. Eksplozja zniszczyła cały przód wozu odrywając przednie siedzenia od podłogi. McAllistera wyrzuciło na tył samochodu, rąbnął głową o okno, a coś bardzo gorącego i ostrego przecięło mu kurtkę i ugrzęzło w lewym boku.

Moskwicz stanął w płomieniach. Przez czas, który wydawał się całą wiecznością, McAllister nie mógł poruszyć rękoma ani nogami. Jego dziwacznie powykręcane ciało leżało pod częścią dachu samochodu i dużymi fragmentami jednego z siedzeń. W uszach dzwoniło mu przeraźliwie od huku, a przed oczami tańczyły żółte iskierki.

Płomienie. Skoncentrował się na tej jednej myśli. Musiał wydostać się z wraku, zanim eksploduje zbiornik z paliwem.

Przez kilka długich sekund gramolił się spod szczątków samochodu, a przez następne starał się zorientować w sytuacji, uświadomiwszy sobie, że przód wozu zniknął i może wyjść przez otwór, gdzie kiedyś była przednia szyba.

Pokaleczył ręce o potłuczone szkło i sterczące krawędzie powykręcane metalu, po czym zaczął się tarzać w śniegu, który z sykiem usypiał płomienie pożerające jego ubranie i włosy.

Śnieg dawał zbawienny chłód i koił poparzenia i rany, lecz McAllister nie miał czucia w nogach i mógł jedynie czołgać się po ziemi.

Zdołał przebyć jakieś trzydzieści metrów, kiedy zbiornik z paliwem eksplodował, a siła wybuchu dokonała dzieła zniszczenia, wysyłając płomienie i żelastwo we wszystkich kierunkach.

Przez długą chwilę, może minutę lub więcej, McAllister leżał twarzą w śniegu. Wirowało mu w głowie, a żółte błyski nie przestawały tańczyć przed oczami. W uszach nadal dzwoniło niemiłosiernie.

Borodin przygotował się na jego przybycie. Droga roiała się od pułapek. Wspomnienie kilkunastu wypadków z Wietnamu przeleciało mu błyskawicą przez głowę. Bomby podkładane pod samochody, ataki rakietowe, miny.

Lecz skąd ten Rosjanin wiedział? Kto go ostrzegł?

Leżenie tu oznaczało śmierć. Ta myśl w końcu spłynęła na McAllistera. Wsparł się na rękach, po czym z trudem stanął na nogach, chwiejąc się w przód i w tył. Krew ciekła mu z rąk i z rany w boku.

Generał Borodin tu był. Czekał na niego. Były tu także odpowiedzi. Wszystkie.

McAllister ruszył do przodu, jednak po kilku krokach zatrzymał się i znieruchomiał.

Droga roiała się od pułapek. Borodin podłożył minę. Gdzie są pozostałe?

Cofnął się o krok wpatrując się w ciemną linię drzew wzdłuż drogi i próbując przewidzieć metody działania swego przeciwnika.

W końcu zszedł z drogi i zagłębił się w lesie, skręciwszy natychmiast w prawo, tak żeby podążać wzdłuż podjazdu.

Powoli zaczął odzyskiwać wzrok i słuch, lecz stracił swoją broń.

Zatrzymał się ponownie i spojrzął w tył na drogę, którą przebył. Ogień stopniowo zamierał. Kilka drzew i krzaków na skraju podjazdu stało w płomieniach, lecz nie wskazywało na to, że pożar się rozprzestrzeni. Wiatr zwiewał płomienie z powrotem na drogę. Broń Mirosznikowa leżała na przednim siedzeniu i nie było możliwości, żeby ją odnaleźć. Żadnej możliwości.

Odwrócił się z powrotem. Nie ucieknie. Generał Borodin chciał go mieć, więc będzie go miał.

McAllister ruszył do przodu. Po kilkunastu krokach potknął się i przewrócił zawadzając nogą o cienki drut rozciągnięty w śniegu.

Kałasznikow przywiązany do pnia drzewa dziesięć metrów dalej rozpoczął kanonadę; w momencie upadku jeden pocisk ugodził Maca w bok, a drugi przeorał mu skórę na głowie. Muśnięcie odrzuciło go w tył i padając grzmotnął potylicą o leżące drzewo. Tysiące gwiazd zamigotało mu przed oczami...

Odgłos wybuchu miny poderwał Borodina na równe nogi. Chwycił karabin i wybiegł w ciemność nocy, kryjąc się w cieniach z boku domu.

Kilka minut później usłyszał długą serię z kałasznikowa po lewej stronie podjazdu. Potem zapadła cisza.

Obserwował i czekał wydechając kłęby białej pary w przejmującym zimnie. McAllister miał szczęście. W jakiś sposób udało mu się przetrwać pierwszy wybuch i uciec, zanim eksplodował zbiornik paliwa. Nie myślał jednak rozważnie i zszedł z drogi wpadając w drugą pułapkę... tę, której prawdopodobnie nie przeżył.

Generał Borodin nie zarejestrował żadnego ruchu ani dźwięku. Widoczne z tego miejsca płomienie zmalowały, aż wreszcie wygasły całkowicie.

Oczywiście posypią się pytania, ale kiedy zaoferuje ciało McAllistera, odpowiedzi nasuną się same.

Po pięciu minutach powrócił do domu, włożył kurtkę z kapturem, wsunął pistolet do kieszeni i z ciężkim karabinem pod pachą ponownie wyszedł na zewnątrz i skierował się wzdłuż podjazdu.

Nadszedł czas, żeby się wycofać. Czas, aby z tym skończyć. Kiedy opadnie zgiełk spowodowany tym wypadkiem, zgodzi się przejść na emeryturę. Zrobił już swoje. Jego życie wypełniały kłamstwa i oszustwa, strach i ciągła obawa przed ludźmi pokroju McAllistera, przed dziewięcioma uncjami metalu w twarzy. Przyszło mu do głowy stare przysłowie z epoki stalinizmu: „W Moskwie często biją w dzwony, lecz nie na obiad”. Nie sądził, by po jego śmierci bili w dzwony. Nie dla niego.

Kilkaset metrów dalej Borodin zszedł z drogi i skierował się bezpośrednio do miejsca, gdzie zastawił pułapkę. Zaciągnie ciało McAllistera z powrotem na podjazd i położy je kilka metrów od szczątków samochodu (skąd on wziął ten wóz?). Kiedy wezwie milicję, będzie wyglądało, jakby samochód eksplodował, a generał zastrzelił uciekającego McAllistera. Milicja z pewnością nie ośmieli się wypytywać generała KGB, bez względu na to, jakkolwiek by to wszystko wyglądało. Ten, kto wysłał McAllistera, będzie wiedział wystarczająco dużo, aby trzymać gębę na kłódkę. Zrozumie, że przegrał.

Z początku generał Borodin sądził, że zabłądził w ciemnościach i że nie trafił do miejsca, gdzie przymocował kałasznikowy.

Nagle stanął jak wryty, a zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Rzemień, którego użył do przywiązania karabinu, leżał w śniegu, a miejsce, w którym umieścił kałasznikowa, było puste!

Dziesięć metrów dalej znalazł zbroczone krwią zagłębienie w śniegu. McAllister został ranny podczas eksplozji... na pewno został ranny... i prawdopodobnie trafiła go

przynajmniej jedna kula z automatu, a jednak w jakiś sposób stanął na nogi, odczepił broń od drzewa i uciekł.

Generał Borodin nasłuchiwał znieruchomiały. Otaczała go niezgłębiona cisza.

Ślady McAllistera prowadziły z miejsca, w którym upadł, prosto do drzewa, a potem urywały się.

Gdzie?

Generał cofnął się raptownie i spojrzał w górę na konary drzewa, podnosząc karabin i czując, jak serce wali mu w piersiach. Nikogo tam nie było.

Dokąd poszedł?

Oczywiście z powrotem, po własnych śladach! Borodin postąpił krok do przodu i dostrzegł ślady stóp McAllistera prowadzące na podjazd.

To skurwiel, pomyślał, a załamki strachu wymieszały się w nim z rosnącym podziwem.

Ale po co mu nie naładowana broń? Przez chwilę nie widział w tym sensu, lecz wnet przyszło olśnienie. McAllister wpadł na pierwsze dwie pułapki i w jakiś sposób udało mu się przeżyć. Wreszcie poszedł po rozum do głowy i zdał sobie sprawę, że kolejny automat musi być ustawiony po przeciwnej stronie drogi. Zabrał jedną broń i postanowił wziąć amunicję z drugiej.

McAllister trzymał teraz atut w ręku. Miał broń, lecz był ranny i na dodatek nie znał tych lasów. Nie wiedział, jak daleko stąd znajduje się dacza.

Generał Borodin zawrócił i popędził przez las trzymając się z dala od podjazdu. Musiał dotrzeć do domu przed McAllisterem.

McAllister stał na chwiejnych nogach tuż przy polance poniżej drogi. Rosyjski karabin wydawał mu się niezwykle ciężki. Tym razem męczyło go przecucie, że przegra. Serce łomotało mu w piersiach, obraz przed oczami rozmazywał się i przez jedną straszliwie długą chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest, a nawet czy stoi, czy siedzi.

- No chodź, draniu! - Spróbował zawołać, lecz słowa u więzły mu w gardle.

Dostrzegł błysk kamery nad tylnym wejściem do budynku. Wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń chcąc, aby generał ujrzał go i również się pokazał.

*Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

Musiał wiedzieć, kim są. Musiał dowiedzieć się tego teraz, zanim wykrwawi się na śmierć albo zanim po prostu upadnie i zamarznie.

Zrobił kilka kroków w przód i osunął się na jedno kolano. Z trudem łapał oddech. Stopy wydawały mu się niesłychanie odległe, chwilami tracił czucie w dłoniach i ramionach, a jednak ponownie wstał wysiłkiem woli.

- Borodin - Tym razem zdołał wyartykułować słowa. Z trudem postąpił jeszcze parę kroków w przód. - Przyszedłem po ciebie, do cholery...

Mówił po angielsku czy po rosyjsku? Nie wiedział.

- Kim jesteś?

Głos doleciał z lewej strony z lasu za podjazdem.

McAllister odwrócił się w tym kierunku podnosząc karabin, lecz nie dostrzegł nikogo.

- Czego chcesz?! - zawołał głos z lasu.

Generał Borodin? To musiał być on.

- Ciebie! - krzyknął McAllister.

- Dlaczego? Co tu robisz? Kto cię przysłał?

- Zebra Jeden, Zebra Dwa. Woronin mi powiedział. Wiem wszystko.

Las tonął w złowrogiej ciszy. McAllister postąpił jeszcze parę kroków do przodu. Kałasznikow za bardzo mu ciążył, by mógł go dłużej utrzymać. Stał się, podobnie jak

wiele innych rzeczy w jego życiu, brzemieniem zbyt ciężkim, by je dźwigać. Poczul, że wyslizguje mu się z rąk.

- No chodź, draniu! - zawołał ostatkiem sił i usiadł w śniegu, zgrabiłymi palcami szukając broni, nie mogąc jej jednak znaleźć.

Szaleństwa, jakie wytrzymał, zawirowały dookoła niego, jakby był głazem położonym pośrodku bystro płynącej rzeki. Wreszcie stracił poczucie dna i wydało mu się, że nurt porywa go w swoje beznamiętne ramiona.

Wpatrywał się wprost w oczy generała Borodina. Twarz barczystego mężczyzny nie była niemła, bardziej zdumiona. Kręcił powoli głową.

- Kto cię przysłał? - zapytał generał.

McAllisterowi zdawało się, że jego głos dochodzi z jakiegoś długiego, ciemnego tunelu.

- Woronin...

- Tak, mój były sekretarz. Pijak, idiota - rzekł niecierpliwie Borodin. - Co on ci powiedział?

- Patrz na Waszyngton. Patrz na Moskwę. Zebra Jeden, Zebra Dwa.

Własny głos wydawał się mu niezmiernie odległy.

- Kto jeszcze wie?! - zawołał Borodin.

- Nikt.

- Mirosznikow musiał to słyszeć. On musiał wiedzieć. Czy to on cię przysłał?

- On nie żyje. Zabiłem go. Nie wiedział... Nie miał pojęcia...

McAllister chciał się uwolnić od koszmaru, położyć na śniegu i pozwolić ciemności otulić szczelnym całunem jego ciało. Jeszcze trochę.

- Kto cię przysłał?

- Nikt - odparł McAllister z największym wysiłkiem. - Harman nie żyje. Potemkin nie żyje. Wszystkich zabiłem. Pozostał tylko mój przyjaciel Highnote i ty. Zebra Jeden i Zebra Dwa. Zdrajcy. Zabójcy. Nikogo poza wami już nie ma.

Borodin milczał. McAllisterowi udało się podnieść głowę i spojrzeć na mężczyznę.

- Powiedz mi - zaskrzeczał ochryplym głosem.

- Ty niewiarygodny głupku - wycedził generał Borodin. - Mówisz mi teraz, że Robert Highnote jest agentem rosyjskim. Podejrzewaliśmy to od jakiegoś czasu. Ale nawet ja o tym nie wiedziałem. Musiał pracować dla Potemkina. Nie jestem Bogiem. Nie mogę wiedzieć wszystkiego. Podobnie jak wy, też jesteśmy podzieleni. Co za strata. - Borodin pokręcił głową. - Lecz to prawda, że mój kryptonim brzmi Zebra Dwa. Już od długiego czasu. Zbyt długiego.

- Kim jest Zebra Jeden, ty skurwielu? Kto jest zdrajcą w Waszyngtonie?

- Nie ma żadnego zdrajcy w Waszyngtonie, nie rozumiesz, ty biedny durniu? To ja zdradziłem swój kraj. Zebra Jeden to mój oficer nadzorujący. Od prawie dwudziestu lat pracuję dla waszego rządu.

Kolejna błyskawica przemknęła przez umysł McAllistera i nagle w jego uszach rozbrzmiały ostatnie słowa Janosa Sikorskiego.

- Zdrajca! - krzyczał tamtej nocy.

Janos wiedział.

- Sikorski - powiedział.

- Tak - przyznał Borodin. - On mógł wiedzieć, lecz nikt inny. To dlatego przetrwaliśmy tyle lat. Udało się nam utrzymać to w tajemnicy. Woronin mógł natknąć się na kryptonimy, lecz nie miał pojęcia, kim jesteśmy.

- Chryste - powiedział McAllister. - Chryste.

Borodin odłożył karabin i pomógł McAllisterowi wstać.

- Nie wiem, co z tobą zrobię, lecz nie mogę cię tu zostawić, żebyś umarł. Nie tak...

Powietrzem targnął huk wystrzału, a pocisk ugodził Borodina w prawe ramię. Generał wpadł na McAllistera przewracając go w śnieg.

- Zdrajca! - zawołał ktoś po rosyjsku.

Twarz Borodina znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od twarzy McAllistera.

- Kiselew - odezwał się zboląłym głosem. - Mój sekretarz. Wrócił. - Spróbował sięgnąć do kieszeni płaszcza, lecz bezwładne ramię odmówiło mu posłuszeństwa. - Moja broń - wyszeptał. - W kieszeni! McAllister!

McAllister zdołał unieść prawe ramię i zgrabiłą dłońią sięgnął do kieszeni kurtki. Zmarznięte palce zacisnęły się na kolbie pistoletu.

Niski, przysadzisty mężczyzna stanął nad nimi trzymając karabin luźno w ręku. Podniósł brwi.

- A więc - odezwał się - to gniazdo szpiegów.

McAllister wyciągnął pistolet z kieszeni Borodina, odbezpieczył i podniósł ponad ciężkim ciałem generała. Obraz rozmazywał mu się przed oczami, widział podwójnie, a świat wirował dookoła.

Kiselew chciał się cofnąć podnosząc broń, kiedy McAllister pociągnął za spust. Kula ugodziła Rosjanina w prawe oko wyszarpując mu potylicę i odrzucając jego ciało do tyłu.

Mac odniósł wrażenie, że odpływa. Położył głowę na miękkim, ciepłym śniegu.

Jak przez sen poczuł, że przestało mu ciężać ciało Borodina. Chciał coś powiedzieć, lecz generała już nie było.

Ktoś nadjeżdżał. Światła... może przednie reflektory samochodu... i głosy. Dryfowanie. McAllisterowi przyszło do głowy, że ci nowi ludzie mówią po angielsku, lecz to przecież nie było możliwe. Był w Rosji, nad rzeką Istrą...

Twarz Stephanie pojawiła się gdzieś nad jego głową. Zdobył się na słaby uśmiech. Tak wiele chciał jej powiedzieć, lecz stracił tę szansę bezpowrotnie, na zawsze, podobnie jak wiele innych.

Mówiła coś, chciała mu coś powiedzieć. Słyszał, jak słowa rozpływają się dookoła niego, lecz nie mógł zrozumieć ich znaczenia; nie wiedział, co się dzieje, a kiedy silne ręce podniosły go i pomogły przejść przez polanę, ogarnęła go ciemność i poczuł się w końcu bezpieczny.

## Rozdział 35

Poranne promienie słońca strumieniami wdzierały się do pokoju na czwartym piętrze, kiedy David McAllister obudził się ze śpiączki, usiadł na łóżku i bardzo wyraźnym głosem poprosił zdziwioną pielęgniarkę o szklankę wody.

Natychmiast zadzwoniła po doktora, po czym łagodnie ułożyła go z powrotem na łóżku.

- Proszę teraz spokojnie leżeć, panie McAllister.

Jej głos przynosił ukojenie, a on znowu poczuł, że dryfuje, i tak naprawdę wcale nie chciał tej wody. Jedynie w niewielkim stopniu był świadom swego ciała. Nie odczuwał bólu, lecz tylko odległe wrażenie czegoś dziwnego. W pewnym momencie ogarnęła go panika; ponownie znalazł się na Łubiance, a poczucie zdystansowania wobec świata powodowały narkotyki, którymi go faszrowano. Spodziewał się, że w każdej chwili może ujrzeć twarz nadchodzącego Mirosznikowa. Główny śledczy nie żył jednak, tak jak wielu innych. Tak wielu.

Przez kilka następnych dni, a może tygodni - nigdy nie będzie do końca pewny, jeśli chodzi o ten fragment jego życia - bezsenność stała się dla niego codziennością, a osobliwe poczucie oddalenia zaczęło stopniowo opuszczać jego umysł.

Czasami miewał przebłyski świadomości; otaczali go wtedy również inni ludzie poza lekarzami i pielęgniarkami, rozmawiali, patrzyli na niego, lecz nigdy nie udało mu się sklasyfikować ich twarzy, zaszufladkować ich, chociaż raz czy dwa odniósł wrażenie, że widzi Stephanie, lecz to było mało prawdopodobne, chyba że nie dosięgły jej macki KGB.

Innym razem biegł przez ciemny las słysząc za plecami odgłosy pogoni. Granica znajdowała się zaledwie kilkaset metrów na zachód, lecz nie sądził, że uda mu się ją przekroczyć. Helikoptery niczym ważki zastygały na tle nieba, przeczesując każdą piędź ziemi, psy nieubłagane podążały jego śladem. Pewnej nocy ze zboląłego gardła wydobył się krzyk rozpacz, łóżko zawilgotniało od potu, lecz delikatne ręce natychmiast dotknęły spiętego ciała, i na rozpalonym czole poczuł kojący chłód okładu.

Aż w końcu którejs nocy obudził się z głębokiego, mrocznego snu i usiadł na łóżku. Za otwartymi drzwiami ujrzał korytarz. Jakaś pielęgniarka patrzyła na niego.

- Witaj - powiedział.

- Cóż, dzień dobry, panie McAllister - odezwała się z uśmiechem. - Jak się pan czuje?

- Strasznie chce mi się pić - odparł. - I jestem cholernie głodny.

Lekarz przyszedł, zanim Macowi pozwolono zaspokoić pierwszy głód. Zaczął zadawać mnóstwo pytań na temat nóg, oddychania, a przede wszystkim pamięci, która wydawała się nienaruszona. Kiedy zadawano Davidowi pytania, myślał o wszystkim, co mu się przydarzyło aż do momentu spotkania z Borodinem w tamtą noc przy jego dacz. Po tym była pustka, jedynie niejasne uczucia i wrażenia unosiły się gdzieś w najgłębszych zakamarkach jego umysłu. Generał Borodin jako Zebra Dwa pracował dla nas wraz z oficerem nadzorującym tu, w Waszyngtonie. Czy to możliwe? A może to kolejne monstrualne kłamstwo? Nie wiedział, co się teraz z nim stanie. Wiedział tylko, że jakimś cudem znalazł się znów w Waszyngtonie. I żył.

Rano jako pierwszy pojawił się Dexter Kingman. Odprawił pielęgniarkę i zamknął za nią drzwi, po czym przysunął sobie krzesło do łóżka McAllistera.

- Mówią, że za dwa miesiące będziesz grał w tenisa - odezwał się szef bezpieczeństwa.

W jego głosie słychać było delikatny południowy akcent.

McAllister wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Miło mi to słyszeć - odparł. - Nigdy wcześniej nie próbowałem tej gry.

Kingman roześmiał się.

- Dexter Kingman - powiedział wyciągając rękę.

McAllister przywitał się.



- Domyśliłem się. Jaki jest mój status?
- Nadal jesteś na etacie, jeśli o to ci chodzi.
- Nikt nie chce mnie już zastrzelić?
- W tym momencie nie.

McAllister opuścił głowę na poduszkę.

- Czy to się jut skończyło? - zapytał.

- Wszystko poza pytaniami, a w ciągu nadchodzących tygodni usłyszysz ich mnóstwo. Oczywiście gdy będziesz gotowy, by na nie odpowiadać.

McAllister skupił na nim wzrok.

- Co, u diabła, tam się stało?

Kingman ponownie się uśmiechnął.

- Stephanie Albright - oto co się stało. Ona nie poddaje się tak łatwo. - Zawahał się na moment. - Myślę, że niektóre wieści naprawdę cię zszokują.

- Przyzwyczyłem się do tego rodzaju niespodzianek od ostatnich kilku... -

McAllister spojrział w kierunku okna, lecz zobaczył jedynie przejrzyste, błękitne niebo i jakieś budynki w oddali. - Jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wtorek - odparł Kingman. - Piąty kwietnia.

McAllisterowi na chwilę zamarło serce. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.

- Taak. - Kingman pokiwał ze zrozumieniem głową. - Jesteś gotów na te niespodzianki?

McAllister przytaknął.

- Czy ze Stephanie wszystko w porządku?

- Jest cała - odparł Kingman - ale niewiele brakowało. Bob Highnote próbował ją zabić. To on był ukrytym agentem.

Wiem, pomyślał McAllister, a słowa Kingmana przepływały gdzieś obok.

Stephanie narobiła takiego szumu w Helsinkach, że nie mieli innego wyboru, jak tylko załatwić jej wizę rosyjską w paszporcie dyplomatycznym, którego używała i wsadzić ją w pierwszy samolot lecący do Moskwy. Kolejny pożar roznieciła pod szefem CIA w Moskwie i tamtej nocy pojechali do dacz generała Borodina, gdzie znaleźli martwego Rosjanina leżącego obok ledwo żywego McAllistera.

Po generale Borodinie nie było śladu, a nikt nie chciał pozostawać tam na tyle długo, aby go odnaleźć. Zdołali przetransportować McAllistera do ambasady, gdzie został opatrzony najlepiej, jak to było możliwe, i następnego ranka wyleciał z Moskwy jako nagły medyczny przypadek, dokładnie przed nosem Rosjan. Najpierw do bazy Sił Powietrznych w Rhein-Main w Niemczech, gdzie trzymano go przez dwa tygodnie, aby unormować stan jego zdrowia, a potem do Waszyngtonu, gdzie przeleżał w śpiączce ponad dwa miesiące.

Z początku władze sowieckie również narobiły sporo szumu, który jednak z czasem przygasł. Szalony Amerykanin z podrobionym paszportem dyplomatycznym (dokument został odnaleziony przez KGB w moskiewskim hotelu Berlin), w jakiś sposób przedostał się przez rosyjską służbę bezpieczeństwa w Moskwie, zastrzelił oficera KGB Mirosznikowa, i kolejnego oficera o nazwisku Kiselew, zanim generał Borodin, sam będąc ciężko ranny, zdołał zastrzelić intruza. Ciało mężczyzny nie zostało odnalezione, lecz przypuszcza się, że odkryją je topniejące na wiosnę śniegi.

- Thomas Wilson - powiedział McAllister.

- Zgadza się. Nazwisko, którego użyłeś w swoim paszporcie dyplomatycznym.

Teraz taka osoba nie istnieje.

- A Highnote?

- Popełnił samobójstwo. To oficjalna wersja. Takie były wymogi jego pracy.

McAllister zamknął oczy i poszukał w umyśle i trzewiach jakichkolwiek śladów przymusu, który nim kierował. Znalazł jedynie zmęczenie i poczucie straszliwej straty ludzi, którzy zginęli.

- Jesteś gotowy? - zapytał Kingman.

McAllister uniósł powieki.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego wróciłem do Związku Radzieckiego?

- Na początek.

- Donald Harman był sowieckim agentem pracującym dla generała Borodina.

Skłamał, lecz cóż innego mógł powiedzieć?

- A Mirosznikow? Zabiłeś go?

McAllister skinął głową.

- Dlaczego?

- Wszedł mi w drogę.

Kingman westchnął głęboko i pokręcił głową.

- No cóż, Harman nie żyje, Bob Highnote i jego oficer nadzorujący Gienadij

Potemkin również... jego też zabiłeś?

McAllister ponownie skinął głową.

- Obawiam się jednak, że twoja wycieczka do Rosji zakończyła się niepowodzeniem. Borodin przeżył. Zaoferowano mu awans, lecz go odrzucił. Z tego co czytałem, przeszedł na emeryturę.

- No tak - odparł McAllister, lecz już nie słuchał.

Zebra Jeden, Zebra Dwa. Znalazł Borodina, lecz kim był Zebra Jeden? Czy kiedykolwiek się o tym dowie?

- Z ciebie to niezwykle skurczybyk - ocenił Kingman całkiem przyjemnie i wyszedł.

Nieco później tego ranka zjawiała się Gloria. Wyglądała na słabą i przygnębioną. Ciągle próbowała się uśmiechać i stale jej to nie wychodziło. Miał wrażenie, że nie potrafi spojrzeć mu prosto w oczy.

- Przyszłam się dowiedzieć, jak się czujesz - powiedziała.

- A ty dobrze się czujesz? - zripostował McAllister.

- Poradzę sobie.

- A Merrilee?

- Przeżyła to bardzo, lecz dojdzie do siebie.

- Miło mi to słyszeć.

Nie usiadła. Stała w nogach łóżka nerwowo szarpiąc zapięcie swojej torebki.

- Przyszłam się dowiedzieć, jak się czujesz - powtórzyła.

- Rozumiem - odparł McAllister. - Jeśli chodzi o tę noc w naszym domu... skąd mogłaś wiedzieć.

Nie odezwała się.

- Co teraz zrobimy? Spróbuję jeszcze raz, jeśli chcesz.

Uniosła głowę, a na jej twarzy odmalowało się zdziwienie i... obrzydzenie.

- O czym ty mówisz? - rzekła. - Przyszłam tu, żeby cię przeprosić. Nic poza tym. Nasze małżeństwo skończyło się wiele lat temu. Nie potrafię żyć w tym szaleństwie. Nigdy nie potrafiłam.

- Może jak skończę z tym...

- Nie - odparła Gloria podnosząc rękę, jakby chciała go od siebie odepchnąć. - Już dość. Postaraj się jak najszybciej wyzdrowieć. Kiedy będziesz gotów, porozmawiamy o rozwodzie. Mój prawnik mówi... - Umilkła. - Po prostu wyzdrowiej - powiedziała, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

Przez następne dni Kingman i pozostali z Agencji zarzucili McAllistera gradem pytań.

- Teraz chcemy tylko porozmawiać o najważniejszych sprawach - obiecał szef bezpieczeństwa. - Na szczegóły przyjdzie czas później.

John Sanderson i George Mueller z FBI wpadli na krótką pogawędkę. Kiedy nadejdzie czas na oficjalną relację, oni również będą obecni.

Dziwiła go nieobecność Stephanie. Nie dali mu numeru telefonicznego, aby mógł do niej zadzwonić, i za każdym razem, kiedy prosił o przesłanie jej wiadomości, obiecywali, że spełnią jego prośbę.

Zaczął wierzyć, że podobnie jak Glorię ją również zmęczyło to szaleństwo i nie chciała już mieć z nim nic wspólnego, za co nie mógłby jej winić. Nie mógł winić żadnej z nich. Pragnął tylko z nią porozmawiać. Powiedzieć, że rozumie.

Czwartego dnia pojawił się Howard Van Skike. Jego ochroniarz został na zewnątrz w korytarzu, nie pozwalając nikomu wchodzić do pokoju.

- Mam dziś niezwykle napięty harmonogram, więc nie zabawię dłużej niż minutę czy dwie.

- Nie było to konieczne - odezwał się McAllister.

Spotkał tego człowieka wcześniej może parę razy. Wtedy, podobnie jak teraz, był pod wrażeniem delikatnej, lecz inteligentnej natury dyrektora Agencji. Van Skike od wielu lat uchodził za osobistość na scenie wywiadu. W odróżnieniu od swoich poprzedników zajmujących pokoje na siódmym piętrze w Langley nie został mianowany na to stanowisko jedynie ze względów politycznych. Ciężką pracą pisał się po szczeblach hierarchii. Najlepszy człowiek na to stanowisko - powiedział prezydent wyznaczając go na szefa Agencji.

I rzeczywiście taki był. Wszyscy zgadzali się co do tego. Mówiono, że jest człowiekiem, który posiada błogosławieństwo „intuicyjnego talentu rozumienia rosyjskiej mentalności”.

- Jak się czujesz? - zapytał Van Skike.

- Dużo lepiej.

- Za miesiąc lub dwa wyjdiesz stąd. Będziesz zainteresowany powrotem do pracy?

- Nie wiem - odparł McAllister.

Nie zastanawiał się jeszcze nad przyszłością.

- No cóż, postaraj się jak najszybciej dojść do siebie, a kiedy będziesz gotów, przyjdź do mnie. Porozmawiamy.

- Dziękuję.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Może czegoś potrzebujesz?

- Prawdę mówiąc tak, panie dyrektorze - odparł McAllister. - Czy mógłby pan dopilnować, żeby Stephanie Albright przyszła mnie odwiedzić?

- Dlaczego?

Bezpośredniość pytania zaskoczyła McAllistera.

- Ponieważ... ponieważ chcę jej podziękować za uratowanie mi życia.

Van Skike patrzył na niego.

- I?

McAllister ponownie pomyślał, że otwartość dyrektora jest zdumiewająca.

- Chcę jej powiedzieć, że ją kocham.

Van Skike uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że będzie zachwycona, gdy to usłyszysz, Mac. Czeka na korytarzu.

- Zmrużył oczy. - Nie wie o swym ojcu... kim naprawdę był. Zatrzymajmy to dla siebie.

- Tak - zgodził się McAllister. - Dziękuję.

- Jest nadzwyczajna.

- Tak, to prawda.

- Ty też - dodał Van Skike.

Nie potrafił nic na to odpowiedzieć.

Van Skike pokręcił głową.

- Jeszcze jedna, ostatnia sprawa - powiedział.

- Tak?

- Mam dla ciebie wiadomość. Z Moskwy. Zebra Dwa przesyła pozdrowienia i podziękowania.

Pokój wydał mu się nagle próżnią.

- Pan? - wyjąkał McAllister zdławionym głosem.

Van Skike uśmiechnął się, lecz nie powiedział ani słowa. Odwróciwszy się wyszedł z pokoju. W chwilę później w drzwiach pojawiła się Stephanie z szerokim uśmiechem na twarzy. Łzy spływały jej po policzkach.

*Zebra Jeden, Zebra Dwa.*

To naprawdę się skończyło, pomyślał tuląc Stephanie do siebie, teraz już wszystko będzie dobrze.